

KRÓLESTWA NYAXII

ŻMIJA I SKRZYDŁA NOCY

CARISSA BROADBENT

CARISSA BROADBENT

KRÓLESTWA NYAXII

ŻMIJA
I SKRZYDŁA
NOCY

Przełożyła
Paulina Ziarko

FILIA

Od autorki

Książka ta zawiera tematykę, która może być trudna dla niektórych czytelników, włączając w to brutalność, tortury (poza materiałem), wspomnienia gwałtu (cofnięta zgoda), samookaleczenie, znęcanie się emocjonalne, niewolnictwo i odniesienia do znęcania się seksualnego.

OBITRAES



DOM KRWI

MORZE KOŚCI

ŁUDZKIE ZIEMIE



SALINAE

TERYTORIUM RISHAN

RZĘKA LITURO

SIVRIŃAJ



DOM NOCY



DOM CIENIA

MORZE KOŚCI
SŁONIOWEJ

SIERP NIAXII



Król nie wiedział, że zrujnuje go własna miłość i że przyjdzie ona w postaci małego, bezbronnego dziecka.

Dziewczynka była samotnym promyczkiem życia w niekończącym się wszechobecnym zniszczeniu, jedyną żyjącą śmiertelną w zasięgu ponad stu kilometrów. Miała może ze cztery lata, a może osiem. Trudno oszacować, ponieważ była bardzo drobna, nawet jak na ludzkie standardy. Krucha istotka o gładkich czarnych włosach opadających na duże szare oczy.

Rodzina dziewczynki najprawdopodobniej leżała gdzieś przygnieciona kamieniami i zwęglonymi belkami, już nierozpoznawalna. A może ich okaleczone ciała były pozostawione w nocy na pastwę drapieżników, tych samych, które teraz prześladowały również i dziecko, spoglądając na nie z zainteresowaniem jastrzębia delektującego się królikami.

Ludzie na tym świecie byli niczym innym jak zdobyczą czy szkodnikami.

Trzy skrzydlate postaci wylądowały przed dziewczynką, zadowolone ze znaleziska. Mała natychmiast zaczęła się szarpać pod gruzami, pod którymi była uwięziona. Rozpoznała te istoty – po ostrych zębiskach i czarnych skrzydłach pozbawionych pierza. Możliwe, że rozpoznała również ich ubiór – głęboki fiolet, charakterystyczny dla Króla Zrodzonych z Nocy z klanu Hiajów. Możliwe, że mężczyźni, którzy spalili jej dom, mieli na sobie takie same mundury.

Jednak nie mogła uciec. Jej ubranie było podarte i przygniecione przez gruzy. Była zbyt drobna, by unieść kamienie.

– Zobacz. Mała owieczka. – Mężczyźni się zbliżyli. Gdy jeden z nich sięgnął ku niej, warknęła na niego i uwięziła koniuszki jego palców w swoich małych, płaskich zębach.

Żołnierz syknął i wyszarpnął rękę, a jego towarzysze się zaśmiali.

– Owieczka? Bardziej zmija.

– Albo wąż ogrodowy.

Ugryziony żołnierz pomasaował rękę i wytarł kilka szkarłatnoczarnych kropel.

– To nie ma znaczenia – burknął. – Smakują tak samo. Nie wiem, jak wy, gamonie, ale ja zgłodniałem po tak długiej nocy.

Nagle padł na nich cień.

Mężczyźni znieruchomieli. Z szacunkiem pochylili głowy. Zimne powietrze zadrzało, a wokół ich twarzy i skrzydeł krążyła ciemność jak ostrze pieszczące gardło.

Król Hiajów nic nie powiedział. Nie musiał. W chwili, kiedy oznajmił wszystkim swoje przybycie, jego wojownicy zamilkli.

Pod względem fizycznym nie był najpotężniejszym wampirem. Nie należał do najokrutniejszych wojowników czy najmądrzejszych mędrców. Ale mówi się, że został pobłogosławiony przez boginię Nyaxię, i każdy, kto go spotkał do tej pory, przysięgał, że to prawda. Potęga sączyła się z każdego jego pora, a śmierć piętnowała każdy jego oddech.

Jego żołnierze nie odezwali się słowem, kiedy przeszedł po ruinach domu.

– Rishanie zostali wyeliminowani – zaryzykował jeden z żołnierzy po dłuższej chwili.
– Reszta naszych ludzi wyruszyła na północ i...

Król uniósł dłoń, by uciszyć wojownika.

Ukląkł przed dziewczynką, która spoglądała na niego groźnie. *Taka młoda* – pomyślał. Jej życie, kilka nędznych lat, było niczym w porównaniu do setek lat, które on przeżył. Mimo to miała w spojrzeniu tak wielką nienawiść. W tych jasnych, srebrzystych jak księżyc oczach.

– Tutaj ją znaleźliście? – zapytał król.

– Tak, panie.

– Czy to ona jest odpowiedzialna za krew na twojej ręce?

Przez żołnierzy przetoczyła się fala zduszonego chichotu.

– Tak, panie. – Odpowiedź była raczej nieśmiała.

Pomyśleli, że król się z nich naśmiewa. Nie. To nie miało nic wspólnego z nimi.

Władca sięgnął ku dziewczynce. Ugryzła i jego. Pozwolił jej na to. Nie cofnął ręki, nawet kiedy jej maleńkie zęby utonęły w jego kościstym palcu wskazującym.

Spojrzała mu w oczy, bez mrugnięcia, a król odwzajemnił spojrzenie z rosnącym zainteresowaniem.

Nie było to spojrzenie przestraszonego dziecka, które nie wiedziało, co czyni.

To było spojrzenie istoty, która rozumiała, że przeciwstawiała się śmierci, i mimo to postanowiła napluć jej w twarz.

– Mała żmija – mruknął.

Mężczyźni za nim się zaśmiali. Zignorował ich. To nie był żart.

– Jesteś sama? – zapytał łagodnie.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Nie mogła mówić z zębami wbitymi w jego skórę.

– Jeśli mnie uwolnisz, nie zrobię ci krzywdy – powiedział.

Dziecko nie posłuchało, cały czas mierząc go morderczym spojrzeniem, a czarna krew skapywała mu z brody.

Kącki ust króla powędrowały ku górze.

– Dobrze. Nie powinnaś mi ufać.

Uwolnił palec, a następnie wyswobodził dziewczynkę spod gruzów. Milczała, nawet w ferworze oporu. Dopiero gdy król ją podniósł (była tak lekka, że mógł utrzymać ją jedną ręką), zrozumiał, jak bardzo jest ranna. Całe jej podarte ubranie przesiąkło krwią. Gdy przycisnął ją do klatki piersiowej, słodki zapach zaatakował jego nozdrza. Balansowała na granicy nieświadomości, ale pokonała ją.

– Odpoczywaj, żmijko. Nic ci nie grozi.

Król pogłaskał jej policzek. Próbowala go ponownie ugryźć, ale w tym momencie po koniuszkach jego palców przeszła iskra magii. Wraz z szeptem nocy przyszedł sen o niczym, zbyt ciężki, by z nim walczyć, nawet dla tej agresywnej małej istoty.

– Co mamy z nią zrobić? – zapytał jeden z żołnierzy.

Król ich minął i odparł:

– Nic. Zabiorę ją.

Zapadła cisza. Król, choć ich nie widział, wiedział, że wymieniali między sobą zaskoczone spojrzenia.

– Dokąd? – padło w końcu kolejne pytanie.

– Do domu – odparł król.

Dziewczynka spała, jedną rączkę zacisnąwszy na jego jedwabnej bluzce. Wciąż we śnie walczyła na swój dziecięcy sposób.

Dom. Zabierze ją do domu.

Zrobi to, ponieważ on – król wampirów z klanu Hiajów, zdobywca Domu Nocy, błogosławiony przez boginię Nyaxię i jedna z najpotężniejszych istot w tym czasie, a nawet i następnym – zobaczył w niej cząstkę siebie. A tuż pod zaciśniętą piąstką,

w jego piersi, coś ciepłego i słodko-gorzkiego pojawiło się na jej widok. Coś groźniejszego niż głód.

Setki lat później historycy i uczeni powrócą do tego momentu. Do tej decyzji, która pewnego dnia obali imperium.

Jaki zaskakujący wybór – szeptałoby. Dlaczego to zrobił?

Właśnie. Dlaczego?

Wampiry wiedzą bardzo dobrze, jak ważne jest chronienie własnego serca.

A miłość i zrozumienie są ostrzejsze niż jakikolwiek kołek.



CZEŚĆ PIERWSZA
ZMIERZCH



Zaczęło się od treningu. Zwykła gra, ćwiczenie. Coś, co musiałam sobie udowodnić. Nie miałam pojęcia, kiedy ten mój wstydlivy, ukryty bunt stał się sportem.

Niektórzy mogli uważać, że to głupota, żeby taki człowiek jak ja polował w nocy, jako że zdobycz, na którą polowałam, znacznie przewyższała mnie umiejętnościami. Jednak funkcjonowała w nocy – tak jak ja.

Przycisnęłam się do ściany ze sztyletem zaciśniętym w dłoni. Noc była ciepła, zupełnie jakby gorąco przykleiło się do parującej wilgoci długo po zachodzie słońca. Zapach zawisł w powietrzu jak gęsta, zgniła chmura – chmura zjełczałego jedzenia z ulicznych śmietników, ale także rozkładającego się mięsa i kwaśnej krwi. Wampirów nie obchodziło sprzątanie po sobie w ludzkich dzielnicach należących do Domu Nocy.

Ludzie mieli być bezpieczni za murami królestwa, byli to mieszkańcy słabsi od Zrodzonych z Nocy pod każdym względem. Ale ta druga prawda często powodowała unieważnienie tej pierwszej.

Ten mężczyzna był Hiajem ze skrzydłami ukrytymi na plecach. Nie wydawało się, by dobrze władał magią, ponieważ nie zlikwidował zdobyczy, by ułatwić sobie polowanie. A może po prostu bawił się sytuacją. Niektórzy zachowywali się bardzo teatralnie. Lubili, kiedy się ich bano.

Obserwowałam z dachu osobnika śledzącego swoją ofiarę, którą był mały chłopiec, najpewniej dziesięcioletni, choć być może tylko wyglądał na takiego z uwagi na niedożywienie. Chłopiec znajdował się na ogrodzonym, brudnym dziedzińcu glinianego domu i bawił się piłką, nie zważając na zbliżającą się śmierć.

W przypadku tego chłopca wychodzenie samemu w nocy było głupotą. Ale wiedziałam po sobie, jak to jest dorastać w ciągłym strachu i jak to wpływa na człowieka. Możliwe, że ta rodzina trzymała dzieci w domu po zmroku codziennie przez ostatnie dziesięć lat. Wystarczył moment nieuwagi, jedna zabiegana matka, która zapomniała zawołać go na obiad, i jedno ponure dziecko, które nie chciało jeszcze wchodzić do domu. Jedna taka noc w życiu.

Takie sytuacje zdarzały się bardzo często.

Ale nie stanie się to tej nocy.

Gdy tylko wampir się poruszył, poszłam w jego ślady.

Zeskoczyłam z dachu na bruk. Poruszałam się bezszelestnie, ale słuch wampira był znakomity. Odwrócił się i przywitał mnie lodowatym spojrzeniem i podwiniętą wargą, która odsłoniła odrobinę jego ostrego uzębienia.

Rozpoznał mnie? Od czasu do czasu tak się dzieje. Temu nie dałam szansy.

Była to już dla mnie praktycznie rutyna – system, który wypracowałam do perfekcji przez sto takich nocy jak ta.

Najpierw skrzydła. Dwa cięcia, jedno na każde skrzydło, co uniemożliwiało mu lot. W przypadku wampirów z rodu Hiaj było to proste. Błoniasta skóra była delikatna jak papier. Zdarzało mi się łapać rishańskie wampiry, stanowiły one jednak większe wyzwanie, ponieważ ich opierzone skrzydła trudniej przebić. Mimo to opanowałam również i tę technikę. Ten etap był ważny, dlatego też musiał nastąpić w pierwszej kolejności. Musiałam wówczas pilnować, żeby byli ze mną na ziemi. Raz popełniłam błąd, ominąwszy pierwszy etap, i niemal zginęłam.

Nie byłam od nich silniejsza, więc musiałam mieć przewagę w precyzji. Nie było czasu na błędy.

Wampir wydał z siebie dźwięk przypominający coś pomiędzy sapnięciem z bólu i warknięciem. Moje serce gwałtownie przyspieszyło, co spowodowało intensywniejszy przepływ krwi pod skórą. Zastanawiałam się, czy to wyczuł. Całe życie próbowałam to ukryć, ale teraz byłam za to wdzięczna. Zgłupieli przez to. Ta ofiara losu nie była nawet uzbrojona, a wciąż rzucała się na mnie, nie zważając na nic.

Kochałam to – naprawdę kochałam, kiedy nie traktowali mnie poważnie.

Wbiłam ostrze w jego bok, tuż pod żebrami. Kolejny cios sięgnął gardła. Niewystarczający, żeby zabić, ale na tyle skuteczny, że wampir się zachwiał.

Pchnęłam go w kierunku ściany, jedną klingą przyszpilając go, by nie mógł się poruszyć. Pokryłam końcówki broni Dhaivinth – szybko działającym paralitykiem. Był on silny, choć krótkotrwały. Działał tylko przez kilka minut, ale tyle mi wystarczyło.

Wampir zdołał tylko zadrapać mi policzek swoimi ostrymi jak brzytwa pazurami, po czym zaczął słabnąć. Gdy tylko zauważyłam jego szybkie mrugnięcia, jak gdyby chciał oprzytomnieć, zamarłam.

Musisz pchnąć mocno, żeby przeszło przez mostek.

Tak zrobiłam, wystarczająco mocno, żeby przebić kość i mieć drogę wolną do serca. Wampiry były ode mnie silniejsze pod każdym względem – miały bardziej muskularne ciała, były zwinniejsze i posiadały ostrzejsze uzębienie.

Ale ich serca były miękkie.

W chwili gdy mój sztylet wbijał się w ich klatkę piersiową, zawsze słyszałam głos mojego ojca.

Nie odwracaj wzroku, zmijko – szepnął Vincent do mojego ucha.

Nie odwracam. Ani wtedy, ani teraz, ponieważ wiem, co ujrzę tam, w ciemności. Wiem, że ujrzę piękną twarz chłopca, którego niegdyś bardzo kochałam, i nie zapomnę jej wyrazu, kiedy mój nóż zatopi się w jego piersi.

Wampiry były dziećmi bogini śmierci. Dlatego trochę mnie śmieszyło, że bały się jej w takim stopniu jak ludzie. Obserwowałam je cały czas i widziałam strach malujący się na ich twarzach, gdy docierało do nich, że były jej kolejnymi ofiarami.

Przynajmniej w tym się nie różniliśmy. Przynajmniej, koniec końców, wszyscy byliśmy pieprzonymi tchórzami.

Wampirza krew była ciemniejsza od ludzkiej. Prawie czarna, jakby spożywana przez wieki krew ludzka i zwierzęca warstwa po warstwie ją przyciemniły. Gdy tylko wampir upadł, byłam cała w tej krwi.

Odsunęłam się od ciała. Dopiero wtedy się zorientowałam, że obserwowała mnie rodzina. Działałam bezszelestnie, ale nie na tyle, żeby znajdując się tuż przed ich drzwiami, uniknąć ich uwagi. Chłopiec był teraz uwięziony w ramionach matki. Stali obok nich mężczyzna oraz drugie dziecko – młodsza dziewczynka. Byli wychudzeni, w prostych ubraniach, wyświechtanych przez długie, pracowite dni. Cała czwórka stała w progu i wbijała we mnie spojrzenia.

Zmroziło mnie, jak jelenia przyłapanego w lesie przez tropiciela.

Zadziwiające, że to ci głodujący ludzie, nie wampir, spowodowali, że z łowcy stałam się zwierzyną.

Może stało się tak dlatego, że kiedy byłam pośród wampirów, wiedziałam, czym byłam. Ale kiedy spojrzałam na tych ludzi, granice się zatarły i zniekształciły.

Poczułam, jakbym obserwowwała swoje karykaturalne odbicie.

A może to ja byłam tym odbiciem.

Byli jak ja. Nie mieliśmy jednak ze sobą nic wspólnego. Wyobraziłam sobie, że jeśli otworzyłabym usta, by coś do nich powiedzieć, nie zrozumielibyśmy nawet dźwięków, które byśmy wydawali. Wyglądali dla mnie jak zwierzęta.

Ta okropna prawda była prawdopodobnie tą częścią mnie, która była nimi zniesmaczona, tak samo jak ja byłam zniesmaczona wszystkimi moimi ludzkimi wadami. Istniała też druga część mnie – możliwe, że ta, która pamiętała, że swego czasu mieszkałam w takim domu – i pragnęła się zbliżyć.

Nie mogłam tego oczywiście uczynić.

Nie, nie byłam wampirzycą. To było oczywiste i każdy dzień mi o tym przypominał. Ale też nie byłam jedną z nich.

Poczułam na policzku uderzenie zimna. Dotknęłam twarzy palcami, po czym odsunęłam je, mokre. Deszcz.

Dźwięk kropel przerwał niezręczną ciszę. Kobieta wyszła naprzód, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale ja już usunęłam się z powrotem w cień.



Nie mogłam się powstrzymać, by nie obrać tym razem dłuższej trasy. Zazwyczaj szłam prosto do swojego pokoju w zachodnich wieżach, ale teraz wspięłam się na wschodnią, skacząc po murach ogrodu i zmierzając ku kwaterom służących. Wślizgnęłam się do środka przez okno, które wychodziło na rozrośnięty krzak z kwiatami w kolorze indygo, połyskujących srebrem w świetle księżyca. Gdy tylko dotknęłam stopami podłogi, zakłęłam, bo prawie potknęłam się o coś, co wyglądało na lejącą się tkaninę, usłaną na gładkim drewnie pod moimi butami.

Dobiegł mnie śmiech przypominający krakanie. Po chwili przerodził się w kaszel.

– Jedwab – powiedziała kobieta skrzeczącym głosem. – Idealna pułapka na złodziei.

– To miejsce jest tragiczne, Ilana.

– E tam. – Okrążyła kąt i przyjrzała mi się zwięzonymi oczami, wciągając dym z cygara i pozwalając, by uleciał jej nosem. Była ubrana w kaskadowy szyfon barwy morskich fal. Czarno-siwe włosy upięła na czubku głowy, co dodało im godnej podziwu objętości. Z jej uszu zwisały złote kolczyki, natomiast zmarszczki wokół oczu były pokryte odcieniami szarego i niebieskiego. Makijaż zaakcentowała skromną kreską proszku antymonowego.

Jej mieszkanie było tak kolorowe i chaotyczne jak ona sama – ubrania, biżuteria i krzykliwa kolorystyka wystroju. Weszłam przez okno w jej salonie i zamknęłam je, by ochronić wnętrze przed deszczem. Miejsce jej zamieszkania było skromne, ale znacznie wygodniejsze niż gliniane, rozpadające się slumsy w ludzkich dzielnicach.

Obejrzała mnie od stóp do głów, pocierając kark.

– Nie przyjmuję żadnej krytyki od takiego szczerzego odpadku jak ty.

Spojrzałam po sobie i zbladłam. Dopiero teraz, w ciepłym świetle lampionu, zauważyłam, w jak potwornym stanie byłam.

– Nikt by się nie domyślił, że pod tym wszystkim jesteś urodziwa, Oraya – kontynuowała Ilana. – Trupy powodują, że wyglądasz bardzo nieatrakcyjnie. Co mi właśnie o czymś przypomniało! Mam coś dla ciebie. Proszę.

Sięgnęła swoimi guzowatymi i artretycznymi dłońmi do wymiętego stosiku obok siebie, po czym rzuciła w moim kierunku garść tkaniny.

– Łap.

Złapałam, a następnie rozwinęłam. Długość jedwabnego pasa niemal dorównywała mojemu wzrostowi, a wspaniały głęboki fiolet miał brzegi zdobione złotem.

– Przywiodło mi na myśl ciebie. – Ilana oparła się o framugę drzwi i wciągnęła kolejną porcję dymu.

Nie pytałam, gdzie zdobyła coś takiego. Wiek nie zwrócił jej palcom zgrabności, nie były również mniej kleiste.

– Zatrzymaj to. Nie noszę takich rzeczy, wiesz o tym.

Dzień w dzień nosiłam wyłącznie czerni i prosty ubiór, który nie przykuwał wzroku i zapewniał wygodę w poruszaniu się. Nigdy nie zakładałam jasnych rzeczy (zwracały niepotrzebną uwagę), luźnych (pozwalają się złapać) czy ograniczających ruch (mogły mieć negatywny wpływ na moje umiejętności walki albo przeszkadzać w ucieczce). Nosiłam skórzane spodnie przez większość czasu, nawet w upalne letnie dni. Chroniły mnie i nie rzucały się w oczy.

Oczywiście mogłam podziwiać piękne rzeczy w takim stopniu jak inni, ale byłam otoczona przez drapieżniki. Przechylenie było ważniejsze od próżności.

Ilana prychnęła.

– Wiem, że to lubisz, szczerku. Nawet jeśli boisz się to nosić. Ogromna szkoda. Marnujesz młodość już w młodości. I piękność. To twój kolor. Możesz nawet tańczyć z tym nago w swojej sypialni, nie interesuje mnie to.

Uniosłam brew i spojrzałam na jej skarbnicę kolorów.

– Czy to robisz ze swoim?

Mrugnęła do mnie.

– To i jeszcze więcej. Nie udawaj, że ty tego nie robisz.

Ilana nigdy nie była w moim pokoju, a jakimś sposobem znała mnie na tyle dobrze, że wiedziała o mojej szafce wypełnionej małymi, kolorowymi drobiazgami, które kolekcjonowałam przez lata. Drobiazgami, które były zbyt ostentacyjne, bym mogła je nosić w tym życiu, ale nie przeszkadzało mi marzyć o przyodzianiu ich w kolejnym wcieleniu.

Nieważne, ile razy próbowałam jej to wyjaśnić, Ilana nie rozumiała mojej ostrożności. Wielokrotnie dała mi jasno do zrozumienia, że następował koniec dyskusji. *Kropka!* – mówiła przezornie.

Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, jak ta stara nietoperzyca przeżyła tak długo, ale byłam za to wdzięczna. Ludzie, których widziałam w slumsach dzisiaj rano, nie byli jak ja, a otaczające mnie wampiry tym bardziej. Jedynie Ilana wahała się gdzieś pomiędzy obydwojma światami, tak jak ja.

Choć z różnych powodów.

Ilana dołączyła do tego świata dziesięć lat temu, podczas gdy ja się w nim wychowałam. Jako nastolatka byłam nią zafascynowana. Spotkałam kilku innych ludzi i wówczas nie zorientowałam się, że Ilana była wyjątkowa, nawet pośród ludzi.

Ilana ponownie dotknęła swojej szyi. Zobaczyłam, że materiał, który trzymała w ręce, nie był pierwotnie czerwony. Zbliżyłam się i dostrzegłam rany na jej gardle – trzy pary podwójnych ukłuc. Jej nadgarstek pod bandażem zawierał Nyaxia wie ile jeszcze takich ran.

Zaśmiała się, co spowodowało, że wyraz mojej twarzy się zmienił.

– Był dzisiaj syty obiad – powiedziała. – Dobrze mi za to zapłacono, kiedy przystojniacy ssali moją szyję całą noc. Moja młodsza wersja byłaby zachwycona.

Nie mogłam się zmusić nawet do cienia uśmiechu.

Tak, nie wiedziałam, jakim cudem Ilana przeżyła do tej pory. Większość dobrowolnych dawców krwi – których było bardzo niewiele – zabijano w ciągu roku. Zbyt dobrze wiedziałam, jak wampiry nie radzą sobie z samokontrolą, jeśli chodzi o głód.

W kwestii niektórych spraw ani Ilana, ani ja nigdy byśmy się nie zgodziły.

– Znikam na jakiś czas – powiedziałam, zmieniając temat. – Tylko to chciałam ci powiedzieć, żebyś się nie martwiła.

Twarz Ilany pociemniała. Nawet w słabym świetle zobaczyłam na niej dwa blade cienie.

– A to kanalia. Czyli to robisz.

Nie chciałam o tym dyskutować, chociaż wiedziałam, że było to nieuniknione.

– Powinnaś pomyśleć o tymczasowym opuszczeniu śródmieścia – kontynuowałam. – Idź do dzielnic. Wiem, że ich nie znosisz, ale tam przynajmniej...

– Pieprzyć to.

– To Kejari, Ilano. Nie jesteś tu bezpieczna. Żaden człowiek nie jest bezpieczny poza chronioną dzielnicą.

– „Chronioną dzielnicą”. Tymi *slumsami*. Istnieje powód, dla którego je opuściłam. Śmierdzą nędzą. – Zmarszczyła nos. – Nędzą i sikami.

– Tam jest bezpiecznie.

Nie umknęła mojej uwadze ironia tych słów. Byłam przecież pokryta krwią, gdy wracałam właśnie stamtąd.

– E tam. Bezpieczeństwo jest przereklamowane. Co to za życie? Chcesz się mnie pozbyć, kiedy najbardziej ekscytujące zdarzenie od dwóch stuleci ma zapukać do moich drzwi? Nie, kochana. Nic z tego.

Nie mogłam się denerwować. Wiedziałam, że Ilana może mnie nie posłuchać. Mimo to nie potrafiłam pozbyć się frustracji z głosu.

– Jesteś szalona. To tylko kilka miesięcy. A może nawet dni! Gdybyś odeszła stąd tylko na otwarcie...

– *Szalona!* – prychnęła. – Czy to *jego* słowa? Czy tak cię nazywa, kiedy masz zamiar zrobić coś poza jego kontrolą?

Wypuściłam powietrze przez zaciśnięte zęby. Tak, Vincent *nazwałby* mnie szaloną, jeśli nie chroniłabym siebie bez dobrego powodu. I miałby w tym rację.

Ludzka dzielnica może i była biedna, ale tam chociaż mieli nadzieję na ochronę. Natomiast tutaj? Nie miałam pojęcia, co spotka Ilanę i kogokolwiek innego ze śródmieścia, kiedy rozpocznie się Kejari. Zwłaszcza ten, który już był podpisany ich krwią.

Słyszałam różne historie o ludziach, których wykorzystano w tym turnieju. Nie byłam pewna, co było prawdą, a co ubarwieniem, ale to sprawiało, że przewracało mi się w żołądku. Czasem chciałam zapytać o to Vincenta, ale wiedziałam, że pomyśli, że martwię się o siebie. Nie chciałam, by martwił się o mnie bardziej niż teraz. Ponadto nie do końca był świadomy tego, jak bardzo z Ilaną zbliżyłyśmy się do siebie przez ostatnie kilka lat.

Wielu rzeczy Vincent nie wiedział. Na przykład o cząstkach mnie, które nie łączyły się z jego wizją odnośnie do mojego pochodzenia. Tak samo jak Ilana nigdy nie zrozumiałaby niektórych faktów dotyczących mojej osoby.

Mimo wszystko nie wiedziałam, co bym zrobiła bez nich. Nie miałam tu rodziny. Ktokolwiek był ze mną w domu w dniu, kiedy Vincent mnie znalazł, nie żył. Jeżeli

miałam pozostałych przy życiu krewnych, byli uwięzieni gdzieś, gdzie nie miałam dostępu – przynajmniej dopóki nie wygram Kejari. Ale miałam Vincenta i Ilanę, którzy stali się wszystkim, czego pragnęłabym od rodziny, nawet jeśli żadne z nich nie rozumiało mnie w pełni.

Teraz, kiedy możliwość stracenia Ilany stała się rzeczywistością, strach ścisnął mi serce i odmówił uwolnienia go.

– Ilano, proszę. – Mój głos był dziwnie napięty. – Opuść to miejsce, *proszę*.

Iłana złagodniała. Odłożyła cygaro do przepelnionej popielniczki i podeszła do mnie na tyle blisko, że mogłam policzyć zmarszczki wokół jej oczu. Musnęła mój policzek twardą skórą dłoni. Pachniała jak dym i zbyt intensywne różane perfumy. I jak krew.

– Jesteś słodka – powiedziała. – Ostra, ale słodka, choć nieco kwaśna. Tak jak... jak ananas.

Ku mojemu zaskoczeniu kąciki moich ust drgnęły.

– *Ananas?*

Co za bzdurne słowo. Znając ją, pewnie je wymyśliła.

– Jestem jednak zmęczona, słonko. Zmęczona życiem w ciągłym strachu. Opuściłam dzielnicę, ponieważ chciałam przekonać się, jak to jest mieszkać tutaj, i było to niesamowitą przygodą, tak jak się tego spodziewałam. Przebywając tutaj, codziennie ryzykuję życie. Tak jak i ty.

– Nie musisz podchodzić do tego nierozsądnie.

– Brak troski jest już uważany za bunt. Również doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Nawet jeśli poupychasz kolory w głąb swojej szafki. – Rzuciła wzrokiem na moje ubranie pokryte krwią. – Nawet jeśli ukryjesz to w cieniu alejek dzielnicy.

– Proszę, Ilano. Chociaż na tydzień, mimo że Kejari jeszcze się nie skończy. Zobacz. – Sięgnęłam po szal. – Weź tę krzykliwą rzecz i daj mi ją, kiedy wrócisz, a mogę nawet obiecać, że będę to nosić.

Milczała przez dłuższą chwilę, po czym odebrała jedwab i włożyła go do kieszeni.

– W porządku. Wyruszę rano.

Odetchnęłam z ulgą.

– Ale ty. Ty uparty szcurku... – Ponownie przysunęła dłonie do mojej twarzy i ścisnęła nimi moje policzki. – Uważaj na siebie. Nie będę prawić ci kazań o tym, do czego on cię zmusza...

Wyswobodziłam się z jej zaskakująco silnego uścisku.

– On mnie do niczego *nie* zmusza.

– E tam! – Odsunęłam się w porę, bo prychnięcie było tak gwałtowne, że razem ze słowami z jej ust poszybowały krople śliny. – Nie chcę widzieć, jak stajesz się jedną

z nich. To byłoby... – Zamilkła i dokładnie zbadła wzrokiem moją twarz. Fala niepokojąco silnego uczucia przemknęła przez jej twarz. – Byłoby to cholernie nudne.

Nie to chciała powiedzieć, byłam tego pewna. Miałyśmy taką relację. Cała surowa szczerłość i nieprzyjemna czułość były ukryte i nie rozmawiałyśmy o tym. Tak jak ja nie przyznałabym się, że brałam udział w Kejari, tak ona nie powiedziała by na głos, że się o mnie boi.

Mimo to przestraszyła mnie, będąc na granicy płaczu. Dopiero teraz zrozumiałam, że miała tylko mnie. Ja, w przeciwieństwie do niej, miałam jeszcze Vincenta, ale ona była sama.

Spojrzałam na zegar i zakląłam.

– Muszę iść – powiedziałam i wróciłam pod okno. – Nie zapij się na śmierć, starucho.

– Nie nabij się na ten kij ze swojej dupy – odparła, wycierając oczy. Jej wcześniejsza wrażliwość odeszła w zapomnienie.

Stara wariatka – pomyślałam z miłością.

Otworzyłam okno i pozwoliłam, by letni deszcz uderzył mnie w twarz. Nie planowałam się zatrzymywać, ale coś ciężkiego osiadło na końcu mojego języka – słowa, które powiedziałam na głos tylko komuś, kto na nie nie zasługiwał.

Ilana jednak już zniknęła w swojej sypialni. Przełknęłam to, co miałam zamiar powiedzieć, i ruszyłam w noc.



Mżawka szybko zmieniła się w ulewę. Typowe dla Domu Nocy. Vincent często żartował, w swój oschły, sardoniczny sposób, że ten kraj nigdy nie miał nic umiarkowanego. Słońce albo przypalało swoim gorącem, albo chowało się całkowicie za ciemnymi, czerwonoszarymi chmurami. Powietrze było jałowe i tak gorące, że omal paliło żywcem, lub wystarczająco zimne, by zmrozić stawy. Przez część czasu księżyc uciekał za mgłą, ale kiedy wychodził, świecił jak wypolerowane srebro, a jego światło było tak intensywne, że tworzyło wgłębienia i pagórki z piachu, które przypominały fale oceanu – a przynajmniej tak sobie te fale wyobrażałam.

W królestwie Zrodzonych z Nocy nie padało często, ale kiedy już zaczęło, to lało jak z cebra.

Gdy dotarłam do zamku, byłam przemoczona. Droga po ścianie budowli była zdradliwa, ponieważ każdy kamień był śliski, ale to nie był pierwszy raz, kiedy podróżowałam w deszczu, i na pewno nie ostatni. Kiedy w końcu weszłam do mojej komnaty sypialnej, znajdującej się wysoko nad ziemią, mięśnie płonęły z wysiłku.

Woda skapywała mi z włosów. Wycisnęłam ją, co spowodowało orkiestrę kropeł spadających na jedwabną ławę pod oknem, a następnie spojrzałam na nieboskłon. Temperatura była tak wysoka, że deszcz przywołał do miasta srebrzystą chmurę pary. Widok stąd był inny niż z dachu w dzielnicy ludzi. Ta różnica wynikała z glinianych

bloków i odcieni brązu oświetlanych przez księżyc. W sercu Sivrinaju – na terytorium Zrodzonych z Nocy – każda część krajobrazu obfitowała w królewską elegancję.

Moje okno wychodziło na symetryczne morze falistych krzywych. Zrodzony z Nocy inspirował się w projekcie miasta niebem i księżycem, stąd metalowe kopuły, polerowany granit czy srebro, które zdobiło witraże w kolorze indygo. Z miejsca, w którym stałam, światło księżyca i deszcz pieściły platynę. Ziemia była płaska, dzięki czemu nawet jeśli Sivrinaj było wielkim miastem, wciąż mogłam uchwycić wzrokiem wydmy za jego murami.

Nieśmiertelność obdarowała wampiry umiejętnością doprowadzenia do perfekcji sztuki mrocznego i niebezpiecznego piękna. Obiło mi się o uszy, że mieszkańcy Domu Cienia, po drugiej stronie Morza Kości Słoniowej, wybudowali swoje domy w taki sam sposób, jak tworzyli swoją broń – każdy zamek zawierał zestaw skomplikowanych spiczastych iglic, porośniętych krwawym bluszczem. Niektórzy twierdzili, że ich architektura była najbardziej wyrafinowana, choć nie wiedziałam, czy powiedzieliby to samo, gdyby ujrzeli Dom Nocy w ten sam sposób, w jaki ja go widziałam, z tego okna. Krajobraz był piękniejszy za dnia, kiedy tylko ja mogłam go podziwiać.

Ostrożnie zamknęłam okno i ledwie skończyłam je blokować, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Dwa stuknięcia, ciche, ale władcze.

Cholera.

Miałam szczęście, że nie pojawiłam się tutaj kilka minut później. Wychodzenie w nocy było ryzykowne, ale nie mogłam się powstrzymać. Nerwy mi na to nie pozwalały. Musiałam coś zrobić z rękami.

Szybko zdjęłam płaszcz i rzuciłam go w kąt na stosik innych ubrań, po czym narzuciłam na siebie szlafrok z myślą, że zakryję nim chociaż plamy krwi.

Pobiegłam na drugą stronę pokoju i otworzyłam drzwi. Vincent się nie wahał i wszedł do środka.

Ocecił wewnątrz zimnym spojrzeniem.

– Masz tu bałagan – powiedział.

Teraz wiedziałam, jak czuła się Ilana.

– Mam na głowie ważniejsze sprawy niż martwienie się o porządek.

– Utrzymanie porządku ma pozytywny wpływ na czysty umysł, Oraya.

Miałam dwadzieścia trzy lata, a on wciąż prawił mi takie kazania.

Dotknęłam czoła, jakby właśnie oznajmił coś, co miało zmienić bieg wszechświata.

– Szlag, naprawdę?

Srebrzyste oczy Vincenta się zwężyły.

– Jesteś bezczelną gówniarą, zmijko.

Największą miłość można było wyczuć w jego głosie wtedy, kiedy mnie obrażał. Możliwe, że zarówno Vincent, jak i Ilana ubierali uczucia w obraźliwe słowa. Tak bardzo się od siebie różnili, ale być może to miejsce nas wszystkich tak zmieniło. Nauczyło ukrywać miłość w klatce naszpikowanej kolcami.

Z jakiegoś powodu ta nagana sprawiła, że ścisnęło mnie w piersiach. Zabawne, że dopiero to spowodowało, że strach wyszedł na powierzchnię. *Bałam się*, nawet jeżeli nie chciałam o tym mówić. Vincent także się bał, zauważyłam to po nagłym zniknięciu uśmiechu, gdy na mnie spojrział.

Niektórzy pomyśleliby, że Vincent nie bał się niczego. Ja tak uważałam przez długi czas. Dorastałam, obserwując, jak rządził, jak zyskiwał pełny szacunek społeczeństwa, które nie szanowało tak naprawdę niczego.

Był moim ojcem tylko z nazwy. Prawdopodobnie w moich żyłach nie płynęły jego krew, magia czy nieśmiertelność. Ale miałam w sobie jego bezwzględność. Wyhodował ją we mnie, jeden cierń po drugim.

Mimo to z czasem nauczyłam się, że bycie bezlitosnym nie było tym samym co bycie nieustraszonym. Ciągle się bałam, tak jak Vincent. Mężczyzna, który nie bał się niczego, bał się o mnie – o swoją ludzką córkę, wychowaną w świecie zaprojektowanym tak, by ją zabić.

Do czasu rozpoczęcia Kejari – turnieju, który miał wszystko zmienić.

Do czasu, kiedy wygram i będę wolna.

Albo przegram i umrę.

Vincent mrugnął i oboje porozumieliliśmy się w ciszy. Zdecydowaliśmy się nie wypowiadać tych myśli na głos. Przyjrzał mi się od stóp do głów, jak gdyby dopiero teraz mnie zobaczył.

– Jesteś mokra.

– Wzięłam kąpiel.

– *Przed* treningiem?

– Musiałam się zrelaksować.

To była prawda. Postanowiłam jednak zrobić to w nieco inny sposób niż przez siedzenie w lawendowej wodzie.

Przez tę wymianę zdań omal nie przyznaliśmy się do zaakceptowania tego, co nas czekało. Vincent wykrzywił usta i przecesał dłonią platynowe włosy.

Coś go trapiło. Mogłam to być ja i nadchodzące próby albo...

Nie umiałam się powstrzymać i musiałam zadać to pytanie.

– Co? – zapytałam cicho. – Problemy z Rishanami?

Nie odpowiedział.

Ścisnęło mi żołądek.

– Czy z Domem Krwi?

A może z oboma?

Zadrżała mu szyja i pokręcił głową. Jednak ten ruch utwierdził mnie w przekonaniu, że moje podejrzenia się sprawdziły.

Chciałam zapytać o więcej, ale ręka Vincenta wylądowała na jego biodrze i zauważyłam, że przyniósł ze sobą rapier.

– Mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia. Zawsze będzie nowy wróg, o którego możemy się pomartwić, ale ty masz tylko dzisiejszą noc. Chodź.



Vincent był bezlitosnym instruktorem i tę cechę objawiał również jako skrupulatny i dokładny władca. Przyzwyczaiałam się do tego, ale tej nocy intensywność treningu mnie zaskoczyła. Nie pozwolił mi na przerwę pomiędzy ciosami. Stosował w pełni swoją broń, skrzydła, a nawet magię, którą rzadko ujawniał podczas naszych treningów. Zupełnie jakby chciał mi pokazać, jak by to było, gdyby król wampirów Zrodzonych z Nocy chciał mnie zabić.

Ale Vincent w rzeczywistości nigdy nie hamował się przy mnie. Nigdy nie zapominał pokazać, jak blisko mnie czaiła się śmierć, nawet wtedy, kiedy byłam dzieckiem. Spotykał się z zawahaniem z mojej strony za każdym razem, kiedy jego dłoń zatrzymywała się przy moim gardle – dwa palce przyciśnięte do mojej skóry niczym kły.

– Nie żyjesz – powiedział. – Jeszcze raz.

Tym razem nie pozwoliłam mu się zbliżyć do szyi. Moje mięśnie krzyczały, zmęczone poprzednim starciem, ale uniknęłam każdego ciosu, każdego chwytu, każde jego natarcie spotkało się z moim kontratakiem. W końcu, po niezliczonych męczących minutach, przycisnęłam go do ściany, celując w jego klatkę piersiową palcem, który miał odwzorowywać moją broń.

– Teraz ty nie żyjesz – wysapałam.

I dzięki Matce, bo nie przeżyłabym minuty dłużej tego pojedynku.

Kącik ust Vincenta uniósł się nieznacznie w wyrazie dumy.

– Mogłem użyć Asterisa.

Asteris – najrzadszy i najpotężniejszy magiczny dar pośród wampirów Zrodzonych z Nocy. Była to czysta energia, podobno pobierana z samych gwiazd, w formie czarnego oślepiającego światła, które potrafiło zabić w jednej chwili. Vincent w stosowaniu tej

magii był bezkonkurencyjny. Raz byłam świadkiem użycia przez niego czarnego światła, które zniszczyło budynek należący do buntowników z Rishan.

Vincent latami próbował nauczyć mnie władania magią. Potrafiłam wyprodukować kilka małych iskier, co było żalosne w porównaniu do śmiertelnej umiejętności wampira posługującego się magią – czy to z Domu Nocy, czy innego.

Przez moment sama myśl – ponowne przypomnienie sobie o tym, że byłam gorsza od wojowników, z którymi miałam się zmierzyć – przyprawiła mnie o zawroty głowy. Szybko jednak odepchnęłam tę niepewność na bok.

– Asteris na nic by ci się nie przydał, jeśli już bym cię zabiła.

– Byłabyś wystarczająco szybka? Zawsze miałaś problem z ciosem w serce.

Musisz pchnąć mocno, żeby przeszło przez mostek.

Wróciłam myślami do niechcianego wspomnienia.

– Już nie mam.

Wciąż przyciskałam palec do jego piersi. Nigdy nie byłam pewna, w którym momencie kończył się nasz trening, dlatego też nie wycofywałam się, dopóki nie padało hasło zamykające pojedynek. Znajdował się zaledwie kilka centymetrów ode mnie – kilka centymetrów od mojego gardła. Nigdy nie pozwoliłam żadnemu wampirowi zbliżyć się na taką odległość. Zapach mojej krwi był dla nich przytłaczający. Nawet jeśli wampir *chciał* się temu oprzeć – a rzadko się to działo – mógł nie powstrzymać się w porę.

Vincent nauczył mnie, żeby nigdy nikomu nie ufać. Nigdy się nie poddawać i zawsze strzec swojego serca.

Jeśli go nie posłuchałam, płaciłam za to ogromną cenę.

Ale nie z nim. Nigdy z nim. Zajmował się moimi ranami już tyle razy bez krztyny pokusy. Pilnował mnie, gdy spałam. Dbał o mnie podczas moich gorszych dni.

To ułatwiło mi życie. Spędziłam je przerażona, zawsze świadoma swojej słabości i uczucia bycia gorszą, ale przynajmniej miałam strefę bezpieczeństwa w jednej osobie.

Vincent zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

– W porządku. – Odsunął moją rękę.

Przeszłam na koniec areny i skrzywiłam się, gdy zaczęłam pocierać ranę na ramieniu, którą otworzył. Ledwie zainteresował się krwią.

– Kiedy tam będziesz, musisz być z tym ostrożniejsza – powiedział. – Mówię o krwawieniu.

Zmarszczyłam nos. O bogini, *naprawdę* musiał się martwić, jeśli mówił mi takie rzeczy.

– Wiem.

– Ostrożniejsza niż dotychczas, Orayo.

– Wiem.

Odwróciłam się do niego plecami i wzięłam łyk wody z manierki. Zaczęłam obserwować freski na ścianach – piękne i przerażające malowidła prezentujące wampiry wijące się w morzu krwi pod srebrnymi gwiazdami. Tego typu sztuka obejmowała całe pomieszczenie. Ta prywatna arena treningowa była zarezerwowana dla Vincenta i jego wojowników o najwyższej randze i była ozdobniejsza niż każde inne miejsce przeznaczone do plucia, krwi i potu. Podłogę wypełniał miękki piach z kości słoniowej, wymieniany co tydzień. Wokół okrągłych ścian pozbawionych okien rozciągały się freski – pojedynczy panoramiczny obraz śmierci i podboju.

Postacie przedstawione na malowidłach były wampirami z rodu Hiaj. Posiadały nietoperze skrzydła w odcieniach od bladobiałego do czarnego jak smoła. Dwieście lat temu te skrzydła byłyby pokryte pierzem, jak w przypadku wampirów Rishan, rywali Zrodzonych z Nocy, którzy bezustannie walczą o tron Domu Nocy. Od kiedy bogini Nyaxia stworzyła wampiry ponad dwa tysiące lat temu, albo i dawniej, te dwie sekty prowadziły nieustanną wojnę. Z każdą zmianą, każdym nowym władcą zasiadającym na tronie, freski się zmieniały – skrzydła były albo domalowywane, albo usuwane. I tak dziesiątki razy przez tysiąclecia.

Obejrzałam się przez ramię na Vincenta. Wystawił swoje skrzydła, co było rzadkością. Zwykle ukrywał je za pomocą magii, chyba że uczestniczył w jakimś dyplomatycznym wydarzeniu, które wymagało od niego ujawnienia swojej mocy Hiajów. Skrzydła były na tyle długie, że niemal muskały podłogę, i tak czarne, jakby światło przeniknęło mu przez skórę i zgasło na wieki. Bardziej intrygujące jednak były pasy czerwieni. Spływały po jego skrzydłach jak szkarłatne strumienie wody, by zbierać się na krawędziach i końcach. Gdy Vincent rozpościerał skrzydła, wyglądały, jakby były pokryte krwią, wyraźną na tyle, że była w stanie przedrzeć się przez największą ciemność.

Kolor czarny był rzadkością, ale nie był niespotykany. Czerwony jednak był unikatowy. Każdy spadkobierca Hiajów albo Rishan był naznaczony dwoma znamionami – czerwonym na skrzydłach i jeszcze jednym na ciele, które pojawiała się po śmierci poprzedniego władcy. Znamię Vincenta znajdowało się u podstawy jego gardła, tuż nad obojczykiem. Był nim ozdobny, przyciągający wzrok kształt przypominający księżyc w pełni i skrzydła. Zamykał się na jego szyi jak krwawiąca rana. Widziałam to znamię tylko kilka razy. Zazwyczaj ukrywał je pod wysokimi kołnierzami kurtek albo czarnym jedwabiem, ciasno zawiązanym wokół szyi.

Gdy byłam młodsza, zapytałam, dlaczego nie pokazuje tego częściej. Posłał mi wówczas poważne spojrzenie i stwierdził, że nierozważnym jest zostawiać odkryte gardło.

Taka odpowiedź nie powinna mnie dziwić. Vincent był doskonale świadomy tego, że na każdym kroku można było spotkać uzurpatorów, zarówno poza murami, jak i wewnątrz nich. Każdy nowy król – Hiaj czy Rishan – był koronowany na stosie trupów. On nie był wyjątkiem.

Odwróciłam się od malowidła, kiedy powiedział łagodnie:

– Zbliża się pełnia księżyca. Powinnaś mieć jeszcze kilka dni, ale może się to zacząć w każdej chwili. Musisz być przygotowana.

Upiłam kolejny łyk wody. Mimo to moje usta smakowały jak popiół.

– Wiem.

– Wszystko może być początkiem. Ona lubi, kiedy jest to... niespodziewane.

Ona. Matka nocy, cieni, krwi – matka wszystkich wampirów. Bogini Nyaxia.

W każdym momencie może rozpocząć hołd, który odbywał się raz na sto lat i który Dom Nocy odprawiał na jej cześć. Bestialski turniej z pięcioma próbami, trwający cztery miesiące i wyłaniający tylko jednego zwycięzcę. Turniej, który gwarantuje największą nagrodę, jaką poznał świat – jeden podarek od bogini we własnej osobie.

Wampiry z całego Obitraesu przybywają, by uczestniczyć w Kejari, kuszone obietnicą bogactwa bądź honoru. Dziesiątki najpotężniejszych wojowników ze wszystkich trzech domów – Domu Nocy, Domu Cienia i Domu Krwi – były gotowe umrzeć w pościgu o ten tytuł.

Włączając w to mnie.

Oni jednak walczyli o władzę. Ja walczyłam o przeżycie.

Odwróciłam się do Vincenta w tym samym momencie, kiedy on odwrócił się ku mnie. Zawsze był blady i jego skóra była niemal koloru jego srebrnych oczu, ale teraz zdawało się, że przybrała odcień chorowitej szarości.

Jego strach spowodował, że moje przerażenie stało się nie do wytrzymania, ale zwalczyłam je obietnicą. Nie. Trenowałam całe życie tylko po to. Przeżyję Kejari. Wygram.

Zupełnie jak zrobił to Vincent dwieście lat temu.

Odchrząknął i się wyprostował.

– Ubierz się w coś przyzwoitszego. Idziemy zobaczyć twoją konkurencję.



ROZDZIAŁ TRZECI

Vincent zapowiedział, że zostanie wydana uczta powitalna dla gości Domu Nocy, którzy przybyli przed rozpoczęciem Kejari. To jednak było niedomówienie. To wydarzenie nie było „uczta”, bardziej pokazem bezwstydnego, hucznego obżarstwa.

Czyż nie było to przyzwoite? Kejari odbywało się co sto lat, więc bycie gospodarzem takiego wydarzenia było dla Domu Nocy wielkim honorem. Podczas turnieju Sivrinaj witał gości z każdego zakątka Obitraesu, włączając w to trzy Domy. Było to ważne dyplomatyczne wydarzenie, zwłaszcza dla szlachciców z Domu Nocy i Domu Cienia. Nikt z Domu Krwi nie wydawał się zainteresowany taką wizytą – istniał powód, dla którego nikt ze Zrodzonych z Krwi nie został zaproszony na ucztę, ale Vincent nigdy nie zaprzepaściłby szansy pokazania się przed pozostałą społecznością wampirów.

Tak rzadko przychodziłam do tej części zamku, że zapomniałam, jak bardzo była czarująca. Sufit był wysoką kopułą z barwionego szkła, a złoczone gwiazdy zostały porozrzucane po błękitnym sklepieniu. Wpadające przez nie światło księżyca tańczyło wokół tłumu. Ustawiono mniej niż tuzin długich stołów, na których znajdowały się pozostałości tego, co jeszcze kilka godzin temu było urodzajną ucztą. Wampiry rozkoszowały się w wielu rodzajach pożywienia, choć krew – ludzka, wampirza czy zwierzęca – była konieczna do ich przetrwania. Jedzenie wciąż znajdowało się na

stołach, już dawno wystygłe, podczas gdy talerze i obrusy były pokryte przez wyschnięte krople krwi

Pomyślałam o ranach na szyi i nadgarstkach Ilany i zastanowiło mnie, które plamy pochodziły od jej krwi.

– Wszyscy już zjedli. – Vincent zaoferował mi swoje ramię, które przyjął. Szliśmy tak, że znajdowałam się pomiędzy ścianą a nim. Wszystko w tym postępowaniu było naturalne, ale wiedziałam, że była to przemyślana decyzja – podanie ramienia i moje ustawienie. Pierwsze uświadamiało zgromadzonym, że byłam jego córką. Drugie fizycznie chroniło mnie przed kimkolwiek, kto w napadzie szału mógłby podjąć decyzję, której by pożałował.

Vincent zazwyczaj nie pozwalał mi uczestniczyć w tego typu wydarzeniach, z wiadomych powodów. Wiedzieliśmy, że człowiek w sali pełnej głodnych wampirów był złym pomysłem. Kiedy jednak brałam udział w życiu wampirów, przyciągałam pełne odrazy spojrzenia. Dzisiaj nie było wyjątku. Kiedy Vincent wszedł, wszystkie oczy zwróciły się na niego, a następnie przeniosły się na moją osobę.

Zacisnęłam szczęki i się spięłam.

Wszystko było nie tak. Bycie na widoku. Możliwość zobaczenia tylu potencjalnych zagrożeń.

Po posiłku większość gości ruszyła w stronę parkietu, a pozostała setka albo i więcej zaczęła plotkować i popijać czerwone wino, a może i krew. Rozpoznałam kilka twarzy z dworu Vincenta, ale było również mnóstwo obcokrajowców. Przybysze z Domu Cienia nosili ciężkie dopasowane odzienie, z czego kobiety miały na sobie gorsety i przylegające do ciała aksamitne suknie. Natomiast mężczyźni preferowali sztywne, minimalistyczne marynarki, które bardzo różniły się od zwiewnego jedwabiu członków Domu Nocy. Zauważyłam także kilka nieznajomych postaci z Domu Nocy, ale żyjących poza obrębami śródmieścia, najpewniej w dzielnicach daleko na zachodzie lub na wyspach nad Morzem Kości należących również do Domu Nocy.

– Szukam bandaży. – Vincent pochylił się ku mnie. Tak ściszył głos, żeby nikt inny go nie usłyszał. – Niektórzy już przekazali swój dar krwi.

Dla Nyaxii, żeby potwierdzić swój udział w Kejari. Moi przeciwnicy.

– Lord Ravinthe. – Kiwnął głową w stronę popielatowłosego wampira, zaangażowanego w entuzjastyczną konwersację na drugim końcu sali.

Wychwyciłam wzrokiem coś białego na jego ręce, przesiąkniętą czarnoczerwoną cieczą tkaninę pokrywającą ranę.

– Walczyłem z nim dawno temu – powiedział Vincent. – Ma uszkodzone prawe kolano. Dobrze to ukrywa, ale bardzo mu doskwiera.

Kiwnęłam głową i uważnie zakodowałam tę informację, a Vincent kontynuował oprowadzanie mnie po pomieszczeniu. Możliwe, że dla kogoś, kto nie przywiązywał do tego wagi, wyglądaliśmy jak spacerująca para, ale z każdym krokiem wskazywał na kolejnych uczestników turnieju i przekazywał mi wszystko, co wiedział o ich pochodzeniu albo słabościach.

Szczupła, jasnowłosa Zrodzona z Cienia o ostrych rysach twarzy.

– Kiretta Thann. Spotkałem ją dawno temu. Jest słaba w szermierce, ale świetnie włada magią. Uważaj, o czym przy niej myślisz.

Wysoki mężczyzna przy kości, którego wzrok momentalnie mnie odnalazł, jak tylko weszliśmy do tego pomieszczenia.

– Biron Imanti. Najgorszy żądny krwi, jakiego kiedykolwiek spotkałem. – Warga Vincenta uniosła się w wyrazie obrzydzenia. – Będzie na ciebie polować, ale to będzie głupota z jego strony, jako że łatwo możesz to wykorzystać przeciwko niemu.

Skończyliśmy jedno okrążenie i rozpoczęliśmy kolejne.

– Widziałem jeszcze kilku. Ibrihima Caina oraz...

– Ibrihim?

Brew Vincenta drgnęła.

– Wielu weźmie udział w Kejari tylko dlatego, że nie mieli innego wyjścia.

Odnalazłam Ibrihima po drugiej stronie. Był młodym wampirem, niewiele starszym ode mnie, o niecodziennym potulnym zachowaniu. Jak gdyby wyczuł mój wzrok i spojrzał na mnie spod kręconej czarnej czupryny. Posłał mi słaby uśmiech, który ukazał puste dziąsła pozbawione kłów. Obok znajdowała się jego matka – kobieta tak agresywna, jak jej syn był cichy. Była odpowiedzialna za jego rany.

Była to historia zbyt powszechna, żeby nazwać ją tragiczną. Około dziesięciu lat temu, kiedy Ibrihim wchodził w dorosłość, jego rodzice przycisnęli go i pozbawili uzębienia, a następnie uszkodzili jego lewą nogę. Miałam wtedy może trzynaście lat. Twarz Ibrihima była spuchnięta. Nie do rozpoznania. Byłam przerażona i nie rozumiałam, dlaczego Vincent nie odczuwa jak ja.

Nie rozumiałam wówczas, że wampiry żyły w ciągłym strachu przed własną rodziną. Nieśmiertelność zmieniła dziedziczenie w krwawy biznes. Nawet Vincent zamordował rodziców i trójkę rodzeństwa, by uzyskać swój tytuł. Wampiry zabijały rodziców w celu zdobycia władzy, a następnie okaleczały swoje potomstwo, by to nie dążyło do tego samego. Satysfakcjonowało to ich ego w teraźniejszości i zabezpieczało ich przyszłość. Ich ród będzie się rozwijał, ale dopiero, gdy będą na to gotowe.

Kejari da przynajmniej Ibrihimowi szansę odzyskania godności albo wampir zginie, próbując ją odzyskać. To jednak wciąż...

– Chyba nie uważa, że ma szansę wygrać? – mruknęłam.

Vincent zerknął na mnie ukradkiem.

– Zapewne wszyscy tutaj myślą podobnie jak ty.

Nie mylił się.

Otoczyła nas przytłaczająca chmura liliowego zapachu.

– Tu jesteś, panie. Zniknąłeś, zaczynałam się martwić.

Odwróciliśmy się. Jesmine podeszła do nas i zarzuciła falę gładkich brązowych włosów za odsłonięte ramię. Była ubrana w bogatą czerwoną suknię przylegającą do jej bujnego ciała. W przeciwieństwie do większości Hiajów obecnych tutaj odsłoniła swoje popielate skrzydła. Suknię miała tak nisko skrojoną na plecach, by szkarłat materiału mógł malowniczo je obramować. Jej strój odsłaniał w znacznym stopniu również jej dekolt i tym samym cętkowaną białą bliznę, która ciągnęła się ku górze od jej mostka.

Nigdy nie wstydziła się eksponować ani dekoltu, ani blizny. Wcale jej się nie dziwiłam. Jej dekolt był obiektywnie imponujący, a blizna miała własną historię. Podobno Jesmine przeżyła kołkowanie. Na jej miejscu też dzień w dzień obnosiłabym się z taką pamiątką.

Kąciki ust Vincenta drgnęły.

– Jak wiesz, moja praca nigdy się nie kończy.

Jesmine uniosła karmazynową szklanę.

– Jak najbardziej – zamruczała.

Niech mnie ziemia pochłonie.

Nie byłam pewna, co powinnam sądzić o nowo mianowanej dowódczyni straży Vincenta. Rzadkością było osiągnięcie przez kobietę w Domu Nocy takiej pozycji, na którą awansowały jedynie trzy kobiety na przestrzeni ostatniego tysiąclecia, i szanowałam tę decyzję. Byłam jednak trenowana całe moje życie, by nie ufać. Poprzednim dowódcą straży był chudy i pokryty bliznami Thion, który służył Vincentowi przez dwieście lat. Nie lubiłam go, ale przynajmniej wiedziałam, że był godny zaufania.

Jednak kiedy pewnego dnia zachorował i zmarł, jego najwyższa generał, Jesmine, stała się naturalnym wyborem, by go zastąpić. Nic do niej nie miałam, ale nie znałam jej i dlatego też jej nie ufałam.

Może dbałam tylko o swoje terytorium. Vincent zdawał się ją lubić.

Nachylił się ku niej.

– Wyglądasz ślicznie – mruknął.

To takie dla niej typowe.

Nie mogłam powstrzymać cichego prychnięcia. Na ten dźwięk ametystowe oczy Jesmine przeniosły się na mnie. Była na tyle nowa, że postrzegała mnie bardziej jako coś interesującego niż irytującego, w przeciwieństwie do innych członków prywatnej grupki Vincenta.

Powoli oceniła wzrokiem moje ciało. Chłonęła moją postawę i skórzane spodnie, a następnie upijała się rysami twarzy. Gdybym jej nie znała, pomyślałabym, że jest lubieżna, co byłoby nawet pochlebiające, jeśli nie byłaby to oznaka zainteresowania moim gardłem.

– Dobry wieczór, Orayo.

– Witaj, Jesmine.

Nozdrza jej drgnęły – ledwo zauważalny ruch, ale dostrzegłam go natychmiast. Cofnęłam się i położyłam dłoń na sztylcie. Vincent również to zauważył i z gracją przemieścił się tak, by znaleźć się pomiędzy nami.

– Poproszę o nowinki na temat Domu Krwi – powiedział do niej. Rzucił mi przy tym spojrzeńie mówiące, że mam już odejść.

Zawróciłam ku drzwiom i oddaliłam się od tłumu.

Znalazłam się prawie w odpowiedniej odległości od gości imprezy, by móc swobodniej odetchnąć. Prawie.

Gdy jesteś młody, strach jest męczący. Jego obecność pokrywa mgłą twój umysł i zmysły. Teraz odczułam, że bałam się przez tak długi okres, tak nieustannie, że była to dla mnie tylko kolejna cecha ciała, którą musiałam uregulować – rytm serca, oddech, pot, mięśnie. Latami uczyłam się, jak oddzielić fizyczność od uczuć.

Gorzki smak zazdrości pozostał mi na języku, kiedy oparłam się o framugę i zaczęłam obserwować imprezowiczów. Szczególną uwagą obdarzyłam tych, których Vincent wymienił jako uczestników Kejari. Z wyjątkiem Ibrihima, który siedział cicho przy stole, większość wydawała się beztroska – tańczyli, pili i flirtowali póki młoda noc. Czy gdy nadejdzie świt, to zasną głębokim snem w ramionach jednego albo trzech partnerów i nie będą się zastanawiać, czy przeżyją wystarczająco długo, by się obudzić?

A może wiedzą już, jak to jest leżeć z oczami utkwionymi w sufit ze świadomością zbliżającej się ku nim bogini śmierci?

Spojrzałam na drugi koniec sali.

Postać była tak nieruchoma, że niemal ją przegapiłam. Coś jednak było w niej dziwnego i musiałam się na niej zatrzymać, nawet jeśli na początku nie wiedziałam dlaczego. Po kilku sekundach obserwacji zrozumiałam, że to nie była jedna rzecz, ale kilka.

Stał plecami do mnie po drugiej stronie sali balowej, daleko od rozpusty panującej na parkiecie. Przyglądał się jednemu z obrazów, które zdobiły ściany. Nie byłam w stanie dostrzec szczegółów z tej odległości, ale doskonale znałam to dzieło sztuki. Było najmniejsze w sali, płótno było wąskie i długie z plamkami, które na górze w odcieniu indygo tworzyły gwiazdy. Im niżej, tym kolory ciemniały, aż do osiągnięcia głębokiej czerwieni. Obraz przedstawiał samotną postać: wampira z rodu Rishan, spadającego i w połowie drogi ku swojej śmierci zastygłego w centrum malowidła. Jego nagie ciało było prawie w pełni zakryte czarnymi opierzonymi skrzydłami, a jedną rękę wyciągał przed siebie i z desperacją sięgał ku czemuś, co tylko on mógł widzieć albo czego po prostu my nie byliśmy w stanie dostrzec.

Po przejściu władzy przez Hiajów tylko kilka obrazów powstałych z ręki Rishan pozostało w zamku. Większość została albo zniszczona, albo przemalowana tak, by przedstawiała wampiry z rodu Hiajów. Nie wiedziałam, dlaczego ten przetrwał. Być może zachowano go dlatego, że prezentował porażkę Rishana spadającego w otchłań piekieł i nawet niebiosa, które wzywał, mu nie pomogły.

To dzieło nie przyciągało zbyt dużej uwagi w porównaniu do majestatycznych malowideł sąsiadujących z nim – świętowanie krwawej sprawiedliwości lub wielkiego zwycięstwa. Było ono ciche. Smutne. Gdy zobaczyłam je po raz pierwszy jako dziecko, ścisnęło mnie w klatce piersiowej. Wiedziałam, jak to jest być słabym, a ten jeden upadły Rishan, kołysany skrzydłami, które nie potrafiły posłać go z powrotem w powietrze, sięgający po wybawcę, którego dosięgnąć nie mógł... To była jedyna wskazówka, którą widziałam i która potwierdzała, że wampiry mogły borykać się z własną słabością.

Możliwe, że dlatego zainteresował mnie ten mężczyzna, ponieważ patrzył na *ten* obraz, który nie przyciągnął uwagi nikogo innego. Był wysoki – najpewniej wyższy niż większość wampirów – i szeroki w ramionach. Miał na sobie purpurową marynarkę, przyciętą tuż przy jego korpusie, oraz brązową szarfę przewiazaną w pasie. To również było dziwne. Styl ten był podobny do jedwabiów, które nosiły inne wampiry Zrodzone z Nocy, ale cięcie było zbyt ostre, a kontrast za odważny. Włosy miał ciemnoczerwone, niemal czarne, opadające na ramiona burzliwymi falami. Niespotykana długość, rada Domu Nocy nie rekomendowała ani puszczonej luźno długich włosów, ani bardzo krótkich fryzur.

Mogłabym policzyć na palcach jednej dłoni liczbę wampirów Zrodzonych z Nocy spoza Sivrinaju, które spotkałam. Może poza murami królestwa styl ubierania się i bycia miały inny, ale wciąż...

Zerknął przez ramię, prosto na mnie. Jego oczy były koloru rdzawoczerwonego, wystarczająco wyrazistego, by zauważyć go z przeciwnej strony sali. Czaiła się w nich

ciekawość. Mimo to intensywność tego spojrzenia mnie przytłoczyła.

Coś było nie tak. Coś...

– Próbowалаś tego?

Wzdrygnęłam się.

Nie usłyszałam, kiedy kobieta się zbliżyła, co było zawstydzające i niebezpieczne. Była wysoka i smukła, z piegami rozsypanymi po brązowej skórze. Oczy miała duże i ciemne, a jej głowę zdobiły krótkie czarne loki. Uśmiechnęła się i wyciągnęła ku mnie mięsny pasztecik ociekający różowymi sokami, które skapywały na jej palce.

– To jest przepyszne.

Nie przepadałam za słowem „przepyszne”, jeśli padało z ust wampirów, gdy stały tak blisko mnie. Cofnęłam się o dwa kroki.

– Nie trzeba.

– Och, nie wiesz, co tracisz. To...

– Oraya.

Vincent nigdy nie podnosił głosu. Był wystarczająco silny, by dotrzeć wszędzie w każdym pomieszczeniu. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam go pod łukowatym wejściem prowadzącym do sali balowej. Kiwnął głową w stronę holu, co definitywnie oznaczało, że czas się zbierać.

Nie musiał mi tego powtarzać. Nie zaprzętałam sobie głowy pożegnaniem kobiety i pobiegłam za nim, wdzięczna, że mogłam w końcu opuścić ten dół pełen szponów i zębów.

Zanim jednak wyszłam z sali, przyłapałam się na tym, że rzuciłam ostatnie spojrzenie na obraz. Mężczyzna zniknął, a upadły Rishan sięgał w pustą przestrzeń, ponownie opuszczony.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Nigdy nie piłam. Wampirzy alkohol był niezwykle silny dla ludzi, poza tym zbyt niebezpieczne było dla mnie ograniczenie zmysłów. Vincent rzadko pił, możliwe, że z tych samych powodów co ja. Dlatego też byłam zaskoczona, kiedy przyniósł do mojej komnaty wino. Wzięliśmy kilka małych łyków, po czym odstawiliśmy kieliszki. Siedzieliśmy w ciszy i słuchaliśmy trzaskania ognia.

W końcu Vincent się odezwał.

– Myślę, że jesteś przygotowana na tyle, na ile jest to możliwe.

Brzmiał, jakby sam siebie próbował do tego przekonać.

– Inni nie potraktują cię poważnie – kontynuował. – Wykorzystaj to. To potężna broń.

Miał rację. Już dawno nauczyłam się, że moją największą bronią była słabość. Prawie każdej nocy wykorzystywałam to do zabijania, w slumsach. Teraz jednak nie czułam, by to wystarczyło.

Z trudem przełknęłam ślinę. Obserwowałam ojca, jak wpatrywał się w ogień, którego odbicie tańczyło po jego bladej twarzy o ostrych rysach. Czy denerwował się tak, kiedy oferował siebie podczas własnego Kejari?

– Czy to zrobiłeś? – zapytałam. – Sprawileś, że nie potraktowali cię poważnie?

Zamrugał, zaskoczony. Rzadko pytałam go o Kejari. Generalnie rzadko pytałam go o jego przeszłość. Być może ten łyk wina albo moja nieuchronnie zbliżająca się potencjalna śmierć mnie ośmieliły.

– Tak – odparł po chwili. – Prawdopodobnie dlatego też wygrałem.

Teraz wydawało się to śmieszne, że Vincent kiedykolwiek był przez kogoś potraktowany niepoważnie. Ale dwieście lat temu był młodym, mało znaczącym szlachcicem z Hiajów. Wówczas Dom Nocy był pod panowaniem Rishan i miało tak pozostać przez kolejne stulecia.

– Stresowałeś się?

– Nie. Wiedziałem, co mam zrobić.

Na mój wyraźny sceptycyzm uniósł jedno ramię, niemal w wyrazie obojętności.

– Dobra – przyznał. – Stresowałem się. Wiedziałem jednak, że Kejari było moją jedyną drogą, bym mógł osiągnąć życie godne zapamiętania. Śmierć nie jest straszna, jeżeli waży się ją z nieistotną egzystencją.

Nieistotna egzystencja.

Te słowa uderzyły mnie wyjątkowo mocno. Jakie inne życie miałyby być bardziej nieistotne niż to? Życie w ciągłym strachu, skażone własną krwią i moją ludzką słabością? Nie mogłabym być czymś takim, walczącym tak mocno, by przeżyć, tak bym nie mogła *nic* więcej zrobić. Być czymś wartościowym dla kogoś, kto ma tylko mnie.

Zacisnęłam mocno szczęki, aż zadrżały. Złapałam kieliszek i wzięłam kolejny łyk wina, aby czymś zająć ręce. Czułam na sobie spojrzenie Vincenta. Czułam tę łagodność jego wzroku.

– Nie musisz tego robić, zmiłko – powiedział. – Dopiero teraz zrozumiałem, że zapewne nigdy ci o tym nie mówiłem.

To byłoby kłamstwo, gdybym miała powiedzieć, że nie kusila mnie ucieczka – że nie chciałam się schować w przestrzeni pomiędzy szafką a ścianą, kiedy byłam małym dzieckiem. Część mnie dalej cały czas się chowała, gdyż nigdy nie będę niczym innym jak zdobyczą.

Nie, to nie było istotne życie. To w ogóle nie było życie.

– Nie wycofam się – powiedziałam.

Spuściłam wzrok na swoją dłoń, na delikatny srebrny pierścionek na małym palcu prawej ręki. Zwykła obrączka z czarnym diamentem tak małym, że nie był on większy od szerokości samej obrączki.

Miałam go w kieszeni, kiedy Vincent mnie znalazł lata temu. Domyśliłam się, że pierścionek należał do mojej matki. Być może był bezużytecznym drobiazgiem. Pewnie nigdy się tego nie dowiem.

Bezmyślnie potarłam go palcem. Nawet ten drobny ruch nie umknął uwadze Vincenta.

– Odnalazłbym ich dla ciebie, gdybym mógł – powiedział. – Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Serce zabiło mi mocniej. Nie lubiłam otwarcie przyznawać się do własnych nadziei. Sprawiało to, że czułam się... głupio. Dziecinnie. A jeszcze dziecinniej, gdy Vincent wracał do nich na głos.

– Wiem.

– Gdyby kiedyś trafiła się jakaś okazja, gdyby trafił się bunt...

– Vincent, wiem. Wiem, że nie możesz tam pójść. – Wstałam i zmarszczyłam brwi. Zwrócił oczy na palenisko, unikając mojego wzroku.

To było bardzo dziwne zobaczyć u Vincenta coś na kształt winy.

Dwadzieścia lat temu Vincent wyciągnął mnie spod gruzów podczas strasznego buntu Rishan. Miasto, które opuściłam – a raczej to, co z niego pozostało – znajdowało się na ich terytorium. Jedynym powodem, dla którego Vincent wtedy wszedł na ten teren, był bunt, i to on go do tego zobowiązał, ale teraz? Tamten teren był chroniony przez Nyaxię. Król Hiajów poza okresem wojennym nie mógł przekraczać granicy pomiędzy klanami i mimo że nazywanie tego wiecznego spięcia „pokojem” było niedorzeczne, ojciec nie miał żadnej rozsądnej wymówki, by ich najechać i odnaleźć moją rodzinę.

Zakładając, że ktoś z nich przeżył. Najpewniej nie. Ktokolwiek znajdował się w domu, gdy Vincent mnie znalazł, nie przeżył. Ale czy byli tam inni? Czy ktoś mnie szukał?

Znałam logiczną odpowiedź na to pytanie. Ludzkie życie było takie kruche, a jednak nie powstrzymało to mrocznych partii mojego umysłu od wędrówki. Od zastanawiania się, gdzie byli. Zastanawiania się, jak cierpieli, czy ktoś z nich mnie pamiętał.

Ja ich nie pamiętałam. Może dlatego tak bardzo za nimi tęskniłam. Marzyć można, o czym się chce, i możliwe, że dwunastoletnia wersja mnie samej potrzebowała ich uratować, by w końcu wypełnić tę lukę i uczynić mnie pełną.

– Wkrótce – mruknął Vincent. – Wkrótce będziesz wystarczająco silna, by działać.

Wkrótce.

Nie, Vincent nie mógł nic zdziałać, ale ja mogłam, jeśli byłabym czymś silniejszym niż człowiek. Musiałabym być silniejsza nawet od większości wampirów.

Mogłabym to zrobić, jeżeli byłabym tak silna jak Vincent.

To byłoby moje życzenie skierowane do Nyaxii, jeśli wygrałabym Kejari: zostać Coriatae Vincenta, co oznaczało związaną z jego sercem. Więź Coriatis była czymś potężnym – niemal legendarnym – i została nadana niewiele razy na przestrzeni wieków oraz mogła zostać wytworzona osobiście przez Nyaxię. Pozbawiłoby mnie to mojej ludzkiej natury poprzez zmianę w wampirzycę odporną na Przemianę, co

kończyło się śmiercią w więcej niż pięćdziesięciu procentach przypadków. Proces ten połączyłby również moją duszę z duszą Vincenta, jego moc stałaby się moją, a moja jego. Nie żebym miała mu wiele do zaoferowania. To był dowód jego miłości do mnie. Że w ogóle był chętny podarować mi taki prezent.

Jako jego Coriatae byłabym wystarczająco silna, by uratować rodzinę, która mnie poczęła, i zostać prawowitą córką mężczyzny, który mnie wychował. Byłabym jedną z najpotężniejszych osób w Domu Nocy. Jedną z najpotężniejszych osób na świecie.

I nikt nigdy więcej by mnie nie znieważył.

– Wkrótce – przyznałam.

Posłał mi słaby uśmiech, następnie wstał.

– Jesteś gotowa?

– Tak. – Jednak przez to słowo wyszło mi gardło.

Próbowałam modlić się do Nyaxii wiele razy, przez lata. Nigdy nie czułam powiązania, może dlatego, że jako człowiek nie byłam jej prawdziwym dzieckiem. Jednak kiedy Vincent przyniósł miskę i sztylet wyłożony klejnotami, kiedy przeciął moją rękę i sprawił, że moja ludzka krew spłynęła do kutego złota, zjeżyły mi się włoski na karku. Vincent szeptał modlitwy w starożytnym języku bogów, a kciukiem przyciskał moją ranę, by krew kropla po kropli skapywała do ofiary.

Spojrzał w górę i napotkał mój wzrok.

– Nyaxio, Matko Wygłodniałej Ciemności, Łonie Nocy, Cienia, Krwi. Oferuję ci Orayę Zrodzoną z Nocy. Jest córką moją z serca mojego, tak jak moje serce uczyniło mnie twoim synem. Jej obecność w Kejari jest największym darem, jaki kiedykolwiek ci zaoferuję. – Najprawdopodobniej tylko wyobraziłam sobie, że jego głos się obniżył, choć odrobinę. – Zachowaj to być może do jej zwycięstwa.

Szlag. Nie spodziewałam się, że będzie to takie trudne.

Nie, nie byłam w żadnym stopniu wielbicielką. Teraz jednak czułam obecność bogini odbierającej ofiarę mojej krwi i obiecującej mi tylko więcej krwi w zamian. Zastanawiałam się, czy będzie tylko brała i brała, i brała, aż moje biedne żyły śmiertelniczki nie będą miały już nic więcej do zaoferowania.

Słowa, które miały spętać mój los, zawisły w powietrzu jak dym.

– Oferuję siebie tobie, Nyaxio. Oferuję ci moją krew, moje ostrze, moje ciało. Wezmę udział w Kejari. Podaruję ci moje zwycięstwo albo śmierć.

Na koniec pieczętujące wszystko słowa:

– *Aja saraeta.*

Weź moją prawdę.

– *Aja saraeta* – powtórzył Vincent jak echo. Cały czas nie spuszczał ze mnie wzroku.

Kap, kap, kap. Moja krew powoli upływała.



Prawdopodobnie tylko dzięki tym niewielkim łykom wina byłam w stanie zasnąć. Ostatecznie nadszedł świt i Vincent mnie zostawił. Położyłam się na łóżku i wpatrywałam się w gwiazdy namalowane na moim suficie. Rana na ręce swędziała. Minie pewnie kolejne kilka dni, zanim rozpocznie się Kejari, ale moja ofiara nagle to urealniła, jak nigdy wcześniej.

Słońce ponownie zaczęło zachodzić i dopiero wtedy zmęczenie zamknęło mi oczy. Broń położyłam blisko siebie. Tak na wszelki wypadek.

Gdy w końcu zasnęłam, nerwowa i niespokojna, śniłam o bezpieczeństwie.

Mało co pamiętałam z mojego poprzedniego życia, ale sny spełniały swoją funkcję doskonale, uzupełniając wspomnienia. Przekazywały plamy doznań, jak zbyt rozwodnione farby. Domek z gliny ze skrzypiącą podłogą. Uścisk silnych ramion, kościsty policzek i zapach brudu i potu. Bezkrwiste jedzenie – chorowicie słodkie, z brakiem posmaku żelaza – rozpadające się nad moim językiem.

Śniłam o zmęczonym głosie, który czytał mi opowieść i zapewniał, że będzie ona mieć szczęśliwe zakończenie, bo nie chciałam słyszeć o żadnym innym.

Nienawidziłam tych snów. Łatwiej było nie pamiętać wspomnień i ich zakończenia, które zawsze było takie samo.

Światło księżyca wnikało przez szczelnie zamknięte okna. Gdy przybyły wampiry, skrzydło w skrzydło wymazało smugi srebra.

Dwa inne ciała wypełzły z łóżek, by spojrzeć w niebo. Ja za bardzo się bałam. Zakryłam się kocami.

Zgaś ogień, szybko – syknęła kobieta. *Zanim...*

Skrzyp. Skrzyp. SKRZYP.

Zacisnęłam powieki, kiedy rozległy się krzyki z bardzo daleka. Zbliżały się nieuchronnie.

Gdy glina wokół mnie zaczęła się trząść, podłogę pękać, a ściany opadać, kobieta krzyczała, krzyczała, krzyczała...

SKRZYP.



SKRZYP.

Obudził mnie krzyk. Moje uszy nie mogły odróżnić głosów, nie docierało do nich, kiedy skończył się sen, a kiedy nastąpił powrót do rzeczywistości.

Otworzyłam oczy i napotkałam nieprzeniknioną ciemność. Zupełną ciemność, tak gęstą, że zaczęła mnie dusić. Moje ręce wystrzeliły przede mnie, by chwycić pustkę.

Moją pierwszą zdezorientowaną myślą było: *Dlaczego zgasły moje lampiony? Nigdy ich nie gaszę.*

Następnie zbyt wolno zorientowałam się, że nie jestem w swoim pokoju. Woń pleśni i krwi oparzyła mi nozdrza. Dłonie przycisnęłam do ziemi. Twardej, zakurzonej płytki.

Do mojego mózgu dotarło bolesne przypomnienie o świeżej ranie. Zgroza wzrosła, kiedy wszystko sobie w nim poukładałam.

Nie. To było za wcześnie. Powinnam mieć jeszcze kilka dni, powinnam mieć...

Wspomnienie głosu Vincenta przebiło się przez moje myśli:

Może się to zacząć w każdej chwili. Ona lubi, kiedy jest to niespodziewane.

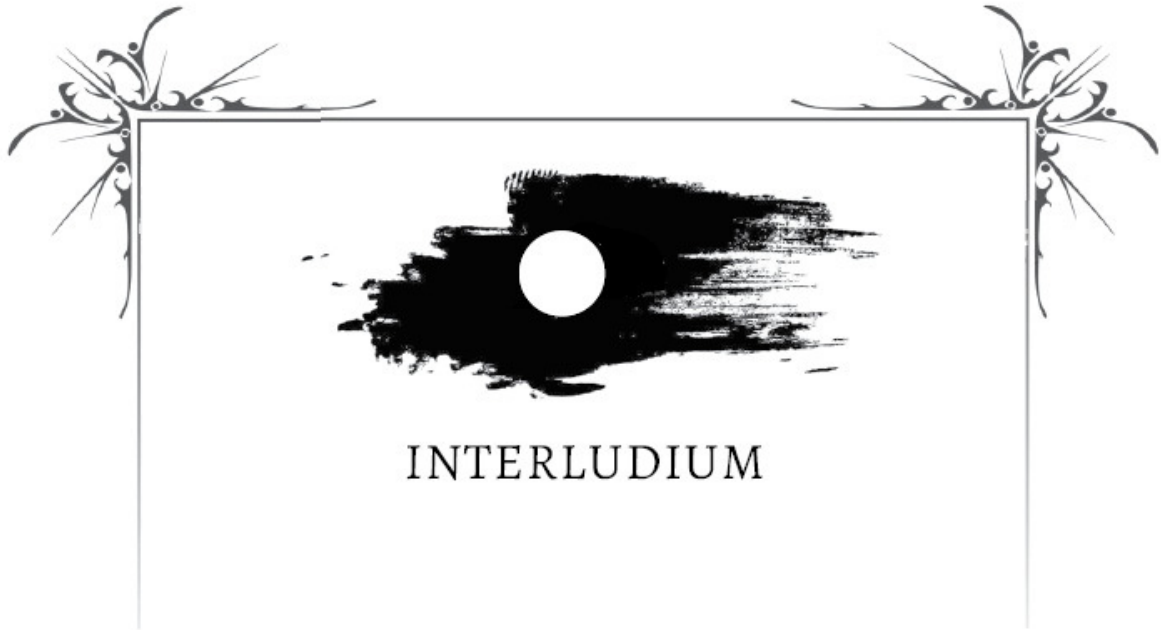
Podniosłam się do pionu. Ogarnęła mnie panika, ale ją zdusiłam. Nie, nie mogłam sobie pozwolić na panikę, ponieważ to było to.

To było to.

Rozpoczęło się Kejari.



CZEŚĆ DRUGA
PEŁNIA
KSIĘZYCA



Dziewczynka nie mówiła już od kilku dni. Król Domu Nocy dał jej pokój tuż obok swojego, w najbardziej odosobnionej i chronionej części zamku. Wszystko w tym miejscu ją przytłaczało. Sypialnię w domu dzieliła z bratem i siostrą, jej łóżko było maleńkie, stało pod łózkami należącymi do jej rodzeństwa. Tutaj podłogi nie były ciepłą i szorstką gliną, tylko twardymi, mozaikowymi płytkami, które odmrażały jej palce. Wszystko było takie duże. Samo łóżko było wielkości jej pokoju w domu.

Co więcej, tutaj wszędzie były potwory.

Wcisnęła swoje ciało w kąt, pomiędzy szafkę a ścianę, i nie chciała się stąd ruszać.

Król Domu Nocy siedział w fotelu po drugiej stronie komnaty i czytał. Rzadko wychodził i nigdy nie zwracał na nią uwagi. Dziewczynka opuszczała kryjówkę tylko wtedy, kiedy go nie było, w celu skorzystania z toalety lub by skubnąć kilka kawałków zostawionego dla niej jedzenia. Gdy tylko słyszała jego kroki dochodzące z korytarza, wracała do swojego kącika.

Minął tydzień.

Następnie kolejny.

I kolejny.

W końcu, kiedy pełny księżyc ponownie rozjaśnił niebo, dziecko, walcząc z napadami głodu, wypęzło ze swojego schronienia w kierunku talerza z chlebem, który znajdował

się na stole. Jej spojrzenie, przywodzące na myśl srebrne monety, cały czas było utkwione w królu, nawet kiedy małe palce zamknęły się na chlebie i jadła go powoli, nieśmiało, a przy tym się cofała.

Nie drgnął mu żaden mięsień. Tylko oczy przesunęły się za nią i na niej pozostały. To wystarczyło, że wcisnęła się głębiej w swój kąt.

Zaśmiał się łagodnie.

– Nie czujesz się tutaj bezpieczna, zmijko?

Dziewczynka przestała przeżuwać, ale nie odpowiedziała.

Król odłożył delikatnie swoją książkę.

– Dobrze. Nie jesteś bezpieczna ani w tym zamku, ani w tym pokoju. Jesteś zdobyczą w świecie drapieżników.

Zbliżył się.

– Nigdy cię nie skrzywdzę – kontynuował ciepło. – Jestem jednak jedynym, który złoży tę obietnicę i jej dotrzyma. Przy mnie nigdy nie odczujesz fałszywego bezpieczeństwa i nie usłyszysz kłamstw. Ale nauczę cię, jak przeżyć w tym świecie z twoimi zębami. – Uśmiechnął się i po raz pierwszy pokazał pełen zestaw ostrych kłów, które z pewnością były powodem śmierci setek.

Dziewczynka powinna się przerazić tym widokiem, jednak po raz pierwszy od miesiąca poczuła się... bezpieczna.

– Może i twoje nie są tak ostre jak moje – mówił – ale wciąż mogą zabić, jeśli użyje się odpowiedniej siły.

Pomimo młodego wieku zrozumiała, co jej oferował. Aby żyć w takim świecie jak ten, trzeba było wcześniej zacząć się uczyć przetrwania.

– Uczynisz mi ten honor i zdradzisz mi swoje imię?

W tym momencie dziecko przemówiło.

– Oraya.

– Miło mi cię poznać, Orayo. – Wstał i tym razem nie uciekła. Wyciągnął ku niej rękę.
– Jestem Vincent.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Zmusiłam się do uspokojenia oddechu. Panika przyspieszała tętno, co oznaczało szybszy przepływ krwi. Szybszy przepływ krwi z kolei oznaczał, że stałabym się większą zdobyczą, niż byłam dotychczas.

Magia Nyaxii była potężna i niezrozumiała. Mogła nas przenieść, gdzie tylko chciała. Wciąż kręciło mi się w głowie, a wokół siebie widziałam wszystko jak przez mgłę. Z trudem oceniłam swoje położenie. Czułam się, jakbym była pod wpływem narkotyków.

Skup się na swoich zmysłach, Oraya.

Głos w mojej głowie należał do Vincenta.

Zapach – krew i pleśń. Jeśli turniej się rozpoczął, musiałam się znajdować w Księżycowym Pałacu. Przycisnęłam dłonie do podłogi. Duża ilość kurzu i pyłu przylgnęła do mojej skóry. Księżycowy Pałac istniał jedynie dla tego turnieju. Nikt w nim nie był od stu lat.

Nikt nie mógł przekroczyć murów tego miejsca podczas Kejari, ale badałam je wiele razy, z zewnątrz. Musiałam iść wyżej. Najwyższa iglica była pokryta oknami. Żaden wampir nie zostanie tam złapany, gdy tylko zacznie świtać. Światło będzie dla nich bardzo nieprzyjemne, jeżeli nie śmiertelne.

Dźwięk. Wyteżyłam słuch. Krzyki bólu odbijały się echem z każdej strony – krzyki, które nie wydawały się pochodzić od wampirów. Przewróciło mi się w żołądku. Czy

ludzie również zostali wrzuceni do Pałacu? Jako... zdobycz? Odwrócenie uwagi? Nie wiedziałam, czy być przerażona, czy wdzięczna, że ściągną na siebie pożądanie krwi wampirów, co również słyszałam. Warczenia. Odległe odgłosy kroków stawianych na podłodze.

Pozostali się obudzili. Być może przez moje człowieczeństwo powinnam była powstać jako ostatnia, przez magię, która została na nas rzucona. Obniżyłoby to pożądanie – wampiry brzmiały zbyt zwierzęco, nawet jak na standard żądzy krwi.

W tym momencie miałam wielkie, naprawdę wielkie szczęście, że żyłam.

Zamrugałam w ciemności. W przeciwieństwie do wampirów nie posiadałam umiejętności nocnego widzenia. Nic nie byłam w stanie dostrzec, jedynie ścianę czerni. Próbowałam przywołać światło na czubkach palców, ale bez większego efektu. Wypuściłam ledwie pojedynczą iskierkę, która szybko zamieniła się w dym.

Powstrzymałam przekleństwo cisnące mi się na usta przez moją bezużyteczną magię i pomacałam wokoło w poszukiwaniu broni, modląc się, żeby przybyła tu razem ze mną. Jeśli zostałam tu wrzucona bezbronna, już nie żyłam.

Przeszywający ból przeciął moją rękę.

SZLAG.

Zacisnęłam usta, by nie krzyknąć.

Znalazłam swoją broń. A dokładniej jej ostry koniec. *Pieprzona idiotka.*

Ciepła krew wypełniła wnętrze dłoni. Głuche *kap, kap, kap* spadające na podłogę było wręcz ogłuszające, górowało nawet nad odległymi krzykami.

Krwawienie było złe. Bardzo złe.

Musiałam szybko znaleźć schronienie, zanim ktoś mnie wyczuje. Chwyciłam jeden sztylet – tym razem za rękojeść – a drugi znalazłam nieopodal. Następnie wstałam i ostrożnie zaczęłam się cofać, aż trafiłam na kamień. Podążyłam za ścianą. Cały czas dotykałam jej ramieniem, a ostrza trzymałam w gotowości przed sobą. Kroczyłam cicho i rozważnie. Kiedy dużym palcem u nogi uderzyłam w zimną, twardą bryłę, serce podeszło mi do gardła.

Stopień prowadzący w górę. Musiałam się modlić, aby te schody zabrały mnie tam, gdzie potrzebowałam. Nie miałam innej opcji, nie tak oślepiąca.

Zaczęłam wspinać się. Przytuliłam się do brudnej metalowej poręczy, by moje plecy nie były odsłonięte.

Słyszałam opowieści, że Księżycowy Pałac był magicznym, tajemniczym miejscem, błogosławionym bądź przeklętym przez Nyaxię. Nawet Vincent w to wierzył. Powiedział mi, że korytarze się przesuwają, a pokoje zmieniały. Dzięki temu można było się znaleźć tam, gdzie się chciało lub nie chciało, w zależności od własnego szczęścia.

– Jeśli pozwolisz mi to przeżyć, Nyaxio, obiecuję, że to Kejari będzie najbardziej interesującym i najwspanialszym wydarzeniem od tysiącleci – zwróciłam się cicho do bogini. – Będiesz cholernie zadowolona. Obiecuję ci to.

Ku mojej uldze krzyki powoli oddalały się z każdym moim krokiem. Dobrze. Kontynuowałam wspinaczkę. Jeden przeskok, dwa, trzy.

Jednak Księżycowy Pałac nie zamierzał mnie tak szybko wypuszczać ze swoich sideł.

Z początku myślałam, że to tylko moja wyobraźnia. Miałam tak wytężony słuch, że łatwo można było zacząć wątpić we własne zmysły. Cały czas jednak maszerowałam, a kula w żołądku się powiększała. Nie. Nie wyobrażałam sobie tego: krzyki ponownie się przybliżały, mimo że kilka minut temu zostały daleko w tyle. Zupełnie jakbym wspinała się po niekończącej się spirali schodów, które prowadziły donikąd.

Niemal potknęłam się o własne nogi, kiedy weszłam na płaskie płytki, na których spodziewałam się kolejnego stopnia. Odgłosy rzezi rozlegały się bezpośrednio nade mną. Nie mogłam iść wyżej, byłam uwięziona.

Przycisnęłam plecy do ściany. Dalej wpatrywałam się tępo w czerni przed sobą. Co teraz? Co mogłabym...

Jeden głos przebił się ponad odległą kakofonią innych.

Nie musiałam już regulować tętna, bo nagle całkowicie ustało.

Krzyk został ucięty i zanikł pod pozostałymi głosami, ale nawet podczas tego ułamka sekundy zdołałam go rozpoznać. Rozpoznałam go jako głos z miłością nazywający mnie gówniarą w akompaniamencie ochryplego kaszlu spowodowanego palonymi od lat cygarami.

W moim umyśle pozostało jedno imię.

Ilana.

Nigdy do końca nie wiadomo, co powoduje, że przestaje się być ostrożnym, aż do momentu, kiedy faktycznie się to dzieje. A Ilana była wystarczającym powodem. Pozostawiłam za sobą kształtowaną całe życie czujność, jak zapomniany płaszcz.

Ilana. Ilana była w Pałacu. Ilana była w *tej rzezi*.

Kolejny wrzask, tym razem głośniejszy i bliższy, w dole korytarza, zupełnie jakby to miejsce było nimi skażone. Nie myślałam, nie mogłam myśleć, po prostu biegłam...

...dopóki coś mocno mnie nie złapało. Silny uścisk pochwyił moje ramiona i coś przyciągnęło mnie do ściany, która okazała się dobrze zbudowanym ciałem.

– Nie żyją.

Szept był niski i szorstki, a mężczyzna znalazł się tak blisko mnie, że jego oddech poślaskotał mi skórę. Jego kilkudniowy zarost zadrapał mi ucho, a kosmyk włosów dotknął wklęsłości, gdzie szyja spotykała się z barkiem. Każdy mój instynkt został

podburzony bliskością tej osoby, jej odległością od mojego gardła – miejsca, do którego nikt poza Vincentem nie miał dostępu.

– Nie żyją, człowieczku – powtórzył głos. – Jeśli za nimi pójdziesz, spotka cię ten sam los.

Ma rację – zdawał się nucić Księżycowy Pałac, a jego mrok zadrżał w zadowoleniu.

Wiedziałam to. Wiedziałam, nawet kiedy dobiegł do mnie następny zachrypnięty krzyk bólu, bliższy niż poprzednio.

Wiedziałam i gównu mnie to obchodziło.

Nie walczyłam z uściskiem, nic bym nie działała. Był za silny.

Dlatego też ugodziłam go ostrzem.

Najwidoczniej się tego nie spodziewał, bo wyszczał: „Na cycki Ix!”, i odsunął się ode mnie chwiejnie. Pchnęłam sztylet w jego udo na tyle głęboko, że musiałam mocno nim szarpnąć, by go wyciągnąć, po czym pomknęłam w dół korytarza z palcami na ścianie, by się nie zgubić.

Znowu krzyk. Głośniejszy. Bardziej zdesperowany. Matko, gdy wampiry na poważnie były głodne, brzmiały strasznie. Słyszeć było, jak rozrywają mięso. Nie było to ciche ani eleganckie, tylko głośne, niechlujne i potworne.

Chciałam ją zawołać, powiedzieć jej, że po nią idę, ale nie mogłam, bo to tylko by przyciągnęło uwagę. Zamiast tego skupiłam się na szybkich krokach. Szłam najszybciej, jak mogłam.

Jęki Ilany nie zanikały, ale też się nie przybliżały. Biegłam przez korytarz, a potem przez następny i następny, a i tak jęki Ilany pozostawały nadal poza zasięgiem moim i mojego ostrza.

Prawda przychodziła do mnie z każdym krokiem. Jej bliskość była iluzją. Nigdy do niej nie dotrę. Jej głos słabł, a częstotliwość jej krzyków się zmniejszała.

Mimo to stawiałam krok za krokiem. I więcej.

Kolejny krok, kiedy wrzaski weszły w crescendo.

Kolejny krok, kiedy ściszyły się do odgłosu płukania gardła.

W końcu i to przekształciło się w słaby jęk.

Wreszcie znajomy głos ucichł pod dźwiękami pożywiających się wampirów, które szukały czegoś nowego do zajęcia.

Ostatecznie się zatrzymałam. Żebra mnie bolały, oczy piekły. Przycisnęłam się do ściany. Zamknęłam oczy i pogrążyłam się w jeszcze większej ciemności. Bicie mojego serca, moja cenna krew uderzała mnie po uszach.

Nie żyją – wyszeptał głos. *Jeśli za nimi pójdziesz, spotka cię ten sam los.*

Miał rację. Nigdy niczego tak bardzo nie nienawidziłam. Żyłam w świecie pełnym brzydkich prawd, przyzwyczaiałam się do nich, ale ta – o Matko, *ta* była po prostu...

Włoski stanęły mi dęba na karku, kiedy poczułam za sobą obecność. Kroki były ledwo słyszalne. W porę się odwróciłam.

– Co my tu mamy? – wyszeptał niski, oślizgły żeński głos.

Tym razem nie czekałam. Zaatakowałam z całej siły, dokładnie w to miejsce, skąd dobiegł głos. Nie wygrałabym w walce. Nie czekałam, aż się odwinie. Rzuciłam się do biegu i koniuszkami palców dotykałam ściany, by na nią nie wpaść. Za mną rozpoczęła się jakaś potyczka. Nie zamierzałam się zatrzymywać i zastanawiać, co to mogło być albo, broń bogini, przyłączyć się do niej. Im dłużej będą ze sobą walczyć, tym później pójdą moim śladem.

Na początku myślałam, że wyobrażałam sobie ten niewyraźny srebrny kontur naprzeciwko mnie. Może moje przemęczone oczy tworzyły to, co chciałam zobaczyć.

Ale nie, to nie była iluzja. Ściana wilgotnego powietrza uderzyła mnie, gdy przeszłam przez próg. Dłoń tak bardzo mi krwawiła, że z trudem zdołałam złapać rękojęść broni. Moje mięśnie krzyczały. Ledwie mogłam rozpoznać ten niewyraźny zarys... zarys...

Liści.

Podniosłam głowę i zobaczyłam gwiazdy. Rozgwieżdżone nocne niebo, które w większości pokrywały czarnoszare chmury. Ale gdy wiatr zmienił kierunek, przedostały się przez nie płaty światła. Księżyc, prawie w pełni, stał na żałobnej straży. Okółki z kutego żelaza otulały szklane ściany i rosły do kopuły, która kończyła się srebrnym półksiężycem.

Otoczył mnie zapach wilgotnej gleby.

Szklarnia. To była szklarnia.

Przedzierałam się przez sztywne listowie, aż uderzyłam w najdalej wysuniętą ścianę. Teraz mogłam zobaczyć nieco więcej, z pomocą światła księżyca. Sklepienie Sivrinaju górowało w oddali po mojej prawej, a po lewej znajdowały się wydmy, elegancko wypukłe oraz wklęsłe. Natomiast tam, gdzie piach stykał się z linią horyzontu, pojawiła się niewyraźna linia purpury.

Świt.

Wiedziałam, że będę zmuszona przetrwać tu przez kolejną godzinę, tak, ale gdy nadszedł ten moment, ta szklarnia stała się najbezpieczniejszym dla mnie miejscem. Nikt nie mógł się tutaj ukrywać przed słońcem zbyt długo.

Zacisnęłam ręce na broni i weszłam w cień pomiędzy liśćmi. Usłyszałabym ruch każdego, kto by tu wszedł, nawet jeśli nie mogłabym go zobaczyć. Odgłosy żerowania

ucichły, jakby Pałac uznał, że zmęczył się moim przerażeniem. A może po prostu wampiry zmęczyły się jedzeniem.

Z trudem mrugnąłam i patrzyłam na jedyne drzwi prowadzące do szklarni, podczas gdy słońce – moje wybawienie – wschodziło, by mnie przywitać.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wyczołgałam się ze swojej kryjówki dopiero, kiedy słońce grzało na tyle mocno, że na karku pojawiły mi się krople potu. W dzień szklarnia wyglądała jak zabytek – i tym najpewniej była. Rośliny dawno temu uwolniły się ze swoich eleganckich więzień. Jasne, szpiczaste czerwone liście wyrastały spomiędzy kamieni, a pomniki bez twarzy były oplatanie przez pnącza. Bluszcz wpelzł na patynowane metalowe elementy aż po zakrzywione szkło w górze i okrążył pojedynczą brakującą płytę, jakby z żądaniem uwolnienia się.

Wpatrywałam się przez dłuższy moment w ten jeden fragment nieba. Był nieosiągalny, znajdował się na szczycie najwyższego punktu kopuły. Nie miało to w sumie znaczenia. To nie ściany nas tu trzymały, tylko przysięga złożona Nyaxii, która nas zabije, jeśli byśmy próbowali uniknąć próby.

W Księżycowym Pałacu nastała cisza. Po chaosie, jaki panował w nocy, ktokolwiek go przeżył, najwyraźniej schował się, by odpocząć i przygotować się do oficjalnego rozpoczęcia turnieju. Mimo to trzymałam sztylety w gotowości. Wampiry najpewniej nie przyjdą do szklarni za dnia, ale nie będą miały problemu poruszać się z dala od okien i słońca.

Albo w nocy doświadczyłam halucynacji, albo legendy o Księżycowym Pałacu były prawdziwe, ponieważ wygląd budynku znacznie się teraz różnił od tego, co widziałam wcześniej. Drzwi do szklarni wychodziły na długi korytarz prowadzący do wielkiej sali,

która otwierała drogę na piętra kierujące w górę Pałacu. Podniosłam wzrok i dostrzegłam balkon za balkonem wznoszące się nade mną. Wspinały się coraz wyżej i zmniejszały coraz bardziej, aż przy odległym suficie kopuły zaczęły przypominać małe, ozdobne drobiny srebra. Podłogę pokrywała wspaniała mozaika. Płytki były tak ostre, jak gdyby zostały rozbite, a nie przycięte. Niektóre miały kolor kości słoniowej, ale większość była czerwona... pokryta krwią. Zbrązowiałą przez stulecie albo jeszcze dłużej, czego dowodem były szerniałe płytki. Plamy z nocy były obrzydliwie jasne w porównaniu ze starszymi, nawet jeśli zdążyły już wyschnąć i zmienić odcień na rdzawy szkarłat.

Nie miałam pojęcia, skąd wiem, dokąd iść. Może ponownie Pałac prowadził mnie tam, dokąd chciał. Powędrowałam w górę schodami, nie w dół, chociaż mogłabym przysiąc, że wspinałam się całą noc. Gdy dotarłam do trzeciego piętra, uderzył mnie w nozdrza zapach – zgniłe mięso i śmierć. Rzeka krzepnącej krwi wylewała się z kąta.

Podążyłam za nią i fetorem.

Część drzwi była okratowana. Możliwe, że te pokoje zostały zarezerwowane przez moich rywali. Uważałam, żeby nikogo nie obudzić, i ruszyłam dalej. Staralam się omijać nieruchome ciała.

Znalazłam to, którego szukałam, na balkonie, gdzie labirynt korytarzy prowadził na ogromną otwartą przestrzeń, z której rozpościerał się widok na pierwsze piętro i nieprzyjemną wysokość wieży znajdującej się nad nim. Nie była tutaj jedynym człowiekiem. Trzy inne trupy leżały, porzucane po podłodze. Niektórym brakowało kończyn albo zostały tak okaleczone, że były nierozpoznawalne.

A Ilana...

Nie wyglądała już jak człowiek. Nawet nie przypominała trupa. Była po prostu kawałkiem mięsa. Rozpoznałam ją tylko dlatego, że znałam ją tak długo. Zostawili część jej jaskrawego ubioru, oberwanego i pociętego, a niebieski zmienił się w purpurowy poprzez jej krew. Nie żeby została w jej poszatkiwanym ciele odrobina krwi. Postarali się o to. Nie zmarnowali ani kropli.

Kiedyś, jako dziecko, byłam świadkiem, jak wataha wilków atakowała jelenia. Wilki głodowały – wówczas wszyscy i wszystko głodowało. Nie czekały, aż to biedne zwierzę umrze, zanim rozerwały je na kawałeczki. Dokładnie tak wampiry zachowywały się w żądzy krwi. Dokładnie to zrobiły mojej przyjaciółce.

Uklękałam obok niej. Jej twarzy praktycznie nie było, ale mimo to złapałam za to miejsce.

Miałaś odejść. Miałaś stąd odejść, ty głupia i uparta starucho.

Ale Ilana i tak nigdy nie zrobiła tego, co powinna była zrobić. Nigdy nie słuchała świata, który mówił jej, co musiała uczynić. To była jedna z jej cech, które mnie do niej przyciągnęły.

Miałam czternaście lat. W końcu znalazłam swoje niestabilne miejsce w tym świecie, ale jednocześnie zaczęły mnie drażnić jego ograniczenia. Vincent nigdy nie pozwalał mi się zbliżyć do jego przyjęć, ale tamtej nocy, podczas gdy zabawiał gości na dyplomatycznym wydarzeniu, prześlizgnęłam się na dół, chociaż wiedziałam, że to była głupota. Wyszłam na zewnątrz, zachowując między sobą a gośćmi dystans, po czym zerknęłam przez okno, za którym odbywało się przyjęcie. Było to tak daleko, że mogłam jedynie uchwycić spojrzeniem poruszające się ciała, ale byłam zbyt ostrożna, żeby się zbliżyć.

– Czego się tak boisz, że skradasz się jak szczur?

Głos Ilany – już szorstki i ochryply, nawet tyle lat wcześniej – sprawił, że podskoczyłam. Obserwowała mnie z rozbawionym wyrazem twarzy i cygarem między palcami.

Od razu rozpoznałam w niej człowieka, nie wampirycę. Ilana zawsze była tak po ludzku jasna i żywa. Od razu to zobaczyłam i to mnie sparaliżowało.

Szybko skryłam się w cieniu, a ona prychnęła.

– Jesteś zbyt młoda i śliczna, żeby bać się świata. To rzadkość spotkać tutaj interesującego człowieka. No, podejdź.

Zawahałam się. Miałam świadomość, że nie powinnam, że Vincent by tego nie zaakceptował. Ale nie rozmawiałam za dużo z innymi ludźmi, od kiedy przybyłam do Sivrinaju. Kilku dawców krwi, których widziałam na korytarzach, miało puste spojrzenia i milczeli. Nie to, co kobieta przede mną.

Byłam zaintrygowana. Poszłam do niej tamtej nocy, a potem w kolejne. Ilana stała się moim skromnym buntem. Rozwinęła się między nami przyjaźń. Znalazłam w niej komfort we wszystkim, w czym przypominała mnie, i we wszystkim, w czym ja chciałam ją przypominać. Sprawiała, że maleńka częśćka mnie uwierzyła, że istniała inna wersja ludzkiego życia od tego, którym żyłam.

Teraz, gdy patrzyłam z góry na jej ciało pozbawione jej żywej wytrwałości, kruche resztki tej wiary się rozpadły.

Nie było innej wersji ludzkości. Ilana powinna była bardziej się bać. Była człowiekiem, a to oznaczało, że była tutaj nic niewarta. Kejari rozpoczęło się wcześniej. Księżyc był prawie pełny, ale jeszcze nie do końca. Dwanaście godzin decydowało o jej bezpieczeństwie albo śmierci.

Pieprzonej zwierzęcej śmierci, ponieważ tylko tym dla nich była.

Delikatny, stłumiony dźwięk kazał mi poderwać głowę. Wstałam cicho, wyjrzałam zza rogu i dostrzegłam skuloną postać przy ścianie. Wampir był tak bierny, że na początku myślałam, że jest martwy, ale nie – spał. Czerwień kapłała z jego brody na przód niegdyś niebieskiej koszuli. Nie obchodziło go schowanie skrzydeł. Był Rishanem, a ciemnobrązowe pióra otaczały go jak koc.

Pozostali pewnie odlecieli. A może ten posilał się sam, dlatego spał tutaj samotnie i nienaturalnie spokojnie. Jego łakomstwo było głupie. Przejedzenie spowalniało wampiry.

Nawet się nie poruszył, kiedy do niego podeszłam. Ani nawet wtedy, kiedy wyjęłam sztylet, wbiłam go w jego klatkę piersiową i pchałam rękojeść tak mocno do momentu, aż pękła chrząstka, a następnie ostrze sięgnęło jego serca.

Wtem otworzył oczy.

Doskonale.

Lubiłam obserwować, kiedy w końcu docierało do nich, że szła po nie śmierć. Ten posikał się, kiedy odszedł. Przyciągnęłam go do siebie, przejechałam czerwonymi od krwi palcami po jego twarzy, by się upewnić, że krew Ilany go naznaczyła, po czym pozwoliłam mu upaść w kałużę jego tchórzostwa.

Nigdy nie gardziłam swoim człowieczeństwem tak bardzo jak teraz. Ta słabość doprowadziła Ilanę do śmierci. Byliśmy tacy krusi, tacy słabi, że nawet ten wampirzy śmieć zakończył czyjeś życie, jakby nic ono nie znaczyło.

Ręce zaczęły mi się trząść. Krew pulsowała w uszach, odrętwiała i odległa, jak gdyby moja wściekłość i cierpienie wrzały pod warstwą lodu, gotową rozpaść się na kawałki.

Wróciłam do Ilany i przejrzałam jej kieszenie. Jako pierwszy wyciągnęłam znajomy fioletowy szal z jedwabiu. Zapatrzyłam się w niego, walcząc z kulą w gardle, po czym wepchnęłam go w swoją torbę. Następnie sięgnęłam po jej pudełko zapalek. Nigdzie się bez nich nie ruszała.

Jej ciało było bardzo suche, a skóra papierowa. Łatwo spłonęła. Zaakceptowała ogień jako nową, kolorową część jedwabnej garderoby.

Zostawiłam ją na tym balkonie i wróciłam schodami do szklarni. Księżycowy Pałac był mroczny, a otwarta wielka sala wznosiła się ku szczytowi. Ogień wszystko rozświetlił. W szklarni przyciągnęłam kolana do klatki piersiowej i obserwowałam, jak płomienie migoczą za podwójnymi drzwiami, podczas gdy moja przyjaciółka płonęła, płonęła i płonęła.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wraz z zapadnięciem zmierzchu po korytarzach Księżycowego Pałacu poniosły się dźwięki – trzy melancholijne nuty hymnu Nyaxii. Gdy to usłyszałam, wychyliłam się zza listowia i zobaczyłam pojedynczą nić dymu prowadzącą do drzwi, a następnie za korytarz za nimi.

Wiadomość była oczywista: byłam wzywana.

Wstałam i podążyłam za nicią. Czułam piach w kącikach oczu, stawy mnie bolały. Bezustannie miałam przed oczami pozbawioną krwi, poszatkowaną twarz Ilany. Cały ten czas zaciskałam dłoń na fioletowym szalu, a krew z mojej rannej ręki zabarwiła jedwab.

Nie płakałam. Nie. Byłam wściekła. Smutek był daremną, słabą emocją. Złość przynajmniej była przydatna – ostra krawędź gotowa przebić czyjeś serce lub twarda skorupa chroniąca własne.

Niść dymu robiła się coraz gęstsza i więcej dymnych pasm dołączyło do głównego korytarza. Wyglądało na to, że wezwania zostały wysłane do każdego uczestnika, który przetrwał poprzednią noc. Księżycowy Pałac nie był tak mroczny jak na początku. Teraz po korytarzu snuło się delikatne światło pochodzące od pochodni zawieszonych na ścianach i świec lewitujących przy sufitach. Podczas marszu obserwowałam to światło drżące na nie do końca gładkiej mozaice podłogowej i poczułam się głupio, gdy

zauważyłam to, czego nie dostrzegłam za dnia: podłogi były zrobione z połamanych kości i zębów.

Gdy szliśmy w dół korytarza, nasza grupa powiększała się coraz bardziej. Coraz więcej dołączało z każdym zakrętem lub przez drzwi, które mijaliśmy. Ocenialiśmy się nawzajem w ciszy. Kiedy dotarliśmy do celu – wielkiej sali – naliczyłam mniej więcej pięćdziesięciu uczestników. Większość należała do Domu Nocy – po równo od Hiajów i Rishan, bazując na tych, którzy postanowili pokazać skrzydła – ale zobaczyłam też około dziesięciu członków Domu Krwi i piętnastu albo i więcej członków Domu Cienia. Niektórzy rozglądali się niespokojnie. Oceniali swoją konkurencję? A może szukali kogoś zaginionego?

Ilu z nas zginęło ostatniej nocy?

Większość ignorowała siebie nawzajem, choć Zrodzeni z Krwi zgromadzili się w jedną, ciasną sforę. Miało to sens. W ten sposób nikt ich nie dopadnie. Przyjrzałam się kobiecie znajdującej się w centrum ich grupki. Była wyższa od pozostałych. Na ramionach brakowało jej zbroi, co odsłoniło jej imponujące mięśnie. Srebrzyste włosy miała zaplecione w warkocz, który spływał na jej plecy. Z zachowania innych w stosunku do niej wywnioskowałam, że musiała być ich liderką.

Odchyliłam się w tył i z gulą w gardle obserwowałam moich rywali. Całe życie unikałam znalezienia się w tej sytuacji: uwięziona pomiędzy potężnymi, dwa razy większymi ode mnie wampirzymi wojownikami.

Po drugiej stronie pomieszczenia napotkałam wzrok Ibrihima. Posłał mi uśmiech – a raczej coś na wzór uśmiechu pozbawionego humoru – jakby wiedział, że oboje myśleliśmy o tym samym.

Z balkonu przyglądał nam się wysoki i chudy mężczyzna o łysej głowie i skórze mocno naciągniętej na czaszkę. Miał na sobie proste czarne szaty i szarfę zawierającą trzy symbole Nyaxii. Kościół był niezależny od trzech wampirzych domów, operował wśród podmiotów Nyaxii jako mgliście potężna i tajemnicza siła. Najpotężniejszym i najbardziej tajemniczym był Minister, o którym krążyły pogłoski, że już nie był żywą istotą, a jedynie mięsnym naczyniem wykorzystywanym przez Nyaxię.

To według mnie było wielką bzdurą.

Niewykonalnym było podążanie za wzrokiem Ministra, ponieważ jego oczy były mlecznobiałe, bez źrenic i tęczówek, ale gdy zniżył brodę, nie mogłam powstrzymać pełznącego pod moją skórą uczucia, że patrzył prosto na mnie.

Przyjęłam to spojrzenie bez mrugnięcia, mimo że miałam ochotę zadrzeć i odwrócić wzrok.

Minister nie wyglądał jak wcielenie bóstwa. Bardziej przypominał rozpustnego starca. Spotkałam go kilka razy na różnych religijnych uroczystościach. Nieważne, jak wielki był tłum, zawsze był on mną za bardzo zainteresowany. Po jednej nocy, kiedy miałam trzynaście lat, niemal uwięził mnie w kącie i od tamtej pory Vincent nie opuścił mojego boku w jego obecności.

Jeżeli Nyaxia potrzebowała mięsnego naczynia – a zapewne nie potrzebowała takowego – ten tutaj nie wydawał się dobrym wyborem.

Kilku innych akolitów dołączyło do Ministra na balkonie – stanęli po jego prawej stronie, natomiast po jego lewej znajdował się lider Domu Nocy – Vincent ze swoim rządem. Miał na sobie długą, ciemną pelerynę przyozdobioną srebrnymi gwiazdami. Skrzydła miał na widoku – czarne z niemi czerwoności – i nawet odsłonił swoje znamię dziedzica. Pozostawił bowiem rozpięte kilka guzików na górze zakietu, czym pokazał wiry czerwonego atramentu na gardle.

Ta intencja nie uszła niczyjej uwadze. Pokazanie skrzydeł i znamienia służyło jako ostrzeżenie: Jestem od was silniejszy. Stałem, gdzie teraz wy stoicie, i zwyciężyłem.

Obnoszenie się ze swoją mocą było niecodziennym widokiem w przypadku Vincenta, ale może nie powinno to nikogo dziwić. Władcy Domu Nocy często zabijali zwycięzców Kejari. Każdy tak potężny był uważany za zagrożenie. Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Wielu wojowników pragnących rozlewu krwi wpatrywało się w Vincenta z pożądliwą nienawiścią.

Poczułam się lekko naiwna przez to, że nie zrozumiałam wcześniej innego samolubnego powodu, dla którego Vincent namawiał mnie do wzięcia udziału w Kejari: jeśli wygram, reszta przegra. A na tym świecie nie istniała osoba, której Vincent ufał – poza mną.

Minister odchrząknął, a w pokoju zapadła przerażająca cisza.

– Witajcie w Kejari – powiedział. – Największym honorze ku czci naszej pani Nyaxii, Matki Wygłodniałej Ciemności, Łona Nocy, Cienia, Krwi. W jej imieniu dziękuję wam za zaoferowanie swojej obecności. *Aja saraeta.*

– *Aja saraeta.* – Pomrukiwania modlitwy rozeszły się echem.

– Byłem świadkiem dwudziestu jeden Kejari – kontynuował Minister. – Dwa tysiące lat hołdu dla naszej Matki Wygłodniałej Ciemności. Za każdym razem jest to jedno z najbardziej znaczących wydarzeń. Taka możliwość. Taki potencjał.

Spłynęła na nas zaskakująco długa cisza. Po czym Minister podjął:

– Przeżyliście pierwsze wezwanie i pierwszą segregację. Kejari oficjalnie rozpoczyna się jutro o zachodzie słońca i będzie trwało przez kolejne cztery miesiące. Kiedy złożycie przysięgi, oddalicie naszej Mrocznej Matce swoje życia. Oddalicie jej swoją

krew. Podarowaliście swoje dusze. Matka będzie sprawowała pieczę nad wszystkimi trzema. Nawet jeśli przeżyjecie próby, część was zawsze już będzie należeć do niej. *Aja saraeta*.

– *Aja saraeta* – powtórzyliśmy.

– Czekają was pięć prób, a każda oddaje cześć historii ucieczki naszej bogini ze szponów Białego Panteonu i jej dojścia do władzy. Próba Pełni. Próba Ubywania. Próba Kwadry. Próba Półksiężycy. Próba Nowiu. Każda kolejna próba odbędzie się trzy tygodnie po poprzedniej. Szczegóły każdej z nich zostaną ujawnione tuż przed jej rozpoczęciem, nie wcześniej. Przez całe Kejari będziecie tutaj, w Księżycowym Pałacu. Możecie opuścić jego mury pomiędzy zachodem słońca i wschodem, jeśli Nyaxia nie ma nic przeciwko temu, ale zawsze musicie być tu na miejscu z nadejściem świtu. Wielu czcicieli mieszkało tu przed wami. Wielu innych przyjdzie, kiedy wasza krew wyschnie na podłogach. W Księżycowym Pałacu Nyaxia zapewni wam to, co uzna za stosowne.

To, co uzna za stosowne. To zabrzmiało nadzwyczaj groźnie. Księżycowy Pałac gwarantował schronienie, jedzenie i wodę – przynajmniej do czasu. Dawał bezpieczeństwo – przynajmniej do czasu. Księżycowy Pałac nie był miejscem odpoczynku, sam w sobie był próbą.

– Jeśli chodzi o rozlew krwi w Księżycowym Pałacu...

Nie wiedziałam, że możliwe było zapadnięcie jeszcze większej ciszy. Najwyraźniej wszyscy na to czekali. Czasem uczestnicy Kejari mieli zakaz zabijania innych poza próbami. W ostatnich latach ta restrykcja nie istniała.

To właśnie było Kejari. Miało swoje zasady i konwencje, ale te każdego roku się zmieniały zależnie od – jak wiele rzeczy – humorów Nyaxii.

– Możecie bronić się przed agresorami – powiedział Minister. – Jednakże bogini będzie wdzięczna za dar krwi przekazany podczas prób.

Co to miało znaczyć?

Nie tylko ja się nad tym zastanawiałam. Nastąpiło poruszenie, zdezorientowane spojrzenia skanowały pokój. Ten dobór słów był... niepomocny.

Bogini będzie wdzięczna za dar krwi przekazany podczas prób.

Czy to oznaczało: Postaraj się poczekać z zabijaniem innych, kiedy będzie dla tego widowiska? Jeśli nie poczekaasz, no cóż!

A może to znaczyło: Poczekać do prób, w przeciwnym razie spotkasz się z gniewem Nyaxii?

Nie mogłam się zdecydować, co mi bardziej odpowiadało. Jeżeli zabijanie było zakazane w tym roku, mogło to pozwolić mi choć trochę odpocząć w Księżycowym Pałacu – *mogło*, jeśli wziąć pod uwagę moją kuszącą ludzką krew. Ale też łatwiej byłoby

mi pozbywać się przeciwników, kiedy nie będą się tego spodziewali, niż kiedy miałyby to odbywać się na arenie.

– Zwiążaliście się z tymi zasadami poprzez zaoferowanie swojej duszy Nyaxii w zamian za udział w Kejari i macie się ich trzymać aż do zakończenia turnieju albo do momentu, gdy zwolni was z przysięgi. *Aja saraeta*.

– *Aja saraeta* – mruknęliśmy.

– Zostaniecie wezwani jutro o zachodzie słońca na Próbę Pełni. Niech Matka was prowadzi.

Minister podniósł rękę, jakby zsyłał na nas niewidzialne błogosławieństwo, a następnie odwrócił się, bez dalszego komentarza. Nie było końcowego kazania, żadnego pożegnania czy misternej modlitwy.

W przerażającej ciszy drzwi za balkonem otwały się i odsłoniły jadalnię. Kapłani i kapłanki znajdujący się do tej pory nad nami rozeszli się. Vincent napotkał moje spojrzenie, zanim podążył za nimi. Nawiązało się między nami niewerbalne porozumienie. Pochylił brodę, a ja skinęłam głową w odpowiedzi, po czym przeszłam przez drzwi z pozostałymi.



Uczta w jadalni przyćmiła niejedną ucztę z przyjęcia Vincenta. Spędziłam godziny za dnia w szklarni na badaniu, które rośliny były jadalne, tak na wszelki wypadek – nie byłam pewna, czy w ogóle dostaniemy jedzenie, a jeśli tak, to czy którykolwiek posiłek będzie bezpieczny dla człowieka. Jednak pomimo moich zszarganych nerwów i zmęczenia ślanka mi pociekła na widok, który się przede mną rozpościerał. Na dwóch długich stołach ułożono talerze przy dwudziestu pięciu albo trzydziestu krzesłach. Wypełniliśmy pomieszczenie i zatrzymaliśmy się przy ścianach, jakbyśmy się bali, że uczta może eksplodować, jeśli za bardzo się do niej zbliżymy.

W końcu jeden z Hiajów mruknął: „A pieprzyć to”, usiadł i chwycił za kielich krwi. To wystarczyło, by rozładować napięcie. Tłum zasiadł do wieczerzy. Wzięłam talerz, naprędce uzupełniłam go jedzeniem, które na pierwszy rzut oka wyglądało na jadalne przez ludzi, po czym się wycofałam i wybrałam miejsce przy jednym z małych stolików rozrzuconych na brzegach sali. Dobry punkt obserwacji.

Niektórzy uczestnicy łykali krew, jakby mieli nigdy już nie mieć okazji do jej spożycia – słuszna obawa. Inni natomiast zdawali się niezainteresowani jedzeniem i zamiast jeść, pakowali je do kieszeni lub plecaków.

Zacisnęłam usta i pięści tak mocno, że paznokcie pozostawiły wgłębienia na mojej skórze.

Oczywiście, że nie byli głodni. Żerowali całą poprzednią noc.

Tylko jeden wampir całkowicie ignorował ucztę. Ciemnowłosy mężczyzna gorączkowo krążył po jadalni między stołami. Rozpoznałam go – widziałam, jak się rozglądał z lekką paniką przed przemową Ministra. Moje podejrzenia sprzed chwili się potwierdziły. Wyraźnie kogoś szukał i niepokój u niego wzrastał, kiedy nie mógł tego kogoś znaleźć. Po trzech szybkich okrążeniach wokół stołu wybiegł przez drzwi, zepchnął przy tym z drogi dwóch Zrodzonych z Cienia, którzy za nim zawyli.

Po kilku minutach dziki, zwierzęcy ryk przeciął powietrze jak ostre kawałki szkła.

Każdy poderwał głowę, a ręce położył na broni. Moja własna ścisnęła rękojeści sztyletów.

Moją pierwszą myślą był jakiś potwór. Że zwabili nas tutaj w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa i pomyśleli, że pozbędą się jeszcze kilku osób przed rozpoczęciem jutrzejszej próby.

Ale nie, to nie potwór wpadł z powrotem do jadalni. Był to ten ciemnowłosy wampir, skowyczący i z twarzą wykrzywioną w gniewie. Zorientowałam się, że jego wrzaski tak naprawdę tworzyły następujące słowa:

– Mój brat! Zabili mojego brata!

Miał skrzydła na wierzchu, wyprostowane, o piórach w odcieniach brązowego i czarnego.

Zupełnie jak Rishan pokryty krwią Ilany.

Nagle mężczyzna obrócił się z dzikim spojrzeniem i dotarło do mnie, że jego oczy wyglądały jak te, które wpatrywały się we mnie poprzedniej nocy, gdy powoli zatapiałam ostrze w jego sercu.

Zesztywniałam.

– Kto to zrobił?! – zawył wampir. – Myślisz, że możesz zabić Ajmai i upiecze ci się to? Który z was to zrobił? ZABIJĘ CIĘ!

Nie, z pewnością tego nie zrobisz.

Prawie to wyznałam.

Ku mojemu zdumieniu pierwszym, który się poruszył, był Ibrihim. Podniósł się ze swojego miejsca z uniesionymi rękami.

– Spokojnie, bracie. Nie chcemy więcej śmierci przed...

– Bracie? – prychnął wampir. – Nie jesteś moim pieprzonym bratem. Mój brat *nie żyje*.

W grupie Zrodzonych z Krwi rozległy się chichoty i pomyślałam, że to definitywnie rozpocznie jego morderczy szal. Jego usta się wykrzywiły i ukazały ostre zęby, a z jego gardła wydobyło się warknięcie. Pięści mu drżały. Zanim jednak rzucił się na nie wiadomo kogo lub co, głęboki i łagodny głos rozległ się od strony najdalszego kąta jadalni.

– Och, litości. Niczyja to wina, że twój brat był idiotą i dał się zabić przed rozpoczęciem turnieju, Klyn.

Ten głos był dziwnie znajomy.

Mężczyzna – rzekomy Klyn – obrócił się. Wszystkie głowy poszły jego śladem. Właściciel głosu wziął długi łyk krwi. Trudno mi było go dostrzec – siedzieliśmy po przeciwnych stronach pomieszczenia z czterema rzędami wampirów między nami – ale zdołałam zauważyć szeroką sylwetkę i falowane ciemne włosy z czerwonym połyskiem, które lekko zaszeleściły, gdy odrzucił głowę w tył w celu napicia się, niewzruszony zamieszaniem.

Gdy wzrok Klyna padł na mężczyznę, zdawało się, że zapomniał o istnieniu innych zgromadzonych.

– Ty – wysapał. – Raihn z pieprzonych Ashrajów. Nie zapomniałeś o tej sytuacji poza granicami miasta. Powinienem wiedzieć, że nie powinniśmy ufać...

Wampir – Raihn – odstawił swój kielich i się zaśmiał. Był to niski dźwięk, który przeciął powietrze jak wąż.

Twarz Klyna zrobiła się purpurowa. Może i nie był świadomy własnej wściekłości, ale wciąż był wampirem, a to oznaczało, że był silny i szybki. Przeszedł salę kilkoma zgrabnymi krokami.

– *Ty to zrobiłeś!*

Równie szybko Raihn skoczył na nogi i spotkał się z nim w połowie jego drogi.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze.

To tego wampira widziałam wtedy na przyjęciu. Od razu go rozpoznałam, ponieważ zarówno tutaj, jak i na balu miał postawę znacznie różniącą się od innych wampirów. Wszystko w nim wydawało się szorstkie i niedokończone, począwszy od sposobu bycia z nieokiełznaną, groźną swobodą, całkowicie przeciwną elegancji wampirzej urody.

Po chwili dotarło do mnie, dlaczego jego głos brzmiał znajomo. Jego udo było owinięte bandażem przesiąkniętym krwią. W tym dokładnie miejscu niska dziewczyna mogła zatopić sztylet, gdy próbowała się wyswobodzić z jego uścisku.

Szlag.

Nawet z tej odległości zobaczyłam, jak jego knykcie zbieleły, gdy chwycił nadgarstek Klyna, by powstrzymać uderzenie miecza.

– Myślisz, że zabiłem twojego brata? – zapytał Raihn. – Ja?

– Nie pieprz, Raihn. Wiem, że to zrobiłeś.

– Och, *ja* nie zabiłem twojego brata.

Rdzawoczerwone oczy Raihna przesunęły się po pomieszczeniu i wylądowały na mnie.

Uśmiechnął się.

Niech go szlag. Nie spodziewałam się, że będę zmuszona walczyć ze sforą wampirów przed rozpoczęciem turnieju, ale zrobię to, jeśli nie będę miała innego wyjścia.

Zaczęłam się podnosić, położyłam ręce na broni.

– Żałosne to, nieprawdaż?

Niemal przeskoczyłam na drugi koniec sali. Obróciłam się i zobaczyłam szczupłą kobietę o kręconych włosach, opierającą się o ścianę obok mnie. Przewróciła oczami.

Tę samą kobietę ujrzałam na przyjęciu Vincenta tamtej nocy.

– Powinniśmy oszczędzać energię – westchnęła. Zerknęła na mnie, jakby oczekiwała odpowiedzi.

Milczałam. Tak naprawdę to chciałam zapytać, co tu robiła. Nie wyglądała na kogoś, kto chciałby uczestniczyć w morderczym turnieju. Nie mogłam jednak oderwać wzroku od sceny rozgrywającej się po drugiej stronie pomieszczenia.

Teraz Klyn znajdował się kilka centymetrów od twarzy Raihna.

– Tak, to ty! Wiem, że to zrobiłeś!

– Nie – odparł spokojnie Raihn. – To nie ja, choć chciałbym, ponieważ był odrażającym dupkiem.

– Był – zgodziła się z nim kobieta obok mnie. – Najgorszym. – Nachyliła się ku mnie i wyszeptała: – Ty to zrobiłaś, prawda?

– Ja... co?

– Ty to zrobiłaś. Mam rację?

– Ja...

Po drugiej stronie Raihn kontynuował.

– Ostrzegam cię, Klyn, nie sięgaj ponownie po ten miecz.

– Och, nie – mruknęła kobieta.

Klyn sięgnął po miecz.

LUP.

Ciało Klyna uderzyło w ścianę z siłą, która posłała dwa z antycznych obrazów na ziemię. Ich drewniane ramy rozsypały się pod impetem uderzenia. Raihn przycisnął wampira do arabskiej tapety, teraz naznaczonej kroplami czarnoczerwonej krwi.

Ręka Klyna, w której dzierżył miecz, zwisała przy jego boku pod dziwnym kątem, wyraźnie złamana. Przekrzywił głowę.

W tym momencie na nogi poderwała się już połowa zgromadzonych i obserwowała scenę szeroko otwartymi oczami. Wszyscy wstrzymali oddech. Czekali na odpowiedź na pytanie, którego nikt nie odważył się zadać: Zrobi to?

Nastawienie Klyna zmieniło się diametralnie.

– Nie możesz mnie tu zabić – wycharczał. – Słyszałeś Ministra. Nie możesz zabić aż do rozpoczęcia prób.

– Och, nie – powtórzyła kobieta, choć nie wyglądała na zatroskaną.

Wszyscy myśleliśmy o tym samym. Zastanawialiśmy się nad tajemniczymi słowami Ministra. Wiedziałam, że ktoś będzie chciał próbować podważyć ten zakaz. Nie wiedziałam natomiast, że stanie się to tak szybko.

Raihn się uśmiechnął.

– Och, nie mogę?

Cios zatrząsł jadalnią. Sapnęłam i wypuściłam powietrze w jednym dramatycznym wydechu. Otoczyła mnie czern, a po niej oślepiająca biel, co spowodowało atak kaszlu, i zorientowałam się, że mocno mrugam i próbuję się pozbyć gęsiej skórki.

To jakiś pieprzony żart.

Wszyscy z opadniętymi szczękami gapili się na mężczyznę o rdzawoczerwonych oczach i kwestionowali to, czego właśnie byli świadkami.

Raihn pozwolił, by martwe ciało Klyna osunęło się na podłogę w galaretowatą stertę pozbawioną kości.

Zapadła cisza. Nikt nawet nie mrugnął. Raihn uniósł głowę, jakby w oczekiwaniu, aż Nyaxia go wyeliminuje. Minęło pięć sekund, następnie dziesięć, a po tym trzydzieści.

– Hm – powiedział w końcu. – Cóż, wnioskuję, że to rozwiązuje wszelkie wątpliwości.

Usiadł i wrócił do jedzenia.

– Jakie to dramatyczne – westchnęła kobieta.

Nie mogłam znaleźć odpowiednich słów. To było nic innego jak pieprzony Asteris.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Vincenta znalazłam w umówionym miejscu. Wykradłam się z Księżycowego Pałacu przed świtem. Poczekalam tak długo, jak mogłam, aby inni uczestnicy wrócili do swoich pokoi. Po uczcie zaczęliśmy ostrożnie badać resztę Księżycowego Pałacu i odkryliśmy setki w pełni umeblowanych i zaopatrzonych mieszkań. Większość wzięła pokoje na własność, niektórzy w pojedynkę, a niektórzy w grupach lub parach dla bezpieczeństwa.

Ja jednak zostałam w mojej szklarni. Żadne ściany czy rygle nie ochronią mnie tak dobrze jak okna. Poza tym sposób, w jaki zieleń mnie otuliła, dał mi poczucie komfortu. Rośliny były kruche, żywe i nietrwałe – zupełnie jak ja – ale mimo to udało im się odzyskać starożytną strukturę. Było to trochę inspirujące.

Kiedy niebo zmieniło barwę na czerwoną, wyruszyłam w drogę. Minister nie kłamał, Księżycowy Pałac nas nie więził. Vincent spotkał się ze mną za bramami, pod stopniami, gdzie ścieżki z płyt ustąpiły miejsca mulistemu błotowi z brzegu rzeki. Nad nami górowały kamienne mosty prowadzące do miasta.

Vincent opisał to miejsce, zanim rozpoczęło się Kejari.

– Jest prywatne – powiedział. – Tu się spotkamy.

Tutaj, w cieniu mostu, poczułam się, jakbym stała na granicy dwóch światów. Po mojej prawej majaczył Księżycowy Pałac, starodawny i budzący grozę. Po mojej lewej

wzrastał ku niebu Sivrinaj, na tle księżyca bliskiego pełni. Nikogo nie interesowało, co się tutaj działo – w tej małej zacienionej rysie, będącej częścią niczego.

Skąd Vincent wiedział o tym miejscu? Czy spotkał się tu z kimś, gdy był uczestnikiem swojego własnego Kejari dwieście lat temu? Czy miał... swojego Vincenta? Kogoś, kto go trenował i prowadził? Członka rodziny, którą zabił w celu zdobycia władzy?

A może innego mentora, który go poprowadził?

Wiedziałam, że nie należało zadawać mu tych pytań. Może kiedy dorównam Vincentowi i zostanę jego Coriatae, w końcu będę mogła o to zapytać.

– Oraya.

Nie spodziewałam się, że głos Vincenta zaboli mnie tak bardzo – w samym centrum klatki piersiowej. Odwróciłam się i ujrzałam, jak wychodzi z cienia pod mostem. Gdy światło księżyca padło na jego twarz, nagle ścisnęło mi gardło.

Do tej pory byłam silna. Nie było czasu na żalobę, na strach, gdy musiałam się skupić wyłącznie na przeżyciu. Ale jego widok, zwykły widok jego znajomej twarzy, sprawił, że cofnęłam się o szesnaście lat. Znowu byłam dzieckiem ukrywającym się w przestrzeni pomiędzy ścianą a szafką, a Vincent był jedyną bezpieczną osobą na świecie.

Ilany nie było. Była martwa. Pozostał mi tylko on.

Spojrzał na mnie od góry do dołu z kamienną twarzą.

– Jesteś ranna?

– Nie.

Wskazał brodą na moją rękę.

– A to?

Zapomniałam o tym.

– To nic. Skaleczenie.

– Potrzebujesz rąk.

Skinął głową i położyłam dłoń na jego dłoni. Delikatnie odwinął bandaż – fioletowy jedwab. Musiałam walczyć z pieczeniem oczu, gdy obserwowałam, jak materiał błyszczący w świetle księżyca teraz pokrywał się krwią. Reszta szala Ilany spoczywała w mojej kieszeni. Próbowałam uratować, co się dało, mimo że taka duża część była brudna i porwana.

Vincent zmarszczył brwi – nie na moją ranę, ale na tkaninę.

– Skąd to masz?

– Znalazłam. W Księżycowym Pałacu.

Nawet nie musiałam próbować kłamać. Przychodziło mi to z łatwością.

– Yhm. – Wyjął butelkę z kieszeni, z której następnie na moją dłoń skapnęło kilka kropli lśniącego srebrnoniebieskiego płynu. Z rany wydobył się kłębek dymu i syczący dźwięk, który wydałam z siebie.

– Nie jęcz.

Powiedział to z nutką czułości.

– Nigdy nie jęczę.

Prawdopodobnie usłyszał delikatne załamanie w moim głosie.

Teraz rana na mojej ręce była tylko spuchniętą różowobiałą blizną. Wymienił bandaż i przekazał mi butelkę.

– Weź to. Nie wiem, kiedy będę w stanie dostarczyć ci więcej. Postaram się.

Lekarstwo bezpieczne dla ludzi było, oczywiście, trudno dostępne w Domu Nocy. Vincent musiał je negocjować z królestwami ludzi na południu i wschodzie. Ten płyn był cenny jak złoto, a tak naprawdę nawet więcej. Złoto nie zatrzymywało krwawienia.

– Zaczęło się wcześniej, niż myślałem – powiedział Vincent. – W roku mojego uczestnictwa zaczęliśmy noc przed pełnią księżyca, nie dwie. Domyślałam się, że chcą tak wzbudzić większe zainteresowanie. To nie ma znaczenia.

Miało dla Ilany. Jedna dodatkowa noc i mogłaby być poza miastem. Może i nieszczęśliwa, ale bezpieczna w ludzkich dzielnicach.

Nawet jeśli pozwoliłam ujawnić się mojej żalobie, zdawał się tego nie dostrzegać. Odczepił od pasa dwa przedmioty.

– Masz.

Rzucił je w moje ręce. Złapałam broń zręcznie, a następnie wyciągnęłam jedną z nich z czarnego skórzanego pokrowca. Zamrugałam z zafascynowaniem na to, co miałam przed oczami.

Miecze były... Były...

Nic nie mogłam z siebie wydobyć. Brakło mi słów.

Były krótkie i delikatne, zaprojektowane do pojedynków, czyli takie, jakie preferowałam. Były niesamowicie lekkie jak na swój rozmiar. Ostrza były wdzięcznie zakrzywione, wykończona czarna stal z wrytymi w niej czerwonymi znakami – długie wiry ozdobnego dymu i sztywne, punktowane glify uwiecznione w tańcu. Rękojeści – srebrne, wykończone dwoma ząbającymi się księżycami – powitały moje dłonie, jakby czekały na nie całe swoje życie.

Mimo to nie czułam się godna ich dotykać.

– Powinny służyć ci dobrze – odparł Vincent. – Lekkie. W odpowiednim rozmiarze. Podałem kowalowi wszystkie twoje rozmiary. Zostały zaprojektowane specjalnie dla ciebie.

– One są...

Idealne. Wspaniałe. Cholernie drogie, tak, ale tu nie chodziło tylko o pieniądze. Broń była typowym przykładem śmiertelnych sztuk pięknych, z których Zrodzeni z Nocy słynęli i które posiadali wyłącznie najbardziej zasłużeni wojownicy Domu Nocy. Setki godzin kunsztu poświęcono tym mieczom. Stulecia doświadczenia w kowalstwie i magii. Największa umiejętność cywilizacyjna była teraz w moich rękach.

Bez wątpienia pokolenia królów Zrodzonych z Nocy będą się przekręcać w grobach na myśl, że taka broń ma być w posiadaniu adoptowanej ludzkiej dziewczyny.

– One są... – ponownie wybąkałam.

– Są *twoje* – wyszeptał Vincent.

Zupełnie jakby słyssał wszystko, czego nie powiedziałam na głos.

Przełknęłam falę emocji. *O Matko, Oraya, weź się, do cholery, w garść.* Przytroczyłam pochwy z bronią do pasa. Możliwe, że na nie jeszcze nie zasłużyłam. Ale pewnego dnia to nastąpi. Kiedy zwyciężę.

– Dziękuję – powiedziałam.

Vincent ponownie zerknął na niebo.

– Powinnaś już iść. Zbliża się wschód słońca.

Miał rację. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz chciałam, było zdyskwalifikowanie za spóźnienie się do Księżycowego Pałacu. Kiwnęłam głową. Zanim jednak zdołałam się odwrócić, złapał mnie za ramię i tak mocno je ścisnął, że jego paznokcie wbiły się w moją skórę.

– Nie będę ci mówił, żebyś była ostrożna, Orayo. Nie będę, ponieważ wiem, że zawsze jesteś. Tak cię nauczyłem. Odporna. Mądra. Szybka. Skupiona. Podstępna. Teraz musisz wykazać się wszystkimi tymi cechami. Nie ma mowy o słabościach czy pomyłkach.

Vincent rzadko kiedy okazywał emocje, ale teraz wychwyciłam coś na wzór dziwnej wrażliwości, która przemknęła przez zimne mięśnie jego twarzy. Zniknęła, zanim którekolwiek z nas zdołało to zrozumieć.

– Tak zrobię.

– Musisz być lepsza od nich.

I tak jak Vincent usłyszał to, czego nie powiedziałam, tak teraz ja usłyszałam jego niewypowiedziane słowa: *Żeby nadrobić to, czym nie jesteś.*

Nie było mowy o pokazywaniu słabości w Kejari, ale moje były zżyte z moim ciałem. Zamrugałam i ujrzałam ciało Ilany, tak łatwo zniszczone. Zwalczyłam falę mdłości, to ukłucie bólu. To też były słabości.

Zamiast tego przekształciłam żalobę w gniew. Stałowy gniew.

– Wiem – powiedziałam. – Jestem.

Chwilę się nie ruszał, po czym mnie puścił.

– Ostrza zawierają truciznę – dodał. – Wystarczy ci jej na jakiś czas. Możesz ją uzupełniać przez rękojeść.

To był dowód miłości Vincenta do mnie. Nikt nigdy nie powiedział czegoś takiego – a przynajmniej tego nie pamiętałam. On jednak komunikował mi to na tysiące sposobów przez lata, wiele z nich miało związek ze śmiercią. *Kocham cię. Dzięki temu przeżyjesz. Dzięki temu nikt cię nie zrani.*

Dla wampirów to był najwspanialszy prezent.

Kiwnęłam głową, podniosłam rękę w geście cichego pożegnania i rozeszliśmy się bez słowa.



Jeszcze trochę i bym się spóźniła. Gdy wróciłam, w Pałacu panowała cisza. Starłam się dojść do tego, czy mi się przywidziało, czy wygląd tego miejsca znowu się zmienił, kiedy wyszłam zza zakrętu i prawie wpadłam na ścianę.

Nie, nie ścianę. Osobę.

Zareagowałam błyskawicznie. Odsunęłam się kilka kroków od postaci, zanim spojrzałam na jej twarz. Ostrza w sekundzie znalazły się w moich dłoniach. O Matko, jakie lekkie one były.

Uniosłam wzrok. Przewiercały mnie ciemne czerwone oczy.

Na uczcie, nawet będąc po drugiej stronie jadalni, pomyślałam, że ten mężczyzna wydaje się inny niż wampiry, które do tej pory spotkałam. Po przyjrzeniu mu się z bliska nie miałam co do tego wątpliwości. Rysy Raihna były ostre – prawie nieprzyjemnie ostre, jakby każdy jego centymetr miał zbyt dużo osobowości, by można było ją w ten sposób połączyć. Podczas gdy czas odciskał na ludziach ślad, w przypadku wampirów tylko rozwiewał niedoskonałości – pozostawiał je pięknymi jak wspaniale wypielegnowany miecz Zrodzonego z Nocy. Jednak twarz tego mężczyzny zdawała się trzymać w sobie dowód życia, które miał za sobą – blizna naznaczająca jego lewy policzek w formie dwóch linii na wzór odwróconej litery V, jedna brew zdawała się trochę wyżej od drugiej, a jego włosy składały się z niesfornych fal.

To spojrzenie spokojnie przesunęło się po moim ciele i spoczęło na mojej broni, która była w gotowości. Jego lewa brew – ta, która wydawała się nieco wyżej umiejscowiona – uniosła się jeszcze wyżej.

- Nowe? Dzięki Matce, że nie miałaś ich zeszłej nocy, wtedy nie miałbym już nogi.
- Zejdź mi z drogi.
- Gdzie byłaś?

Próbowałam go wyminąć, ale przyłożył dłoń do przeciwległej ściany na wysokości mojej twarzy, przez co zablokował mi przejście umięśnionym ramieniem pokrytym skórzanym rękawem.

– Wiem, gdzie byłaś. Odwiedzałaś władcę Zrodzonych z Nocy. To ty, prawda? Jego człowiek? – Przekrzywił głowę. – Jesteś bardzo sławna, wiesz? Nawet na granicach. Prawdziwa ciekawostka.

Chciałam przejść pod jego ramieniem, by kontynuować wędrówkę do szklarni, ale osunął je niżej i znowu zablokował mi drogę. Następnie kiwnął głową w stronę swojej nogi.

- Zraniłaś mnie.
- Złapałaś mnie.
- Próbowałam ocalić ci życie.

Nie powinnam się nawet w to angażować. Niemal słyszałam w głowie głos Vincenta: *Pomyśl, co możesz osiągnąć z interakcji. Odpowiedź to: zazwyczaj nic.*

Jednak moje ego musiało odpowiedzieć. Ostentacyjnie popatrzyłam po sobie.

– Nie sądzę. Uciekłam i wyglądam na żywą.

Ta brew ponownie drgnęła.

– Do czasu.

Powiedział to w taki sposób, jakby ta wymiana zdań sprawiała mu przyjemność.

Trochę za późno zorientowałam się, co miał na myśli.

– Próbowałam ocalić ci życie.

Tamtej nocy byłam tak strapiona, że nawet nie miałam czasu pomyśleć, kto mnie złapał i z jakiego powodu. Dopiero teraz zrozumiałam, że faktycznie próbował mi pomóc, a przynajmniej tak to wyglądało.

To było... dziwne. Tak dziwne, że nie sprawiło, że stał mi się bliski. Daleko mu było do tego. Byłam pewna, że nie zrobił tego z dobroci serca.

- Czego chcesz? – rzuciłam.
- Przepraszam za zranienie. Zwłaszcza że mogłam wydać cię bratu twojej ofiary i tego nie zrobiłem. – Pochylił się ku mnie, a ja w tym samym czasie cofnęłam się o krok. – To ty zabiłaś tego skurwysyna, prawda?

Prychnęłam, a on zmarszczył brwi.

– Co?

– Nie jestem głupia.

– Hm?

– Chciałeś, żeby ci czymś podpadł. Żeby mu pokazać, że masz większego.

W Domu Nocy wszystko było grą o władzę. Jego zachowanie na ucztach? To było przedstawienie.

Wolałabym, żeby moi wrogowie patrzyli na niego, a nie na mnie. To jednak nie znaczyło, że musiałam to znosić. Może był mną zainteresowany. Może lubił bawić się jedzeniem. Nie potrzebowałam wiedzieć, dlaczego grał w tę grę, bo było jasne, że i tak nic w niej nie wygram.

Uniosłam miecz.

– A teraz przepuść mnie.

Uniósł brwi.

– Chciałem przeprosin, a dostałem groźby.

– Przepraszam, że nie wymierzyłam wyżej.

Spojrzał po sobie z rozbawieniem.

– Trochę wyżej czy znacznie wyżej?

To było niemal zabawne. Trochę zbiło mnie to z tropu. Rzadko się zdarzało, żeby wampiry żartowały. Setki lat sprawiły, że uszło im poczucie humoru. Gdy miałam piętnaście lat, przestałam próbować, żeby Vincent to zrozumiał. Na szczęście miałam Ilanę, która...

Ta niespodziewana myśl o niej spowodowała ból tak intensywny, że wydusiło mi powietrze z płuc.

– Przepuść mnie – zdenerwowałam się.

Spojrzał na mnie, zdumiony.

– Co to było?

To również zbiło mnie z tropu. Że zauważył tę zajawkę emocji, która pojawiła się na mojej twarzy.

– *Przepuść mnie.*

– Bo inaczej co?

– Bo inaczej znowu wbiję w ciebie ostrze.

– Jak wysoko?

Przez moment zastanawiałam się, czy faktycznie tego nie zrobić. Może to była najlepsza szansa, jaką dostanę. Teraz, kiedy traktował to wszystko jako jeden wielki pieprzony żart. Tacy to mają luksus.

Jedynie myśl o tym błysku czerni, a następnie bieli, powstrzymała moją rękę. To na pewno był Asteris.

Zamiast tego zlustrowałam go od góry do dołu. Nachyliłam się ku jego udu, a następnie przesunęłam wzrok na jego krocze i powiedziałam:

– Nieznacznie.

Przeszłam pod jego ramieniem. Tym razem zaśmiał się lekko i nie próbował mnie już powstrzymać.



Księżyc w pełni świecił mocno, zapowiadając zbliżające się wyzwanie. Minuty oczekiwania jego wzniesienia się były pełne napięcia i ciszy. Do mojej kryjówki w szklarni nie docierały żadne dźwięki z korytarzy Księżycowego Pałacu.

Dochodziła północ, kiedy mgielka cienistej nici pojawiła się ponownie, by wyprowadzić nas z pokojów. Podążyłam za nią do wielkiej sali, w której przemawiał wtedy do nas Minister. Pomieszczenie powoli zapełniło się uczestnikami, gdy do mojej nici dołączyły pozostałe. Kiedy wszyscy byli na miejscu, wyparowały i zostawiły nas, stojących w niezręcznej ciszy.

Wszyscy poświęcili dzień na przygotowania. Uczestnicy byli wyposażeni w nową, wyczyszczoną broń i skórzane zbroje, przylegające ciasno do ich ciał. Niektórzy nosili ochronne pieczęcie na gardłach albo przymocowali je do zbroi. Zbadałam je wzrokiem dokładnie. Nie oznaczało to, że stosowali magię, ale bardzo możliwe, że jej używali. Magia mogłaby być paskudną niespodzianką na arenie.

Przez ten czas niektórzy zdołali już stworzyć małe frakcje. Dom Krwi oczywiście trzymał się razem. Teraz miałam wątpliwości, czy wysoka muskularna kobieta była ich liderką, tak jak założyłam wcześniej. Słuchali jej w skupieniu, kiedy szeptała im rozkazy. Jej niemal w całości srebrne włosy były teraz zaplecione w długi warkocz, który odsłonił wydatne kości policzkowe i pełne brwi. Gdy się odwróciła, by porozmawiać z jednym ze swoich towarzyszy, zauważyłam niewyraźną kreskę czerwieni wychodzącą spod kołnierza jej białej skórzanej zbroi.

Jej klątwa. Nigdy wcześniej nie spotkałam Zrodzonego z Krwi, ale słyszałam, że te czerwone naznaczenia na ich skórze świadczyły o ostatnim etapie przekleństwa. Jeśli to była prawda, tej kobiecie nie zostało dużo czasu. Kolejnym etapem będzie utrata zmysłów. A po tym...

Krążą pogłoski od tych, którzy doświadczyli klątwy z Domu Krwi, a mianowicie, że zamieniła ich ostatecznie w coś na wzór zwierząt.

Zadrżałam i odwróciłam wzrok.

Część z pozostałych uczestników również zebrała się w grupki, ponieważ prawdopodobnie zobaczyła tymczasowo zwiększone szanse w liczbach. Zapewne stworzyli je także z myślą o Próbie Kwadry, której struktura powtarzała się w każdym turnieju: uczestnicy musieli się połączyć w zespoły albo pary i walczyć, aż połowa areny zostanie wyeliminowana.

Odnalazłam wzrokiem Raihna po drugiej stronie pokoju. Obok niego stała ta radosna kobieta o krótkich włosach. Nachyliła się ku niemu i szeptała coś, podekscytowana, podczas gdy on skanował wzrokiem pomieszczenie.

Co za dziwaczna para.

Tylko kilkoro pozostało odsuniętych od reszty grup: ja, paru członków Domu Cienia – znanych ze swojej silnej niezależności – oraz Ibrihim, który był jednym z ostatnich przybyłych. Wyraźnie kulał na swoją okaleczoną nogę.

W Kejari nie było miejsca na współczucie. Mimo to poczułam je, gdy obserwowałam, jak Ibrihim kuśtyka przez salę. Wiedziałam lepiej niż ktokolwiek inny, że nikogo nie należało od razu dyskwalifikować, ale jednak trudno było mi wyobrazić sobie inną wersję dzisiejszych wydarzeń, które nie skończyłyby się śmiercią Ibrihima.

Minuty mijały. Czekaliśmy w pełnej napięcia ciszy.

Wyciągnęłam broń i poprawiłam uchwyt na rękojeściach.

Zapoznałam się ze wszystkimi dwudziestoma Kejari, które odbyły się przed tym, i długo i ciężko myślałam nad tym, na czym miałyby polegać pierwsza próba. Pierwsza zwykle reprezentowała odejście Nyaxii z jej domu w Białym Panteonie. Zawędrowała poza granice jej ziemi i podczas nocnej wędrówki została zaatakowana przez bestie. Gonili ją kilometrami i w panice się zgubiła. Czasem próba polegała na oślepieniu zawodników, jako że Nyaxia została oślepiona podczas jej ataku. Niekiedy uczestnicy musieli uciekać i walczyć na zdradliwym terenie. Najczęściej jednak próba zawierała bestie – raz kilka, raz jedną.

Przedłużająca się cisza wydusiła ze zgromadzonych niekomfortowe szepty zmieszania. Ostatecznie jeden z Hiajów zapytał o to, nad czym się wszyscy zastanawialiśmy.

– To co teraz? Czy mamy...

Nagle Księżycowy Pałac po prostu zniknął.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Krzyki tłumu poruszyły ziemię. Oślepiło mnie jasne światło. Z początku założyłam, że było to słońce.

Ale nie. Pochodnie. Tysiące pochodni. Zdobiły okrągłe brzegi koloseum, lewitowały setki metrów nad nami i znajdowały się w rękach tysięcy widzów. Wszyscy krzyczeli, krzyczeli i krzyczeli...

Zupełnie jak Ilana...

Przez moment nie istniało nic innego poza niebem, światłem i rykiem widowni. Wyciągnęłam szyję w kierunku gwiazd, które były ledwie widoczne ponad płomieniami lampionów. Sam ogień zlał się w okrągłą plamę, akcentowaną szynami srebrnego metalu – zupełnie jak dach szklarni.

Rusz się, Oraya! – zagrzmiął mi z tyłu głowy głos. Głos Vincenta, jak zawsze. Usunęłam się na bok w ostatniej chwili.

Gigantyczne pazury wbiły się w piach, gdzie znajdowałam się przed momentem.

Świat nagle przybrał na ostrości.

Rozległ się kolejny wrzask, znacznie bliżej, gdy uczestnik z Hiajów został rozerwany na kawałki. Jego oderwane skrzydło było zaciśnięte między zębiskami ociekającej paszczy, ciało z kolei znajdowało się w pazurach, a na ziemi pod nim powstawała czerwoczarna kałuża krwi.

To nie była bestia. To był pieprzony demon.

Demona widziałam raz w życiu i tak zostałam przez niego poturbowana, że ledwie to pamiętam. Nawet tamto straszne doświadczenie to nic w porównaniu z tymi. Poruszały się na każdym pięttrze, bezwłose i ciemnoszare z wystającymi i pulsującymi czarnymi żyłami. Długie palce, stworzone do chwytania i zabijania, były zakończone ząbkowanymi czarnymi pazurami. Twarze – płaskie, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, odciętymi nosami i białymi oczami pokrytymi mgłą – a na nich usta, ciągnące się od jednego szpiczastego ucha do drugiego. Ociekały szerniąłą śliną, która płynęła po postrzępionych zębiskach. Razem wyglądały koszmarnie zwierzęco i zatrważająco... ludzko.

Poruszały się tak szybko, że nie mogłam ich zliczyć. Tak szybko, że przebiegły arenę w czasie, który potrzebowałam na mrugnięcie. Więcej niż pięć. Mniej niż dziesięć.

Przycisnęłam plecy do szkła. Nastąpił wstrząs, jakby coś z impetem uderzyło w ścianę za barierą. Koloseum zostało podzielone na wiele mniejszych aren, odseparowanych szklanymi bańkami. Zostałam uwięziona w jednej z nich z kilkoma Hiajami. Jeden Rishan. Jeden Zrodzony z Krwi. Kiretta należąca do Zrodzonych z Cienia i używająca magii, co do której ostrzegał mnie Vincent. Oraz – zaśmiałam się ponuro, ponieważ było to do przewidzenia – Raihn.

Kiedy demony zgromadziły się w centrum areny, momentami rozpraszone wciąż drgającym ciałem wampira, którego dopiero co rozszarpały, rozejrzeliśmy się ostrożnie. Wszyscy myśleliśmy o tym samym: czy naszym zadaniem było zabicie demonów, czy siebie nawzajem?

A może jedno i drugie?

Nie miałam czasu się nad tym zastanawiać, ponieważ jeden z demonów zanurkował ku mnie. Usunęłam się na bok przed tymi ostrymi jak brzytwa łapskami, ale nagle moje ciało przestało być zdolne do ruchu. Mięśnie zbuntowały się przeciwko mnie, jakby chciały mnie zatrzymać na drodze demona, jakby chciały...

Niech to szlag. Magia krwi.

Spojrzałam w górę i napotkałam wzrok uczestnika z Domu Krwi. Wokół jego uniesionej ręki krążyła czerwona mgielka, dzięki czemu manipulował moją krwią. Mógł się skupić na tym tylko przez moment, ale to wystarczyło, by wysłać mnie pod pazury demona.

Rusz się, rusz się, rusz się!

Przewiercał mnie ból. Gdy tylko uwolniłam się od pętającej mnie magii, chwyciłam za jeden ze swoich mieczy i zanurzyłam jego koniec w podniebieniu demona w tym samym momencie, w którym te zębiska miały się na mnie zacisnąć.

Nozdrza wypełnił mi straszny smród spalenizny – trucizna. Demon wydusił z siebie piskliwe wycie. Gdy wyciągałam miecz z gęby potwora, otoczyły nas czarne dymki. Gdy jego paszcza się zamknęła, zauważyłam, że skóra mu topniała. Resztki górnej szczęki skapywały na dolną.

Matko, jakie to było potężne. Podziękowałam Vincentowi w głębi duszy i uciekłam przed uściskiem wroga, gdy ten wycofał się chwiejnie do swojej watahy.

Po drugiej stronie bańki Raihn atakował demona uderzeniami swojego miecza. Imponująca broń, której efekty były widoczne nawet z tej odległości. Była to stal Zrodzonych z Nocy, tak jak moja broń, z pasmami skażonej czerwienią ciemności, która podążała za każdym ciosem.

Po mojej prawej Zrodzony z Krwi uniknął ataku jednego z demonów, który zanurzył zęby w jego nodze. Usta wampira wykrzywiły się w uśmiechu, uniósł ręce i był gotów do zadania ciosu.

Wtem zastygł. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie niemające nic wspólnego z bólem, jakby właśnie uświadomił sobie coś potwornego. Odwróciło to jego uwagę na tyle, że bestia wykorzystwała to i przyciągnęła go bliżej do siebie. Na jego skórze połyskiwały czerń i czerwień, z których wydobywała się szkarłatna mgła.

Na mojej skórze pojawiła się nieprzyjemna gęsia skórka, a kiedy odskoczyłam od demonicznego ogona, zaraz zastąpiło ją uczucie palenia. Dziwne. Niepokojące. Znajome. Nie mogłam tego nigdzie umiejscowić, ale...

Zrodzony z Krwi próbował walczyć, lecz było za późno. Jego ciało zostało zmięte jak papier w szczękach demona.

Dymki cienia wypełniły bańkę, kiedy Kiretta wykorzystwała w pełni swoją magię i fragmenty mroku otoczyły kończyny potworów i ich gardła. Nie dało to jednak pożądanego efektu. Jeden z Rishan wzniósł się pod sufit szklanej bariery i wystrzelił strzały na demony poniżej. Manewrował tak, by uniknąć ich kolczastych ogonów, ale mało przejęły się atakiem. Kiedy kolejny Hiaj poległ, na policzek trysnęła mi krew.

Czwórka. Pozostała nas czwórka.

Walczyłam do momentu, kiedy przestałam czuć własne ciało. Kiretta również powoli słabła. Rishan coraz gorzej radził sobie z unikaniem ataków. Nawet ciosy Raihna wydawały się powolniejsze niż do tej pory. Moje dłonie były tak śliskie od zgniłej czarnej krwi, że miałam trudności z utrzymaniem mieczy, a krople trucizny przetarły mi skórę do żywego mięsa.

Nie zdołaliśmy zabić żadnego demona. Nawet ten, którego zraniłam i którego szczęki rozorałam, zachowywał się, jakby nic się nie stało.

Po drugiej stronie areny demon rzucił się na Raihna, który zgrabnie odskoczył... i majestatycznie rozłożył pierzaste skrzydła. Rozwinął je w pełni i podleciał pod sufit bańki. Czerwono-czarne pióra były naznaczone purpurą, którą ujawniły pasy srebrzystego światła księżyca.

A więc był Zrodzonym z Nocy i oczywiście Rishanem. Powinnam się domyślić.

Przeturlałam się na bok przed kolejnym atakiem, kątem oka wciąż go obserwowałam. Zobaczyłam, jak nurkuje, patrzyłam, jak wbija miecz między żebra demona...

I wtedy inna bestia obrała sobie mnie za cel. Zanim jednak cokolwiek jej zrobiłam, drgnęła.

Wszystko przestało być ważne poza tym jednym drgnięciem. Ten jeden ruch mięśni. Wróg szybko oprzytomniał, a ja rzuciłam się do ucieczki przez piach. W głowie jednak w kółko powtarzałam ten moment.

Nie, nie wydawało mi się. Demon drgnął dokładnie w tym samym miejscu, w które Raihn uderzył innego potwora.

Przypomniałam sobie to przerażenie wymalowane na twarzy Zrodzonego z Krwi, kiedy demon pił jego krew. O czerwonym połysku, który pokrył ich ciała, o mgiełce i tym dziwnym palącym uczuciu, którego doświadczyłam...

Zszokowało mnie to, co sobie właśnie uświadomiłam.

To była magia krwi. Niechlujna i niedopracowana, tak, ale to wciąż była ta magia. Jeśli demony używały darów, które posiadały wyłącznie wampiry z Domu Krwi...

Przedziurawiłam rękę potwora, która ku mnie sięgnęła, i poczułam nowy rodzaj strachu w tym przerażającym agonialnym wyciu. O Matko, to brzmiało niemal jak... jak krzyk.

To nie były zwyczajne demony. To były demony, które niegdyś były wampirami – Zrodzonymi z Krwi, przeklętymi wampirami.

Myśl, Oraya.

Transfiguracja. Wiedziałam, że klątwa ciężąca nad Zrodzonymi z Krwi robiła im coś potwornego w ostatnich dniach, ale nie miałam pojęcia co. A więc to zostało zmienione. Stworzone na nowo. Byli jakoś ze sobą powiązani? Obserwowałam ich ruchy podczas setnych sekundy, kiedy musiałam to zrobić unik, to zadać cios. Obserwowałam ich dynamikę.

Wataha. Poruszali się razem, jak gdyby byli ze sobą związani. Może to oznaczało, że mieli przywódcę – serce tego zgniętego mięcha. Jeśli demony były przekształconymi wampirami, może jeden z nich był oryginałem, a pozostałe jego nasieniem.

– Powtórz to! – krzyknęłam do Raihna, który z powrotem wzleciał ku górze.

Przekrzywił głowę w niezrozumieniu. Hałas zagłuszył moje słowa.

Wystrzeliłam palcem w kierunku demona, a następnie dotknęłam swojego czoła, by zwrócić uwagę na pojedyncze białe znamię między jego oczami. „TEN, TY IDIOTO!”

Nie wiedziałam, czy zrozumiał, co chciałam mu przekazać, albo czy w ogóle by mi pomógł, gdyby zrozumiał.

Zaczęłam przedzierać się przez watahę bestii. Postawiłam wszystko na tę teorię. Nie było opcji, żebym to przeżyła, jeśli się myliłam. Dostanie się do watahy było trudne, a wydostanie się z niej wprost niemożliwe. Cios za ciosem moich zatrutych mieczy powodował zawahanie się demonów, ale nie było czasu, żeby się upewnić, czy upadły. Dokładnie. Szybko.

Czerwona mgła, która powiększała się z każdym martwym demonem, paliła moją skórę. Wijące się ciała zlały się w jedno, tłusta szarość z tłustą szarością, ale nie spuszczałam wzroku ze swojego celu, nawet nie śmiałam mrugnąć...

Mój cel wydał z siebie przeraźliwy wrzask, a jego kończyny poleciały we wszystkich kierunkach. Kiedy wielki miecz zatopił się w jego boku, czarna krew trysnęła mi na twarz. Ciało Raihna zadrżało z wysiłku, kiedy przycisnął bestię i ledwie uniknął jej ogona i pazurów. Napotkałam jego wzrok wśród tego chaosu i czerwonej mgły. Kiwnął głową.

Nie mogłam uwierzyć w słowa, które pojawiły się w mojej głowie, ale pomyślałam: *Idź z błogosławieństwem Nyaxii.*

Jeżeli ten demon był kiedyś wampirem, oznaczało to, że potrzebowaliśmy jego serca. To z kolei oznaczało, że musiałam znaleźć się pod tym czymś. Padłam na kolana, wycelowałam miecz i...

Ból zaczął rozsadzać moje biodro.

Widok przed oczami mi się rozmazał. Dźwięk pęknięcia dzwonił mi w uszach, a odgłosy tłumu i demonów się oddaliły.

Nie dotarło do mnie, że uderzyłam w ziemię, dopóki nie zobaczyłam swoich rąk opierających się o podłoże. Spojrzałam po sobie. Z mojego uda wystawała strzała.

No pięknie – pomyślałam, po czym wszystkie demony runęły w moim kierunku.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie mogłam się poruszyć. Uderzałam zaciekle bronią, trafiałam to w ciało, to w kość, a to w oko. Nie widziałam nic poza ślizgającymi się warstwami szarego mięcha. Moja żałosna magia wytworzyła iskrę na koniuszkach palców, bezużyteczne skrawki niebieskobiałego światła. Padała na mnie tylko krew i krew. Miotające się ciała demonów na tyle się rozeszły, że byłam w stanie zobaczyć fragment nieba ukrytego w większości za toksycznym czerwonym dymem. Zobaczyłam część księżyca drwiącego ze mnie przez szkło bariery.

Wtem przesłoniły go wielkie skrzydła. Pióra, otoczone światłem księżyca i lampionów, były w głębokich odcieniach czerwieni i purpury.

Czas znacznie zwolnił, kiedy Raihn zaatakował mieczem demona nade mną. Potwór zasyczał i się zamachnął. Na policzku otworzyła mi się rana cięta, ponieważ nie zauważyłam jednego z pazurów.

Nic nie słyszałam, ale zobaczyłam, jak wampirowi poruszają się usta. Mówiły: „Teraz!”.

Świadomość powoli mnie opuszczała. Zebrałam w sobie ostatki sił i wbiłam miecz w serce demona.

Pchnij mocno, zmijko – wyszeptał Vincent do mojego ucha.

Dźwięki wokół ucichły. Deszcz krwi stał się wodospadem. Pchałam i pchałam, aż sięgnęłam rękami rany i poczułam na knykciach śliskie ciało demona.

Umrę. Zdawało mi się, że już kiedyś byłam tego bliska. Tym razem jednak było inaczej. Gdy głowa demona się obniżyła, gdy jego zaćmione oczy spotkały moje, wiedziałam, że odczuliśmy to samo – ten terror naszej śmiertelności.

Jeśli to nie był klucz do zwycięstwa, byłam zgubiona. Całkowicie stracona. Uwięziona w piekle z tym czymś. Przez chwilę i wieczność balansowałam razem z demonem, tańcząc na ostrzu śmierci.

Nagły brak ciężaru spowodował u mnie gwałtowne wciągnięcie powietrza.

Raihn wydał z siebie chrapliwy ryk i zrzucił ze mnie demona, złapał go za gardło i posłał w piach przesiąknięty krwią. Krzyki z tłumu były teraz ogłuszające. Nie mogłam złapać tchu. Nie mogłam się poruszyć. Ból mnie paraliżował.

Skrzywiłam się w oczekiwaniu na kolejnego potwora. Czas mijał. Nic się nie działo. Zamiast tego stanął nade mną Raihn. Schował już skrzydła, jedną rękę trzymał na biodrze, a w drugiej wciąż dzierżył miecz ociekający krwią. Poruszył ustami, ale nie usłyszałam słów.

– Co? – próbowałam z siebie wydobyć.

Przysunął się bliżej, a usta uformowały mu się w uśmiešek.

– Powiedziałem: dobry pomysł.

Wyciągnął do mnie rękę, ale przeturlałam się na bok i stanęłam o własnych siłach. To spowodowało wybuch bólu w moim udzie.

Demony leżały teraz w bezruchu w formie worów mięsa pozbawionych kości. Przeżyła nas czwórka z pierwotnej siódemki. Wpatrywaliśmy się w siebie, nie schowaliśmy jednak broni. Miałam trudności z pozbieraniem śliskich i poturbowanych myśli.

Wygraliśmy? Czy jeszcze mieliśmy się pozabijać nawzajem?

Hiaj – sukinsyn, który mnie postrzelił – patrzył w ziemię. Nie na trupy, ale na cieniste linie, które prowadziły na kraniec bariery. Tam pojawiła się brama. Za nią znajdowały się zimne i ciche korytarze Księżycowego Pałacu, będące śmiesznym kontrastem do krwawego chaosu na arenie.

To było to. Najwyraźniej tylko takiego świętowania zwycięstwa mogliśmy się spodziewać.

Kiretta i Hiaj pokuśtykali do drzwi. Zawahali się tylko chwilę, bo chcieli odejść stąd żywi. Ja jednak nie ruszyłam się z miejsca. Nie chciałam tego pokazywać, ale nawet nie wiedziałam, czy byłam w stanie *iść*.

Zerknęłam do tyłu przez ramię. Po raz pierwszy, od kiedy tu przybyłam, ogarnęłam wzrokiem trybuny z krzyczącą publicznością. Była tak wysoko nad nami, że nie rozpoznałam żadnych konkretnych twarzy, ale złapałam się na tym, że i tak szukałam Vincenta.

Raihn też się nie poruszył. Patrzył na lewo, na bańkę znajdującą się obok naszej. Jej więźniowie byli jeszcze zamknięci w brutalnej walce, łącznie z Ibrihimem, który – o dziwo – jeszcze żył i walczył. Niewyraźna zmarszczka pojawiła się na brwi Raihna, co wyglądało na coś bliskiego troski. Gdy podążyłam za jego wzrokiem, zrozumiałam dlaczego, zobaczyłam bowiem jego przyjaciółkę. Skakała wokoło z gracją motyla i władała...

Zmarszczyłam brwi.

Władała *ogniem*. Nie białą, mroczną mocą nocnego płomienia, używanego przez Zrodzonych z Nocy. Nie, to był *ogień*.

Otworzyłam usta w szoku. Magia ognia była domeną Atroxusa – boga słońca należącego do Białego Panteonu. Nigdy nie widziałam wampira władającego magią, która nie pochodziłaby od mrocznych sztuk magicznych Nyaxii, zwłaszcza magią, która była wykorzystywana przez jej największego wroga. Nie wiedziałam, że to możliwe.

Raihn zastukał w szkło naszej bańki wystarczająco głośno, żeby przyciągnąć jej uwagę. Spojrzała na niego, a on wskazał na czoło pomiędzy brwiami, a następnie na demona w jej klatce, który miał na twarzy białe znamię.

Po tym jak gdyby nigdy nic odwrócił się ku mnie, ocenił mnie wzrokiem i wskazał drzwi.

– Śmiało.

Po moim trupie pozwolę mu iść za mną, zwłaszcza z moją krwawiącą nogą. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jak dla niego pachniałam.

– Śmiało – odpowiedziałam słodko.

Wzruszył ramionami i ruszył przodem, a ja pokuśtykałam za nim. Moja noga drżała.

Pierwsza próba zakończyła się małym entuzjazmem. Wszyscy wkradliśmy się z powrotem do naszych kryjówek w spokojnym otuleniu Księżycowego Pałacu. Od razu skierowałam się do szklarni. Desperacko chciałam się ukryć, zanim ktokolwiek poczuje moją krew i weźmie mnie za przysmak. Z mojego schronienia nasłuchiwałam echa innych powracających uczestników.

Jedna próba zakończona. Zostały cztery.

Pomyślałam, że poczuję pewnego rodzaju ulgę, ale gdy skuliłam się w listowiu i bez większego efektu próbowałam powstrzymać krwawienie, pozostało mi tylko walczyć z rosnącym przerażeniem.

Nie, ulga była dla bezpiecznych, a ja piętrzyłam zakrwawione ścierwa coraz wyżej i wyżej. Bezpieczeństwo było daleko poza moim zasięgiem.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rany okazały się głębsze, niż przypuszczałam. Ta na udzie nie przestawała krwawić pomimo grubego bandaża. Strzała musiała być zatruta i kto wie, co zawierał w sobie jad demonów. Obie rany były poważne, a serum od Vincenta starczyło tylko na jedną. Po długiej wewnętrznej debacie zdecydowałam się zaaplikować ją na rozcięcie na boku, które wydawało się bliższe zainfekowaniu.

To wciąż stawiało mnie w ciężkiej sytuacji. Musiałam zobaczyć się z Vincentem. Miałam pewność, że spotkam się z nim tej nocy – był opiekuńczy i wiedziałam, że po tym, co się działo na arenie, będzie chciał się dowiedzieć, czy wszystko ze mną w porządku. Modliłam się o to, żeby zdobył więcej lekarstwa, chociaż przeczuwałam, że to niemożliwe. Jeśli tego nie zrobi, nie wiem, co...

– Piękne gniazdko sobie uwiłaś.

Spięłam się tak gwałtownie na dźwięk głosu, że zaatakowała mnie salwa bólu. Chwyciłam za miecze i się odwróciłam. Z trudnością podniosłam się na nogi. Zostało jeszcze trochę czasu do świtu i nie byłam w formie do walki. Ale na pewno spróbuję walczyć, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Jak idealnie. Każda żywa istota w tym depresyjnym, martwym zamku w jednym miejscu. – Raihn przeszedł na środek szklarni i zatrzymał się przy od dawna wyschniętej fontannie. Popatrzył na pomnik bez twarzy, a następnie przez okna. Na koniec przeniósł spojrzenie na mnie, a kąciki jego ust niemal uniosły się w uśmiechu.

- Wynoś się – warknęłam.
- Przyniosłem ci coś.
- *Wynocha.*
- To nieuprzejme z twojej strony. – Usiadł na brzegu fontanny.

Myślałam, że starożytny kamień zapadnie się pod jego wagą. Naprawdę miał potężną sylwetkę, na tyle potężną, że nie wyróżniałby się spośród tych przeklętych demonów. A mimo to poruszał się z niezwykłą gracją, jakby doskonale znał swoje ciało. Oparł się nogą o kamień, położył na niej łokieć, a drugą nogę wyprostował. Wyglądał zupełnie zwyczajnie – tak zwyczajnie, że wiedziałam, że to zaplanował.

Spojrzał na rozgwieżdżone niebo i coś błyskawicznie przemknęło przez jego twarz. Odczytywanie mimiki było moją mocną stroną. Te należące do wampirów zawsze były bez wyrazu, zastygłe w nudnej nieśmiertelności przez wieki, a moje przetrwanie zależało od odkrycia znaczenia każdego drgnięcia. Jednak ta mała zmiana mnie zaskoczyła, ponieważ było to coś bardzo niespotykanego i nawet nie wiedziałam, jak się zabrać do rozszyfrowywania tego.

Znów spojrzał na mnie. Powrócił jego uśmiezek i ponownie wpatrywałam się w wampira, który bawił się mną w nieznanym mi sposób.

Przedstawienie. To był ktoś, komu bardzo zależało na opinii innych o jego osobie. Wiedziałam o tym już od momentu jego małego wybuchu na ucztę, kiedy sprowokował do ataku tego biednego skurwysyna i zyskał powód, by doprowadzić do rozlewu krwi.

Opuścił nogi na ziemię i pochylił się do przodu. Wraz z tym ruchem odskoczyłam do tyłu i zbliżyłam się do ściany.

- Co? – zapytał. – Śmierdzą?
- Powiedziałam, żebyś się stąd wyniósł.
- Myślisz, że przyszedłem tu się posilić? To mój wielki cel?

Jego cel gównie mnie obchodził. Wampiry cały czas miały problem z opanowaniem się w przypadku styczności z ludzką krwią. Czułabym się znacznie bezpieczniej, gdyby ochronienie mnie było wynikiem bolesnych i strasznych gróźb Vincenta skierowanych do tych, co chcieli mnie zranić. Prześladowanie mnie było zdecydowanie złą decyzją. Wszyscy wiedzieli, że skończyłoby się to egzekucją... albo i czymś gorszym. Ale oni nawet nie musieli o tym *decydować*, mogli po prostu zostać o władnięci...

Wspomnienie było wyraźne jak nigdy wcześniej – usta na mojej szyi, pocałunek zamieniający się w skubnięcie, które z kolei przekształca się w ukłucie bólu...

- Co to było?

Wróciłam do rzeczywistości. O Matko, utrata krwi musiała zacząć dawać mi się we znaki, skoro tak odpłynęłam myślami. Raihn wciąż miał na twarzy ten uśmiezek, ale

teraz dodatkowo zmarszczka ciekawości wstąpiła pomiędzy jego ciemne brwi.

– Gdzie odpłynęłaś?

Fakt, że dostrzegł zmianę na mojej twarzy, zdenerwował mnie bardziej, niż mogłam się do tego przyznać na głos.

– Już ci mówiłam – powiedziałam. – Wynoś...

– Co zrobisz? Przebijesz mnie?

Spojrzał na moje ostrza. Prowokował mnie. Kpił ze mnie, ponieważ oboje wiedzieliśmy, że nie potrafiłabym tego zrobić w moim aktualnym stanie.

– To udo wygląda koszmarnie. Tak trochę romantycznie to wyszło. – Dotknął swojego uda, wciąż obandażowanego.

Pewnie. Cholernie romantycznie.

– Przyniosłem ci coś na to.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej niebieską kryształową butelkę zawierającą lśniący, jasny płyn.

Matko. Na ten widok prawie bez namysłu po to skoczyłam. Jak znalazł eliksir, skoro nawet Vincent miał trudności, by go zdobyć?

Raihn postawił buteleczkę na kamieniu obok siebie, a następnie oparł łokcie na kolanach i obserwował mnie.

– Wiesz – powiedział jak gdyby nigdy nic. – Podśledzałem nieco innych, gdy rozmawiali przed pierwszą rundą. Zakładali się, kto przeżyje. Twoje imię pobilo inne, bo wszyscy byli tak pewni, że zginiesz jako pierwsza.

Zamilkł na moment w oczekiwaniu na moją reakcję, ale się nie doczekał.

– Ale ja wiedziałem lepiej – kontynuował. – Wiedziałem, że należy cię obserwować. Że nie jesteś zwyczajnym człowiekiem. Niezwykłe ludzkie szczenię króla Zrodzonych z Nocy.

To nie pierwszy raz, kiedy ktoś tak o mnie powiedział, i wiedziałam, że nie ostatni, ale i tak się najeżyłam. Rozsadzał mnie taki ból, że trudniej niż zwykle było mi utrzymać nerwy na wodzy.

Uspokój się, Oraya. Złość oznacza przyspieszenie serca. Szybsze bicie serca oznacza wzmocnienie twojego zapachu. Zignoruj ich.

To nie to, że nie wiedziałam, co on robił. Prowokował mnie, zupełnie jak tego wampira na uczcie. Gdybym była zmiją, zacząłby mnie kijem, by zobaczyć, kiedy go rozpołowię.

– Nauczył cię tak walczyć? Musiał, prawda? – Pokiwał głową w kierunku mojej broni, cały czas trzymanej w gotowości. – Przecież dał ci miecze. Twór Zrodzonych z Nocy. Świetna rzecz.

– Jesteś głuchy czy po prostu głupi?

– Jesteś niemiała.

Co chciał osiągnąć? Czy myślał, że łatwo mną manipulować? Czy uważał, że nie wiedziałam, w co pogrywał?

– Co tu robisz? – zdenerwowałam się. Dotychczas z trudem ukrywałam mój ciężki oddech i utrzymałam siłę w głosie. – Przyszedłeś się zabawić? Jestem cholernie nudna, przysięgam ci to.

– To widzę.

– Nie pogrywaj sobie ze mną. Nie mam do tego cierpliwości.

Ponownie kącik jego ust uniósł się w ponurym uśmiechu.

– Ani czasu – odparł i spuścił wzrok na ranę na moim udzie.

Zacisnęłam szczęki. Nasze oczy znowu się spotkały i przez dłuższy moment wpatrywaliśmy się w siebie, zamknięci w konwersacji bez słów.

Wiedziałam, że mówił prawdę. On o tym wiedział, ja o tym wiedziałam. Nie podobało mi się, że on wiedział, że ja wiedziałam.

– To przestań go marnować – wycedziłam w końcu. – Czego chcesz?

– Będziesz moim sojusznikiem na Próbie Kwadry?

Zamrugałam. Nie wiedziałam, czego się spodziewałam – być może więcej gierek – ale z pewnością nie tego.

To było ciekawe pytanie. Ważne pytanie. Wybranie towarzysza na Próbę Kwadry było krytyczną decyzją. To musiał być ktoś wystarczająco silny, by utrzymać cię w pierwszych pięćdziesięciu procentach uczestników podczas samej próby, ale nie mógł być zbyt silny, ponieważ wówczas stałby się twoim największym rywalem w ostatnich dwóch próbach.

Podczas gdy ogólny charakter próby zmieniał się z każdym Kejari, trzy zasady pozostawały niezmiennie: wymagała kooperacji, kończyła się śmiercią połowy uczestników i tym, że wielu zostanie potem zabitych we śnie – najczęściej przez byłych towarzyszy, którzy uznali, że to zbyt wielkie ryzyko i dalsza współpraca nie przyniesie im zwycięstwa.

Pomimo moich najszczerzych chęci nie mogłam powstrzymać zmarszczenia nosa.

Raihn wydał z siebie niski chichot.

– Tak myślałem. – Następnie powiedział bez wahania: – Dołącz do mnie.

Uniosłam brwi.

Vincent często beształ mnie za to, że kiepsko kontrolowałam emocje, i na tę minę Raihn ponownie wybuchł śmiechem.

– Dołączyć... do ciebie – powtórzyłam.

– Do mnie i Mische.

Mische. Czy to było imię tej krótkowłosej dziewczyny? Tej od ognia?

– Zaklepaliliśmy pokój w pobliżu szczytów wież – ciągnął. – Jest zabezpieczony. Całe ogromne mieszkanie. Bezpieczne. A przynajmniej bezpieczniejsze niż to miejsce.

Nie podobało mi się to.

– Dlaczego?

– Bo mi zaimponowałaś.

– Pieprzysz.

Jego brwi drgnęły w wyrazie delikatnego zaskoczenia, jakby zupełnie nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Słucham?

– Nie wyszła od ciebie nawet najmniejsza prawda, odkąd tu przyszedłeś, więc pozwól, że będę szczerą. Jestem człowiekiem. Oboje wiemy, że to czyni ze mnie najsłabsze ogniwo. Masz do wyboru pięćdziesiąt silniejszych wampirów, z którymi możesz współpracować. I myślisz, że uwierzę, że chcesz konkretnie mnie?

Przebadał rozcięcie na swoim palcu serdecznym.

– Tak naprawdę to teraz już czterdziestu. Słuchaj, tej jednej nocy pokonałaś wojowników, którzy przewyższają cię w wielu aspektach. Ty i ja... – Wrócił do mnie wzrokiem. – Dobrze nam się współpracowało, nie? Poza tym lubię mieć pod sobą kogoś słabszego.

– Przestań pieprzyć. – Zaakcentowałam oba słowa i wycelowałam w niego jeden z mieczy. – Czy inni dali się na to nabrać? Powiedz mi jedną prawdziwą rzecz albo się wynoś, co mówię, od kiedy tylko tu się pojawiłeś.

Nikomtu tu nie ufałam, a co dopiero komuś, kto próbował mnie przekabacić takimi fałszywymi argumentami. Sam fakt, że chciał, bym się do niego przyłączyła, czynił go najmniej godnym zaufania, ponieważ nikt normalny by tego nie zrobił. Poradziłabym sobie z aroganckimi motywacjami – spodziewałam się ich – ale nie, kiedy nie wiedziałam, czym dokładnie były.

Mrugnął dwa razy i przygryzł wewnątrz policzka. Nie potrafiłam stwierdzić, czy go obraziłam, czy po prostu walczył z napadem śmiechu.

– Wszyscy inni dobrzy wojownicy, których mogłem w miarę tolerować, są już zajęci – powiedział w końcu.

– No i?

– No i co?

– To niewystarczający argument. Kontynuuj. Masz już swoją przyjaciółkę. Po co ci kolejna osoba?

– Pobudziłaś moją ciekawość. Winisz mnie za to? Wszystkich zainteresowałaś. Mała księżniczka Vincenta, trzymana w szklanym pałacu, przez który każdy mógł ją obserwować, ale nie mógł jej dotknąć. – Rozejrzał się i uśmiechnął sztucznie na widok kryształowych ścian szklarni. – Tęsknisz do swojego szklanego pałacu, księżniczko?

Nie mogłam pozwolić, żeby mnie sprowokował, także wtedy, kiedy zaczęła wzbierać we mnie irytacja na to określenie.

Jednak wspomnienie Vincenta spowodowało falę zrozumienia. To, przynajmniej to, miało sens. Może to była pierwsza prawdziwa rzecz, w którą uwierzyłam.

– Vincent nie może mi tu pomóc.

– Szczerze w to wątpię.

Ach.

Vincent. Chodziło o Vincenta. Propozycja współpracy nie miała nic wspólnego ze mną. Raihn pomyślał, że jeśli połączy siły z *małą księżniczką króla*, to zapewni mu ona to, czego nie doświadczą inni... i ochronę przed innymi uczestnikami.

Nie podobało mi się to i nie było to prawdą, ale przynajmniej miało sens.

Prychnęłam, ale się nie kłóciłam. Zamiast tego powiedziałam:

– No i?

– Tak? – Wyglądał na zmieszanego.

– Co jeszcze?

Kolejne długie spojrzenie. Kolejna konwersacja bez słów. Zapomniałam, jak to jest rozmawiać z kimś, kogo twarz wyraża tak wiele.

Było jeszcze coś – jeden kluczowy powód, dla którego byłam dla niego idealną towarzyszką. Oboje o tym wiedzieliśmy. On wiedział, ja wiedziałam. Nie podobało mu się, że wiedziałam, że on wiedział.

Ale poprosiłam o szczerość i chciałam, żeby wyszło to z jego ust.

Wyraźnie trawił odpowiedź i zastanawiał się, czy będzie właściwą, by zdać test. W końcu odrzekł:

– Będziesz łatwym celem po zakończeniu Próby Kwadry.

Jakież to było satysfakcjonujące usłyszeć to od kogoś.

– Ale do tego czasu – dodał pospiesznie – nic ci nie grozi. Obiecuję ci to.

W tym momencie usłyszałam głos Vincenta w szesnastoletnim wspomnieniu:

Jestem jedynym, który złoży tę obietnicę i jej dotrzyma.

– Dlaczego uważasz, że potrzebuję twojej ochrony?

Na jego korzyść tym razem się nie zaśmiał.

– Jesteś uzdolnioną wojowniczką. Lepszą, niż mógłbym przypuszczać. – Podniósł się z fontanny i zbliżył się kilka kroków. Nie spuszczał przy tym ze mnie wzroku. Jedna

z jego wielkich dłoni pokrytych bliznami była otwarta, podczas gdy druga zaciskała się na lekarstwie. Z każdym jego krokiem robiłam krok w tył.

– Wciąż jesteś człowiekiem – powiedział cicho. – A to oznacza, że tutaj jesteś zdobyczą. Zawsze nią będziesz, niezależnie od tego, jak dobra jesteś z tymi niezwykłymi mieczami.

To oczywiście prawda. Ale być może nie zorientował się, że wiedziałam, jak być zdobyczą. Byłam nią całe moje życie.

Miał rację. Musiałabym do kogoś dołączyć na Próbę Kwadry, po której musiałabym zabić swoich towarzyszy. Może i mogłabym do niego dołączyć, pozwolić, żeby mnie chronił, i spędzić czas na nauce jego stylu walki i słabości, a w międzyczasie przygotowywać się do pozbycia się go, jak tylko skończy się próba. Mógł nie brać mnie na poważnie i mogłabym to wykorzystać przeciw niemu.

Ale łączenie sił już teraz? To za wcześnie. Próba Kwadry, połowa turnieju, odbędzie się za sześć tygodni. To dużo czasu na bycie w pobliżu nie jednego, ale dwóch wampirów, z których rąk miałabym uniknąć śmierci. To dużo czasu, by nauczył się moich mocnych stron i słabości.

– Nie – powiedziałam. – Kusząca oferta, ale odmawiam.

Zrobił ku mnie kolejny krok, a ja zawtórowałam mu znowu krokiem w tył.

– Czego ode mnie oczekujesz? Tak naprawdę? Byłem z tobą szczery, więc teraz twoja kolej. Naprawdę uważasz, że przeżyjesz tutaj kolejną noc? Już prawie świt, ale po tym? Twój zapach jest teraz w całym Księżycowym Pałacu. Wyczułem cię już ze wschodniej wieży. I wiesz, że pachniesz *zajebiście*. Musisz szybko zatamować to krwawienie.

Spuściłam wzrok na eliksir, który mocno zaciskał w dłoni. Zaniepokoiłam się, gdy usłyszałam to wszystko. Ale równie mocno niepokoiła mnie jego bliskość. Nie podobało mi się, że zmuszał mnie tak do tego. Powody, które ujawnił, nie uzasadniły tego, co spowodowało, że te, których nie wygłosił, mnie zmartwiły.

– Nie – powtórzyłam.

– Wykrwawisz się na śmierć albo cię zabiją.

Przysunął się. Ignorując ból, odskoczyłam z przygotowanymi mieczami.

– Znowu cię przebiję, jeśli zrobisz jeszcze jeden krok – warknęłam. – Wynocha.

Uniósł ręce.

– Jak sobie życzysz, wasza wysokość. Jak sobie życzysz.

Upewnił się, że obserwowałam, jak chowa buteleczkę z lekarstwem do swojego plecaka, po czym po raz ostatni posłał mi uśmiech i skierował się do drzwi.

– Szczyt wschodniej wieży. Gdybyś zmieniła zdanie.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

Opuściłam kryjówkę godzinę przed świtem. Ryzykiem było w ogóle się poruszać – moja rana była w tak złym stanie, że ledwie powłóczyłam nogami. Gdybym zemdląła w połowie drogi, byłoby po mnie. Zacisnęłam jednak zęby, zmieniłam opatrunek i zaczęłam wędrówkę. Dotarcie na miejsce spotkania zajęło mi dwa razy więcej czasu niż poprzedniej nocy. Schowałam się pod mostem i czekałam.

Czekałam i czekałam.

Proszę, Vincent. No dalej. Proszę.

Na początku to do mnie nie docierało. Tylko trochę się spóźniał. Coś musiało go zatrzymać. To niemożliwe, żeby *w ogóle* nie przyszedł, nie, kiedy był świadkiem walki i widział moje rany. Pojawi się lada moment.

Ale minuty mijały, a po Vincencie nie było śladu.

Znałam mojego ojca i wiedziałam, że musiał mieć dobry powód, ale nie miałam czasu, by się tym martwić. Gdy wschód słońca był tuż-tuż, poddałam się i powlekłam się z powrotem do Księżycowego Pałacu. Poruszałam się jeszcze wolniej niż wcześniej. Krwawiłam okrutnie. Polegałam na pomocy Vincenta i to był dla mnie cios, gdy jej nie otrzymałam.

Ledwie wróciłam przed wschodem słońca, poranne światło przebiło się przez okna wysokie od podłogi do sufitu. Zajrzałam do jadalni. Na szczęście była pusta. Stół

przepełniały świeże potrawy, które wydawały się ledwo tknięte. Ale za to karafki z krwią były opróżnione.

Atakował mnie tak wielki ból, że na myśl o jedzeniu skręciło mi żołądek, ale i tak wepchnęłam sobie trochę do ust i kieszeni. Musiałam jakoś zachować siły, a trzeba było przyspieszyć tempo. W poprzednich dobach Księżycowy Pałac wypełniała cisza w ciągu dnia, a teraz dobiegały mnie różne echa niosące się korytarzami – stłumione głosy, uderzenia, lekkie kroki. Raihn miał rację. Za dnia szklarnia była bezpieczna, ale reszta Pałacu zdecydowanie nie.

Poruszałam się na tyle bezszelestnie, na ile pozwalały mi na to rany. Wyszłam z jadalni i ruszyłam ku wielkiej sali. Zatrzymałam wzrok na plamie światła na końcu korytarza – wejściu do szklarni. Był jasny, bezchmurny dzień. Światło dzienne je zalewało.

Byłam dosłownie dwa kroki od niego – tak blisko – kiedy usłyszałam kroki.

Rzuciłam na podłogę jedzenie i wyszarpnęłam miecze. Odwróciłam się w odpowiednim czasie.

Jedno z moich ostrzy wbiło się w naprężony mięsień napastnika, a drugie zablokowało jego cios, skierowany w moją twarz. Ten nagły ruch spowodował ból i aż pozbawił mnie tchu. Rany otwarły się na nowo, a świeża strużka krwi zaczęła doprowadzać wroga do szaleństwa.

Stało się to w mgnieniu oka. Nawet nie zdołałam się dokładniej przyjrzeć atakującemu, dostrzegłam tylko kilka szczegółów – białka jego wściekłego spojrzenia, szarość jego włosów i ogólny żylasty kształt sylwetki – tuż przed tym, jak skoczyliśmy sobie do gardeł. Poruszał się nierówno po zakrętach, niemal dziko. Warczał z wykrzywionymi ustami, a pazury wbijał głęboko w moje ramiona. Dzierżył rapier, którym otworzył kolejną ranę w moim boku.

Rzuciłam się na niego i oboje wtoczyliśmy się do szklarni. Roślinność była tu tak gęsta, że nie zrobiła mojemu przeciwnikowi nic poza lekkim dyskomfortem, na który reagował syknięciem.

Był jednak oszalały z żądzą krwi. Niezdarny. Nie zwracał uwagi na otoczenie. Gdy zanurkował ku mnie, wykorzystałam siłę jego ataku i uderzył w szklaną ścianę.

Poranek zaskoczył nas, ogrzewając mi skórę. Wampir przycisnął plecy do szkła, by wziąć na siebie całą intensywność słońca. Smród potu i palonego mięsa wypełnił mi nozdrza.

To powinno stłumić jego żądzę. Z pewnością.

Ale nie. Wydał jęk bólu i kontynuował atak. Mogłam zablokować jego zęby, ostre pazury czy broń, ale nie wszystko naraz, przynajmniej nie wtedy, kiedy próbowałam go

unieruchomić. Fetor spalenizny stał się gryzący.

Zachwiałam się. Zanurkowałam. Nie miałam wyboru. Posłałam go na szkło. Wykorzystałam jego moment zawahania, kiedy słońce poparzyło mu połowę twarzy.

Zanim zdołał się zregenerować, wbiłam sztylet w jego klatkę piersiową.

...Ale niedostatecznie głęboko. Ostrze nie przeszło dalej.

Byłam tak słaba. Wycofałam się i prawie straciłam przytomność, gdy świat się przewrócił.

Mgła gromadząca się przed moimi oczami nie objęła żółtych oczu wampira, poprządkanych nićmi czerwieni. Odwrócił się ku mnie, a na jego usta powoli wstąpił uśmiech.

Dałam z siebie wszystko podczas ostatniego ataku, napierałam mocno, dopóki nie usłyszałam odgłosu łamania i dopóki mój sztylet nie przeszedł przez jego pierś.

Przeszył mnie koszmar, palący ból.

Ciało wroga stało się bezwładne. Jego ciężar prawie mnie przewrócił. Nie był martwy, jego palce wciąż drgały. Nie wbiłam się tak głęboko, jak powinnam. Ale ręce mnie nie słuchały, gdy napałam ponownie.

Cofnęłam się chwiejnie, po czym spojrzałam w dół. Mój brzuch był cały we krwi. Nie czułam, gdzie dokładnie znajdowało się rozcięcie.

Tak naprawdę to niewiele czułam.

Jesteś w szoku, Oraya – usłyszałam nagle w głowie głos Vincenta. Wykrwawisz się. Musisz się stąd wydostać, TERAZ. Wyczują cię.

W moim umyśle panował chaos, ale zdołała przebić się przez niego jedna myśl:

Nie przeżyję w ten sposób czterech miesięcy. Nie mam szans.

Zacisnęłam rękę na brzuchu i uniosłam głowę. Tuż przede mną – jak prezent od Księżycowego Pałacu – znajdowały się spiralne schody.

Obejrzałam się. Drzwi do szklarni były zaskakująco daleko. Aż tak się oddaliłam? Nie pamiętałam tego. Ale mimo to coś jednak miałam w pamięci, kiedy wlokłam się po schodach. Krok po kroku, co na pozór trwało nieskończoność, tak jak pierwszej nocy. Po raz pierwszy poruszałam się po tych schodach, zdesperowana, by znaleźć się na ich szczycie.

Prawdopodobnie nie był to ostatni raz.

Gdy dotarłam na szczyt, poruszałam się już tylko na rękach i kolanach. Krew spływała po schodach i przez szczeliny w poręczy, lądowała w odległej wielkiej sali jak płatki kwiatów.

Kiedy schody się skończyły, uniosłam wzrok. Przede mną zamajaczyły pojedyncze drzwi.

Z trudem podniosłam się na nogi. Jeden krok i upadłam. Spróbowałam ponownie, ale poślizgnęłam się na własnej krwi. Nie poczułam, gdy uderzyłam w podłogę. Świat wirował mi przed oczami. Oddalał się.

Po jakimś czasie, co było wiecznością, ktoś przewrócił mnie na plecy. Z mojego gardła wydobył się zduszony jęk bólu.

Raihn pochylił się nade mną.

– Cóż – powiedział z rękami skrzyżowanymi na klatce piersiowej. – Nie zajęło ci to długo.

Cholerny drań.

Z gardła wyrwał mi się bulgot.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, zanim straciłam przytomność, był jego szeroki uśmiech odsłaniający dwa ostre kły.

– Och, nie ma za co, Oraya.

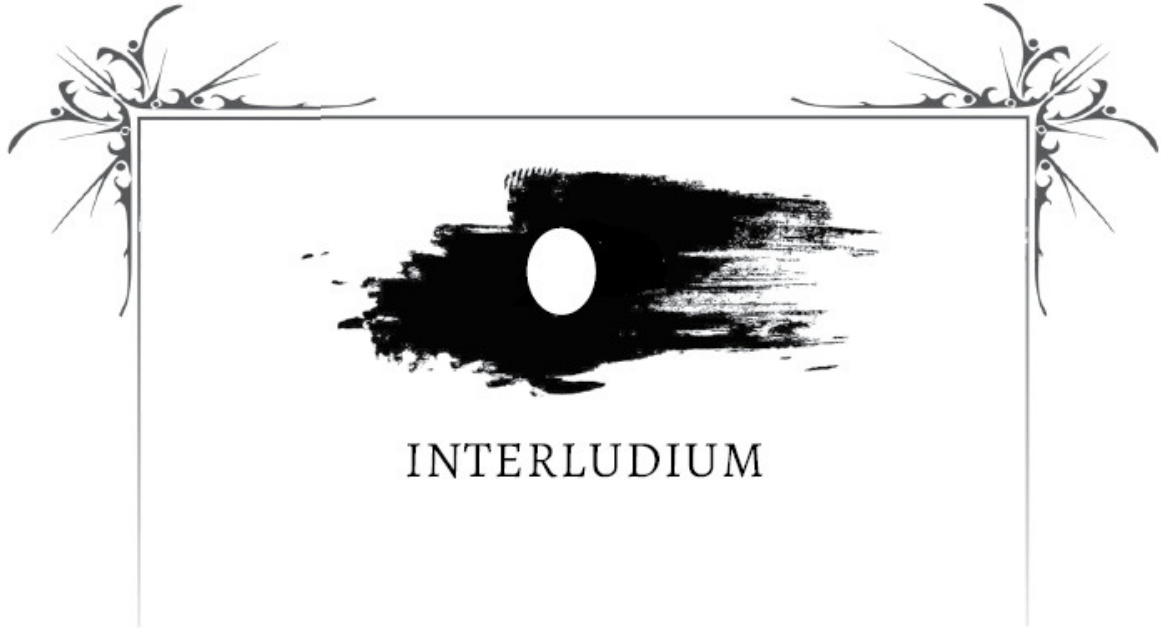
Usłyszałam jeszcze w głowie głos Vincenta.

Co ty, do cholery, zrobiłaś?



CZEŚĆ TRZECIA

KSIĘZYC
UBYWAJĄCY



Opowiem wam o tym czasie, kiedy dziecko pragnie być tym, kim nie jest.
Pięć lat to dla wampira bardzo krótko, natomiast połowa życia dla ludzkiego szczenięcia. Król trzyma swoją nowo zaadoptowaną córkę odciętą od reszty jego krwawego świata. Daje jej wszystko, czego potrzebuje, będąc zamknięta w czterech ścianach.

Dziewczynka kończy jedenaście lat, kiedy jej życzenia zaczynają wędrować poza komnatę. Król próbował być dla niej wszystkim, ale pomimo ochrony i miłości, jakimi ją darzył, wciąż był kilka setek lat od niej starszy i należał do całkowicie odrębnej rasy.

Dziewczynka pamiętała życie, które miała, zanim tutaj przybyła, nawet jeśli te wspomnienia były ulotne, konsumowane przez czas. Lata są długie dla małego dziecka, a wspomnienia krótkie.

Mimo to pamiętała, że miała wcześniej życie. Życie pośród ludzi, którzy byli jak ona.

Pewnej nocy, kiedy król przyszedł do niej w odwiedziny, zapytała go o swoją rodzinę. To nie był pierwszy raz. Poznała po wyrazie jego twarzy, że dostanie tę samą odpowiedź co zawsze, po raz enty.

– Wiem, że moich rodziców już nie ma – powiedziała szybko, zanim odpowiedział. – Ale muszą być inni.

– Inni?

– Inni jak ja.

– Ludzie.

Dziewczynka kiwnęła głową. Król milczał.

Podeszła do regału z książkami i wyciągnęła tom, który ważył niemal tyle co ona. Musiała z nim walczyć, żeby znalazł się ostatecznie na stole. Tomisko uderzyło z głośnym łupnięciem. Zaczęła kartkować atlas.

– *Znalazłeś mnie w zachodnich regionach Domu Nocy.*

Król zamrugał ze zdumieniem. Nigdy nie wyjawiał szczegółów jej znalezienia.

Dziewczynka rozpromieniła się trochę, zadowolona, że udało jej się zaimponować ojcu.

– *Domyśliłam się – odrzekła. – Terytorium Rishan, zgadza się?*

Nie potrafiła odczytać wyrazu twarzy króla. Kiwnął głową.

– *A potem gdzie? – Przesunęła palcem po zanikających kreskach: miastach i miasteczkach, które istniały dla niej wyłącznie jako atrament na mapie.*

– *To nie ma znaczenia.*

Dziewczynka zatrzymała palec. Miało to znaczenie. Ogromne.

Nauczyła się odpowiednio dobierać słowa.

– *Może ktoś tam został i mnie szuka.*

– *Ale masz dom tutaj, zmijko. – Król obdarzył ją niewielkim, ciepłym uśmiechem. – Dom idealny dla ciebie. Może i twoja krew jest czerwona, ale należysz do tego domu.*

Nie zrozumiał. Nie miała tutaj domu, życie w tych murach było życiem w ciągłym strachu.

– *To nie mój dom – powiedziała. – Wszyscy chcą mnie tutaj zabić.*

Król nie sprzeczał się z nią. Już wiele razy mówił jej, że to była prawda.

W końcu westchnął.

– *Znalazłem cię w miejscu o nazwie Salinae, w dalekiej dzielnicy po drugiej stronie granic Domu Nocy. Jednakże nawet jeśli twoja rodzina wciąż tam mieszka, Oraya, nie mogę ich dla ciebie znaleźć.*

Dziewczynka nie spodziewała się, że aż tak mocno trzymała się tej nadziei – tej kruchej, wymyślonej rzeczywistości – dopóki ta nie pękła w jej sercu.

– *Dlaczego? – wydusiła.*

– *To terytorium Rishan. Jako król Hiajów i przywódca Domu Nocy nie mogę tam wejść niesprowokowany.*

– *Czyli ja mogę. – Nie wahała się. – Ja pójdę.*

Zaśmiał się, ale zaraz wybuchł:

– *To nie jest żart!*

Uśmiech króla zniknął. Obserwował córkę dłuższy czas.

– *Jesteś człowiekiem. To dla ciebie zbyt niebezpieczne.*

– W takim razie przemień mnie – odgryzła się. – Żebym była jak ty. Przeczytałam o tym wszystko.

– Tego również nie mogę zrobić, Orayo.

Kolejna nadzieja pękła. Oczy jej płonęły.

– Dlaczego?

– Bo jesteś zbyt cenna. – Poczochrał jej włosy. – Dwie na trzy przemiany kończą się śmiercią. To więcej niż połowa. Nie będę ryzykować twojego życia.

Ścisnęła jej gardło i oczy ją zapiekły. Powstrzymywała łzy z całych swoich sił. Była w takim wieku, w którym dzieci zaczynają rozumieć przyszłość. W tym momencie dziewczynka zrozumiała, że ta prawda – to więzienie w postaci jej ludzkiego ciała – skazała ją na życie w tych czterech ścianach.

Odwróciła się do ojca i zacisnęła pięści.

– Coś musi się znaleźć – powiedziała. – Musi być jakiś inny sposób. Musi.

Król zachichotał, choć jego oczy pozostały odległe i smutne.

– Jaka odwaga.

Milczał dłuższy czas, a uśmiech zanikł wraz z poważną myślą. Tak długo się nie odzywał, że wydawało się, że umysłem przeniósł się do całkiem innego świata. Dziewczynka wiedziała, że nie można mu przerywać, więc obserwowała go i czekała.

Nauczyła się już, jak odczytywać emocje z jego twarzy, ale tego jednego nie знаła. Ponad dekadę później powróci myślami do tej konwersacji i zrozumie, że tym, co wówczas widziała, był jego konflikt – wyraz twarzy tak rzadki, że nie wiedziała, do której kategorii go przypisać. Wiele razy wracała myślami do tej nocy i tego, co ojciec miał jej powiedzieć. To pytanie bez odpowiedzi, nad którym się zastanawiał w ciszy, prześladowało ją.

Jednak jako mała dziewczynka nic o tym nie wiedziała. Po prostu czekała. W końcu król wychylił się ze swojego krzesła i oparł łokcie na kolanach.

– Jest jedna rzecz, dzięki której pewnego dnia możesz mi dorównać.

Zalała ją kolejna nadzieja.

– Co takiego?

Usta króla wykrzywiły się w smutnym uśmiechu.

– Dar od bogini.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Smiech był niski i głęboki, szorstki i jednocześnie gładki. Cichy, a jednak dudnił w pokoju. To pierwsza rzecz, jaka przebiła się przez mój zmieszany umysł, przez moją zamgloną świadomość.

Zmieniłam pozycję. Moje ciało zaprotestowało symfonią bólu, ale to było nic w porównaniu z tym, co czułam wcześniej. Brak bólu był wstrząsający.

Zamrugałam, by odgonić resztki snu, i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, okazały się czarne skrzydła, w których odbijały się światła lampionów. Nie miałam czasu na arenie, by popodziwiać skrzydła Raihna, ale były – nieważne, jak bardzo nie chciałam się do tego przyznać – całkiem ładne. Skrzydła Rishan widywałam rzadziej niż Hiajów, ale nie widziałam ich jeszcze w tak wyjątkowych barwach jak te – czarne z kreskami czerwieni, jak namalowane farbą olejną, z elementami purpury i niebieskiego.

Raihn klęczał przed Mische, która siedziała na stoliku kawowym. Trzymał jej stopę i pochylał się nad nią w wyraźnym skupieniu, w drugiej ręce miał rolkę bandażu.

– Powiedziałem, żebyś się nie ruszała, Mische – mruknął.

– Strasznie długo to trwa.

– Możesz się nie ruszać przez pieprzone dwie minuty?

Jego słowa były ostre, ale ton, jakim je wypowiadał – łagodny.

Mische wydała z siebie przeciągłe westchnięcie i wiła się jak niecierpliwe dziecko.

Ponownie zamrugałam i byłam w stanie już zobaczyć cały pokój. Znajdowaliśmy się w czymś, co przypominało przestrzeń wspólną mieszkania – bardzo ładną, choć o kilka stuleci przestarzałą. Lampiony świeciły ogniem oraz białoniebieskim światłem, które mrugało przy brokatowej tapecie, co dawało dziwny kontrast ciepła i zimna. Ściana grubych welurowych zasłon zakrywała połowę wschodniej części pomieszczenia – domyślałam się, że były to wszystkie okna. Meble były artystycznie zaaranżowane, wykonane z mahoniowego drewna lub marmurkowego czarnego kamienia wyściełanego jedwabistym brokatem. Wszystko to zdawało się zabytkiem z innych czasów, choć wyglądało tak nieskazitelnie, jakby zostało zrobione wczoraj.

– Powiedziałaś ci, że wszystko jest dobrze! Nie spowolni mnie w... och! Och!

Mische skoczyła na nogi z taką werwą, że omal nie kopnęła Raihna w twarz.

– O czym przed momentem mówiliśmy? – burknął, gdy uniknął ciosu, ale Mische nie zwróciła na niego uwagi i rzuciła się w moim kierunku na drugi koniec pokoju.

Wciąż kręciło mi się w głowie, ale mimo to się odsunęłam.

Zamarła z uniesionymi rękami.

– Och, przepraszam! Wiem, powiedział mi. Powoli. – Wzruszyła ramionami i zaśmiała się niezręcznie.

Powiedział mi. Najeżyłam się. Co to mogło oznaczać? Jest słabym ludzkim stworzeniem, bojącym się wszystkiego, więc traktuj ją jak ranne zwierzę.

Raihn odwrócił wzrok i mruzczał pod nosem przekleństwa.

– Jak się czujesz? – zapytała Mische. Usiadła na podłodze, schowała nogi pod siebie i położyła dłonie na kolanach, jakby usilnie powstrzymywała się, żeby do mnie nie podbiec. Jej oczy były zdecydowanie za duże w stosunku do wielkości twarzy, co wyglądało niemal komicznie z dodatkową dysproporcją małego nosa i wiecznie podniesionych ust. Mimo to była uderzająco piękna. Ale wszystkie wampiry takie były.

– Lepiej – odpowiedziałam po dłuższej chwili.

Mische się uśmiechnęła.

– Cudownie! Jestem Mische. Cieszę się, że w końcu mogę cię poznać.

– Już się spotkałyśmy. Na przyjęciu.

– Mam na myśli *naprawdę* poznać. Raihn opowiedział mi o próbie i że to był twój pomysł, by znaleźć lidera watahy. To uratowało mi tyłek, dziękuję. – Zaśmiała się i pokręciła głową, jakby ostatnie bliskie śmierci doświadczenie było już odległym wspomnieniem.

Nigdy nie spotkałam innego wampira, którego zachowanie odbiegałoby od wampirzej normy. Nawet jeśli były towarzyskie, wciąż trzymały dystans. A mimo to nie mogłam

pozbyć się wrażenia, że ta dziewczyna mi kogoś przypominała. Nie wampira – co zrozumiałam po chwili – ale człowieka. Przypominała mi Ilanę.

Było jasne, Mische nigdy nie dorówna Ilanie. Miała jednak ten sam głośny, niepokorny szyk. Była... bezwstydnie kolorowa. Zastanawiała mnie relacja między nią a Raihnem. Oboje byli dziwnymi przypadkami pośród wampirów, ale takimi, jakie zdecydowanie bardziej różniły się między sobą.

Wstała, otworzyła ramiona i wskazała na pokój.

– Witaj w naszym domu. Czyż nie jest urzekający? Cóż... może ty tak nie uważasz. Jestem pewna, że to nic w porównaniu z zamkiem Zrodzonych z Nocy. Nigdy jednak nie byliśmy w takim miejscu jak to. Raihn pewnie był, ale ja...

– Daj jej minutę, zanim zagadasz ją na śmierć, Mische.

Raihn wsunął dłonie do kieszeni płaszcza – długiego, czarnego, prostego i nieco zbyt wąskiego na jego ramiona – po czym zbliżył się do mnie. Na jego ustach rozlał się kołtuński uśmiech, przez który znowu się najeżyłam.

– Szybko zmieniłaś zdanie, co?

– Nie miałam wyboru.

– To widzieliśmy.

– I dzięki bogom tu przyszedłeś – wysapała Mische. – Mogłaś zginąć. – Spoważniała. – Te odpadki z Domu Krwi. Próbował rozerwać cię na strzępy, co?

Dzięki bogom – powiedziała. Nie bogini. Ciekawe.

– Mam dla ciebie prezent – powiedział Raihn spokojnie. – By powitać cię w naszej skromnej rodzinie.

Mische się uśmiechnęła. Tak słoneczny i radosny uśmiech naznaczony ostrymi kłami był drażniący.

– Och, tak! – Sięgnęła do jednej ze skrzyń przy najdalszej ścianie i gdy się odwróciła, musiałam się powstrzymać przed odskoczeniem.

Trzymała głowę.

Głowę mężczyzny o bladej i mizernie wyglądającej skórze, niemal w całości szarych włosach z dodatkiem popielato-brązowych kosmyków. Uszy miał szpiczaste, tak jak i zęby, widoczne pod uniesioną wargą w warczeniu, które pozostało z nim nawet po jego śmierci.

Ledwie przyjrzałam się wampirovi, który mnie zaatakował, ale najprawdopodobniej to był on.

Nagle ścisnęło mi żołądek. Wspomnienie powróciło, jak zawsze w krótkich, pochłaniających wszystko przebłyskach.

Mam dla ciebie prezent.

Zamrugałam mocno, by wyrzucić z głowy przeszłość. Mój wyraz twarzy powrócił do chłodnego braku zainteresowania.

– I co powinnam z tym zrobić?

Raihn wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Napawać się tym widokiem?

– Jakie to satysfakcjonujące – odparłam sucho. – Teraz z pewnością zaakceptuje moją wyższość.

Uśmiech Mische zbladł. Usta Raihna zwięzły się w dezaprobacie.

– Uratowałem cię dwa razy i zaprezentowałem ci głowę twojego wroga. To nie wystarczy? Jesteś wymagająca.

– Te wszystkie „prezenty” są korzystne wyłącznie dla ciebie. Też pomogłam ci przeżyć na arenie. Poza tym jestem pewna, że z wielką radością zabiłeś tego tutaj.

Przez jego twarz przemknęła dziwna ekspresja, którą szybko zastąpił uśmiechem.

– Dlatego jesteśmy sojusznikami. Bo oboje na tym korzystamy.

– Hm.

Próbowałam nie pokazać, że słowo „sojusznicy” wywołało ciarki, które przebiły się aż do moich kości. Dopiero teraz uświadomiłam sobie swoje ostatnie decyzje. Zostałam zmuszona, żeby jedną z nich podjąć z desperacji, i teraz byłam uwięziona tutaj z tą dwójką.

Mische wciąż trzymała głowę, choć teraz patrzyła na nią z lekkim nadąsaniem.

– Naprawdę był dupkiem. – Westchnęła. – Nawet wcześniej. I tak zginąłby prędzej czy później. Praktycznie pozbawiłaś go wnętrzości.

– To musiała być niezła walka – dodał Raihn. – Patrząc na stan twój i jego.

Odważyłam się podejść kilka kroków ku Mische, by zbadać głowę. Nawet w przypadku wampirów ten bladoszary odcień skóry był niespotykany, zupełnie jak czerwień w jego niewidzących oczach. Pajęczyna czarno-czerwonych żył wspinała się po jego gardle. Były widoczne na jego szyi, szczęce, w kącikach ust i przy oczach. Nawet po śmierci zdawało się, że... pulsowały.

– Co? – zapytał Raihn. – Nigdy nie widziałaś z bliska klątwy Zrodzonych z Krwi?

Nie podobało mi się, że z taką łatwością przychodziło mu odczytywanie emocji na mojej twarzy.

– To była żądza krwi – powiedziałam.

– To było coś znacznie większego niż to.

Brzmiał zadziwiająco poważnie. A może i ponuro. Gdy przestałam wpatrywać się w głowę i przeniosłam wzrok na niego, uśmiech zniknął z jego twarzy.

Do czasu kiedy zobaczył, że mu się przyglądałam, wtedy uśmiech powrócił.

– Tak czy inaczej, jego dni były policzone. Litość. To była najmniej bolesna śmierć, jakiej mógł doświadczyć. A tak w ogóle – uśmiech zmienił się w krzywy uśmieszek – cieszę się, że doszłaś do siebie. Mische, może pozbędziesz się już tego?

Mische przytaknęła i włożyła głowę pod pachę, po czym skierowała się do jednych z drzwi na końcu pokoju.

– Zaraz wrócę. Potem cię oprowadzę, Orayo.



Raihn i Mische faktycznie znaleźli świetną lokalizację. Mieszkanie było ogromne, zawierało w sobie pracownię, kuchnię, biuro, cztery sypialnie (każda z własną łazienką) i – oczywiście – przestrzeń wspólną. Wszystko było luksusowo udekorowane, nawet w porównaniu do zamku Zrodzonych z Nocy. Mieszkańcy śródmieścia byli przyzwyczajeni do widoku Księżycowego Pałacu górującego nad Sivrinajem w postaci zabytku błogosławionego przez Nyaxię, ale dopiero teraz zatrzymałam się przy tej myśli i zastanowiłam, w jaki sposób Pałac znalazł się tutaj i w jakim celu. Czy ktoś tu kiedyś mieszkał? Jeśli tak, to dlaczego go opuszczono na rzecz zamku Zrodzonych z Nocy? To miejsce prawie dorównywało zamkowi rozmiarem i wszystkim innym.

Mische wepchnęła mnie do mojego pokoju.

– Daliśmy ci ten z największą liczbą okien! – oznajmiła. – Z, no wiesz, jasnych powodów! – Zostawiła mnie, żebym posprzątała i odpoczęła.

Moja sypialnia, jak wszystkie pokoje tutaj, była pięknie ozdobiona w starożytnym i staromodnym stylu. O dziwo, nie znalazłam tu ani krzty kurzu.

Zasłony były z ciężkiego ciemnoniebieskiego aksamitu ze srebrnymi plecionymi ściągaczami. Odsunęłam je ze znacznym wysiłkiem. Z okna miałam widok na niemal identyczny pejzaż, co z mojego okna w zamku. W oddali widać było jedynie jego niebezpieczne wierzchołki i srebrzysto-księżycowe kopuły. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałam go z takiej odległości. Budynki, które były małe z perspektywy mojej sypialni w zamku, teraz znajdowały się blisko, przez co dostrzegłam każdą ich niedoskonałość... a było ich sporo. Owszem, architektura imponowała, ale złota farba się zmyła, a rzeźby się rozsypywały. Na kamiennych ścianach jawiły się pęknięcia, to samo w witrażach okien. Żadne znamiona rozkładu nie były widoczne z mojego pokoju w zamku Vincenta.

Zawsze myślałam, że brzydota Sivrinaju ograniczała się do ludzkich dzielnic. Nigdy bym nie przypuszczała, że śródmieście równieżgniło, na swój sposób.

Zatrzymałam spojrzenie na małym błysku blokowej ciemności na horyzoncie. Z mojego pokoju w zamku Vincenta widziałam w oddali wydmy, ciche i pełne gracji. Jednak po tej stronie odległym krajobrazem były ludzkie slumsy, częściowo ukryte za wspaniałym kształtem zamku Zrodzonych z Nocy.

Nie wiedziałam, dlaczego widok tych dwóch rzeczy, tak ze sobą kontrastujących, wywołał u mnie dyskomfort.

Zasłoniłam z powrotem zasłony.



– Czy to jest z jadalni?

– Yhm!

Mische wrzuciła do ust wisienkę i zaczęła żuć. Wyraźnie się nią delektowała, po czym ją połknęła. Ona i Raihn skubali jedzenie, ale przeważnie pili z dwóch wielkich kielichów wypełnionych krwią. Talerz z posiłkiem zaprezentowany przez Mische był jak dla mnie zdecydowanie za duży. Pożywienie zostało artystycznie ułożone w zależności od koloru – jagody, mięso i sery, wszystko pnące się ku górze.

Zmierzyłam oboje spojrzeniem, gdy pili krew. Mische chciała, żebym usiadła naprzeciwko niej, ale przeszłam na drugi koniec stołu. Czułam się bardziej komfortowo, jeśli utrzymywałam pewien dystans. W razie czego będę miała czas, żeby zareagować.

Uniosłam brodę, by zajrzeć im do kieliszków.

– Jaki to rodzaj?

Raihn wziął łyk i zacmokał ustami.

– Zdaje mi się, że jeleni.

Trudno mi było powiedzieć, czy poczułam ulgę, że nie była to ludzka krew. Nie lubiłam zastanawiać się nad tym, skąd miałyby pochodzić, ale skoro inni otrzymywali ją w karafkach, nie będą kuszeni moją własną. Mimo wszystko nic nie dorównywało krwi ludzkiej.

To nie był jedyny zadowalający rodzaj krwi. Jeleń, koń, krowa czy świnia były najpopularniejsze. Krew kury lub wrony była najtańsza, zawierała mało minerałów i podobno smakowała potwornie. W kręgach Vincenta krew konia była często oczyszczona i przerabiana na przysmaki. Jednak nawet najzasobniejsza w wartościowe minerały substancja nie mogła równać się z ludzką krwią. Wampiry wyższej rangi często ją konsumowały, ze zbiorów lub bezpośrednio od dawców krwi takich jak Ilana.

– Nic nie zostało – powiedziałam. – Kiedy byłam tam wcześniej.

– Wiemy – odpowiedział Raihn.

Milczeliśmy przez dłuższy niezręczny moment, świadomi, co to znaczy. Przynajmniej na razie uczestnicy mogli opuścić Księżycowy Pałac w poszukiwaniu zasobów. Miałam jednak wrażenie, że prędzej czy później ta smycz zostanie skrócona.

– Dla nas jest wystarczająco! – zawołała radośnie Mische, by rozładować napięcie. Poruszyła karafką i wypełniającym ją gęstym czerwonym płynem. – Wzięliśmy więcej, niż mogliśmy unieść, zanim pozostali się do tego dorwali.

– Jedzenia też – dodał Raihn. – Dla ciebie.

Powinnam być za to wdzięczna, choć ich uprzejmość sprawiła mi dyskomfort.

Jedna ze świec w świeczniku na środku stołu nie została zapalona. Mische zmarszczyła brwi na ten widok, po czym pstryknęła palcami. Mały płomień zatańczył na jej palcu, który następnie przeniosła nad świecę i zapaliła ją z usatysfakcjonowanym uśmiechem.

Obserwowałam to, zafascynowana. Było to dla mnie tak samo zaskakujące tutaj, z bliska, jak wówczas na arenie. Moja ciekawość zwyciężyła.

– To nie jest magia Nyaxii.

– Nie. Atroxusa.

Tak jak myślałam. Mimo to owo potwierdzenie nie sprawiło, że stało się to bardziej wiarygodne. Podczas gdy trzynastu bogów mogło posiadać różne formy magii, żadne z dwunastu bóstw Białego Panteonu nie pozwalało używać ich mocy wampirom. Wampiry były przecież dziećmi Nyaxii, a Biały Panteon nienawidził Nyaxii.

Mische odgadła moje myśli.

– To jak najbardziej możliwe, aby wampir używał magii spoza domeny Nyaxii – powiedziała takim tonem, jakby to nie był pierwszy raz, gdy to komuś wyjaśnia. – Potrzeba do tego tylko odpowiedniego talentu.

Wydawała się z siebie dumna. Nie uszło jednak mojej uwadze niezadowolenie na twarzy Raihna, gdy upił łyk swojej krwi w tym samym momencie, jakby chciał się powstrzymać od powiedzenia czegoś, czego będzie potem żałował.

– A ty? – zapytała wampirzyca. – Posiadasz magię?

Zawahałam się przed udzieleniem odpowiedzi. Może nie chciałam, żeby wiedzieli, że posiadałam, nawet jeśli moja magia była bezużyteczna. Przewaga to przewaga. Byłam jednak cicho o sekundę za długo. Mische zbliżyła się z uśmiechem.

– Posiadasz! Czuję ją. Jest troszkę nieśmiała, co?

Nieśmiała. To było idealne stwierdzenie. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć tak następnym razem, gdy Vincent skomentuje negatywnie moją słabą magię. *Nie oceniaj jej. Jest po prostu nieśmiała!*

Spodoba mu się to.

– Tak odrobinę – powiedziałam. – Bezużyteczne rzeczy. Nigdy nic dla mnie nie zrobiła. – Przeniosłam spojrzenie na Raihna. – A ty?

– Och, to samo – odparł i wziął kolejny łyk krwi. – Bezużyteczne rzeczy.

Zupełnie jakbyśmy nie byli świadkami, jak używa tego do zabicia innego wampira kilka dni temu.

Mische zachichotała. W przeciwieństwie do mnie najwyraźniej uznała Raihna za zabawniejszego.

Zmrużyłam oczy.

– Bezużyteczne rzeczy jak Asteris?

Kącik jego ust drgnął.

– Dokładnie.

Nagle coś potężnie walnęło w drzwi.

Podskoczyłam. Spojrzałam na drzwi wyjściowe. Zatrzęsły się od siły uderzenia, które wzmagało się coraz bardziej i bardziej.

Raihn ledwie zwrócił na to uwagę.

– To jest dopiero coś, co powinniśmy zignorować.

– Raihnie Ashraju, OTWIERAJ TE PIEPRZONE DRZWI!

Głęboki kobiecy głos zadudnił z drugiej strony tak głośno, że mógł równie dobrze dochodzić z wnętrza mieszkania. Jeśli walenie się nie skończy, na pewno tak się stanie.

Mische zerknęła na Raihna. Zmrużył oczy w odpowiedzi. Prowadzili ze sobą niewerbalną dyskusję.

– Dlaczego to zawsze spada na mnie? – jęknął. – Dlaczego nigdy nie wrzeszczą twojego imienia przez te przeklęte drzwi?

Uśmiechnęła się słodko.

– Ponieważ jestem milutka i urocza.

– Milutka i urocza – burknął. Wstał, chwycił swój miecz ze stolika kawowego i wyjął go z pokrowca jednym płynnym ruchem. Następnie podkradł się do drzwi i otworzył je z rozmachem. Dał tym samym osobie będącej po drugiej stronie znikomy czas na reakcję, gdy ostrze znalazło się tuż przy jej twarzy.

– Witaj, Angeliko.

W mgnieniu oka miecz spotkał się z zimną krawędzią metalowego topora. Jego właścicielką była kobieta, która przewodziła uczestnikom Domu Krwi... i była *wściekła*.

Z bliska okazało się, że mogła być najbardziej muskularną kobietą, jaką kiedykolwiek zobaczę, wzrostem niemal dorównywała Raihnowi, a w ramionach była tak szeroka, że prawie wypełniała całą szerokość drzwi. Muskuly, wyeksponowane w zbroi bez

rękawów, naprężyły się, kiedy zablokowała cios Raihna, choć wydawało się, że on też poszedł na całość.

– Gdzie on jest? – warknęła Angelika.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie jestem jak ten rishański śmieć, którego zabiłeś podczas uczty. Nie oszukasz mnie. Gdzie on jest?

Krążyłam w pobliżu drzwi z wyciągniętą bronią, ale nie zamierzałam się angażować, jeśli nie będę do tego zmuszona. Mische była zaskakująco znudzona całą sytuacją i obserwowała ich z małym zainteresowaniem, choć z lekką troską.

Najwyraźniej Angelika nie potrzebowała żadnej odpowiedzi od Raihna, ponieważ od razu zaatakowała. Raihn był przygotowany. Odbił jej cios i wykorzystał swoją siłę, by wypchnąć ją na korytarz, z dala od drzwi mieszkania.

Ich walka przypominała starcie dwóch sił natury. Angelika okazała się okrutna, każdy jej ruch był utkany z czystej mocy. Światło zalewające korytarz oświetliło blizny na jej ramionach – posiadała magię krwi.

Jednak jeśli użyła tej magii przeciwko Raihnowi, nie uczyniło mu to żadnej szkody. Być może z wyjątkiem małego poślizgu, kiedy ich ostrza się spotkały. Był niesamowicie uzdolnionym wojownikiem. Prawie artystą. Podczas próby skupiłam się na czym innym i nie dostrzegłam, jak dobry był. Poruszał się ze wspianą gracją jak na tak wielką osobę. Każde uderzenie czy unik albo krok zlewały się w jeden taniec. Dymki mroku buchające z jego miecza powiększały się z każdym machnięciem, pozostawiały za sobą pasy nocy i plotły z nich wstęgi cienia.

Mimo to Angelika była równie dobra, tak samo silna, równie szybka. Byli sobie równi, oboje drżeli pod naporem swojej siły. Z uwagi na moją pozycję w życiu dobrze oceniałam drapieźniki – z łatwością rozróżniałam morderców. Dlatego też teraz obserwowałam dwóch bezlitosnych morderców zabawiających się sobą.

Jednym mocnym uderzeniem w topór Raihn odepchnął wampirzycę.

– To jego wina i dobrze o tym wiesz.

– To był człowiek – odparowała. – Wiem to.

– Postradał zmysły. Zaatakował ją w szklarni, ze wszystkich możliwych miejsc.

Angelika była gotowa wznowić atak, ale po jego słowach zaprzestała walki. Opuściła nieco topór.

Raihn z kolei nie opuścił swojego miecza, ale również nie zadał ciosu.

– *W ciągu dnia, Angeliko.*

– W szklarni – powtórzyła.

– Już dawno było po nim – powiedział Raihn. – Sam się zabił. Do diaska, powinnaś nam dziękować. Zaoszczędziliśmy ci bardzo nieprzyjemnej czynności.

– Uważaj na słowa – syknęła.

– A nie? Wolałabyś, żeby żył wystarczająco długo, by mógł przyzwycząić się do tego miejsca? Jak te biedne potwory, z którymi walczyliśmy na arenie?

Angelika się wzdrygnęła. Uniosła palce i zatrzymała je przy swojej szyi. Nie odzywała się przez dłuższą chwilę i znieruchomiałam w oczekiwaniu, aż ponownie się poruszy.

– Wolę zabić ją podczas prób niż tutaj – odrzekła w końcu niskim głosem. W tym momencie jej wzrok padł na mnie. Surowy i pełen nienawiści. Poruszyła nozdrzami. Byłam w pełni świadoma szybkiego bicia mojego serca.

– Jeśli chodzi o ciebie – wróciła spojrzeniem na Raihna – *ty...* Masz szczęście, że jeszcze nie nadszedł twój czas. Zapamiętaj, jakie masz szczęście.

Opuściła topór i odeszła.

Poczekaliśmy, aż całkowicie zniknie nam z oczu, i dopiero się poruszyliśmy. Raihn odezwał się jako pierwszy.

– Możliwe, że powinienem był ją zabić.

– Mówisz tak, jakbyś miał pewność, że dałbyś jej radę – powiedziałam.

Wydał z siebie niski chichot.

– Och, dałbym.

Jego oczy koloru róży zatrzymały się na mnie i uświadomiłam sobie, jak blisko stał – na tyle blisko, że czułam jego zapach, który przypominał szafran i pustynny żar oraz coś jeszcze, coś, czego nie mogłam z niczym skojarzyć.

Pokryła mnie gęsia skórka, a instynkt zbuntował się przeciwko zgodzie na taką bliskość. Cofnęłam się kilka kroków, naturalnie, a Raihn znów spojrzał na schody, za którymi zniknęła Angelika.

– Mimo wszystko. Ona jest problemem. Trzeba ją mieć na uwadze.

– Szkoda mi jej – powiedziała łagodnie Mische i nie dodała nic więcej.



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

To była niemądra decyzja. Nie nauczyłem cię, jak się zniewalać wobec swoich wrogów.

Ostatni raz widziałam Vincenta tak zniesmaczonego moimi decyzjami prawie dekadę temu.

Nie miałam wyboru – chciałam powiedzieć, ale przełknęłam te słowa, zanim przeszły mi przez gardło. To nic by nie dało. Vincent wierzył, że zawsze był wybór, i jeśli znalazłaś się w takiej sytuacji, w której nie widzisz dalszego wyboru, to oznacza, że wcześniej dokonałaś złego, który cię w niej postawił. Tak czy inaczej, nikogo nie można obwiniać oprócz siebie.

– Potrzebuję sojusznika na Próbę Kwadry i on jest odpowiedni – powiedziałam zamiast tego.

– Jest Rishanem.

– Tak jak jedna trzecia uczestników.

– Pomyśl, dlaczego Rishan chciałby się do ciebie zbliżyć, Oraya. *Do ciebie.*

Zaczął chodzić w tę i z powrotem. Robił tak tylko, kiedy się denerwował, ale nawet to było płynnym i przemyślanym odruchem. Trzy długie kroki i szybki obrót, tej samej długości i w tym samym rytmie.

Był spięty. Ja byłam spięta. To było złe połączenie i wiedziałam to od momentu, kiedy go zobaczyłam. Ciężko pracował przez lata, żebym wyzbyła się impulsywnej

emocjonalności. Ale stres spowodowany turniejem, moja rana i decyzja, którą zostałam zmuszona podjąć, wypchnęły moje zdenerwowanie na powierzchnię. Pod tym wszystkim zakopana była rozpacz po stracie Ilany – nigdy niezaakceptowana przeze mnie, ale wciąż świeża i krwawiąca, wzmacniająca każde negatywne uczucie.

To wszystko zmuszało mnie do kontrolowania głosu i słów.

– Wiem dlaczego – powiedziałam. – Myśli, że współpraca ze mną dostarczy mu przywilejów u ciebie. Pomimo samolubności tej motywacji mogę to zaakceptować. Lepsze to, niż gdyby trzymał mnie w pobliżu jako szybki posiłek w razie wyczerpania się zapasów.

Krok, krok, krok, *obrót*. Vincent gwałtownie się ku mnie odwrócił.

– A wyczerpią się.

Omam nie wzdrygnęłam się na tę myśl.

– Przynajmniej mam ochronę, kiedy to się stanie.

– *Ochronę*. – Jego usta uniosły się w warknięciu. Rzucił we mnie tym słowem, jakbym powiedziała coś prowokującego atak.

Zacisnęłam zęby, by powstrzymać odpowiedź. Czy uważał, że nie byłam świadoma warunków i słabości tego słowa w tym miejscu? Nie istniało pojęcie ochrony – zarówno w Kejari, jak i w Domu Nocy czy całym Obitraesie. Nie było tu czegoś takiego jak bezpieczeństwo i zdecydowanie dla nikogo innego poza osobą znajdującą się przede mną nie istniało pojęcie zaufania.

Jednak gdy obserwowałam chodzącego ojca, moje poirytowanie się ulotniło, a zastąpiła je rosnąca troska. Widziałam, jak przeczesuje włosy ręką z powodu, o którym tylko on wiedział.

– Co się stało? – zapytałam cicho.

Bunt po stronie Rishan? To by tłumaczyło rozdrażnienie Vincenta, że dołączyłam do Rishana niezależnie od jego tożsamości. A może... Może więcej gróźb z Domu Krwi. To byłoby gorsze.

Nie wiedziałam, dlaczego o to zapytałam. Tak jak myślałam, Vincent odwrócił wzrok i milczał. Na jego twarzy drgnął pojedynczy mięsień – sygnał poirytowania.

Obawa ścisnęła mój żołądek, gdy pomyślałam o drwinie Angeliki i sposobie, w jaki na mnie popatrzyła, a następnie na myśl przyszedł mi Raihn, wampir z rodu Rishan. Teoretycznie Kejari było odizolowanym turniejem, w którym każdy uczestnik był równy. Ale w praktyce? Było to tylko przedłużenie napięcia i konfliktów świata zewnętrznego.

– Jeżeli dzieje się coś, co może mieć wpływ na wydarzenia tutaj, to muszę o tym wiedzieć – powiedziałam.

- Musisz się skupić na przetrwaniu. Na niczym innym.
- Skupiam się na przetrwaniu.
- Poprzez rzucanie się w szpony Rishana? Nie tak cię uczyłem.

Zanim się powstrzymałam, wyrzuciłam z siebie:

– Wolałbyś, żebym wykrwawiła się na śmierć? Musiałam działać i próbowałam przyjść do ciebie po pomoc, ale *nie było cię tu*.

Słowa wystrzeliły z moich ust zbyt szybko, by je powstrzymać, i były ostre jak ostrza, które podarował mi na ostatnim spotkaniu. Wbił we mnie zranione spojrzenie, które szybko przekształciło się w sopel lodu.

Od razu pożałowałam tego, co powiedziałam. Przesadziłam. Zmiana, jaka w nim nastąpiła, była nagła i natychmiastowa, jakby te same rysy były teraz maską noszoną przez zupełnie inną osobę.

Vincent, mój ojciec, kochał mnie ponad wszystko. Ale Vincent, król Zrodzonych z Nocy, był zbyt bezlitosny, by pozwolić na najmniejsze wyzwanie, czy było pełne miłości, czy nie.

- Uważasz, że nie robiłem wszystkiego, by ci pomóc? – zapytał zimno.
- Robiłeś – odparłam. – Oczywiście, że robiłeś.
- Podarowałem ci te miecze, byś mogła stać się kimś, kto jest godzien je dzierżyć. Jeśli ich nie chcesz...

– Chcę.

Ostatnim razem brzmiał tak, kiedy opuściłam swój pokój. Nie odzywał się do mnie wówczas przez tydzień. Poczułam lekki wstyd przed nagłą, pełną desperacji paniką, która spętała mnie na myśl, że mógłby się wycofać w podobny sposób.

Ta nieznana sztywność w jego twarzy nie złagodniała. Odwrócił się w kierunku nieboskłonu nad Sivrinajem.

– Przepraszam – powiedziałam, pokonując kulę w gardle. – Wiem, że robisz wszystko, co w twojej mocy. Nie powinnam była w to wątpić.

Byłam szczerą. Poniosło mnie w stosunku do jego nadopiekuńczych odburknień. Wszystko zawdzięczałam Vincentowi i nigdy o tym nie zapomnę.

Minęło kilka długich i pełnych napięcia sekund. Vincent odwrócił się do mnie, już bez wyrazu twarzy obrażonego króla, ale zatroskanego, zmęczonego ojca; mimowolnie wypuściłam powietrze.

– Byłbym tam – powiedział – gdybym mógł.

To było najbliższe przeprosinom zdanie, z jakim kiedykolwiek miałam styczność. Nigdy nie byłam świadkiem przeprosin Vincenta. Nie przeproszał za nic, nigdy. Trzeba jednak nauczyć się słuchać tego, co chowało się między słowami. Tak jak nigdy nie

powiedział mi wprost, że mnie kochał, ale słyszałam to w każdej surowej instrukcji. A teraz, nawet jeśli nie powiedział słowa „przepraszam”, usłyszałam je w nieco niższej kadencji jego głosu w tym pojedynczym zdaniu.

Trzeba było dostosować się do takich osób jak Vincent. Sięgnąć po coś, czego same by ci nigdy nie dały.

– Wiem – mruknęłam.

Obdarzył mnie długim, badawczym spojrzeniem.

– Musisz to wygrać.

Powiedział to nie z czułością, ale bezpośrednią stanowczością. Jak rozkaz.

– Wiem.

Wyciągnął rękę i dotknął nią mojego policzka.

Wzdrygnęłam się tylko dlatego, że się tego nie spodziewałam. Ledwie pamiętałam ostatni raz, kiedy Vincent dotknął mnie poza momentem pojedynku na arenie treningowej. A teraz część mnie lgnęła do jego ręki.

Gdy byłam mała, czasem mnie przytulał. Jednym z moich najwcześniejszych wspomnień był moment, kiedy opierałam głowę o ramię Vincenta i doświadczyłam wtedy nagłego poczucia bezpieczeństwa. Nawet w tak młodym wieku wiedziałam, jaką rzadkością to było – poczułam to wtedy jako ulgę, jakbym nieświadomie wstrzymywała oddech od dnia, kiedy mój dom został zrównany z ziemią.

Minęło tyle czasu, odkąd tak się czułam. Jednego dnia miłość stała się nie częścią bezpieczeństwa, ale przypomnieniem wszystkiego okrutnego i niebezpiecznego na tym świecie.

Wycofał rękę i zrobił krok w tył.

– Zostań ze swoim sojusznikiem – powiedział. – Ale miej w gotowości zęby, zmijko. Może odwrócić się do ciebie plecami, ale ty nie odwracaj się plecami do niego. W momencie gdy to zrobisz, zabije cię. Wykorzystaj go, ale *nigdy* nie pozwól, by on wykorzystał ciebie.

Wszystko to miałam na uwadze. Kiwnęłam głową.

Sięgnął do kieszeni, po czym podał mi kolejną flaszkę leczniczej mikstury.

– Chroń ją – powiedział. – Nie wiem, kiedy będę mógł zdobyć więcej.

Schowałam miksturę w plecaku i wycofałam się w noc.

Było to znacznie bardziej przydatne niż uścisk.



Nikogo nie spotkałam po drodze do Księżycowego Pałacu. Ostatnie godziny przed wschodem słońca były zazwyczaj spokojne. Większość wampirów powróciła do swoich miejsc zamieszkania, by przygotować się do snu, więc droga, którą obrałam, była pusta.

Mimo to, gdy tylko przygotowałam się do skoku przez mury Pałacu, nagle zamarłam.

Obejrzałam się przez ramię, ale nie zobaczyłam nic poza opustoszałymi kamiennymi ścieżkami i mrocznym zarysem różanych zarośli. Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku.

A jednak włoski stanęły mi na karku, jakbym była przez kogoś obserwowana.

Zadrżałam, odwróciłam się z powrotem do ściany, po czym przeskoczyłam na drugą stronę.



Kiedy dotarłam na szczyt schodów, słońce pojawiło się na horyzoncie. Gdy otworzyłam drzwi mieszkania, zaskoczył mnie widok odsłoniętych zasłon i sylwetka Raihna znajdująca się pomiędzy nimi. Oparł się o okno, jednym ramieniem dotykał szyby.

– Gdzie byłaś? – zapytał. Nie zaszczycił mnie *przy* tym spojrzeniem.

– Nie twój interes. – Zamknęłam za sobą drzwi i przeszłam przez wspólną przestrzeń.

– To trochę mój interes, czyż nie? Sojusznicy i w ogóle.

Matko, jak nienawidziłam tego słowa i wszystkiego, co się za nim według niego kryło.

Milczałam i poszłam w kierunku sali. Minimalnie przekrzywił głowę, żeby móc mnie dalej obserwować. Srebrne światło księżyca zaczęło wdzierać się do środka. Różowy odcień zapowiadający nadejście słońca oświetlał ostre kształty kości policzkowych Raihna i jego szczęki, następnie spływał do mięśni jego szyi.

Mięśnie te napięły się nieco, gdy posłał ku mnie namiastkę smutnego uśmiechu.

– Nic a nic nie zdradzisz, co?

Moje oczy błysnęły chłodem, gdy przeszłam wzrokiem jego ciało.

– A ty? Nie masz nic do zdradzenia?

Małostkowa. Głupia. Nawet nie wiedziałam, dlaczego to powiedziałam. Po tych słowach wydał z siebie głęboki śmiech, który uznałam za dziwnie satysfakcjonujący.

– Śpij dobrze – powiedział. – Mam nadzieję, że ostrze pod twoją poduszką nie spowoduje skurczu szyi.

– Przyzwyczaiłam się do tego.

– Dobrze. Zaczynamy jutro trening. Musimy przygotować się na następną próbę.

Niech to szlag. Następną próbą. Ledwie wyzdrowiałam po poprzedniej i straciłam cenne dni na wyleczenie się. Zostały nam dwa tygodnie na przygotowanie się, a myśl o treningu z nim – podczas którego musiałam postarać się nie pokazywać zbyt wiele – przyprawiała mnie o mdłości.

– Nie mogę się doczekać – powiedziałam beznamiętnie i ruszyłam do swojego pokoju. W ostatnim jednak momencie spojrzałam przez ramię. Był już prawie dzień. Cień na twarzy Raihna stał się prawie złoty – światło słoneczne. Wciąż jednak się nie poruszał i spoglądał na horyzont.

– Nie boli? – Nie mogłam się powstrzymać przed pytaniem.

– Nie jest jeszcze tak źle. – Nie spojrzał na mnie.

Dziwaczne.

To był jedyny przejaw mojego zainteresowania głupimi, samozniszczalnymi zwyczajami tego wampira. Weszłam do swojego pokoju. Rozsunęłam zasłony i pozwoliłam, by światło wlało się do środka, a następnie przyciągnęłam krzesło pod drzwi i unieruchomiłam nim klamkę.

Sen szybko mnie zmógł. Śniłam o bogini, próbach, ostrych zębach i tym, jakie to uczucie, gdy stal Zrodzonych z Nocy wbija się głęboko w moje plecy.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zaczęliśmy trening bezzwłocznie. Kolejna próba, Ubywającego Księżyca, najpewniej nie będzie wymagać połączenia sił, jako że Próba Kwadry wymagała tego jako jedyna. Mimo to Raihn i Mische byli pewni, że mieliśmy szansę, by sobie pomóc, i że pięć tygodni treningu było lepsze niż trzy, by się zorientować, czy dobrze współpracujemy.

Naprawdę rozważałam odmowę. Zrozumiałam jednak, że nie mogłam sobie pozwolić na odmówienie pomocy, nawet jeśli miałabym ją otrzymać od niebezpiecznych krwiopijców... Nie przegapiłabym też okazji przestudiowania moich wrogów, nawet jeśli było mi na rękę, że tym samym oni również mogli studiować mnie.

Tak więc trenowaliśmy razem. Było... inaczej, niż się spodziewałam.

– Co, do siedmiu pieprzonych diabłów, jest z tobą nie tak?

Gorzej.

Znacznie gorzej.

Raihn rzucił miecz na ziemię w wyrazie dziecinnej frustracji. Metal uderzył w dywan z ogłuszającym hukiem nawet pomimo miękkiej powierzchni.

– Ze mną? Co jest nie tak ze *mną*? *To* nie ja rzucałam mieczem gdzie popadnie. – Wycofałam się na koniec salonu i spjrzałam na niego spode łba.

Mische podciągnęła nogi na fotel, w którym siedziała. Krzywiła się i przenosiła wzrok raz na Raihna, raz na mnie.

Palec Raihna wystrzelił w moją stronę.

– Nie możemy współpracować, jeśli nie pozwolisz mi się do siebie zbliżyć.

– Co mam niby zrobić? Wleźć ci na kolana?

– Nawet nie zaszczycę cię odpowiedzią. – Splunął. – Ile jeszcze razy będziemy to przerabiać? Został nam dzień do próby. *Dzień*. A ty marnujesz nasz cenny czas.

Mische westchnęła i potarła skronie.

Trzyście takich nocy. Noc po nocy.

Zaczynałam myśleć, że nasza kooperacja w pierwszej próbie była czystym łutem szczęścia. Vincent był bezlitosnym nauczycielem, ale i tak byłam gotowa przyjąć od niego najtrudniejsze zadania, które nieraz kończyły się tym, że traciłam przytomność, byleby nie ćwiczyć z Raihnem.

Wezmę dziesięć takich zadań. Albo nawet dwadzieścia.

Przynajmniej instrukcje Vincenta były przystępne. Wiedziałam, czego ode mnie oczekiwał. A to? To było ćwiczenie w wyborze pomiędzy dwoma przegranymi scenariuszami. Musieliśmy nauczyć się współpracy, jeżeli ten sojusz miałby zadziałać. Ale musiałam też chronić siebie. Musiałam obserwować Raihna i *uczyć* się jego technik – nawet jeśli zostało niewiele tygodni, musiałam je wykorzystać. Jednocześnie potrzebowałam chronić się przed jego wścibskimi spojrzeniami.

Będziesz potem łatwym celem – powiedział mi.

W jego snach.

Jednak noce mijały i zrozumiałam, że te dwa cele – bycie silnym sojusznikiem i zapewnienie sobie ochrony – nie współgrały ze sobą. Jeden wykluczał drugi, a nie mogłam sobie na to pozwolić.

Dlatego też trenowaliśmy i się sprzecaliśmy, a każda kolejna lekcja kończyła się coraz to większą frustracją niż poprzednio. Wiedziałam jednak, że po rozpoczęciu dzisiejszego treningu emocje sięgną zenitu. Raihn obudził się i od razu szukał powodu do walki. Ledwie wymruczał powitanie, po czym chwycił za miecz i rozpoczął nim brutalne ćwiczenia. Żadnego zawahania, żadnych grzeczności, żadnych uśmiechów w odpowiedzi na radosne żarty Mische, a nawet ani jednego ciętego dowcipu moim kosztem. Zaatakował mnie z pełną mocą podczas pojedynku, jak ktoś chowający urazę. Później, gdy zamieniliśmy się zadaniami i ćwiczyliśmy naszą współpracę w walce przeciwko Mische, jego irytacja w końcu ujawniła się w formie wybuchu złości.

– Myślisz, że nie wiem, co robisz? – zdenerwował się. – Działasz przeciwko mnie, nie razem ze mną.

To był błąd. To wszystko było błędem. Powinnam była wykrwawić się w szklarni. Wolałabym to niż czekanie, aż Raihn rozszarpie moje gardło. Wszystko wskazywało, że

to nastąpi.

– Działać *razem* z tobą? Jak to według ciebie ma wyglądać? Mam chodzić za tobą krok w krok? – prychnęłam z niesmakiem, gdy dostrzegłam jego zawahanie. – Sam tego nie wiesz.

To był ktoś, kto do tej pory działał w pojedynkę, a jeśli nie, to wciąż był liderem. Mische była utalentowana, zwłaszcza w sferze magii, ale jej rola sprowadzała się do asysty. Ta dwójka z pewnością była ze sobą blisko, choć na ten moment wiedziałam, że nie była to relacja romantyczna. Tak czy inaczej, wiedzieli, jak siebie komplementować, kiedy Mische powinna się wycofać, a Raihn wyjść na prowadzenie.

A ja? To nie był mój styl. Byłam przyzwyczajona do samotnej walki. Dwie dekady treningu Vincenta nauczyły mnie, jak robić to poprawnie: by przeżyć, trzeba to zrobić w pojedynkę.

– Czego w tym nie rozumiesz, Oraya? Zostaniemy jutro wrzuceni z powrotem na arenę. Jutro. – Jego usta wykrzywiły się w okrutnym uśmiechu bez cienia humoru. – Trenujemy razem od ponad tygodnia, ale wciąż nie jestem przekonany, że nie przebijesz mnie znowu ostrzem, gdy tylko się tam znajdziemy.

Też nie byłam o tym przekonana.

– Może i to zrobię. Może tym razem będzie to bardziej satysfakcjonujące. – Przekrzywiłam głowę i zmarszczyłam brwi. – Często słyszysz to od kobiet?

Zaśmiał się.

– Jestem pewien, że jesteś z siebie dumna.

Szczerze – byłam.

– Słuchaj, Oraya...

Zrobił ku mnie dwa kroki. Równie szybko stworzyłam między nami dystans.

Zatrzymał się i zmrużył oczy.

– Co? – zapytał. – Boisz się mnie?

Zawadiacki uśmieszek zniknął z mojej twarzy. Nie odpowiedziałam.

– Co, żadnego mądrego odszczeknięcia się tym razem?

Kolejny krok ku mnie poskutkował moim jednym krokiem w tył.

– Nie zbliżaj się – syknęłam.

– Nie – odparł cicho.

Następny krok.

Weszłam na ścianę.

– Raihn – wyszeptała Mische. – Może jednak nie...

Dłonie zaczęły mi się pocić. Raihn był teraz dwa kroki ode mnie. Przyciskałam plecy do boazerii, wciśnięta w kąt.

Nawet podczas treningu nie pozwoliłam mu się aż tak zbliżyć. Znajdował się tylko trzy moje kroki ode mnie – jego dwa. Był o tyle ode mnie większy. Miał na sobie koszulę z lnu, przylegającą do ciała, mokrą od potu po ostatnich sześciu godzinach treningu. Uwypuklała każde napięcie i wklęsłość jego muskularnej sylwetki. Włosy miał związane, ale po tylu godzinach kilka kosmyków uciekło i teraz przylegało do jego twarzy i szyi. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy z tej odległości był mniej, czy bardziej onieśmielający – bardziej, ponieważ wyglądał na nieco wytrąconego z równowagi, ale też mniej, bo doceniłam te wszystkie niedoskonałości mocniej niż jakikolwiek inny aspekt jego osoby.

Gdy podjął kolejny krok, jego oczy wydawały się szczególnie czerwone, nie odwrócił wzroku od moich nawet na moment.

– Jesteśmy sojusznikami – powiedział twardo. – Musisz pozwolić mi się zbliżyć.

Moje serce zaczynało bić coraz szybciej i szybciej. Gardło mi się ścisnęło, a skóra była lepka od potu.

– Nie – odparłam tak spokojnym tonem, na jaki mnie było stać. – Nie muszę.

Przez jego twarz przemknął wyraz zrozumienia.

– Ty się mnie *boisz*.

To nieprawda – powiedziałam sobie. Strach nie istniał. *Strach jest tylko zbiorem reakcji fizycznych.*

Ale nie mogłam nikogo oszukać. Oczywiście, że wyczuwał bicie mojego serca. Oczywiście, że wyczuwał gwałtowny przepływ mojej krwi.

– Raihn... – powiedziała Mische z drugiej strony pokoju.

– Odsuń się – rozkazałam.

– Nie zrobię ci krzywdy. Jak blisko muszę do ciebie podejść bez przepołowienia cię, żebyś mogła w to uwierzyć?

Nikommu nie ufaj – szepnął mi Vincent do ucha.

Raihn zrobił kolejny krok.

– Tak blisko?

Nie mrugałam. Nie mogłam. Nie mogłam spuścić wzroku z drapieznika znajdującego się tak blisko mnie. Mniej niż krok. Tak blisko, że mogłam policzyć krople potu na jego obojczyku. Tak blisko, że byłam w stanie dostrzec drżenie tętnic pod jego szczęką.

– Przestań.

– *Tak* blisko?

– Odsuń się, Raihn.

Przeszył mnie wzrokiem.

– Nie – powiedział.

– POWIEDZIAŁAM: ODSUŃ SIĘ. – Uderzyłam go mocno otwartą dłonią w klatkę piersiową.

Wybuch magii mnie oślepił. Ogłuszył. Białoniebieskie barwy objęły mój wzrok. Uderzyłam z całych sił plecami w ścianę.

Raihn przeleciał przez pokój.

Światło przygasło w odpowiednim momencie, bym mogła zobaczyć rozbijane okno, zanim przez nie wypadł.



ROZDZIAŁ SZESNASTY

S zlag! – wysapała Mische. – Jak to zrobiłaś?

Ledwie ją usłyszałam przez szum krwi w uszach. To mógł być równie dobrze mój głos w mojej głowie, ponieważ tylko o tym byłam w stanie myśleć, gdy rzuciłam się na drugi koniec pokoju: *Na cycki Ix, jak to zrobiłam?*

Znajdowaliśmy się na szczycie jednej z najwyższych wież Księżycowego Pałacu, setki metrów nad ziemią. Czy ja go właśnie zabiłam? Nie chciałam. Przynajmniej nie tak szybko.

Z sercem w gardle podbiegłam do okna, wystawiłam głowę na zewnątrz i... prawie się przewróciłam, kiedy pasmo żółto-brązowego i czarnego wystrzeliło z dołu z taką siłą, że włosy przysłoniły mi twarz.

Skrzydła Raihna były rozłożone i wyglądały, jakby były utkane z nocy. Milion wariacji purpury, czerwieni i czerni z rdzawym odcieniem. Były tak piękne, że mogły odwrócić uwagę od okrutnej furii wymalowanej na jego twarzy.

– Ty – wydyszał. – Pieprzysz o tym, że mi nie ufasz, a sama ukrywałaś to?

Miałam odpowiedź na końcu języka: *Nie wiedziałam o tym, nie mam bladego pojęcia, jak to zrobiłam* – ale przełknęłam ją. Nie musieli wiedzieć, że nie byłam świadoma własnych zdolności. Jeszcze by to wykorzystali jako moją kolejną słabość.

Niech się mnie boją, choć raz.

Włożyłam drżące dłonie do kieszeni i wzruszyłam ramionami.

– Jestem pewna, że ty ukrywasz równie wiele.

– Nie wiem, jak mogłem pomyśleć, że to zadziała. – Wylądował z powrotem w apartamencie. Zrobił to niezwykle płynnym ruchem, granica pomiędzy niebem a ziemią była dla niego niczym innym jak pojedynczym eleganckim krokiem. – Masz w dupie wszystkich poza sobą. Tak jak inni. Księżniczka Zrodzonych z Nocy, rezydująca sobie w zamku Vincenta, najpewniej nauczona, że cały pieprzony świat jest u jej stóp. Czy to ci obiecał? Że staniesz się jak on, nauczysz się, jak robić w konia odpowiednie osoby, wówczas cały ten martwy świat będzie twój? Myślisz, że to na ciebie czeka?

– Nie mów o mojej rodzinie w ten sposób – warknęłam.

Prychnął. Był to dźwięk pełen czystej nienawiści.

– *Rodzinie*. Jakże smutne życie musiałaś mieć.

Zadrżały mi pięści, knykcie zbielewały.

– A co takiego zrobiłaś, żeby zdobyć moje zaufanie? Mam czuć się *zaszczycona*, że wybrałaś mnie, i powinnam całować ci stopy? Typowy rishański śmieć. Zobacz, gdzie takie ego doprowadziło *twój* ród, zanim będziesz chciał zmieszać z błotem mojego ojca.

Pokój rozjaśniło. Płomienie buchały i zmieniały kolor raz po raz na biały. Powiew wiatru w samą porę przerzucił włosy moje i Raihna na nasze twarze. Jego ciało było sztywne, skrzydła wciąż miał rozłożone, a jego oczy przeszywały mnie, podczas gdy ja przywiercałam go spojrzeniem do ściany.

Mische znalazła się między nami.

– Dobrze, już dobrze. Wszyscy jesteście źli. Wystarczy.

Nie zamierzałam spuszczać oczu jako pierwsza.

– Wystarczy – powtórzyła głosem wysokim i nerwowym.

W końcu Raihn odwrócił wzrok.

– Niech będzie. – Zrobiłam to samo. – Skończyłam.

– Ja też.

Najzwyczajniej w świecie wyleciał przez otwarte okno. Otworzyłam z rozmachem drzwi i wypadłam na korytarz. Zostawiliśmy zrozpaczoną Mische pośród kawałków szkła.



Vincent musiał być w naszym miejscu spotkań, choć nie byłam zaskoczona, gdy go tam nie zastałam. Chodziłam tam co noc. Spotykał się ze mną przez mniej niż połowę moich

wizyt i za każdym razem był myślami gdzie indziej. Coś wielkiego się działo, ale odmawiał powiedzenia co dokładnie. A może też wyczuł moją irytującą sytuację z Raihnem, choć nie powiedziałam o niej słowa. Doskonale wiedziałam, co powinno być trzymane w sekrecie przed Vincentem.

Tej nocy jednak byłam tak zła – tak zagubiona – że miałam ochotę powiedzieć mu wszystko, przez co tu przeszłam. On przynajmniej miałby odpowiedzi na to, co się stało z moją magią, a potrzebowałam ich. Siła, z jaką odrzuciłam Raihna przez pokój, była tak nieproporcjonalna w stosunku do tego, co na co dzień robiłam, że nie wiedziałam, jak do tego doszło. Teraz, gdy szłam ciemnymi uliczkami, próbowałam przywołać tę moc, ale skończyło się na kilku słabych znajomych iskierkach wydobywających się z moich palców.

Być może częśćka mnie była wdzięczna, że nie przyszedł. Jak bardzo pragnęłam odpowiedzi, tak nienawidziłam pokazywać emocji, nad którymi nie panowałam, a robiłam to dzisiaj wystarczająco dużo razy. Straciłam kontrolę nad własną magią. Nad sobą.

Byłam zbyt rozdrażniona, wiedziałam to. Pozwoliłam Raihnowi mnie podburzyć i wydobyły się ze mnie najgorsze cechy. Nie zgadzałam się z nim w wielu kwestiach – naprawdę wielu – ale możliwe, że miał rację w tym, że powinnam wybrać, czy być jego sojusznikiem, czy w pełni pozostać jego wrogiem.

Gdy upewniłam się, że Vincent nie przyjdzie, zaczęłam przemierzać opustoszałe tereny Księżycowego Pałacu. Bardzo chciałam pójść do ludzkich dzielnic i pozbyć się tego uczucia bezsilności poprzez zatopienie ostrza w jakimś wampirze. Od lat tego nie robiłam. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo zależna byłam od tego.

Po raz pierwszy zabiłam tak przez przypadek, a teraz nie mogłam bez tego żyć.

Wydarzyło się to kilka dni po... po tym. Żałoba i samotność zżerały mnie od środka. Minęły lata, od kiedy miałam obsesję na punkcie własnego ja, jak podczas tamtych dni, i wróciłam do złych starych nawyków. Otworzyłam małe ścieżki krwi na skórze i obserwowałam, jak łatwo można ją rozedrzeć i jak wolno się goi. Nienawidziłam tego, że moje ciało było takie słabe. Że przyciągało na wszystkie sposoby, które mi nie odpowiadały. Że nosiło na sobie znamiona każdego złego wspomnienia, jak te, które teraz zdobiły moje gardło, oraz dwie rany, ledwie pokryte strupami.

Nie byłam pewna, czego szukałam tamtej nocy, gdy wybrałam się do ludzkich dzielnic, ale nie planowałam zabijać. Nigdy nie czułam się mniej wampirza niż wówczas. Może szukałam powiązania, którego nie mogłam znaleźć w zamku Zrodzonych z Nocy. Może miałam nadzieję znaleźć swoją brakującą częśćkę – w momencie gdy nie czułam się tak boleśnie niekompletna jak wtedy.

Zamiast tego znalazłam dzielnicę pełną ludzi będących dla mnie jak obce mi istoty i żerującego na nich wampira. Gdy ujrzałam go czającego się na młodą kobietę robiącą pranie za jej rozpadającym się domem, nie myślałam i zadziałałam. Było prościej, niż przypuszczałam. Byłam dobrze wytrenowana, a wampir nie spodziewał się walki.

Po tym spanikowałam i wróciłam do zamku. Cały dzień spędziłam w łazience. Wymiotowałam. Nie mogłam zmyć krwi z rąk ani pozbyć się widoku twarzy ofiary sprzed oczu. Byłam pewna, że jak tylko Vincent pojawi się u progu moich drzwi, wszystko mu wyznam, po czym zamknę mnie na następną dekadę. I byłabym mu za to wdzięczna.

Ale godziny mijały. Leżałam na łóżku i obserwowałam promienie słońca przebijające się przez zasłony, podczas gdy poczucie winy osiadło na dnie mojego żołądka jak niechciany posiłek. Dotarło do mnie, że zabicie tego wampira i uratowanie ludzi pozwoliło mi poczuć się potężną. Poczucie winy się ulatniało, a poczucie potęgi – wręcz przeciwnie.

Czy moje poczucie winy było bardziej wartościowe niż życie kobiety, którą uratowałam? Czy bezwzględne zasady Vincenta były bardziej wartościowe niż niezliczona liczba ludzi, którą ten potwór mógł zabić, gdyby nie został powstrzymany? Nie. Nie czułam się winna zabicia tego wampira. Czułam się winna, ponieważ kłamałam przed ojcem.

Jednak to Vincent mnie tak wychował i kłamstwo było mało ważnym grzechem.

Tamtego dnia, gdy wpatrywałam się w oświetlony słońcem sufit, zrozumiałam, że przeżyłam pełną dobę bez myślenia o twarzy, która mnie nawiedzała.

Żałowałam, że nie mogłam tego samego powiedzieć o moich szlachetnych intencjach, które przyprowadziły mnie do slumsów następnej nocy. One jednak za powrót nie odpowiadały. Była to moja samolubność. Wolałam śnić o tych martwych twarzach zamiast o innej. To przynajmniej uczyniło mnie silniejszą, nie słabszą.

Teraz podczas zabijania nie czułam nic poza satysfakcją z dobrze wykonanego zadania. Wryty znamię na świecie. To było tego warte dla śmiertelników żyjących pośród nieśmiertelnych istot. Sposób, dzięki któremu mogłam powiedzieć temu miejscu: *Twierdzisz, że moje życie jest nic niewarte, ale wciąż mogę zostawić na tobie plamę, której nic nie zmyje.*

Teraz pragnęłam zostawić tę plamę. Tak bardzo tego pragnęłam. Jednak świt był już zbyt blisko, a ludzkie dzielnice znajdowały się zbyt daleko Księżycowego Pałacu. Nie mogłam ryzykować takiej wędrówki.

Zamiast tego poszłam okrężną drogą, przez opustoszałe tylne dróżki. Trzymałam się blisko rzeki Lituro, jednego z dwóch dopływów, które przepływały przez miasto,

zbiegały się i tworzyły śródmieście Sivrinaju, tuż obok zamku Zrodzonych z Nocy. Często spoglądałam na ten krajobraz ze swojego pokoju. Stamtąd strumienie wydawały się spokojne niczym eleganckie pociągnięcia pędzlem.

Z bliska śmierdziało moczem.

Zatrzymałam się przy korycie rzecznym i obserwowałam, jak przepływa woda. Wiatr rozwał mi włosy, a wraz z nim przyszedł ciepły, znajomy zapach tytoniu.

Włoski stanęły mi dęba na karku. Nie byłam sama.

Spojrzałam w lewo i zobaczyłam mężczyznę z cygaretką przy ustach. Stał blisko wody. Uniósł brodę i wypuścił powietrze. Światło księżyca schwytało srebrzystą chmurę dymu.

Ponownie uderzył mnie ten zapach, tym razem silniejszy, a wraz z nim przyszło znajome uczucie, które spowodowało ból jątrzącej się rany w mojej piersi.

Byłam niemal pewna, że usłyszę kaszel Ilany. Zobaczę jej twarz, gdy się odwrócę. Matko, tak tego potrzebowałam. Pragnęłam tego bardziej niż potęgi.

– Hej.

Podeszłam do postaci z ręką na broni.

– Mogę jednego? Odkupię.

Co jest z tobą? – usłyszałam w uchu syk Vincenta. *Podchodzisz do obcego? Po co?*

Postać odwróciła się, a zimne światło przemknęło po dolnej części jej twarzy i oświetliło bladą skórę, wąską i kanciastą szczękę oraz usta, które uniosły się nieznacznie.

– Oczywiście. Proszę bardzo.

Sięgnął dłonią ukrytą pod skórzaną rękawicą do wnętrza płaszcza i wyjął drewniane pudełeczko. Wyciągnęłam rękę, by je odebrać, ale go nie puścił.

Przekrzywił głowę i pozwolił światłu księżyca ukazać resztę jego twarzy. Był przystojny, miał eleganckie i bardzo ostre rysy, które przywodziły na myśl szlifowaną stal. Pod czupryną srebrnych bądź bardzo jasnoblonde włosów – czego nie mogłam do końca stwierdzić przez słabe oświetlenie – spoglądały na mnie zmrużone żółto-bursztynowe oczy, które następnie rozbłysły zrozumieniem.

– Znam cię.

Uśmiechnął się. Był to niewątpliwie uśmiech, który luzował bieliznę i otwierał gardła w całym Obitraesie.

– Tak? – rzuciłam.

Puścił pudełeczko. Wyciągnęłam cygaretkę i od razu zrobiłam dystans między nami. Chciałam rzucić się twarzą na to pudełko, by tylko nawdychać się tego znajomego zapachu i udawać, że był moim przyjacielem.

– Widziałem cię na Próbie Pełni. Wielu przyjęło na ciebie zakłady. – Zaśmiał się lekko i pokręcił głową. Z jego ucha zwisał rubin. – Tych przeciwko tobie było zdumiewająco wielu i tak samo dużo straciło mnóstwo pieniędzy.

Zapalił zapałkę i zaoferował mi ogień. Nachyliłam się na tyle, by tylko zapalić cygaretkę, wymamrotałam podziękowanie i się odsunęłam.

– Przykro mi z powodu twoich pieniędzy.

Inny uśmiech nieco wolniej wstąpił na jego twarz.

– Słucham? Och, nie, ptaszyno. Nie przyjmuję zakładów, które przegram.

Chciałam oddać mu pudełko, ale pokręcił głową.

– Zatrzymaj. Zapłaciłaś za nie.

Obdarzył mnie ostatnim tajemniczym spojrzeniem i odwrócił się, a następnie wszedł na ścieżkę.

– Nie mogę się doczekać jutra. Powodzenia.



ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Planowałam nie wracać do mieszkania, ale nie było innego miejsca, gdzie mogłabym pójść. Gdy przekręciłam klucz i weszłam do środka, byłam trochę zdumiona, że nikt nie blokował drzwi. Raihn jeszcze nie wrócił, a Mische sprzątnęła szkło z podłogi. Rozbite okno nadal było otwarte na oścież, a mocny powiew wiatru rozwiał krótkie loki wampirzycy i stworzył z nich motyle skrzydła.

Gdy weszłam, posłała mi szeroki uśmiech, jakby naprawdę ucieszył ją mój widok.

– Wróciłaś!

Wydawała się trochę zaskoczona, tak jak i ja.

– Chcesz, żebym to naprawiła? – Wskazałam na okno.

– Nie, nie. Coś z tym zrobię, jak tylko Raihn wróci do domu.

Domu. Powiedziała to bez wahania, tak jakby to miejsce było domem.

Kiwnęłam głową i podeszłam bliżej. Sprzątnęła większość rozbitego szkła, teraz zamiatała na tackę najmniejsze kawałki, by je wyrzucić do śmietnika. Wstyd mi było, czułam się jak małe, buntujące się dziecko.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie – odparła radośnie. – Ale dziękuję! – Pomachała w kierunku stołu. – Siadaj, jest jedzenie.

Nie byłam głodna, ale i tak do niej dołączyłam. Usiadła i napiła się krwi z kielicha. Mimo że wskazała krzesło naprzeciwko siebie, wybrałam miejsce po przeciwnej stronie

stołu.

Zamiast sięgnąć po jedzenie, wyciągnęłam pudełko cygaretek.

– Masz coś przeciwko?

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Życie jest zbyt krótkie, żeby nie móc się zaspokoić.

Dziwne stwierdzenie pochodzące od wampira. Przede wszystkim wampiry nie żyją krótko. Ale w sumie tutaj każdy z nas miał krótkie życie.

Poza tym Mische była najdziwniejszą wampirzycą, jaką spotkałam.

Obserwowałam, jak pije krew i z wyrazem obojętności spogląda przez okno. Jakby nasza poprzednia walka jej nie poruszyła.

– Czy mogę zadać ci pytanie, Mische?

– Yhm.

– Dlaczego jesteś z Raihnem?

Odwróciła się do mnie gwałtownie z osłupieniem.

– Z Raihnem? Nie jestem z Raihnem.

– To znaczy wiem, że nie jesteś z nim w tym sensie. – Zastanawiałam się nad tym na początku, zwłaszcza że wampiry pieprzą się ze sobą jak króliki, ale szybko stało się jasne, że Mische i Raihn mieli platoniczny związek. Spali w oddzielnych sypialniach i traktowali się bardziej jak rodzeństwo niż kochankowie.

Mimo wszystko przez to trudniej było mi to zrozumieć. Tak bardzo się od innych różnili. Nie mogłam sobie wyobrazić angażowania Mische w turniej tego rodzaju. Gdyby przynajmniej się pieprzyli, mogłabym to zrozumieć, nawet jeśli się z tym nie zgadzałam. Gdy jest się zaślepionym przez seks, różne bezsensowne rzeczy się robi.

A Raihn wygląda na kogoś, kto jest dobry w seksie.

Ta myśl zszokowała mnie, gdy tylko przeszła mi przez głowę, i zatrzasnęłam mentalne drzwi przed tym tak mocno, jak tylko umiałam.

– Jest moim najlepszym przyjacielem – odparła Mische w taki sposób, jakby miało to wszystko wyjaśnić.

– Ale... *dłaczego?*

Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchła gromkim śmiechem.

– Kiedyś mu to powiem – powiedziała, gdy się uspokoiła. – Twoja mina! *Ale... dlaczego?* – Imitacja mojego głosu w jej wykonaniu była niska i płaska. Mische wykrzywiła przy tym twarz w wyrazie przesadnego obrzydzenia.

Tylko że to było poważne pytanie.

– Z wielu powodów. – Obrażający mnie wyraz twarzy zmieniła na łagodny uśmiech. – Był dla mnie w sytuacjach, gdy nikt inny się mną nie zainteresował. Jest

najlojalniejszą osobą, jaką spotkałam. Najbardziej zaufaną.

– Hm – odpowiedziałam wymijająco. Prawdopodobnie wyglądałam na tak samo nieprzekonaną, jak się czułam.

Poza Vincentem nigdy nie spotkałam wampira godnego zaufania. Wszystkie potrafiły obedrzeć ze skóry własne dzieci, jeśli uważały, że ich potęga była zagrożona.

– Po prostu... – Jej wzrok powędrował ku niebu, pograżyła się w myślach. – Po prostu wcześniej spędziłam dużo czasu w samotności. Nie rozumiałam wówczas, jak ważne jest mieć kogoś przy sobie. Kogoś, kto mógłby dla ciebie zabić, wiesz?

Jeśli chodziło o Raihna, zabijanie nieszczególnie wyglądało na przysługę czy poświęcenie się. Mimo to nie mogłam się zmusić do podważenia jej słów, ponieważ doskonale wiedziałam, o czym mówiła. Dla mnie tą osobą był Vincent. Nawet kiedy nie miałam nikogo, miałam wciąż jego i wiedziałam, że w tym czy innym życiu zrobiłby dla mnie wszystko.

– Wielu nie wie, jak kochać. Raihn ma wiele wad, ale wie, jak kochać. A przynajmniej... – Mała zmarszczka pogłębiła się pomiędzy jej brwiami, a jej głos zawiesił się, zanim wyrwała się z tej myśli, po czym spojrzała na mnie i się uśmiechnęła. – To i fakt, że świetnie gotuje. Naprawdę świetnie.

Zastanawiałam się, czy niedowierzanie odbijało się na mojej twarzy. Nie mogłam sobie wyobrazić żadnej z tych rzeczy. Lojalności. Miłości. A przede wszystkim gotowania.

Głos jej nieco spowazniał.

– To nie był on. Dzisiaj.

– Tak? – zapytałam sucho. – A kto to był?

– Przeszłość. – Posłała mi smutny uśmiech. – Może i nie ponosimy takich ran jak ty, ale nasze serca jak najbardziej. Czasem nigdy się nie leczą.

Moje prychnięcie nie było tak przekonywujące, jak miałam nadzieję, że będzie.

– Czyli... to byłaś ty? – zapytała.

– Co dokładnie?

– Dzisiaj. Wiesz... Okno. Magia. Ukrywałaś to przez cały ten czas?

Nie wiedziałam, dlaczego tak źle mi się kłamało przy Mische. Była po prostu taka niekomfortowo prawdziwa. Wypuściłam chmurkę dymu zamiast odpowiedzi, ponieważ kłamstwo było trudne, a prawda wstydliva.

– Rozumiem. – Pokiwała głową.

– Jest nieprzewidywalna. – Zabrzmiało to bardziej defensywnie, niż planowałam.

– Możemy razem nad tym popracować.

Takie słowa powinny mnie przerazić, ale były dziwnie uspokajające.

– Zasłużył, żeby wylecieć przez okno – powiedziałam.

– Tak – zgodziła się. Następnie, poważniej, zapytała: – Odejdiesz?

Wciągnęłam potężną dawkę dymu mojej cygaretki, chwilę rozkoszowałam się tym, jak dym parzył mi nos, po czym wypuściłam powietrze.

– Nie.

– To byłaby głupota, dzień przed próbą.

– Byłaby.

– Jak myślisz, na czym będzie polegać? Ta próba?

Spędziłam mnóstwo czasu na zastanawianiu się nad tym, ale nic nie mogłam stwierdzić poza przypuszczeniami. Próba Ubywającego Księżyca była jedną z największych niewiadomych w Kejari. Z każdym rokiem różniła się drastycznie. Pierwsza próba tradycyjnie opisywała ucieczkę Nyaxii z ziem Białego Panteonu, jednak kolejna próba mogła dotyczyć tylu różnych opowieści z jej życia – może o tej, jak znalazła podziemie, jej historii miłosnej z bogiem śmierci Alarusem lub jednej z legendarnych przygód, którą razem przeżyli.

– Nie wiem – odparłam.

– Denerwujesz się?

Nic nie powiedziałam. Nie mogłam temu zaprzeczyć, ale nie chciałam też tego przyznać.

Nie czekała na odpowiedź.

– Ja się denerwuję – stwierdziła i wzięła kolejny łyk krwi.

– Może być o jej podróży – zaczęłam spekulować. – Podróży w głąb ziemi umarłych.

Nawet tyle nas nie pocieszyło. Podróż mogła przybrać wiele form, mogła zostać zinterpretowana na wiele różnych sposobów.

– Myślisz, że bała się wtedy? – zapytała Mische.

– Nyaxia?

– Yhm.

– Była boginią.

– Na początku nie do końca. Była nikim. I taka młoda.

Zamyśliłam się. Nyaxia w pewnym momencie swojego życia była jedną z najpotężniejszych dzieci Białego Panteonu – nie tylko niższą boginią, ale i potomkiem takiej bogini. Nikt by nawet nie wiedział, gdyby umarła samotnie pośród dziczy i tym samym nie mógłby jej wówczas oplakiwać. Większość legend przedstawiała ją jako dwudziestolatkę, praktycznie dziecko według boskich standardów.

Takie osobistości jak ona urodziły się po to, by zostać odrzucone przez innych bogów. Rozszarpane i porzucone.

Mische prawdopodobnie miała rację. Musiała być przerażona.

Ale to było dwa tysiące lat temu i teraz Nyaxia była zatrważająco potężna – wystarczająco potężna, by przeciwstawić się Białemu Panteonowi. Wystarczająco potężna, by podarować cały kontynent wampirom i stworzyć cywilizację swoich poddanych. Wystarczająco potężna, by cały Obitraes teraz żył, umierał, kochał i poświęcał się dla niej – zawsze.

– No cóż – odrzekłam. – Z czasem się to zmieniło.

– Ale pomyśl, ile musiała dla tego poświęcić.

Jej mąż. Zamordowany przez Biały Panteon jako kara za poślubienie Nyaxii.

Wzięłam to pod uwagę. Tak, może Panteon zabrał jej kochanka, ale Nyaxia odzyskała swoją moc. Zbyt wyraźnie odczułam, jakie to musiało być wspaniałe uczucie po życiu w słabości. Czułam lekki wstyd, gdy przyznałam się, co mogłabym poświęcić dla siebie.

– Przynajmniej już się nie boi – podsumowałam.

– Nie – odpowiedziała Mische w zamyśleniu. – Pewnie nie. Jest jednak bardzo nieszczęśliwa, nie uważasz?



Wróciłam do swojego pokoju niedługo po tym, ale za bardzo się denerwowałam, by móc zasnąć. Zamiast tego obserwowałam kolor nieba, przeradzający się w popielatą czerwień. Słyszałam Mische drepczącą po korytarzu, ale nie dobiegł do mnie odgłos powrotu Raihna.

Zaczęłam odpływać, kiedy huk otworzył mi z powrotem oczy. Podeszłam do drzwi i zaczęłam nasłuchiwać. Seria zduszonych uderzeń i szelest materiału poniosły się echem z salonu.

– To było zbyt ryzykowne. – Mische próbowała szeptać, ale bezskutecznie.

– Wiem.

– O bogowie, spójrz na siebie.

– Wiem.

– Raaaihn...

– *Wiem*, Mische.

Ciekawość zwyciężyła.

Bardzo, bardzo powoli i równie cicho odsunęłam krzesło, uchyliłam drzwi i wślizgnęłam się do korytarza. Wyjrzałam zza rogu i zobaczyłam Mische, która

zasłoniła okno, podczas gdy Raihn usiadł ciężko na jednej z kanap. Choć bardziej upadł na nią, bo najwidoczniej jego kończyny postanowiły w tym samym czasie się poddać.

Upił się?

– Przyrzekłeś po ostatnim roku, że już więcej tego nie zrobisz! – Mische była kiepska w prowadzeniu cichej rozmowy. Nikt nie mógł mnie nawet obwiniać o podsłuchiwanie.

– Pieprzyć to. Po co nam nieśmiertelność, jeśli nie możemy popełniać tych samych błędów po wieczność?

Zdecydowanie był pijany.

Wampirzyca westchnęła i odwróciła się do niego. Teraz leżał na kanapie z odchyłoną w tył głową. Naprawdę wyglądał potwornie – ubranie miał poplamione nie wiadomo czym, włosy poplątane.

– A więc – powiedziała. – Dzisiaj.

Obróciła się, a ja cofnęłam się szybko, by pozostać poza widokiem, więc nie widziałam ich już, ale wciąż słyszałam.

Wydał niski jęk.

– Co z dzisiaj?

Zapadła cisza, prawdopodobnie wypełniona surowym spojrzeniem Mische.

Jęk przekształcił się w westchnięcie.

– Za bardzo?

– Zdecydowanie za bardzo.

– Powinna była to przyjąć.

– W *ten sposób* to przyjęła.

– Cóż... niezupełnie tak miało to wyglądać, żeby wyrzucać mnie przez pieprzone okno.

– A ty jak to przyjąłeś, kretynie?

Cisza. Mogłam wyobrazić sobie jego minę.

Głos jej złagodniał.

– Pomyśl, jak to musiało wyglądać w jej przypadku. Dorastała jako co?

Niemal się obraziłam, że w odpowiedzi dostała ciszę.

– Cóż, biada jej. I co z tego? Wszyscy mamy swoje brudy.

– Ale twoje nie są jej winą.

Dłuższa pauza.

Zaryzykowałam krok bliżej, bym mogła znowu wyrzeć zza rogu. Głowa Raihna była przekrzywiona do tyłu, patrzył prosto na sufit. Mische teraz stała za nim, nachylała się przez oparcie krzesła i opierała ramiona na jego szyi. Brodę trzymała na czubku jego głowy w wyrazie troski.

– Wiesz, że to nie była jej wina – kontynuowała. – Tylko twoja.

Uniosłam brwi. Raihn nie wyglądał na osobę, która miałaby przyjąć taką obelgę – niewiele wampirów się na to godziło. Spięłam się przez ostry afront Mische, niezależnie, czy był fizyczny, czy werbalny.

Jednak, ku mojemu zaskoczeniu, Raihn wydał tylko przeciągłe westchnięcie.

– Wiem – odparł. – Wiem.

Poklepał ją po ramieniu, a ona pocałowała czubek jego głowy.

– Przynajmniej dzień dobiegł końca.

– Małe, a cieszy.

– Napij się wody. Teraz będziesz musiał przeżyć kaca podczas próby, idioto...

Gdy wycofałam się w głąb korytarza, ich szepty zanikły.



ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Gdy zapadł zmrok, nie rozmawialiśmy ze sobą za dużo i byłam za to wdzięczna. Byłam na granicy wybuchu i nie ufałam sobie, że nie rzucę się na Raihna i nie zacznę na nowo bójki tuż przed próbą. Po wymamrotaniu powitań podążyliśmy znajomym szlakiem z cienia, by spotkać pozostałych uczestników w wielkiej sali.

To był pierwszy raz, kiedy widziałam ich od zakończenia pierwszej próby. Atmosfera uległa widocznej zmianie. W przeciwieństwie do naszego ostatniego zgromadzenia pełne ekscytacji oczekiwanie zostało zastąpione paranoicznym niepokojem. Gdy tylko weszłam do środka, kilka par oczu przeskoczyło na mnie, nosy drgnęły, a białka oczu zabłyśły.

Znałam ten rodzaj spojrzenia. Raihn i Mische ukradli wystarczająco dużo krwi, by przez ostatnie tygodnie zaspokoić swoje potrzeby, ale najwyraźniej nie wszyscy mieli takie szczęście.

Raihn również to zauważył i był tym wyjątkowo zaniepokojony. Zbliżył się do mnie odrobinę i wyciągnął miecz. Ku mojemu kolejnemu zdumieniu pozwoliłam mu na to i również zacisnęłam dłoń na swojej broni.

Nikt nie odezwał się słowem.

Wiedzieliśmy tym razem, czego się spodziewać. Gdy cisza zaczęła się nieprzyjemnie przedłużać, świat się rozsypał.



Mimo że byłam na to przygotowana, ryk tłumu na moment mnie oszołomił, zbyt gwałtowny w stosunku do ciszy przepełniającej Księżycowy Pałac.

Szybko oceniłam otoczenie.

Raihn i Mische zniknęli. Nikogo przy mnie nie było. Piach pod moimi stopami zadrżał od odległego uderzenia. Zamrugalam pośród białej mgły, która falowała leniwie w niebieskim nocnym ogniu. Czarne kamienne ściany otoczyły mnie z trzech stron, a nad głową majaczył szklany sufit, który zapewne miał powstrzymać latających osobników przed opuszczeniem tego miejsca. Sufit nie był gładki, zawierał wgłębienia i kotliny, jak wyryta mapa topograficzna Ziemi.

Zmrużyłam oczy i intensywnie wpatrywałam się w mgłę. Pomiędzy dymem i ciemnością miałam przed sobą jedynie kilka metrów widoczności. Nie dostrzegałam żadnego ruchu ani nie słyszałam nikogo w pobliżu. Przycisnęłam dłoń do ściany i wyczułam tylko kamień. Był szorstki i nierówny. Korytarz przede mną prowadził w mrok.

Wciągnęłam w płuca ostry zapach dymu i... czegoś jeszcze, czegoś łagodnego i niepokojąco przyjemnego, czego nie mogłam w tym momencie umiejscowić w pamięci.

Zrobiłam kilka ostrożnych kroków. W oddali rozbrzmiały echa uderzeń, jakby kilku uczestników spotkało się ze swoimi wrogami – kimkolwiek lub czymkolwiek byli.

Korytarze łączyły się i skręcały w lewo. Podążyłam tam z bronią w gotowości.

Znalazłam się twarzą w twarz z Ibrihimem, który wyszedł z korytarza z naprzeciwka.

Zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy na siebie, a następnie na korytarz przed sobą. Pomiędzy nami, w połowie drogi, kolejny korytarz skręcał w prawo. Nasza droga dzieliła się na trzy inne – ta, skąd przyszłam, ta, którą szedł Ibrihim, oraz ta przed nami.

Labirynt. To był labirynt. Dotknęłam nierównego kamienia i ze świeżym umysłem spojrzałam na dziwny sufit. Znajdowaliśmy się pod ziemią, ponieważ miało to naśladować podróż do podziemi. Nyaxia błąkała się tygodniami po ucieczce ze świata bogów, zanim w końcu znalazła drogę do ziem Alarusa. Była zagubiona, więc i my znaleźliśmy się w podobnej sytuacji.

Żadne z nas się nie poruszyło i zarówno mnie, jak i jego uderzyła prawda. Ledwie widziałam jego twarz przez warstwy nienaturalnej mgły, ale wiedziałam, że uważnie

mnie obserwował. Ja także nie miałam zamiaru go lekceważyć.

Powoli zaczęłam poruszać się korytarzem. Wyciągałam szyję, by zerknąć w następny. Znajdowały się w nim ogromne srebrne drzwi, na których odbywała się gra światła ukazujących wytłoczony wizerunek bezokiego mężczyzny o srogim wyglądzie. Alarus. Drzwi były szczelnie zamknięte. Pozbawione klamki.

Ibrihim również się zbliżył. Nie spuszczałam z niego wzroku, podeszłam do drzwi. Coś przesunęło mi się pod stopami. Spojrzałam w dół. Stałam na kamiennej bryle, która teraz nieznacznie zanurzyła się w piachu.

Głęboki odgłos przesuwania wstrząsnął okolicą.

Drzwi naprzeciwko nas się otworzyły i poprowadziły do kolejnego korytarza. W zamglonej odległości za nimi dostrzegłam kolejny zakręt, a odległe dźwięki walki zdawały się bliższe niż wcześniej.

Wymieniliśmy się z Ibrihimem ostrzegawczymi spojrzeniami. Nie ruszył na mnie, ja również się nie poruszyłam. Zamiast tego podeszłam bliżej drzwi...

...a te natychmiast zamknęły się z siłą, która ponownie poruszyła ziemię.

Rzuciłam się w tył i niemal potknęłam się o płytę. Kiedy z powrotem się na niej znalazłam, drzwi ponownie zaczęły się otwierać.

Och.

Zesłam z płyty. Drzwi się zamknęły.

Szlag...

Zerknęłam na Ibrihima. Zrozumieliśmy sytuację.

Drzwi nie pozostaną otwarte bez ciężaru na kamieniu. Musiał to być jednak duży ciężar. Wiedzieliśmy, że ktokolwiek tu zostanie, nie będzie mógł sam przejść na drugą stronę.

Ibrihim obdarzył mnie słabym, koślawym uśmiechem, który odsłonił poranione dziąsła.

– Nie byłbym tutaj, gdybym nie miał zamiaru wygrać – powiedział nieco przepraszająco, po czym rzucił we mnie gwiazdą.

To było to, czym martwili się rodzice Ibrihima. Był spokojnym dzieckiem, ale jednocześnie niezwykle utalentowanym wojownikiem. Dlatego też zrobili wszystko, co w ich mocy, by był mniej użytecznym zabójcą. Okaleczyli mu nogi. Wyrwali skrzydła. Odebrali zęby. Nie mogli jednak zabrać mu magii.

Magii, która była również na bardzo wysokim poziomie.

Padłam na podłogę w ostatniej chwili, dzięki czemu nie zamieniłam się w papkę mięsa. Jego magia, która korzystała z mocy gwiazd, nie była tak silna jak Asteris, ale była podobnie śmiertelna. Ibrihim rzucał pasmami światła jak gdyby nigdy nic.

Zanurkowałam w kącie, do mojego ślepego zaułka. Przycisnęłam się do ściany, nasłuchiwałam i czekałam. Ramię piekło mnie w miejscu, gdzie drasnął mi skórę. Minęły zaledwie dwie minuty i już byłam ranna. Cudowny początek.

Nie będzie mógł mnie tutaj trafić, jeśli do mnie nie podejdziesz. A będzie musiał to zrobić, ponieważ potrzebował mojego ciała, by otworzyć drzwi.

Mijały długie sekundy. Ibrihim nie był głupi. Wiedział, co robiłam. Wiedział, że sprowadzał się na przegraną pozycję i że musiał to zrobić tak czy inaczej.

Spięłam się na dźwięk tłumu i odległej walki podczas daremnej próby zlokalizowania jego kroków – szlag, czego bym nie oddała teraz za wampirzy słuch...

Gdy tylko się zbliżył, rzuciłam się na niego.

Miałam jedną szansę. Musiałam dosięgnąć jego skóry, zanim zdąży zareagować.

Nie spodziewał się trucizny. Wycofał się z jękiem, gdy zaczęła przeżerać jego pierwszą ranę na przedramieniu. Nasza walka w mgnieniu oka przekształciła się w dziki chaos – on robił wszystko, by się nie wycofać, mimo że trucizna paliła jego skórę, a ja cierpiałam, poparzona na rękach jego światłem gwiazdowym, i usiłowałam przytrzymać go przy ziemi.

Z reguły dążyłabym do tego, by zanurzyć ostrze głęboko w jego klatce piersiowej, ale teraz było to niewykonalne. Nie miałam ani czasu, ani odległości, ani siły na wystarczająco silny cios, by dostać się do jego serca. Wciąż jednak mogłam pochłonąć go setką małych ukąszeń. Niech ta trucizna wykona całą robotę, powoli.

Nieważne, czy ranny, czy nie, wciąż był ode mnie większy. Położyłam go na ziemi, wspięłam się na jego ciało i otworzyłam zamię po znamieniu na jego zbroi. To wszystko trwało kilka minut, po czym posłał mnie w powietrze. Uderzyłam plecami w piach, wydałam z siebie sapnięcie, po czym straciłam oddech.

Nie miałam czasu, by złapać przeciwnika z powrotem, bo teraz on wspiął się na mnie. Z trudem poruszyłam lewą ręką w dół, przez co zaklinowała się pod jego ciężarem pomiędzy naszymi ciałami. Dusił mnie. Nie mogłam się poruszyć. Chwycił moją prawą rękę i wykręcił mi ją nad głową z głośnym trzaskiem.

– Zawsze cię lubiłem – wysapał.

– Ja też – odparłam i wykręciłam prawą rękę na tyle, by zanurzyć ostrze w jego wnętrznościach.

Wytrzeszczył oczy. Następnie otworzył usta – może chciał coś powiedzieć, ale jedyne, co z nich wyszło, to chrapliwy jęk bólu. Trucizna szybko działała, syczała podczas roztopiania skóry. Przeszła także na moją dłoń w miejscu, gdzie skapnęła jego krew.

Zepchnęłam go z siebie. Żył, ale był prawie nieprzytomny i ścisnął swój brzuch, z którego zrobiła się nieprzyjemna mieszanka pociętej skóry, ropy i krwi.

Złapałam jego ramiona i pociągnęłam go. Był ciężki. Zabrałam go na płytę i zostawiłam na niej.

Drzwi za mną się otworzyły, ale wpatrywałam się w Ibrihima, którego głowa była przekrzywiona, a oczy wbite we mnie.

Będzie żył. Nędznie i być może będzie nawet bardziej okaleczony niż wcześniej, ale będzie żył. Musiałam to zakończyć.

Nie powinno to być trudne. Zabijałam już tyle razy. Nie wiedziałam, dlaczego zawahałam się nad Ibrihimem, wciąż wpatrującym się we mnie. Być może dlatego, że od zawsze widzieliśmy w sobie nawzajem coś znajomego, nawet jeśli nigdy się do tego nie przyznaliśmy.

– Przepraszam. – Te słowa wyszły z moich ust bez mojego pozwolenia, kiedy przygotowałam miecz do przebicia jego klatki piersiowej.

Zanim jednak zdołałam posłać go w dół, ziemią zatrzęsło. Ogłuszający jęk wypełnił uszy.

Poderwałam głowę w tym samym momencie, gdy ściany zaczęły się rozsypywać.



ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Zanurkowałam za drzwi. Szczęśliwie udało mi się uniknąć spadającego kamiennego bloku. Ściany zaczęły falować. Nie tylko wszystko się rozpadało, ale po prostu się poruszało.

Prawie się zaśmiałam. Oczywiście. Według legendy świat Alarusa nieustannie się zmieniał. Ścieżka prowadząca do moralności była zmienna, co oznaczało, że droga do życia pozagrobowego również. Jeśli ta próba miała reprezentować świat podziemny, zmieniający się labirynt był jedną z rzeczy, którą trzeba było pokonać.

Rzuciłam się do biegu. Przez rozsypujące się kamienie i zmieniającą się podłogę nie wiedziałam, ile miałam czasu, zanim droga zostanie mi całkowicie odcięta. Mgła była tutaj jeszcze gęstsza, a ten dziwny słodkawy zapach mocniejszy.

W podejmowaniu decyzji bazowałam na instynkcie – lewo, prawo, prawo, lewo, prawo, lewo. Poślizgnęłam się na zakręcie, za którym zobaczyłam kolejne drzwi, tym razem z postacią Alarusa z szeroko otwartymi oczami i kwiatami w ręku. Było to piękne, choć nie miałam czasu tego podziwiać, ponieważ przed wizerunkiem stała Kiretta, Zrodzona z Cienia.

Żadna z nas się nie zawahała.

Zaatakowałyśmy w tym samym momencie. Uderzyłam w nią swoim ciałem, a ona otoczyła nas swą magią. Nie doświadczyłam jej pełnej mocy podczas ostatniej próby.

Objął mnie zielonkawy dym, po czym tył głowy wybuchł bólem, ponieważ jej magia zaczęła wwiercać się w moją czaszkę.

Gdy mnie zadrapała, pchnęłam ją na ziemię. Zacisnęłam powieki.

Nie patrz na nią. Nie słuchaj jej.

Otwórz oczy – wyszeptał śpiewnie głos w moich myślach. Spójrz na mnie, ślicznotko. Spójrz na mnie.

Nie. Jeśli Kiretta była tak dobra w rzucaniu zaklęć, jak ostrzegał Vincent, będzie w stanie rzucić na mnie urok. Dar magii umysłowej Zrodzonych z Cienia był równie niebezpieczny jak każda inna broń.

Przytrzymałam ją przy ziemi i całą siłą woli powstrzymałam jej wołanie.

Magia Zrodzonych z Cienia była jak otwarte przejście – kontrolowali wyjście z niej, ale korytarz miał dwa końce. Przebiłam się przez jej rozprasający atak i odwróciłam swoje spojrzenie mentalne ku drugiemu końcowi korytarza, który nas łączył.

Ból. Głód. Była ranna. Słaba. Lekkomyślna. Zobaczyłam, jak niezdarną ją uczyniła ta desperacja. Była silniejszą posiadaczką magii, ale teraz to ja byłam lepszą wojowniczką i wyraźnie widziałam, w jaki sposób lekceważyła moje umiejętności.

Pozwoliłam jej pomyśleć, że wygrała. Poluzowałam swoje mentalne ściany. Odrzuciłam głowę w tył, a następnie otworzyłam oczy. Jej oczy – hipnotyzujące i fascynujące – znajdowały się tak blisko mnie, że nawet setna sekunda była zbyt długa. Pełen satysfakcji uśmiech wpełzł na jej usta.

Wtedy uniosłam sztylet i przeszłam nim jej gardło.

Trucizna natychmiast zrobiła swoje. Jej okrzyk pełen bólu poczułam jak cios. Wypełnił mój umysł, zanim się od niej odsunęłam, i tym samym zniszczyłam nasze mentalne połączenie. Gdy znalazła się na podłodze, ścisnęła gardło, po czym zaczęła falować razem ze zmieniającymi się korytarzami. Gdy ciągnęłam ją na kamienną płytę, cały czas walczyła o oddech, o to, by stanąć na nogi. Nie dałam jej szansy na podniesienie się i rzuciłam się za drzwi.

Toksycznie słodki zapach posłał mnie na ścianę.

Teraz znalazłam się na polu maków. Gęsta biała mgła zwisiała nad kwiatami w formie delikatnej zasłony nad przestrzenią ociekającą czerwienią. Zgrzyt kamienia rozbrzmiał za mną echem, ale tutaj było niesamowicie cicho. Światło rozlało się nad polem kwiatów w formie delikatnych cętek.

Maki były kwiatami zmarłych. Jeśli korytarze za mną były drogą prowadzącą w dół, to pole było progiem podziemia. Przede mną znajdowało się czworo drzwi przyozdobionych srebrem, po chwili ukryła je srebrna mgła. Z przodu uderzyła stal o stal oraz rozległo się zgrzytanie potwierdzające, że to nie koniec spadających kamieni.

Musiałam być niedaleko tyłów grupy. To oznaczało, że zmierzanie ku odgłosom walki było prawdopodobnie najlepszym wyborem, nieważne, jak bardzo mnie on bolał. Weszłam w środkowy korytarz. W połowie drogi minęłam zakrwawione ciało i zawahałam się, zdumiona.

Na pierwszy rzut oka uznałam, że był to uczestnik. Jednak krew była bardzo, bardzo czerwona, a trup miał na sobie nie skórzaną zbroję, tylko zwykłe – niegdyś białe – szaty, teraz będące w strzępach. Czerwona plama na ścianie wskazywała na to, że osobnik został na nią rzucony i pozostawiony na powolną śmierć.

Człowiek. To było ludzkie ciało.

Nie rozumiałam tego. Co tu robili ludzie?

Z końca korytarza rozbrzmiał dziwny dźwięk. Przypominał płacz. Z początku pomyślałam, że musiałam sobie to wyobrazić, ponieważ to nie miało żadnego sensu. Może był to zniekształcony odgłos pochodzący z widowni albo od innego uczestnika turnieju, albo...

Kolejny wstrząs wyrzucił mnie z transu i był przypomnieniem, że nie mam czasu do stracenia. Przebiegłam przez resztę korytarza, aż dotarłam do następnego łuku prowadzącego do kolejnego pola maków – tym razem pełniejszego, wyglądającego jak czerwone morze.

Płacz był coraz głośniejszy.

Nie wyobraziłam sobie tego. Był bardzo prawdziwy.

Po drugiej stronie pola drzwi stały otworem. Zbliżyłam się do nich. Kolejne martwe – niezaprzeczalnie ludzkie – ciało leżało na kamiennej płycie. Obok niego, w takich samych białych szatach, znajdowało się dziecko.

Mój mózg przestał pracować. Zamroziło go. Skupił się wyłącznie na tej małej dziewczynce, która klęczała przy rozczłonkowanym ciele.

To dlatego moja krew nie przyciągała innych uczestników, nawet tych głodujących – bo tutaj byli ludzie.

Białe szaty. Białe znaki na ich twarzach. Ludzie nie znaleźli się tu przypadkiem. Nie byli nawet zdobyczą. Byli... ozdobą. Odgrywali role dusz, które okupywały podziemia.

Dar. Odwrócenie uwagi. Lub po prostu zwykły kaprys dla nadania dramatyzmu.

Dziewczynka zaszlochała, a łzy płynęły jej po kredowobiałych policzkach. Spojrzała na mnie i rozszerzyła oczy – wodniste i niebieskie, wyglądające na mnie spod oleistych czarnych kosmyków.

Skąd się tu wzięli? Nie było ludzkich dzieci w śródmieściu Sivrinaju. Pochodziła z ludzkich dzielnic?

Co tu robiło *dziecko*?

Odgłos kamienia przesuwającego się za mną był coraz bliżej. Musiałam iść. Natychmiast.

Zrobiłam kilka kroków ku drzwiom.

Zostaw ją – rozkazał głos Vincenta.

A po tym doszło echo słów Raihna z pierwszej nocy Kejari: *Nie żyją, człowieczku. Jeśli za nimi pójdziesz, spotka cię ten sam los.*

Jedno i drugie było prawdą.

Mimo to przyłapałam się na tym, że zawracam, a następnie klękam przed dzieckiem. Odsunęła się ode mnie, przerażona.

– Chodź ze mną – powiedziałam. – Nie zrobię ci krzywdy.

Nie poruszyła się, roztrzęsiona jak osika. Zauważyłam, że się zaklinowała. Wcisnęła się w ścianę, gdy kamień przesunął się ostatni raz, przez co jej kostka zaklinowała się pomiędzy dwoma blokami marmuru.

Jak postępować z tak małym dzieckiem? Ile mogła mieć? Cztery, osiem lat? Nigdy nie widziałam ludzkiego dziecka z tak bliska.

– Musimy iść, już – naciskałam.

Nie było czasu. Podłoga zaczęła się trząść. Chwyciłam małe ciało dziewczynki tak mocno, jak potrafiłam, i pociągnęłam.

Wydała okrzyk bólu. Z początku czułam opór, ale w końcu jej noga została uwolniona. Przycisnęłam dziecko do siebie z cichym „przepraszam” i uciekłam. Zastanawiałam się, jak bardzo mi odbiło.

Błąd. Tak kardynalny błąd, Oraya. Nie możesz tak walczyć. Nie możesz tak atakować. Spowolniłaś się. Teraz masz podwójny ludzki zapach. Straciłaś rękę dzierżącą miecz. Zostaw ją. I tak nie przeżyje.

Przebiegłam przez kolejne troje drzwi, już otwarte, jako że płyty z mechanizmem otwierającym były pokryte ciałami ludzi i uczestników. Minęłam paru ludzi ubranych na biało, kulących się przy ścianach. Nie mogłam się zmusić, by na nich spojrzeć.

Maki rosły coraz gęściej, więc każdy krok był przez nie spowalniany. Zapach był obezwładniający. Na ścianach pojawiły się rzeźby. Wielkie oczy rozciągały się od podłogi do sufitu, razem ze słońcami i gwiazdami kręcącymi się w swojej głębi – symbol Alarusa, ponieważ śmierć zawsze patrzy.

Przede mną były kolejne drzwi, tym razem zamknięte. Światło stało się rażąco jasne i tańczyło wokół nas w tym samym tempie co moje przyspieszone tętno. Dziewczynka zacisnęła pięści na moich włosach, wtuliła się we mnie, roztrzęsiona. Pochyliła się do przodu i jej głowa zablokowała jeden krytyczny punkt mojego peryferyjnego widzenia.

Zrodzony z Krwi rzucił się na mnie, zanim zdołałam usunąć się na bok.

Upuściłam dziecko i skrzywiłam się, kiedy próbowałam zepchnąć je z pola rażenia, bym zdążyła się obrócić i zablokować atak. Obnażył zęby i powalił mnie na ziemię. Zaatakował pierwszy: wycelował w moje i tak ranne już udo stalowym rapierem, co spowodowało, że szarpnęłam się w bólu. Skoczyłam na nogi, nie miałam już nic do stracenia i rzuciłam się na niego, by odzyskać kontrolę. Ledwie zrobiłam kilka kroków i już miałam zadać cios, kiedy chwycił mój nadgarstek i zanurzył w nim zębiska.

Wyrwałam się, a moja krew trysnęła mi na twarz. Za wolno. Zawahanie kosztowało. Uderzyłam plecami w kamień, a napastnik złapał mnie i pchnął na ścianę. Był mały jak na wampira, ledwie kilka centymetrów wyższy ode mnie. Spojrzałam w jego oczy, gdy przekroczył moją przestrzeń osobistą – rozszerzone, pokryte czerwienią źrenice, błyszczące z głodu i radości.

Czas się zatrzymał. Próbowałam chwycić mój miecz zranioną ręką. Nie poruszałam się wystarczająco sprawnie...

Zrodzony z Krwi przechylił się do tyłu.

Gwałtownie nabrałam powietrza. Raihn ściągnął ze mnie napastnika i niemal przepołowił go niszczącym ciosem swojej nocnej stali. W podzięcie Zrodzony z Krwi skoczył na Raihna jak zwierzę w ostatnich chwilach swojego życia. Rany na jego ramionach zadrżały, otoczyła ich czerwona mgła z magii krwi. Raihn był ranny. Zrodzony z Krwi będzie mógł manipulować również jego krwią.

Raihn zadał dwa kolejne ciosy, ale Zrodzony z Krwi zemścił się i posłał go na kamień. Mimo to Raihn zacisnął palce na ramieniu wampira i nie pozwolił mu się wycofać, a następnie zostawił jego plecy odsłonięte w moim kierunku.

Gdy wyjrzał zza ramienia wroga, nasze spojrzenia się spotkały. *Teraz.*

Wbiłam mocno ostrze w plecy Zrodzonego z Krwi, zanurzyłam je aż po rękajeść. Nawet od tyłu wiedziałam, jak przebić serce.

Wampir osunął się na ziemię.

Raihn pozwolił, żeby ciało upadło, podczas gdy ja walczyłam, by wyjąć z niego swoją broń. Raihn ocenił mnie od stóp do głów.

– Czyli wiesz, jak być pomocna – powiedział i odwrócił się ku drzwiom. – Chodźmy. Widziałem płomienie nieopodal, to pewnie Mische. Myślę, że jesteśmy blisko... Dokąd idziesz?

Nie słuchałam go. Dziewczynka była już w połowie pola makowego. Jej noga była złamana. Teraz, gdy próbowała ode mnie uciec, było to wyraźnie widać. Złapałam ją, wymruczałam szybkie „przepraszam”, po czym wróciłam do Raihna, który nie spuszczał ze mnie wzroku.

– A to co? – zapytał w taki sposób, jakbym pokazała mu puchatego różowego psa.

Ziemią wstrząsnęło. To nie był dobry moment. Czas iść! Nie odpowiedziałam, tylko ruszyłam przed siebie. Raihn opuścił trupa Zrodzonego z Krwi na płytę i wbiegliśmy na korytarz.

Raihn musiał mieć rację, że byliśmy już blisko końca labiryntu. Dwa kolejne przejścia były otwarte, kolejno dzięki ciałom człowieka i Rishana. Plamy krwi ostrzegawczo zdobiły ściany – delikatne tryśnięcia czerwieni, zbyt wyrafinowane, by pochodziły z ran. Dowód magii krwi.

Natknęliśmy się na dwóch innych uczestników i – z powodu moich obrażeń i dziecka, które trzymałam – musiałam polegać na obronie Raihna, choć tego nie lubiłam. Przynajmniej może ich z łatwością wyeliminować, dwa trupy więcej i mogliśmy iść dalej.

– Raihn – syknęłam, gdy wyszliśmy z za rogu i wskazałam na lewo moim zakrwawionym mieczem w kierunku bramy oświetlonej pochodniami z nocnym płomieniem. To wejście było większe niż inne: podwójne drzwi ze zdobionego metalu, z których spoglądały na nas oczy Alarusa.

Czy to koniec? Mógł być. Musiał być.

Przed nami znajdowała się pojedyncza płyta. Wymieniłam z Raihnem spojrzenia. Wtem spuścił wzrok na dziecko, które szlochało cicho, ledwo przytomne.

Ruszył ku mnie. Wiedziałam. Ja albo dziecko.

Gdy tylko podszedł, zamachnęłam się ręką.

Moje ostrze uderzyło mięsień jego ramienia pokryty skórzaną zbroją. Zacisnął szczęki, drżał. Rzucił mi mordercze spojrzenie.

– Co to, u diabła, miało być? – wycedził przez zęby. – Zamierzałem się na *to*.

Wskazał mieczem na martwe ciało na dalekim końcu korytarza, po czym wymamrotał wiązkę przekleństw i odrzucił moje ostrze ze swojej zbroi.

Poprawiłam dziecko w objęciach i wydukałam coś na wzór przeprosin, ale Raihn kazał mi spieprzać. Zamierzałam mu powiedzieć, że miał ogromne szczęście, że moja broń była już pozbawiona trucizny, ale zdecydowałam się tego nie robić, bo prawdopodobnie by tego nie docenił.

Przerzucił trupa przez ramię i już do mnie wracał, kiedy przeszył mnie potworny ból – jak pożerający wszystko kwas. Jakbym była gotowana od środka.

Miałam dosłownie moment, by rozeznąć się w sytuacji, zanim Angelika zadała mi cios.

Z trudem odsunęłam ją od siebie, a moja jedyna wolna ręka zadrżała z wysiłku, który wyniknął z zablokowania ataku. Widok przesłoniła mi kurtyna czerwieni. Każdy oddech palił. Rozcięcia na ramionach Angeliki zafalowały, mgła zgęstniała.

Uśmiechnęła się.

– Mówiłam, że zabiję cię na arenie.

Ciało dziewczynki zeszytywniało z bólu, skuliła się w moich ramionach. Czy ludzkie dziecko mogło to przeżyć?

Usłyszałam, jak Raihn biegnie ku nam z drugiego końca korytarza. Jeszcze kilka sekund i tu będzie. Mądrze byłoby poczekać na niego. Wytrzymałabym, ale dziewczynka zapewne nie.

Odsłoniłam się więc na atak przez jeden krytyczny moment, gdy zrobiłam unik.

Uderzenie w bok było paralizujące.

Upadłam. Byłam przytomna na tyle, żeby odepchnąć dziecko, zanim runęłam na ziemię.

Szponiasta ręka Angeliki w sekundzie znalazła się na moim gardle. Ścisnęła je. Odnalazłam wzrokiem bramę, migoczącą zapowiedzią bezpieczeństwa. Wszystko inne było zamazane. Sięgnęłam po swoją magię, ale nic nie wniosła. Nigdy jej nie było, gdy jej potrzebowałam najbardziej.

Przeszukałam po omacku swój bok. Dotknęłam sztyletu, który mi w niego wbiła, i wstrząsnęło mną w agonii. To niesamowite, co ciało może zrobić, żeby tylko przetrwać.

Wyrwałam ostrze z boku i rzuciłam je w Angelikę.

Zakłęła i posłała mnie głową w dół na podłogę.

Wszystko stało się białe, a potem czarne.

Byłam półprzytomna, gdy Raihn odciągnął Angelikę. Nie mogłam przestać wpatrywać się w sufit. Ile czasu minęło? Sekundy? Minuty? Ryk tłumu wzmógł się do crescendo. Wszystko zaczęło wirować.

Raihn pochylił się nade mną.

– Już prawie koniec, Oraya. – Wyglądał, jakby krzyczał, ale jego głos był taki odległy.
– Wstawaj. No już, szybko. Nie mamy czasu.

Udało mi się obrócić głowę. Angelika leżała w nieładzie na ziemi, ledwie się poruszała. Mój wzrok padł na dziewczynkę. Była nieprzytomna, a jej noga wykrzywiona. Ciemne włosy opadały na jej twarz. Tak znajomo to wyglądało. Zupełnie jakbym patrzyła w lustro.

Podniosłam się na kolana i odtrąciłam rękę Raihna.

– Puść mnie – wycharczałam.

– Do jasnej cholery, księżniczko, nie mam zamiaru...

– Puść mnie!

Podczołgałam się do dziewczynki, po czym wzięłam ją na ręce. Zmusiłam się, by stanąć na nogi. Utkwiłam wzrok w bramie naprzeciwko, choć dalej była dla mnie przekrzywiona i rozmazana.

Ile to było, dziesięć kroków? Mogłam przejść dziesięć kroków.

Raihn trzymał mnie za ramię, może z frustracji, a może bym mogła zachować równowagę.

– Co ty robisz? – syknął.

Nie mogłam odpowiedzieć, nawet gdybym chciała. Całą moją energię zabrały te finalne kroki. Mimo to nie przyjąłam jego pomocy. Mimo to nie puściłam dziecka.

Minęłam próg i upadłam na kolana.

Przede mną rozciągało się koloseum, złote i majestatyczne. Tysiące widzów spragnionych rozlewu krwi zapełniało siedzenia. A mimo to nawet w tym tłumie od razu odnalazłam Vincenta – był z przodu i obserwował mnie ze skrajnym strachem, jakby jego serce zostało wycięte i wciśnięte w moje dłonie.

Uderzyło mnie, jak bardzo Vincent mnie kochał.

Czy tak wyglądałam, gdy patrzyłam na tę dziewczynkę? Dokładnie tak?

Na myśl o niej opanował mnie nagły strach. To były drapieżniki. Wszyscy. A ona była zdobyczą.

Nasza krew płynęła razem, gdy odwróciłam się do Raihna.

– Nie pozwól im jej zabrać – wydusiłam.

Świat przygasł. Nie pamiętam upadku, ale nagle patrzyłam w niebo, paznokcie jednej ręki wbijałam w ramię Raihna, a drugą z desperacją przyciskałam do piersi bezwładne ciało dziecka. Ku nam zmierzali żołnierze Zrodzeni z Nocy.

– Nie pozwól im jej zabrać – poprosiłam znowu.

Kąciki mojego widzenia szerniały.

Raihn nachylił się ku mnie – bliżej niż kiedykolwiek komukolwiek na to pozwoliłam – po czym wyszeptał uroczyście, jak przy przysiędze:

– Nie pozwolę.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Gdy się obudziłam, moje ramiona były puste. Patrzyłam w sufit przez kilka długich sekund. Żołądek mi ścisnęło. Rzeźba u góry – nocne niebo – zamazała się, kiedy świat zawirował. Podniosłam rękę i przyłożyłam ją do klatki piersiowej, czułam jej powolne unoszenie się i opadanie.

Po dziecku nie było śladu.

Wspomnienia z próby zaczęły wracać do mnie fragment po fragmencie. Układały się w połamaną mozaikę. Końcówka jej była niewyraźna, jak źle oddana sugestia.

Dziewczynka. Pamiętałam, jak bezwładna była. Jak mocno uderzyłyśmy razem w ziemię. Pamiętałam strażników zbliżających się do mnie – do niej. Była zwykłym i małym, bezbronnym człowiekiem.

Zjechałam dłonią w dół po swoim ciele. Tak, miałam kilka zadrapań i rozcięć, ale najgorsze już się wyleczyło. Przeżyłam drugą próbę.

I nie czułam nic.

Raihna nie było, gdy się obudziłam, ale Mische była podekscytowana na widok mnie przytomnej. Może nawet zbyt podekscytowana, bo jej uśmiech miał w sobie niepokojącą maniacką nutę. Byłam nieprzytomna i w kiepskim stanie przez całe dni.

– Większość spowodowała magia krwi – powiedziała mi wampirzyca.

Jako człowiek okazałam się na nią niezwykle podatna. Moja krew była słaba, łatwa do manipulowania i wykorzystana do uszkodzenia mojego ciała. Jeśli ciało to

wytrzyma, wyleczy się szybko, jednak linia pomiędzy życiem a śmiercią – zwłaszcza dla człowieka – była bardzo cienka.

Pomyślałam o tym dziecku. Jak drobne było, schowane w moich ramionach. Zdecydowanie zbyt małe, żeby przeżyć to, co ja ledwie przetrwałam.

Słuchałam, odrętwiała, jak Mische opowiadała mi o końcówce próby. Zginęło jedenaścioro uczestników, przy życiu zostało dwadzieścioro dziewięcioro. Nawet Ibrihim zdołał jakimś cudem przypełznąć w ostatniej chwili.

Napiłam się wody, którą dała mi Mische, ale moje gardło było jeszcze zbyt suche, żebym mogła zdobyć się na zadanie tego jednego pytania, na którym mi zależało. Pozwoliłam jej mówić przez całe pół godziny, po czym zebrałam się na odwagę i wydusiłam:

– Co z dziewczynką?

Spojrzała na mnie zdumiona.

– Czym?

– Była tam dziewczynka.

Posłała ku mnie słaby uśmiech i pokręciła głową.

– Nie wiem.

Chciałam ją przycisnąć, zażądać odpowiedzi, ale słowa ugrzęzły mi w gardle.

Dlaczego tak bardzo mi na tym zależało? Nie powinno mi zależeć. A mimo to nie potrafiłam tego zignorować. Nie mogłam temu uciec. Przełknęłam tyle jedzenia od Mische, ile zdołałam, ale mijały minuty i stawałam się niespokojna, jakby wszystko, co próbowałam ukryć, walczyło o to, by wyjść na światło dzienne.

Ostatecznie wstałam. Każdy miesiąc mnie bolał, ale przynajmniej mogłam się poruszać. Chwyciłam kurtkę z wieszaka.

– Dokąd idziesz? – zapytała Mische, zaalarmowana, gdy narzuciłam odzienie na ramiona.

– Potrzebuję świeżego powietrza.

– Ale powinnaś...

Otworzyłam drzwi.

– ...odpoczywać – skończyła zdanie, gdy zatrzasnęłam je za sobą.



Minęło sporo czasu, od kiedy robiłam to trzy razy podczas jednej nocy. Moje ciało zbuntowało się przeciwko mnie i zapewne na to zasłużyłam, ale nawet gdy te ścierwa

były zmęczone, nietrudno było je zabić. Były leniwe i zdecydowanie zbyt liczne. Minęły tygodnie, od kiedy chodziłam tymi ulicami. Wystarczająco dużo czasu, by dać tym potworom fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

Nie dziwiło mnie to.

Były zarozumiałe. Samolubne, żarłoczne śmiecie, które uważały mieszkających tu ludzi wyłącznie za przekąskę. Tak ich nienawidziłam, że samo obserwowanie, jak zdychają – jednocześnie obserwowanie, jak one obserwują mnie, zabijającego je człowieka – nie pomogło ostudzić mojej złości. Poczułam to bardziej jako niesprawiedliwość.

Przez lata nauczyłam się, jak zasklepić tę ranę, jak schować moje ludzkie słabości. Teraz ten chowający je opatrunek, o który tak dbałam, rozpadł się w rączkach niewinnego martwego dziecka.

Nie wiedziałam, jak to powstrzymać. Od dzieciństwa mnie uczono, że krwawienie jest niebezpieczne. Mimo że rany się zamknęły, ta jedna głęboko w moim sercu krwawiła jak nigdy. Odśloniło to moją słabą stronę.

Kiedy opuściłam Księżycowy Pałac, myślałam, czy nie spotkać się z Vincentem. Byłam pewna, że będzie na mnie czekał. Widziałam, jak wtedy na mnie patrzył. Musiałam z nim pomówić, zapytać o moją magię, o ludzi. Skąd się tam wzięli? Jak dobrali się do ludzi, którzy powinni byli być chronieni? Dlaczego *dzieci*?

Miał na wszystko odpowiedź.

Ale może dlatego znalazłam się tutaj, idąca w przeciwną stronę – w stronę ludzkich dzielnic.

Słowa były skomplikowane. Pytania trudne. A rana we mnie krwawiła tak, że wiedziałam, że Vincent by ją wyczuł. Krew przelałaby się między moimi palcami, gdyby otworzył je odpowiedzią, która by mi się nie spodobała.

Tak było prościej. Korzystniej. Przynajmniej coś to robiło.

Moja trzecia ofiara patrzyła na mnie, jakbym była Nyaxią we własnej osobie, po czym blask opuścił jej oczy. Przycisnęłam ją do ściany w śmierdzącej odchodami alejce, blisko baru po drugiej stronie ulicy, w którym prześladowała młode kobiety. Nie byłam tą młodą kobietą, której pragnęła, ale z pewnością na mnie zasługiwała.

Napastnik otworzył usta i gdy się rozluźnił, powiew jego gnijącego oddechu otoczył mi twarz.

Wyrwałam ostrze i pozwoliłam mu osunąć się na ziemię.

Zwierzę. Gnij w gównie, sikach i śmieciach, tak jak szcurze trupy.

Rozciął mi paznokciami nadgarstek. Zatrzymałam się i obserwowałam, jak krew skapuje na podłogę. Naszła mnie niepoohamowana złość.

Moja skóra, moja ludzka skóra, była tak delikatna i podatna na zranienia. W tym momencie nienawidziłam jej tak, jak tego wampira, którego przed chwilą zabiłam. A może i nawet bardziej. Może ta kruchość była odpowiedzialna za wszechobecną śmierć.

– A ja myślałam, że uciekłaś we wczesnych godzinach porannych, by odwiedzić naszego wspaniałego i potężnego króla Zrodzonych z Nocy.

Odwróciłam się razem z mieczem i zobaczyłam znajomą uskrzydloną postać stojącą na dachu. Na ten widok serce mi ścisnęło – nie lubiłam, kiedy nade mną latały. Mogłam być żmiją, ale nawet węże chowają się, gdy krążą nad nimi jastrzębie.

Raihnowi z pewnością nie podobało się, że zabijałam wampiry. Żadnemu wampirowi by się to nie spodobało. Mordowały się każdego dnia, ale żaden z nich nie lubił, kiedy robił to człowiek.

Nie żebym była w nastroju teraz się tym przejmować.

– Idź sobie.

– Zaskakująco nudna riposta.

Faktycznie. Prawie zawstydzająco.

Zignorowałam go i wyczyściłam z krwi ostrze broni.

Uśmiech Raihna nieco przygasł.

– Widziałem, że zabiłaś jeszcze dwa w ciągu ostatniej godziny – rzekł łagodnym tonem, którego bym się po nim nie spodziewała. – Robisz to na granicy życia i śmierci? Niektórzy by powiedzieli, że to niemądre tak wykorzystywać czas.

Ta rana w moim sercu krwawiła i krwawiła. Jego słowa tylko to spotęgowały i rzuciłam się na niego jak zwierzę.

– Niemądre tak wykorzystywać czas? – warknęłam i kiwnęłam na niego bronią. – Czwooro ludzi by zginęło, gdybym tego dzisiaj nie zrobiła. Ale oczywiście nie uważasz, żeby byli warci tej półtorej godziny, którą dla nich poświęciłam.

Jego uśmiech zniknął.

– Nie o to mi chodziło.

– Pieprz się.

Miałam nadzieję, że nie widział mojej twarzy. Prawdopodobnie zdradzała zbyt wiele.

Bądź ostrożna z tymi swoimi barwnymi ekspresjami, żmijko – wyszeptał Vincent.

Też się pieprz – pomyślałam, choć za moment wymamrotałam w głowie ciche „przepraszam”.

Za plecami usłyszałam, jak Raihn wylądował, zaskakująco lekko jak na swoją posturę.

– Idź sobie. – Nie obróciłam się. – Te szmaty nie potrzebują ciebie do obrony ich honoru.

Prychnął z obrzydzeniem.

– Nic takiego nie będę robił. Z tego, co widzę, to wyświadczasz istotną przysługę społeczną.

Zatrzymałam rękę w połowie zamachu.

Nie odwróciłam się, nie odsłoniłam mojej twarzy, ale zachichotał.

– Co?

Co miało znaczyć to „co”? Jakby nie wiedział. Jakby nie był świadomy jak każdy wampir – nawet te pokroju szczurów, nawet te, które nie zgadzały się z ich motywami – zabiły człowieka z byle powodu. Obraza zasady samej w sobie.

Nie miałam zamiaru mu o tym mówić. Oboje byliśmy tego świadomi.

Zamiast tego pytanie utknęło mi w gardle. Dokładnie to samo pytanie, którego chciałam uniknąć poprzez przyjście tutaj. Ta sama odpowiedź, której nie chciałam usłyszeć.

Ponowiłam czyszczenie ostrza.

– Co z dziewczynką? – wydusiłam.

Mój głos był wyższy i słabszy, niż planowałam.

Cisza się przedłużała. Z każdą sekundą supel na mojej klatce piersiowej się ścieśniał.

Usłyszałam kroki, ale nie poruszyłam się, dopóki jego ręka nie wylądowała na moim ramieniu. Odsunęłam się, gotowa zaatakować, ale coś w jego spojrzeniu – dziwnie łagodnego – kazało mi przestać.

– Chodź ze mną – odrzekł.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Raihn zaprowadził mnie na drugą stronę miasta. Zajęło nam to prawie pół godziny piechotą. zaproponował, że tam polecimy, ale odmówiłam tak gwałtownie, że uniósł ręce, jakby błagał o wybaczenie, więc ostatecznie poszliśmy, w ciszy. Cały czas musiałam zaciskać zęby, żeby nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego.

Ta część dzielnicy była obszerniejsza, posiadała płaty ziemi, a nawet kilka ogródków przy glinianych budowlach. Każda część ludzkich dzielnic śmierdziała biedą, ale ten obszar chociaż sprawiał wrażenie, że ludzie chcą tu zbudować jakieś życie. Biedne, tak. Pośród ruin, oczywiście. Ale... pełne ciepła w pewien dziwny sposób.

Słodko-gorzki żal wstrząsnął moją klatką piersiową. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, że być może istniało tutaj coś, czego nie było w śródmieściu. To, co tu żyło, tak bardzo przypominało mi o Ilanie.

Była noc i tym samym panowała cisza, jako że mieszkańcy posłusznie pozostali w domach. Mimo to Raihn i ja trzymaliśmy się cieni i szliśmy uliczkami zamiast główną ulicą. Wyjrzał zza rogu pomiędzy dwoma budynkami, a następnie rozłożył skrzydła i wskoczył na płaski dach. Podał mi rękę, ale zignorowałam ją i wspierałam się o własnych siłach. Otrzymałam w odpowiedzi ciche prychnięcie i potrząśnięcie głową.

Zaprowadził mnie na krawędź dachu, a następnie usiadł ze schowanymi skrzydłami i zaczął machać nogami.

– Zobacz.

Nie wiedziałam, co próbował mi pokazać. Przed nami rozciągały się budynki takie same jak te, które minęliśmy, oraz opustoszałe ulice wyglądające jak każda inna, przez którą przeszliśmy.

– Co?

– Usiądź. Zniż się.

Klęknęłam. Nawet z nogami pod sobą wciąż byłam niższa od siedzącego Raihna. Wskazał ręką, a ja wyciągnęłam głowę i podążyłam wzrokiem.

– W oknie, o tam.

Budynek miał wielkie okna podzielone na wiele wzmocnionych tafli. Zapalone lampiony zalewały wnętrze łagodnym, ciepłym światłem. Poruszające się ciała tworzyły cienie. W środku budynku znajdowało się dużo ludzi, przynajmniej sześcioro, których widziałam przez okno. Większość z nich była dziećmi.

– Pośrodku – powiedział łagodnie Raihn.

Dziewczynka o ciemnych włosach. Siedziała na podłodze, sama, i ignorowała inne dzieci. Głowę miała pochyloną, a nawet jeśli nie miałaby jej w tej pozycji, znajdowała się zbyt daleko, żebym mogła zobaczyć jej twarz.

Ale to była ona. To była ona.

Bez mojego pozwolenia uciekło ze mnie drżące powietrze. Fala ogromnej ulgi zalała mnie i pozostawiła z zawrotami głowy. Przycisnęłam ręce do glinianego dachu, żebym nie spadła.

– Jak? – wydusiłam.

– Mam swoje sposoby. – Mogłam usłyszeć uśmiech w głosie Raihna. – Bardzo niebezpieczne, bardzo inteligentne, bardzo imponujące sposoby.

Nie zamierzałam doceniać jego przechwałek, ale... to było naprawdę imponujące. Nie mogłam pojąć, jak zdołał to zrobić. Samo zabranie żywego dziecka z koloseum było nie lada wyczynem.

– Kim... Kim są ci ludzie? Co to za miejsce?

– Dom dla dzieci, które nie mają nikogo. Trochę mi zajęło znalezienie odpowiedniego domu. Nie mogłem zlokalizować jej rodziny. Pomyślałem, że oni mogliby to zrobić.

Przełknęłam ciężko ślinę. Nie znajdą jej rodziny. Nie miała już żadnej.

– To bajki – powiedziałam.

Wypuścił z siebie cierpki śmiech, pozbawiony humoru.

– Ty naprawdę... nie rozluźnisz się, co? Nigdy nie zaakceptujesz zwycięstwa?

Czy on myślał, że nie chciałam, żeby to było zwycięstwem? Czy myślał, że nie chciałam uwierzyć w to, że mogło się tak stać?

Zanim jednak odpowiedziałam, dodał łagodnie:

– Może i masz rację. Ale wciąż żyje. To już coś.

I za to byłam wdzięczna. Naprawdę. Jeślibym mu to powiedziała, odsłoniłabym zbyt wiele. Mimo wszystko chciałam, żeby zabrzmiało to bardziej jako zwycięstwo. Chciałam, żeby jej życie było bardziej wartościowe od tego, które miała. Zamiast tego będzie dorastać tutaj, w miejscu, gdzie będzie wiecznie ścigana. Sama.

Chciałam, by uratowanie jej polegało po prostu na utrzymaniu bicia jej serca. Tak bardzo tego chciałam. Ale czy ona będzie pamiętać, że ktoś starał się to zrobić? Że ktoś uznał, że jej życie powinno być warte więcej?

Bezmyślnie potarłam pierścionek o skórę małego palca.

– Nie powinna była się tam znaleźć – mruknęłam.

– Nie – zgodził się Raihn.

Czysta nienawiść w jego głosie zbiła mnie z tropu, na tyle niespodziewana, że wyrwała mnie z zamyślenia.

Spojrzałam na niego.

– Dlaczego mnie śledziłeś?

Uniósł rękę.

– Spokojnie, zmij.

– To nie jest odpowiedź.

– Przyszłaś do dzielnic, gdy ja z nich wychodziłem. Byłem ciekaw. I może trochę zaniepokojony, jeśli pozwolisz mi się tak wyrazić. – Ton jego głosu spoważniał. – Ale cieszę się, że to zrobiłem. Jestem mile zaskoczony obrotem spraw, tak naprawdę. Nie...

– Pokręcił głową. – Nie wiedziałem, że miałaś to w sobie.

– Dlaczego? Bo jestem księżniczką Vincenta?

Skrzywił się, ale nie zaprzeczył.

Wpatrywałam się w niego ze zmrużonymi oczami.

– Nie rozumiem.

– Czego?

– Mile zaskoczony. Powiedziałaś, że byłeś mile zaskoczony.

– I mówiłem prawdę.

– To nie ma sensu.

– Dlaczego? Bo jestem rishańskim śmieciem?

Jeśli spodziewał się, że się skrzywię, jak on to uczynił, to się przeliczył. Dalej wpatrywałam się w niego bez mrugnięcia, bez żalu.

Westchnął.

– Ci, których zabijasz, zasługują na to. Inaczej nie przestaną.

- Ale to wampiry.
- Tak.
- A to są ludzie.
- Widzę to.

Nastąpiła cisza, podczas której próbowałam opanować niedowierzanie, ale mi się nie udało.

Ponownie westchnął, jakby ta dyskusja go męczyła.

- Czy to aż tak trudno pojąć?

Tak. Trudno to pojąć. To po prostu... sprzeciwiało się pewnemu porządkowi w Domu Nocy. Nawet nie tylko w tym domu, w całym Obitraesie.

- Pewnie, że tak – odparłam.

Ta odpowiedź go zirytowała.

– Czy tak trudno uwierzyć w to, że mam szacunek do ludzkiego życia? – zdenerwował się. – Kiedyś byłem jednym z nich.

Chciałam dać jakąś ciętą ripostę, o której w momencie zapomniałam. Zamknęłam półotwarte usta, w ciszy przyjął szok.

Rdzawoczerwone oczy Raihna błysnęły z rozbawieniem.

- Ależ to satysfakcja zaszokować cię czymś, księżniczko.
- Jesteś Przemieniony.
- Owszem.

Przemienione wampiry były rzadkością, zwłaszcza w Sivrinaju. Te, które zdołały przeżyć ten proces, zazwyczaj nie adaptowały się do swojego nowego życia. A wampiry Domu Nocy – niezwykle terytorialne – nigdy nie były skłonne do przekształcenia jedzenia w swoich towarzyszy.

Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że Raihn mógł być Przemienionym. A mimo to miało to sens. Ten jego niezwykle nierówny wygląd. Jego zdecydowanie niewampirze poczucie humoru. A także jego wyczyny – jakby chciał coś udowodnić. Jakby musiał nauczyć się nosić różne maski.

Ten rozbawiony uśmiešek wyparował i pozostawił po sobie coś surowego i smutnego.

- Minęły wieki i nie stało się to mniej odrażające. Nigdy się takie nie stanie.

Chciałam powiedzieć: „I dobrze”.

Miałam nadzieję, że również dla mnie będzie to odrażające, gdy stanę się jedną z nich. Że nigdy nie porzucę tej części siebie. Mimo to tyle razy myślałam, że będzie to mała cena do zapłacenia – porzucenie mojego człowieczeństwa jak niechciana skóra węża.

Nawet tu i teraz ten pomysł mnie obrzydzał.

Milczałam. Nigdy bym nie poparła żadnej z tych myśli.

– Jak długo to robisz? – zapytał w końcu Raihn.

– Nie wiem – skłamałam. – Kilka lat.

Sześć lat, dwa miesiące i czternaście dni.

– I rozumiem, że nasz wszechmocny Zrodzony z Nocy wybawca o niczym nie wie.

Rzuciłam mu ostrzegawcze spojrzenie.

Zaśmiał się i odsłonił końcówki ostrych zębów.

– Wiesz, jednym z powodów, dla których chciałem do ciebie dołączyć, było *to* spojrzenie. Ta pieprzona twarz. Jest taka... taka... – Zacisnął usta, a jego twarz drgnęła, jakby próbował mnie naśladować, i wtem, bardzo mądrze, postanowił tego nie robić. – Zapomnij.

Mogłabym o tym zapomnieć. Ale złapałam się na tym, że mu odpowiadam.

– Nie. Vincent nic nie wie.

Dlaczego to powiedziałam? Chciałam mu coś udowodnić? Udowodnić, że byłam czymś więcej niż posłusznym pieskiem Vincenta?

– Spowodowałyby to problemy natury politycznej – kontynuowałam. – Tak jest lepiej dla wszystkich.

To prawda. Vincent nie przebaczyłby mi moich aktywności tutaj, nawet w milczeniu. Tak samo jak nie mógł przebaczyć żadnej oficjalnej akcji na terytorium Rishan w moim imieniu. Byłabym w stanie działać na własną rękę, gdybym była wystarczająco silna i mogła to zrobić bez utraty życia.

Powstrzymałam się przed dodaniem, że Vincent prawdopodobnie zamknąłby mnie w pokoju na wieczność, gdyby dowiedział się o moim hobby.

– Racja. – Raihn nie wydawał się przekonany.

Wiatr złapał w swoje sidła luźne kosmyki naszych włosów – moje kruczoczarne i jego ciemnoczerwone. W ten gorąc przyjęłam podmuch powietrza z radością. Uniosłam brodę ku niemu i rozkoszowałam się chłodnym potem na policzkach, podczas gdy wzrok utkwiłam za horyzontem – na rozpadających się mdłych blokach ludzkiej dzielnicy, statecznych i kanciastych w kontraście do sfalowanych wydm. Zamek Zrodzonych z Nocy wszystko przyćmiewał. Z tego miejsca trzy różne światy ze sobą kolidowały: zdobyczy, drapieżników i bogów.

– To godne pochwały, Oraya – powiedział Raihn po dłuższej ciszy. – To, co zrobiłaś na arenie. To, co robisz tutaj.

Zamrugałam, zdumiona. Nie spojrzałam na niego i nie odpowiedziałam. Czekałam, aż się poprawi albo mi umniejszy. Ale tego nie zrobił. Najzwyczajniej w świecie powiedział mi komplement i dał mu popłynąć.

To było dziwne.

– I przepraszam za swoje zachowanie przed próbą – ciągnął. – To było... Myślałem o czymś, co nie było związane z tobą. Miałem zły dzień.

To uderzyło mnie jeszcze bardziej niż komplement. Nawet jeśli mogłam praktycznie usłyszeć Mische karmiącą go tymi słowami.

Ponownie poczekałam na „ale”, na umniejszenie, lecz nie nadeszło. Pozwoliłam sobie spojrzeć na niego i znowu nastąpiła cisza.

W końcu się odezwałam.

– Oczekujesz teraz ode mnie przeprosin? Bo nie czuję, żeby były potrzebne.

Zaśmiał się. Nie był to chichot czy prychnięcie. Był to śmiech, pełny, niski i zaskakująco głośny. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio słyszałam kogoś tak śmiejącego się. Włączając w to mnie. Nie od czasu, który spędzałam... z Ilaną.

– Ta pieprzona twarz. – Pokręcił głową. – Nie, nie czekałem na twoje przeprosiny. Byłbym zawiedziony, gdybyś przeprosiła.

– Niczego nie żałuję. Wyrzuciłabym cię ponownie przez okno.

– Wiem to, księżniczko. Wiem to.

Odsunął z twarzy samowolne kosmyki włosów, a uśmiech przykleił się mu do ust, podczas gdy światło księżyca uwydatniało kształty jego profilu. Uderzyła mnie nagła przytłaczająca myśl, jaki był przystojny. Zawsze otaczały mnie piękne osoby – przez co kiedyś zbyt boleśnie uświadomiono mi, że muszę nauczyć się to ignorować – ale w tym momencie, przez setną sekundy, piękno Raihna spadło na mnie jak cios, tak niespodziewany, że zabrakło mi tchu. Jego uroda nie należała do wyrafinowanej elegancji wampirów, w której zawierały się perfekcyjne kości policzkowe, usta i błyszczące oczy. Nie, to było surowsze, normalniejsze. Żywsze.

Nagle wszystkie te cechy, które miały ślady życia – w przeciwieństwie do wampirzej perfekcji, która nimi poniewierała – okazały się niesamowicie przyciągające.

Szybko odwróciłam wzrok, by odsunąć od siebie to stwierdzenie faktów.

– Mam pomysł – powiedział wampir. – Do diabła z treningiem w apartamencie. Potrenujmy tutaj.

Uniosłam brew.

– Tutaj?

– Tutaj. Zróbmy to. Poznałem się na twoim stylu podczas tych ostatnich dwóch godzin bardziej niż w ciągu ostatnich dziesięciu dni i obserwowania cię tylko w nocy.

Zjeżyłam się, gdy każdy mój instynkt zbuntował się przeciwko byciu obserwowaną. Musiałam jednak z niechęcią przyznać mu rację. Jeśli mieliśmy współpracować, musieliśmy się najpierw zrozumieć.

– Pomyśl o tym – odrzekł. – Możemy się nauczyć, jak walczyć razem, i w końcu zrobić coś pożytecznego. Poza tym... – Kącki jego ust się uniosły. – Będzie z tego większa frajda, nie uważasz?

Każda cząstka mnie chciała odmówić, jak dziecko chcące chronić swoją kryjówkę. Przeżyłam jednak zaledwie dwie próby i moje umiejętności, by przetrwać trzecią, zależały od współpracy z Raihnem.

Moje możliwości, by go po tym zabić, również zależały od poznania jego talentów.

Spojrzałam w stronę okna. Światło prawie całkowicie zgasło, pozostał jeden lampion, który teraz delikatnie otaczał znajdującą się w łóżku, ledwo co w nim widoczną, śpiącą dziewczynkę.

Tej nocy dzielnice obfitowały w wampiry. Miesiąc poza moim projektem i tyle wysiłku poszło na marne. Ilu ludzi zginęło w ostatnim czasie, ponieważ mnie tu nie było? Ilu mogło przeżyć, gdybym miała pomoc?

– W porządku – powiedziałam. – Niech ci będzie. Zróbmy to.

Prawie wycofałam te słowa, gdy dostrzegłam, jak niezmiernie jest z siebie zadowolony.

Nachylił się ku mnie z ciekawością w oczach.

– Pamiętasz, kiedy chciałaś uzyskać ode mnie jedną szczerą odpowiedź?

Kiwnęłam głową.

– Jedna szczerą odpowiedź, Oraya. Zostały nam trzy tygodnie do Próby Kwadry. Czy naprawdę będziemy współpracować?

Zrozumiałam, o co naprawdę mnie pytał. Czy zgodzę się z nim współpracować. Czy *pozwolę* mu na to.

A co takiego zrobięś, żeby zdobyć moje zaufanie? – powiedziałam wówczas.

Zaufanie było wciąż cennym i niebezpiecznym pojęciem. Cokolwiek mu oferowałam teraz, nie było nim, ale...

Wróciłam spojrzeniem do śpiącej dziewczynki. A potem przeniosłam je na Raihna. Zauważyłam, że po raz pierwszy siedzieliśmy dość blisko siebie, między nami była odległość mniejsza niż wyciągnięcie ręki.

Zauważyłam to i się nie ruszyłam.

– Tak – odpowiedziałam. – Tak



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

O raya.
Vincent wypowiedział moje imię na jednym wydechu pełnym ulgi. Bardziej była to wdzięczność Matce, że tu byłam, niż powitanie.

Nie spodziewałam się tego.

Trzy sylaby i moja złość wyparowała. Pozostawiła podatną na zranienie miłość, która zaboląła pod naciskiem winy.

Czekał na mnie dzień dłużej. Nie mogłam się zmusić, by go zobaczyć po tym, co się stało z dziewczynką. Mimo to, gdy wchodziłam dzisiaj po wzgórku, zastanawiałam się, czy to była dobra decyzja.

Myślałam, że byłam gotowa. Praca w ludzkich dzielnicach coś we mnie uśmierzyła. Nie odeгнаło to obrazu zapłakanej twarzy dziecka, ale sprawiło, że jego ból był coś wart.

Niezależnie od tego z każdym krokiem, jaki stawiałam w kierunku miejsca spotkania z Vincentem, czułam się coraz mniejsza. Całą sobą czułam, że to, co do tej pory próbowałam ukryć, było bliskie wyjścia na powierzchnię.

Dlatego też poczułam ulgę, gdy spojrzał na mnie w ten sposób, dzięki czemu złość wyparowała. Martwił się i zależało mu na mnie. Tylko to się liczyło.

– Jesteś ranna?

Vincent obszedł mnie i obejrzał od góry do dołu, mimo że byłem ubrana od stóp do głów w skórę i blizny po moich ranach były ukryte pod zbroją.

– Nic mi nie jest.

– Nie wygląda na to. Byłaś... – Wyprostował się, a rodzicielska troska została zastąpiona wściekłością króla Zrodzonych z Nocy. – Co sobie myślałaś? – syknął. – Niemal przegrałaś. Niemal zginęłaś. Z powodu czego?

To spojrzenie było wystarczająco zimne, żeby zamrozić mi znowu serce.

Z powodu *czego*?

Po tych słowach ponownie znalazłam się w labiryncie i patrzyłam na dziecko, a przerażająca prawda spadła na mnie. Przez lata nauczyłam się, by ostrożnie regulować emocje – *złość jest tylko zbiorem reakcji fizycznych* – ale tym razem poczułam to szybko i ze zdwojoną siłą.

– Dlaczego ludzie byli w próbie? – zapytałam.

Głos miałam spokojny, ale Vincent nauczył mnie, jak obtoczyć słowa stalą. Od razu to rozpoznał i zamrugnął z zaskoczenia.

– Próby nie są pod moją jurysdykcją.

– To nieprawda.

Zaskoczenie zamieniło się w oburzenie.

– Proszę?

– Nie przeprowadzasz ich, ale są pod twoją jurysdykcją. A ludzie są mieszkańcami Domu Nocy. Są... Są pod ochroną. Powinni być pod ochroną.

Byłam w pełni świadoma, że potykałam się o słowa. W mojej głowie brzmiały pewnie i karcąco. Wypowiedziane na głos były słabe i dziecinne.

Jego spojrzenie się ochłodziło.

– Pod ochroną? Ich życie należy do Nyaxii. Tak jak moje. Tak jak i twoje. Jeśli tego od nich oczekuje...

– Dzieci? Wykorzystuje *dzieci* dla własnej rozrywki? Dla...

Urwałam. Odwróciłam głowę, przez co została ukryta w cieniu. To nie miało sensu. Nie ukryję nic przed wampirem.

Coś w nim złagodniało. Usłyszałam zmianę w jego głosie – przemienił się z ojca w króla, a teraz był z powrotem moim ojcem.

– Pozwól mi wejść w twój umysł, zmijko – mruknął.

Nie wiedział, o co prosił. Nie chciałby zobaczyć tego, co ja tam widziałam. Słowa gromadzące się na moim języku były ciężkie i smakowały jak zdrada – jakby miały zdradzić mnie przed nim i przedstawić jako kogoś, kto był do niego bardzo niepodobny. Niewystarczająco wampirzy.

– Życie ludzkie nie powinno być tak umniejszane – powiedziałam. – Jest powód, dla którego ludzie są chronieni w swoich dzielnicach.

– Każde nasze życie jest tanie, Oraya. Człowiek. Wampir. Nawet bogowie.

Powiedział to jakoś tak litościwie, jakby był zaskoczony, że musiał wyjaśniać coś tak trywialnego.

To prawda. Śmierć była na każdym kroku w Domu Nocy. Rodzice zabijali swoje dzieci. Dzieci eliminowały rodziców. Kochankowie odbierali sobie życie w nocy w ferworze namiętności. Nawet opowieści o naszych bogach były okrutne. Pomniejsi bogowie często byli mordowani dla sportu. Zrodzeni z Nocy wytwarzali swoją społeczność i swoją broń ze stali, twardej, zimnej i bezlitosnej.

Takie było życie. Może to był znak, że coś było ze mną nie tak, i trudno mi było to zaakceptować. Próbowałam się wbić w to ostrze. Może to dlatego, że nie byłam ani człowiekiem, ani wampirem, i stanie na tej granicy udowodniało, jak wielka to była różnica.

– Przynajmniej wampiry zginęły za coś – odparłam.

– Wszyscy za coś giniemy. Czy to wampir, czy człowiek.

Nie zaakceptowałam tej odpowiedzi. W ogóle jej nie akceptowałam. Jeśli zginęłabym w Kejari, przynajmniej zrobiłabym to z własnej woli. Ale ci ludzie? Za co stracili życie? Za nic. Była to rozrywka dla bogini pożądamcej krwi i publiki wymagającej krwi. Ja wybrałam to życie, to dziecko nie.

Vincent miał rację, że Dom Nocy nie szanował żadnego życia, ale wciąż niektórych bardziej doceniał niż inni.

Bardzo chciałam na tym poprzestać. Ale nie mogłam. Słowa popłynęły same.

– To mogłam być ja. Ta dziewczynka. To mogłam być ja. O tym nie pomyślałeś?

Vincent spochmurniał, jakby osłoniły go burzowe chmury maskujące spokój księżyca.

– Do tego *nigdy* by nie doszło, Orayo.

– Ja...

Człowiek. Tak rzadko mówiłam to słowo przy nim. Nigdy nie powiedziałam tego na głos. Jakby było brzydkim słowem, którego żadne z nas nie chciało zaakceptować.

– Nie jesteś jak oni – wtrącił. – Nie znalazłabyś się na ich miejscu.

Mylił się. Wiedziałam to, tak jak i to, żeby tego nie przyznawać na głos.

Zbliżył się, a cienie w jego spojrzeniu pogłębiły się i stały się ostrzejsze.

– Chcesz zmienić ten świat, zmijko? To wspinaj się po swojej klatce, aż będziesz tak wysoko, że nikt cię nie złapie. Złam jej pręty i zrób z nich broń. Nic nie jest ostrzejsze. Wiem to, ponieważ to zrobiłem.

Byłam przyzwyczajona do widoku Vincenta jako króla, jako ojca, ale do rzadkości należał jego widok jako rewolucjonisty. Czasem łatwo można było zapomnieć, że to on zmienił to królestwo. Wiedział, jak to jest pragnąć zmiany.

– Bez potęgi nic nie możesz osiągnąć na tym świecie – powiedział. – A potęga wymaga poświęcenia, skupienia i bezwzględności.

Odpląnął wzrokiem w cienie za mną i zastanawiałam się, czy wrócił myślami do swojego dążenia do potęgi i wszystkiego, co mu ona odebrała. Wiedziałam, że również poświęcił dla niej wiele. Ale w zamian stał się najpotężniejszym królem Domu Nocy w historii. Był w stanie przekształcić swoje królestwo we wszystko, czego pragnął.

Bez potęgi nic nie możesz osiągnąć na tym świecie.

Prawda. Dobra i zła rzecz. Możliwe, że jedyną dobrą rzeczą, jaką zagwarantuje mi moja złość, jest motywacja. Musiałam pozostać w skupieniu.

Przełknęłam ślinę i opuściłam brodę.

– Wiem.

Potęga. To pojęcie przypomniało mi o wszystkich pytaniach, na które nie zyskałam jeszcze odpowiedzi. Potarłam koniuszki palców, gdy zamrowiły na wspomnienie mojego niespodziewanego krótkiego wybuchu magii.

– Coś dziwnego się wydarzyło – powiedziałam. – Przed próbą. Zrobiłam... Zrobiłam coś, czego nie rozumiem.

Opowiedziałam mu, co zaszło z moją magią. Pominęłam szczegóły kłótni z Raihnem. Nie potrzebowałam więcej bury od Vincenta, niż otrzymałam do tej pory.

Słuchał tego w milczeniu, ze spokojnym wyrazem twarzy. Kiedy skończyłam, oczekiwałam od niego jakichś oznak zaskoczenia czy zatroskania, ale nic takiego się nie pojawiło.

– To nie ma sensu – odrzekłam. – Nigdy wcześniej nie byłam w stanie zrobić czegoś takiego. Nawet kiedy ty mnie trenowałeś.

Milczał kilka sekund, jakby musiał się najpierw zastanowić, co powinien powiedzieć, po czym odparł:

– Zawsze wiedzieliśmy, że jesteś utalentowana.

Delikatne uniesienie kącika jego ust – coś na wzór dumy.

My? Może i wiedział – może byłam zbyt sceptyczna – ale nigdy nie pomyślałam, że mogłabym zrobić coś takiego.

– Ale nigdy wcześniej tego nie zrobiłam.

– Magia jest nieprzewidywalną formą mocy i twoje życie drastycznie zmieniło się w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Wpatrywałam się w niego bez emocji, nieprzekonana.

– Nie jestem wampirzycą. Ani jednym z dzieci Nyaxii. Jak miałabym posiadać moc pochodzącą z jej arsenału?

– Ofiarowałaś Nyaxii swoją krew. Swoje życie. Ta ofiara nie zostaje niezauważona. Wielu posiadało moce, które były odrzucone przez tradycyjną wiedzę.

Pomyślałam o Mische i jej płomieniach – wampirzyca posiadająca magię Atroxusa.

– Być może cząstka ciebie wie, że potrzebujesz tej mocy teraz bardziej niż dotychczas. Naucz się jej zatem. Użyj jej. – Przybliżył się. Spojrzenie miał pełne zimnego zapachu. – Nic nie liczy się poza tym, Oraya. Nic. Złam tymczasowe bariery. Jak tylko wygrasz, świat należy do ciebie. Wtedy będzie można marzyć. A teraz? Teraz jest czas na podbój.



Ponownie ledwie starczyło mi sił, by wrócić do Księżycowego Pałacu przed wschodem słońca. Kiedy weszłam do naszego mieszkania, słońce już wyglądało zza horyzontu. Weszłam do środka w momencie, kiedy Mische zmierzała do swojego pokoju. Raihn znowu stał oparty przy odsłoniętym oknie.

Zerknął przez ramię i posłał mi uśmiešek.

– Witaj z powrotem.

– Nie zapytasz mnie, gdzie byłam?

– Zrozumiałem, że zabawniej będzie, jeśli mnie zaskoczysz. Poza tym domyślam się. Jesteś gotowa, by zacząć jutro?

Pomyślałam o ostatnim razie, który tak przebiegał, i o tym, jak źle się zakończył. Zastanowiłam się krótko, czy oszalałam.

Przed nami była jednak do wygrania Próba Kwadry.

Teraz jest czas na podbój – wyszeptał mi do ucha Vincent.

– Tak – odparłam. – Będę gotowa.

Skierowałam się do swojego pokoju, ale wtedy ciekawość zwyciężyła i się odwróciłam.

– Dlaczego to robisz? – zapytałam.

– Co?

– Musi boleć.

– Nie jest jeszcze najgorzej.

– Ale... dlaczego? Dlaczego to robisz?

Chwilę milczał, po czym się uśmiechnął.

– Idź odpocząć. Mamy sporo roboty.

Poczułam, że to niesprawiedliwe, że poznał mój sekret, podczas gdy odmówił wyjaśnienia swoich głupich samoniszczących nawyków. Zdecydowałam, że powstrzymanie się od wytknięcia jego hipokryzji było pierwszym krokiem do zostania dobrym sojusznikiem.

– W takim razie nie poparz się za bardzo, bo będziesz jutro do niczego – powiedziałam i się odwróciłam. – Choć to wcale nie byłby zły pomysł.

– Mówisz to jakoś bez przekonania.

Pokręciłam głową, przewróciłam oczami i poszłam do swojego pokoju.

Nie uszło mojej uwadze, że Mische wygląda zza rogu drzwi i nie dba nawet o to, by zatuszować podsłuchiwanie i uśmiech.

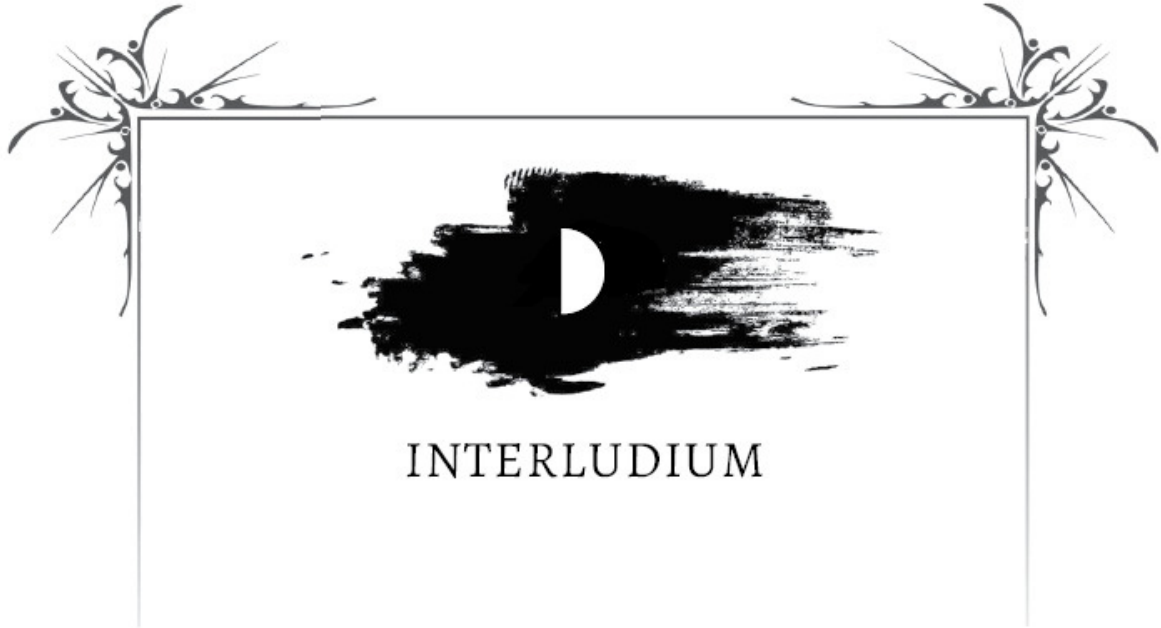


D

CZEŚĆ CZWARTA

KWADRA

KSIEŻYCA



Młoda dziewczynka nie była już małą dziewczynką. Teraz była młodą kobietą. W wieku szesnastu lat pomyślała, że zrozumiała już swoje miejsce w tym wyjątkowym świecie. Ale coś dziwnego zdarzyło się w tym mętłym okresie pomiędzy dzieciństwem a dorosłością. Rzeczy, których pragnęła, uległy zmianie. Rzeczy, które spostrzegła, zmieniły się.

Wampiry są pięknymi istotami.

To należy do prawie uniwersalnej prawdy. Ich skóra jest gładka i miękka, ich rysy twarzy jasne i uderzające po oczach, ich głosy słodkie i melodyjne. Posiadają często ten rodzaj urody, która zostawia znamię na czyjejś duszy – rodzaj, który odwiedza się znowu, gdy leżysz w nocy w łóżku i myślisz o kształcie ust.

Młoda kobieta nauczyła się na to nie reagować. Była bezlitośnie uczona postrzegać te byty, które ją otaczały, jako niebezpieczne potwory. Dopiero gdy dorosła, zaczęła je uważać za niebezpieczne, lecz nie dlatego, że były ohydne, ale z powodu cech świadczących o braku tej potworności.

Postawmy sprawę jasno: była mądrą dziewczyną. Wiedziała, jak przetrwać.

Jednak każda żywa istota ma pragnienia. Czy to należy do słabości?

Pewnej nocy młoda kobieta spotkała młodego wampira. Nieczęsto miała styczność z członkami grona jej ojca. Jednak ten chłopak również zdawał się odludkiem. Był młody, zaledwie kilka lat od niej starszy. Był najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek

widziała – jego twarz stanowiła doskonałe połączenie ostrych rysów i delikatnych krzywizn, pokrytych odcieniami ciepła, które wskazywały na to, kim kiedyś był.

Tak, był Przemienionym.

On był samotnym młodzieńcem. Ona była samotną dziewczyną. Czy nie było to nieuniknione, że do czegoś powinno między nimi dojść?

Być może on sam nie rozumiał, jaką broń nosił pod tą powłoką.

Być może go pociągała, ponieważ przypominała mu osobę, którą niegdyś był.

Być może nawet myślał, że ją kochał.

Młoda kobieta nigdy nie myślała o miłości jak o czymś szczególnym. Nie była karmiona bajkami o księżniczkach, nie śniła o prawdziwym pocałunku, który wybawiłby ją ze szponów tego zdraдлиwego życia. Ale wspomnienie ust tego chłopaka nawiedzało ją w nocy. Jeżeli pożądanie kogoś było miłością, może to było to.

Była taka, taka młoda. Z jednej strony twarda. Z drugiej delikatnie naiwna. Nie do końca rozumiała jeszcze, że wampiry lśniły tak, jak lśniły pułapki w postaci srebrnych zębów. Ich piękno było przyzywającą dłonią, obiecującą słodkie pieszczoty.

Żmijka była taka samotna. Wślizgnęła się w te kochające, eleganckie palce. Nawet nie dostrzegła szponów.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Pomyślałam, że może gdybyśmy mieli wielkie, wielkie szczęście, nie pozabijalibyśmy się z Raihnem, ale nigdy bym nie przypuszczała, że moglibyśmy tak dobrze współpracować.

Pierwsze kilka nocy w dzielnicach było dalekie od perfekcji. Pomógł wspólny cel, ale wciąż potykaliśmy się o siebie. Ciało Raihna jak ściana staowało na mojej drodze, gdy tylko chciałam gdzieś sprawnie się znaleźć. Jego ataki zawsze zabierały cel z mojego pola rażenia, zawsze w nieodpowiednim momencie. Podczas jednej bolesnej sytuacji jego skrzydło tak mnie uderzyło, że posłało mnie na ścianę jak muchę.

Nowych celów jednak nie brakowało. Wampiry ze śródmieścia z radością przekształciły dzielnice w teren łowiecki podczas mojej nieobecności. Zatem kontynuowaliśmy walkę i coraz bardziej niszczyliśmy dzielącą nas barierę.

Minęło pięć nocy i zorientowałam się, że przebyliśmy całą drogę i ani razu na siebie nie wpadliśmy czy to przypadkiem, czy z rozmysłem.

W dzień po sześciu nocach zauważyłam, że się nie podeptaliśmy.

Po siedmiu pochwaliliśmy siebie nawzajem, tnąc na kawałki jednego z napastników skutecznie i bez problemu. Po tym zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy na siebie z szeroko otwartymi oczami, jakbyśmy oboje zobaczyli cud i nie chcieli tego powiedzieć na głos, żeby nic nie popsuć. Oczywiście potem wchodziliśmy sobie w paradę przez resztę nocy, ale zaakceptowałam to, co było mi dane.

Ósmej nocy położyłam się i po prostu obserwowałam jego pracę. Już zaczęłam rozumieć, w jaki sposób się poruszał, i przyglądanie mu się z tym zamysłem przekształciło wszystkie moje obserwacje we wnioski.

Kiedy po raz pierwszy spotkałam Raihna, myślałam, że polegał na swojej wielkości i sile. Jak bardzo się myliłam. To było dystrakcją. Cały czas używał magii ukrytej w każdym ruchu i ciosie, przesłoniętej ostentacyjną dzikością. Jeśli ktoś nie obserwował go uważnie, mógł pomyśleć, że atakował tylko swoim gigantycznym mieczem z nocnej stali i wygrywał jedynie brutalną siłą – a wówczas zostałby zlekceważony.

Było w tym coś więcej. Te ciosy były niszczące, ponieważ wykorzystywał swoją posturę i szybkość z dodatkiem magii. Nie było w tym nic niedojrzałego – to była strategia. Wiedział, kiedy uderzyć, gdzie i z jaką siłą. Wszystko miał wyliczone.

Dotarło to do mnie, kiedy patrzyłam, jak wyszarpuje miecz z piersi bezwładnego ciała wampira. Zerknął na mnie przez ramię i drgnęła mu brew.

– Co? Podoba ci się ten widok?

– Robisz to specjalnie?

– To? – Wskazał na ciało, wyprostował się, po czym wytarł klingę. Błyszczące cienie na jej długości zdrząły, gdy przejechał po niej szmatką. – Tak, na to wychodzi.

– Ten pokaz. Twój styl walki jest pokazem. Pokazujesz, że jest prostszy, niż się wydaje.

Na moment zaprzestał czynności – może w zdumieniu – a następnie się odwrócił.

– Czyli przyglądałaś mi się dokładnie. Miło mi.

– Dlaczego ukrywasz, że używasz magii?

Schował miecz i odmówił odpowiedzi.

– Gdzie teraz? Na południe?

– Chcesz, żeby wszyscy myśleli, że jesteś bydlakiem?

Zatrzymał się w połowie kroku. Brew mu drgała. Znałam już ten wyraz twarzy: *Oraya powiedziała coś zabawnego, zapewne niechcący.*

– Bydlakiem?

Nie wiedziałam, co było zabawnego w moim wyborze określenia.

– Tak. Nawet wtedy, kiedy użyłeś jej na ucucie. To było pokazanie mocy, nie chytryść.

– Uważasz, że jestem chytry? To miłe. A więc na południe?

– Myślę, że specjalnie to ukrywasz, żeby nie było widać, że używasz magii.

– Czyli południe. – Zaczął iść. – Może ukrywam moją magię z tego samego powodu co ty swoją.

Musiałam zrobić trzy kroki, żeby dogonić jego dwa.

– Nie miałeś być świadkiem mojej magii. I nie musisz wiedzieć, dlaczego ją ukrywałam.

– Och, ale ja wiem, dlaczego ją ukrywałaś.

Musiałam walczyć z zaskoczeniem, żeby nie pojawiło się na mojej twarzy.

Uśmiech powoli wypełził mu na usta.

– Ukrywałaś ją, ponieważ nie miałaś pojęcia, że miałaś w sobie coś takiego. Wyrzuciłaś mnie przez okno zupełnie przez przypadek.

Tym razem – niech to szlag z moją twarzą – pojawił się na niej szok, zanim zdołałam nad tym zapanować.

– To nie...

– Słuchaj, potrafisz wiele rzeczy, księżniczko, ale gra aktorska nie jest jedną z nich. A teraz chodźmy. Tracimy światło księżycy.

Niech go coś trafi. Tyle chciałam powiedzieć, między innymi: „Wiedziałaś i mimo to tak mnie traktowałaś?”. Powstrzymałam się jednak, wyciągnęłam broń i podążyłam za nim.

Nie wiedziałam, co powinnam czuć w tym momencie i czy dotyczyło to tego, że obserwował mnie tak uważnie, jak ja obserwowałam jego.



Nie lubiłam być obserwowana i tym bardziej przez kogoś zrozumiana, ale nawet ja musiałam przyznać, że niezaprzeczalnie miało to korzyści. Wkrótce współpracowałam z Raihnem, jakbyśmy znali się od lat.

Nauczyliśmy się swoich stylów walki oraz tego, w którym momencie otwierać się na atak i się do niego przystosować. Dużo trzeba było nad tym pracować, od chwili zajścia słońca do zaróżowienia horyzontu zwiastującego nadejście dnia. Kosztowało mnie to wiele siniaków, obelg i obolałych mięśni. A wciąż mieliśmy przed sobą daleką drogę.

Ale Raihn, co niechętnie musiałam przyznać, miał rację tej nocy, gdy przyszedł do mnie zawrzeć sojusz: tworzyliśmy zgrany zespół.

Po powrocie z dzielnic dzień spędzałam z Mische na ćwiczeniu magii. To... szło znacznie gorzej. Z Raihnem przynajmniej z dnia na dzień robiliśmy jakieś postępy, nawet podczas gorszych wyjść. Moja magia była zmienną, nieprzewidywalną bestią. Czasami pod opieką Mische udało mi się wytworzyć kilka iskierek cienia albo nocnego ognia na koniuszkach palców, podczas gdy w ciągu innych nocy proszenie o iskierki to

było za wiele. Poza tym ani razu nie przywołałam tej mocy, którą posłałam Raihna za okno.

Byłam wdzięczna, że ćwiczyłyśmy w mojej sypialni, z dala od oczu Raihna. Nigdy bym nie zapomniała tego upokorzenia.

– Jesteś pokonana, zanim jeszcze zaczniesz – powiedziała Mische po jednej długiej nocy, podczas której nie udało mi się przywołać nawet odrobiny magii. – To *wie*, kiedy masz złe podejście.

– Nie mam złego podejścia – burknęłam.

– Boisz się jej i ona boi się ciebie – zaćwierkała. – Musisz, no wiesz, *pojmać ją*. Otworzyć swoje serce! – Rozłożyła ramiona, uradowana, jakby było to pełne triumfu i logiki wyjaśnienie.

Posłałam jej ponure spojrzenie, westchnęłam, po czym kontynuowałam porażkę kolejne piętnaście razy, po których poddałam się, zmęczona i zła.

Prawda była taka, że – pomimo mojego narzekania – podziwiałam Mische. To nie była jej wina, że moja magia miała charakterek i była bezużyteczna. Wampirzyca była cierpliwą i sumienną nauczycielką i jej pojęcie o magii było niesamowite. Manipulowała ogniem i światłem bez wysiłku, jak gdyby były częścią jej ciała. Było to zadziwiające.

Pomyślałam, że powinnam uczyć się od Mische, ponieważ ona także posiadała magię, która tradycyjnie również wykraczała poza jej sferę. Dowiedziałam się, że była jakąś anomalią, która nie musiała nawet starać się o tę moc.

Pewnego razu moja ciekawość zwyciężyła i zapytałam:

– Jak właściwie zaczęłaś używać ognia?

– To jest po prostu... we mnie.

– Pewnie. Ale... jak? Jak się o niej dowiedziałaś? Jak ją odnalazłaś?

Spojrzała na mnie bez wyrazu, ze zmarszczonymi brwiami, jakbym właśnie poprosiła ją, żeby opisała mi proces oddychania.

– Po prostu tam jest. Twoja też.

– Nie sędzę.

– Och, na pewno jest! – naciskała.

Nie było jej.

Vincent również mi nie pomógł. Jego rada była przeciwstawna tej od Mische – przekazana w skąpej instrukcji o kontroli mięśni i formie oraz przede wszystkim skupieniu, skupieniu i skupieniu. W ciągu tych tygodni widziałam go zaledwie kilka razy, z czasem widywałam coraz rzadziej. Niekiedy byłam zbyt zajęta, żeby pójść do naszego miejsca spotkań. Innym razem czekałam na niego godzinę i się nie pojawił.

Z każdą wizytą oddalał się ode mnie coraz bardziej i wydawał się rozproszony, a supeł na moim żołądku tylko się zacieśniał.

Nie byłem głupia. Wiedziałam, że coś jest na rzeczy. Coś złego, o czym mi nie mówił. Za każdym razem, kiedy grzecznie o to pytałam, tonem nieznoszącym sprzeciwu nakazywał mi skupić się na Kejari i wiedziałam, że nie należy go lekceważyć.

Zrobiłam zatem tak, jak powiedział. Skupiłam się i wróciłam do trenowania.

W drugim tygodniu przygotowań zrezygnowaliśmy z Raihnem z nocnej eskapady do dzielnic na rzecz treningu z Mische w apartamencie. Rozwijanie rytmu z Raihnem było najtrudniejsze. Jednak gdy tylko uformowaliśmy podstawy naszego partnerstwa, łatwiej nam było nadażyć za Mische. Była szybka i gibka, rozumiała polecenia bez słów. Po ledwie kilku niezdarnych potknięciach cała nasza trójka przekształciła się w zrównoważony zespół.

Tamtej nocy Mische zatrzymała trening w połowie. Wycofała się do ściany i kucnęła przy niej z rękami przy sobie. Oczy miała szeroko otwarte.

Zawahałam się w połowie ruchu.

– Co się stało? – zapytałam z niepokojem. – Zraniłam cię?

– Nie, nie. – Pokręciła głową, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Po prostu... O bogowie, spójrzcie tylko na siebie! To niesamowite!

– Nic nie równa się połączeniu sił w morderstwie – powiedział sucho Raihn.

– Jestem z was taka dumna – westchnęła, a ja dalej się zastanawiałam, czy zartowała, bo Raihn wywrócił oczami i rzucił do niej:

– Chcesz tylko sobie wziąć dodatkową przerwę. Kontynuujemy, Mische.

Doskonaliśmy naszą pracę zespołową noc po nocy. Każdego ranka padałam niemal nieprzytomna na łóżko. Każdej nocy wstawałam obolała i gotowa na ciąg dalszy.

Szesnastej nocy, w ostatnich kilku sekundach, zanim zmorzył mnie sen, pomyślałam:
To może się udać.

To może się udać.

I może – może – mi się to podobało.



Minęło kilka dni, od kiedy ostatnio byliśmy z Raihnem w ludzkich dzielnicach, więc kiedy Mische zamknęła się w swoim pokoju, by pracować nad jakimś nowym zaklęciem, skorzystaliśmy z okazji i tam wróciliśmy. Spodziewałam się, że przez naszą nieobecność dzielnice będą pełne polujących wampirów, ale zamiast tego zlikwidowaliśmy tylko dwóch nietrzeźwych krwiopijców, którzy czaili się na grupkę dzieci, po czym zaczęliśmy wędrować po pustych ulicach.

– Hm – powiedział Raihn po godzinie bezowocnych poszukiwań. – Może zbudowaliśmy sobie reputację większą, niż się spodziewałem.

– To bardziej przerażające, niż powinno być – odparłam. – Wykonujemy swoją robotę za dobrze.

Zacisnęłam policzki. Byłam tak usatysfakcjonowana, że zawstydzająco długo zajęło mi zauważenie, że Raihn mi się przyglądał.

Mój uśmiech zniknął, a on się zaśmiał.

– Oto i ona.

– Co? – odszczeknęłam się.

– Wyglądałaś na bardzo zadowoloną z siebie.

Wzruszyłam ramionami.

W porządku, *byłam* zadowolona z siebie.

– Możemy iść do zachodniej części – zasugerowałam.

– Hm. – Wsunął dłonie w kieszenie płaszcza i rozejrzał się, jakby coś sobie nagle uświadomił.

– Czy to było przytaknięcie?

– Mam lepszy pomysł.

Zostawił mnie na środku głównej ulicy i wszedł w boczną.

– Dokąd idziesz? – zawołałam za nim.

Zerknął przez ramię ze zmrużonymi oczami.

– Pora na coś orzeźwiającego. Idziesz?



– Chcesz mi powiedzieć, że ty, człowiek, przychodzisz do tej dzielnicy prawie każdej nocy, zabijasz wszystkie wampiry, które staną ci na drodze, stajesz się wybawicielką tych niewinnych ludzkich mieszkańców i mimo spędzenia tak prawie połowy swojego pieprzonego życia *nigdy* nie miałaś z nimi żadnej interakcji? Nigdy nie poszłaś do baru? Nigdy nie powiedziałaś szybkiego „cześć” do jednego z twoich ocalonych? Nic a nic?

Powiedział to tak, jakby było to żalosne, co mnie oburzyło.

– Nie byłam tutaj po to. – Rzuciłam mu mordercze spojrzenie. Miało słabszy efekt, niż zamierzałam wywołać, z powodu jego wzrostu i szybkiego chodu. Musiałam truchtać, żeby za nim nadążyć. – Nie jesteśmy tu po *to*.

– Och, zamilcz, księżniczko. Pracowaliśmy tak ciężko, że nie ma już kogo zabijać.

– W takim razie powinniśmy wrócić do Księżycowego Pałacu.

– Nie chcę wracać do Księżycowego Pałacu. Chcę najobrzydliwsze piwo w mieście. Chcę pieniste, gorzkie i przypominające siki piwo. A miejsce, które mi to zagwarantuje, znajduje się niecały blok od nas. Aha! – Gdy wyszliśmy z za budynku, jego twarz pojaśniała i wycelował palec w kierunku drugiej strony ulicy. Pokazywał kiwający się, w połowie zgniły drewniany szyld, który niegdyś musiał głosić „U Sandry”, ale teraz brzmiał „U Sa d y”.

– To miejsce – powiedział i przyspieszył kroku – znajduje się tutaj od ponad wieku i...

– Czekaj.

Chwyciłam go za ramię, zanim otworzył drzwi. Zrobiłam to gwałtowniejszym ruchem, niż zamierzałam. Słabe buchnięcie cienia wydobyło się z moich palców, kiedy wbiłam paznokcie w jego skórzany płaszcz.

Zatrzymał się ze zmarszczonymi brwiami i spuścił wzrok na moje zbielełe knykcie, a następnie przeniósł go na moją twarz. Jego mina się zmieniła... Złagodniał.

– Co się dzieje, Oraya?

– Ja...

Nawet nie wiedziałam, jak odpowiedzieć na to pytanie. Puściłam go i złożyłam przed sobą dłonie, żeby nie widział, że się trzęsą.

Zapanowałam nad głosem.

– To jest budynek pełen ludzi.

– Tak. Co w związku z tym?

To, że jesteś stworzony po to, żeby ich zabijać.

Jeśli stracisz nad sobą panowanie, nie wiem, czy będę mogła cię powstrzymać.

– Nie zaryzykuję ich życia, żebyś mógł się napić śmieciowego piwa – powiedziałam chłodno.

Wydał z siebie krótki śmiech.

– Mam ochotę na piwo, nie krew. Poza tym dlaczego miałbym zacząć polowanie po tym, jak spędziłem ostatni tydzień z tobą na wybiciu połowy tych, którzy właśnie to robili?

Po prostu to zlekceważył.

– To nie takie proste.

– Dlaczego nie?

– Dlatego że jeśli wpakujemy kogoś takiego jak ty do pokoju pełnego ludzi, to nie ty będziesz mógł o tym decydować. Wiem, na czym polega żądza krwi, Raihn.

Na jego twarzy pojawiło się coś, czego nie mogłam rozszyfrować – coś, co prawie przypominało współczucie, choć szybko zostało zastąpione rozbawieniem.

– Martwisz się moją samokontrolą? Jak uroczo. – Nachylił się ku mnie tak blisko, że czułam jego słowa muskające mój policzek.

Nie wiedziałam, dlaczego się nie odsunęłam.

– Mam mnóstwo samokontroli, Oraya – mruknął. – O mnie się nie martw.

Włoski mi stanęły dęba na karku.

A jednak ten dreszcz, który mnie przeszedł, nie był dreszczem strachu. Tamten był przynajmniej fizyczną reakcją, nad którą potrafiłam zapanować. Natomiast to... zaskoczyło mnie. Moim instynktownym pragnieniem nie było odsunięcie się, tylko przysunięcie bliżej. Zamarłam. Moje ciało nie wiedziało, jak zareagować, gdy sięgnęło w kierunku strachu i znalazło coś zupełnie innego – coś znacznie bardziej niebezpiecznego.

Minęła dłuższa chwila – a może sekunda czy dwie – gdy odsunęłam się i spiorunowałam go wzrokiem.

– To nie ma znaczenia. Poza tym co, jeśli się domyślą, czym jesteś?

– Nie będę świecił swoimi nieziemskimi uśmiechami, więc nic nie będą podejrzewać.

– Nie – syknęłam. – To głupi pomysł.

Zmarszczka pomiędzy jego brwiami pogłębiła się, po czym zniknęła, gdy obdarzył mnie podstępny uśmiechkiem.

– Rozumiem.

Zamrugałam i z góry obraziłam się na to, co zamierzał powiedzieć.

Uśmiezek rozszerzył się do pełnego uśmiechu.

– Boisz się. Boisz się bandy ludzi.

– Nieprawda. – Powiedziałam to za głośno i za szybko, żeby pozbyć się jego podejrzeń.

Nie bałam się. Strach nie był odpowiednim pojęciem. To było po prostu... złe. Przynależałam, w ukryciu, do innego świata, nie do tego. Może moja krew była ludzka, ale opuściłam tę część siebie dawno temu. Raihn wydawał się pewny tego, że mógł uchodzić za jednego z nich, ale nie wiedziałam, czy *ja* byłam do tego zdolna.

– Czym się tak denerwujesz? – zapytał. – Też jesteś człowiekiem, do cholery.

– Nie do końca – prychnęłam.

Zrobił minę.

– Na cycki Ix, szkoda, że nie zobaczyłaś swojej miny. Cieszę się, że jesteś tak dumna ze swojego dziedzictwa.

Zanim zdołałam go powstrzymać, otworzył z rozmachem drzwi baru i wciągnął mnie do środka.



Bar znajdował się w piwnicy, do której zaprowadziły nas chybotliwe schodki. Za drzwiami czekał nas niewielki tłum. Ludzie zgromadzili się na różnorodnych drewnianych stołkach, blisko siebie, i prowadzili ożywione rozmowy. Grali *przy* tym w gry karciane bądź raczyli się miodem pitnym. Ściany pomieszczenia zrobione były z kamienia i gliny, a okienka w górze odsłaniały widok na ulice. Lampiony przy ścianach spowijały pomieszczenie ciepłym pomarańczowym światłem. W centrum znajdował się kwadratowy kontuar, za którym barman nalewał napoje i dawał jedzenie oczekującym na zamówienie. Powietrze było gęste przez niespotykany zapach, który zlewał się w woń piwa, potu i chleba.

Wewnątrz było ciemno i tłoczno. Zastanawiało mnie, czy interes przybrał na sile, odkąd z Raihnem wróciliśmy do patrolowania ulic, ponieważ było to dla mnie niepojęte, żeby aż tylu ludzi czuło się komfortowo poza domem po zmroku, podczas gdy niebezpieczeństwo czaiło się w każdym cieniu. A może po prostu już o to nie dbali. Ci ludzie nie wydawali się nawet przestraszeni.

Było tu tak... tak szokująco *inaczej* niż w miejscach, w których bywałam. Spędzałam trochę czasu w wampirzych barach w śródmieściu, bardzo krótko i z głupiego powodu, jakim była nastoletnia ciekawość. Były ponure i zdeprawowane, ale wszyscy zdawali się bardziej opanowani, nawet jeśli chodziło o rozpustny szal. Wampiry zachowywały się, jakby każda emocja, każdy impuls potrzebował więcej czasu, by przebić się przez ich skórę. A ludzie? Ludzie się z tym nie kryli. Byli głośni, ekspresyjni i bez skruchy.

Uderzyło mnie, jak dziwne i zaskakujące to było. To moje człowieczeństwo sprawiło, że spędziłam życie w cieniu siebie. Dla tych ludzi jednak to człowieczeństwo było powodem, dla którego lśnili jaśniej.

Było to tak obce, że byłam pewna, że wszyscy zaprzestaną swoich czynności i zaczną się w nas wpatrywać w momencie, gdy tylko przekroczymy próg.

Tak się jednak nie zdarzyło.

Zerknęłam na Raihna i położyłam dłoń na rękojeści miecza w oczekiwaniu na oznaki żądzy krwi. Pośród takiej liczby spoconych ludzi w tak ciasnej przestrzeni zapach krwi musiał być przytłaczający. Jednak jego nozdrza jedynie drgnęły.

Byłam sceptyczna co do jego stwierdzenia, że mógł podawać się za człowieka. Wampiry i ludzi można było rozróżnić po czymś więcej niż tylko po zębach czy skrzydłach – ich zachowanie się diametralnie wyróżniało. Wampiry po prostu poruszały się jak drapieżniki, z cichą gracją i wyliczoną chytryością. A Raihn, mimo że był niespotykanym wampirem, miał tych cech pod dostatkiem.

Aż do momentu, kiedy... przestał je mieć.

Gdy tylko weszliśmy do baru, Raihn... się zmienił. Jego postawa uległa zmianie na bardziej zrelaksowaną i przechyloną. Zmienił się jego sposób poruszania się, jego kroki zaczęły się wić po ziemi. Wyraz twarzy również uległ zmianie, swoboda zastąpiła drapieżny bezruch. Wszystko w nim stało się ostrzejsze, trochę mniej wyszlifowane.

W ten oto sposób Raihn stał się człowiekiem. Bardzo wysokim człowiekiem, takim, z jakim nikt nie chciał zadzierać, ale *człowiekiem*.

Wskazał brodą na tyły pomieszczenia, złapał mnie pod ramię i zaprowadził do wolnej budki w kącie. Następnie oznajmił, że zamówi nam najbrzydliwsze piwo, jakie mają, i zniknął, zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć.

Obserwowałam go z podziwem, gdy przeciskał się przez tłum. Wszystko – począwszy od delikatnego dotyku na ramionach ludzi, których przesuwiał z drogi, przez krótkie powitalne skinięcie głowy, które było przeznaczone dla dozorca, aż po ociążałe powłóczenia nogami, gdy wracał do stolika z piwem w rękach – było nieskazitelne.

Postawił przede mną wielki, szklany, wyszczerbiony kubek, pełny pieniącej się brązowawej cieczy, po czym sięgnął po swój i wcisnął się na miejsce obok mnie. Budka była mała i półokrągła, z chwiejącym się stolikiem w centrum, który zajmował ledwie trzy czwarte przestrzeni siedzącej. Raihn oparł się o ścianę, rozłożył kończyny, odrzucił głowę w tył i wziął kilka dużych łyków swojego napoju.

– Zajebiste – powiedział z miłością, gdy uderzył kubkiem o blat. – Idealne.

– Imponujące – powiedziałam.

– Dziękuję. Mam doświadczenie w picciu paskudnego alkoholu.

– Nie to. – Pokazałam na niego, od stóp do głów. – *To*.

Jego brwi drgnęły.

– Mam również doświadczenie w opanowaniu swojego ciała. Nie sądziłem, że zauważysz.

Prychnęłam, następnie nachyliłam się ku niemu.

– Chodzi mi o to, że jesteś świetnym aktorem. Wyglądasz bardzo...

– Ludzko.

– Tak.

Wzruszył ramionami i ponownie się napił.

– Ma to sens.

Zmrużyłam oczy.

– Może miałam rację na początku, że nie można ci ufać. Masz wiele wersji siebie.

– Och, wszystkie przedstawiają mnie. – Teraz to on obdarzył mnie *tym* spojrzeniem, co zbiło mnie z tropu. – Podczas gdy ty wyglądasz, jakby ktoś rzucił cię na pożarcie lwom. Masz może teraz rękę na broni?

Cofnęłam dłoń z rękojeści i położyłam ręce na blacie.

– Nie.

– Jesteś bezpieczna, Oraya. Spokojnie.

Zabrzmiałoby to lekceważąco, gdyby jego głos nie był zaskakująco delikatny.

Jesteś bezpieczna. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz usłyszałam te słowa. W każdym razie nie były prawdą. Dziwnym trafem, mimo że ci ludzie nie byli niebezpieczni jak drapieżnicy otaczający mnie na co dzień, poczułam się tutaj nie na miejscu.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu.

– Przychodziłeś w takie miejsca? Kiedy byłeś jeszcze...

– Człowiekiem? Tak. Często. – Przeleciał wzrokiem otoczenie. – Wyglądały jednak wówczas trochę inaczej. Minęło dużo czasu.

– Jak długo?

Nie odpowiedział od razu.

– Kilka setek lat.

Powiedział to bardzo swobodnie, ale znałam to zawahanie się. Ten sam rodzaj pauzy zrobiłam, gdy zapytał mnie, od kiedy przychodziłam do ludzkich dzielnic. Wiedział, ile to było – ile lat, dni, minut.

– Ale wciąż odwiedzam takie miejsca regularnie. Czasem męczą mnie wampiry.

– Tęsknisz za tym? Za człowieczeństwem?

Dopiero gdy pytanie wyszło z moich ust, zrozumiałam, jak było prywatne. Myślałam, że nie odpowie. Milczał, obserwując śmiejących się i pijących obywateli.

– Tęsknię za słońcem – odparł w końcu.

I przez moment miał ten sam wyraz twarzy, który u niego widziałam, gdy nad ranem wracałam do mieszkania i widziałam, jak wyglądał przez okno, podczas gdy światło słoneczne niemal zaczęło zżerać jego skórę.

Nie wiedziałam, dlaczego poczułam potrzebę wycofania się z tego niezręcznego pytania, jakbym naruszyła ranę. Wzięłam łyk piwa. Bardzo gorzki smak zalał mi gardło. Skrzywiłam się, a Raihn się roześmiał.

– Fuj. To jest obrzydliwe.

– Obrzydliwe i cudowne.

– Tylko obrzydliwe.

– Masz kiepski gust, księżniczko.

Zachichotałam wbrew sobie. Może i miał rację, ponieważ upiłam kolejny łyk.

– Mische pewnie też była kiedyś człowiekiem – zauważyłam.

Ciepły uśmiech zagościł na jego ustach.

– Bardzo to widać, co?

– Nigdy nie spotkałam takiej wampirzycy jak ona.

– Ja też nie.

– Czy to ty...

Ciepło zniknęło z twarzy Raihna.

– Nie – odrzekł wystarczająco surowo, by zapobiec kontynuowaniu tematu, po czym wziął duży łyk alkoholu.

Obserwowałam go dłużej, niż powinnam.

Raihn powiedział, że chciał zawrzeć ze mną sojusz, bo go interesowałam. Trudno mi było to przyznać, nawet sobie, ale on również mnie zainteresował. Minęło sporo czasu,

odkąd chciałam kogoś bliżej poznać, nawet jeśli tylko dlatego, że ich życie było zbyt zagmatwane.

Odstawił prawie pusty kubek i siedzieliśmy w ciszy, obserwując obywateli.

– Dlaczego bierzesz udział w Kejari? – zapytałam ostatecznie.

Oczywiste pytanie, a jakoś żadne z nas nigdy go nie zadało. Po prostu pewnego dnia weszliśmy do Księżycowego Pałacu i reszta świata oraz powody, dla których to zrobiliśmy, przestały istnieć.

– Wielu na mnie polega, a Przemieniony Rishan ze slumsów nie ma zbyt dobrego wyboru. – Pokręcił głową. – Nigdy nie składaj obietnic komuś na łożu śmierci, Oraya. Zawsze wróci to do ciebie rykoszetem.

Przemieniony Rishan ze slumsów. Od zawsze byłam tak skupiona na cierpiących ludziach z Domu Nocy, że łatwo zapominałam, że wampiry też tam cierpiały. Myślałam, że większość weźmie udział w Kejari dla sławy, ale może faktycznie wszystko napędzała desperacja.

– Rodzina? – zapytałam.

– W pewnym sensie. Poza tym wyczerpały mi się inne pomysły. Dołączenie do tego pieprzonego brutalnego przedstawienia nie było na szczycie mojej listy rzeczy, które chciałbym zrobić w swoim żalonym nieskończonym życiu. – Uśmiechnął się sztucznie. – Nie znalazłbym się tutaj, gdyby Mische mnie do tego nie zmusiła.

Uniosłam brwi.

Zachichotał i zamówił następną kolejkę.

– Ta twarz. Myślałaś, że ja byłem tym bydlakiem, jak mnie nazwałaś, który przemienił Mische, woził ją przez Obitraes kilka stuleci, a następnie wciągnął ten niewinny promyczek słońca przez pół świata do krwawego Kejari?

– Tak – odpowiedziałam bez wahania. – Dokładnie tak.

– Pieprzona wariatka. – Pokręcił głową. – Nie, to był jej pomysł, bo wiedziała, że nie pozwolę jej pójść samej.

Nie mogłam przyswoić tej informacji w porównaniu z wersją Mische, którą znałam. Próbowałam wyobrazić sobie, że taka dziewczyna, która przyozdobiła mieszkanie kwiatami i chichotała głośno za każdym razem, kiedy ktoś wydawał dźwięk przypominający wzdęcia, mogła wplątać Raihna w Kejari.

Wiele razy zastanawiałam się przez te ostatnie tygodnie, dlaczego się tu znaleźli. Wyraźnie bardzo się kochali i byłam pewna, że nie zrobią sobie krzywdy. Ale mimo to zdarzało się, że bliscy przyjaciele w takim turnieju razem brali udział, jeśli widzieli w tym interes. Co dwie głowy, to nie jedna.

– W takim razie dlaczego ona tu jest? – zapytałam.

– Bo jest manipulantką – burknął, tak jakby do siebie.

– Manipulantką?

– Dokładnie. Tak jak ktoś inny, kogo znam, kto próbuje mnie upić, żeby móc zadawać wszystkie intymne pytania. – Upił łyk i rzucił mi przezorne spojrzenie. Odstawił kubek.

Z każdą sekundą ciszy byłam coraz bardziej zdumiona.

– A teraz – powiedział – czekasz, żebym zapytał cię, dlaczego *ty* tu jesteś.

– Może – przyznałam.

Człowiek w Kejari? Każdy byłby ciekaw powodu.

– No cóż, nie zapytam. Bo już wiem.

Uniosłam brwi.

– Och, naprawdę?

– Przyznam, że wcześniej się nad tym zastanawiałem. Myślałem sobie: „Dlaczego ten człowiek ryzykowałby życie i rozmyślnie znalazł się pośród drapieżników? Gdzie śmierć była nieunikniona?” – Uśmiechnął się lekko. – A dokładniej: „Dlaczego *Vincent* dopuściłby do takiej sytuacji?”. Spokojnie, zmij. – Uniósł ręce w odpowiedzi na mordercze spojrzenie, które mu posłałam. – Wiem. Ale bardzo byłem tym zainteresowany. Na przykład tym, co tu właściwie robisz. Jesteś dorosła. *Vincent* na pewno nie trzyma cię w zamknięciu. Dlaczego pozostałaś w Domu Nocy, zamiast przejść Morze Kości do ludzkiej społeczności, gdzie mogłabyś wieść normalne życie?

Normalne życie – powiedział, jakby teraz moje życie nie było normalne.

Prawda była taka, że nie przyszło mi do głowy, że miałabym opcję opuszczenia Domu Nocy. Opuszczenia *Vincenta*. Tylko raz, kiedy miałam siedemnaście lat, myślałam o tym. Ilana rzuciła ten pomysł. Było to krótko po... po tym. Tamte dni były zlepkim żałoby i bólu. Pamiętam jednak wyraźnie, jak tamtego dnia wyglądała – była taka poważna jak nigdy. Taka zmartwiona. Chwyciła moją twarz w swoje szorstkie dłonie, przyciągnęła mnie do siebie tak blisko, że czułam od niej zapach cygara, po czym spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała:

– Nie musisz tak żyć, kochana. Ja podjęłam taką decyzję, ty nie. Możesz wybrać inne życie, w innym świecie, gdzie będziesz sobą.

Patrzyłam na nią pustym wzrokiem, po czym go odwróciłam.

Ta myśl była dla mnie nie do pojęcia. Dokąd miałabym się udać poza Domem Nocy?

– Nie chcę odchodzić – powiedziałam.

– To już wiem, bo obserwuję cię tutaj. Nie widzisz siebie jako człowieka, prawda? Dlaczego więc miałabyś do nich odejść i żyć między nimi?

Nie podobał mi się ten ton.

– Trzeba rozwiązać problemy, które są tutaj. Nie uciekam od tego. To mój dom. Może on nienawidzi mnie, ale to wciąż mój dom.

To królestwo było częścią mnie niezależnie od tego, czy mnie chciało, czy nie. Byłam córką króla tego królestwa, nieważne, czy rodzoną, czy nie. Kości moich rodziców były pogrzebane w tym kraju. Nieważne, ile razy Dom Nocy posiniaczyłby mi skórę, zostałabym. Tak jak wszyscy żyjący tu ludzie, którzy nie mieli wyboru i musieli tu zostać.

Tutaj przynależałam. Tutaj. Nie do jakiegoś ludzkiego obcego kraju daleko stąd.

Raihn przyjrzał mi się badawczo, zamyślony. Nie pierwszy raz widziałam u niego ten wyraz twarzy, ale za każdym razem czułam się przez niego niekomfortowo. Jakby opuszczał mury obronne dla tych kilku cichych chwil, a tym samym odsłaniał, jak bardzo analizował świat wokół niego, co zazwyczaj było ukryte za brutalnością i puszeniem się.

Niekoniecznie lubiłam być przedmiotem takiej analizy.

– Masz jaja, księżniczko – odrzekł. – To muszę ci przyznać. – Pochylił się nad stołem, który był na tyle mały w porównaniu do jego postury, że jego najmniejszy ruch umiejscawiał go tuż przede mną.

– Jest jeszcze jedna rzecz, której nie zrozumiałem. Vincent.

Odsunęłam się. Momentalnie wyczułam zagrożenie. Każdy mój mięsień się napiął, gdy usłyszałam to imię.

– Jesteś zwykłą ludzką dziewczyną – kontynuował Raihn. – A król Zrodzonych z Nocy, znany z bycia oziębłym, bezlitosnym sukinsynem, po prostu... doświadczył momentu współczucia i postanowił cię adoptować? Dlaczego?

Zmarszczył brew, a jego oczy zaczęły skanować moją twarz, jakby w ten sposób szukał odpowiedzi na to pytanie i jak gdyby był od razu zmartwiony w moim imieniu, jak ta odpowiedź miałyby brzmieć. Dostrzegłam coś w jego obliczu. Coś niewyraźnego i znajomego, co zniknęło w mgnieniu oka.

– Oczywiście – ciągnął. – Wiem, że niektóre wampiry preferują seks z ludźmi, ale...

– Vincent jest moim *ojcem* – przerwałam mu z obrzydzeniem.

– Dobra. Gdyby chociaż cię pieprzył, miałyby to sens. Ale najwidoczniej tak nie jest. Czyli...

Gdybym nie była tak oburzona, rozbawiłoby mnie to, jako że Raihn miał o mnie i Vincencie dokładnie takie samo zdanie, jakie miałam ja o nim i Mische.

– Mische jest twoją rodziną, nawet jeśli nieprawdziwą. Nie powinno ci być trudno to zrozumieć.

– *Ja* to rozumiem. Po prostu przez myśl by mi nie przeszło, że zrozumiąłby nasz jakże przewspaniały i potężny król.

– Bo przecież tak dobrze go znasz – prychnęłam. – Oczywiście, że tak o nim myślisz. Jesteś Rishanem. Zepchnął twój ród z tronu.

– Jestem przekonany, że dwa tuziny jego dalszej rodziny, którą wymordował, by przejąć tron, również dostrzegły jego poświęcenie dla krewnych.

Och, naprawdę. Jakby żaden król wampirów nie musiał zabić, by zdobyć taką potęgę. Nie było to przyjemne, ale taka była prawda.

– A ilu zamierzasz *ty* zabić, żeby usprawiedliwić to poświęcenie, o którym mówisz? – Posłałam ku niemu uśmiezek i wskazałam na siebie. – A mimo wszystko i tak przygarnąłeś ludzkie ścierwo, czyż nie?

Dokończył swoje piwo.

– Oraya, nie jesteś ścierwem. Myślę, że doskonale znasz swój cel, nawet jeśli nie jesteś tego świadoma.

Miałam zapytać go, co to niby miało znaczyć...

...kiedy podłoga gwałtownie wstrząsnęła. Tłum ludzi wydał z siebie nagły okrzyk, gdy nastąpił wybuch tak głośny, że mógłby zatrzęść całym światem.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Dreszcz przebiegł mi po całym ciele. Odgłos był odległy, a mimo to uciszył pomieszczenie momentalnie. Ziemia zatrzęsała się tylko raz, tak gwałtownie, że gdyby talerze i szklanki nie pospadały na podłogę, pomyślałabym, że sobie to wyobraziłam.

Może i pomyliłam się w twierdzeniu, że ludziom było wszystko jedno, ponieważ w sekundzie wytrzeźwieli, ogarnięci strachem.

Zarówno ja, jak i Raihn byliśmy już na nogach i bieглиśmy ku wyjściu. Kiedy wypadliśmy na ulicę, zahamowałam gwałtownie.

– Nie – wydusiłam.

Z odległego Księżycowego Pałacu unosił się język srebrnego dymu i przesłaniał nocne niebo oraz księżyc. Białe dymki niemal pochłonęły sylwetkę Pałacu, ale kiedy wiatr przerzedził mgłę, okazało się, że jednej wieży brakowało. Po prostu... zniknęła. Pęknięcia jasne jak błyskawica promieniowały przez fundamenty budowli, widoczne nawet z drugiego końca miasta. Wokół fundamentów zamku pojawiły się rozbłyски światła.

Serce mi podeszło do gardła.

Mische.

W Księżycowym Pałacu była Mische.

Obróciłam się ku Raihnowi, który zbladł. Porzucił wszystkie maski i spektakle, pozostawił na twarzy czysty terror.

– Znajdziemy ją – powiedziałam. – Nic jej nie jest. Znajdziemy ją.

Dotknęłam go bezmyślnie, wbijając paznokcie w mięśnie jego przedramienia. Musiał walczyć z narastającym strachem. Mimo to jego głos drżał, gdy się odezwał.

– Lecę.

– Idę z tobą.

– Będziesz zawadzać.

– Doskonale wiesz, że to nieprawda, i nie wiesz, co tam znajdziesz, Raihn.

Skrzywił się, ponieważ wiedział, że mam rację.

– Dobra. W takim razie lecisz ze mną.

Nie do końca pojęłam, w co się wpakowywałam, aż do momentu, kiedy Raihn zbliżył się, objął mnie ramionami i podniósł jak gdyby nigdy nic, zanim zdążyłam zareagować.

– Trzymaj się – powiedział niskim głosem tak blisko mojego ucha, że poczułam dreszcze. – Nie wracam po ciebie, jeśli spadniesz.

Moje ciało zeszywniało przez samą bliską jego obecność. Jego postać otoczyła moją, ręce przycisnęły mnie do jego klatki piersiowej i trzymały mocno. Byłam na tyle blisko, że słyszałam jego serce, które biło wolniej niż ludzkie. Byłam na tyle blisko, że czułam jego ciepło uderzające każdy skrawek mojej skóry.

Moje tętno raptownie podskoczyło, każdy instynkt krzyczał.

Kątem oka zauważyłam, że Raihn na mnie zerknął – czy wyczuł moje przyspieszone tętno?

Złagodniał.

– Jesteś bezpieczna, Oraya – mruknął mi do ucha. – Po prostu się trzymaj.

Jesteś bezpieczna – powiedziałam sobie.

Nie mieliśmy na to czasu. Mische nie miała na to czasu. Zacisnęłam ramiona wokół jego szyi, co było wysiłkiem większym niż ten, którego doświadczyłam podczas dekady treningu.

Jakby miał tego świadomość – jakby wyczuł mój strach – Raihn zatoczył koło kciukiem na moich plecach w uspokajającym geście.

Przestraszył mnie ten dotyk. Przestraszył mnie, ponieważ mnie uspokoił. Nie sądziłam, że możliwe było ponowne znalezienie takiego dotyku.

– Gotowa? – zapytał.

Kiwnęłam głową przy jego ramieniu i się przygotowałam.

Otoczył nas głośny świst. Wyjrzałam zza ramienia Raihna w momencie, kiedy przed moimi oczami pojawiła się ściana czerni w postaci atramentowych lśniących piór.

Wydawały się jeszcze wspanialsze z bliska, miały w sobie mieszankę purpury, niebieskiego i czerwonego, tak jak nocne niebo.

Wtem serce podeszło mi do gardła, ziemia opadła i włosy porwało mi do tyłu. Ciepłe powietrze zakłuło mnie w policzki – uderzyło z takim okrucieństwem, że gdy wzlecieliśmy ku górze, musiałam zanurzyć twarz znowu w ramieniu Raihna.

Pognaliśmy ku płonącemu Pałacowi. Raihn leciał w zawrotnym tempie. Gdy wyrównaliśmy lot, skorzystałam z okazji i się rozejrzałam. Spojrzenie w dół było błędem – widok budynków Sivrinaju nie większych niż drewniane klocki przyprawił mnie o mdłości. Ale gdy tylko spojrzałam w górę... Matko, nocne niebo było niesamowite. Takie wolne. W innej sytuacji chciałabym tam zamieszkać. Vincent rzadko latał, co teraz wydawało mi się nie do pomyślenia. Dlaczego ktoś miałby *tego* nie pragnąć? Dlaczego ktoś miałby robić cokolwiek innego niż być tutaj?

Kiedy obróciłam głowę i ujrzałam Księżycowy Pałac, to zafascynowanie przerodziło się w przerażenie.

Cała iglica uległa zniszczeniu. Jej kamienne pozostałości tworzyły górę gruzu, który częściowo wbił się w centralny kopulasty dach. Niebieskobiałe światło wypaliło ranę i świeciło z porozbijanych okien. Z tej wysokości wszyscy byli zaledwie kropkami, ale byłam w stanie zauważyć, jak zbierają się przy wyjściu. Zimny ogień się rozprzestrzenił. Pożarł niemal połowę bazy i pochłonął otaczające ją ogrody. Jedna czwarta miasta, znajdująca się najbliżej Księżycowego Pałacu, została zniszczona, a z budynków pozostały ruiny.

To był atak. Planowany atak.

Co więcej, był to atak przy użyciu magii Zrodzonych z Nocy. To niebiesko-białe światło nie pozostawiało złudzeń. Nocny ogień był darem Domu Nocy, nigdy nie był stosowany przez Zrodzonych z Krwi czy Cienia.

Włoski stanęły mi dęba na karku.

Rishanie. To musieli być oni. Vincent był ostatnio bardzo zajęty, widocznie zaniepokojony czymś, o czym nie mógł mi powiedzieć. Wiedziałam o spięciu, jakie panowało między dwoma klanami, i o tym, że było bliskie wybuchowi. Vincent sprawował władzę od dwustu lat. To był długi okres panowania jednego klanu. Poza tym to nie byłby pierwszy raz, kiedy Rishanie podjęli brutalną próbę buntu.

Byłam tak przyciśnięta do klatki piersiowej Raihna, że nawet przy smagającym wietrze czułam, jak wampir drży.

– Nasza wieża ocalała. – Ponieważ wiatr był tak głośny, musiałam znajdować się bardzo blisko jego ucha i moje wargi niemal go dotykały. Byłam tak wstrząśnięta tym, co zobaczyłam, że prawie tego nie zauważyłam.

Nie wyglądał na pocieszonego. Prawdą było, że ja również. Tak, nasza wieża przetrwała, ale nocny ogień pochłonął wszystko. Niedługo bardziej się rozprzestrzeni.

Raihn wleciał przez wciąż rozbite okno naszego mieszkania. Przebił się przez materiał, którym Mische zasłoniła dziurę. Opuścił mnie na podłogę, miałam problem, żeby stanąć. Oślepiło mnie białe światło.

Nocny ogień. Wszędzie.

Nocny ogień nie produkował ciepła, ale wyzerał mięso od środka. Nie był gorący jak zwykle płomienie, ale również nie był zimny. Po prostu pożerał wszystko w błyskawicznym tempie i bardziej bezlitośnie aniżeli zwykły ogień. Ci, którzy zostali złapani przez nocne płomienie, często kończyli jako stos kości. Jeden z wysoko postawionych generałów Vincenta stracił rękę w nocnym ogniu i teraz miał nową lśniącą kość, która przebiła się przez szerniały kikut.

Ogień rozprzestrzenił się na całe mieszkanie. Białe płomienie spiły kolor podłogi, ścian i zasłon. Dym kłuł mnie w płuca, jakby każda warstwa tkanki konała.

Dym był zbyt gęsty, a światło zbyt jasne. Długo zajęło, zanim moje oczy przyzwyczyły się do niego i zobaczyłam ruch pośród języków śmierci. Ciemne ciała wiły się pośród płomieni. Były małe i powykrzywiane, stały na czterech nogach powyginanych we wszystkich możliwych kierunkach, które wyglądały, jakby zostały poprząsywane do ich ciał z innych trupów, co ostatecznie stworzyło pewnego rodzaju bestię. Demony. Nawet przez ogień rozpoznałam je jako produkt magii Zrodzonych z Nocy, bardzo różniące się od bestii Zrodzonych z Krwi, z którymi mieliśmy do czynienia w pierwszej próbie.

Trzy z nich otaczały nieruchome ciało Mische.

W ogniu wszystko było czarne albo białe poza czarnoczerwoną plamą w centrum pokoju, jak wylana z wiadra farba.

Mój umysł stał się pusty, zastąpiony przeraźliwą pewnością, że Mische była martwa.

Twarze demonów obróciły się ku nam. Oczy miały okrągłe i ziejące pustką.

Ruszyłam, zanim zdążyłam się zastanowić, czy to był dobry pomysł. Nie myślałam strategicznie – nie próbowałam być mądra. *Przy* trzecim kroku sądziłam, że demony będą już przy mnie, ale nie były. Pozostały w bezruchu i wpatrywały się w nas. Patrzyły konkretnie na mnie? Czy na Raihna?

Widzę cię, widzę cię, widzę cię.

Te słowa przypląnęły do mnie nie jako dźwięk. Ich rytmiczność wrzynała mi się w żyły.

Silna dłoń chwyciła mój nadgarstek i szarpnęła.

– Odsuń się – rozkazał Raihn niskim warknięciem.

Szedł za mną. Ostrożnie stawiał szybkie kroki i nie spuszczał wzroku z demonów. W odpowiedzi te gapiły się na niego bez mrugnięcia i wciąż w bezruchu.

– Odsuńcie się od niej – wysyczał Raihn i uniósł ręce.

Znajdowałam się kilka kroków od niego, mimo to siła jego Asterisa niemal mnie przewróciła. Wyrzuciłam ręce przed siebie, by ochronić nimi twarz. Jeżeli nocny ogień był potężny, błysk jego magii był niewyobrażalny. Trwał ledwie setną sekundy. Śmierć demonów została zaakcentowana wysokim, przerażającym rykiem, który skończył się szlochem. Gdy światło zanikło, Raihn był już przy boku Mische. Dwa demony zniknęły, a trzeci stał się masą czarnej cieczy i drgającymi kończynami po drugiej stronie pokoju.

Podbiegłam do nich i padłam na kolana obok Raihna. Wyraz śmiertelności złości opuścił jego twarz, jego miejsce zajęła czysta konsternacja. Albo była to gra światła, albo był bliski łoż.

– Mische – powiedział. – Mische, spójrz na mnie.

Pochyliłam się nad nią i zamrugałam w dymie nocnego ognia. Jej krew przesiąkła przez moje spodnie na kolanach, nawet mimo że były skórzane. Oczy miała wpółotwarte, jednak nieruchome. W wyprostowanej ręce przy sobie trzymała długi złoty przedmiot – świecznik? Uderzyłam stopą w coś twardego i zerknęłam niżej. Zobaczyłam otaczające ją świece oraz nieużywane kostki wosku toczące się przez marmurową podłogę.

A jej brzuch... Matko, był rozorany. Wampiry wiele mogły przeżyć, ale to... Jak *ktokolwiek* miałby to przeżyć?

Dotarł do mnie okropny dźwięk łamania. Podłoga zadrżała, jęknęła. Przez straszny moment byłam pewna, że zaraz runiemy ku śmierci. W oddali wzmożyły się krzyki. Nie byłam już w stanie stwierdzić, skąd dochodziły – stąd, stamtąd czy z obu miejsc jednocześnie.

Z Raihnem przysunęliśmy się do ciała Mische i wymieniliśmy zaniepokojone spojrzenia. Nie było czasu. Ile go minie, zanim wieża się zawali?

– Chodź, Mische – mruknął wampir. – Musimy iść.

Wzięła ją w ramiona. Wydała z siebie delikatny jęk, który sprawił, że serce łupnęło mi mocno w piersi – skoro cierpiała, to oznaczało, że żyła.

Za nami zabłysło od nocnego ognia. Był wszędzie. Raihn porzucił swoją delikatność dla nagłej sytuacji, rzuciliśmy się z powrotem w stronę okna, jak najdalej od płomieni.

Odwrócił się ku mnie.

– Wezmę was obie.

Nie, nie mógł. Z trudem zdołał wyciągnąć ku mnie rękę, gdy trzymał Mische.

– Znieś ją i wróc po mnie – odparłam.

Skrzywił się.

– Oraya...

– Żaden z nas pożytek, jeśli wszyscy spadniemy. Idź. Tylko szybko, bo nie widzi mi się dzisiaj umierać.

Zawahał się, po czym powiedział:

– Dobra. Wróć. Nie spłoń. – I już zniknął za oknem.

Dopiero gdy zostałam sama, zorientowałam się, jak głupi to był pomysł. Podłoga jęknęła i zatrzęsła się ostrzegawczo. Ledwo widziałam. Fale bieli i błękitu rozděły się, a płomienie zaczęły pochłaniać ściany.

Trzydzieści sekund i nocny ogień zajmie całe mieszkanie. To lub cała wieża się zawali. Raihn nie zdąży wrócić.

Zakładając, że w ogóle wróci. Mógł mnie tu po prostu zostawić.

Nagle nastąpiło uderzenie, tak głośne, że przestało być tylko dźwiękiem i stało się siłą. Obróciłam się wokół własnej osi w tym samym momencie, kiedy drzwi wyrwało z zawiasów i pochłonęło mnie światło.



Nic nie widziałam. Nic nie słyszałam.

Zawisłam w nicości. Czułam tylko ból.

Przekręciłam się na brzuch i podniosłam się na rękach na kolana, a przynajmniej tak mi się wydawało, że to zrobiłam. Równie dobrze mogłam wisieć do góry nogami albo spadać. Nie wiedziałabym o tym.

Oczy miałam szeroko otwarte i gorączkowo próbowałam dostrzec cokolwiek innego niż oślepiająca biel i spadanie. Dłonie ślizgały mi się o podłogę w poszukiwaniu broni. Czułam zakrwawioną płytkę, rozłupany kamień, rozkruszone szkło, lodowaty w dotyku proch gruzów nocnego ognia...

Umrę tutaj.

Byłam oślepiona i bezbronna. A także ranna. Nie mogłam poruszać ciałem tak, jak powinnam, ale ból od nocnego ognia był tak rozległy – uderzał każdy nerw jednocześnie – że nie byłam nawet w stanie stwierdzić, czy coś mam złamane. Każdy dźwięk był odległy i stłumiony, jakbym znalazła się pod wodą.

Zadbaj o swoje zmysły, Oraya – rozkazał w mojej głowie głos Vincenta, który był jedyną wyraźną rzeczą w tym zamazanym świecie.

Wciągnęłam powietrze. Następnie je wypuściłam.

Nie widziałam, nie słyszałam, ale *czułam*. Przycisnęłam dłonie do podłogi, by wibracje przebiegające przez nią zaczęły przebiegać przeze mnie.

Wtem znalazłam coś... dziwnego. Pojawiło się we mnie uczucie jednoczesnego ciepła i zimna chcące wyjść na świat. W momencie stałam się świadoma nie tylko podłogi pod moimi dłońmi, ale także ścian, wzorów na framudze okiennej. Mogłam poczuć *siebie* w centrum pokoju. Poczuć umiejscowienie moich mieczy, jeden kilka metrów na prawo, a drugi poza zasięgiem lewej ręki.

Poczułam też... siłę. Nedorzeczną siłę. Otoczyła mnie, gotowa do użytku. Nocny ogień. To była energia. To była *potęga*.

Słowa Mische, które niedawno wydawały się nielogiczne – *po prostu tam jest* – nagle miały sens.

Sięgnęłam po tę moc w ten sam sposób, w jaki sięgałam po moje zmysły, jakby była częścią mnie.

Wciąż nie widziałam nic poza bielą. Mimo to wiedziałam, kiedy dokładnie demony wpadły do pomieszczenia. Trzy – nie, cztery. Ostatni czaił się gdzieś z tyłu ze zranioną nogą.

Nie myślałam.

Wstałam, otworzyłam dłonie i wydałam z siebie niewerbalny ryk.

Gorąco i zimno przeszło przez skórę. Wrzask przeszył drętwą ciszę w uszach. Fala euforii musnęła wierzch ciała. Przez dwie sekundy byłam najpotężniejszą istotą na świecie. Byłam nietykalna.

Zaczęłam cierpieć.

Uderzyłam kolanami o podłogę. Skuliłam się i zakryłam twarz.

– Oraya!

Nie słyszałam Raihna, dopóki nie znalazł się tuż obok mnie, złapał i pociągnął ku górze. Zamrugałam w jego kierunku. Jego twarz była niewyraźną plamą w świecie agresywnej bieli. Ze zmarszczonymi brwiami i otwartymi ustami patrzył ponad moim ramieniem, na mieszkanie.

Następnie wziął mnie w ramiona i wyskoczył przez okno.

Przez jeden straszliwy moment spadaliśmy, po czym rozłożył skrzydła i przekształcił spadanie w elegancki lot. Ciemność nocy była wybawieniem, choć mimo gwałtownego mrugania, gdy próbowałam oczyścić oczy, pojawiły się przed nimi kwaśne białe plamy i splamiły niebo.

– Nic ci nie jest? – zapytał Raihn.

– Straciłeś szansę pozbycia się mnie – wydusiłam.

Raczej nie był teraz w nastroju do żartów z powodu stanu, w jakim znajdowała się Mische. Gdy wydał z siebie zachrypnięty, pozbawiony humoru śmiech, poczułam wibracje w jego gardle, w miejscu, w którym przyciskałam do niego policzek. Uznałam to za ponure zwycięstwo.

– Wielka szkoda. Myślałam nad tym.

Również się zaśmiałam. Wydałam z siebie dziwny złamany dźwięk, który był zbyt głośny i wysoki.

– Myślałam, że nie zdążę. – Nachylił się ku mnie. Jego głos był niski i pociągający. – Co tam zrobiłaś?

Chciałam zapytać: „Co takiego?”, ale słowa ugrzęzły mi w gardle.

– Nocny ogień – odparł wampir, jakby mnie usłyszał. – Zabiłaś cztery demony.

Fala mdłości nie miała nic wspólnego z chorobą lokomocyjną.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć, więc przemilczałam to.

Zamiast tego zerknęłam w dół. Białe plamy cały czas przesłaniały mi widok. Po chwili zorientowałam się, że nie wynikały one z problemów moich oczu, tylko były to miejsca na ulicach pochłaniane przez nocny ogień.

Przed nami pojawił się zamek Zrodzonych z Nocy, emanujący złowróżbną czerwienią na tle nocnego nieba. Straż została rozmieszczona. Armia Vincenta była falą błękitu i purpury płynącej przez miasto, co dla moich uszkodzonych oczu było pojedynczą plamą śmierci.

Mimo to od razu znalazłam Vincenta: na przedzie, z rozwiniętymi skrzydłami i otaczającą go czernią Asterisa. Czerwone kontury jego skrzydeł były widoczne nawet z nieba, tak jak szkarłatny cień jego miecza – Pożeracza Serc.

Nawet z tej odległości emanował śmiercią.

Wiele razy byłam świadkiem potęgi Vincenta, ale nigdy go takim nie widziałam. Okropne uczucie zagnieździło się w moim żołądku.

– Twój ojciec ma swoją wojnę – oznajmił Raihn. – Czekał na ten moment wiele, wiele lat. Został do tego stworzony.

Chciałam się z tym kłócić, ale podczas gdy szybowaliśmy nad ruinami, mogłam tylko myśleć, że coś się tej nocy zmieniło. Coś, co nigdy nie będzie takie samo. Nie wiedziałam, jak to opisać, nie widziałam w tym sensu, ale czułam to w powietrzu.

To nie był zwyczajny atak. Nie było to nagromadzenie się napięcia. Nie był to ostateczny śmiertelny cios.

Nie. To był początek czegoś tragicznego. Krwawe narodziny bardziej krwawego potwora. Takiego, który pochłonie nas wszystkich.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Prawie cały dzień zajęło pozbycie się demonów i ugaszenie nocnego ognia. Ktokolwiek był odpowiedzialny za atak, bardzo strategicznie do tego podszedł. Weszli do Księżycowego Pałacu przez południowe wejście, które było najcichsze i najmniej chronione. Szklarnia była najlepszym punktem do rozpoczęcia pożaru, jako że roślinność okazała się wspaniałą bazą dla nocnego ognia. Teraz nic z niej nie zostało poza resztkami szkła, które przykryły pozostałości wieży niegdyś nad nią górującej.

W ataku zabito czterech uczestników turnieju – dwóch przebywało w wieży, która się zawaliła, jednego rozszarpał demon, a kolejnego pochłonął nocny ogień. Gdybym została w szklarni, zamiast zamieszkać z Raihnem i Mische, byłabym wśród ofiar.

Mische przeżyła, ledwie, choć cały czas wisiała na granicy śmierci. Nie była w tym sama. Wielu innych zostało poparzonych, z czego jeden tak dotkliwie, że leżał półprzytomny i jęczał z bólu. Został pozbawiony twarzy. Miałam nadzieję, dla jego dobra, że umarł albo wydobrzeł na tyle, żeby samemu odebrać sobie życie.

Ci, którzy mieli rany niepozwalające im walczyć, złożyli prośby do Nyaxii o wycofanie się z Kejari. W ciszy wschodu słońca zgromadziliśmy się w wielkiej sali. Jedynymi towarzyszącymi nam dźwiękami były szeptane modlitwy rannych, gdy rozcinali sobie skórę na rękach i pozwalali, by ich krew kapała na modlitewne pergaminy, i prosili boginię o wycofanie swojej kandydatury. Z Raihnem zrobiliśmy to dla Mische, nie mogła sama wypowiedzieć słów. Później Minister i jego akolici przeszli przez

pomieszczenie, by zebrać kawałki zakrwawionych pergaminów. Nakazali nam pozostać w Księżycowym Pałacu, przypomnieli, że Kejari będzie kontynuowane według planu, i mieliśmy czekać na kolejne instrukcje.

Tyle. Rozeszliśmy się po tych częściach Pałacu, które pozostały nietknięte, i czekaliśmy.

Następnego dnia o zachodzie słońca Vincent zwrócił się do Domu Nocy.

Zrobił to z zamkowego balkonu wychodzącego na śródmieście. Nakazał uwagę w całym Sivrinaju. Magia namalowała jego wizerunek na niebie eterycznymi kreskami światła. Dwa pierwsze guziki jego płaszcza były rozpięte, a jego znamię dziedzica widoczne. Skrzydła miał rozłożone. Jego korona błyszczała spomiędzy pasm blond włosów jak platynowe iglice gwiazdy.

Wiadomość była jasna: Vincent był królem Zrodzonych z Nocy i każdy, kto rzucił mu wyzwanie, poniesie tego konsekwencje.

Nie przemawiał do swoich poddanych, lecz do wrogów.

– Mam do powiedzenia tylko jedno. Zrodzeni z Nocy nie są tchórzami. Nie lekceważymy działań wojennych, a ten atak jest takim działaniem.

Jego głos rozniósł się po niebie i dotarł wszędzie.

– Chcecie mnie zdetronizować? Tylko spróbujcie. Nie jesteście jedynymi, którzy wiedzą, jak zabijać. Otworzyliście drzwi, których nie da się z powrotem zamknąć, i nie jesteście gotowi na okrucieństwa, które przez nie wyleję. Okrucieństwa, które nikogo nie oszczędzą, jako że wy nic nie oszczędziliście. Okrucieństwa, które nie ocalą waszego pożywienia i domów. Okrucieństwa, które nie ocalą was. – Wydał z siebie warknięcie, spod jego górnej wargi błysnęły końcówki zębów. – Nawet wówczas, kiedy błagacie o śmierć.

Uniósł brodę. Znamię na jego gardle, nawet pokryte upiornym srebrem, zdawało się płonąć, jakby on i znamię zostali zespoleni z nocą.

– Mam nadzieję, że wam się to opłacało, rishańscy buntownicy.



Później tej nocy do Księżycowego Pałacu przysłała Jasmine. Przyproceedziła ze sobą mnóstwo Zrodzonych z Nocy gwardzistów, którzy chodzili za nią krok w krok jak niebezpieczne duchy.

Do tego czasu znaleźliśmy nowy pokój – znacznie mniejszą komnatę na pierwszym piętrze, w centrum Księżycowego Pałacu, z dala od innych zapadniętych części budowli,

tam Mische było łatwiej dojść. Pomieszczenia nie można było porównać z tym, które mieliśmy, ale było ono bezpieczne i zabezpieczone. Raihn zdołał nawet odzyskać część z tego, co pozostało z naszych rzeczy ze wschodniej wieży. Priorytetem była torba Mische z zaopatrzeniem medycznym. Gdy Raihn rzucił przede mną pozostałości mojego plecaka, byłam za to bardzo wdzięczna. Jednak potem, gdy zostałam sama, niemal się rozplakałam, gdy go otworzyłam i znalazłam szal Ilany, wciąż cały, choć trochę przypalony.

Gdy Jasmine dotarła na miejsce, dała o sobie znać dwoma łupnięciami w drzwi – nie była to prośba, ale żądanie. Raihn jej otworzył. Wampirzyca zmierzyła jego ciało zimnym i krytycznym spojrzeniem.

– Tak? – zapytał Raihn chłodno.

– Chodź – powiedziała. – Król Zrodzonych z Nocy cię wzywa.

Ścisnęło mnie w środku, gdy dołączyłam do nich przy drzwiach.

Został do tego stworzony – rozbrzmiało echo słów Raihna.

Nie towarzyszyłam Vincentowi podczas wojny, ale widziałam, jaki był, kiedy miał chronić to, co należało do niego.

Raihn się nie poruszył.

– Po co?

– Twój król ci rozkazuje.

– Nie jest moim królem.

Spięłam się. Raihn nie mrugnął. Jasmine wciąż stała nieruchomo i w ciszy, jak drapieżnik przygotowujący się do ataku.

Wiedziałam, że Raihn był zmartwiony, zły i zmęczony, ale był również pieprzonym idiotą. Chciałam go od niej odciągnąć i mu to wygarnąć.

– Jego życie należy do Nyaxii, dopóki bierze udział w Kejari – powiedziałam.

Zdawało się, że Jasmine dopiero teraz zorientowała się, że tu byłam. Jej kocie oczy zmierzyły mnie z iskrą ciekawości, jakbym powiedziała coś bardzo interesującego.

– Król jest tego świadom – odparła beztrąsko. – Uczestnicy zostaną zwrócenii do Księżycowego Pałacu żywi.

Uczestnicy?

Zerknęłam ponad jej ramię i ujrzałam wojowników wyprowadzanych z wielkiej sali, niektórzy szli korytarzami do innych mieszkań, a inni wracali do wyjścia i holowali więźniów. Pośród nich była Angelika z ramionami wykręconymi za plecy, prowadzona przez dwóch Zrodzonych z Nocy. Jej ostre rysy wykrzywione były w furii.

Zabierali Rishan i Zrodzonych z Krwi. Mimo to Jasmine, najwyższą rangą generał mojego ojca, przybyła tutaj, by *osobiście* zabrać Raihna.

Wszystkie fakty zbiły się w całość i zaprezentowały mi straszliwy obraz. Zerknęłam na Raihna w tym samym momencie, kiedy jego wzrok przeniósł się na mnie, również pełen zrozumienia.

– Rishanie tego nie zrobili – powiedział do Jesmine.

Uśmiechnęła się. Było to niemal hipnotyzujące. Ten uśmiech na pewno rzucał mężczyzn, kobiety, śmiertelników i nieśmiertelnych na kolana.

– Och, nikt nie oskarża o to *ciebie*. To jednak jest czas wojny, zrozum. A Rishanie mają historię z takimi występkami. Król Zrodzonych z Nocy nie może ryzykować.

– Nie – wtrąciłam się, zanim zdołałam się powstrzymać. – Jest moim sojusznikiem. Próba Kwadry jest za dwa dni. Powiedz to Vincentowi.

– Vincent jest tego doskonale świadom. – Jesmine ponownie uśmiechnęła się słodko.

– Kiedy wróci twój towarzysz, będzie jeszcze dużo czasu do próby. Nie martw się. A teraz chodź. – Pomachała na Raihna, jakby był psem. – Musisz zrozumieć, że sytuacja jest pilna.

Jego knykcie zbieleły, gdy zacisnął rękę na framudze drzwi.

– Nie zostawię mojej przyjaciółki – powiedział. – Jeśli król chce mnie stąd wywlec, niech przyjdzie to zrobić osobiście.

– *My* możemy cię wywlec, jeśli to bardziej ci odpowiada.

Nie zmyślała. Jeśli się nie wycofa, pobiją go i usuną z Pałacu nieprzytomnego. Był silny, ale niewystarczająco, żeby w pojedynkę stawić czoła całej armii Zrodzonych z Nocy.

Moje serce przyspieszyło. Na pewno oboje to wyczuli. Przysunęłam się bliżej, by stanąć obok Raihna w drzwiach.

– Nikt tutaj nie chwali sobie twoich gróźb, Jesmine – zdenerwowałam się, po czym odwróciłam się do niego i zniżyłam głos. – Wyciągnę cię z tego. I zaopiekuję się Mische.

Przeskanował moją twarz, nieprzekonany. Czułam też na sobie wzrok Mische. Zorientowałam się, że wpatruje się w moją rękę, która spoczywała na przedramieniu Raihna. Nawet nie pamiętałam, kiedy ją tam położyłam.

Odsunęłam się, a Raihn wycedził przez zęby niechętnie:

– Dobra.

Jesmine uśmiechnęła się z satysfakcją, gdy minął ją i wyszedł na korytarz.

– Och, prawie zapomniałam. – Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła dwa zwinięte kawałki pergaminu. Przekazała mu jeden. – Minister prosił, by dostarczyć to twojej przyjaciółce.

Raihn wziął list i rozłożył go, sceptycznie nastawiony. Jego twarz pobladła.

– Co to jest? – wydusił. – Czy to jakiś pieprzony żart?

Usta Jesmine wykrzywiły się w smutku.

– Z doświadczenia wiem, że Minister nie robi sobie pieprzonych żartów.

Wampir zmiął pergamin i zatrząsł się ze złości.

– Spójrz na nią. – Jego wolna ręka wystrzeliła ku Mische leżącej nieruchomo w łóżku. – Nie może walczyć. A Minister *odrzucił* jej wniosek?

Serce podskoczyło mi do gardła.

To była pewna śmierć. Nie mogliśmy nawet wnieść Mische po schodach, a co dopiero zawlec ją na arenę. I to tuż przed Próbą Kwadry, kiedy połowa uczestników miała zostać zabita? Nie przeżyje tego.

– *Nyaxia* odrzuciła jej wniosek – poprawiła go Jesmine.

– Pieprzyć *Nyaxię*.

Kilku gwardzistów wydało z siebie niezadowolone westchnięcia w odpowiedzi na jego słowa.

To jednak nie miało nic wspólnego z *Nyaxią* i wszyscy o tym wiedzieliśmy. Wniosek Mische został odrzucony z powodu jej przyjaźni z *Raihnem*. Bez przydziału do konkretnego domu równie dobrze mogła być *Rishanem*.

Cierpliwość Jesmine się wyczerpywała.

– Jeśli masz zażalenia, możesz je podjąć z Ministrem. A teraz chodźmy.

Dwóch gwardzistów chwyciło ramiona *Raihna* i wyglądało, jakby był gotów z nimi walczyć, ale ostatecznie z tego zrezygnował. Obserwowałam go. Usta miałam suche.

Jesmine przekazała mi drugi pergamin.

– Ten jest dla ciebie. Od *Vincenta*.

Wzięłam go. Zawierał tylko kilka słów, napisanych perfekcyjnym charakterem pisma.

Dzisiaj w nocy. Przed wschodem słońca.

Zerknęłam na *Raihna*. Spojrzał przez ramię tylko raz i czyste poczucie bezsilności wymalowane na jego twarzy mnie zszokowało.

Dla Mische. To było dla Mische.

– Przystojny jest. – Oczy Jesmine podążyły za moimi. – Mogło być gorzej, choć lepiej, żeby nie byli buntownikami. Przysporzyliby tylko więcej kłopotów.

Nie jest nim – chciałam się odgryźć. Zamiast tego zapytałam:

– Potwierdziliście, że *Rishanie* są za to odpowiedzialni?

– Tak.

Czekałam na coś więcej, ale ona tylko zaśmiała się nisko.

– Czego więcej chcesz, *Oraya*? Nie jesteś bardziej zaznajomiona z tym, do czego są zdolni? Wiem, że pewnie niewiele pamiętasz z tego, jak to jest na ich terytorium, ale chcesz tam iść, gdy skończy się turniej, prawda? No cóż, masz teraz szansę. Możesz

teraz łatwiej niż dotychczas zmaltrretować tych sukinsynów bez obawy, że Nyaxia cię na tym przyłapie.

Zacisnęłam szczęki. Dlaczego zdenerwowało mnie, że wiedziała o mojej przeszłości i moich planach na przyszłość? Dlaczego zdenerwowało mnie, że Vincent jej o tym powiedział?

– Mówię poważnie, Oraya. – Zniżyła głos. – Uważaj na niego. Jest śliczny, ale wciąż jest Rishanem.

Chciałam zaśmiać się jej w twarz. Jakbym nie wiedziała lepiej niż ktokolwiek, jak ostrożna powinnam być wokół ślicznych wampirów. Nie, nie ufałam Raihnowi. Nawet nie byłam pewna, czy go lubiłam.

Naprawdę? – odezwał się głos z tyłu mojej głowy na tę myśl.

Wiedziałam jednak, że Raihn nie czuł do mnie nic. Wiedziałam o tym z jednego powodu, a mianowicie: Mische.

Widziałam, jak się załamał, gdy ją znalazł. To była miłość. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

Ugryzłam się w język, kiedy Jesmine wsunęła wiadomość od Vincenta w moją kieszeń i odeszła.



Siedziałam przy łóżku Mische aż do spotkania z Vincentem. Nie powiedziała słowa, od kiedy wyciągnęliśmy ją z mieszkania, choć jej rzęsy drżały, jak gdyby doświadczała nieprzerwanych snów. Jej skóra była rozgrzana, co było złą wiadomością dla wampirów, zwykle odpornych na infekcje. Stałam przy niej i przetałam zimną szmatką ropę sączącą się z jej ran. Podwinęłam jej rękawy i zmarszczyłam brwi na to, co zobaczyłam pod nimi. Świeże oparzenia po nocnym ogniu skupiły się wokół jej nadgarstków i rąk, które były tamtej nocy odsłonięte. Jej gładka brązowa skóra na ramionach była również kropkowana starymi, niezliczonymi poparzeniami nałożonymi na siebie. Niektóre były naprawdę stare, a inne świeższe, choć nie pochodzące z ataku.

W jaki sposób je zdobyła?

Stłumiony jęk przerwał moje rozmyślenia. Wampirzycą wstrząsnęło, jej palce drżały. Opuściłam jej ramię i zbliżyłam się do niej. Nie mogła nawet poruszyć głową, a oczy ruszały się gwałtownie, jakby próbowała je otworzyć, ale nie potrafiła.

Zobaczenie jej w tym stanie wpłynęło na mnie bardziej, niż się tego spodziewałam. Przedtem Mische fruwała jak motylek, a teraz ktoś oderwał jej skrzydełka i pozostawił

ją, by uschła.

Znasz ją od półtora miesiąca – przypomniał mi głos Vincenta. I tak zabije cię na arenie, gdy Próba Kwadry dobiegnie końca.

Prawda. Jedno i drugie.

A jednak.

– O co chodzi, Mische? – zapytałam łagodnie. – Co takiego?

Z wielkim wysiłkiem obróciła ku mnie głowę i odsłoniła twarz. Siniaki ściemniały, a wgłębienia pod jej oczami i kąciki jej ust szerniały.

– Nie przyszedł – wyjąkała. – Nie odpowiedział mi.

Raihn. Dziwny, niespodziewany ból ścisnął mi serce. Gdyby wiedział, że się obudziła i nie było go przy niej...

– Raihn wróci. Niedługo.

Miałam taką nadzieję.

Poruszała powiekami, a pęknięty kącik jej ust zacisnął się w czymś na wzór uśmiechu.

– Raihn? Wiem. Raihn zawsze wraca.

Uśmiech jej zbladł. Łza spłynęła jej po policzku.

– Wołałam i wołałam – załkała. – Wołałam i wołałam, ale nie odpowiadał. Opuścił mnie.

– Wróci – powtórzyłam, ale ona dalej szlochała, szybciej i ciężiej, aż nie mogła mówić. Aż nie mogła oddychać.

Pospieszyłam ku plecakom upchanym w kącie pokoju i zaczęłam w nich grzebać. Plecak z lekarstwami był dobrze zaopatrzony, ale nie zawierał nic dostatecznie silnego, co mogło jej pomóc. Wtem wzrok padł na mój plecak. Upuściłam plecak Mische, podeszłam do mojego i wyciągnęłam z niego ostatnią porcję eliksiru. Flakonik był prawie pusty. Nie pozostało wiele. Nie wystarczy, żeby uleczyć Mische, nawet odrobinę, ale pozwoli jej przetrwać noc i uśmierzyć ból.

Mimo to się zawahałam. To lekarstwo było jednym z niewielu, które mogły mi pomóc jako człowiekowi. Jeszcze nie wyleczyłam własnych poparzeń, a Próba Kwadry była tuż-tuż.

Mische wydała z siebie kolejny straszny jęk. Dźwięk przeszył mnie na wskroś i przeciął ostatnią chwilę zawahania.

Nie mogłam jej tak zostawić. Nie mogłam.

Wróciłam do niej, odchyliłam jej głowę do tyłu i wlałam do jej gardła ostatnie krople leku. Jej pokryta łzami twarz wygładziła się, wampirzyca zapadła w ciężki i bezsenny sen, jak dziecko. Byłam przy niej cały czas.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Nigdy nie widziałam Vincenta w takim stanie.

Czekał na mnie, gdy dotarłam na miejsce spotkania. Nawet w cieniu czerwień na jego skrzydłach konturowała jego sylwetkę w szkarłacie. Trzy pierwsze guziki jego koszuli były rozpięte i odsłaniały jego znamię dziedziczne. Smugi dymu pochodzące z delikatnych czerwonych kresek atramentu pulsowały z biciem jego serca.

To było niespotykane, żeby Vincent pozostawił swoje skrzydła rozłożone i znamię widoczne, ale to, niezależnie jak ośmielające było, nie sprawiło, że ścisnęło mi żołądek, gdy go zobaczyłam.

Vincent zawsze był spokojny – okrutny, kiedy zaszła taka potrzeba, tak, ale zawsze był elegancko opanowany. Teraz natomiast wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz i zobaczyłam w nim kogoś obcego. Kogoś, kto pozwala wściekłości gotować się na powierzchni jego skóry. Zazwyczaj jego temperament był niewzruszony jak czarne morze, pod którego powierzchnią, w głębi, ukryte są okropności. Teraz wody te drżały wraz z falami budynków i krążącymi płetwami.

Do tej pory, gdy na niego spoglądałam, nie widziałam w nim nic innego poza bezpieczeństwem. Jednak dzisiejszej nocy coś we mnie wzdrygnęło się na jego widok – jakby ośmioletnia wersja mnie nalegała, żeby wyglądał jak mój ojciec, ale nim nie był.

Wtem odwrócił się ku mnie, jego wzrok złagodniał i ramiona się rozluźniły, po czym wypuścił powietrze z ulgą. Zrobiłam to samo.

Nikt, kto patrzył na mnie w ten sposób, nie mógł być nikim innym jak moim ojcem. I, o bogini, jak się cieszyłam, że go widzę.

Ocecił mnie od góry do dołu.

– Nic ci nie jest?

Pokręciłam głową.

– Uniknęłaś najgorszego momentu ataku?

Przełknęłam prawdę. *Oczywiście, że tak, bo w tym czasie zabijałam wampiry w ludzkich dzielnicach z moim rishańskim partnerem!* To nie skończyłoby się dobrze.

– Tak, miałam szczęście – odparłam.

– Nigdy nie chciałem, żebyś doczekała tych czasów. Wiedziałem, że nadejdą, ale nie chciałem, żebyś była ich świadkiem.

– Czy to Rishanie? – zapytałam cicho. – Jesteś tego pewien?

Z jakiegoś powodu usłyszałam w głowie głos Raihna, gdy powiedział z pewnością siebie: *Rishanie tego nie zrobili.*

– Tak.

– Zaatakowali jeszcze gdzieś?

Jego szyja zadrżała.

– Tak. Ale może i to jest błogosławieństwo. Minęło dużo czasu, od kiedy miałem możliwość zlikwidowania ich raz na zawsze. Tym razem nie zmarnuję takiej okazji.

W tym momencie ukazał mi się w pełni. Światło padało na jego twarz i oświetlało konstelację czerwono-czarnych plamek na jego koszuli i szyi – krew wampirów. Ciemność także otoczyła jego nadgarstki, tuż przy mankietach rękawów i pod paznokciami. Prawdopodobnie niedbale wytarł ręce i twarz przed przyjściem tutaj, ale jeśli próbował ukryć przede mną, co robił przez ostatnie dwa dni, definitywnie poniósł klęskę.

Strach, nagły i silny, ścisnął mi klatkę piersiową.

Straciłam Ilanę. Nie wiedziałam, czy przeżyłabym, gdybym miała stracić też Vincenta.

Jeśli Rishanie faktycznie ruszyli do ataku, Vincent będzie ich głównym celem. Każdy rishański buntownik w Domu Nocy wiedział, że wygranie ich wojny oznaczało albo zabicie miliona wampirów z rodu Hiajów, albo... tylko jednego: Vincenta. Nie miał dzieci, wiedział, jak niebezpieczne i potężne potrafiły być. To oznaczało, że klan Hiajów nie miał żadnego dziedzica poza Vincentem. Nikt nie przejąłby potęgi Zrodzonych z Nocy Hiajów. Nikt, kto by ją utrzymał.

Kiedy między klanami rozpoczęła się wojna, która poskutkowała śmiercią dziedzica, każda osoba mogąca odziedziczyć tę moc stawała się kolejnym celem.

Dokładnie to zrobił Vincent dwieście lat temu. Użył swojego daru od Nyaxii – nagrody za wygraną w Kejari – do rozprzestrzenienia swojej potęgi i odebrał Rishanom dziedziców. Następnie Vincent wykorzystał tę niesamowitą moc do wyeliminowania każdego Rishana, który miał jakiegokolwiek powiązanie z linią rządzącą, a także każdego Hiaja, który mu się sprzeciwił. Przecież każdy król Zrodzonych z Nocy był koronowany na stosie trupów.

Widziałam, jak spojrzenie Vincenta staje się nieobecne, jakby sam myślał o tym dniu. Okropna myśl ścisnęła mi żołądek.

Rishanie buntowali się już wcześniej, ale nigdy w ten sposób. To była walka do ostatniego poległego.

– Myślisz, że mają znowu dziedzica? – zapytałam.

Vincent wybił wszystkich dziedziców dwieście lat temu. Ale Nyaxia, zimna suka, odmówiła zniszczenia całego klanu. Lubiała przekomarzania swoich dzieci. Mogła pewnego dnia podarować znamię dziedzica innemu Rishanowi. Ostatni raz zdarzyło się to trzysta lat temu. Mimo to dwieście nie wydawało się niemożliwe.

Gdyby Rishanie znowu mieli dziedzica, byłiby bardziej niebezpieczni, niż gdyby go nie mieli. W przeszłości dali się poznać z drobnych buntów, jak ten, który przywiódł mnie do Vincenta, ale to były niegroźne potyczki, napędzane niczym innym niż złością i chęcią zemsty. Nie rządiliby, nawet jeśli je wygrali.

Ale z dziedzicem rishańskim? Wszystko się zmienia.

Na szczęście Vincenta uwidocznił się miesiąc w sposób, który zapewnił mnie, że myślał często o tym pytaniu.

– To możliwe. Jeśli jakiś jest, dowiemy się o tym.

Niech to szlag.

– Jeśli tak faktycznie jest – kontynuował – będę cię potrzebować, gdy tylko zostaniemy pojednani. Będziemy mieli wolność i siłę, by najechać na ich terytoria. By ich oswobodzić. – Posłał mi uśmiech. – Wiem, jak długo tego pragnęłaś. Żałuję jedynie, że odbędzie się to w takich okolicznościach.

Ta myśl mnie oszołomiła. Całe życie przepełnione strachem i ostrożnością i w końcu nadeszła okazja, by zostawić po sobie światu znamię, ale nie złamanymi paznokciami, tylko zębami, które wbijają się w skórę tak głęboko jak ich.

Moi rodzice byli martwi. Inna rodzina, którą mogłam mieć, zapewne poszła w ich ślady. Wiedziałam to. A może... może częśćka mnie miała nadzieję, że już ich nie było, ponieważ gdy dotrę do nich, będę jeszcze mniej do nich podobna. Ale przynajmniej

wtedy będę zdolna do zrobienia czegoś więcej niż likwidowanie pojedynczych wampirów w nocy.

Będę mogła być *czymś* więcej. *Zrobić* coś więcej.

Przełknęłam niespodziewaną falę emocji i posłałam ku Vincentowi uśmiech.

– Jeżeli zwyciężę.

Nie odwzajemnił uśmiechu.

– Zwycięzysz, Oraya.

Czasami nie wiedziałam, co takiego zrobiłam, by zasłużyć na taką wiarę. Chciałabym być tak pewna siebie jak on.

Próba Kwadry była coraz bliżej. Ponure przypomnienie o terażniejszości zburzyło moje marzenia o przyszłości. Zupełnie jakby Vincent również o tym pomyślał, sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej małą flaszkę srebrnego płynu.

– Więcej trucizny. Na twoje miecze. Nie zdołałem zdobyć dla ciebie więcej lekarstwa. Następnym razem.

Skrzywiłam się i próbowałam tego nie pokazywać. Oddanie ostatniej porcji lekarstwa Mische mogło być błędem. Będę musiała walczyć z oparzeniami. Ale tak naprawdę walczyłam w życiu z gorszymi ranami.

Obserwowałam Vincenta, kiedy spojrzał na niebo, pogrążony w głębokich myślach.

Zdawał się złagodnieć, od kiedy nasze spotkanie się rozpoczęło, ale wciąż się wahałam przed wypowiedzeniem kolejnej prośby. Wiedziałam, jak zimne potrafiły być lodowe ściany Vincenta, kiedy czuł się wyzywany. Zawsze je topił dla mnie – ostatecznie – ale nie chciałam zaczynać kolejnej próby, będąc z nim skłócona.

Mimo to... musiałam spróbować.

– Jest jeszcze jedna rzecz – powiedziała powoli. – Jest taka dziewczyna. Jedna z moich sojuszniczek na Próbę Kwadry. Została poważnie ranna w ataku, ale Minister odrzucił jej wniosek o wycofanie się z turnieju. Nie przeżyje próby.

Zacisnął usta w wąską linię.

– Niefortunna sytuacja. Tylko więcej krwi Rishanie będą mieli na rękach.

– Możesz coś zrobić? By pomóc jej się wycofać?

Jego spojrzenie oziębło.

– Dlaczego?

– Jest moją sojuszniczką i jest zbyt słaba, żeby walczyć.

– To niech umrze na arenie. Zostaw ją, kiedy rozpocznie się próba.

Sięgnęłam pamięcią do setek godzin, które spędziłam na studiowaniu Kejari.

– Nie wiemy, na czym będzie polegać ta próba. Może to być coś łączącego nasz los. Jeśli ona umrze, umrę i ja. To zdarzyło się już wcześniej. Szósty Kejari. Potem

czternasty.

Dwa. Dwa z dwudziestu. Ale wciąż się wahał. Wiedziałam, że nawet te szanse były dla niego zbyt duże.

Po chwili namysłu powiedział:

– Zabij ją dzisiejszej nocy. Wtedy nie będzie stanowić problemu.

Tak bardzo próbowałam utrzymać neutralny wyraz twarzy, a i tak szok uderzył mnie mocno.

Dlaczego?

Nie tak dawno w tej propozycji nie byłoby nic szokującego. Tak naprawdę bardziej szokujące dla mnie było to, że do tej pory nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby zabić Mische.

Jeszcze bardziej szokujące było to, że ta myśl napawała mnie wstrętem.

Vincent zmrużył oczy nieznacznie, ale na tyle, żeby pokazać, że zauważył zmianę w moim zachowaniu.

– Skąd ten sprzeciw? Kejari pozwala w tym roku zabijać uczestników. Jeśli jest aż tak ranna, jest bezużyteczna dla ciebie jako sojusznik podczas próby, a jeżeli w jakiś sposób przeżyje, będzie niebezpieczeństwem po próbie. Jest to czyste, proste rozwiązanie.

Rozpaczliwie próbowałam znaleźć na to jakiś kontrargument, ale bez powodzenia. A teraz Vincent obserwował mnie uważnie. Nie mogłam bardziej napierać. Sprawiłoby to, że zacząłby mnie kwestionować.

Nawet teraz sam fakt, że miałam ten wewnętrzny spór, powodował, że sama siebie kwestionowałam.

– Nie ma sprzeciwu – powiedziałam. – Masz rację. Mam jednak jeszcze jeden problem.

Napierałam. Tak bardzo napierałam. Pozwoliłam jednak wyjść słowom.

– To zostawia mnie z jednym sojusznikiem, którego masz u siebie.

– Mam? – Vincent ponownie przeniósł spojrzenie na niebo, jakby jego umysł zaczął odpływać. – Przesłuchanie należy do Jesmine.

Zamrugalam, wbrew sobie zaskoczona. Vincent od zawsze był filarem mojej pewności siebie, jedynym, który zyskał moje bezwzględne zaufanie. A okazuje się... Jego ignorancja brzmiała tak... obłudnie.

– Został zabrany dzisiaj, razem z innymi – powiedziałam.

– Musimy się dowiedzieć, kto to zrobił, Oraya. A nasi wrogowie pośród uczestników Kejari są oczywistymi podejrzanymi. Jestem pewien, że zostanie zwrócony w jednym

kawałku przed próbą, tak jak pozostali, jeśli tylko Jesmine zyska pewność co do jego niewinności.

Nasi wrogowie pośród uczestników Kejari. Wiedziałam, co Vincent zrobił swoim wrogom.

– Oczywiście. Po prostu... potrzebuję go. Próba Kwadry jest najbardziej śmiertelną z prób i moje przetrwanie zależy od niego.

Spojrzał na mnie.

– Doskonale zdaję sobie sprawę, jak niebezpieczna jest ta próba – zdenerwował się. – Myślisz, że nie jestem tego świadom? Myślisz, że nie myślę o tobie i o tej próbie, i o tym, jak jest śmiertelna? – Jego usta uniosły się w warknięciu, które zaprezentował podczas tego ociekającego groźbami przemówienia. – Czy wiesz, co uczyni ją jeszcze bardziej niebezpieczną, zmijko? Jeśli zostaniesz sparowana z sojusznikiem, który po prostu czekał na odpowiedni moment, żeby wbić ci nóż w plecy.

– On potrzebuje mnie, żeby też przeżyć próbę.

– A potem?

– A potem jestem gotowa go zabić, jeśli będę musiała. – Wymówiłam te słowa z mocą, ale ich znaczenie pozostawiło dziwny posmak na moim języku. – Ale teraz go potrzebuję.

Mężczyzna, który się *we* mnie wpatrywał, był królem, nie ojcem. Jego twarz była zimna i kamienna. Zrobiłam ku niemu krok.

– On nie zrobił tego, Vincencie.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Ponieważ... – Mische. Nie wiedziałam, jak mu to wyjaśnić. – Zaufaj mi. Nie zrobił.

– Zaufaj. – Prychnął. – Czy masz świadomość, jak jest to niebezpieczne słowo?

Ubodło mnie, że w ogóle zadał mi takie pytanie. Miałam tak wiele powodów, żeby nie ufać Raihnowi. I może... może pozwalałam sobie zapomnieć o tym częściej, niż powinnam.

Ale to... ten jego wyraz twarzy, kiedy zobaczył płonący Pałac... Mogłam nie ufać Raihnowi. Ale temu ufałam.

– Nie złam go – powiedziałam. – Możesz go przesłuchać, ale nie złam go. Proszę.

Vincent wpatrywał się we mnie bez emocji. Przez jeden przerażający moment miałam wrażenie, że może zrobiłam coś zupełnie odwrotnego do tego, co powinnam – może moje błaganie wzmocniło jego podejrzenia, czego nie zrobił sam fakt posiadania przez Raihna rishańskiej krwi.

Opuścił głowę.

– W porządku – westchnął. Gdy ponownie obrócił się ku mnie i jego twarz oblało światło, nagle wydał się zmęczony i zmartwiony. – Ale mamy wojnę. Jesteśmy otoczeni przez tych, którzy chcą naszych głów. Nie zapominaj o swoich kłach, zmijko. Będziesz ich potrzebować.



Świątynia Nyaxii najpewniej była największym budynkiem w Sivrinaju, mieście pełnym wspaniałych budowli, z wyjątkiem zamku Zrodzonych z Nocy i Księżycowego Pałacu. Oczywiście Nyaxia miała wiele świątyń w każdym z trzech domów – znajdowały się w każdym głównym mieście, a nawet w mniejszej miejscowości należącej do Domu Nocy. Każdy dom w swojej stolicy składał jeden wielki hołd swojemu stwórcy i Mrocznej Matce. Słyszałam, że Dom Cienia składa się z pojedynczej iglicy z czarnej stali, sięgającej wysoko w nocne niebo, podwójnie przewyższającej wysokość nawet najwspanialszych zamków.

Rzadko – dobra, nigdy – chodziłam do świątyni Zrodzonych z Nocy, umiejscowionej w perfekcyjnym geograficznie centrum Sivrinaju. To była pierwsza tutaj zbudowana budowla. Kiedy stworzono Sivrinaj, Zrodzeni z Nocy, będący wówczas młodymi wampirami powstałymi z rąk Nyaxii rok wcześniej, zaczęli przebudowywać swoje królestwo po tym, jak zostało wymazane przez ludzkie narody na wschodzie. Mieli zaledwie pozostałości martwego społeczeństwa, świeżą nieśmiertelność i dziecinną magię, której nie rozumieli.

Mimo to pierwszym, co zrobili, było zbudowanie pieprzonego kościoła. Nie schronu. Nie szpitali. Kościoła. Co za priorytet.

Nienawidziłam tego miejsca.

Wszystko wydawało się nieść echem i było natychmiast uciszane. Wysoko nade mną niebo malował srebrny metal i zakłety witraż, za którym powoli wędrowały platynowe gwiazdy. Oświetlenie tutaj było chłodne, słabe i produkowane przez nocny płomień, bezpiecznie trzymany w setkach małych, kryształowych, kopulastych lampionów, które rzucały na podłogę leniwe mandale.

Wokoło panowała cisza. Na głównych piętrach kościoła rozmowy były zabronione. Akolici Nyaxii zgromadzili się przy zakrzywionych ścianach z twarzami w odległości centymetrów od gipsu zdobionego freskami. Przypominali nieruchome i milczące posągi. Najwyraźniej medytowali i wielbili swoją boginię.

Czasami myślałam, że Nyaxia miała dość piekielne poczucie humoru. Czy takie wydała rozkazy? *Zbudujcie dla mnie świątynię, by pokazać mi, jak bardzo mnie kochacie. Ma być piękna do porzygania. A następnie wejdźcie do środka i gapcie się na ścianę przez piętnaście godzin dziennie.*

Oczywiście Nyaxia miała wielu fanatycznych dewotów i wielu z nich było znacznie bardziej interesującymi – i niebezpiecznymi – niż mroczni akolici. Miałam nadzieję przejść przez życie i uniknąć ich gorszej natury.

Nieważne, jak nudni byli, przynajmniej te biedne łotry były doskonale zdyscyplinowane. Nie odwrócili głów, gdy przechodziłam, nawet kiedy krwawiłam, więc musiałam wydzielać fantastyczny zapach.

Wędrowałam to jednymi, to drugimi schodami, wchodziłam coraz wyżej kościoła, aż dotarłam na szczyt. Przede mną zamajaczyły podwójne drzwi, wykonane ze starożytnego ciosanego drewna.

Spuściłam wzrok na dłonie. Trzęsły się.

Pieprzyć to. Nie. Jeśli tam szłam, nie mogłam pokazać ani przez moment – nawet jedną sekundę – że się bałam.

Strach jest tylko zbiorem reakcji fizycznych.

Otrząsnęłam się z dreszczy i zmusiłam serce do tego samego. Dotknęłam rękojeści mieczy – obu świeżo wypełnionych trucizną od Vincenta – by przypomnieć sobie, jak łatwo mogłam po nie sięgnąć.

Zapukałam do drzwi i otworzyłam je, gdy otrzymałam pozwolenie, by wejść.

Minął niemal rok, od kiedy widziałam Ministra z tak bliska. Było to na ostatnim festiwalu równonocy. Znowu byłam w szoku. Gdy po raz pierwszy usłyszałam, jak mówi, zastanawiałam się, czy to możliwe, że naprawdę miał dwa tysiące lat. Jedno spojrzenie na niego i wszystkie moje wątpliwości zostały rozwiane.

Nie, nie miał zmarszczek na twarzy, poza kilkoma głębszymi liniami przy kącikach oczu. Generalnie wyglądał na zmęczonego – wszystko w nim było zbyt ostre i gładkie jednocześnie. Jego skóra była cienka jak papier, żyły mu się uwydatniały tam, gdzie skóra napinała się przy kościach policzkowych. Usta miał napięte, a w oczach martwe białko. Mówi się, że krew wampirów ciemnieje wraz z wiekiem, więc Minister musiał mieć ją już czarną.

Powstał, gdy weszłam.

– Oraya. Córka Zrodzonego z Nocy. Witaj.

Mięśnie wokół jego ust się naprężyły, był to jednak ledwo widoczny, drobny ruch. Pasował do kogoś, kto nie znał człowieczeństwa od dwóch tysięcy lat.

Mimo wszystko bez problemu przywołał z pamięci moje imię.

Zadrzałam.

– Co chciałabyś zaoferować Nyaxii dzisiejszego wieczoru? – zapytał.

Zachowałam obojętny wyraz twarzy.

– Ty... – Musiałam się poprawić. – Nyaxia odrzuciła wniosek o wycofanie się z turnieju. Jednego z moich sojuszników.

Twarz Ministra pozostała niezmienna.

– Nyaxia ma swoje powody.

– Przychodzę do ciebie, Ministrze, by zapytać, czy jest coś, co można zrobić, by zmieniła zdanie w tej kwestii.

Minister utkwiał we mnie wzrok. Jego oczy – nieruchome i mlecznobiałe – nie pozwoliły mi śledzić ich ruchu, ale wiedziałam, że mnie oceniał. Jak nienawidziłam tego sukinsyna. Wszystko w nim mnie odtrącało.

– Czy jest *coś* – powiedziałam z naciskiem – cokolwiek, co mogę zaoferować Nyaxii, co mogłoby uchronić przed utratą tego uczestnika?

Minister milczał dłuższy moment i stwierdziłam, że może źle go oceniłam. Kiedy postąpiłam do przodu, jego nozdrza się poruszyły.

No i proszę. Głód.

– Może ofiara krwi wystarczy – odparł. – By zrekompensować utratę ofiary krwi uczestnika, który ma się wycofać.

Każda moja cząstka wzbraniała się przez sposobem, w jaki na mnie patrzył. Pomimo moich starań tętno mi przyspieszyło. Musiał to wyczuć, ponieważ zauważyłam, jak jego suchy jasny język wychynął spomiędzy warg.

– W takim razie niech będzie mała ofiara krwi. – Z trudem wydusiłam te słowa. – Ludzkiej krwi.

– Ludzkiej? – Minister wydał z siebie dziwny odgłos, który przypominał śmiech kogoś, kto nigdy wcześniej się nie śmiał. Zaraz jednak ten groteskowy uśmiech zniknął, gdy wyciągnęłam ku jego biurku nadgarstek zyłami w górę.

Jego powieki zadrzały. Żądza. Czysta żądza.

Położył swoją dłoń pod moją i zrobił z niej kołyskę. Jego skóra była zbyt gładka i zbyt lodowata. Odpowiadała temperaturze pomieszczenia.

– Ach, to jest zdecydowanie lepsze – wymruczał.

Nie mogłam uwierzyć, że to robiłam. Moja druga ręka odszukała broń i spoczęła na niej. Tak na wszelki wypadek.

– Pij – powiedziałam.



Kiedy tylko zamknęłam drzwi naszej komnaty, opadłam na fotel. Mój nadgarstek kłuł, a ból palił ramię. Zaoferowałam mu prawą rękę – moją niedominującą – ale była to ta sama ręka, na której miałam poparzenia po nocnym ogniu, co spowodowało, że teraz była ona jednym wielkim bólem. W głowie mi szumiało, a zmysły pokryła trucizna.

Raihn wciąż nie wrócił, co mi się nie podobało.

Zapadłam się głębiej w fotel i rozejrzałam po pokoju. Mische spała, ale było widać, jak niewielkie drgnięcia bólu przechodziły przez jej twarz.

Podjęłam pragmatyczną decyzję.

Jeśli Mische by zginęła, Raihn nie mógłby dalej brać udziału w Kejari. A ja z kolei nie mogłam powiedzieć Vincentowi, że nie byłabym w stanie odebrać jej życia bez wzbudzenia w nim wątpliwości. Zrobiłam to, co potrafiłam zrobić.

Wmawiałam to sobie, podczas gdy mój wzrok zaczął blaknąć wokół śpiącej postaci Mische.

Wmawiałam to sobie, nawet jeśli wiedziałam, gdzieś w głębi serca, że nie byłabym w stanie wbić noża w jej serce.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

– ...wołałam i wołałam i nie przyszedł.

Zamrugałam, by pozbyć się resztek snu. Szyja mnie bardzo bolała, przekrzywiona pod niewygodnym kątem na oparciu fotela.

Po drugiej stronie pokoju szeroka sylwetka siedziała przed łóżkiem Mische, oświetlona lampionami.

– Dlaczego nie przyszedł? – szlochała bez przerwy. – Nie mam od niego odpowiedzi. Nie mogę...

– Nie martw się tym teraz – mruknął Raihn.

– Jak mogę się teraz martwić czymś innym? Jak mogę...

– Martw się swoim zdrowiem. Odpoczywaj. Możesz to zrobić?

– Ja...

Postać przeniosła się i sięgnęła ręką ku jej twarzy – by prawdopodobnie użyć magii – po czym Mische zamilkła.

Walczyłam z sennością. Jad wampirzy był jak środek uspokajający, a ponieważ Minister był bardzo stary, jego jad wywołał u mnie mocny efekt.

Zignorowałam wirujący pokój i zmusiłam się, by usiąść. Raihn wstał, bardzo powoli. Coś dziwnego było w tym ruchu, ale nie mogłam dojść, co dokładnie. Odwrócił się, wystarczająco, by pokazać mi profil swojej twarzy. Przysunął palec do ust i kiwnął w stronę drzwi do sąsiedniego pokoju.

Kiedy wstałam, podłoga przekrzywiła się tak gwałtownie, że byłam pewna, że się przewrócę, ale udało mi się podążyć za Raihnem do łączonej sypialni. Gdy zamknęłam za sobą drzwi, szok wyrwał mnie z otępienia.

Tył koszuli Raihna, niegdyś z białego lnu, był przesiąknięty krwią. Plamy rozkwitły na jego plecach jak kwiaty. Niektóre były niemal czarne, podczas gdy inne miały formę sztywniejących pasków koloru bordowego i świeżych ciemnoszkarłatnych plam. Pokrywały całą jego sylwetkę, przylepiały tkaninę do jego skóry i moczyły końcówki włosów.

– Niech to szlag – wyszeptałam.

Wydał z siebie lekkie sapnięcie, po czym zeszywniał, jakby ten ruch go zabolął.

– Dokładnie.

– Co... Co się stało?

Co za idiotyczne pytanie. Jakbym nie wiedziała, co mogło się stać Raihnowi podczas przesłuchania.

Stał dalej odwrócony do mnie plecami. Podniósł ręce, jego ruchy nadal były sztywne i nienaturalne.

– Jak Mische? – zapytał.

– Bez...

Jak gdyby miał nadzieję, że odpowiedź go rozproszy, zdjął koszulę przez głowę.

– ...zmian. – Głos mi się załamał.

Ciało Raihna zeszywniało z bólu na kilka sekund.

– Szlag... – szepnęłam.

Zgodził się syknięciem.

Tyle krwi było na jego plecach, że nie wiedziałam, na czym powinnam najpierw skupić wzrok. Surowe oświetlenie pochodzące z lampionów przywróciło mnie do rzeczywistości, gdy pomarańczowe światło określiło kontury brutalnych ran. Dwie były symetryczne, biegły po obu stronach jego pleców od krzywizny ramienia, nad łopatkami, aż do wgłębien u podstawy kręgosłupa. Były głębokie, skóra otwierała się warstwa po warstwie. Mogłabym przysiąc, że dostrzegłam ruch mięśnia, gdy poruszył plecami.

To nie był pojedynczy cios. Nic szybkiego. Nie, skóra została dokładnie oddzielona, dopracowana sieć ran falowała we wszystkich kierunkach rozcięć.

Kolejne znamię znajdowało się w centrum jego pleców – duży płat w kształcie diamentu nakrapianego mięsa na ramionach – schodziło niżej wzdłuż jego kręgosłupa. Krew pokrywała tak dużo, że nie byłam pewna, czy to była część świeżych ran, czy coś starszego.

Brakowało mi słów, nawet jeśli nie powinno. To nie pierwszy raz, kiedy widziałam efekt tortur. Wiedziałam, że Zrodzeni z Nocy strażnicy byli bezwzględni, trenowani do zadawania bólu, jakby było to ich codziennością. Mimo to na ten widok uderzyła mnie otepiająca błyskawica wściekłości. Wściekłości i dziwnej zdrady na myśl o jednym zdaniu. *Powiedziałam mu, żeby go nie złamał.*

A Vincent spojrzał mi w oczy i się zgodził.

Jak stare były te najświeższe rany? Ile zostało zadanych po mojej rozmowie z nim? Czy wiedział, że to, co mi wówczas mówił, było kłamstwem?

Te pytania mnie zszokowały, mocno, jedno po drugim, jak uderzenia strzał. Natychmiast głos z tyłu głowy wygładził najostrzejsze z oskarżeń: *Miał milion innych zmartwień na głowie; nie miał z tym nic wspólnego; musiał uczynić to, co powinien, dla swojego królestwa.*

Jednak głęboko, głęboko w sercu, tam, gdzie nie sięgał wzrok, czułam to. To pęknięcie.

– Twoje skrzydła – wydusiłam. – Czy one...

Raihn posłał mi przez ramię słaby uśmiech.

– To stało się dlatego, bo odmówiłem ich pokazania. Podjąłem dobrą decyzję, nie uważasz?

Ulga trwała krótko.

Tak, wciąż miał skrzydła, ale naznaczone ranami w miejscu, w którym łączyły się z ciałem... Dopóki się nie zagoją, użycie ich będzie piekłem, jeśli w ogóle będzie to możliwe.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– To trzeba opatrzyć – powiedziałam.

– Mische ma torebkę z zaopatrzeniem w plecaku. – Zaczął się odwracać, ale skrzywił się i posłał mi przepaszające spojrzenie. – Mogłabyś...

Kiwnęłam głową i poszłam do drugiego pokoju, złapałam plecak Mische i wróciłam. Raihn był dokładnie w tym miejscu, w którym go zostawiłam, jakby choć najmniejszy ruch był dla niego problemem.

– Mógłbyś... Mógłbyś może uklęknąć przed łóżkiem? – zapytałam. – Albo nachylić się nad nim.

– Sugerujesz, że nie dam rady utrzymać się pionowo, księżniczko?

Niczego nie sugerowałam. Byłam pewna, że gdy zacznę go opatrywać, zegnije się wpół i wyrwie wszystkie szwy. Nawet jeśli miał tolerancję bólu na poziomie posągu. Posąg na jego miejscu by się rozsypał.

Najwyraźniej wyraz mojej twarzy się zmienił, ponieważ Raihn parsknął śmiechem.

- Dobra, niech ci będzie. Masz rację.
- Mogę spróbować poszukać jakiegoś alkoholu – zaproponowałam.
- Wyślę cię potem do ludzkich dzielnic po to paskudne piwsko.
- Zasłużyłeś – powiedziałam i tak też myślałam.

Zachichotał znowu. Matko, niemal było mi go szkoda, że tak się śmieje. Powoli się odwrócił.

Wyglądało na to, że tortury zostały ograniczone do pleców. Otrzymał małą litość. Na torsie nie miał zadrapania, choć jego skórę naznaczały niewielkie blizny, wyraźnie starsze niż te z dzisiejszej nocy. Ciepłe światło rozlało się po spuchnięciach i dolinach jego ciała. Oświetliło jego muskularną formę i podkreśliło każdą wypukłą bądź wklęsłą bliznę.

W każdym innym momencie mogłabym zamarzyć, żeby zatrzymać czas. Wyglądał jak obraz. Piękny, ale także interesujący, z każdym fragmentem skóry szepczącym inną historię, inną przeszłość.

Uderzyło mnie dziwne, irracjonalne i przytłaczające pożądanie, by zbliżyć się do niego, by go dotknąć. Za chwilę jednak się wycofało.

Odrzuciłam te myśli.

- Uklęknij tutaj. Siądę za tobą.

Posłuchał. Każdy jego ruch był powolny i sztywny. Było to tak boleśnie inne od jego typowej gracji. Ukląkł na skraju łóżka i pochylił się nad nim, ręce skrzyżował na narzucie.

Usiadłam za nim. Z bliska rany wyglądały jeszcze gorzej.

Wypuściłam ze świstem powietrze przez zaciśnięte zęby. Jak zacząć oczyszczanie?

- To brzmi obiecująco – skomentował Raihn.
- Po prostu... Przepraszam za to, co zaraz zrobię.
- Cieszę się, że twoje łóżkowe maniery są tak delikatne, jak się tego spodziewałem.

Nie rozśmieszyło mnie to.

Poszperałam w pudełku z lekami. Mische miała tu wszystko – preparaty do dezynfekcji, igły, nić chirurgiczną, bandaże, a nawet małe szyny. Wyciągnęłam środek do dezynfekcji, miałam nadzieję, że został w jakiś sposób zaczarowany.

- Chcesz otrzymać ostrzeżenie? – zapytałam.
- Prawdopodobnie nie... SZLAG.

Zacisnął dłonie na narzucie, kiedy zdezynfekowałam mu plecy.

- Domyśliłam się, że w takim razie nie będziesz się tego spodziewać.
- Dobrze się domyśliłaś – burknął.

Przygotowałam igłę z nicią i oceniłam jego rany. Czułam, że przygotowywałam się do całkowicie innej próby.

Próby. Na myśl o tym słowie ścisnęło mi płuca. Wampiry leczyły się szybciej od ludzi, ale... jak mógł walczyć w takim stanie?

– Musisz do mnie mówić – odezwał się Raihn. – Cała konwersacja. Wtedy będziesz cierpieć tak jak ja.

Parsknęłam na to śmiechem, choć szybko spróbowałam to zamaskować.

– Mam cię zszywać i jeszcze z tobą rozmawiać?

Powiedział, że nie chciał ostrzeżenia, więc żadnego nie otrzymał. Zaczęłam go zszywać.

Jego ciało się napięło. Wzmocnił uścisk na narzucie, w wyniku czego ta się przesunęła.

– Wszystko dobrze? – zapytałam.

– Zdefiniuj „dobrze”.

– Czy żyjesz.

Prychnął.

– Cieszę się, że masz tak duże oczekiwania.

Nie chciałam pytać. Ale musiałam, nawet jeśli z góry nienawidziłam odpowiedzi, która miała nadejść.

– O co cię pytali?

– Pytali. W twoich ustach brzmi to tak uprzejmie... mmm... – syknął, kiedy założyłam nowy szew. – Chcieli wiedzieć, co wiedziałem o ataku. – Zaczął naśladować głos Jesmine. – Czy współczułem całej sprawie dotyczącej Rishan? Czy znałem napastników? Czy kiedykolwiek przywołałem nocne demony? Czy miałem pojęcie o organizowanym buncie Rishan? W większości chcieli wiedzieć, czy to ja zniszczyłem Księżycowy Pałac.

Zniszczyłeś? – prawie zapytałam. Słowa Vincenta zadzwoniły mi w uszach. Nie miałam powodu, by ufać Raihnowi.

Nie powiedziałam jednak tego na głos. Nie zrobiłam tego, ponieważ wiedziałam, że odpowiedź brzmiała „nie”, i wiedziałam, że mu ufałam. Nawet jeśli Vincent uważał mnie przez to za głupią.

– Powiedziałeś, że nie sądzisz, żeby to była robota Rishan.

– Nie. Nie sądzę.

– Dlaczego?

– Rishanie nie są już zorganizowaną grupą. Twój szanowny ojciec wykonał wspaniałą robotę, gdy wybijał ich przez ostatnie stulecia. Nie byliby w stanie zebrać się na tyle,

żeby zrobić coś takiego.

Oni. Nie my. Z drugiej strony nie słyszałam, żeby Raihn mówił o jakimkolwiek innym uczestniku z klanu Rishan, więc nie odbiegało to od normalności. Wampiry były terytorialnymi i nieprzyjaznymi istotami. Większość Hiajów też ze sobą nie rozmawiała.

– Powiedziałem im to – zaśmiał się Raihn, po czym spiął się i ponownie zacisnął palce. – Najwyraźniej mi nie uwierzyli.

Zmierzyłam wzrokiem rany znajdujące się przede mną. To prawda. Nie wierzyli mi godzinami. Nie wierzyli mi przez tyle czasu.

Postanowiłam przekazać mu pozytywne wieści, jako że zapewne ich potrzebował.

– Minister zaakceptował wniosek Mische.

– *Co zrobił?* – Spiął się, jakby instynktownie chciał się obrócić, by na mnie spojrzeć, ale musiał się powstrzymać.

– Nyaxia musiała zmienić zdanie.

Wypuścił z ust długie, długie westchnięcie ulgi. Tak mu ulżyło, że przy następnych szwach nawet nie drgnął.

– Ty to zrobiłaś – powiedział w końcu.

Zamrugałam. Miał o mnie lepsze zdanie, niż myślałam, skoro doszedł do tego wniosku tak szybko. To było... wzruszające.

– Nie – odparłam. – Może zrozumieli, że miało to jednak sens.

– Jesteś beznadziejną aktorką. – Usłyszałam uśmiech w jego głosie. Na tyle ciepły, żebym rozluźniła uchwyt na nici w prawej ręce. Prawie tak ciepły, bym mogła zapomnieć dotyk ust na mojej skórze.

– Możemy ją dokądś zabrać, gdy zajdzie słońce – powiedziałam.

– Coś wymyślę. Miejmy nadzieję, że będzie jeszcze zbyt wyczerpana, żeby się kłócić.

Jeszcze trzy szwy. Musiałam zrobić sobie przerwę, by wytrzeć ręce o porzuconą koszulę Raihna i pozostawić czerwoneczarne plamy na jej ostatnich czystych fragmentach.

– Od bardzo dawna nie widziałem jej w takim stanie – powiedział łagodnie Raihn, jakby nie zamierzał podejmować tego tematu.

– Jej rany już zaczęły się goić.

– Nie o to się martwię. Tylko...

Zawahał się. W tej ciszy pełne bólu słowa Mische rozbrzmiały w mojej głowie.

Opuścił mnie. Wołałam i wołałam i nie przyszedł.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że nie miała wtedy na myśli Raihna.

– Wiesz, co próbowała zrobić, kiedy ją znaleźliśmy? – zapytał. Głos miał przepełniony cichym gniewem. – Próbowała wezwać Atroxusa. Jej magia ją zawiodła i nie mogła jej odzyskać. Była tam z tymi demonami i tym pieprzonym nocnym ogniem i błagała swojego boga o pomoc. Gdyby tam zginęła, ostatnim, co by usłyszała, byłoby jego milczenie.

Kiedy nałożyłam następny szew, Raihn znów zacisnął dłonie na narzucie.

– Powiedziałem jej, że tak się może stać. Cierpiała za każdym razem, gdy używała tej magii. A ja mówiłem, że pewnego dnia przestanie jej odpowiadać. Że bóg słońca nie będzie bez końca pozwalał jednemu z *dzieci Nyaxii* – wypluł te słowa z obrzydzeniem – sięgać po swoją moc. Ale ona...

Poparzenia na ramionach Mische. Lata poświęcenia. Nagle to wszystko miało smutny, nędzny sens.

– Jakim cudem była w stanie jej używać? – zapytałam. – Tej magii?

– Była kapłanką. Przedtem. Kiedy była jeszcze człowiekiem.

Uniosłam brwi.

– Kapłanką Atroxusa?

– Mhm. W Pachnai. Była tam na jakiejś misji. Niesamowite, nie? – Krótki śmiech, przerwany skrzywieniem się. – Misjonarze przybywający głosić kazania pieprzonym wampirom. Wtedy też to się stało. Ktokolwiek ją przemienił, zostawił ją na pewną śmierć. Pewnie zorientował się, że jak przeżyje, to zyska miłą, nieśmiertelną małą służkę, a jak nie, to przynajmniej porządnie się naje. Uznał, że sprawiała zbyt dużo problemów, gdy zachorowała, więc ją zostawił. Nie wiedziała nawet, co jej robił.

Już dawno przyzwyczaiałam się do bezpodstawnej brutalności wampirów. Wciąż jednak mdliło mnie na myśl o tym, przez co Mische – ledwie starsza od nastolatki, będąca w obcym kraju – musiała przejść.

Ponownie pomyślałam o wargach Ministra na mojej skórze przed kilkoma godzinami. Pomyślałam o pocałunku na mojej szyi, zębach, bólu. Wtem zostałam przywrócona do rzeczywistości, kiedy Raihn zaklął, ponieważ ukłułam go trochę za mocno.

– Przepraszam. – Skupiłam się. – Kto? Kto to był?

– Gdybym tylko wiedział. Nawet nie wiem, do jakiego domu należy. Nie chce mi powiedzieć. Gdybym się tego dowiedział...

Wypuścił powietrze, które poniosło ze sobą niewerbalną wiązaną obietnic.

Cholera, pomogłabym.

– To, co nie daje mi spokoju – kontynuował Raihn – to to, że ten sukinsyn miał gdzieś to, że odbierał jej dosłownie wszystko. Nie obchodziło go, żeby zawlec ją do jakiejś cywilizacji, zanim zostawił ją na śmierć. A teraz...

A teraz ostatni ślad jej człowieczeństwa zniknął.

– Nie obchodzi ich to – powiedziałam łagodnie. – Nigdy ich nie obchodziło.

– Nie. Nigdy ich nie obchodziło. A czasami... – Spiał się, być może przez szew. A może nie. – Czasami wstyd mi przyznawać się do bycia jednym z nich.

Nie chcę widzieć, jak stajesz się jedną z nich – powiedziała do mnie Ilana.

Do tej pory – do tego konkretnego momentu – nie pomyślałam o tym, jak o czymś, co się zostawia. Nie, dopóki nie usłyszałam tego cierpienia w głowie Raihna, które nie miało nic wspólnego z ranami na jego plecach.

– Jakie to uczucie? – zapytałam. – Być Przemienianym?

– Na cycki Ix. Twoje łóżkowe maniery są naprawdę beznadziejne, księżniczko.

Domyślałam się jego miny. Zacisnęłam usta, niemal w uśmiechu.

Nie sądziłam, że odpowie, ale powiedział:

– Czujesz, że umierasz. Nie pamiętam z tego wiele.

– Kto...?

– *To* jest pytanie, na które nie mogę teraz udzielić odpowiedzi. – Po części żart, po części upomnienie. Może i słusznie.

Skończyłam go szyć, po czym zaczęłam podziwiać swoją robotę.

– Jak to wygląda? – zapytał.

– Paskudnie – odpowiedziałam szczerze.

– Świetnie – westchnął.

Krew wciąż pokrywała resztę jego pleców. Wzięłam ręcznik i delikatnie wytarłam ją z jego ramion, boków i w końcu zaczęłam zbliżać się do środka kręgosłupa.

Tam zatrzymałam się z uniesionym ręcznikiem. Miałam rację, znamię w centrum jego pleców było blizną, dużą, znacznie starszą od dzisiejszych. Przypominało wielki trójkąt w górnej części jego pleców, który ciągnął się w dół, do ich centrum. Może poparzenie?

– Skąd to masz?

– Nie, nie, nie. Tak to nie działa. – Wstał z jękiem bólu. – Nie muszę mieć już odwróconej uwagi, co oznacza, że nie muszę odpowiadać na twoje pytania.

Również się podniosłam. Skrzywiłam się, kiedy rozprostowałam sztywne palce prawej ręki. Odwrócił się do mnie z uniesionymi kącikami ust. Wyraźnie chciał mnie obrazić, ale wtem zauważył, jak drapię mój zabandażowany nadgarstek. Jego wyraz twarzy się zmienił.

Uśmiech wyparował.

– Co to?

– Nic. Małe skaleczenie.

– Co się stało, Oraya?

Intensywność w jego głosie dotknęła mnie w miejscach, gdzie się tego nie spodziewałam.

– Nic się nie stało – odparłam i schowałam rękę. – To z ataku.

Przeskanował moją twarz, nie poruszając powiekami. W świetle ognia jego oczy wyglądały na bardzo czerwone i odbijał się w nich pomarańcz znajdujących się za mną lampionów. Nie uwierzył mi, ale nie przyznał się do tego.

Sięgnęłam po plecak z lekami i wyciągnęłam z niego szklaną buteleczkę pełną tabletek. Złapałam jego dłoń i położyłam na niej fiolkę.

– Masz. Nie uleczą cię, ale przynajmniej uśmierzą ból na tyle, żebyś mógł spać.

Nie wiedziałam, dlaczego nie zabrałam ręki. I dlaczego nie cofnęłam się, nawet jeśli znajdował się tak blisko mnie. Tak blisko, że otoczyło mnie ciepło jego ciała.

Przełknęłam ślinę.

– Przepraszam. Przepraszam, że ci to zrobił.

– To nie twoja wina.

Mimo wszystko czułam, że powinnam przeprosić, nawet jeśli nie wiedziałam dlaczego.

Dalej nie poruszyłam się, gdy powiedział:

– Powiedz mi szczerze, Oraya. Chcesz zmienić partnera na Próbę Kwadry?

Wiedziałam, dlaczego pytał. Zostaliśmy we dwoje. Jego plecy były poranione. Nie mógł używać skrzydeł.

– Możesz znaleźć kogoś innego – kontynuował. – Wampiry zginęły w ataku. Zostawiły swoich partnerów. Zrozumiem.

Zaskoczyło mnie, że moja odpowiedź była przejrzysta i natychmiastowa.

– Za późno na to. Jesteś na mnie skazany.

Obserwowałam, jak kąciki jego ust się unoszą. Ten uśmiech wyglądał na szczery. Inny od jego uśmieszków.

– Człowiek i kaleka – mruknął. – Inni powinni trząść portkami z przerażenia.

Ku mojemu zaskoczeniu odpowiedziałam na jego żart.

– Jeśli im życie miłe.

Moja ręka nadal spoczywała na zrogowaciałej dłoni Raihna. Jego palce otoczyły moje, jak gdyby w milczącej zgodzie.

Jeszcze jeden dzień.

Kiedy skończy się Próba Kwadry, staniemy się wrogami. Może to było coś w rodzaju intymności, ale wkrótce będziemy próbować się zamordować.

Nie zapomniałam o tym.

Dzisiejszej nocy jednak dusza mi ciążyła: torturami Raihna, przeszłością Mische, kłamstwami Vincenta i mrocznymi wspomnieniami ust Ministra przy mojej skórze. Może i byłam słaba. Może i byłam głupiutka.

Ale mimo to wiedziałam, że powinnam się wycofać, i nie zrobiłam tego.

Nie, upijałam się dotykiem Raihna jak ostatnim łykiem wina. Był to mój tajemny, haniebny występ.



Mische chciała zostać. Nawet półprzytomna i majacząca, protestowała, kiedy Raihn wyniósł ją z Księżycowego Pałacu. Powiedział mi, że miał przyjaciół, którzy zabiorą ją z Sivrinaju i zajmą się nią, aż wyzdrowieje. W głębi duszy cieszyłam się, że nie tylko opuszczała Kejari, ale i Sivrinaj. Nie mogłam pozbyć się przeczucia, że sytuacja tutaj będzie się tylko pogarszać.

Była przytomna, kiedy się z nią zęgnalam. Lekko ścisnęła moją rękę, gdy się zbliżyłam. Pozwoliłam jej na to, mimo że nie znosiłam pożegnań.

– Dbaj o siebie – powiedziałam jej.

– Ty też. Pracuj nad tą nieśmiałą magią. – Jej słaby uśmiech złagodniał. – I... miej na niego oko, dobrze?

Nie musiała precyzować, o kogo jej chodziło.

– Zgrywa twardziela, ale potrzebuje kogoś. A ciebie lubi.

Nie lubi – chciałam powiedzieć. I nie powinien lubić. Najgorsze, co miałby teraz zrobić, to mnie polubić.

Zamiast tego zrobiłam, co w mojej mocy, by przekazać Mische uśmiech pełen komfortu ze słowami:

– Odpoczywaj. Wracaj szybko do zdrowia.

W odpowiedzi otrzymałam od niej równie słabe, acz weselsze, machnięcie ręką.

– Do zobaczenia wkrótce.



Zostaliśmy wezwani zaledwie kilka godzin później. Nie rozmawialiśmy ze sobą po drodze. Bo o czym? Jedynie kiwnęliśmy sobie głowami na znak ponurej akceptacji zadania.

Wszyscy staliśmy w wielkiej sali w niezręcznej ciszy. Jedynymi odgłosami były przyciszone głosy pomiędzy partnerami. Rozejrzałam się po pokoju, by zapamiętać, kto z kim połączył siły. Trzech uczestników z Domu Krwi stało razem. Obok nich była Angelika ze swoim partnerem, niewielkim posiadaczem magii krwi o imieniu Ivan. Ibrihim zdołał znaleźć sobie partnera w Zrodzonym z Cienia, który również został poważnie ranny w poprzedniej próbie. Najwyraźniej nikt inny ich nie chciał. Obaj nie wyglądali na zadowolonych z tego wyboru.

Nie byli jedynymi, którzy zostali zmuszeni do dołączenia do kogoś z obowiązku. Czwórka innych Rishan dołączyła do siebie, co najpewniej było wynikiem nagłej decyzji, kiedy zostali porzuceni przez swoich partnerów po torturach Jesmine. Obserwowałam ich kątem oka, lecz starałam się tego nie pokazywać. Ścisnęło mi żołądek.

Ich plecy były zasłonięte zbrojami, ale poruszali się sztywno, więc mogłam sobie wyobrazić, jak wyglądali. Mimo to nie wydawali się cierpieć tak jak Raihn, który nawet nie mógł wcisnąć się w swoją zbroję. Musiałam ubrać go w skórę, podczas gdy kłął przez zęby i ścisnął krawędź biurka tak mocno, że miałam wrażenie, że w każdej chwili je zmiążdży. Teraz to ukrywał, każde skrzywienie się, każdy powolny ruch. To nie był czas, by okazywać słabość.

Byłam przecież tego świadkiem.

Wampiry szybko się regenerowały, ale jego rany zagoiły się nieznacznie. Byłam tym zawiedziona, ale nie zaskoczona. Zrodzeni z Nocy żołnierze mieli w rękawach różne asy: truciznę, magię i cokolwiek innego, co miałoby im pomóc zadać ból odpowiedni do wymagań zadania. Przypadek Raihna najwyraźniej wymagał wszystkiego.

Podczas gdy obserwowałam pozostałych Rishan, nie mogłam się powstrzymać przed myślą, czy był w gorszym stanie niż oni. Czy był trzymany dłużej, torturowany bardziej z uwagi na powiązanie ze mną.

Szturchnął mnie w ramię i wyrwał z rozmyślań.

– Jesteśmy sławni – wymamrotał. Wskazał na drugą stronę pomieszczenia, skąd wpatrywało się w nas kilku uczestników z klanu Hiajów.

Byliśmy przecież jedną z... niecodziennych par.

– Zżera ich zazdrość – odparłam szorstko, a on się zaśmiał.

– No to im pokażemy.

Matko, miałam taką nadzieję.

Czekaliśmy w ciszy, gotowi na przeniesienie się w każdej chwili. Zamiast tego do sali wkroczył sznur akolitów Nyaxii. Każdy z nich dzierżył srebrny kielich. Zatrzymali się przy każdym komplecie sojuszników i zaoferowali im po kielichu.

Nie wypowiedzieli słowa – ci przed nami nawet nie unieśli wzroku – ale milcząca wiadomość była jasna: pij.

Raihn pierwszy wziął kielich. Skrzywił się z obrzydzeniem, gdy pociągnął łyk.

– Ohydne, ale nie trujące – odrzekł po chwili, po czym przekazał mi naczynie.

Płyn był ciemnoczerwony, niemal czarny, i gęsty. Wydobywał się z niego słaby dym. Śmierdział lekką stęchlizną. Nie przychodziło mi na myśl, jaka miała być jego rola. Przystudiowałam każde Kejari i żadne nie rozpoczynało się w ten sposób.

Upiłam łyk. Fuj. Raihn miał rację. To było ohydne.

Zerknęłam na niego po oddaniu akolicie kielicha i kącik jego ust się uniósł.

– Powodze...



Pióra.
Pióra były wszędzie. Czarne, duszące, tak ciemne, że wszystkie kolory zwijały się w nich i ginęły.

Wszystko było odległe i drętwe. Nie mogłam zebrać myśli, by móc to porządnie przetworzyć.

Pióra się zmieniły. Sączyło się przez nie światło. Albo... nie, nie światło. Oczy. Żółte oczy. Straszne, okrutne żółte oczy.

Zamrugałam i wtem oczy stały się twarzą, która patrzyła na mnie z góry. Był to mężczyzna o surowych rysach, zadbanej brodzie i długich czarnych włosach. Falowały i łączyły się ze skrzydłami, które otoczyły nas oboje.

Nigdy wcześniej nie widziałam tej osoby. A mimo to jej widok przeppełnił mnie paralizującym strachem.

Ponownie zamrugałam i twarz skrzydlatego mężczyzny została zastąpiona inną. Tę znałam. Znałam każdy jej skrawek. Udawałam, że jej nie widziałam za każdym razem, gdy zamykałam oczy.

Mój były kochanek nachylił się ku mnie, tak blisko, że znajomy chłodny oddech musnął mi policzek.

– Tęskniłaś za mną? – wyszeptał.

Opierałam się, ale nie mogłam się poruszyć.

Zamrugałam. Dwie twarze złączyły się, zmieniały się z każdym uderzeniem mojego spanikowanego serca.

Postacie chwyciły moją rękę, przycisnęły ją do ich klatki piersiowej, do otwartej rany w samym jej centrum. Przybliżyły się. Ich usta dotknęły mojego ucha.

– Tęskniłaś?

Ich gorąca krew była na mojej ręce, spływała po przedramieniu, gdy wyrывałam się rozpaczliwie i nie miałam dokąd uciec.



Moja ręka była ciepła i mokra. Nie panowałam nad sercem. Ostry ból szarpnął plecami. Znajdowałam się w grobowej ciemności, a mimo to tak wiele mnie otaczało – jakby dwa światy ze sobą kolidowały i karmiły się przeciwstawnymi zmysłami.

Oraya.

To było chore. Coś było bardzo nie tak.

Oraya! Uspokój się. Oddychaj.

Nawet moje własne myśli się zagubiły, jakby mój umysł stał się otwartym, przepastnym labiryntem, w którym nie potrafiłam nawigować. Coś tu jeszcze było, coś...

ORAYA. USPOKÓJ SIĘ, DO CHOLERY.

Było to tak głośne, że zszokowało moje myśli, które umilkły. Głos Raihna. To był głos Raihna, odbijał się po mojej czaszce.

Było to jednak... w mojej głowie. Nie przy uszach.

Oddychaj, Oraya. Dotyczy to nas obojga. Musimy... Musimy się uspokoić. Dobrze?

Przez moment kwestionowałam swoje zdrowie psychiczne.

Po kręgosłupie przebiegł mi dreszcz cierpkiego rozbawienia – niewerbalny dźwięk śmiechu – i było to tak dziwaczne doświadczenie, że prawie znowu wprawiło moje ciało w wirowanie.

Nie jesteś w tym sama, księżniczko.

Wyciągnęłam ręce przed siebie. Nic nie widziałam, ale leżały płasko na gładkim, ząbkowanym kamieniu. Zimna, nieugięta stanowczość uspokoiła mnie.

Pomimo to, nawet jeśli moje dłonie były teraz przyciśnięte do ściany, czułam coś jeszcze – czułam, że były zaciśnięte wokół rękojeści miecza. Mięśnie mi się naprężyły, by go unieść, po czym w moje plecy uderzyła fala bólu.

Moje ręce były tu.

Moje ręce były tam.

– To ty – wysapałam. – Czuję *ciebie*.

Mój głos wydawał się matowy i płaski w porównaniu do tego w mojej głowie.

Tak – odpowiedział Raihn.

Połączenie umysłów. Wywar. To musiało być zaklęcie. Do stworzenia takiego połączenia potrzeba było rzadkiej, potężnej magii, ale domyślałam się, że kościół Nyaxii posiadał wszystkie zasoby, by niemożliwe uczynić możliwym.

Niech mnie diabli pochłoną.

Kolejna przedziwna wibracja przeszła przez mój kręgosłup. Zadrżałam.

Nie rób tego.

Czego? Mam się nie śmiać?

To dziwne uczucie.

Śmiech jest dziwnym uczuciem? To jest dla ciebie dziwne?

Dziwne to za mało powiedziane. Każda cząstka mnie zderzała się z niechcianą obecnością w moich myślach. Każdy nerw i mięsień krzyczał przez rzucały w nie dodatkowy zestaw zmysłów.

Szlag, Oraya, jesteś taka spięta cały czas?

Byłam zbyt zawstydzona, by przyznać, że byłam taka nazbyt często.

W wyjątkowych sytuacjach – odparłam zamiast tego. *Nie jesteś wcale lepszy.*

To prawda. Jego niepokój był tak silny jak mój. Był inny – bardziej przypominał silny prąd podwodny niż oszałamiające fale – ale każde jego uderzenie było szokujące.

Skoro było to tak przytłaczające w tym momencie, to jak to będzie wyglądało podczas walki? Prawie mnie mdliło na tę myśl. Dobiegło do mnie echo zmartwienia Raihna.

Ale musiało się to udać. Połowa uczestników dzisiaj umrze. Musieliśmy się stąd wydostać.

Przejechałam dłońmi po ścianie i poczułam, że Raihn robił to samo, gdziekolwiek był. Tutaj był gładki kamień, tam również.

Cela. Byliśmy w celach.

To miało sens. Nyaxia i Alarus zostali uwięzieni przez bogów Białego Panteonu – była to kara za ich nielegalny związek. Nyaxia była wówczas niższą boginią, a Alarus był osłabiony do ułamka swojej pierwotnej mocy, ale to wciąż dowodziło, że była to niemądra decyzja. Razem wywalczyli wolność, wymordowali dokładnie połowę strażników Extrynu – legendarnego więzienia Panteonu.

To musiał być nasz Extryn.

Gdy wyjdziemy, będziemy pewnie zmuszeni walczyć razem ze wszystkim, co się tam znajdzie – powiedziałam Raihnowi, gdy oceniliśmy ściany naszych zamknięć. *Otwórzmy*

to.

Kiedy się odnajdziemy, będziemy nie do zatrzymania. Byłam tego pewna.

Jestem wzruszony, że tak uważasz – odpowiedział Raihn na tę myśl. Nie byłam pewna, co myśleć o tym, że faktycznie był, istniał i że to czułam.

Tutaj. Zobacz.

Koniuszek mojego palca uderzył w płat metalu wysoko w kącie mojej celi. Nacisnęłam go i kamień się przesunął.

Drzwi otwały się i wpuściły do środka falę zimnego światła pochodzącego od gwiazd, księżyca i setek pochodni lewitujących nad koloseum. Była noc, ale w porównaniu do ciemności celi oślepiła mnie.

Zamrugałam. Gdy moje oczy przyzwyczyły się do oświetlenia, prawie się roześmiałam, bo co innego miałam zrobić.

Przede mną rozgrywała się rzeź. Prawdziwa rzeź. Większość uczestników jeszcze nie opuściła swoich cel, a piach już był przesiąknięty krwią. Potwory rozszarpały się nawzajem na arenie – każdy możliwy rodzaj bestii. Demony z pierwszej próby, tym razem z guzowatymi mlecznobiałymi skrzydłami. Ogromne koty, czarne z szarymi plamami i o jasnych czerwonych oczach – stworzenia z Domu Cienia, które do tej pory widziałam tylko w książkach. Psy piekielne – olbrzymie, przygarbione wilki o białym futrze i z ciemnością wydobywającą się spod ich skóry. Zamieszkiwały wydmy Domu Nocy i działały w watachach. Były znane z wybijania całych dzielnic.

Poza nimi – jeśli spojrzeć poza tę pewną śmierć – była ściana z białego kamienia, idąca przez środek koloseum. Ku jej szczytowi prowadziła kamienista ścieżka. Na tym szczycie znajdowały się dwie pary złotych drzwi, wysokich i wąskich, pulsujących srebrnym dymem. Trybuny były zapełnione, morze wrzeszczących twarzy otaczało arenę zachwyconymi najbardziej dramatyczną z prób Kejari.

Kolejny obraz zderzył się z tym, co widziałam, kiedy drzwi Raihna otworzyły się i zobaczył odbicie lustrzane mojego widoku z, jak się domyśliłam, drugiej strony ściany.

Co, u diabła – mruknął.

Nie opisałam tego inaczej.

Na obrzeżach dołu wypełnionego piaskiem stały żelazne skrzynie – takie jak ta, z której właśnie wyszłam. Jedna z nich, obok mnie, była wciąż zamknięta i dochodziły z niej stłumione, nieme krzyki. Inne drzwi stanęły otworem i jeden ze Zrodzonych z Cienia wypadł z celi ze swoją głową w rękach, po czym zawędrował prosto w szczękę psa piekielnego.

Co mu odbiło?

Wielu nie radzi sobie z natłokiem wielu umysłów – odpowiedział Raihn. Nie w ten sposób.

Oczami Raihna ujrzałam kolejnego mężczyznę upadającego na kolana i próbującego ponownie podnieść się na nogi. Może i mieliśmy szczęście, że nie było z nami Mische. Nie wyobrażałam sobie, żebym mogła udźwignąć obecność ich obu umysłów.

Obejrzałam się na ścianę i drzwi na jej szczycie. To był wyraźnie nasz cel. A przynajmniej jeden z nich. Extryn był miejscem drastycznego wyboru. Nic dziwnego, że jedne prowadziły do wolności, a drugie zwiastowały zgubę.

Jednak pomiędzy nami i tak było sporo przeszkód. Gdy spojrzałam w morze zębów, szponów i krwi przede mną, przygotowałam się. Po drugiej stronie koloseum Raihn zrobił to samo.

Gotowy? – zapytałam go.

Uniósł miecz.

Zawsze.

Rzuciliśmy się w wir walki.

Na początku było trudno. Ciężar umysłu Raihna przewyższał mój. Straciłam cenne sekundy, by odseparować jego zmysły od moich własnych. Ledwo utrzymałam się przy życiu podczas walki w pierwszym odcinku areny. Byłam zbyt niezdarna, pozwalałam na zbyt wiele ryzykownych sytuacji.

Przestań się opierać – zdenerwował się Raihn. Wczuj się w to. Tylko tak możemy przeżyć.

Przeciwstawiało się to każdemu mojemu instynktowi. Ale miał rację, nie mogłam z nim walczyć we mnie i w tym samym czasie skupiać się na przeżyciu.

Przypomniałam sobie, że trenowaliśmy do tego. Nieświadomie, ale... przystosowaliśmy się do siebie, nauczyliśmy się oczekiwać i rozumieć wzajemne milczące wskazówki. Nasz sojusz nigdy nie opierał się na brutalnej sile. Zawsze chodziło w nim o kompromis.

A to? To była tylko kwestia oddania się temu.

Gdy tylko to zrobiliśmy, staliśmy się dla siebie siłą, wsparciem. Mogliśmy być odseparowani, ale to tak, jakbyśmy znowu walczyli ramię w ramię w slumsach. Czułam każdy cios, który zadał, a on czuł każde uderzenie zadane przeze mnie.

Mimo to nawet kiedy odnaleźliśmy swój rytm, każdy krok stawał się coraz bardziej zdradliwy. Liczba wyraźnie wygłodniałych bestii zwiększała się przy barierze, stawały się coraz wściekłejsze. Co gorsza, pozostali uczestnicy wydostali się już ze swoich cel. Wszyscy zrozumieliśmy w mgnieniu oka, że naszym głównym zadaniem nie było pozbycie się psów piekielnych czy demonów, ale siebie nawzajem.

Tylko połowa nas mogła zostać. Ku temu dążyliśmy.

Zostaliśmy wepchnięci w piach. Niedawno uczestnik z rodu Hiajów próbował wlecieć ponad rzeź, lecz spotkał się z barierą, która spowodowała jego upadek i rozerwane skrzydła. Na skrzydłach czy nie, nie było wyjścia z tej otchłani śmierci.

Byłam w połowie drogi przez arenę i już musiałam na każdym kroku kogoś eliminować. Być może obecność Raihna w moim umyśle napędzała mnie, choć byłoby o wiele bardziej pomocne, gdyby znajdował się obok fizycznie.

Nie rozumiem – pomyślałam, sfrustrowana. Jaki jest tego sens? Nie możemy walczyć wspólnie w taki sposób.

Zanim zdążył odpowiedzieć, ramię przeszył mi ból. Zachwiałam się i straciłam cenną ziemię na rzecz kobiety Zrodzonej z Cienia, która mnie zaatakowała. Zerknęłam w dół i zobaczyłam skórzaną zbroję na mojej ręce, a Raihn ujrzał strużkę krwi płynącą po jego ramieniu.

Zapłacił drogo za ten moment nieuwagi, jego napastnik rzucił się na niego ponownie, a potem kolejny raz i kolejny. Zacisnęłam zęby i z trudem odepchnęłam swoją przeciwniczkę, w końcu wrzuciłam ją w objęcia najbliższego demona. Jednak czułam, że po drugiej stronie areny walka Raihna trwała. Nie radził sobie za dobrze. Wzdrygałam się z każdym ciosem.

Uderzyło mnie wspomnienie demonów z pierwszej próby, przez co nagle mnie olśniło.

Dopiero co Raihn został ranny... *i ja się zachwiałam.*

Kto to jest? – zapytałam go. Jego widzenie przyszło w kawałkach kadrów. Nie byłam w stanie zobaczyć twarzy.

Co?

Z kim teraz walczysz? Spójrz na jego twarz!

Wyczułam zmieszanie Raihna, ale posłuchał. Kiedy blokował kolejny cios, pokazał mi swojego napastnika – Zrodzonego z Nocy z Hiajów o jasnych włosach.

Znałam go. Nikolai. Przeszukałam swoją pamięć. Z kim został sparowany?

Ravinthe. *Ma uszkodzone prawe kolano* – powiedział mi Vincent na przyjęciu.

Przeskanowałam wzrokiem tłum. Mieliśmy szczęście. Ravinthe nie był daleko ode mnie, kilka kroków przez piach. Zanurkowałam ku niemu. Nie dałam mu czasu na reakcję, moja broń była wycelowana prosto w jego kolano. Jego noga ugięła się pod nim, trysnęła krew. Następnie, zanim zdołał się podnieść, zanurzyłam ostrze w jego piersi.

Tak jak podejrzewałam, po drugiej stronie areny przeciwnik Raihna padł na ziemię.

Szlag – wyszeptał, a iskra zadowolenia zalała nas oboje, gdy skorzystał z okazji i zakończył żywot Nikolai. *Dobra jesteś.*

Byliśmy rozdzieleni, ale to nie znaczyło, że nie mogliśmy sobie pomóc. Z tą wiedzą ruszyliśmy przez pole walki. Tak, musieliśmy dostać się do tych bram jak najszybciej, ale żadne z nas nie poruszało się nazbyt szybko, by sobie pomóc, a to z kolei oznaczało, że jako zespół poruszaliśmy się płynnie.

Mimo wszystko pozostali uczestnicy również byli silni. Zrodzeni z Krwi w szczególności wiedzieli, jak działać w zespole. Jedna z nich była pierwszą, która krętą ścieżką dotarła na szczyt do kamiennej ściany. Już była prawie u celu, gdy ja dobiegłam do podnóży ściany. Z bliska bardziej wyglądała na górę. Mający stos kamieni. Droga na wierzchołek była stroma i ryzykowna. Przede mną były dwa wampiry, przedierały się przez psy piekielne i demony, które również znalazły się na górze.

Trzech nadchodzi po tej stronie – powiedziałam Raihnowi.

Dwóch tutaj.

Lepiej się pospiesz.

Tylko połowie z nas mogło się to udać. Jedenaście.

Już prawie.

Widziałam ścieżkę jego oczami, kilka, jeszcze kilka kroków. Byliśmy tak blisko.

Zrobiłam parę kroków więcej, kiedy przerażający ból rozdarł mi plecy, aż po ramię. Uderzyłam kolanami w ziemię, wydałam z siebie jęk.

Potrzebowałam kilku sekund, by zrozumieć, że to nie moje ciało zostało rozcięte, tylko Raihna. To, co miał przed oczami, było plamą uderzającej o siebie broni. Chmura czerwonego dymu. Białe włosy.

Angelika.

Próbowałam się podnieść. Wsparłam się na kamieniach.

Idź – powiedział Raihn. Kontynuuj. Poradzę sobie z nią.

Nie. Nie potrafił kłamać, nie, kiedy nasze umysły były złączone. Nie, kiedy czułam każdą ranę, którą otwierała na jego ciele, i to, z jakim trudem próbował za nią nadążyć.

W pełni sił Angelika i Raihn byli niemal na równi, jeśli chodziło o umiejętności. Ale Raihn dopiero co przetrwał godziny tortur.

Dzisiaj nie był jej równy.

Nawet nie przemyślałam tej decyzji. Zawróciłam.

Poradzę sobie, Oraya. Idź!

Zignorowałam go.

Potrzebowałam kilku minut, żeby odnaleźć w tym chaosie partnera Angeliki, Ivana. Musiałam zejść na sam dół ściany. Odnalazłam go w piachu, gdzie szykował się do

zakończenia żywota jaguara. Był ranny, poruszał się wolno i kulał.

To będzie łatwe. Pozbycie się go, i razem z nim Angeliki, zajmie mi tylko kilka minut.

Ivan zobaczył, że nadchodzę, i ledwie zdążył zareagować. Fala piekącego bólu uderzyła we mnie, kiedy czerwona mgła jego magii wzięła mnie w swoje objęcia. Rany na jego ramionach zadrżały z wysiłku, jako że musiał użyć krwi, żeby napędzić magię.

Nie pozwoliłam, żeby mnie to spowolniło. Zadałam cios w jego ramię i trucizna zaczęła je błyskawicznie zżerać.

Po stronie Raihna Angelika się zachwiała. Wykorzystał to i się zamachnął...

I w tym momencie Ivan się wycofał. Jego magia napęczniała. Niemal mnie ogłuszyła, było to nie do wytrzymania razem z ranami Raihna. Udało mi się jednak to przetrwać, przetoczyłam się na bok, po czym zaatakowałam. Mój miecz przeciął do kości zdrową nogę Ivana.

Ugięła się pod nim.

Spletliśmy się ze sobą i toczyliśmy się po ziemi. Moja walka z Ivanem i Raihna z Angeliką zmyła się w jedno, gdzie widoczność każdego była ograniczona do dzikich błysków palących mięśni, krwi, stali i magii.

Przeturlałam się na Ivana i przycisnęłam go do podłoża.

W okolicach żeber wybuchł mi ból.

Nie moich – Raihna. Mieliśmy coraz mniej czasu.

Gdy uniosłam miecz, spojrzałam prosto w oczy Ivana. Unieruchomiłam go między udami i przycisnęłam jego plecy do kamiennej ściany.

Wpatrywałam się w niego tak intensywnie, że omal nie zauważyłam kątem oka ruchu.

Raihn spojrzał ponad ramię Angeliki, na bramy prowadzące do zwycięstwa. Zrodzona z Krwi dotarła na szczyt. Zatrzymała się przed obojgiem drzwi z wyraźnym wahaniem. Zrodzony z Cienia był tuż za nią. Biegł i nie zwolnił, gdy sięgnął celu.

Nie wahał się, pchnął ją przez jedną bramę i zmusił ją tym samym do przetestowania decyzji.

Spięłam się, kiedy ziemia pode mną się zatrzęsała. Spojrzałam w górę w samą porę, by zobaczyć błysk światła z bramy, który pochłonął wszystko.

W samą porę, by usłyszeć Raihna krzyczącego moje imię wewnątrz mojej głowy.

W samą porę, by poczuć falę bólu, kiedy Ivan zanurzył ostrze sztyletu w moim boku.

Nie miałam czasu, by zareagować, ponieważ jego magia uwięziła moją krew, moje mięśnie. Zmusiła je do ruchu wbrew mojej woli.

I wrzuciła mnie w sam środek bestii spragnionych krwi.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Vincent zawsze mnie przestrzegał, jak to jest wpaść w sam środek szалу. *Nie będą czekać, aż będziesz martwa – powiedział. Nie ma to sensu. Nie ma żadnej myśli. Jest tylko głód.*

Myślałam nad tymi słowami często tuż po śmierci Ilany. To, co usłyszałam pierwszej nocy w Księżycowym Pałacu, brzmiało dokładnie tak samo, jak opisał to Vincent. Została pożarta żywcem i nie była zdolna temu zapobiec. Jej ostatnie chwile mnie nawiedzały.

A teraz, kiedy moje ciało leciało na spotkanie z wygłodniałą zwierzyną, a moje mięśnie były spętane, jedna jedyna myśl zakorzeniła się w mojej głowie:

Czy to czuła, kiedy umierała?

Magia Ivana mnie sparaliżowała. Nie mogłam się ruszać, ale byłam przytomna, gdy bestie się na mnie rzuciły.

Zwierzęta zostały sprowokowane do granic możliwości brutalnością i głodem. Uformowały grupki składające się z drgających mięśni i pieniających się paszcz, jak gdyby jakaś ich część wiedziała, że to ostatnia szansa na ich przetrwanie.

Przez ułamek sekundy uderzyło mnie, jak smutne to było. Były tylko zwierzętami. Zabójcami ograniczonymi do polowania dla rozrywki. Tak jak my wszyscy tak naprawdę.

Poczułam, kiedy pierwszy demon złapał moją nogę. W momencie zostałam otoczona przez tak wielu, że przesłoniły niebo. Widziałam tylko zęby i szpony.

Nie byłam w stanie nawet krzyknąć.

Oraya!

Zalała mnie panika Raihna. Była tak intensywna jak moja własna.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

Coś jednak w tej panice mnie obudziło. Coś na tyle ostrego, co rozcięło resztki pętającej mnie magii Ivana. Wyrzuciłam przed siebie ręce i zadawałam dziko ciosy w prawo i lewo.

To nie wystarczało.

Było ich zbyt wiele. Za bardzo krwawiłam. Krew była zła. Krew była niebezpieczna. Rzucalam się z moimi mieczami, ale była to bezużyteczna panika wśród niekończącego się morza mięsa, skóry, futra i piór.

Umrę. Matko, naprawdę umrę. Moje serce oszalało. Każde jego uderzenie przyciągało je bliżej.

Idę po ciebie, Oraya.

Nie spodobało mi się to. To, ile strachu było w głosie Raihna. Udało mu się uciec Angelice i biegł, biegł, biegł, przebijał się przez tłum po swojej stronie ściany.

Nie był wystarczająco szybki.

Użyj swojej magii – ponaglił mnie. Ujrzałam ujęcia jego widoku, kiedy biegł po niepewnej kamiennej ścieżce.

Nie jesteś nawet daleko od końca. Użyj jej teraz.

Nie mogłam. Nie mogłam znaleźć swojej mocy. Nawet gdy mogłam, produkowałam tylko trochę więcej niż iskierki światła. Walczyłam, miotałam się, próbowałam się uspokoić i...

Wmawiałam sobie: *Strach jest tylko zbiorem...*

Strach jest pieprzonym KLUCZEM do tego, Oraya! – Głos Raihna, spętany jego własnym strachem, wypełnił nasze umysły. *UŻYJ GO. Udawaj, że wyrzucasz mnie przez to pieprzone okno. Udawaj, że wywlekasz Mische z tego płonącego mieszkania.*

Łzy bezsilności wypełniły mi oczy.

Nie wiedziałam jak. Nie wiedziałam, jak opuścić tę blokującą mnie ścianę. Tak długo ją budowałam, zaklejałam każde pęknięcie. Teraz trzymałam się jej. Przerazona, co może się stać, jeśli się jej puszcze.

Jestem z tobą, Oraya. Teraz. Nie masz czasu. Zrobimy to razem. Dobrze? Jestem z tobą.

To powinno mnie było przestraszyć.

Bestie mnie przytłaczały. Uderzyłam plecami w piach. Demon wspiął się na mnie, jego gęba była centymetry od mojej twarzy. Zamierzył się na moją szyję – dokładnie tam, po prawej, dokładnie tam, gdzie miałam bliznę przypominającą mi o chłopcu, o którym starałam się nie myśleć każdej nocy.

Teraz sobie pozwoliłam. Pozwoliłam sobie pomyśleć o nim po raz pierwszy od lat.

Pozwoliłam sobie pomyśleć o moich rodzicach, zgniecionych przez zapadłe budynki podczas wojny, z którą nie mieli nic wspólnego.

Pozwoliłam sobie pomyśleć o małej zagubionej dziewczynce o ciemnych włosach, ściganej w labiryncie. O małej dziewczynce o ciemnych włosach pozostawionej samej sobie w zrujnowanym mieście.

Pozwoliłam sobie pomyśleć o życiu spędzonym tutaj, uwięzionym przez mój własny strach, uwięzionym przez te pieprzone drapieżniki, te potwory, to coś, co nie uznawało mnie za nic więcej niż bydło idące na rzeź...

Wtem zrozumiałam. Zrozumiałam, że gdy opanuje się strach, on się wzmacnia i zaostrza.

Staje się wówczas *wściekłością*.

Ta przeradza się w *potęgę*.

Nie umrę tutaj.

Pozwoliłam, by moja furia nade mną zapanowała.

Wyłączyła z moich ust i oczu, moich palców i końcówek włosów. Wybuchła aż do samego nieba – przez gwiazdy, księżyc – i dotarła do Nyaxii we własnej osobie.

I poczułam, jak mi odpowiada.

Nocny płomień zaryczał we mnie, otoczył mnie kocem ze światła, ciepła i potęgi. Skonsumował wszystko – demony, psy piekielne, wampiry. Skonsumował moją skórę, moje oczy. A przede wszystkim skonsumował moją złość.

NIE UMRĘ TUTAJ.

Wstałam, chwyciłam miecze, ale nie potrzebowałam ich użyć. Ledwie pamiętałam, że się poruszam. Ledwie pamiętałam wejście w morze białych płomieni pochłaniających ciała, które mogły być zarówno zwierzyną, jak i wampirem. Wspinałam się po ścieżce coraz wyżej i wyżej.

Zatrzymałam się dopiero, gdy dotarłam na szczyt. Kiedy spojrzałam w górę w niebo i moim oczom ukazał się księżyc.

Nagle poczułam się znowu taka mała. Świadomość powróciła do mojego rannego śmiertelnego ciała. Zemdliło mnie. Moje nogi niemal się poddały, wyrzuciłam rękę do przodu, by zachować równowagę.

Płomienie zniknęły. Z trudem przyzwyczaiłam oczy do ciemności po tak oślepiającym świetle.

Znajdowałam się na górze ściany, w centrum koloseum. Opierałam rękę o framugę jedynych drzwi, które zostały. Druga brama była teraz niczym innym, tylko zwęglonymi i poskręcanyymi szczątkami metalu. Czułam się dziwnie, niepewnie i pusto. Za mną rozwijał się widok na spustoszenie rozciągające się od piasków areny po rozpadającą się ścianę kamienia – spalonego kamienia – i stosy czystych białych kości.

Widownia obserwowała wszystko w ciszy, tysiące oczu były zwrócone ku mnie. Ich twarze zlały się w jedno. Był tam też gdzieś Vincent. Chciałam go poszukać, ale zamiast tego moje spojrzenie powędrowało niżej, kilka kroków dalej do miejsca, gdzie spotykały się obie drogi z dwóch stron areny, dokładnie na szczycie ściany.

Raihn.

Kłęczał i gapił się na mnie, i to – sposób, w jaki na mnie patrzył – było pierwsze, co wydało mi się *prawdziwe*.

Prawdziwe, surowe i... zaskakujące.

Ponieważ wpatrywał się we mnie z czystym podziwem, jakbym była najwspanialszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widział na oczy. Jakbym była pieprzoną boginią.

Zamrugałam i łzy spłynęły mi po policzkach. Cokolwiek otworzyłam w sobie, by sięgnąć ku magii, krwawiło jak otwarta rana.

Raihn powoli się podniósł.

I wtedy, na tyle szybko, że nie miałam czasu zareagować, zmniejszył między nami dystans kilkoma długimi krokami i już byłam w jego mocnym uścisku, ze stopami nad ziemią i rękami obejmującymi jego szyję. Tym samym pozwoliłam, żeby mnie nie puszczał. Pozwoliłam sobie przytulić się do niego, zanurzyć moją załzawioną twarz w cieplej przestrzeni między jego brodą i gardłem.

I nagle nic – żadna widownia, arena, łuk, nocny ogień czy nawet Nyaxia – nie istniało poza tym.

– Martwiłem się przez moment – mruknął przy moich włosach. Jego głos był szorstki.

– Powiniennem się tego spodziewać.

Opuścił mnie i dopiero przestał obejmować, kiedy moje stopy dotknęły ziemi. Spojrzałam na trybuny, wciąż się chwiałałam i czułam zawroty głowy.

Vincent tam był, na przedzie, w połowie areny. Częściowo stał, oczy miał szeroko otwarte. Nie mrugał. Jedną ręką ścisnął poręcz, a drugą klatkę piersiową, jakby próbował uspokoić serce.

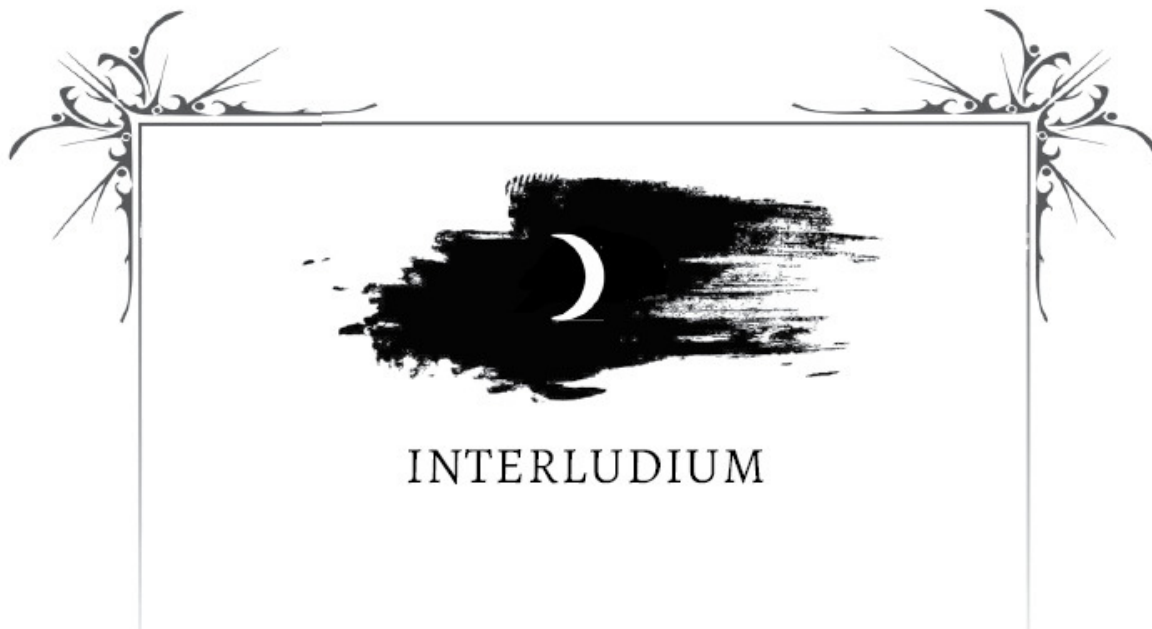
Musiałam być zbyt słaba przez utratę krwi, bo miałam wrażenie, że dostrzegłam srebrną linię na jego policzku.

– Chodźmy – powiedział łagodnie Raihn i położył rękę na moich plecach.
Odwróciłam się ku drzwiom i powitała nas widmowa cisza Księżycowego Pałacu.



CZEŚĆ PIĄTA

PÓŁKSIEŻYC



Młoda kobieta myślała, że się zakochała czy coś w tym rodzaju. Bycie młodym i zakochanym jest czymś wspaniałym. Uczy tak wiele. Nigdy nie miała za przyjaciela rówieśnika, w związku z czym nauczyła się dzielić częstkami siebie z drugą osobą.

Nigdy nie miała wcześniej romantycznego partnera, więc nauczyła się pocałunku i dotyku.

Wiedziała, że jej ojciec tego nie zaakceptuje, więc nauczyła się ukrywać przed nim prawdę.

Jej mroczny świat zyskał nieco światła, zimne pokoje się ociepliły. Jej młodzieniec był nieśmiały i słodki i wydawał się w niej zakochany. Spędzała długie dni na wspomnianiu każdego jego słowa.

Być może w innym świecie ta dwójka nie znalazłaby tyle wspólnego. Ale w tym, w którym mieli tak mało, stali się dla siebie wszystkim.

Bardzo się w sobie zakochali i stało się to szybko. Młoda kobieta uwielbiała to tempo. Chciała więcej. Dyszeli i brakowało im tchu. Wiecznie pragnęli więcej siebie. Młoda kobieta nigdy wcześniej nie doświadczyła seksu.

Ale tak bardzo tego chciała.

Tamtej nocy wiedziała, czego będzie od niego oczekiwać. Co mu odda w zamian.

Spotkali się w jego pokoju. Ich pocałunki były chaotyczne i szalone, przerywane sapnięciami i jękami, wargi muskały wrażliwą skórę. Ich pragnienie siebie nawzajem spadło na nich w pijanym zamięcie, silniejszym z każdą kolejną warstwą materiału, który z siebie zrywali.

Trochę się denerwowała, kiedy przycisnął ją do łóżka i wspiął się na nią. Była nerwowa, kiedy rozłożył jej uda i przygotował się do zanurzenia się w nią. Te nerwy towarzyszyły każdemu młodemu człowiekowi, kiedy tracił dziewictwo. Było to jednak nic w porównaniu z jej pragnieniem.

Ból był krótki i minął szybko. Zakopała go w jego drżącym oddechu muskającym jej skórę. Ich ciała znajdowały się tak blisko siebie jak nigdy, swoje wargi łączył z jej.

Był delikatny. Na początku.

Kiedy zaczął się ruszać, nagła przyjemność zmieszała się z resztkami bólu, który z każdym pchnięciem, powolnym i głębokim, rósł.

Młoda kobieta poświęciła się temu i pomyślała, że nigdy – nigdy – już nie będzie czuła czegoś tak cudownego.

Kiedy pojawił się pierwszy załęczek strachu? Kiedy ten słaby głosik z tyłu jej głowy wyszeptał: Czeka, coś jest nie tak?

Może to przez to, że jego ruchy stały się szybsze, mocniejsze, w związku z czym równowaga pomiędzy przyjemnością i bólem została zaburzona pomimo jej stłumionych słów zawahania.

Może stało się to, kiedy próbowała usiąść, przejąć kontrolę, ale zmusił ją do leżenia, a ostre krawędzie jego paznokci otworzyły krwawe ranki na jej skórze.

Może to było, kiedy jego nozdrza poruszyły się i wyczuły te drobinki krwi – może tej na jego rękach lub tej między jej nogami – i jego pocałunki sięgające jej policzków, szczęki i gardła stały się głębsze.

Silniejsze.

Ostrzejsze.

Jego usta na początku były kochające. Potem namiętne.

A teraz bolesne.

Bolesne, bolesne, bolesne...

Młoda kobieta krzyknęła. Kazała mu przestać. Może jej nie usłyszał, a może go nie interesowało, co miała do powiedzenia.

Należy zrozumieć, że żądza krwi jest czymś potwornym.

Spętał ją strach. Miotła się, a jego zęby były coraz bliżej jej szyi. Był od niej silniejszy. Jej bezsilność była stryczkiem, gotowym zacisnąć się na jej szyi.

Młoda kobieta tamtego dnia niemal straciła życie.

Ale wtedy chwyciła srebrny świecznik z szafki nocnej i uderzyła nim głowę kochanka. Nie wystarczyło to, by go zabić, ale nie chciała go tamtego dnia zabijać. Nigdy wcześniej nikogo nie zabiła.

Trzęsa się, serce jej szalało. Kiedy zepchnęła go ze swojego ciała, rzuciła jej się w oczy w jego twarz – zmieszanie, a następnie przerażenie. Jakby się nie zorientował, co właściwie uczynił.

Łzy popłynęły po jej policzkach.

Myślała, że się zakochała. Nie nauczyła się jeszcze, jak śmiertelne może być to uczucie.

Schowała przed nim łzy, złapała swoje ubranie i uciekła. Nie obejrzała się, gdy zawołał za nią. Jej rozbity sen i złamane serce rozrywały jej ciało na strzępki.

Krwawiła. Była przerażona. Nie wybrała pokoju ojca świadomie. Ale gdzie indziej mogła się udać w domu, w którym wszystko było niebezpieczne?

Król otworzył drzwi i wpuścił szlochającą córkę do środka. Była skrytą młodą kobietą. Nauczył ją, jak trzymać emocje na wodzy. Jednak tej nocy była strapiona. Jej kochanek i jego zdrada zburzyły jej mury obronne.

Król otoczył córkę kocem i wysłuchał jej przykrew historii. Milczał, gdy wycierał krew z jej szyi.

W tamtym momencie podjął decyzję.

Młoda kobieta nie miała o niej pojęcia. Jeszcze nie.



ROZDZIAŁ
TRZYDZIESTY PIERWSZY

Pozostało nas jedenaścioro.

Ivan przybył przed nami, a Angelika dotarła do celu niedługo po mnie i Raihnie. Ostatnim uczestnikiem – ku zdumieniu wszystkich – był Ibrihim, który ledwie powłóczył nogami, pokryty zakrzepłą krwią, z zakrwawionym mieczem i nieobecny wzrokiem. Zamordował swojego partnera tuż przed wejściem przez łuk. W tym roku połowa to liczba nieparzysta. Tylko jeden z nich mógł przeżyć.

Ibrihim nie wyglądał na załamane tym faktem.

Ilu dzisiaj zabiłam? – zastanawiałam się drętwą.

Wszyscy na mnie patrzyli. Nie tak jak do tej pory. Nie z rozbawionym głodem, tylko z ostrożną ciekawością.

Nie mogłam zdecydować, czy podobała mi się ta zmiana.

W przeciwieństwie do pozostałych prób Minister i jego akolici czekali, by nas powitać z powrotem w Księżycowym Pałacu. Brama za Ibrihimem, która znajdowała się w centrum pomieszczenia, najzwyczajniej w świecie wyparowała, pozostawiając każdego, kto za nią pozostał, krwawemu losowi.

Cisza była ogłuszająca. Minister obserwował nas pogodnie. To, co wykrzywiło jego twarz, niejasno przypominało uśmiech.

– Gratulacje – powiedział. – Jesteście finalistami Kejari. Przeszliście do ostatnich dwóch prób. Nasza Mroczna Matka jest z was bardzo zadowolona.

Nikt nie wyglądał na zadowolonego z siebie. Jedynie ponuro zdeterminowanego.

– Aby świętować wasze zwycięstwo – kontynuował Minister – w imieniu Nyaxii została zorganizowana ceremonialna uczta w celu uhonorowania waszego daru dla Matki Wygłodniałej Ciemności. Dla krwi, która została rozlana, i dla krwi, która jeszcze nie została jej podarowana.

Jego uśmiech się rozszerzył, jakby te słowa były jedynymi, które go naprawdę zadowalały.

Czasami myślałam, że Nyaxia była nieco niemoralna.

– Idźcie – odrzekł. – Zregenerujcie się. Odpocznijcie. Księżycowy Pałac, dzięki hojności Nyaxii, zapewni wam wszystko, czego potrzebujecie. Powróćcie do kościoła o zachodzie słońca.



Mieszkanie było za ciche bez Mische. Gdy wróciliśmy do niego z Raihnem, nie rozmawialiśmy ze sobą i byłam bardzo świadoma tej ciszy.

Odezwał się pierwszy dopiero wtedy, kiedy drzwi się za nim zamknęły.

– Sześć pełnych godzin odpoczynku po tym, jak prawie kopnęliśmy w kalendarz dla rozrywki naszej łaskawej bogini. – Posłał mi półuśmiech. – Jakie to szczodre z ich strony.

Wychrypiałam wymuszony śmiech, na co uniósł brew.

– Co?

– Hm?

– Zabrzmiało to bardziej jak zdychający kot, ale bardziej martwi mnie fakt, że wymusiłaś śmiech w odpowiedzi na żart, który nie był nawet zabawny.

Na to faktycznie mogłabym się zaśmiać. Jednak umysł miałam przesłoniony przez mgłę, a ciało zmęczone. Teraz, kiedy szok próby powoli zanikał, to, co zrobiłam – i fakt, że praktycznie nic z tego nie rozumiałam – zaczęło do mnie dochodzić.

– Hej – powiedział Raihn łagodnie.

Spojrzałam na niego.

Ze wszystkiego, co się dzisiaj wydarzyło, ten moment wydał się najbardziej przerażający.

Ponieważ teraz dwie prawdy uderzyły mnie w tym samym momencie:

Pierwszą był sposób, w jaki na mnie patrzył, z troską, jakby zależało mu na moim zdrowiu. A to, że faktycznie mu zależało, to była prawda, bo *czułam* to jeszcze

niedawno. Czułam jego panikę, kiedy byłam w niebezpieczeństwie. Jednocześnie on czuł moją, kiedy byłam pewna, że Angelika go zabije.

Drugą był fakt, że Próba Kwadry dobiegła końca. Nie potrzebowaliśmy już sojuszu. To oznaczało, że albo on mnie zabije, albo ja zabiję jego.

Te dwa niezaprzeczone fakty zderzyły się ze sobą tak brutalnie, że zorientowałam się, że opieram się o ścianę.

– No cóż – powiedziałam. – Udało nam się.

Mój głos był zachrypnięty.

– Bez wątpienia.

Zrobił krok ku mnie. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

Powinnam się spać. Powinnam sięgnąć po broń.

Nie zrobiłam tego.

– Byłaś zajebista, Oraya – mruknął. – Mam nadzieję, że jesteś tego świadoma.

Podniosłam głowę i powiedziałam z takim przekonaniem, na jakie mnie było stać:

– Wiem.

Zaśmiał się. Kiedy to zrobił, przy jego oczach pojawiły się zmarszczki. Czy zorientowałam się wcześniej, jak bardzo to lubiłam?

– Odpocznij trochę, jeśli możesz – powiedział. – Przed ucztą. Zostawię cię samą. Przygotuję się w innym apartamencie.

Mówił to beztrąsko, ale wiedziałam, co miał na myśli. Czy w ten sposób przyjął zmianę, jaka zaszła między nami? Czy w ten sposób mówił: żadne z nas nie musi podejmować jeszcze decyzji?

Niezależnie od wszystkiego byłam za to wdzięczna. Wdzięczna, że nie będę musiała spędzić kolejnych kilku godzin na wmawianiu sobie, że powinnam go zabić. Cokolwiek uczyni jutrzejsza Oraya... to już będzie jej prob lem. Dzisiejsza Oraya mogła go poobserwować troszkę dłużej.

Odmówiłam pokazania nawet krzty tych myśli, kiedy odparłam:

– W porządku.

Obniżył brodę, podszedł do drzwi i je otworzył.

– Raihn – odezwałam się trochę za szybko, zanim całkowicie zniknął.

Zerknął przez ramię.

– Przyznaję, że byłeś dobrym sojusznikiem.

Mrugnął do mnie.

– Wiedziałaś o tym od początku – powiedział i zamknął za sobą drzwi.



Nie byłam do końca pewna, co Minister miał na myśli, gdy mówił: „Księżycowy Pałac zapewni wam wszystko, czego potrzebujecie”, ale okazało się, że miało to dosłowne znaczenie.

Księżycowy Pałac dał mi wywary lecznicze i opatrunki, gorącą kąpiel z siedemnastoma żalonymi zapachami mydła oraz zestaw szczotek do włosów, z którymi nie miałam pojęcia, co zrobić.

Dał mi również suknię.

Kiedy wróciłam do sypialni po kąpiele i zobaczyłam ją leżącą na narzucie łóżka, jakby została przyniesiona po kryjomu przez niewidzialnego sługę, wybuchnęłam śmiechem.

– To musi być jakiś pieprzony żart – powiedziałam nie wiadomo do kogo.

Oczywiście, że tego nie założę.

Nie miałam jednak innego wyboru. Zupełnie jakby Księżycowy Pałac przewidział moje niezadowolenie, zlikwidował jakąkolwiek alternatywę. Szafki i szafy były puste. Nawet moja zakrwawiona zbroja zniknęła. Dlatego też po kilku minutach nagiej wędrówki w tę i w tę i nieznalezieniu niczego innego, założyłam tę przeklętą suknię.

Ledwie poznałam się w lustrze.

Tkanina była gładka, jedwabna w ciemnym, bogatym fiolecie – w dziwnie znajomej barwie, której nie mogłam teraz umiejscowić w pamięci. Przód opadał w kształt litery V, natomiast góra była wystarczająco obudowana, by podkreślić mój biust. Była podtrzymywana czarnymi metalowymi paskami z łańcuszkami. Ten sam błyszczący hebanowy metal otaczał gorset i zdobił moją klatkę piersiową w sposób przypominający zbroję. Tył sukni był niski i otwarty, z długimi łańcuszkami przecinającymi się na moich plecach. Dół stroju wylewał się delikatnie na moje stopy, ubrane w lekkie srebrne sandały.

Mimo że suknia przylegała mi do ciała, nie ograniczała mnie. Niemal czułam się naga w lekkiej, przewiewnej tkaninie, która poruszała się razem ze mną. Fiolet falował pośród odcieni czerni i purpury. Włosy zostawiłam proste i rozpuszczone. Wyschły po kąpiele i opadały mi na plecy jak cieniste wici.

Wpatrywałam się w siebie przez długi, długi czas.

Nie do końca pamiętałam, kiedy ostatni raz widziałam się odzianą w tak piękną rzecz. Nigdy nie wkładałam czegoś, co przyciągałoby uwagę. A ta suknia... Cóż,

zdecydowanie przyciągała uwagę. Podkreślała wszystko, co na co dzień starałam się ukryć: skórę, figurę i w tym momencie bardzo wyeksponowaną szyję z dekoltem.

– Nie mogę w tym pójść – mruknęłam znowu do siebie, choć tym razem mniej przekonująco.

Nie mogłam, ponieważ prawda była taka, że... podobała mi się. To było coś, o czym marzyłam, kiedy jeszcze byłam zbyt młoda, by zrozumieć, że taki ubiór należał do złych survivalowych wyborów.

Mimo to podeszłam do swojego plecaka w ostatniej próbie znalezienia czegoś innego. Gdy go otworzyłam, zrozumiałam, dlaczego ta suknia wydawała mi się znajoma.

Ta purpura. Była wepchnięta na górę moich własności. Nikomu bym się nie przyznała, ile razy to wyciągałam tylko po to, żeby to chwilę potrzymać.

Wróciłam do lustra z szalem Ilany w rękach. Rozłożyłam go. Materiał był sponiewierany i poplamiony, ale sam kolor i tekstura były takie same jak w sukni. Równie dobrze szal mógł zostać z niej odcięty.

Zapiekły mnie oczy.

Niemal byłam w stanie wyczuć zapach dymu z cygara, usłyszeć jej chrapliwy głos w moim uchu: *Zakładaj tę suknię. Pokaż tym sukinsynom.*

Dobra. Zrobię to. Z jednym dodatkiem.

Obwiązałam sobie szyję szalem Ilany i zostawiłam dwa jego lekko nadpalone końce zwisające z mojego ramienia.

Jeśli miałam stać się atrakcją, przynajmniej niech mają co oglądać.

...I znalazłam miejsce na swoje sztylety.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Jeżeli kościół był piękny w ciszy, to w ruchu był wręcz oszałamiający. Z premedytacją się spóźniłam – jeśli miałam wyjść do wampirzego społeczeństwa praktycznie w białym, zrobię to, kiedy wszyscy się najedzą. Gdy przybyłam na miejsce, uczta była już w toku.

Zawstydziłaby nawet przepych na przyjęciach Vincenta.

Było tu oczywiście niezmiernie. Każda szklana powierzchnia i okno kościoła były oświetlone niebieskim i purpurowym światłem, które znajdowało się blisko sufitu. Muzyka wibrowała z każdego kąta i szpary. Mimo że była tylko jedna orkiestra, magia tak zaczarowała ich występ, że każda nuta odbijała się wszędzie echem, dopóki dźwięk nie wypełnił majestatycznego kopulastego dachu. Pnącza bluszczu zawierające czerwone i czarne kwiaty obtaczały każdy filar. Jedna strona przestrzeni została zamieniona w parkiet, podczas gdy w drugiej ustawiono trzy długie stoły. Na nich rozstawiono wybór jedzenia, który zdecydowanie przewyższał jego ilość pierwszej nocy Kejari – zanotowałam sobie w głowie, żeby ukraść go trochę później.

Ale bardziej imponująca od jedzenia i jednocześnie makabryczna była ilość krwi. Było tu tyle krwi. Wypełnione nią misy przy każdym miejscu, na każdym stole. Przyprawiona krew. Krew z alkoholem. Krew w każdej możliwej postaci – pieczona z jedzeniem, oferowana w karafkach czy złotych basenach. Kielichy nie znajdowały się

poza zasięgiem. Pijani imprezowicze już zdołali przystroić obrus i podłogę plamami czerwieni.

Mój żołądek przewrócił się w sposób, który mnie zaskoczył.

Powinnam być wdzięczna – z takim zasobem byłam bezpieczna jak nigdy w towarzystwie wampirów. Poza tym nie było mi obce, jak zazwyczaj wyglądały wampirze uczyty.

Dlaczego więc mnie to martwiło? Dlaczego złapałam się na tym, że szukałam źródła tego wszystkiego?

Weszłam do sali i minęłam kilku uczestników rozwalonych na swoich krzesłach, już upasionych do granic możliwości. Zastanawiałam się, czy to było zamierzone. Może była to ostatnia krew, którą każdy z nich zobaczy przez dłuższy czas.

Pozostali goście zwracali na mnie większą uwagę, niż mogłabym tolerować wcześniej. Czułam ich spojrzenia i musiałam sobie przypominać, żeby się przed nimi nie kulić, jednocześnie świadoma każdej cząstki nagiej skóry, którą miałam odsłoniętą. Kiedy grupa pięciu wampirów otwarcie odwróciła za mną głowy i gapiła się z przerażającą mieszanką ciekawości, głodu i ostrożności, główna część mnie, która przez całe życie była trenowana, by uniknąć tego rodzaju scenariusza, zaczęła rozważać opuszczenie sali.

Zamiast tego dotknęłam szala na szyi. Dotknęłam plam krwi mojej przyjaciółki.

Nie jesteś pieprzonym tchórzem, Oraya – usłyszałam jej szept.

Nie. Nie byłam.

Rozejrzałam się za Raihnem, ale...

Rozległy się lekkie kroki i odwróciłam się, by spotkać się z ich właścicielem, zanim za bardzo się zbliżą. Vincent zatrzymał się przede mną i zacisnął usta w uśmiechu.

Nie widziałam go w pełnym świetle, od kiedy rozpoczęło się Kejari – nie z tak bliska. Miał na sobie czarną marynarkę otwartą przy szyi, by jego znamię dziedziczne było widoczne. Skrzydła miał otwarte i w tym świetle czerwień na ich krawędziach była wyjątkowo uderzająca. Zastanawiałam się, czy w ogóle je teraz chował, czy musiał mieć pewność, że zawsze były widoczne, by mógł pokazać swoją pozycję podczas ataku.

To jednak nie ubiór, znamię czy skrzydła mnie zszokowały, tylko jego twarz. Jego oczy były niewiarygodnie jasne tylko dlatego, że ciemność pod nimi była tak wyraźna. Każdy centymetr jego twarzy był surowy i rzeźbiony, jakby każdy rys wyrobił w kamieniu. Mimo to jego kontrola nad wyrazem twarzy się załamywała. Wyczułam to wcześniej. Teraz było to przerażająco sztywne.

Wszystko złagodniało oczywiście, kiedy mnie zobaczył.

Spięłam się, gdy doświadczyłam dwa nachodzące na siebie impulsy.

Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że był gotów rzucić się w tę otchłań piachu podczas próby.

Ale... ujrzałam też plecy Raihna. Usłyszałam kłamstwo, którym mnie nakarmił.

Nie miałam okazji uwięzić tej złości w jakiejś klatce, a okazywanie Vincentowi nieokiełznanych emocji było niebezpieczną perspektywą.

Wydawał się jednak odprężony moim widokiem. Oceniał mój wygląd i nad jego brew wstąpiła pojedyncza zmarszczka zaskoczenia.

– Co ty masz na sobie?

– Coś innego.

Moje słowa były lakoniczne. Nie miałam ochoty się tłumaczyć.

– To niemądre.

Niemądrym było pokazywanie tak dużo. Niemądrym było przyciąganie uwagi. Niemądrym było noszenie wszystkiego innego, co nie było zbroją.

– Wiem – odparłam.

Nie bardzo wiedział, jak na to zareagować. Posłał mi dziwne spojrzenie, jakby dostrzegał we mnie coś nowego. Może w pewnym sensie ja również dostrzegłam w nim coś nowego.

Vincent nie należał do tych, co proponują temat rozmowy, więc byłam lekko zaskoczona, kiedy wygładził swoją ekspresję i zamiast tego zaoferował swoją rękę.

– Zatańczymy?

– Czy co zrobimy?

Niezamierzenie zmarszczyłam nos, na co odpowiedział suchym śmiechem pełnym rozbawienia.

– Czy to taka skandaliczna propozycja?

– Ja... – Zamilkłam, zanim cokolwiek powiedziałam. Moja twarz jednak, jak zawsze, wszystko zdradziła. Zauważył na niej błysk złości, której nie chciałam mu pokazywać.

– Coś cię trapi.

– Widziałam, co twoi ludzie zrobili Raihnowi.

– Raihnowi?

– Mojemu sojusznikowi.

Spochmurniał.

– Ach.

– Powiedziałaś... – Musiałam ostrożnie dobierać słowa. – Powiedziałaś, że go nie złamiesz.

– Nic w nim się nie złamało – odparł krótko Vincent. – Nie byłem świadkiem metod Jesmine, ale widziałem, że dobrze sobie radził podczas próby.

Dobrze sobie radził pomimo okrutnych tortur, które musiał przejść.

Nic nie powiedziałam, ponieważ nie ufałam sobie na tyle. Nawet z tym, co już ujawniłam, pomyślałam, że to było za wiele. Lecz w przeciwieństwie do moich oczekiwań Vincent wydawał się jedynie znużony i smutny.

– Jestem królem podczas wojny, prowadzącym mój lud przez mroczne czasy – powiedział. – A Jasmine jest generałem, który wie, co należy zrobić, by ochronić królestwo. Czasem takie akcje wymagają nieprzyjemnych działań. Nie mogę temu zaprzeczyć. – Ponownie wyciągnął ku mnie rękę, a na jego usta wpełzł słaby, łagodny uśmiech. – Ale dzisiejszej nocy jestem tylko ojcem, który dwanaście godzin temu był pewien, że ogląda śmierć swojej córki. Tak że proszę, zmijko. Pozwól mi. Pozwól mi być tym mężczyzną choć przez kilka minut.

Przełknęłam ślinę z wahaniem.

To życie wymagało ode mnie nauczania się, jak być wieloma sprzecznościami jednocześnie. Kazało mi zanurzyć mój umysł w wiele małych pokoi, z których każdy zawierał inną część mnie. A teraz bestia reprezentująca moją złość uspokoiła się na tyle, że mogłam ją zamknąć bezpiecznie w jej klatce. Nie zniknęła. Nie została usatysfakcjonowana. Ale została okiełznana.

– Nie umiem tańczyć – powiedziałam w końcu.

– Nie szkodzi. Możemy udawać, że jestem lepszym ojcem i nauczyłem cię takich rzeczy, tak jak powinienem był.

Złagodniałam.

Ujęłam jego rękę i zaprowadził mnie na parkiet. Trzymaliśmy się na uboczu, daleko od pogranicza orgii, która miała miejsce w centrum sali, co byłoby niezręcznym miejscem dla mnie i mojego ojca.

– Nauczyłeś mnie innych, bardziej przydatnych rzeczy niż taniec – powiedziałam.

Zakręcił mną w miejscu. Może i nie wiedziałam, jak się tańczy, ale wiedziałam, jak się poruszać, i zdecydowanie wiedziałam, jak iść za jego przykładem. To wszystko miało swój efekt w mniej niezręcznym potykaniu się, niż się spodziewałam.

– I nauczyłaś się ich śpiewając – odrzekł. – To i więcej, jeśli to, czego byłem świadkiem poprzedniej nocy, miało być tego przejawem.

Duma w jego głosie zapaliła dogasający płomień ciepła w moim sercu. Wbrew sobie napięłam policzki.

Wydawało się to nierealnym snem. Nie do końca byłam pewna, co zrobiłam i jak to zrobiłam, ale wiedziałam jedno: po raz pierwszy w moim życiu poczułam się wtedy potężna.

Vincent zaśmiał się ciepło.

- Nie ukrywaj tej dumy. Jest zasłużona.
- Nie wiedziałam, że to potrafię – przyznałam.

Wiedział? Podejrzewał, że skrywałam w sobie taką moc?

- Nigdy nie wstydz się podnosić oczekowań – powiedział. – Nawet moich.

Do głowy by mi nie przyszło, że możliwym było zrobić coś takiego. Oczekiwania Vincenta były formą, w którą zostałam wlana – nie mogłam wyjść poza jej granice, nie mogłam stać się nikim więcej, tylko tym, co on stworzy. Już dawno rozumiałam, że brutalne słowa i silne ręce były potrzebne. Próbował mnie uchronić przed niebezpieczeństwem i jeden błąd mógł zniszczyć moje kruche, śmiertelne życie.

Vincent nigdy nie przeprosi mnie za to, co zrobił Raihnowi. Może i nie powinien. Może w tych okolicznościach nie zrobił nic złego.

Ale dzisiejszej nocy mógł udawać, że do niczego nie doszło. I może dzisiejszej nocy mogłam iść za jego przykładem, tak jak przez ostatnie piętnaście lat.

Nie mogłam się jednak powstrzymać przed dźgnięciem. Takim małym.

- A Rishanie? – zapytałam jak gdyby nigdy nic. – Pojawiło się coś nowego?

– Jak zawsze. Niedługo wyruszam w drogę, nie będzie mnie kilka tygodni. Nie rozmawiamy jednak o tak mrocznych sprawach. Teraz jestem tutaj.

Tak kręcił mną po parkiecie, że nagle przypomniałam sobie ten jeden czas, kiedy byłam na tyle mała, że mógł unieść mnie jedną ręką, i pokazywał mi, jak to jest latać – tak odrobinę, z balkonu na ziemię. To był jeden jedyny raz.

Powiedziałam mu o tym i z jakiegoś powodu uśmiech, który wykrzywił mu usta, sprawił, że zakłuło mnie serce.

– Pamiętam – powiedział łagodnie. – Wówczas po raz pierwszy widziałem twój uśmiech, od kiedy cię tu przyniosłem.

- Nie pamiętam tego momentu.

– Ja go nigdy nie zapomniałem.

Pomyślałam, jak to było latać z Raihnem. Nawet w tamtej strasznej sytuacji było to uwalniające i ekscytujące.

- Dlaczego nie zrobiłeś tego ponownie? Nie poleciałeś ze mną?

Uśmiech mu zbladł.

– Ostatnią rzeczą, jakiej chciałem, było, żebyś ty uznała, że potrafisz latać, i zaczęła się rzucać z balkonów.

Tu zawsze chodziło o ochronę mnie. Zawsze.

Jak gdyby pomyślał o tym samym, powiedział:

– Nigdy... – Jego głos odplynał, jakby słowa stały się zbyt skomplikowane, żeby utworzyć z nich sylaby. Spojrzał w przestrzeń. Zwolnił kroku.

– Vincencie? – zaniepokoiłam się.

Jego wzrok powrócił. Zamrugał i spojrzał na mnie.

– Nie mogę być odpowiedzialny za wszystko, czym się stajesz, Oraya. Nawet jeśli czasem chciałbym być. Ale jeśli jestem odpowiedzialny za choć załóżek tego, będzie to największe osiągnięcie mojego życia.

Zatrzymaliśmy się i byłam za to wdzięczna, ponieważ inaczej z szoku potknęłabym się o własne stopy.

Nigdy nie mówił do mnie w ten sposób. Ani razu. Przenigdy.

– W czasach przepełnionych desperacją niektórzy myślą o tym, czego nie powiedzieli. A wczoraj, kiedy widziałem, jak spadasz, dotarło do mnie, że może nigdy ci tego nie powiedziałem. Zrozumiałem, że może nie wiedziałaś... nie wiedziałaś, jak bardzo...

Vincent – król Zrodzonych z Nocy, mężczyzna, który nigdy nie spotkał zagrożenia, którego nie potrafił pokonać – zdawał się walczyć ze słowami, które ledwie wyszły z jego ust:

– To było dla mnie ważne, powiedzieć ci to. Po prostu.

Otworzyłam usta, ale nie wiedziałam, jak zareagować.

Czasem nazywano mnie pupilkiem Vincenta, jakbym była jakimś tymczasowo odwracającym uwagę źródłem rozrywki. I mimo że nigdy nie kwestionowałam jego miłości do mnie, którą pokazywał mi na swój sposób, czasami wciąż się nad tym zastanawiałam. Przeżył tyle różnych żywotów dziesięciokrotnie. Miał ponad trzysta lat, a ja byłam częścią jego życia jedynie dwadzieścia wiosen.

Fala ciepła, która mnie załapała po jego słowach, szybko przekształciła się w zimny strach.

– O co chodzi? – zapytałam. – Co się stało?

Ponieważ był tylko jeden powód, dlaczego by tak mówił. Jeżeli coś okropnego miało się stać albo już się stało.

Ale tylko pokręcił głową i zabrał mnie z powrotem w wir tańca.

– Nic. Stałem się po prostu sentymentalnym dziadkiem. Czekam na dzień, kiedy przestanę się martwić, że przeżyję ciebie.

Pasmo jasności nad jego ramieniem przykuło moją uwagę – znajoma postać, którą rozpoznam teraz wszędzie, nawet z drugiej strony pomieszczenia. Raihn wychodził drzwiami, które prowadziły na patio. Miał na sobie czarną jedwabną marynarkę z szarfa w ciemnym fiolecie, opadającą na jego plecy. Rozpuszczone włosy opadały w zburzonych czerwono-czarnych falach. Zdołałam jedynie rzucić na niego okiem, gdy zniknął za drzwiami.

Wróciłam szybko spojrzeniem na Vincenta, ale niewystarczająco szybko. Zauważył moją nieuwagę. Posłał ku mnie półuśmiech, gdy muzyka ucichła, ale zaraz po tym rozbrzmiała ponownie.

– Jeszcze jedna piosenka – powiedział cicho – i puszcę cię, zmijko.

Moja klatka piersiowa wypełniła się uczuciem, którego nie mogłam umiejscowić. Przerazająco podobnym chyba do żałoby. To dziwne odczucie, że coś tutaj istniało, w tym tańcu, czego nie chciałam opuszczać. Poczułam, że jeżeli porzucę ten moment, zginie on na wieki.

Była to głupia myśl. Nie wiedziałam, dlaczego przyszła mi do głowy.

Mimo to z powrotem chwyciłam jego rękę. Tym razem to ja postawiłam pierwszy krok.

– Jeszcze jedna piosenka – zgodziłam się.



Noc była duszna. Gdy wyszłam na patio, już byłam zlana potem. Wilgotność powietrza nie pomogła. Kiedy skończyliśmy nasz drugi taniec, Vincent wyszedł z roli mojego ojca i z powrotem wszedł w rolę króla Zrodzonych z Nocy, władcy narodu objętego wojną. Gdy odszedł do Jesmine i rozmawiał z nią przyciszonym i ponagląjącym głosem, który znałam, był władczy i poważny. Wiedziałam, że nie należy go podsłuchiwać.

Kościół otaczały ogrody, mimo że znajdował się on w centrum śródmieścia, gdzie dodatkowa przestrzeń miała swoją cenę i była podwójnie ekstrawagancka, ponieważ w Domu Nocy woda była jeszcze większą rzadkością. Ale na co nie zasługiwała nasza bogini? Nic nie było ważniejsze od Nyaxii i należały się jej najpiękniejsze ogrody na świecie.

No cóż, zdecydowanie miała to wszystko. Srebrne i niebieskie kwiaty rozpościerały się przede mną w postaci kolorowych koców. Było to tak obrzydliwie piękne, że zdawało się przesadą. Cała roślinność była nieskazitelnie przystrzyżona, zadbana i nawodniona. Ścieżka z marmurowych płytek otaczała klasty zieleni w niepraktycznych, ale artystycznie pięknych wzorach. Z góry było widać, że tworzą pieczęć Domu Nocy.

No tak. Stworzyli jej tylko to, co mogło zostać zaakceptowane wyłącznie przez nią i przez nich.

Kątem oka uchwyciłam ruch. Srebrna grupa stała między krzakami na sąsiedniej ścieżce. Wszyscy byli ubrani w czerwień. Od razu rozpoznałam Angelikę. Niemożliwym było jej nie rozpoznać. Miała na sobie drapowaną czerwoną suknię bez rękawów,

odsłaniającą umięśnione ramiona. Długie srebrzyste włosy splecione w warkocz opadały jej na plecy. Obok niej znajdował się Ivan. Oboje mieli pochylone głowy i byli pogrążeni w poważnej konwersacji z trzecią postacią odwróconą do mnie plecami.

Postać ta jakby wyczuła mój wzrok i zerknęła do tyłu przez ramię.

Natychmiast ją rozpoznałam.

Mężczyzna, z którym rozmawiałam tamtej nocy nad rzeką. Mężczyzna, który podarował mi cygaretki. Zrodzony z Krwi. Stał obok uczestników z Domu Krwi. Było to tak oczywiste, że nie mogłam uwierzyć, że wcześniej tego nie zauważyłam.

Uniósł rękę w geście nakazującym Angelice i Ivanowi odejście. Zrobił to w sposób, który potwierdził, że nie był on tylko Zrodzonym z Krwi, ale i kimś wysoko postawionym, ponieważ Angelika nie wyglądała na kogoś, kto przyjmuje rozkazy od innych, a wycofała się do reszty grupy bez słowa.

– Znowu to zrobiłaś – powiedział mężczyzna i podszedł do mnie. Teraz, gdy się wsłuchałam, mogłam usłyszeć akcent Domu Nocy. Był on wprawdzie delikatny, jakby pozbywał się go stopniowo przez dekady i zredukował go do pojedynczej nuty melodyjnej pieśni szczipionej z każdym słowem. – Dzięki tobie wygrałem niezłą sumkę. Obawiam się jednak, że po tym pokazie szanse przeciwko tobie nie będą tak korzystne dla nielicznych wierzących w ciebie. Wielka szkoda. Mnóstwo korzyści płynie z bycia niedocenianym. – Podniósł ramię, po czym je opuścił. – Powiniennem być przynieść ci więcej cygaretek. Niestety skończyły mi się.

Przeniosłam na niego wzrok. Pozwoliłam sobie wykorzystać fakt, że widziałam go w pełnym świetle, i chwilę mu się poprzyglądać. Zdecydowanie wyglądał na Zrodzonego z Krwi. Jego oczy, z lekko zawężonymi źrenicami, w których odbijało się światło lampionów, miały w sobie charakterystyczne struny szkarłatu i złota. Czerwone znamiona na jego szyi były widoczne tuż nad krawędzią wysokiego i sztywnego kołnierza, zdobionego bordową tkaniną w tradycyjnym stylu Domu Krwi – prostym i dopasowanym. Wcześniej nie byłam w stanie potwierdzić, czy jego włosy były blond, czy srebrne, a teraz widziałam, że łączyły w sobie oba te kolory – popielaty blond z odcieniami szarości, przeplatany niemal białymi kosmykami.

Kącik jego ust się napiął.

– Jest to nieco obraźliwe, gdy ktoś się w ciebie tak wpatruje. Ale domyślałam się, że taka jest twoja codzienność, prawda?

– Po prostu zastanawiam się, jak mogłam nie zauważyć, że jesteś Zrodzonym z Krwi.

– Ach, masz rację. Mieliśmy tak miłe spotkanie i nie przedstawiłem się jeszcze. – Wyciągnął ku mnie rękę. – Septimus, z Domu Krwi.

Nie dotknęłam jej. Zamiast tego cofnęłam się, by wyrównać między nami dystans, gdy wcześniej za bardzo się do mnie zbliżył. Uznał to za zabawne. Wycofał rękę, niewzruszony, i schował ją do kieszeni.

– Rozumiem. Nie łapiesz pustej ręki. Mądrze. Twój ojciec cię tego nauczył?

Najeżyłam się.

Nie lubiłam go. Nie lubiłam sposobu, w jaki mówił, nie lubiłam tego głupiego uśmiešku i przede wszystkim nie podobało mi się, że myślał, że się mną bawi.

– Tu jesteś.

Postanowiłam nie myśleć, jaką ulgę poczułam na dźwięk głosu Raihna. Nie myślałam też o tym, jak blisko obok mnie stanął – tak blisko, że nasze ramiona niemal się stykały – i że moim jedynym odruchem było zmniejszenie między nami pozostałego dystansu.

Zerknęłam na niego, ale zaraz się upomniałam, żeby odwrócić wzrok.

Wyglądał oszalamiająco. Jego ubiór różnił się od tego noszonego przez inne wampiry Zrodzone z Nocy, czy to był Rishan, czy Hiaj. Marynarka przylegała do jego ciała, jakby została dla niego stworzona. Kłapa zapinała się na prosto góra–dół, nie asymetrycznie, jak zazwyczaj w przypadku mody Zrodzonych z Nocy. Guziki były jak srebrne księżyce. Ciemnosrebrny haft zdobił jego kołnierz i mankiety rękawów, a z ramienia zwisała peleryna doczepiona do klatki piersiowej.

Było tego... dużo. Księżycowy Pałac najwyraźniej uznał, że należy go rozpieścić. Pomimo tych wszystkich gałganków jego twarz i włosy pozostały szorstkie i zaniedbane jak zawsze.

Septimus się uśmiechnął.

– Raihn. Właśnie gratulowałem twojej partnerce zwycięstwa. Byliście niesamowici.

Musiałam ukryć zaskoczenie. Septimus zwrócił się do niego po imieniu. Jakby się znali.

Mogłam niemal wyczuć drżenie powietrza. Raihn spochmurniał i spiął mięśnie twarzy, które ukształtowały się w wyraz wielkiego zniesmaczenia.

– Dzięki – powiedział takim tonem, który tego nie ukrywał.

– To jest w sumie interesująca myśl... – Wzrok Septimusa przeskakiwał to na mnie, to na Raihna. – Teraz, kiedy nie mogę stawiać zakładów na waszą dwójkę, zastanawiam się, na kogo powinienem postawić moje srebro następnym razem. Ktoś niewydurowany pomyślałby, że z łatwością mógłbyś ją zabić, Raihn, ale myślę, że Nessanyn ma duże szanse... och, przepraszam. – Kolejny z tych uśmiezków. – Oraya, zgadza się? Zawsze miałem problemy z zapamiętaniem imion.

Nessanyn?

Zmrużyłam oczy, a ręce powędrowały ku mojej broni, którą przypięłam do ud. Była to prowokacja, mimo że nie zrozumiałam jej nawiązania. I osiągnęła swój cel, ponieważ sylwetka Raihna zeszywniała tak nagle, że to poczułam, choć nawet na niego nie spojrzałam.

– Powinieneś pilnować swoich własnych psów. – Odwrócił się i położył rękę na moich plecach (moich bardzo, bardzo nagich plecach), po czym burknął: – Chodźmy.

– Życzę wam miłego wieczoru! – zawołał za nami Septimus.

Poszliśmy ścieżkami ogrodu. Nie oglądaliśmy się za siebie. Raihn był wciąż wyraźnie spięty.

– Wybacz – powiedział. – Mogłem cię uratować od niego wcześniej.

– Znasz go?

– Niestety. Nachodził każdego uczestnika i sprawdzał, co może od nich uzyskać. Jestem zaskoczony, że tyle wytrzymałaś bez poddania się mu.

– Kim on jest?

– Jednym z książąt Domu Krwi. Każdy uczestnik Kejari od nich jest tu na jego rozkaz.

– Co on tu robi?

Zastanawiało mnie, dlaczego w ogóle Zrodzeni z Krwi zgodzili się wziąć udział w Kejari. Nawet sama Nyaxia była do nich wrogo nastawiona. Dwa tysiące lat temu Dom Krwi był jej ulubionym królestwem, lecz gdy zwrócili się przeciwko niej w kłótni o dary, które postanowiła im podarować, koniec końców rzuciła na nich klątwę. Teraz Zrodzonych z Krwi nie darzyła nawet najmniejszą miłością. Tylko raz wampirzyca z Domu Krwi wygrała Kejari – jakieś tysiąc lat temu – i Nyaxia nawet wtedy wahała się przed spełnieniem jej życzenia.

Nie byłam pewna, czy nie wyobraziłam sobie tego momentu zawahania w głowie Raihna, zanim odpowiedział.

– Dom Krwi pragnie władzy bardziej niż czegokolwiek innego. Nawet małe sojusze na coś się przydają.

To miało sens. Wszystkie domy miały prawo wziąć udział w turnieju. To był zapewne jedyny czas, kiedy linia królewska Zrodzonych z Krwi miała możliwość kontaktu z wampirami z pozostałych królestw.

– Widzi wiele korzyści wynikających z wewnętrznego konfliktu Domu Nocy, pieprzony sęp – mruknął jakby do siebie.

Przeszliśmy kilka kolejnych kroków w ciszy, podczas których trawiłam te wszystkie informacje.

Miałam świadomość, że Raihn mi się przypatruje, nawet nie musiałam na niego patrzeć. Czułam go. Czułam, jak jego spojrzenie rozpoczyna się przy moich stopach, a następnie wędruje coraz wyżej i zatrzymuje się na każdym skrawku odkrytej skóry.

Przystanęłam. Odwróciłam się do niego. Staliśmy na tyle blisko siebie, że musiałam unieść nieco głowę, by napotkać jego wzrok. Zauważyłam to po raz pierwszy od kilku tygodni. Kiedy przestałam myśleć o dzielącym nas rozmiarze sylwetek? Kiedy przestało to być zagrożeniem i zaczęło być... dziwnie komfortowe?

– Ładnie wyglądasz – powiedział tonem, który należał do tych przyjemnych dźwięków obiecujących milion rzeczy. Każdy z nich zadrżał pod moją skórą.

– Kim jest Nessanyn? – zapytałam.

Skrzywił się. Wynikło to z zaskoczenia, a może dyskomfortu?

– Stara przyjaciółka, która zasługuje na więcej szacunku, a nie na to, aby ktoś wykorzystywał jej postać w próbach zastraszenia. – Jego oczy spowaźniały. – Uważaj na niego. Jest niebezpieczny.

– Niektórzy nazwaliby niebezpiecznym ciebie.

Kąciki jego ust się uniosły.

– Nie, kiedy jestem z tobą.

Miałam nadzieję, że nie słyszał tego dziwnego odgłosu, który wydało moje serce na te słowa. Poczułam nagły ucisk w klatce piersiowej.

Jego wzrok przeniósł się poza mnie i zatrzymał na kościele, za którego murami odbywało się przyjęcie.

– Nie chcę tu być – powiedział. – Chcesz iść w jakieś ciekawsze miejsce?

Wiedziałam, że głupotą będzie przystać na tę propozycję.

A mimo to nie żałowałam, gdy odpowiedziałam bez wahania:

– Myślałam, że nigdy o to nie zapytasz.



Dobra, niech będzie. Musiałam to przyznać. To ohydne piwsko zaczęło mi smakować. Nie nienawidziłam go. Może... *może* nawet je lubiłam. Ale wciąż nie robiłam min, które prezentował Raihn, gdy on je pił. Jakby miał się zaraz stać bogiem.

Skończył swoją porcję i opuścił kufel. Brew mu opadła, gdy napotkał mój wzrok.

– Co to za mina, księżniczko?

– Moja? Myślałam o *twojej*.

Jeszcze bardziej zniżył brwi.

– Co z nią?

Miałam powiedzieć mu coś obraźliwego. Miałam słowa na końcu języka. Ale w tym momencie światło księżyca padło na jego rysy twarzy w tak idealnej pozycji, że wszystkie je przełknęłam.

Zrozumiałam, że nie mogłam nic powiedzieć o twarzy Raihna. Zapamiętałam każdą jej linię, każdy ruch wyrażający emocje.

To stwierdzenie zawinęło mi supeł na żołądku. Przełknęłam piwo zamiast odpowiedzieć.

Siedzieliśmy na płaskim dachu opuszczonego domu. Raihn zabrał mnie do swojego ulubionego baru z jego ulubionym paskudnym piwem. Nawet z moim człowieczeństwem

i jego wspaniałą grą aktorską nie mogliśmy tam wysiedzieć bez przyciągania uwagi. Wciąż mieliśmy na sobie te stroje, dlatego teraz przyszedliśmy tutaj.

Podobało mi się tu. Mieliśmy ładny punkt widokowy na ulice, a jednocześnie ukryliśmy się przed wścibskimi oczami. Może nasza ciężka praca w końcu się opłaciła, ponieważ wyglądało na to, że ludzie w końcu żyli tutaj własnym życiem. A może po prostu nauczyłam się to bardziej doceniać. Ludzie zostawiali po sobie małe ślady. Kwiaty w okiennych pudełkach, zabawki pozostawione na podwórkach, pary butów przy drzwiach, które odzwierciedlały obraz rodziny mieszkającej w danym domu.

Do tej pory nie dostrzegałam tych rzeczy i przede wszystkim nie widziałam w nich żadnego piękna. Teraz chłonełam wzrokiem każdy najmniejszy szczegół.

Raihn wydał z siebie jęk, po czym pozwolił, by głowa opadła mu na ścianę. Rozpiął kolejny guzik marynarki. Był to już trzeci i odsłaniał długi trójkąt jego umięśnionego ciała aż po mostek, na co starałam się nie patrzeć.

Dokładnie tak, jak usiłowałam nie zauważać, że gdy uniosłam piwo, jego oczy zatrzymały się na mojej skórze.

Starałam się również z tego nie cieszyć. Jego spojrzenie było tak ciężkie jak dotyk.

– Jak dobrze wyrwać się z tamtego dusznego miejsca – powiedział. – Tutaj jest znacznie przyjemniej.

– Prawie w ogóle nie spędziłeś tam czasu.

– Wystarczająco długo, kiedy czekałem na ciebie.

Zamilkł tuż po zakończeniu zdania, jakby się nie spodziewał, że zabrzmi ono w ten sposób.

Ponownie udałam, że nie zauważyłam.

– Poza tym – ciągnął – nie mogłem się tam szwendać w tym żalnym stroju i się socjalizować.

Nie wiedziałam, co miał na myśli.

– Dlaczego? – Kolejny łyk piwa. – Strój ten godzi w twój gust?

– To jest co najmniej dwieście lat przestarzałe. – Raihn prychnął, pokręcił głową i uśmiechnął się gorzko. – Księżycowy Pałac ma okrutne poczucie humoru.

Tego też nie zrozumiałam, ale zanim go o to zapytałam, wzrok Raihna wylądował na mnie. Zaczął od mojej twarzy, po czym szedł coraz niżej. Siedziałam z nogami skulonymi pod sobą, a jedwab mojej sukni gromadził się przy udzie po lewej stronie, gdzie materiał był rozcięty. Jego oczy powędrowały od moich oczu do moich ust, następnie przez szyję, ramię, bok aż do mojego nagiego zgięcia nogi.

Zatrzymał się tam, na moim udzie. Obserwowałam bez tchu, jak kąciki jego ust się unoszą.

– Niebezpieczne – powiedział.

Tak – zgodziłam się z nim w milczeniu.

– Ale praktyczne. – Jego uśmiech się rozszerzył i zrozumiałam, że mówił o broni przywiązanej do mojego uda.

Wypuściłam powietrze.

– Musiałam się wykazać kreatywnością.

– Byłbym zawiedziony, gdybyś przyszła na przyjęcie nieuzbrojona po zęby.

– Też jesteś uzbrojony.

Wskazałam brodą na jego miecz przypięty do pleców. Ten miecz mógł mnie zabić jednym uderzeniem.

Wzruszył ramionami.

– Co to? – zapytał i wskazał na swoją szyję.

Moje palce powtórzyły ten ruch i dotknęłam szala Ilany. Przypomnienie o niej ścisnęło mi żołądek ze smutku i złości.

– Należał do przyjaciółki.

Czasem nie znosiłam tego, że Raihn tak często słyszał to, czego nie mówiłam, chociaż teraz może nieco mnie to uspokoiło.

– Ludzka przyjaciółka – powiedział.

– Tak.

– Ta z tamtej nocy?

Oboje wiedzieliśmy, o której nocy mówił.

Nie żyją, człowieczku.

Spojrzałam na niego pytająco. Skąd to wiedział? Odpowiedział z lekkim uśmiechem, pozbawionym humoru.

– Pachnie jak Księżycowy Pałac.

Szlag. Nienawidziłam tego.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Co to za mina, księżniczko?

– Po prostu... Nie powinno pachnieć jak tamto miejsce. To... należało do niej. Nie do nich. – Dotknęłam końca szala i oplotłam go wokół palców. Zupełnie jakbym poczuła jej dłonie, gdy chciała mi go podarować, kiedy ścisnęłam go wystarczająco mocno. Matko, żałowałam, że go wtedy od niej nie wzięłam.

A teraz wydawało się to jeszcze jedną poniżającą niesprawiedliwością. To, że miejsce, w którym zginęła, wyczyściło ostatnie chwile jej życia.

Było to żalosne. Bez wątpienia też tak brzmiało. Mimo to jego twarz trochę się zmieniła. Było widać, że mnie rozumiał. Przybliżył się.

– To nie wszystko – powiedział. – Pachnie również jak...

Jego rzęsy się obniżyły i znowu nieco zmniejszył dystans, teraz do ledwie kilku centymetrów.

– Jak różane perfumy – mruknął. – I chleb. I... dym z cygara.

Wydałam z siebie dziwny odgłos, odruchowo. Czasem zazdrościłam wampirom. Ich siły, szybkości, mocy. Ale nigdy ta zazdrość nie była tak mocna jak teraz. Oddałabym wszystko, żeby wyczuć ponownie Ilanę. Wyczuć ją i to obrzydliwe, zaniedbane mieszkanie.

– Naprawdę? – zapytałam głosem bardziej szorstkim, niż zamierzałam. – Potrafisz wyczuć to wszystko?

– Trochę trudno jest to zrobić, jako że przeważa zapach... – Odchrząknął. – Cóż. Ciebie. Ale tak, potrafię. Jeśli się postaram. – Przeniósł na mnie spojrzenie. – To wciąż tam jest, Oraya. Pałac nie zabrał wszystkiego.

Zacisnęłam palce na tkaninie.

– Jak miała na imię? – zapytał. – Twoja przyjaciółka?

– Ilana.

Tak naprawdę to nie wypowiedziałam jej imienia na głos od jej śmierci. Kształt sylab na moim języku był jak bunt.

– Przykro mi – powiedział łagodnie. – Przykro mi za to, co się jej przytrafiło. I przykro mi, że... to jest kiepskie miejsce do przeżywania żałoby.

Kiepskie miejsce do przeżywania żałoby. Co za niedomówienie. Nie istniało dobre miejsce do przeżywania żałoby w takim świecie. Nie było tu miejsca na delikatność i słabość. I zdecydowanie nie było tu miejsca na ten rodzaj złości, chaotycznej i niegodnej, którą wyzwoliła we mnie śmierć Ilany.

– Była żywą istotą – wycodziłam. – Nie zdobyczą. Nie pionkiem w grze. Była...

Cholera, czym ona *nie* była? Była jedwabiem, dymem z cygara z wybuchowym temperamentem i milionem sprzeczności; pełnią życia z tysiącem myśli, marzeń i pragnień na przyszłość oraz kimś, kogo naprawdę kochałam.

Zniżyłam wzrok na gliniany dach. Dłonie zacisnęłam na kuflu tak mocno, że zbieleły mi knykcie. Przeczekałam pieczenie w oczach.

– Mogę ci zadać pytanie, Oraya? – odezwał się Raihn. – Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz.

Kiwnęłam głową.

– Kiedy byliśmy połączeni w próbie, poczułem... poczułem wiele rzeczy. Twoją złość. Strach. Smutek.

Zacisnęłam szczęki. Instynktownie powinnam rzucić się na niego za przyjęcie do wiadomości tego, że widział to we mnie. To, czego tak agresywnie pilnowałam. Ale w jego głosie nie było żadnego oskarżenia o słabość. Poza tym wyczułam wtedy to samo od niego. Emocje te były tak silne zarówno w jego sercu, jak i w moim, choć funkcjonowały w nieco inny sposób.

– Jeżeli wygrasz Kejari – kontynuował – poprosisz Nyaxię, żeby cię zmieniła?

Zrozumiałam, o co chciał zapytać, i zdecydowałam, że nie będę odpowiadać. *Jest Rishanem* – wyszeptał Vincent do mojego ucha. Nie mogłam powiedzieć o złączeniu się z Vincentem, o zostaniu jego Coriatae. Te szczegóły były zbyt delikatne.

Ale Raihn, niech go szlag, zobaczył zarys odpowiedzi na mojej twarzy nawet mimo to, że nie powiedziałam ani słowa.

– Tak – powiedział. – Poprosisz ją o to.

Zdawał się dziwnie zawiedziony, co mnie zdenerwowało.

– Dlaczego nie miałabym jej poprosić, żeby mnie zmieniła w coś innego? – oburzyłam się, trochę za szybko. – Masz pojęcie, jak męczące jest takie życie, jakie mam teraz? Nie mogę nic zmienić, zostać niczym innym, jeśli mam kontynuować życie jako zdobycz. – Zagryzłam zęby na tych słowach, po czym potrząsnęłam głową dwa razy. – Nie. Nie mogę teraz tego zrobić. Nie taka, jaka jestem teraz.

– Nie możesz?

Zmusiłam się, żeby spojrzeć Raihnowi w oczy. Po części miałam wrażenie, że drwił ze mnie. Ale w jego wzroku nie było nic udawanego, nic nieszczerzego. Jedynie smutek.

Podczas tej próby patrzył na mnie w sposób, jakbym była w stanie zrobić wszystko. Jakbym była potężniejsza, bardziej inspirująca niż sama Nyaxia. Nikt nigdy wcześniej tak na mnie nie patrzył.

Nawet teraz cień tej admiracji pozostał.

– Nie spiesz się tak z odrzucaniem swojego człowieczeństwa, Oraya – powiedział. – Pewnego dnia możesz się zorientować, że ci go brakuje.

Może i mój wzrok był słaby w ciemności w przeciwieństwie do jego, ale Raihn nie był w stanie ukryć wyrazu bólu, który przebiegł przez jego twarz, choć udawał, że się nie pojawił.

– Te części ciębie nigdy tak naprawdę nie umierają – odparłam cicho.

– Czasem nie jestem tego taki pewny.

– Myślisz, że nie widzę, jak ciężko pracowałeś, by zatrzymać swoje człowieczeństwo? Jesteś bardziej ludzki ode mnie, Raihn. Zachowałeś każdy fragment siebie, który docenia ten gówniany świat. Nikt inny tego nie robi. Zachowałeś to współczucie. To nie ma znaczenia, czy twoja krew jest teraz czarna. To cię nie zmieniło.

Ten komplement znikąd dziwnie smakował na moich wargach. Był taki niekomfortowo poważny. Powiedziałam to jednak tylko dlatego, że wiedziałam, że powinien to usłyszeć.

Poza tym... to też była prawda.

Raihn spał się i umilkł. Następnie powoli, powoli uniósł na mnie wzrok.

Wcześniej patrzył na mnie, jakbym była boginią, i pomyślałam, że nie mogłam czuć się potężniejsza niż w tamtej chwili.

Myliłam się.

Ponieważ teraz patrzył na mnie, jakbym była czymś więcej – jakbym była *człowiekiem*. W jakiś sposób to znaczyło coś więcej.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– A co to za mina?

Spodziewałam się suchego śmiechu, werbalnego szturchnięcia w zębra. On jednak pozostał poważny, a między jego brwiami pojawiła się zmarszczka.

Mój uśmiech zbladł.

– Co?

– Nic.

– Powiedz mi jedną szczerą rzecz, Raihnie Ashraju.

Po dłuższej ciszy w końcu się odezwał.

– Przeżyłem wiele niesprawiedliwości podczas kilku ostatnich stuleci. Byłem świadkiem pieprzonych absurdów. Ale największym z nich jest ten, Oraya, który ktoś ci wmówił. Że musisz stać się czymś więcej od tego, czym jesteś teraz.

Ręce mi zdrętwiały. Palce miałam tak mocno zaciśnięte na kuflu, że zaczęły się trząść. Te słowa rozdarły mnie od szyi do pępka, otworzyły mnie i dotknęły moich najwrażliwszych organów.

Miałam pustkę w głowie przez kilka długich sekund. Po chwili tylko jedna myśl się przez nią przebiła:

Będę musiała zabić tę osobę i nie wiem, czy będę w stanie to zrobić.

Litością ze strony Raihna był brak oczekiwania na odpowiedź. Po prostu wstał i wyciągnął ku mnie rękę.

– Przejdźmy się.



Niebo zaczynało różowieć, zapowiadając świt. Weszliśmy do południowej części dzielnic, powoli zbliżaliśmy się do Księżycowego Pałacu.

Nienawidziłam czasu. Zawsze go nie znosiłam, zawsze był otchłanią, która dzieliła mnie i otaczające wampiry, ale moja nienawiść nie była tak ogromna jak teraz, kiedy ta noc wymykała się spomiędzy palców.

Teraz w każdej sekundzie Raihn będzie próbował mnie zabić. Albo ja będę musiała go unicestwić. Wraz z długością rozmowy cisza pomiędzy zdaniem się wydłużała. Wiedziałam, że obietnica wbijała nam się w skórę.

W końcu zatrzymał się w ciemnej alejce. Strome schodki prowadziły w dół do banku nad rzeką Lituro. Staliśmy dokładnie na granicy naszych światów: śródmieście przed wodą, ludzkie dzielnice za nami. Słońce ostrzegało o swojej obecności. Raihn spojrzał w obie strony – najpierw na lewo, gdzie na horyzoncie był Sivrinaj, a następnie na prawo, na ludzkie dzielnice i formujące się za nimi wydmy.

Po tym wyprostował się i sięgnął do swojej klatki piersiowej, ku klamrze od pokrowca na miecz.

Spięłam się i zrobiłam krok w tył. Sięgnęłam po miecz przy moim udzie. Jedna myśl: *Nadeszła ta chwila.*

Ale on tylko odpiął klamrę.

– Masz. Odlóż to tam, dobrze? Plecy nadal mnie boją, a to jest naprawdę ciężkie.

Zmarszczyłam brwi.

– Co? Dlaczego?

– Po prostu odlóż to tam.

Mówił tak swobodnie, jakby jego prośba nie była niczym dziwnym.

Odebrałam od niego pokrowiec. Nie miałam pojęcia, jak on to nosił na co dzień, było faktycznie bardzo ciężkie. Musiałam napiąć wszystkie mięśnie, żeby nie wyslizgnął mi się z rąk.

Zrobiłam, jak kazał, i oparłam go o ścianę.

Raihn przeszedł dwa kroki dalej, znajdowałam się teraz bliżej jego broni niż on.

Wszystko to zdawało się takie obojętne, ale wiedziałam, że to było przedstawienie. Spędziłam miesiące na studiowaniu każdego ruchu Raihna. To było zupełnie jak jego styl walki. Magia ukryta w brutalnych uderzeniach.

Nie rozumiałam jednak powodu. Obserwowałam i czekałam na jego sztuczkę.

Odwrócił się do mnie, a następnie odpiął kolejne dwa guziki marynarki. Ukazały się kolejne centymetry jego nagiej klatki piersiowej. Oparł się o ścianę, po czym otworzył tkaninę, spojrzał po sobie i zmarszczył brwi.

– Mam fatalną ranę, którą otrzymałem na próbie. Nawet zasoby lecznicze za bardzo nie pomogły.

– Ty... co?

– Myślisz, że powinienem się martwić?

Nie poruszyłam się.

Wywrócił na mnie oczami.

– No naprawdę, chodź tutaj.

Podeszłam. Trzymał kłapy marynarki otwarte, głowę opierał o ścianę, tym samym w pełni odsłaniał szeroki trójkąt nagiej skóry i szyję.

Odsłaniał to wszystko mnie. A ja byłam uzbrojona.

Podczas gdy jego broń leżała tam, poza jego zasięgiem.

W momencie zrozumiałam, o co chodziło. Co robiliśmy.

Oferował mi się. Dawał mi szansę. Wiedział to. Ja to wiedziałam. Wiedzieliśmy, że każde z nas wiedziało.

Mogłam go zabić w tym momencie. Zajęłoby to sekundę. Wbiłabym ostrze tutaj, w sam środek tej perfekcyjnej skóry. Jego krew zapewne byłaby cieplejsza niż krew tych, których zabiłam do tej pory. Nie wiedziałam, dlaczego o tym pomyślałam, ale byłam niemal pewna, że to byłaby prawda. Zastanawiałam się, czy chwyciłby mnie na sam koniec. Jak by to było poczuć jego ostatni oddech na moim policzku.

– No i? – zapytał. – Jak myślisz?

Zbliżyłam się.

Nasze ciała niemal się stykały. Otoczył mnie jego zapach. Uderzyło mnie, że ten element zapachu, którego nie mogłam rozpoznać, nagle stał się dla mnie jasny.

Pachniał jak niebo. Pachniał jak powietrze, gdy gwałtownie przepływało obok mnie, pełne wolności i przerażające oraz najpiękniejsze, jakiego można doświadczyć.

Koniuszkami palców dotknęłam jego klatki piersiowej. Jego skóra była ciepła. Tutaj też miał kilka blizn i niewielką ilość ciemnego owłosienia, które było miększe, niż się spodziewałam. Poczułam nagłą potrzebę, by położyć na jego piersi otwartą dłoń, następnie przejechać nią po tych wszystkich różnych powierzchniach. Niemal mnie to przytłoczyło.

Zazdrościłam wampirom całe swoje życie, ale teraz – po raz pierwszy – im współczułam.

Ponieważ nagle zrozumiałam, jak wyglądał głód.

Był rozdzierający.

– Hm – odparłam bez emocji. – Wygląda na coś poważnego.

– Martwiłem się, że to powiesz.

Zmusiłam się, by oderwać wzrok od jego klatki piersiowej, i przeniosłam go wyżej na jego elegancko ułożone mięśnie szyi, aż do ust. Niosły ze sobą obietnice, wyryte w delikatnej krzywiznie jego uśmiechu, a ten komunikował tyle rzeczy, o których nie mówił.

Ciekawe, czy ten uśmiech by pozostał, jeślibym go tu zabiła.

– Twoje serce szybko bije – mruknął. – Musisz się bardzo martwić o moje zdrowie.

Wypuściłam drżące powietrze, którym chciałam upozorować śmiech.

I nie poruszyłam się – nie mogłam się poruszyć. Palcami wciąż dotykałam jego skóry, podczas gdy jego dłoń powędrowała do mojej twarzy. Pozwoliłam mu także mnie dotknąć. Pozwoliłam, żeby jego szorstkie knykcie pogłaskały mój policzek, a następnie rozwinęły się przy mojej szczęce. Pozostawił swój kciuk, którym po chwili powoli przesunął po kąciku moich ust, w kierunku dolnej wargi.

– A może się boisz?

Uśmiech wyparował. To było poważne pytanie.

Odpowiedź mnie spetryfikowała, ponieważ się nie bałam, i to było najbardziej przerażające.

Mogłam rozdrzeć mu koszulę, przesunąć dłońmi po jego klatce piersiowej i wbić swój zatruty miecz tutaj – dokładnie w jego serce. Mógłby rozdrzeć tę żałośnie delikatną suknię i przeciąć mnie na pół.

Oboje moglibyśmy się wykończyć.

Spojrzałam w górę, w jego oczy. Nigdy wcześniej nie patrzyłam na nie z tej odległości. Zauważyłam, że wyglądały na czerwone, ponieważ składały się z wielu barw – niemal czarnej, miodowej, kawowej, a nawet z małych ilości jasnego szkarłatu. Tyle różnych odcieni, które nie powinny się ze sobą łączyć. Tak jak on. Tak jak ja.

I to było tutaj, w jego oczach, gdzie odkryłam prawdę, która powinna mnie złamać.

Tak, moglibyśmy się tutaj pozabijać. Oferowaliśmy się sobie nawzajem.

Ale żadne z nas nie chciało tego zrobić.

– Nie – wyszeptałam. – Nie boję się.

Nie zorientowałam się, że kąciki moich ust poszły ku górze, dopóki nie poruszył kciukiem. Naśladował nim kształt tego uśmiechu, jakby było to coś wartego uwagi.

– Zabijesz mnie, Orayo?

Nie uciekłam. Nie poruszyłam się. Zamiast tego położyłam otwartą dłoń na jego klatce piersiowej.

Sama siebie zaskoczyłam odpowiedzią:

– Nie tej nocy.

Jego ręka opuściła moją twarz i odgarnęła z policzka zagubiony czarny kosmyk. Nie wycofał jednak po tym dłoni, tylko zacisnął palce wokół moich włosów. Ścisnął je, ale ich nie pociągnął, jak gdyby próbował sam siebie przekonać, że powinien mnie puścić wolno i tym samym zawieść.

– I tak możesz mnie zniszczyć.

Wtedy to ujrzałam, w tym momencie. Potrzeba. Pożądanie.

Wiedziałam, co dla wampirów oznaczało pożądać kogoś takiego jak ja. Tak doskonale byłam tego świadoma, że powinnam stąd uciec.

Ale jeszcze bardziej przerażające od jego pożądania było moje własne. Czułam jego wołanie odbijające się echem w moim pulsie. Było tak silne, że kiedy w końcu mnie puścił – kiedy w końcu odsunęłam się od niego i odwróciłam plecami bez dalszego komentarza – musiałam walczyć z pokusą wylizania jego dotyku z koniuszków moich palców.

Być może miałyby to tak metaliczny posmak i byłoby tak gorące jak krew.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Po uczcie z przyzwyczajenia wróciliśmy z Raihnem do jednego mieszkania. Wtem zatrzymaliśmy się przy drzwiach, spojrzeliśmy na siebie i pomyśleliśmy to samo. Pozostanie razem nie było mądre.

– Może być bezpieczniej – powiedział w końcu Raihn. – Jak będziemy trzymać się razem. Jeżeli chcesz.

Wmówiłam sobie, że miał rację. Wmówiłam sobie, że dobrze będzie trzymać go przy sobie dzień dłużej. Jako ochrona przed innymi. Przed nim, bym mogła mieć na niego oko.

Wszystko było bzdurą oczywiście. Przynajmniej byłam tego świadoma.

Otworzyłam drzwi.

– Jeśli boisz się spać sam w pustym apartamencie, po prostu się do tego przyznaj – powiedziałam i to był ostatni raz, kiedy o tym mówiliśmy.

Prawda była taka, że chciałam zostać. Myśl o tym, że miałabym go zostawić i być sama, spowodowała ukłucie w klatce piersiowej. Zobaczyłam, że jego również to zabolalo, kiedy tamtej nocy patrzyłam, jak pakuje pozostałe rzeczy Mische i odkłada pokrytą plamami krwi pościel, której nie mieliśmy czasu zebrać przed Próbą Kwadry. Schował torbę, którą zostawiła.

Kiedy skończył, zostałam z nim w salonie, zamiast wrócić do mojej sypialni, i zaoferowałam mu milczące towarzystwo.

Warto było wiedzieć, że nie jest się samemu. Myślę, że czuł to samo co ja, ponieważ również nie odszedł. Spaliśmy tamtego dnia rozłożeni na kanapach i fotelach, ale żadne z nas się nie żaliło, gdy obudziliśmy się w symfonii bólu.

Nie zabiłam go również kolejnej nocy.

I następnej.

Nie zabiłam go podczas każdego z niezliczonych momentów, kiedy był bezbronny.

Nie odebrałam mu życia nawet wtedy, kiedy następnego dnia przechodziłam obok jego sypialni i zauważyłam, że zostawił drzwi do niej lekko uchylone w szokującym pokazie zaufania albo głupoty.

Zajrzałam do środka i zobaczyłam, że był rozłożony w łóżku, a na jego ciele odbijało się lekkie światło lampionu pochodzącego z korytarza oraz srebrzyste światło dzienne, które przebijało się przez szczeliny w zasłonach. Ciepłe i chłodne odcienie podkreślały każde wgłębienie i zmarszczenie jego nagich mięśni. Spał z każdą kończyną wykręconą w różnym kierunku, ale mimo to jakimś sposobem nadal udało mu się wyglądać poetycko, jak rzeźba. Choć ta rzeźba bardzo głośno chrapała.

Uderzyło mnie, jak bardzo ten widok przypominał mi obraz w wielkiej sali zamku Vincenta. Ten jeden Rishan, spadający i sięgający ku górze. Teraz było to piękne, nie tragiczne.

Doskonały moment – wyszeptał mi Vincent do ucha. Jeśli miałam go zabić, to teraz była ku temu idealna pora.

Szybko zasnął. Mogłam rozsunąć zasłony. Zaprosić całe światło słoneczne, by powstrzymać go od odwetu, podczas gdy będę się zakradać do tego pięknego nagiego ciała. Następnie uwięzę jego biodra między moimi kolanami i zatopię miecz w jego klatce piersiowej. Pościel byłaby wkrótce przesiąknięta.

Wyobraziłam sobie, że to robię – przechodzę przez pokój, wspinam się na niego. Wyobraziłam sobie sposób, w jaki jego nagie ciało wyglądałoby pode mną, jego tors i włosy niedbale rozrzucone wokół twarzy. Wyobraziłam sobie, jakie to byłoby uczucie, mocne i potężne, jak nieograniczony potencjał uwięziony pod skórą, twarde wzdłuż wewnętrznej strony moich ud, wzdłuż wierzchołka mojego rdzenia.

Wyobraziłam sobie, jak podnoszę broń...

Zanim ją jednak opuściłam, jego oczy się otworzyły. Przejechał rękami, szorstkimi i zrogowaciałymi, po moim udzie, talii, piersi, po czym na jego usta wstąpił znajomy uśmiezek.

– Chcesz mnie zabić, księżniczko?

I nie czekał na odpowiedź, tylko...

Obudziłam się gwałtownie z gorącą twarzą. Pot przyklejał włosy do mojej skóry. Potrzebowałam czasu, żeby uspokoić serce. Gdy wstałam z łóżka i wyjrzałam na zewnątrz, zobaczyłam uchylone drzwi do jego sypialni. Pooglądałam go przez kilka długich momentów, po czym odeszłam.

Nie, nie zabiłam go i tamtego dnia.

Trzy dni minęły i żadne z nas nie podjęło tematu odejścia, nie zabiliśmy się i zorientowałam się, że wcale nie chciałam tego robić.



Raihn gotował.

Musiałam przyznać: byłam bardzo sceptycznie nastawiona do słów Mische, kiedy powiedziała, że Raihn jest „świetnym kucharzem”. Myśl o napakowanym i pokrytym bliznami wojennymi Raihnie, pochylającym się nad kuchenką, wydawała się śmieszna. Wyglądało to tak śmiesznie, jak sobie wyobrażałam.

Ale za to pachniało nieziemsko.

Nie miałam pojęcia, co przygotowywał, wiedziałam tylko, że składniki pochodziły z kolekcji, którą przyniósł z miasta w płótnianej torbie, i że zdołał stworzyć cały posiłek z użyciem jedynie wgniecionego garnka nad kominkiem.

– Chodź tutaj. – Skinął na mnie do sąsiedniego pokoju, w którym ćwiczyłam swoją wciąż żałośnie niespójną magię i próbowałam udawać, że nie zwracam na niego uwagi.

Podeszłam do niego i wyciągnął ku mnie drewnianą łyżkę.

– Potrzebuję twojej pomocy. Posmakuj.

Wpatrywałam się w zawartość łyżki. Wyglądała jak gulasz z kawałkami warzyw, hojnie posypany przyprawami, zagęszczony kremowo-brązowym sosem. Pochyliłam głowę i posmakowałam.

Szlag.

Niemal ugięły się pode mną nogi. Cokolwiek chciałam powiedzieć, poplątało mi się na języku i stopniało pod... pod... Matko, brakowało mi słów, by opisać ten smak. Nigdy nie jadłam czegoś podobnego.

Kiedy w końcu wróciłam do rzeczywistości, zamrugałam i spojrzałam na Raihna, który obserwował mnie z dziwnym, oglupiałym wyrazem twarzy.

– Nie tak wyobrażałam sobie twoje pierwsze doświadczenie – skomentował.

Przestałam przeżuwać.

Raihn więcej nie powiedział, ale ten błysk w jego oku, gdy się odwracał, powiedział mi, że on też zrozumiał, że jego żart sugerował więcej, niż zamierzał.

Wyobrażałem sobie.

Pierwsze.

Powietrze zgęstniało. Wytarłam trochę gulaszu z kącika ust.

– Nie wierzyłam Mische, kiedy powiedziała, że byłeś dobrym kucharzem. – Mówiłam bardzo swobodnie. – Ale... nie jest to najgorsze.

To wystarczyło, żeby przełamać napięcie, a przynajmniej żebyśmy udawali, że zostało przełamane.

– To absurd, że dorastałaś, jedząc wampirze jedzenie. Wampiry nie potrafią gotować.

– Ty potrafisz.

– Tylko dlatego, że jest to bliskie mojemu sercu. Nic z tego nie smakuje tak jak kiedyś.

Racja. Wampiry nigdy nie przestają jeść normalnego jedzenia, ale ich kubki smakowe różnią się od ludzkich. Nigdy nie przestałam myśleć o tym, jak to było w przypadku Przemienionych wampirów.

– Zmieniło się to z czasem? – zapytałam. Kiwnął głową, zdjął garnek z ognia i postawił go na stole.

– Powoli, z czasem. A to? To teraz smakuje dla mnie bardzo mdło. Ale Mische jest młodsza ode mnie, więc jej smak jest bardziej ludzki. Podobny do twojego.

Nadstawiłam uszu.

– Mische? – Zerknęłam na stół, na mały zakryty garnek czekający na gulasz. – To dla Mische?

– Uważam, że na to zasłużyła.

– Idziesz się z nią zobaczyć?

– Tak. Jeśli nie masz nic przeciwko, żebyśmy poświęcili jeden dzień treningu.

Nie myślałam o tym, że wciąż uważał, że będziemy razem trenować.

Zamiast tego myślałam o Mische – Mische i jej radosnym, lekkim śmiechu, o tym, że traktowała mnie, jakbym była faktycznie jej przyjaciółką. Obraz ten był odmienny od tego, jak wyglądała, kiedy ją zostawiliśmy. Była tylko skorupką dawnej siebie.

Nieświadomie dotknęłam nadgarstka, na którym znajdował się bandaż po wciąż niezagojonym ugryzieniu przez Ministra.

Dłuższy moment zajęło mi umiejscowienie tego uczucia, z którym walczyłam, by zamienić je w słowa i które okazało się zmartwieniem.

– Mogę iść z tobą? – wyrzuciłam z siebie, zanim zdołałam pomyśleć.

Raihn, znowu odwrócony do mnie plecami, zatrzymał się na tyle długo, że zalała mnie fala niepewności. Oczywiście, że nie będzie chciał mnie zabrać – byłam przecież jego wrogiem w każdym tego słowa znaczeniu – bym mogła zobaczyć Mische poza granicami Księżycowego Pałacu. Pewnie nawet ona nie chciała mnie widzieć.

Ale kiedy Raihn się odwrócił, uśmiechał się – nie: *szczyrzył* zęby.

– Na pewno się ucieszy – odparł krótko.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Bylaam zaskoczona, że Raihn mógł już latać. Wampiry leczyły się bardzo szybko, ale rany na jego plecach stały się strupowate i wyboiste, pokryte świeżym płatem różowej skóry. Myślałam, że miną jeszcze tygodnie, by mógł używać skrzydeł. Zapewniał, że wszystko było w porządku, ale nie umknęło mi, że skrzywił się na twarzy, kiedy je wypuścił. Jego ciało spięło się, gdy wzlecieliśmy w powietrze.

– W porządku? – zapytałam po jakimś czasie.

– Idealnie – odparł, jakby nie wiedział, dlaczego o to pytam.

Lecieliśmy długi, długi czas. Godziny. Po raz pierwszy, gdy z nim leciałam, atak przyćmił większość radości. Teraz, kiedy nic mnie nie rozpraszało, nie mogłam się powstrzymać i upajałam się tym. Uwielbiałam szybkość, z jaką rozwijał się przed nami krajobraz. Świat, który mnie uwięził, teraz zmniejszył się do figurek niekonsekwentnej wielkości. Uwielbiałam zapach powietrza i tego, jak uderzało mnie po twarzy.

Wszystko uwielbiałam.

Poczułam, jak Raihn skręca, poczułam ciepło oddechu na moim policzku. Zerknęłam na niego i zobaczyłam, że wykręca głowę, by na mnie spojrzeć. To sprawiło, że nasze twarze znalazły się bardzo blisko siebie, jego nos zaledwie kilka centymetrów od mojego.

Jego oczy rozbłysły z rozbawieniem.

– Szczerzysz się jak małe dziecko.

Prychnęłam, a on się zaśmiał.

– Och, nieważne. Oto i ona.

Wywróciłam oczami i wróciłam do obserwowania krajobrazu pode mną. Przelecieliśmy przez śródmieście i teraz szybowaliśmy nad osadami rozciągniętymi w wydmach.

– Podoba ci się latanie – powiedział.

Nawet nie próbowałam temu zaprzeczyć.

– Tak.

Niedomówienie. Matko, gdybym miała takie skrzydła, trzeba by mnie było ściągać na dół.

– To niespotykane – kontynuował. – Większość nielatających nienawidzi tego po kilku pierwszych lotach.

– Dużo nielatających kobiet ze sobą nosisz?

– Kilka. Większość mnie obrzygała.

– To się jeszcze może zdarzyć. Nie trać czujności.

– Domyśliłem się, że twój żołądek jest pewnie tak silny jak twoja wola.

Przekrzywiłam głowę, by łypnąć na niego.

– A jak silna według ciebie ona jest?

Uśmiechnął się i nachylił ku mnie na tyle blisko, by wyszeptać do ucha:

– Oczywiście czysta pieprzona stal.

Oczywiście.



Wylądowaliśmy na farmie. Znajdowała się daleko poza granicami Sivrinaju, poza wydmami. Minęliśmy niewielkie miasteczko niedaleko farmy, ale dom, do którego sprowadził nas Raihn, stał poza najbliższą zaludnioną ulicą. Był to mały, ale porządnym budynek, wykonany z piaskowo-szarej kostki. We wszystkich kierunkach rozciągała się trawa, kremowo-złota nawet w zimnym świetle księżyca. Na lewo pasły się konie. Na prawo owce, kozy i jeden muł, który truchtał, by nas zbadać, z wyraźnym niepokojem.

Kiedy Raihn postawił mnie na ziemi, niemal straciłam równowagę. Moje kolana były miękkie i nie chciały współpracować. Zwracałam jednak większą uwagę na grymas Raihna, kiedy złożył skrzydła.

Przyłapał mnie na wpatrywaniu się w niego.

– Przestań z tą miną, księżniczko.

– Nie robię żadnej miny.

Wypuścił z siebie pełne bólu westchnięcie.

– Naprawdę nie jesteś świadoma, że *zawsze* robisz miny?

Skierował się w stronę drzwi i podążyłam za nim, nagle bardzo świadoma mięśni mojej twarzy. Mylił się. Nie robiłam min *zawsze*.

Drzwi się otwały. Wysoki, szczupły mężczyzna z czupryną truskawkowo-złotych włosów stanął przed nami i odsłonił ostre kły w szerokim uśmiechu.

– Raihn! Co za miła niespodzianka. Mische będzie zachwycona. I...

Jego oczy, niebieskie jak niebo, przesunęły się na mnie ponad ramieniem Raihna. Kiedy nas wpuszczał do środka, jego uśmiech zmienił się w coś zaskoczonego, ale nie do końca przyjaznego.

– Och. No cóż. To jest... Chyba wiem, kim ty jesteś.

Co za powitanie. Nie podobał mi się jego ton.

Raihn potrząsnął głową i dotknął moich pleców.

– Wspaniała gościnność, jak *zawsze* – burknął i zaprowadził mnie do środka, dotykając mnie uspokajająco koniuszkami palców, choć to drugie może sobie tylko wyobrazić.

Wnętrze domu było podobne do jego zewnętrznej struktury – proste, ale czyste. Dobrze zbudowane, ale nie za ozdobne. Kobieta o popielatobrązowych włosach związanych w miotełkę na czubku głowy wyszła do nas z pomieszczenia, które wyglądało jak kuchnia, po czym się zatrzymała.

– Oraya – powiedział Raihn – to jest Cairis. – Wskazał na jasnowłosego mężczyznę, który pomachał z niepewnym uśmiechem. Następnie Raihn wskazał na brunetkę. – A to jest Ketura.

Nie wyjaśnił, kim byli i jaką miał z nimi relację.

Ketura nic nie powiedziała ani się nie poruszyła. Nawet nie mrugała.

– Gdzie Mische? – zapytał Raihn. – Na górze?

Już był w drodze tam, rękę trzymał na moim ramieniu i ustawił mnie przed sobą. Wydawało się to naturalnym zachowaniem, ale zdawałam sobie sprawę, co robił. Dorastałam z Vincentem, więc wiedziałam, jak wyglądała ochrona.

– Drugi pokój na prawo – zawołał Cairis, ale żadne z nich za nami nie poszło.

Drzwi były lekko uchylone. Raihn zapukał, a następnie pchnął je. Mische znajdowała się w łóżku, otoczona puchatą białą pościelą i kocami. Wyglądała przez okno z nietkniętą książką spoczywającą na jej kolanie.

Kiedy zobaczyła Raihna, jej twarz rozjaśniła się w tryskającym życiem uśmiechu. Natychmiast usiadła, jakby szykowała się do wystrzelenia z łóżka. Raihn zrobił dwa

szybkie kroki, jakby zobaczył to samo co ja i planował ją złapać, zanim przypadkiem spadnie na podłogę.

– Nawet nie próbuj... – zaczął, ale gdy tylko znalazł się w zasięgu jej rąk, podskoczyła i rzuciła się na niego. Oplotła jego szyję tak gwałtownie, że wypuścił lekko powietrze.

Burknął coś nieprzekonująco potępiającego ale się nie cofnął. W końcu go puściła i gdy odwróciła się do mnie, jej uśmiech jakimś cudem stał się jeszcze szerszy.

Ostatnie szczątki mojej niepewności zniknęły. Wyglądała na taką *szczęśliwą*.

Odruchowo potarłam nadgarstek.

Mische wyglądała, jakby miała zaraz wyskoczyć i też mnie przytulić, ale stałam o krok za daleko. Zdecydowałam się na niezręczne pomachanie ręką.

– Lepiej się czujesz?

– Teraz na pewno! – wysapała.

Podczas gdy wyraźnie dalej cierpiała, roziskrzony entuzjazm naznaczał każde jej słowo. Usiadłam z Raihnem na brzegu łóżka, a ona zaczęła nam opowiadać, jak spędzała tutaj czas – o codziennych grach karcianych Cairisa i lekcji ogrodnictwa od Ketury, o imionach, które nadała wszystkim kurom, o tym, jak była pewna, że powoli zyskuje zaufanie nieznośnego muła na pastwisku.

– Nie mam co do tego wątpliwości – powiedział na to Raihn i próbowałam nie czuć się urażona, kiedy posłał ku mnie podstępny uśmieszek. – Wydajesz się dobra w obłaskawianiu kapryśnych istot.

O bogini. I pomyśleć, że godzinę temu powiedział mi komplement.

Mische zadała nam milion pytań o Próbę Kwadry. Udzieliłam krótkich odpowiedzi, a Raihn rozwinął je poprzez dodanie animowanych wtrąceń. Jej oczy rozszerzały się z każdym zdaniem.

– O bogowie – wysapała, kiedy skończyliśmy. – Ta nieśmiała magia się ośmieliła! Mówiłam ci! To było w *tobie*.

Zastanawiałam się, czy tylko wyobraziłam sobie ten smutek w jej głosie, naprędce ukryty. Zatrzymałam wzrok na oparzeniach widocznych pod jej rękawem.

Wzruszyłam ramionami.

– Łut szczęścia.

– Nie, to było niesamowite – powiedział Raihn.

Uniknęłam jego spojrzenia.

Siedzieliśmy z Mische bardzo długo, a tematy rozmów krążyły od prób po inne błaźnotki. Nie mówiłam za dużo, zostawiłam prowadzenie konwersacji Raihnowi i Mische i nie miałam nic przeciwko temu. Nawet gdy z nimi mieszkaliśmy, co i raz

zaskakiwało mnie ciepło ich interakcji. Dwie osoby, które po prostu czuły się ze sobą komfortowo.

Ostatecznie Raihn zerknął przez okno.

– Robi się późno – powiedział, lekko przygnębiony. – Musimy wracać. Droga powrotna nam trochę zajmie.

Wstał i tym razem nie pozwolił, by Mische rzuciła się na niego, ponieważ sam zgarnął ją w swoje ramiona i mocno przytulił.

– Zdrowiej, dobrze?

– Dobrze – odpowiedziała w jego ramię. – Bądź bezpieczny. Skop im tyłki.

– Jasna sprawa.

Przesunęłam się niezręcznie i odwróciłam wzrok. Wyglądało to na moment, którego nie powinnam przerywać.

Wtedy Raihn odsunął się od niej, pocałował ją w czoło i pożegnał się z nią po raz ostatni, zanim udał się do drzwi. Wydusiłam z siebie kulawe „do widzenia” i ruszyłam za nim, kiedy Mische się odezwała.

– Oraya.

Odwróciłam się.

– Ty też – powiedziała łagodnie. – Uważaj na siebie, dobrze? Bądź bezpieczna.

Poczucie winy ścisnęło mi płuca, ponieważ dopiero co byłam świadkiem, jak Raihn obiecuje jej to samo, i wiedziałam, że wkrótce możemy tej obietnicy nie dotrzymać. Gdy na nich patrzyłam, trudno było stwierdzić, czy może zasługiwał na to bardziej.

– Oczywiście – odpowiedziałam.

– Dziękuję, że przyszedłeś. To... naprawdę wiele dla mnie znaczy. – Posłała mi delikatny uśmiech. – Dla niego również.

Wyciągała ku mnie rękę. To nie był uścisk – być może wiedziała, że to byłoby dla mnie za wiele. Mimo to złapałam się na tym, że odpowiadam jej tym samym. Jej palce były ciepłe jak na wampirzycę, a dotyk miękki i delikatny. Ścisnęła moją dłoń.

Poczułam gulę w gardle.

– Mam nadzieję, że wkrótce wydobrzejesz – powiedziałam. – Po prostu... Po prostu się cieszę, że z tego wyszedłeś.

– Ja też.

Puściła mnie, pomachała mi i zamknęła za sobą drzwi. Kiedy dotarłam na szczyt schodów, zawahałam się. Z dołu dochodziły przyciszone głosy. Miały poważny ton.

Nie mogłam się powstrzymać. Wmówiłam sobie, że nie podsłuchuję, tylko... nie wyszło mi ogłoszenie swojej obecności.

Poruszałam się bardzo, bardzo wolno po schodach. Trzymałam się blisko ściany, żeby stopnie nie skrzypiały pod moim ciężarem. Zauważyłam jedynie fragment ramienia Raihna na krawędzi framugi drzwi.

– Vale jest w drodze tutaj – mówił Cairis. – Przyprowdzi nawet swoją *nową żonę*, jeśli możesz to sobie wyobrazić.

Brzmiał jak plotkująca gospodyni.

– Żonę? – Raihn zdawał się zaskoczony. – Z Dhery? Kogo...

– Człowieka. A przynajmniej *była* człowiekiem.

Cairis powiedział to tonem, który sugerował oceniające spojrzenie znad filizanki z herbatą.

Zapadła dłuższa cisza. Ledwie widziałam Raihna, ale w jakiś sposób wiedziałam, że zeszytniał. Dezaprobata unosiła się wokół niego jak gęsty dym.

– Ciekawe – powiedział sucho.

– Oczywiście, że ciekawe – zaćwierkał Cairis. – Nie uważasz, Ketura?

Cisza.

Nagle, tak cicho, że ledwie mogłam to usłyszeć, powiedziała:

– *Ona* nie powinna tu być.

– Jest przyjaciółką – powiedział Raihn.

– Nie, nie jest.

– Jest, Keturo, i musisz to zapamiętać.

Brew mi drgnęła. To było coś, czego nigdy nie usłyszałam w głowie Raihna – rozkaz.

– Czy ty wiesz, co on teraz tam robi? – syknęła Ketura. – Gdybyś to widział, Raihn. Co zrobił w Genrze i Isce. Gdybyś zobaczył, ilu ludzi zabił.

Wyszło mi w ustach. Genra i Isca – rishańskie miasta. Jedno było nawet blisko dzielnicy, w której się urodziłam – Salinae. Dzielnicy, w której wciąż mogła być moja rodzina, o ile ktokolwiek z mojego dawnego życia przeżył noc, w którą znalazł mnie Vincent.

Czyli Cairis i Ketura byli Rishanami. Nie musiałam widzieć ich skrzydeł, wystarczył mi sposób ich mówienia.

– Jestem tego świadom.

– I wciąż przekraczasz ten próg z nią? Przynosisz tutaj ludzką sukę Vincenta...

– *Nie waź* się tak o niej mówić – powiedział ostro Raihn.

Nastąpiła nagła cisza.

– Przepraszam. – Nie zabrzmiało to jednak zbyt szczerze.

Zrobiłam krok więcej i schodek jęknął, ujawniając moją obecność. Trzy pary oczu zwróciły się na mnie: przyjemnie naturalne spojrzenie Raihna, Cairisa – pełne otwartej

ciekawości i ostre Ketury.

Odchrząknęłam i pospieszyłam na dół.

– Musimy wracać – powiedział do mnie Raihn. – Musimy mieć pewność, że nie utkniemy po złej stronie Księżycowego Pałacu, kiedy nastanie świt.

Następnie zwrócił się do Ketury i Cairisa.

– Dajcie Mische jedzenie. Odwiedzę ją niedługo. – Nie powiedział nic więcej i wypchnął mnie za drzwi, otoczył ramionami i wystrzelił w powietrze.

Lecieliśmy jakiś czas w ciszy.

– Słyszałaś wszystko, prawda? – zapytał w końcu.

Oczywiście, że wiedział. Nie zamierzałam temu zaprzeczać.

– Nie było to trudne.

– Ketura jest zmartwiona i zła. Jak wielu tutaj teraz. Jest trochę... wrażliwa.

Miałam wrażenie, że dobierał słowa bardzo rozmyślnie.

– Jeśli miałabym czuć się urażona za każdym razem, gdy ktoś nazwie mnie zabawką Vincenta albo suką, albo jakkolwiek mieliby mnie nazwać, powinnam winić tylko siebie. I tak nawet ty mnie tak nazwałeś.

Raihn milczał przez dłuższy moment. Oboje wiedzieliśmy, że nie mógł się z tym kłócić.

– Żona Ketury jest w Salinae – powiedział. – Boi się o nią. Mamy niepewne czasy.

Salinae. Wspomnienie tej nazwy wywołało ból w mojej klatce piersiowej – współczucie, a po nim coś bardziej gorzkiego.

Też martwiłam się o Salinae.

– Stamtąd pochodzę – powiedziałam. – Salinae.

– Naprawdę?

– Tam Vincent mnie znalazł. W tamtejszych ludzkich dzielnicach. To było wtedy, kiedy wyciszał bunt. Chciałabym... – Zawahałam się. Nigdy nie przyznałam się do tego głośno. Nikomu poza Vincentem. Nawet Ilana nigdy nie dowiedziała się o tym moim naiwnym, kruchym marzeniu.

Potałam pierścień na małym palcu.

– Chciałabym tam pewnego dnia wrócić – kontynuowałam. – Aby sprawdzić, czy ktokolwiek, kto mnie znał, wciąż tam jest. Rodzina albo... ktokolwiek. Nie wiem.

Otoczyła nas chwilowa cisza. Nie mogłam się zmusić, by na niego spojrzeć.

– Co? – powiedziałam. – Uważasz, że zmyślam?

Zmyślanie. To samo powiedziałam o jego nadziejach wobec tej dziewczynki, którą uratował, tej, która tak bardzo mi przypominała mnie.

– Nie – odparł. – Uważam, że jakakolwiek rodzina, która ci pozostała, powinna mieć cholerne szczęście, że cię ma.

Spięłam policzki. Wzruszyłam ramionami na ten niekomfortowy komplement.

– Kim są? – zmieniłam temat. – Cairis i Ketura?

– Przyjaciółmi – odpowiedział.

Przekręciłam szyję, by spojrzeć na niego sceptycznie. Musiał to poczuć, ponieważ odwzajemnił się tym samym.

– No co?

Nie byli „przyjaciółmi”. To wiedziałam od razu. Na początku nie byłam pewna dlaczego, dopóki nie zorientowałam się, że wiedziałam, jak Raihn wygląda w interakcji z kimś, kogo uważa za przyjaciela. Mische. Może... Może nawet ja.

Zaśmiał się na moje łypnięcie.

– Dobra, niech ci będzie. Są... Może lepszym określeniem byłoby „dawni znajomi”. Na piwo bym z nimi nie poszedł, ale ufam im.

W to uwierzyłam. Nie mógłby wysłać Mische w tak słabym stanie do kogoś, komu nie ufał.

Znajomi... Czy to słowo było odpowiednie? Ketura tak szybko przeprosiła, nawet kiedy wyraźnie wyrażała ku temu niechęć.

– Dowodziłeś nimi?

Raihn wydawał się tym nieco zaskoczony, co mnie usatysfakcjonowało. Miło było go zaskoczyć, kiedy on mnie zaskakiwał cały czas.

– Tak – odparł. – Dowodziłem. Dobra jesteś, księżniczko.

– Kiedy?

– Dawno temu. Byliśmy... hm... czymś w rodzaju prywatnej straży.

To dopiero było interesujące. Znałam wielu wampirzych lordów, którzy mieli swoje własne prywatne siły wojskowe. Wszędzie chodzili śledzeni przez grupy postawnych wojowników o kamiennych twarzach. Nie wyobrażałam sobie Raihna jako jednego z nich. Byli tacy obojętni i bezbarwni, a Raihn... nie był.

– Czymś w rodzaju? – naciskałam.

– To najbliższe słowo, którym mogę to określić – odpowiedział w sposób, który ucinął dalsze przepytывanie.

Zamilkliśmy. Obserwowałam znajdujące się pod nami wydmy i maleńkie miasta, lśniące srebrem pod pieścotami księżycy.

W końcu Raihn odezwał się z rozpędu.

– Nie myślę tak już o tobie.

– Hm?

– Że jesteś zabawką Vincenta, suką czy czymkolwiek innym. Może tak myślałem na początku, ale już nie. Po prostu... Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Ścisnęło mi gardło.

Taka głupota, a o dziwo mnie uspokoiła. Była to inna relacja niż ta, którą miałam z Vincentem. I wiedziałam, że, na dobre czy złe, słowa Raihna były szczerze.

– Mam ci podziękować za nienazwanie mnie suką? – zapytałam beznamiętnie.

Prychnął i pokręcił głową.

– Pieprz się, Oraya. Na cycki Ix, chciałem powiedzieć coś miłego.

– Jakie to czarujące.

– Więcej tego nie zrobię, obiecuję.

Teatralnie wywróciłam oczami. Ale gdy nasza rozmowa dobiegła końca, wcisnęłam się głębiej w objęcia Raihna.



Następnego nocy drzwi Księżycowego Pałacu były zamknięte od zewnątrz. Vincent podróżował, więc nie dostawałam od niego prezentów i zamierzałam iść do miasta, by znaleźć więcej trucizny do moich mieczy, tak na wszelki wypadek. Ale kiedy tylko chciałam wyjść, drzwi wyjściowe ani drgnęły. Spróbowałam więc z kolejnymi i kolejnymi. Żadne się nie otworzyły. Okna również.

Wróciłam do mieszkania niedługo po tym, jak stamtąd wyszłam, w związku z czym Raihn, który czyścił swój miecz, rzucił mi pytające spojrzenie.

– Wszystko jest zamknięte – powiedziałam. – Drzwi, okna.

Spoważniał, po czym schował miecz i opuścił mieszkanie. Wrócił po kilku minutach z pojedynczą karafką oraz koszykiem owoców i chleba.

– Jadalnia jest pusta poza tym – powiedział.

Chleb i owoce plus to, co trzymaliśmy w apartamencie, powinno nam wystarczyć na jakiś czas. Ale krew? Karafka miała w sobie mniej niż szklanekę.

Wymieniliśmy spojrzenia. Wyraźnie myśleliśmy o tym samym. Jeśli Księżycowy Pałac nas zamknął, oznaczało to, że zamierzał nas zgłodzić. A głód był dla nas obojga przerażający z różnych powodów.

– Masz więcej, prawda? – Wskazałam na karafkę. On i Mische zbierali krew od początku turnieju, ale... nie byłam pewna, ile z tego przetrwało atak.

– Wystarczająco – powiedział stanowczo. – Straciliśmy trochę w ogniu, ale... mam wystarczająco. Jeśli sobie poporcjuję.

Opuściłam ramiona w wyrazie ulgi. Przynajmniej Raihn miał wystarczająco krwi, by zaspokoić swoje potrzeby, i nie będę zamknięta w apartamencie z drapieźnikiem. Mimo to bycie zamkniętą w zamku z niemal tuzinem innych nie napawało mnie optymizmem.

Większość prób odbywała się w równych odstępach czasu, dokładnie trzech tygodni, ale Próba Półksiężycy była czasami – choć nie zawsze – wyjątkiem. Czasem trwała dłużej, kilka dni, i okazjnie organizowano ją poza koloseum.

Jeżeli Nyaxia zamierzała nas zagłodzić przed Półksiężycem, mogło to trwać trzy tygodnie, a mogło i tydzień. Obie opcje były niebezpieczne. Niektóre z wampirów nie skonsumowały krwi od czasu uczyty cztery dni temu.

Tej nocy Raihn przesunął komodę przed drzwi wyjściowe.



Drzwi się nie otwarły. Okna się nie odblokowały. Jedzenie nie zostało uzupełnione, a krwi ubyło.

Piątego dnia, w wyrazie desperacji, jeden z Hiajów próbował wzlecieć na szczyt wieży i przebić się przez górne okno. Szkło rozsypało się na kawałki, ale w momencie kiedy próbował polecieć dalej, został odesłany z powrotem na ziemię wraz z towarzyszącym temu zachrypniętym krzykiem bólu. Całe jego ciało było pocięte, jak gdyby został zaatakowany tysiącem brzytw, które postrzępiły jego skórę i skrzydła. Obserwowałam to z Raihnem z odpowiedniej odległości, ale nawet z drugiej strony sali było pewne, że umrze – albo przez utratę krwi, albo głód. Przez to otwarte okno dotarł do nas powiew wiatru. Nie pokazało ono nic poza niebem, którego śmiertelność Księżycowy Pałac ukrywał za swoją niewinnością.

Nikt więcej nie próbował wybijać szyby w oknach.

Nawet wtedy, kiedy uczucie głodu się wzmogło.



Minał kolejny tydzień.

Przestałam opuszczać mieszkanie. Wampiry, które nie zdołały zebrać krwi przed zniknięciem zasobów, teraz musiały doświadczać intensywnego głodu –

niewystarczającego, by je zabić, jeszcze nie, ale wystarczającego, by wpędzić je w szaleństwo.

Na początku zaczęliśmy słyszeć kroki w nocy na korytarzu koło mieszkania. Potem rozlegały się one również za dnia, gdy głód doprowadził już do instynktownego pożądania zaspokojenia go, co przeważało nad niechęcią do światła. Prawdopodobnie nawet nie były świadome tego, co robiły. Jeśli głodowały, ich nogi niosły je tam, gdzie wyczuwały największe prawdopodobieństwo posiłku. Byłam bardzo ostrożna i wyleczyłam wszystkie swoje rany z ostatniej próby, aczkolwiek pewnie wciąż apetycznie pachniałam.

W międzyczasie ja i Raihn próbowaliśmy utrzymać naszą małą bańkę normalności. Wspólnie trenowaliśmy we wczesnych godzinach wieczornych, po czym pomagał mi w ćwiczeniu mojej nieposłusznej i nieprzewidywalnej magii. Godziny przed świtem spędzaliśmy skuleni w salonie i każdego dnia obserwowałam go, jak stoi przy zasłonach i zerka przez nie za horyzont, aż do momentu, kiedy słońce pozostawiało na jego skórze małe rany.

Pewnego dnia, kiedy Raihn spał, wpadł mi do głowy pomysł. Wyciągnęłam z mojej sypialni do salonu wielkie lustro, ustawiłam je nieco niebezpiecznie przy kanapie. Zmierzyłam je wzrokiem, sprawdziłam pod każdym kątem i po tym ponownie na nie zerknęłam. Gdy Raihn obudził się o zachodzie słońca i wszedł w bałagan, który zrobiłam w salonie, zamarł.

– Och – powiedział. – Czyli w końcu to się stało. Postradałaś zmysły.

Prychnęłam i się nie tłumaczyłam. Aż do momentu zakończenia nocy, kiedy słońce ponownie zaczęło wschodzić i Raihn obrał swoje miejsce przy zasłonach. Zawołałam go z powrotem do salonu.

– Patrz. – Wskazałam na lustro. Następnie poszłam do swojej sypialni i odsłoniłam okno.

Wzdrygnął się i skulił, ale ostry kąt korytarza chronił go przed promieniami słońca, podczas gdy lustro cały czas oferowało mu pełny widok nieba.

– Przetestowałam to – oznajmiłam. – Jeśli pozostaniesz w tamtym miejscu, nawet w południe, światło nie wejdzie do tego pokoju. Ale wciąż możesz zobaczyć słońce w lustrze. W... W ciągu dnia jest ładnie. Słońce odbija się od iglic kościoła.

Powiedziałam to tak swobodnie, jakbym nie spędziła godzin na dokładnym ustawianiu lustra, by wszystko w jego zasięgu pokazywało urok śpiącego miasta w świetle słońca w ten sposób, w jaki ja to widziałam. Aż do teraz.

Raihn milczał dłuższy czas.

– Ostrożnie, księżniczko – odezwał się w końcu surowo. – Ktoś może pomyśleć, że tak naprawdę jesteś miła.

Te słowa jednak znaczyły dla mnie mniej niż uporczywy uśmiech na jego ustach. Po tym każdego dnia przysuwał krzesło na koniec korytarza i oglądał wschód słońca nad Sivrinajem, jakby był to najpiękniejszy prezent na świecie.

W takich momentach łatwo mi było zapomnieć o naszej ponurej rzeczywistości, której mrok i tak się przedarł do naszych żyć.



Pewnej nocy w trzecim tygodniu Raihn był na granicy wytrzymałości. Wydawał się spięty, jego zazwyczaj równa, swobodna postawa została zastąpiona niekończącym się tupaniem i zaciskaniem zębów, podczas gdy jego palce na zmianę zaciskały się i rozwierały. Każdy mięsień jego twarzy był napięty.

– Co ci się dzieje? – zapytałam w końcu, kiedy był tak rozkojarzony podczas treningu, że niemal pozwolił mi ukrócić go o głowę nocnym płomieniem.

– Nic – zdenerwował się.

– Przekonujące.

Nie miał się nawet z czym odszczeknąć, co mnie najbardziej zaniepokoiło.

Przerwał trening, nie kłóciłam się z jego decyzją. Nie chciałam pokazywać, że się o niego martwiłam, ale nie mogłam pozbyć się tego rosnącego uczucia niepokoju. Kiedy usłyszałam kroki we wspólnym pomieszczeniu, wyjrzałam po cichu ze swojego pokoju i zerknęłam na niego zza rogu.

Stał przy stole ze szklanką. Na początku myślałam, że była pusta, ale gdy ją uniósł, zaraz zorientowałam się, że zawiera malutką kałużę krwi – ledwie pokrywającą dno.

Raihn wpatrywał się w nią, jakby zegnał się ze swoją kochanką, zanim ją odrzuci, podelektuje się nią, po czym połknie.

Wszystko wokół mnie stało się drętwe i zimne. Ten jego wyraz twarzy... sposób, w jaki teraz wpatrywał się w pustą szklankę... Dowiedziałam się wszystkiego, czego powinnam. Czułam się jak idiotka.

– A więc... – Wyłoniłam się z korytarza. – Nadeszła ta pora, nie?

– Hm?

Matko, ale byłam głupia. Raihn był w tak oplakanyim stanie, że nawet nie miał sił, by przekonująco udąć ignorancję. Wskazałam ręką na pustką szklankę, wciąż znajdującą się w jego dłoni.

- Powiedziałeś, że masz wystarczająco.
- Ja... – Unikał mojego spojrzenia. Przełknął ślinę. – Miałem wystarczająco.
- Nie wygląda na to.
- Próba Półksiężycy zacznie się lada moment. Wszystko jest w porządku. Nic mi nie jest.

Odstawił szklankę zbyt gwałtownie i pojawiła się na niej pajęczynka. Jeśli to zauważył, nie pokazał tego po sobie. Jego knykcie były białe.

Coś w tym dźwięku – dźwięku pęknięcia szkła – sprawiło, że we mnie także coś pękło. W jednym momencie uderzyły we mnie wszystkie sygnały głodu, których nie zauważyłam. Były wszędzie. Dlaczego ich nie dostrzegłam? Za każdym razem, kiedy pytałam, czy miał wystarczająco, zapewniał, że miał. A ja trzymałam go za słowo i nie kwestionowałam odpowiedzi.

Raihn był głodny, i nie tylko głodny, ale na granicy wygłodnienia.

A ja zabarykadowałam się z nim w pokoju.

Dlaczego tak trudno mi było skonfrontować rzeczywistość tych dwóch sytuacji?

To nie to, że się go bałam. Właśnie się nie bałam, a powinnam. *Powinnam*. Taka była natura i to się nie zmieniło, niezależnie od tego, jaki miałam do tego stosunek.

Popełniłaś już tyle błędów – wyszeptał do mnie Vincent. Nie zauważyłam, ile czasu minęło, od kiedy słyszałam go po raz ostatni.

– Powinnam pójść gdzieś indziej – powiedziałam. – Do innego mieszkania.

Uspokoiliam głos, ale okazało się, że musiałam postarać się bardziej, niż przypuszczałam. I widziałam, że Raihn też musiał się bardzo starać, by utrzymać neutralny wyraz twarzy, co mu nie bardzo wyszło. Mięsień jego szczęki lekko drgnął, jakby musiał powstrzymać wzdrygnięcie się od zadanego ciosu.

Również poczułam ten cios. Jakbym właśnie go spoliczkowała.

– Dlaczego? – zapytał ostro.

– Dlaczego? – Wskazałam na pustą szklankę. Pęknięcie się powiększyło. Teraz jedynie uścisk Raihna powstrzymywał ją przed rozsypaniem się. – Raihn, nie bądź...

– Nie ma ku temu powodu.

Nie chciał, żebym to powiedziała. Nie mógł być tak naiwny.

– Owszem, jest. Dobrze wiesz, że jest.

– Powiedziałem ci, że... – Urwał. Wziął wdech, a następnie wydech. – Mam nadzieję, że już wiesz, że nie musisz się tym martwić.

– Zawsze muszę się tym martwić.

Nigdzie nie jesteś bezpieczna – szepnął Vincent.

– Mnie to nie dotyczy.

– Dotyczy to nawet ciebie.

Zwłaszcza ciebie, bo przy tobie czuję się dobrze.

W tym momencie drgnął. Szklanka się rozsypała.

– Po tym wszystkim nadal się mnie boisz? Nie jestem pieprzonym *zwierzęciem*, Oraya – powiedział głosem niskim i surowym, co przypominało warknięcie. – Daj mi większy kredyt zaufania niż to.

Coś ścisnęło mi serce, pchnięte dodatkowo przez cierpienie, które odczułam w jego imieniu.

– Nie jesteś zwierzęciem – odrzekłam. – Ale jesteś wampirem.

– Nie skrzywdziłbym cię – zdenerwował się.

Nie. To było kłamstwo. Było kłamstwem, kiedy wyszło od ostatniej osoby, która mi to powiedziała. Było kłamstwem, nawet jeśli Raihn wierzył, że nie, i nawet jeśli faktycznie wierzył, że to była prawda, może był większym głupcem, niż zakładałam.

Pewnie nie byłam lepsza.

Byliśmy finalistami Kejari. Mogliśmy być zmuszeni do zranienia siebie. Nawet jeśli tyle razem przeszliśmy.

– Dlaczego się tak tym oburzasz? – obruszyłam się. – Dlatego że stwierdzam fakty? Jesteś wampirem. Ja jestem człowiekiem. Może nie lubimy wypowiadać tego na głos, ale to prawda. Spójrz na siebie. Myślisz, że nie widzę, co się z tobą dzieje?

Byłam zbulwersowana. Moje tętno przyspieszyło. Na jego policzku uwypuklił się mięsień, a nozdrza zafalowały. Nawet teraz to widziałam. Głód czający się pod cierpieniem.

– Nasz wymarzony świat jest fajny, ale nie jest *prawdziwy* – kontynuowałam. – I nie chcę zostać wyrwana z tego rozmarzenia, gdy rozerwiesz mnie na strzępy.

Od razu pożałowałam tych słów. Pożałowałam ich jednak za ich brutalność i za ten straszny, dziecięcy wyraz cierpienia, który pojawił się na twarzy Raihna i sprawił, że zabolowało mnie serce.

Z drugiej strony nie żałowałam ich, bo były prawdą.

Czy myślał, że tylko on chce, aby było inaczej? W tym momencie nie pragnęłam niczego więcej niż żyć w sposób, w jaki żyliśmy przez ostatnie tygodnie. Budowaliśmy coś na wzór domu w tym górnianym, mrocznym Pałacu.

Tak bardzo tego chciałam, że... że nawet się zastanawiałam, czy byłabym w stanie mu pomóc. Nawet jeśli była to głupia myśl. Nawet jeśli człowieka oddającego się wampirovi, który głodował tak długo, mogła spotkać wyłącznie śmierć, nieważne, jak dobre miał intencje. Mimo to, gdy zobaczyłam tę jego minę, tę desperację, byłam gotowa to rozważyć.

Było to głupie, naiwne i dziecinne.

Ale Raihn już się wycofał i wyprostował. Jego knykcie wciąż były białe. Odsunął się ode mnie kilka kroków, jakby – nawet w złości – zrozumiał, że potrzebowałam zachować między nami większy dystans.

– Dobra – powiedział chłodno. – Masz rację. Byliśmy głupi. Jeśli mnie tu nie chcesz, już mnie nie ma. Nie powinnaś się zbliżać do tego korytarza. Ja pójdę.

Natychmiast zapragnęłam to cofnąć. Znajoma pętla strachu zaczęła się zaciskać wokół mojego serca. Nie strach przed Raihnem, ale pustka bez niego i wszystko, co mam poczuć, gdy odejdzie.

– W porządku – odparłam wbrew wszystkim moim instynktom.

Żadne z nas nie wiedziało, co więcej powiedzieć.

Poszedł do pokoju, zebrał swoje rzeczy, przesunął nieco komodę sprzed drzwi na tyle, żeby móc się między nimi przecisnąć, po czym odwrócił się do mnie.

Między nami zawisło milion słów.

– Przesuń to z powrotem, kiedy pójdę – powiedział tylko. – Ja...

Zacisnął zęby na tym, co miał powiedzieć.

Znałam to uczucie, ponieważ zauważyłam, że robiłam dokładnie to samo. Zaciskałam zęby na: *Nie idź, Będę tęsknić i Przepraszam.*

Ale wiedziałam – oboje wiedzieliśmy – że gdy tylko Raihn odejdzie, gdy stanie się tylko kolejnym uczestnikiem Kejari, coś między nami zmieni się na zawsze.

– Ja... – spróbował ponownie, ale się poddał i zamiast tego powiedział: – Widzimy się na następnej próbie.

I poszedł, zanim zdołałam wydusić kolejne słowo.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Tej nocy, po raz pierwszy od dłuższego czasu, śniłam o bezksiężycowej nocy. Rozklekotane i tanie łóżko wciąż było o wiele większe od mojego ciała. Schowałam się pod kołdrą i podsunęłam ją pod nos. Jona i Leesan spali albo tylko udawali. Mama szeptała w pośpiechu: *Zabierz stąd ten lampion, wiedziałeś, że przyjdą, wiedziałeś...*

Też się bałam. Ale pomyślałam, że nigdy nie powinnam się bać, i wyslizgnęłam się spod kołdry. Bardzo, bardzo cicho podeszłam do okna. Byłam jeszcze na tyle niska, że ledwie sięgałam parapetu. Złapałam rozpadające się drewno i spojrzałam w niebo.

Kiedyś widziałam martwego robaka, niemal całkowicie pokrytego mrówkami. Wkrótce stał się jedną wielką ruszającą się czarną masą. Teraz niebo wyglądało dokładnie tak samo. Było pulsującym mrocznym kocem.

Różnica polegała na tym, że na niebie nie było mrówek, tylko skrzydła.

Oraya!

Mama wypowiedziała moje imię w taki sposób, w jaki to robiła, kiedy była przestraszona.

Oraya, odsuń się od...!



Powietrze uderzyło w moje płuca tak mocno, jakbym przełknęła słoną wodę. Albo i gorzej, ponieważ czułam, że zżerało mnie to od środka.

Kaszel wstrząsnął całym moim ciałem. Ledwie odzyskałam przytomność, zanim niemal straciłam ją ponownie, przewróciłam się na czworaki i doświadczyłam konwulsji. Powieki miałam ciężkie, bolał mnie brzuch, wszystko było zamazane i bardziej słyszałam, niż widziałam padające na ziemię wymiociny. Zamrugałam gwałtownie w marnej próbie poprawienia widoczności.

Uniosłam głowę.

Nic dziwnego, że śniłam o tamtej nocy, ponieważ ta wyglądała tak samo. Jedynie wijący się, niewyraźny ruch w ciemności mrożącej krew w żyłach.

Otoczały mnie drzewa – wysokie, szerokie i wąskie, z jedynie kilkoma długimi gałęziami pokrytymi igiełkami na samym ich szczycie. Ziemia pod moimi dłońmi była szorstka i pokryta piaskiem. Wszędzie były skały. Wszystko – ziemia, skały, drzewa – było czarne albo popielatoszare, jeśli oświetlało je światło księżyca. Spod ziemi wydobywał się gorący i gęsty dym. Kiedy powiew wiatru posłał na mnie jego fragment, jęknęłam z bólu i się odsunęłam. Paliło moją skórę jak kwas.

Przygotowałam miecze. Na tle lasu pojawił się ruch, ale był zbyt daleko, bym mogła stwierdzić, co widziałam, choć dźwięk był jedyny w swoim rodzaju. Wilgotny, ciężki oddech i wysokie krzyki z towarzyszącym mdłym odgłosem rozrywania ciał.

Byłam zmieszana, być może od tego dymu czy jakiegokolwiek magii, która nas tu sprowadziła, ale zmusiłam się, by wrócić do rzeczywistości i ocenić sytuację.

To była Próba Półksiężyca. Musiała być. Nie byliśmy w koloseum, nie byliśmy nawet w Sivrinaju, a przynajmniej w żadnej jego części, którą znałam, ale czas by się zgadzał i Próba Półksiężyca zazwyczaj była bardzo unikatowa.

Tylko jaki miała cel?

Kroki. Odwróciłam się i od razu coś we mnie wpadło i przewróciło z powrotem na kamienie. W ciemności nie mogłam rozpoznać twarzy napastnika. Buchający spod ziemi dym topił moją zbroję. Cięłam dziko bronią, by trafić w ciało.

Zazwyczaj trucizna wystarczałaby, by spowolnić wroga, ale on wydawał się niewzruszony bólem. Żądza krwi? Jeśli tak, to był to jeden z najgorszych przypadków, które widziałam, skoro był tak oderwany od rzeczywistości.

Wbiłam głęboko ostrze w bok napastnika i to w końcu sprawiło, że się wycofał. Zachwiał się i upadł na ziemię, jakby nagle wszystkie jego rany uświadomiły go o swoim istnieniu. Skoczyłam na niego.

Nie był jeszcze martwy i wkrótce odzyska przytomność. Przebiłam jego klatkę piersiową. Z trudem uniknęłam dzikich płasów jego kończyn, gdy zakończyłam jego żywot. Był jak wygłodniały wilk, mocujący się po raz ostatni. Naprawdę wampiry stawały się zwierzętami, gdy sprawy przybierały taki obrót.

Wyrwałam ostrze z trupa z wilgotnym chrupnięciem, otaczała nas fala toksycznego dymu. Musiałam się oddalić i zostawić jego bezwładne ciało na pastwę dymu.

Musiałam się dowiedzieć, gdzie się znajduję. Musiałam...

Coś poruszyło za mną chrust. Obróciłam się. Wbiłam wzrok w ciemność. Mogłam dostrzec jedynie sylwetki majaczące w oddali. Walczące wampiry. I coś na czterech nogach. Demony? Byłam tak nauczona spodziewać się najgorszego, że mój umysł od razu podszedł do zagrożenia. Kiedy się zbliżyłam, zauważyłam, że to nie były drapieżniki, ale zdobycz – jeleni rzucający się przy cienistych postaciach wampirów, które go przytrzymywały. Poczulałam ulgę.

Dobrze. Jeleń był idealny. Idealny posiłek, który odwróci uwagę wygłodniałych wampirów. Głodówka trwała tak długo, że nie miały wyboru i rzucały się na wszystko, co miało w sobie krew, którą wyczuły. Byłam wdzięczna, że te tutaj w pierwszej kolejności wyczuły jelenia.

Musiałam stąd odejść i to szybko. Potem, gdy będę sama, będę mogła pomyśleć, jaki był mój cel, znaleźć Raihna i...

Powstrzymałam się. Przełknęłam smutek. Imię Raihna przemknęło przez myśl bez mojej zgody. Ale przecież się rozdzieliliśmy. Próba Kwadry dobiegła końca. Na pewno nie prowokowałabym walki z nim, ale...

Nie byłam jeszcze całkowicie bezpieczna, kiedy za mną rozległ się nieprzyjemny odgłos. Było to coś pomiędzy jękiem i warknięciem – przedziwna, nienaturalna mieszanka dźwięków zwierzęcia i wampira.

Szybko zniżyłam się do poziomu chrustu i obserwowałam stwory z dystansu.

Moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, a księżyc wychynął zza mglistej chmury. Zimne światło oświetliło znajdującą się za mną krwawą scenę – dwa wampiry klęczały pomiędzy wyszczerbionymi skałami nad otwartym truchłem jelenia. Jeden z nich nieudolnie próbował wstać. Ich kończyny drgały spazmatycznie. Drugi wampir zdawał się sięgać po swojego kompana, co również mu nie wyszło, jakby ich mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

Pierwszy z nich dziwnym, chwiejnym ruchem skoczył na drugiego. Dzikie wrzaski wypełniły noc.

Skuliłam się.

To... to nie był głód. Żądza krwi sprawiała, że wampiry były niezdarne, ale nie zamieniała ich w bezmyślne bestie. Te tutaj wyglądały, jakby nie miały już nawet kontroli nad własnymi ciałami.

Wampiry zawyły, kiedy rozrywały się na strzępy. Zdezorientowane, bezrozumne, zwierzęce. Rzuciły się na siebie nie jak wojownicy, ale zwierzęta z zapomnianym truchłem jelenia przy ich...

Truchło jelenia.

Coś sobie uświadomiłam. Rozejrzałam się ze strachem. Rozejrzałam się po miejscu, które śmierdziało śmiercią i mimo to wciąż było idealne na łatwą zdobycz.

Zatrutą, uwięzioną zdobycz.

Nyaxia ich wygłodziła i teraz zaoferowała im skażone dary, którym nie będą w stanie się oprzeć.

Raihn.

W mojej pustej głowie było teraz miejsce tylko na jego imię. Wszystko, co sobie wmówiłam, każde kłamstwo, pod którym ukryłam swoje zmartwienia, właśnie zwiędło.

Już nie myślałam. Po prostu biegłam.



Nie było trudno znaleźć wampiry. Zostaliśmy rozrzućeni po lesie, ale były głośne. Żądza krwi sprawiła, że stały się nieostrożne i cokolwiek znajdowało się w tej truciznie w zwierzętach, uczyniło z nich coś znacznie gorszego.

Raihna znalazłam niedaleko polany. Natychmiast go rozpoznałam, nawet w ciemności i z odległości. Tak dobrze poznałam każdy jego kształt, że każdy jego skrawek był jak mój język ojczysty.

Jednak mimo to coś było teraz z nim nie tak. Sposób, w jaki się poruszał, nie był przemyślaną postawą kogoś, kto dzielił ze mną mieszkanie. Była ona dzika, niekontrolowana. Wciąż jednak pełna gracji, co pozwoliło mi odetchnąć, ponieważ nie były to ruchy pełne szaleństwa spowodowane trucizną, ale ruchy drapieżnika wypuszczonego z klatki.

Skrzydła miał rozłożone. Bezwładne ciało osunęło się po pniu przewróconego drzewa. Był to Zrodzony z Cienia, którego najpewniej Raihn skończył właśnie zabijać. Teraz szybował między drzewami i gruzami i polował.

Nagle, moment później, dostrzegłam to, na co polował: rozbijającego się przez kamienisty chrust jelenia.

Nie. Pognałam za nim, zanim wybiłam sobie ten pomysł z głowy.

Poruszał się bardzo szybko, mijał drzewa jak liść złapany przez powiew wiatru. Był zwinniejszy od jelenia, który gnał przez rzadko rozsiany las.

To panika zwierzęcia, które biegało w kółko, nas ocaliła. Za bardzo zbliżyło się do niemożliwej do przebicia ściany z kamieni i musiało skrócić w lewo. Podążyłam jego śladem, by odciąć jego drogę i stanąć przed Raihnem.

Usłyszałam w głowie głos Vincenta: *Zaraz się zabijesz, głupie dziecko. Rzucasz się przed wampira ogarniętego żądzą krwi.*

I tak ruszyłam dalej.

– Raihn! – wrzasnęłam. Rzuciłam się w jego kierunku i ustawiłam się na stosie kamieni. Rozłożyłam ręce. – STÓJ!

To był głupi plan z wielu powodów. Po pierwsze, każdy wampir z chęcią zastąpiłby jelenia mną. Po drugie, on miał skrzydła, mógł przelecieć nade mną, nieważne, czy stałabym na stosie głupich kamieni, czy nie.

Ale Raihn zrobił coś kompletnie innego. Jego wzrok padł na mnie, a on się zawahał. Dosłownie przez moment. I przez ten moment myślałam, że zobaczyłam mojego przyjaciela.

Ale poza tym wyglądał tak inaczej. Jego spojrzenie było surowe i wodniste. Promień światła księżyca padł na jedną stronę jego twarzy. Jego oczy były bardziej czerwone niż zazwyczaj, źrenice zmniejszyły mu się do rozmiaru szczeliny.

Włoski na moich ramionach stanęły. Każdy mój instynkt krzyczał: *uciekaj, uciekaj, uciekaj.*

Ponieważ Raihn opętany żądzą krwi był przerażający. Był tak przerażający, że wszystko w promieniu piętnastu kilometrów kulilo się ze strachu.

Zamiast uciekać, pognałam w jego stronę.

Rzucenie się na Raihna było jak rzucenie kamyczkiem w ścianę i oczekiwanie, że to ją zniszczy. Mimo to uderzyłam go wystarczająco mocno, żeby stracił równowagę. Zaczęliśmy się toczyć po ziemi. Wydał z siebie pozbawione słów warknięcie i walczył ze mną. Ból przeszył mój policzek, kiedy okazałam się zbyt wolna, by uniknąć jednego z jego ciosów, ale udało mi się uchylić przed pozostałymi. Wiedziałam, jak Raihn walczył, i ten refleks mu pozostał, nawet jeśli był teraz częściowo pozbawiony rozumu.

Był silnym wojownikiem, ale wiedziałam, że w którymś momencie był podatny na atak. Jego lewa strona była słabsza, więc kiedy wahał się pomiędzy ciosami, uderzyłam go w miejsce, które najtrudniej było mu zablokować, prosto w kolano, i przycisnęłam go do ziemi.

Wspięłam się na niego i przykryłam jego ciało moim.

– Raihn! Opanuj się, do cholery!

Zabije mnie. Zrozumiałam to, kiedy zacisnął ręce na moich ramionach na tyle mocno, że pozostawił siniaki. To okropne zaszklone spojrzenie się nie zmieniło.

Wróc do mnie, Raihn. Wróc do mnie.

– Jak słowo daję, rozpieprzę cię znowu ostrzem i dobrze o tym wiesz! – ryknęłam. – Ocknij się!

Zamrugął.

Jego uścisk zelżał. Jego nos drgnął – ruch był niewielki, ale spięłam się przez niego. Jednak po tym zamknął oczy i wziął głęboki wdech. Gdy otworzył je ponownie...

To był on. To był *on*.

– Oraya.

Powiedział moje imię tak, jakby było ono odpowiedzią na bardzo ważne pytanie. Jego głos był słaby i zachrypnięty.

Zachciało mi się płakać.

Nie było jednak na to czasu. Przede wszystkim chciałam mu pokazać, jak bardzo się cieszę, że go znalazłam. Zaczęłam mówić krótkimi zdaniami, by streścić całą sytuację.

– Witaj z powrotem. Próba się rozpoczęła. Zwierzęta są zatrute. Nie wiem, jaki jest cel próby. Każdy, kto pije ich krew, traci zmysły. Musimy się stąd wydostać. Chodźmy.

Zaczęłam się podnosić, ale on wciąż trzymał mnie za ramiona, tym razem delikatnie. Zmarszczka między jego brwiami się pogłębiła, dotknął mojego policzka. Skaleczenie.

– Ja to zrobiłem?

– To nie ma znaczenia, Raihn. Musimy ruszać.

Jego wyraz twarzy mówił mi, że to miało znaczenie, ale nie chciałam o tym teraz myśleć.

– Jeśli cię puszczę, pobiegiesz za wiewiórką? – zapytałam.

Jak dobrze było zobaczyć tę znajomą, pełną cierpienia irytację.

– Pieprz się, księżniczko.

Poczułam pewnego rodzaju ulgę, że wrócił do wyklinania mnie.

Zdecydowałam się zaakceptować tę odpowiedź i się podniosłam. Raihn wstał tuż po mnie. Poruszał się powoli. Drżał, kiedy jego lewa noga niemal się pod nim ugięła. Podczas naszej walki nie zauważyłam, że był cały we krwi.

Serce mi stanęło. Najwyraźniej zarobił kilka ciosów od Zrodzonego z Cienia, z którym wcześniej walczył.

– Jesteś ranny.

– Na to wygląda.

Spojrzałam na niebo. Ciemne, ale tak jakby zaczynało różowieć. Świt już był niedaleko.

– Znajdźmy jakieś miejsce na odpoczynek – powiedziałam, kiedy zaczęliśmy iść. – Potem pomyślimy, co dalej.

Raihn chrząknął na znak zgody. Ale po trzech krokach było oczywiste, że ma problemy z poruszaniem się. Zawróciłam i wzięłam go pod ramię.

– Nic mi nie jest – burknął.

– Zdecydowanie jest.

Zacisnął szczęki, jak gdyby chciał się z tym kłócić, ale wiedział, że to na nic.

To nie tylko jego noga. Słyszałam to w jego słabym głosie. Był ranny, ale wciąż wygłodniały.

Nie, Raihn zdecydowanie nie był w pełni sił. Zaakceptował jednak moją pomoc bez narzekania.



Znależliśmy schronienie w grocie stworzonej z kamieni. Zdecydowanie nie było to bogactwo Księżycowego Pałacu, ale było tu ciemno i głęboko. Miejsce dobre na schron i tylko jedno wejście do pilnowania. Zastanawiałam się, ilu uczestników już padło ofiarą zatrutej zdobyczy. Po drodze do groty nie spotkaliśmy żywej duszy, jedynie jednego szarpanego konwulsjami królika.

Zabrałam nas tak głęboko do groty, że nie sięgało tu żadne światło z zewnątrz. Znaleźliśmy ją w samą porę. Niebo teraz było zaróżowione od wschodu słońca. Grota była tak ciemna, że Raihn musiał mamrotać do mnie wskazówki, jak iść, ponieważ nic nie widziałam. Opierał się na mnie niemal całym swoim ciężarem. Kiedy dotarliśmy do odpowiedniego miejsca, prawie upadł przy ścianie.

– Daj nam trochę ognia. Dobrze, że praktykowałeś wywoływanie go.

Mogłam usłyszeć uśmiech w jego głosie. A także zmęczenie.

Nieważne, czy praktykowałam, czy nie, moja magia konsekwentnie się nie pojawiała. Ale kiedy pomyślałam o tym, jak się czułam, gdy konfrontowałam oczywistą słabość Raihna, nocny ogień z łatwością wyskoczył na koniuszkach moich palców. Zmęczona twarz Raihna pojawiła się w ciemności.

Odwróciłam wzrok i skupiłam go na rzeźbieniu moich małych kul ognia.

– Myślałem, że już więcej cię nie zobaczę – powiedział Raihn.

– Mhm.

Nie wiedziałam, jak wyjaśnić to, że za nim podążyłam, samej sobie, a co dopiero jemu.

To była głupia decyzja – powiedział Vincent z tyłu mojej głowy, z czym się zgodziłam. Ale nie żałowałam tego.

– Dziękuję – odparł.

Przesunęłam się niezręcznie i cieszyłam się, że mogę czymś zająć ręce. Co miałam odpowiedzieć? *Proszę bardzo?*

– Byłbym... – Przełknął z trudem. Stworzyłam kolejną kulę nocnego ognia i teraz mogłam zobaczyć każdy ruch jego twarzy.

I każdą oznakę słabości.

Posłał mi słaby uśmiech.

– Miałaś rację, księżniczko.

– Nie musimy tego robić. – Wyszło to ostrzej, niż zamierzałam.

– Musimy. Ja muszę. Po prostu... Jestem ci to winien.

– Nic mi nie jesteś winien.

– Na cycki Ix, Oraya. Daj mi mówić.

– Mówić to ledwie możesz.

– Nigdy nic mnie przed tym nie powstrzymało.

Zaśmiałam się wbrew sobie, choć zabrzmiało to bardziej jak sapnięcie bólu. Też tak to odczułam.

– Przepraszam – powiedział.

Zatrzymałam ręce w powietrzu, by otoczyć nimi kulę światła.

– Przepraszam – powtórzył. – Miałaś rację, że mnie wtedy odesłałaś.

Przeprosiny ugodziły mnie jak cios. Były takie dosadne i bezpośrednie, pozbawione walki o siłę woli czy ego.

– Nie chciałem, żebyś zobaczyła mnie w takim stanie – kontynuował. – Udawałem więc, że taka wersja mnie nie istnieje. Ale istnieje, a ja... nie lubię, kiedy ktoś jest tego świadkiem. Nie chciałem, żebyś ty to widziała.

Nie jestem pieprzonym zwierzęciem – powiedział do mnie wczoraj. Ta złość w jego głosie zabrzmiała wtedy tak podobnie do wstydu, który był w jego dzisiejszych słowach.

Nie lubiłam czuć. Emocje były wiecznie zmienne i pozbawione logiki i nie dawały mi możliwości zatopienia w nich moich ostrzy. Teraz zalały mnie masowo, zagotowały się pod powierzchnią mojej stalowej powłoki.

Nic nie odpowiedziałam. Nocny płomień pojaśniał nieco w nieregularnych zrywach.

– Musimy coś zrobić z twoimi ranami – powiedziałam.

Był nie tylko ranny, przede wszystkim był wygłodzony. Wampiry leczyły się bardzo szybko, ale nie był w stanie tego zrobić, jeśli nie otrzyma krwi.

Zerknęłam na niego. Jego spojrzenie odleciało w przestrzeń. Niewiele widziałam w ciemności, ale jego ponadprzeciętny wzrok najpewniej spoglądał na ścieżkę prowadzącą z groty.

– Muszę tam wrócić.

Prychnęłam.

– Nie bądź idiotą.

W pełnym zdrowiu przeżyłby w świetle słońca godzinę, może więcej, jeśli byłoby pochmurno, choć nie zmieniłoby to faktu, że by cierpiał. Ale w tym stanie? Nie miał szans.

– W takim razie... muszę cię poprosić, żebyś dla mnie coś upolowała. – Sprawiał wrażenie, jakby ta prośba zaboląa go fizycznie.

– Te zwierzęta są zatrute. Widziałeś, co zrobiły pozostałym.

– To może lepiej jest umrzeć tutaj – powiedział – niż opuścić ten świat tam jako nie wiadomo co.

Nastąpiła cisza. W tej ciszy zaczęłam analizować naszą sytuację poprzez podążanie różnymi ścieżkami, które mieliśmy do wyboru. Wtem podjęłam decyzję. Jedyna możliwa ścieżka.

Wstałam i stanęłam twarzą do ściany groty. Następnie rozpięłam pod szyją guzik mojej zbroi. Po tym kolejny.

Byłam w połowie drogi, kiedy Raihn to zauważył.

– Nie. Nie ma mowy.

– Sam powiedziałaś, że nie masz wyboru.

Mój głos brzmiał, jakby pochodził od kogoś obcego. Jakbym obserwowała siebie z boku. Nie mogłam uwierzyć, że to robiłam. Dłonie miałam lepkie od potu, a serce łomotało mi w piersi.

A mimo to nie miałam co do tego wątpliwości. Żadnych.

Rozpięłam pozostałe warstwy swojej skórzanej zbroi. Zimne powietrze uderzyło mnie w skórę i ochłodziło ciało pod spoconą koszulką.

Odwróciłam się do niego. Jego szyja drgnęła, oczy pociemniały.

Znałam ten wzrok. Inny rodzaj głodu. Szybko przeminął, ale wciąż czułam go na swojej skórze, przez co nagle zdałam sobie sprawę, ile mojego ciała było teraz odsłonięte.

– Nie mogę tego zrobić, Oraya – wycharczał.

– Jaki masz inny wybór? Umrzesz w słońcu. Umrzesz jako bezmyślna bestia od zatrutej krwi. Albo umrzesz, zanim zajdzie słońce, i nic nie zrobisz. A ja nie będę siedzieć obok ciebie, kiedy będziesz umierał, Raihn. Po prostu... Po prostu nie będę.

Zignorowaliśmy lekkie załamanie w moim głosie.

Zbliżyłam się do niego. Czułam każdy krok, każdy odcinek zmniejszającego się między nami dystansu. Oparł się o ścianę. Uklękałam przed nim, by nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie, a jego spojrzenie zbadało moją twarz.

– Myślisz, że nie wiem? – wydusił. – Myślisz, że nie wiem, co to dla ciebie oznacza? Nie mogę.

Może powinnam być zaskoczona, że Raihn zrozumiał to, czego nigdy mu nie powiedziałam. Że złożył obraz mojej przeszłości z każdego momentu złości czy strachu, które przeniknęły przez moje mury obronne.

Może powinnam być zaskoczona, kiedy opuszek jego palca delikatnie pogłaskał moją szyję, nie w głodzie, ale smutku. Smutku skupionym na bliźnie, tych dwóch małych postrzępionych liniach.

Może powinnam być zaskoczona, że wiedział więcej, niż chciałam, żeby wiedział.

Ale nie byłam.

Słowa były teraz zbyt słabe, by wyrazić to, co chciałam mu przekazać.

Może pomyślał, że zacznę nim gardzić, kiedy zobaczę go w stanie żądy krwi. Ale nie zrobiłam tego. Był przerażający, tak. Ale teraz zrozumiałam, jak bardzo się starał. Mógł łatwo temu ulec w Księżycowym Pałacu. Po Próbie Kwadry jedynie mu zawadzałam. Nikt by go nie obwiniął za to, co powinien zrobić. A mimo to wolał pozostać w tym mieszkaniu i wic się coraz bardziej, zamiast mnie zostawić lub zranić. To musiało być potworne.

Oferowanie siebie wygłodniałemu wampirowi było nie tylko bardzo niebezpieczne. To było praktycznie samobójstwo.

Ale... ufałam mu.

Nie wiedziałam, jak to wszystko wyrazić słowami. Dlatego powiedziałam krótko:

– Nie boję się ciebie, Raihn.

I ujrzałam w jego oczach, jak wiele te słowa dla niego znaczyły. Zupełnie jakby czekał na nie całe swoje życie.

Przełknęłam ślinę.

– Czyli jak... jak powinnam to zrobić?

Będzie potrzebował mojej szyi. Czasami były to nadgarstki, ramiona albo – zadrzałam na samą myśl – wnętrza ud, które również się nadawały. Potrzebował jednak dużo krwi i to szybko, więc szyja była najlepszym źródłem.

Pomyślałam, że nadal będzie protestował. Ale po chwili powiedział:

– Chodź tu. Nachyl się nade mną.

Przybliżyłam się, następnie przełożyłam nogi nad jego udami i biodrami i stanęłam nad nim okrakiem.

Próbowałam nie myśleć o tym, że czuję go pod sobą dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałam. Próbowałam nie myśleć o tym, jak dobrze było poczuć ciepło jego ciała przyciśnięte do moich ud i brzucha.

Próbowałam również nie myśleć o tym, że wyraźnie również to dostrzegam. Mięśnie jego szyi, teraz bardzo blisko, rozciągnęły się, gdy przelykał. Jego ręce od razu znalazły się na mojej talii, jakby na mnie tam czekały.

– O tak? – zapytałam.

– Idealnie.

Nie było to tak naprawdę idealne. Byłam znacznie niższa od niego i nawet dodatkowa wysokość spowodowana jego nogą nie pomogła i musiałam się trochę podciągnąć w górę, a on z kolei musiał wygiąć szyję, by dosięgnąć mojej.

Opuszki jego palców musnęły kąt mojej zuchwy i przez jeden przerażający moment myślałam, że mnie pocałuje, co byłoby takie proste – wystarczyłoby, że przechyliłby głowę. Ale zamiast tego jego palce zeszły niżej, dotknęły mojego ramienia, następnie talii, na końcu sięgnęły ku sztyletowi, który miałam przypięty do pasa. Wyjął go i włożył rękojeść w moje dłonie, po czym skierował ostrze w swoje serce.

– Ty to kontrolujesz – mruknął. – Dobrze?

Teraz zrozumiałam. Chciał mnie tutaj, w tej pozycji, ponieważ z niej mogłam się szybko wycofać, gdybym chciała.

Kiwnęłam głową. Mój uścisk na rękojeści był wilgotny od potu. Zastanawiałam się, czy Raihn był w stanie usłyszeć bicie mojego serca.

To była głupia myśl. Oczywiście, że mógł je usłyszeć. Wyczuć je.

– Wciąż możesz odmówić – powiedział łagodnie.

– Przestań to powtarzać – odszczeknęłam się.

Zaśmiał się cicho.

– Oto i ona.

Jakby to był znak, na który czekał, przyciągnął mnie do siebie bliżej, rękami zjechał po moich plecach i pociągnął mnie do przodu, aż nasze ciała się ze sobą zetknęły, poza sztyletem, który wciąż trzymałam między nami.

Myślałam, że byłam na to przygotowana, ale nie byłam przygotowana na jego delikatny ruch. Jakby dotykał czegoś cennego.

Odchyliłam głowę do tyłu i wpatrywałam się intensywnie w ciemność otaczającego nas kamienia. Wygięłam szyję bardziej, gdy poczułam jego oddech muskający delikatną skórę.

– Nie będzie bolało tak bardzo. Możesz jednak czuć się... hm...

– Wiem – powiedziałam zbyt ostro.

Podniecona seksualnie. To chciał mi powiedzieć.

Wampirzy jad wywoływał przytłaczający efekt na ludzkich ofiarach. Cel biologiczny miał sprawić, że staną się łagodne i giętkie. Czasem kończyło się to na zamglonym, odurzonym stanie, jak to było w przypadku ugryzienia Ministra – patrząc na jego wiek, miejsce ugryzienia oraz moją niechęć do niego. Zazwyczaj jednak rezultatem było intensywne pobudzenie.

Zwłaszcza kiedy ktoś już czuł się...

Nie dokończyłam tej myśli.

– Po prostu to zrób – zdenerwowałam się.

Zaśmiał się.

– Jak sobie życzysz, księżniczko.

I jego usta znalazły się na mojej szyi.

Każdy mój mięsień się napiął. Przygotowałam się na ból. Zamiast tego poczułam pieszczoty. Jedynie lekkie muśnięcie jego warg na mojej skórze, dotyk jego języka, jakby pytał o pozwolenie, by wejść.

Moja skulona sylwetka zaczęła drżeć.

– Jesteś bezpieczna – wyszeptał przy mojej skórze.

Następnie wgryzł się w nią.

Był szybki i bezwzględny, jego kły wbiły się głęboko i sięgnęły celu od razu.

Wydał z siebie nieplanowany jęk, który przeszedł przez całe moje ciało.

To niemożliwe, żeby jad tak szybko zadziałał, a mimo to moje rzęsy zadrżały. Wszystko – każda zaległa wątpliwość – zniknęło pod ciepłym dotykiem jego ust, naciskiem jego ciała na moje. Moje piersi, nagle wrażliwe, wyjrzały spod zbyt cienkiego materiału koszulki i naciskały tak mocno na jego klatkę piersiową, że czułam każdy wdech, urywany i przyspieszony. Powoli przełknął pierwszą porcję, po czym jego język przetoczył się po mojej skórze.

Wyobraziłam sobie, że to poczułby również we mnie. Tak głęboko, że pochłonąłby wszystko.

Wyczułam pod sobą twardość.

Przycisnęłam rękę do ściany za jego ramieniem. Wciąż ścisnęłam sztylet, choć poluzowałam nieco uchwyt i nie przyciskałam go już tak mocno do jego piersi.

Poruszyłam biodrami. Nic na to nie mogłam zaradzić, nie z oznaką jego pożądania właśnie w tym miejscu. Raihn wydał z siebie syk z okolic mojej szyi.

Tym razem mu zawtórowałam. Jęknęłam, zduszając wydech. Przesunęłam biodra i nacisnęłam na jego. Nie przeszkadzał mi gruby materiał jego spodni. Nawet ten ruch, mimo że tyle znajdowało się między nami, posłał ciarki na moje plecy. Zmusił każdy nerw do błagania, proszenia, wymagania. *Więcej.*

Tego było za mało.

Jad pożarł resztki mojej samokontroli. Wzbudził pożądanie, które całkowicie mnie zniszczyło i nic po sobie nie zostawiło.

Chciałam, aby każda warstwa między nami została rozdarta. Chciałam otrzeć ręce, usta, język o każdy skrawek powierzchni jego skóry, posmakować każdej blizny. Chciałam mu oddać każdy centymetr ciała, by to zrobił każdej mojej części. Chciałam jego wspaniałej części we mnie. Chciałam, by mnie zabrał do świata, w którym nie będę pamiętać własnego imienia, i chciałam, żeby mi o tym przypomniał, gdy dojdzie. Chciałam go przy tym obserwować.

Jego ramiona zacisnęły się na mnie mocno i przyciągnął mnie w jednym pełnym desperacji pochyleniu, jak gdyby próbował się utrzymać i nie upaść. Moja koszulka została uwięziona w jednej z jego pięści, jakby to był jedyny sposób, by jej ze mnie nie zdrzeć. Pił coraz więcej, a jego język poruszał się po mojej skórze, jakby się ze mną kochał.

Nie wiedziałam już, co robię. Ponownie ruszyłam biodrami i nic nie ukryło mojego jęku.

Tym razem poruszył się w rytm za mną.

Pozwoliłam, by sztylet wypadł na ziemię, nie usłyszałam nawet jego brzdęku. Przycisnęłam dłonią jego klatkę piersiową, ponieważ nawet przez skórę jego zbroi chciałam poczuć go więcej, wyczuć bicie jego serca przyspieszającego w ślad za moim.

Nie chciałam się zatrzymywać. Chciałam oddać mu całą siebie.

Najbardziej przerażającym faktem, który odstraszyłby mnie, jeśli mój rozum funkcjonowałby w tym czasie, było to, że to nie było przez jad. Nie, to wszystko już było we mnie nagromadzone i się gotowało. To jedynie sprowokowało wyciek tych emocji.

Zrezygnowałam z podpierania ściany na rzecz jego ramienia, wzmocniłam uścisk.

Poruszyłam się na nim ponownie – nie mogłam się już powstrzymać. Moje ciało było niczym innym jak nerwami i surową chęcią, odsłoniętą, delikatną i zdesperowaną – *zdesperowaną* – by go mieć.

Jego niskie warknięcie rozniosło się po mnie echem. Wiedziałam, że powinnam się go bać, wiedziałam, jak bardzo mnie pragnął. Tak samo jak ja jego. Chciał więcej, niż mu

teraz dawałam.

Ale się nie bałam.

Jesteś bezpieczna, Oraya – wyszeptał i mu uwierzyłam.

Nawet teraz nie dotykał mnie bardziej, niż powinien – nawet tych miejsc, których na ślepo chciałam, żeby dotknął. Poczułam, że napina się jak naciągnięta cięciwa łuku. Czułam budującą się natarczywość w sposobie, w jaki poruszał językiem po mojej szyi.

Pragnęłam tego. Rozszerzyłam bardziej nogi, szerzej otwierałam wrażliwą ścieżkę pomiędzy nami.

Nie zamierzałam wymawiać jego imienia. Nie planowałam rzucać się na niego i pożądać tyle jego ciała, ile mogłam otrzymać; samolubnie upajać się każdym centymetrem tej twardej części jego między nami, stykającej się z moją kobiecością.

Przed moimi oczami wybuchły gwiazdy. Jego imię wydostało się z moich ust razem z westchnieniem. Każdy mięsień kurczył się, a następnie rozkurczał.

Nic nie istniało poza nim.

Nim i wszystkim, czego wciąż pragnęłam.

Pierwsze, co zauważyłam, kiedy iskierki mojego szczytu zniknęły – och, Matko, naprawdę to zrobiłam – było drzenie jego mięśni. Jego ręce były zaciśnięte w pięści na moich plecach i ścisnęły moją koszulkę tak mocno, że byłam pewna, że została rozerwana, ale nie przyciągnął mnie bliżej.

Zrozumiałam, że był ostrożny. Ostrożny, żeby nie przyciągnąć mnie zbyt blisko, bo wówczas nie mogłabym uciec.

Już nie pił. Jego usta zawisły nad moją skórą, nad raną, którą otworzył i którą teraz otaczał delikatnymi pocałunkami. Pocałunkami wokół świeżej rany, o którą prosiłam. Pocałunkami wokół starej rany, o którą nie prosiłam.

Czułam zawroty głowy. Jakbym została pozbawiona kości. Mój umysł pokryła mgła pożądania. Mój orgazm mnie nie usatysfakcjonował. Wręcz przeciwnie, uświadomił wszystko, czego wciąż pragnęłam. Pragnęłam jego ciała. Pragnęłam, żeby wszedł we mnie. Pragnęłam...

Odsunął się. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała ciężko pod naciskiem mojej dłoni. Kiedy napotkał moje spojrzenie, jego widok przebił się przez mgłę mojego pożądania.

Wyglądał jak ktoś wyzuty. Zniszczony.

Strużka czerwieni spłynęła mu z kącika ust. Chciałam tego posmakować. Chciałam posmakować siebie na nim.

Jego usta rozwarły się i pocałowałam go, zanim zdołał wypowiedzieć jakiegokolwiek słowa.

Moja krew smakowała jak żelazo. To jednak było niczym w porównaniu z tym, jak on smakował. Pachniał jak niebo, smakował jak spadanie. Jego wargi spotkały się z moimi, jakby całe swoje życie czekał na ten pocałunek i wiedział dokładnie, co powinien zrobić, kiedy on nadejdzie. Całowaliśmy się w taki sam sposób, w jaki razem walczyliśmy – odpowiadaliśmy na każdy nasz dotyk, każdy ruch. Na tym etapie się rozumieliśmy.

Nagle, po kilku niewystarczających sekundach szarpnął się do tyłu. Ledwie rozpoznałam własny głos, kiedy sfrustrowane kwilenie wyszło z moich ust.

– Nie – wysapał. – Nie, wystarczy.

To było obraźliwe. To nie wystarczyło. Żadnemu z nas. Sposób, w jaki jego penis napiął się pode mną, był tego dowodem.

Nie widziałam teraz żadnych przeciwwskazań, żeby nie kontynuować tego, czego oboje chcieliśmy.

– Nie jesteś sobą – powiedział.

– Nie udawaj, że tego nie chcesz.

Matko, nie wiedziałam nawet, kim była osoba w mojej skórze.

Wydał z siebie dźwięk przypominający coś pomiędzy wydechem a prychnięciem.

– Nic nie wiesz, Oraya. – Kącik jego ust, w którym była pozostałość po mojej krwi, zadrżał, kiedy potrząsnął głową. – O rzeczach, o których myślałem. „Chcieć” nawet nie dorasta temu do pięt. Mam całą *listę*.

Ciarki przebiegły mi po kręgosłupie. Wiedziałam, że mnie pożąda, nawet jeśli nie chciałam tego przyznać, ale wciąż dziwnie było usłyszeć to z jego ust.

Podobało mi się to.

– Ale chcę, żebyś ty też pragnęła tych rzeczy. Ty. Nie jad.

Odrzucenie trochę zabolalo. Odsunęłam się od niego.

Zaśmiał się.

– Ta mina. Oto i ona.

– Pieprz się – wydusiłam.

– Wiem, że byś chciała.

Jego uśmiech zbladł. Moje groźne spojrzenie złagodniało. Nie było to już żartem, bo oboje wiedzieliśmy, że to prawda.

Raihn podniósł się na nogi. Wciąż się chwiało, ale wyglądał już lepiej niż wcześniej, podczas gdy ja wstałam i niemal upadłam z powrotem na kolana.

Złapał mnie.

– Powoli. Straciłaś dużo krwi. Twoje ciało jest lekko zszokowane.

Miał rację. Straciłam dużo krwi. Tak dużo mu dałam. A mimo to... nie za dużo. Nawet w głodzie, nawet dwa kroki od opętania żądzą krwi, zatrzymał się, zanim zagroziło to mojemu życiu.

– Śpij – powiedział. – Pozwól się sobie wyleczyć.

Sen. Sen brzmiał dobrze. Nie tak dobrze jak seks, ale wciąż dobrze.

Pozwoliłam, by Raihn opuścił mnie powoli na ziemię, a następnie by położył się obok i otoczył mnie, i ogrzał swoim dużym i twardym ciałem.

Moje powieki od razu zaczęły opadać. Jego ręka spoczęła na mojej talii – zaferowała cichą stabilność i nic poza tym.

Ale wtem jego włosy połaskotały moją twarz. Jego usta, ciepłe i teraz zbyt znajome, otarły się o mój policzek. Następnie jego słowa zadrżały na płątku mojego ucha, gdy wyszeptał:

– Dziękuję.

– To była jedyna opcja – wydusiłam, jakbyśmy rozmawiali tylko o krwi, a nie wszystkim innym.

Położył się za mną. Świat zaczął mi się zamazywać. Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszałam, gdy zaczął ogarniać mnie sen, był głos Raihna, tak cichy, że równie dobrze mógł mówić to do siebie.

– Jesteś najpiękniejszym, co w życiu widziałem, Oraya.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Kiedy się obudziłam, było mi ciepło. Nadzwyczaj ciepło. Przyjemnie ciepło. Było to ciepło, o którym marzyłam w krzywym łóżku z drapiącym kocem. Było to bezpieczne ciepło.

Różnica była taka, że nie byłam w łóżku, tylko leżałam na twardym, zwirowatym kamieniu. Natomiast źródłem ciepła nie był koc, tylko wielki jak ściana mężczyzna, którego klatka piersiowa była przyciśnięta do moich pleców, a broda spoczywała na mojej głowie. Jego ręce trzymały mnie delikatnie.

Wydarzenia z poprzedniego dnia zaczęły do mnie powoli powracać. Ciało Raihna pode mną. Jego wargi na mojej szyi. Moje biodra poruszające się przy jego ciele i...

Rumieniec oblał mi twarz. Wzdrygnęłam się, nagle zbyt świadoma bliskości Raihna.

Okazało się, że już nie spał. Obróciłam się i zobaczyłam, jak patrzy na mnie z góry. Kosmyki jego czerwono-czarnych włosów opadały mu na twarz, a na ustach miał uśmiech.

– Wiedziałaś, że chrapiasz?

Powiedział to ze swobodną nutą naszego regularnego przekomarzania się, ale usłyszałam w tym też trochę niezręczności. Jakby również nie wiedział, jak ze mną rozmawiać po tym wszystkim.

Odchrząknęłam i usiadłam, podczas gdy on wstał. Byłam... rozczochrana. Przeczesałam palcami włosy – byłam pewna, że wyglądały na tak rozwichrzone, jak je

czułam. Efekty jadu zniknęły i pozostawiły mnie dziwnie wypoczętą, lekko wycieńczoną i ekstremalnie nieśmiałą.

– Cóż. – Spojrzałam na niego od stóp do głów. – Wyglądasz lepiej.

To było niedopowiedzenie. Z powrotem wyglądał tak, jak powinien, nie był cieniem samego siebie jak noc wcześniej. Jego rany wyleczyły się błyskawicznie i poruszał się swobodnie.

– Tak też się czuję – powiedział.

Wstałam. Cisza się przedłużała. Raihn wyglądał, jakby był bliski powiedzenia kolejnego „dziękuję”, które znaczyło zbyt wiele, i zwlekał z tym zbyt długo.

Kto by pomyślał, że ten wampir to taki głupiec.

– Ja... – zaczął jak na zawołanie.

– To powinna być scena ratowania Alarusa przez Nyaxię, prawda? – przerwałam mu zwięźle i rzeczowo. – Kiedy go pojмали.

Najmroczniejsza część historii Nyaxii. Po tym, jak ona i jej mąż uciekli z więzienia, Alarus został zwabiony z powrotem do Białego Panteonu pod obietnicą oczyszczenia Nyaxii ze wszystkich win. Zamiast tego bogowie zaciągnęli go na pustą równinę pomiędzy niebiosami a światami śmiertelników. Kiedy Nyaxia zorientowała się, co się stało, rozdarła ziemie zmarłych w poszukiwaniu Alarusa.

Niestety się spóźniła. Gdy do niego dotarła, jej mąż został rozszarpany i pozostawiony do zgnicia.

– To są ziemie zmarłych – powiedziałam. – Muszą mieć punkt wyjściowy, do którego musimy dotrzeć.

Wyraz twarzy Raihna się zmienił. Przez moment myślałam, że znowu podejmie próbę rozmowy o tym, co się wydarzyło między nami w nocy.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy zamiast tego skinął głową.

– Zapewne.

Poszliśmy do wyjścia z groty z przygotowaną bronią. W przeciwieństwie do poprzedniej nocy, teraz było podejrzanie cicho – tak cicho, że zaczęłam się zastanawiać, czy zatruci uczestnicy wymarli. Nie było żadnych głosów ani krzyków, jedynie odległe wycie zwierząt i syk, który przedzierał się przez powietrze, kiedy dym falami wybuchał spod szarej ziemi. Ta śmiertelna mgła była gorsza niż ostatniej nocy – gęsta i kłująca w oczy nawet z tej odległości. Rozniosła się również po niebie w postaci koca pokrywającego gwiazdy i księżyc.

Po kilku minutach przerzedziła się na tyle, że mieliśmy widok na widmowy krajobraz. Nie żeby było tu cokolwiek do zobaczenia. Jedynie kilka zdeformowanych

i połamanych drzew, które wyłaniały się spod ziemi jak cisi, żałobni stróże. Wyszczerbione kamienie zdobiły pustą przestrzeń, złowrogie jak wyszczerzone zębiska.

Poprzedniej nocy to miejsce wydawało się martwe. A teraz? Teraz wyglądało znacznie gorzej – nie tylko na martwe, ale zamordowane, pogrążone w brutalnej agonii.

Dziwne uczucie ukłuło mnie w kark. Uparta myśl, która była poza moim zasięgiem.

– Tam. – Głos Raihna był bardzo blisko mojego ucha. Podążyłam wzrokiem za jego ręką. – Tam coś jest. Złoto. Widzisz?

Nie widziałam.

– Twój wzrok jest lepszy od mojego.

– Jest tam. To musi być koniec.

– Jak daleko?

– Kilometry.

Świetnie.

– Ten dym jest... – Potarłam ramię w miejscu, gdzie stopniała skórzana zbroja. – Nie wiem, co to jest, ale boli.

I co gorsza, było tego teraz dwa razy więcej niż poprzedniej nocy.

– Pamiętam. – Raihn dotknął swojej stopniałej zbroi.

– Czyli nie możemy po prostu przejść przez środek. A ty nie możesz nad tym przelecieć, bo tam się gromadzi.

Wyciągnęłam szyję za wejściem do groty. Klif – zakładając, że tym to miejsce było, trudno powiedzieć, kiedy wszystko było mało widoczne i bezkształtne – rozciągał się w dwie strony, po czym przekształcał się w niezbyt stabilny stos skał. Ale ziemia została wzniesiona na jego obrzeżach, jakby złamany las przed nami był kraterem, a my znaleźlibyśmy schronienie na skraju jego obrzeży. Grań zakrzywiała się w obie strony, stopniowo wznosiła się i wkrótce moje słabe ludzkie oczy przestały widzieć dal w tej ciemności.

– Możemy się na to wspiąć?

Raihn podążył za moim wzrokiem.

– Jest to mniej bezpośrednio, ale zabrałoby nas do bramy. I będzie tam mniej dymu.

Mniej, ale wciąż będzie. Obserwowałam, jak dym wzbiera się w chmurkach. Gęstszy przez kilka sekund, następnie rozrzedzał się, kiedy powiał wiatr. Po tym znowu robił się gęstszy, gdy nowa jego fala wydobyła się spod ziemi.

Zaczęłam po cichu liczyć.

– A co, jeśli... – zaczął Raihn, ale uciszyłam go i próbowałam nie zgubić się w liczeniu.

Tak.

Dziewięćdziesiąt sekund.

– To przewidywalne – powiedziałam. – Sposób, w jaki porusza się dym. Zobacz.

Tym razem Raihn obserwował ze mną.

– Widzisz? – zapytałam, kiedy fala ponownie zgęstniała. – Dziewięćdziesiąt sekund. To przewidywalne. I potrzeba sporo czasu, żeby chmura się tam znalazła. – Wskazałam na grzbiet obrzeży. – Będziemy w stanie zobaczyć, jak zbliża się fala.

– I co zrobić?

– Schować się?

– Gdzie można się schować przed dymem?

– Za... skałą?

Wiedziałam, że to głupi pomysł.

Raihn spojrział na mnie z politowaniem.

Wyrzuciłam ręce w powietrze.

– W takim razie jakie genialne sugestie masz ty, Raihn?

Milczał dłuższą chwilę. Wtem kąciki jego ust się uniosły.

– Ten, którego zabiłem wczoraj, był Zrodzonym z Cienia, nie?



Nie mogłam uwierzyć, że ryzykowaliśmy życie dla jakiejś pieprzonej peleryny.

Nie sprzeciwiłam się temu pomysłowi tylko dlatego, że miejsce walki Raihna było niedaleko. Wciąż jednak musieliśmy zgadywać, gdzie dokładnie mogło znajdować się ciało, jeśli dalej tam leżało, jako że konsekwencje pomyłki mogły być opłakane.

Zdecydowaliśmy, że Raihn pójdzie sam. Szybciej będzie leciał, niż ja miałabym biec, a dym będzie miał na niego mniejszy wpływ niż na mnie.

– Poczekaj, aż będzie najrzadszy – powiedziałam mu. – I jeśli go nie znajdziesz, od razu wracaj. Nie marnuj czasu.

– Wiem.

Jedyne, o czym mogłam teraz myśleć, to to, jak słaby był Raihn zaledwie kilka godzin temu, i nawet teraz widziałam jeszcze pozostałości tej niemocy.

Przełknęłam i powiedziałam najchłodniej, jak tylko potrafiłam:

– Nie rób nic głupiego.

Odwrócił się i zmrużył oczy.

– Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że się martwisz, księżniczko.

– Nie chcę się wspinać na tę górę sama, i to na nogach.

Tylko się zaśmiał.

– Czasem mam wątpliwości, ale ty naprawdę mnie lubisz, co?

Zanim zdążyłam się na niego zdenerwować, już go nie było. Jego wspaniałe skrzydła otworzyły się, kiedy dym stał się rzadszy, po czym poszybował w stronę dołu.

Minęło dziesięć sekund.

Dwadzieścia. Trzydzieści pięć.

Wyciągnęłam broń.

Jeśli nie wróci po sześćdziesięciu sekundach, pójdę za nim. Tak zdecydowałam.

Oczy bolały mnie od niemrugania, kiedy wpatrywałam się tępo w dym.

Z jakiegoś powodu moje myśli odleciały w kierunku Nyaxii. Jak ona się czuła, gdy przedzierała się przez ziemie zmarłych, w pojedynkę, w desperackiej walce o uratowanie swojego męża. Nagle uświadomiłam sobie, jak okropne to musiało być uczucie, gdy było się poza zasięgiem kogoś umiłowanego. Kiedy było się bezbronnym i niezdolnym, by go ochronić.

Pięćdziesiąt pięć sekund.

Teraz. Nadszedł czas.

Wzięłam głęboki wdech i zatrzymałam go w płucach. Jakby to miało w czymś pomóc.

Zaczęłam biec...

...i wtem coś mnie powaliło na ziemię. Byłam gotowa walczyć, ale usłyszałam niski śmiech, a znajomy uścisk powstrzymał moją rękę, która miała zadać cios. Raihn zabrał mnie z dala od dymu. W kącikach oczu widoczny był jego uśmiech. Skrzydła miał wciąż rozłożone, lśniące każdym odcieniem nocy niczym stopiona farba w ciemności.

– Biegłaś mi na pomoc?

– Po raz drugi – mruknęłam i schowałam miecze.

– To wzruszające. Ale nie trzeba. Zobacz.

Puścił mnie i chwycił tkaninę, którą ścisnął w drugiej ręce. Teraz rozłożył materiał. Był koloru ciemnosrebrnego – ulubionego Domu Cienia – i wyglądał na lekki jak powietrze. Błyszczał i marszczył się jak samo światło księżyca.

– Avathariański jedwab – powiedział Raihn. – Tak jak myślałem. Jeden z najlepszych wyrobów Zrodzonych z Cienia. Wygląda na kruche, ale odbija od siebie wszystko. Trudno jest to też przebić.

Pomyślałam o trupie Zrodzonego z Cienia, który był praktycznie przepołowiony. To nie powstrzymało Raihna ostatniej nocy.

– Dlaczego nie zrobią z tego całej swojej garderoby?

– Jest to drogie i bardzo trudne do wytworzenia. Dlatego też postanowili używać tego w prostszych rzeczach. – Raihn przypiął pelerynę do swoich ramion, po czym nałożył

kaptur. Wyglądał, jakby był pokryty płynną stalą. Nawet brudny i ranny zapierał dech w piersiach. Groźny i majestatyczny.

– Czy to wystarczy? – zapytałam.

Wzruszył ramionami. Jedwabna tkanina się zmarszczyła.

– Miejmy nadzieję.

– To budzi zaufanie.

– Och, no tak. Mój pomysł jest głupi. Schowajmy się lepiej za skałą.

Zacisnęłam usta. W sumie racja. To była najlepsza opcja, jaką mieliśmy.

Tak więc zdecydowaliśmy, że Raihn nałoży pelerynę, mnie weźmie w ramiona i najszybciej, jak to możliwe, przeleci kamienistą grań w dziewięćdziesiąt sekund. Tam zatrzymamy się, schowamy pod peleryną, poczekamy na kolejne dziewięćdziesiąt sekund na rozrzedzenie dymu, po czym będziemy kontynuować. Nie mieliśmy pojęcia, co tam spotkamy – potwory, konkurencję, a może jedno i drugie – a Raihn będzie niezdolny do obronienia nas podczas tego lotu. To będzie moje zadanie. On będzie skrzydłami, ja zębami.

I tak w kółko, aż dotrzemy do bramy.

Albo do momentu, aż ktoś zaatakuje nas i zabije.

Albo do momentu, aż dym przeżre pelerynę i pożre nas żywcem.

Fantastycznie.

Przygotowaliśmy się, Raihn zagarnął mnie znowu ramionami, i trzymał mocno przy swojej klatce piersiowej, podczas gdy ja przygotowałam miecze. Od momentu kiedy po raz pierwszy mnie tak trzymał, teraz było... inaczej, niż przypuszczałam, nawet jeśli nie byłam gotowa się do tego przyznać. Teraz, gdy miałam w pamięci ostatnią noc, byłam bardzo świadoma w innym tego słowa znaczeniu, kiedy nasze ciała zaczęły się stykać.

Jego usta zbliżyły się do mojego ucha.

– Gotowa?

Nie do końca. Ale nigdy nie będę gotowa do końca.

– Gotowa.

Poszybaliśmy w śmiertelną mgłę.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

To nie był lot. To było pędzenie na złamanie karku. Oczy mnie piekły, a twarz bolała od ataku robaków, kurzu i przypadkowych gałęzi. Raihn musiał się poruszać nie z gracją, tylko chaotycznie. Szarpał gwałtownie, aby uniknąć drzew i skał, i jednocześnie utrzymywał nas wystarczająco nisko w celu uniknięcia śmiertelnej chmury dymu nad nami. Do tego wszystkiego dołączyła walka z peleryną, która groziła zaplątaniem się w jego skrzydła. Z trudem utrzymywałam otwarte oczy i broń w gotowości, niemal nie mrugałam.

Trzydzieści, czterdzieści, sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt...

– Teraz! – krzyknęłam.

Raihn przycisnął mnie do siebie mocniej i uderzyliśmy w ziemię. Pchnął mnie pierwszą na grunt na tyle mocno, że wydałam z siebie zduszone „uf”, po czym zawisł nade mną i narzucił na nas pelerynę.

– Jeszcze mniejsza – wymamrotał.

Podciągnęłam nogi do klatki piersiowej, po czym przewróciłam się na bok, by stać się pod nim tak mała, jak tylko to było możliwe.

Nigdy nie byłam tak wdzięczna za swój niski wzrost jak teraz. To jedyny powód, dla którego to zadziałało. Raihn powiedział, że schowa skrzydła, żeby nie przeszkadzały, ale musiał nie mieć na to czasu, bo ostatecznie przycisnął je po obu naszych stronach.

Serce mi przyspieszyło na tę duszną bliskość. Byłam przygnieciona do popielatej ziemi pod ciałem Raihna, otaczały nas jego skrzydła.

Nic nie widziałam. Ale poczułam, kiedy dym nas otoczył, ponieważ Raihn się spał.

Przycisnęłam dłoń do jego klatki piersiowej w niewerbalnym pocieszeniu.

– Zamknij oczy – rozkazał tuż przed tym, jak rozpoczęło się palenie.

Zacisnęłam powieki, ale wciąż to czułam. Na moim ciele również – najpierw na odkrytej skórze: nadgarstkach, dłoniach i szyi – a następnie na całej reszcie.

Dziesięć sekund – pomyślałam. *Może to nas zabije.*

Ale nie zabiło. Ból był nieprzyjemny, ale daleki od śmiertelnego.

Dziewięćdziesiąt nieskończonych sekund.

Kiedy Raihn w końcu zszedł ze mnie, moja skóra, płuca i oczy piekły, ale poza tym byłam cała. On musiał przyjąć najgorszy cios. Nie miałam jednak czasu na niego spojrzeć, bo już mnie złapał i lecieliśmy dalej.

W mojej głowie oprócz liczenia panowała niemal pustka. Musieliśmy przelecieć tak kilometry w dziewięćdziesięciosiekundowych turach. Straciłam rachubę, ile razy to powtórzyliśmy. Moje ciało co i raz uderzało w ziemię.

Na początku mieliśmy szczęście, nie natknęliśmy się na żadne niebezpieczeństwo poza dymem. Ale nagle, mniej więcej w połowie drogi do naszego celu, Raihn zdjął pelerynę i od razu zostaliśmy zaatakowani przez trzy wilki, z pianą na pyskach i wyraźnie wygłodniałe. Raihn nie miał czasu, by złapać miecz, więc zamiast tego zaatakował je magią i zmusił do wycofania się. Była ona słabsza niż zazwyczaj, biorąc pod uwagę jego wciąż świeże rany.

Piętnaście sekund.

Musiałam reagować szybko. Wypatroszyłam jednego, póki był jeszcze ogłuszony atakiem Raihna, a drugiego, kiedy odsłonił szyję i zanurkował w moją stronę.

Czterdzieści sekund.

Trzeci odmówił odejścia z tego świata. Rzucił się na mnie, gdy wyciągałam ostrze z jego kompana.

Pięćdziesiąt pięć.

Walczyłam i liczyłam. Raihn zanurzył się, by pomóc, i wziął na siebie paskudne ugryzienie, które było przeznaczone dla mnie. Wilk trzymał się życia, rzucał się na każdą ranę.

Sześćdziesiąt sekund. Siedemdziesiąt.

Osiemdziesiąt, kiedy w końcu zabiłam go uderzeniem miecza i porcją nocnego ognia, akurat w porę, by spojrzeć w dół na strome nachylenie krateru i zobaczyć atakującą nas falę mglistej czerni o dziesięć sekund za wcześnie.

Raihn gwałtownie rzucił mnie w dół. Zauważyłam, jak się skrzywił, kiedy dym znalazł się wokół nas. Byliśmy ze sobą nos w nos. Tkanina nie pokryła go w całości.

– Byłaś zbyt blisko – szepnął.

– Wiń za to wilka.

Tym razem, kiedy dotarłam do dziewięćdziesięciu sekund, Raihn nie poruszył się szybko. Kiedy ponownie mnie zgarnął, zerknęłam na jego skrzydła. Ich końcówki wystawały spod peleryny i teraz pióra były lekko wybrakowane, a ich nakrapiana czerń okazała się kropkami w czerwonym odcieniu, a nie krwią, jak myślałam na początku.

Lecieliśmy. Znowu i znowu. Byliśmy coraz bardziej zmęczeni. Poruszaliśmy się wolniej, kiedy powinniśmy przyspieszyć. Wiedziałam, że oparzenia na skrzydłach i nogach Raihna przeszkadzały mu, tak jak i ugryzienie wilka.

W końcu naszym oczom ukazał się łuk. Mój wzrok był tak kiepski w ciemności i we mgle, że mogłam rozróżnić złota bramę przecinającą noc dopiero, gdy znaleźliśmy się zaskakująco blisko. Zostały nam może dwie tury.

– Teraz widzę – powiedziałam z ulgą.

Ręce Raihna były już na mojej talii, przygotowane, by ponieść mnie dalej.

– Powinnaś się wstydzić tej ludzkiej...

Urwał w połowie zdania.

Odwróciłam się. Patrzył na coś w dole. Wspięliśmy się wysoko, skalisty grzbiet teraz majaczył daleko od naszego punktu startu i wciąż wysoko ponad najgłębszymi częściami krateru pod nami. Z tej odległości wyglądało to na kocioł mgły. Trudno było dostrzec krzywiznę krajobrazu z dołu, ale stąd ten kształt był nie do pomylenia – krąg tak doskonale nakreślony, że wydawał się wykonany ludzką ręką.

Włoski stanęły mi dęba na karku. Ponownie dziwnie znajome uczucie przebiegło po moim ciele.

Zerknęłam na Raihna i przez jego minę zabrakło mi tchu. Na jego twarzy były wypisane złość, strach i zniszczenie.

Widziałam to u niego tylko raz. Kiedy myślał, że Mische była martwa.

Coś srebrnego zabłyszczało w ziemi. Klęknął i podniósł to. Wpatrywał się w to tępo.

– To jest...

Brzmiał, jakby się nie zorientował, że mówił na głos. Srebro na jego palcach zaśniło, a jego dłonie zdrząły. Zauważyłam, że była to tablica z nazwą ulicy, a przynajmniej jej fragment.

Czas nas gonił.

– Raihn, musimy ruszać, zanim...

– To jest Salinae – wycharczał.

Salinae?

Niemal wybuchnęłam śmiechem w odpowiedzi, ponieważ to było takie oderwane od rzeczywistości. Salinae było jednym z większych miast w Domu Nocy. Za panowania Rishan było ich drugą stolicą. Badałam je obsesyjnie i przygotowywałam się do dnia, kiedy będę mogła tam pójść. Studiowałam każdy rysunek, każdą mapę.

– Salinae? To...

Chciałam powiedzieć, że to głupota.

Ale przestudiowałam każdą mapę.

I nagle to zobaczyłam. Nałożone na to bezludne pustkowie. Stosy rozłupanego kamienia stały się budynkami – tutaj ratusz, tam kościół, a tam biblioteka. Żyły ziemi mknącej przez krajobraz, uznane wcześniej za naturalne strumyki, stały się ulicami.

Otworzyłam usta w nieopisanym szoku.

To nie było pustkowie. To były ruiny miasta, które przestało istnieć. Ruiny miasta, które było regularnie niszczone, jakby przez największe i najpotężniejsze wojsko na świecie.

W końcu dotarło do mnie, dlaczego w powietrzu unosił się znajomy zapach.

To był zapach, który powstawał po użyciu Asterisa. Asterisa i materiałów wybuchowych, czerpiących moc z samych gwiazd, dzierzonych przez tysiące wojowników.

Pachniało tu dokładnie tak samo jak szesnaście lat temu. W noc, kiedy Vincent zabrał mnie do domu.

Moje ciało zdrętwiało, kiedy spadła na mnie cała prawda.

Nie oszczędzę nikogo – powiedział Vincent. Nie oszczędzę waszych żon czy dzieci.

I nie oszczędził. Nie tylko Rishan. Ludzi też.

Vincent zamordował ich wszystkich.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Dzwoniło mi w uszach. Ręce mi zmarzły. Nie poruszałam się. Po prostu wpatrywałam się w to miejsce. W to zniszczone, martwe miejsce, które zamieszkiwała niezliczona liczba ludzi.

Rodzina, która mi pozostała.

Wszystko zniknęło.

Nie byłam w stanie myśleć. Raihn coś do mnie mówił, ale nie wiedziałam co. Nawet jeślibym go słyszała, co nie było możliwe, nie mogłabym zrozumieć jego słów.

Salinae przestało istnieć.

Przestało istnieć.

Przestało istnieć.

Przestało...

– Oraya, na ziemię! – ryknął Raihn, kiedy rzucił się na mnie.

Rozproszyliśmy się. Przestaliśmy przez to liczyć. Ból przeszył moją lewą stopę, która wyszła spod peleryny narzuconej na nas przez Raihna. Poczułam, że jego ciało również się spina. Nie pokryła żadnego z nas.

Trwaliśmy w tej pozycji przez dziewięćdziesiąt długich sekund.

Wszystko wewnątrz mnie zamieniło się w lód i byłam za to wdzięczna. Wolałabym być zimna i twarda, dzięki czemu nie czułam nic, zamiast się tym zamartwiać, mimo że

załągł się tam mój smutek i płonał pod powierzchnią, zbyt gorący, bym mogła go utrzymać w zamknięciu nawet przez wiecznie lodowatą kontrolę.

Vincent nie mógł tego zrobić. Nie mógł.

Nie powstrzymałam się i pomyślałam o Nyaxii. Matko, nie mogła zaplanować tego lepiej. Graliśmy w patologicznie karykaturalnym i najgorszym momencie jej życia, kiedy przedzierała się przez pustkowia w pełnych desperacji poszukiwaniach jej męża i ostatecznie dowiedziała się, że już nie żył.

Spóźniła się. A teraz my także.

Minęło dziewięćdziesiąt sekund. Raihn zdjął pelerynę i powoli się podniósł. Wciąż z trudem mógł oderwać wzrok od popielatej ziemi. Dopiero teraz zauważyłam, że była zaśmiecona drobkami srebra i połamanego metalu. Szkielet pozostały po mieście.

– Pół miliona ludzi – wydusił. – Mieszkało tam pół miliona ludzi.

Odległy głos wyszeptał mi do ucha: *Musisz się ruszyć. Musisz się ruszyć teraz, zmijko...*

Spojrzałam w górę i ponad ramieniem Raihna zobaczyłam szybko poruszającą się ku nam postać. Ku nam pędziła kreska srebra.

Nie było czasu, by zrobić unik.

Pchnęłam Raihna na bok i Ivan wpadł na mnie z impetem.

Uderzyłam plecami w ziemię. Ivan znalazł się na mnie. Każda część jego twarzy poza srebrnymi oczami była pokryta skrawkami materiału. Miałam czas, żeby odepchnąć Raihna i zatrzymać atak Ivana, ale w rezultacie nie miałam możliwości odparować dalszych ciosów. Wytracono mi z rąk miecze. Coś przecięło moje podbrzusze. Szok zmniejszył ból do słabego pulsowania.

Oczy Ivana zmarszczyły się w wyrazie usatysfakcjonowanego uśmiechu.

Nagle ból zaczął mnie rozsadzać, jakby krew gotowała mi się w żyłach. Kilka kropel czerwieni uniosło się w górę i krążyło wokół bladej twarzy Ivana – moja krew, którą wyrwał z mojego ciała swoją magią.

– To za Próbę Kwadry – szepnął i przygotowałam się na najgorsze...

Ale wtem Raihn zerwał go ze mnie i rzucił na skały z wystarczającą siłą, by złamać mu kręgosłup.

– Nie *dotykaj jej* – warknął, a czarne światło błysnęło w powietrzu. Jego Asteris obudził się z nową mocą.

Próbowałam się przesunąć, ale nie mogłam. Opadłam z sił, wsiąknęłam w ziemię jak deszczówka. Zdołałam jedynie odwrócić głowę na tyle, by zobaczyć Raihna siedzącego na Ivanie z uniesionym mieczem, gotowym zadać śmiertelny cios.

Za nim kolejna rozmazana plama srebra wyłoniła się z dymu. Angelika. Nie myślałam się, nawet w ciemności. Tak jak Ivan, zakryła całe swoje ciało poza oczami. Mimo to każda jej cząstka emanowała mocą.

– Raihn! – próbowałam krzyknąć, kiedy uniosła łuk, ale skończyło się na zduszonym jęku, który mimo to był wystarczający, by Raihn poderwał głowę do góry.

– Puść go! – zawołała Angelika.

Przez mgłę, którą miałam przed oczami, zobaczyłam coś dziwnego: jej strzała nie była wymierzona w Raihna.

Była wymierzona we mnie.

– Puść go natychmiast albo ją zabiję, Raihn! Kolejna Nessanyn. Chcesz tego? Puść go!

Raihn zamarł.

Wszystko stało się niewyraźne i szare. Głosy odległe. Poza tym głos Vincenta, który zdawał się bliżej mnie, wyszeptał: *Zasłaś tak daleko, zmijko. Ale przynajmniej twoje kości spoczną w twoim domu.*

Przycisnęłam dłoń do zwirowatego popielatego piachu, zamykając palce na garści. Zastanawiałam się, czy kości mojej rodziny były w tym piachu, rozsypane wokół mnie.

Zamrugałam i przede mną uformowała się postać Raihna, ściskającego za kark bezwładne ciało Ivana.

– Dobra – powiedział w końcu. – Puszczę go.

Zerwał Ivanowi maskę z twarzy i zrzucił go ze stromego zbocza, prosto w nadchodzącą falę śmiertelnego dymu.

Raihn udał się w moją stronę. Kiedy opadł na moje ranne ciało, wydobyłam z siebie jęk. Odległe wycie pełne agonii wbiło mi się w kości. Angelika.

Na początku myślałam, że może została schwytana przez mgłę, ale potem zrozumiałam, że to z powodu Ivana. Krzyczała z rozpacz.

Raihn przyciągnął mnie do siebie. Gdy dotknął mojej rany, wydałam z siebie słaby, nieplanowany syk i zeszywniał, jakby nagle uświadomił sobie coś okropnego.

– Musimy biec, i to już – wymamrotał mi do ucha.

– Nic mi nie jest – próbowałam powiedzieć, mimo że mnie o to nie zapytał. Przegrywałam walkę o pozostanie na tym świecie.

– Wstrzymaj oddech – powiedział. Następnie uniósł mnie w powietrze i moja twarz została otoczona solidną ścianą ciepła. Lecieliśmy naprawdę szybko.

Wszystko mnie bolało, jakby moja odsłonięta skóra została pocięta na kawałeczki. Krzyk Angeliki rozbrzmiał za nami echem.

Nie mogliśmy tego przeżyć. Nawet sekundy dłużej. Byliśmy pożerani.

Zmusiłam się jednak, by unieść nieco głowę, akurat kiedy przed nami pojawiła się zbliżająca się ku nam brama...

...po czym nastąpiła cisza.

Łądowanie Raihna było dalekie od gracji. Poruszał się tak szybko, że musiał zatrzymać się gwałtownie, by uniknąć rzucenia nas w kamienną barierę po drugiej stronie bramy. Skończyliśmy w górze piachu.

Próbowałam się podnieść, podczas gdy Raihn mnie asekurował. Moje oczy przyzwyczyły się do znajomego złotego i srebrnego oświetlenia rozlewającego się po niekończącym się morzu siedzisk.

Koloseum wyglądało inaczej niż zawsze, było opustoszałe. Nie było wrzeszczących tłumów, żadnych wiwatów. Ani jednego widza na tych niezliczonych pustych ławach. Panowała jedynie złowroga cisza.

Przed nami na piachu siedziała krwawa postać z kolanami podsuniętymi pod klatkę piersiową. Ciemnoczerwony koc spływał po jej ramionach. Była tak bardzo pokryta krwią. Potrzebowałam chwili, by ją rozpoznać, aż do momentu, kiedy podniosła na mnie spojrzenie.

To był Ibrihim.

A koc nie był kocem, tylko jego skrzydłami – poszarpanymi i pokrytymi świeżymi poparzeniami, które pasowały do tych znajdujących się wokół jego oczu. Musiał zakryć twarz na tyle, na ile mógł, i pozostałą ochronę miały spełniać skrzydła, teraz zniszczone.

Być może moja mina zdradziła przerażenie, ponieważ uśmiechnął się, i uniósł nieznacznie kąciki ust.

– W końcu na coś się przydały.

Minister stał w złowieszczym bezruchu, a czwórka jego akolitów stała za nim ze spuszczoneymi głowami.

– Witaj, Orayo Zrodzona z Nocy i Raihnie Ashraju – powiedział Minister. – Nasza Matka Wygłodniałej Ciemności jest zadowolona z waszych zasług. Przeszliście do finalnej próby.

Wyobrażałam sobie, że więcej będę czuć, kiedy usłyszę te słowa. Zamiast tego spotkały się one tylko z odrętwiałym poczuciem lęku.

– Nastąpiła zmiana – kontynuował Minister. – Próba Nowiu nie będzie miała miejsca za trzy tygodnie, tylko jutro.

Zmarszczyłam brwi. Co? To było niespotykane.

– Jutro? – powtórzył Raihn.

– Dlaczego? – wychrypiałam. Wbiłam palce w ramię Raihna. Miałam nadzieję, że ukrywałam to, jak bardzo się na nim opierałam.

– To bardzo ważne, żeby Kejari dobiegło końca – odparł Minister krótko, jakby to była odpowiedź na nasze pytanie.

– Tak, oczywiście, ale dlaczego... – zaczął Raihn.

– Nyaxia doszła do wniosku, że nie ma pewności, że Sivrinaj będzie istniał za trzy tygodnie.

Minister uniósł brodę i lekko skinął na coś za nami.

Odwróciliśmy się.

Bramy do koloseum były otwarte na oścież i prezentowały wielki, żywy obraz miasta. Uniosłam powoli wzrok, by podążyć za rozciągającą się sylwetką Sivrinaju.

– Nie... – wysapał Raihn.

Nie mogłam się zebrać, żeby cokolwiek powiedzieć, choćby przekląć.

Wiedziałam, jak wyglądał Sivrinaj. Zapamiętałam każdy kształt tego krajobrazu podczas milionowych smutnych momentów w oknie mojej sypialni. Mimo że nigdy nie zapominałam, że to było miasto – królestwo – brutalności, nigdy nie przypuszczałam, że z mojego zabójczo pięknego domu może zostać... coś takiego.

Sivrinaj zawsze był gładki jak broń, ale teraz ostrze to zostało wyjęte i pokryło się śmiercią.

Przy ścianach koloseum walały się ciała wsparte na palach. Niektóre wciąż drgały w swoich ostatnich momentach i czekały nie wiadomo jak długo na czającą się na nich śmierć. Były ich setki. Rozciągały się tak daleko, że aż nie mogłam rozpoznać kształtu ciał. Mój ojciec nigdy nie zaczynał czegoś, czego nie mógł dokończyć. Wiedziałam, że było ich więcej na całej długości ścian, nawet jeśli ich nie widziałam.

U dołu każdego pala, rozciągnięte w wieńcach śmierci, były ich skrzydła – niezliczone opierzone skrzydła, przybite do starożytnego kamienia. Czerwonoczarne krew kapła z białego marmuru i tworzyła zwodniczo eleganckie strumyczki, lśniące w świetle pochodni pod brązowo-złoto-biało-szaro-czarną tęczą skrzydeł.

Zostaliśmy zamknięci w Księżycowym Pałacu, odizolowani na tygodnie. Było to wystarczająco dużo czasu na eskalację wojny przeciwko Rishanom. Wciąż jej skala była szokująca. Chora.

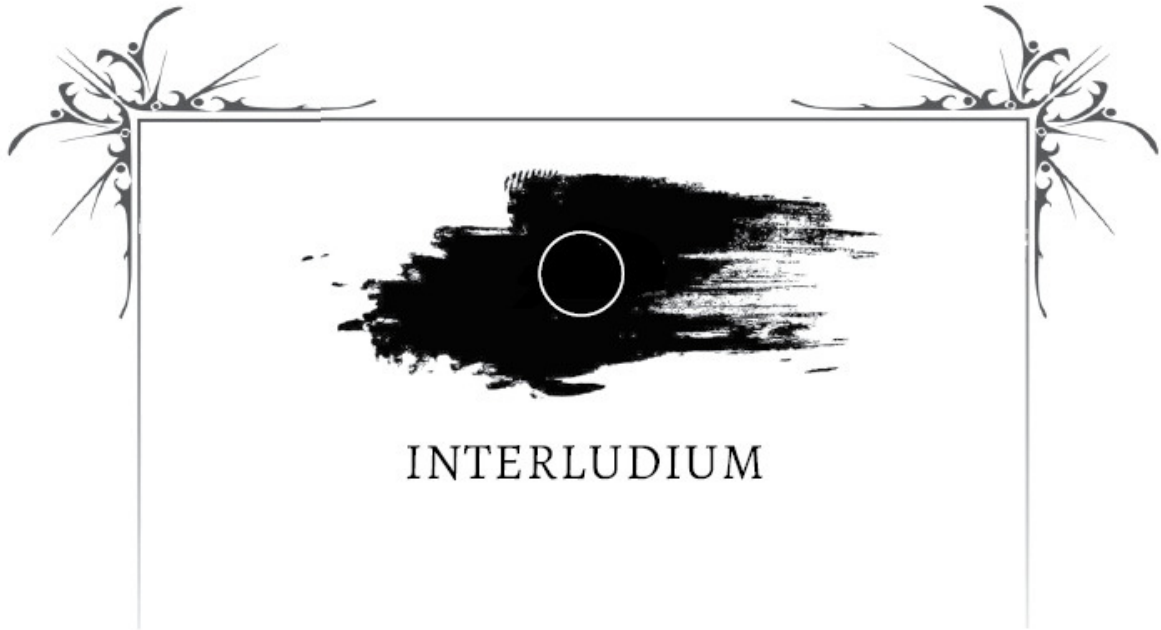
Miałem trzysta lat praktyki – szepnął Vincent do mojego ucha. *Istotne jest, by zawsze być decyzyjnym i skutecznym.*

– Być może będziecie chcieli odpocząć, póki macie do tego okazję – powiedział Minister, jakby nic się tu nie stało. Wskazał na drzwi, które ukazały fragment wielkiej sali w Księżycowym Pałacu. – Wiele się zmieniło.



CZEŚĆ SZÓSTA

NÓW



INTERLUDIUM

Rany na szyi młodej kobiety jeszcze się nie zagoiły.
Dwa dni temu chłopiec, którego myślała, że kochała, próbował ją zabić.
Dzisiaj jej ojciec przyszedł do jej pokoju.

– Mam dla ciebie prezent – powiedział. – Chodź ze mną.

Król często dawał młodej kobiecie prezenty, choć rzadko je takimi nazywał. Teraz miała złamane serce. Czuliła się zraniona i głupia. Nie miała ochoty na prezenty. Ale nie była też w nastroju do kłótni, więc poszła za ojcem.

Zaprowadził ją do sali tronowej. Było to niesamowite miejsce. Wypełniało je morze marmurowych płytek w kolorze czerwieni, bieli i czerni, nad którymi majaczył tron Zrodzonego z Nocy. Król zamknął podwójne drzwi za sobą i wepchnął do środka córkę.

Zamarła.

Sala była pusta, jeśli nie liczyć pojedynczej postaci w centrum tego gładkiego czerwonego marmuru – przystojnego młodzieńca, który klęczał z rękami związanymi za plecami. Spojrzał na nią takimi samymi oczami, o jakich śniła. Wyszeptał półprzytomne przeprosiny tymi samymi ustami, które próbowały wcześniej rozerwać jej gardło.

Dziewczyna nie mogła się ruszyć. Zbyt dużo emocji naraz zaczęło ją uderzać ze wszystkich kierunków, ale już sam widok jej kochanka spętał jej serce.

Król przeszedł przez salę i stanął za chłopcem, ręce położył na jego ramionach. Następnie zwrócił się do córki:

– Chodź tutaj.

Podeszła. Z bliska zauważyła, że chłopiec trząsł się w przerażeniu. To było dla niej dziwne. Jeszcze nie widziała wampira, który bałby się tak jak ona.

– Spójrz na niego – rozkazał król.

Tak zrobiła, choć tego nie chciała. Nie chciała patrzeć w te zbyt znajome zielone oczy, było to zbyt bolesne.

– Boi się – odrzekł król. – Tak jak powinien.

Chłopiec uniósł wzrok na swoją kochankę. Próbował przeprosić, próbował powiedzieć, że nie wiedział, że to tak się potoczy, że tak się poczuje...

Król go uciszył. Sięgnął do pasa, wyjął sztylet i wyciągnął go ku niej.

– Weź to.

Rozkaz. Młoda kobieta nie mogła nie posłuchać rozkazu ojca. Tylko raz to zrobiła i proszę, co się przez to stało.

Wzięła sztylet.

Król trenował ją od lat. Wiedziała, jak posługiwać się bronią. Jej palce zacisnęły się we właściwym miejscu, jak podpowiadała jej druga natura. To był jednak pierwszy raz, kiedy trzymała ją tak blisko żywej istoty. Światło z lampionów odbijało się na ostrzu i rzucało zielone iskielki po przerażonych oczach chłopca.

– Powiedziałem ci w noc, w którą cię tu przyniosłem, że nauczę cię, jak powinnaś używać swoich zębów – oznajmił król ze spokojem. – I dotrzymam tej obietnicy. Ale teraz nadszedł czas, bym nauczył cię, jak gryźć.

Młoda kobieta utrzymywała kamienny wyraz twarzy. Wewnątrz niej jednak rozpętała się panika.

– Serce jest najprostszym celem – kontynuował król. – Prosto przez klatkę piersiową. Lekko na lewo. Musisz użyć dużej siły. Być szybka. Teraz będzie to proste, ale przy innej okazji będą próbować uciec albo walczyć. Nie dawaj im tej szansy.

Wszystko ucichło.

Sztylet był ciężki w jej rękach.

Jej kochanek spojrzał na nią i błagał.

– Tak bardzo cię przepraszam, Oraya. Prze-przepraszam. Nie wiedziałem, nie chciałem. Nawet tego nie pamiętam...

Są w życiu momenty, które na stałe zostają wyryte w pamięci. Niektóre zanikają z minutami, inne zostają wygrawerowane w naszej duszy.

Ten obraz – obraz chłopca, którego kochała i który prosił ją o przebaczenie – będzie ją prześladował do końca jej życia.

Lata później, kiedy dziewczyna stanie się dorosłą kobietą, stwierdzi, że tamten chłopiec wcale nie chciał jej zranić tamtej nocy. Że nie zrozumiał jeszcze do końca swoich nowych impulsów jako Przemieniony. To nie zmieniło tego, co uczynił. Nie sprawiło, że stało się to mniej niewybaczalne. Tylko uczyniło wampiry bardziej niebezpiecznymi. Mogły cię kochać, ale wciąż mogły cię zabić.

W tym jednak momencie dziewczyna nie wiedziała, w co powinna wierzyć.

Nie mogę – te słowa zawisły na końcu jej języka. Wstydlive słowa. Wiedziała, że nie powinien tego usłyszeć jej ojciec.

Król wpatrywał się w nią bez mrugnięcia. Oczekiwał.

– Jeden cios. Tylko tyle.

Zaczęła kręcić głową, ale warknęła:

– Tak, możesz. Zrobisz to. Ostrzegałem cię dawno temu, że nie jesteś bezpieczna z nikim innym niż ja. Ostrzegałem cię. To są konsekwencje, Oraya.

Nie podniósł głosu. Król rzadko krzyczał. Jednak ostrość jego słów była tak raniąca i śmiertelna jak ostrze, które jej przekazał.

Teraz rozumiała.

To było coś więcej niż lekcja. To była kara. Złamała zasady ojca. Wpuściła kogoś innego do swojego serca. A teraz zmusi ją do tego, by wycięła to i położyła mu przy stopach.

– To niebezpieczny świat. – Jego głos złagodniał. – Tylko tak możesz przeżyć.

Być może inna nastolatka zniechęciłaby swojego ojca za tę sytuację. I być może ta tutaj, w pewnym sensie, to zrobiła. Być może będzie nosiła ten maleński fragment tej nienawiści do końca życia.

Ale też go za to kochała. Ponieważ miał rację. Szlifował ją. Gdyby postuchała go wcześniej, nic takiego by się nie wydarzyło.

Nie była jeszcze wystarczająco zimna, wystarczająco silna. Ale mogła się w tym momencie troszkę naostrzyć, nawet jeśli oznaczało to rzucenie się na bezlitosną stal rozkazu jej ojca.

Przełknęła ślinę.

Uniosła sztylet.

Chłopiec był w cienkiej bawełnianej koszuli. Łatwo można było zobaczyć rysy jego klatki piersiowej. Obrął swój cel. Lekko na lewo, jak ojciec jej powiedział.

– Musisz pchnąć mocno, żeby przebić się przez mostek – odrzekł król. – Mocniej, niż myślisz.

– Czekał... – wydusił chłopiec.

Dziewczyna zaatakowała.

Król miał rację. Musiała pchnąć mocniej, niż myślała. Czuła każdą warstwę skóry, musiała walczyć, by wejść w nią sztyletem. Krew trysnęła z rany chłopca, jakby czekała na ten moment.

Gula urosła w jej gardle, kiedy jej kochanek wrzasnął. Szarpał się, ale król trzymał jego ramiona mocno.

Młoda kobieta zaczęła odwracać głowę, ale jej ojciec syknął:

– Nie. Nie odwracaj wzroku, zmiłko. Patrz im prosto w oczy.

Zmusiła się, by tak zrobić. Zmusiła się spojrzeć w oczy chłopca, którego kochała, aż ostatnia iskierka życia w nich zgasła.

Trzymała mocno rękojeść długo po tym, jak jego głowa opadła. W końcu król cofnął się i pozwolił, by ciało spadło na podłogę. Chłopiec od niedawna był Przemienionym. Jego krew była bardziej czerwona niż czarna. Szkarłat rozkwitł na marmurze jak otwierające się płatki róży.

– Dobrze – powiedział król.

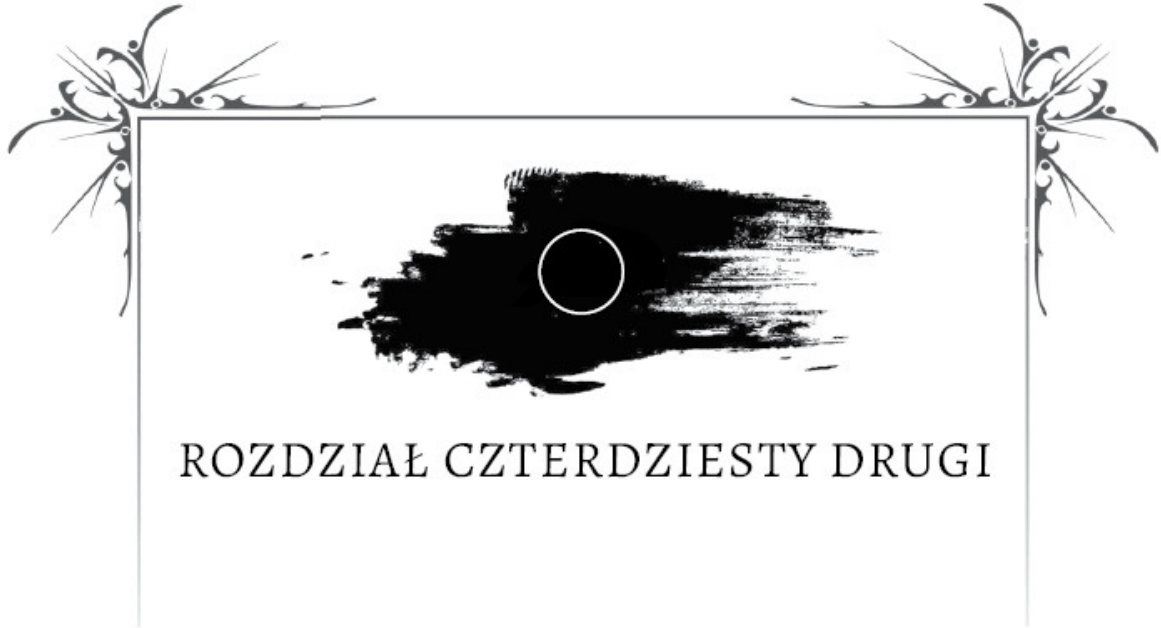
Odszedł. Nie zaoferował córce żadnego pocieszenia, żadnej czułości. Dlaczego miałby to zrobić? Świat również jej tego nie zaoferuje. Powinna się tego nauczyć.

Młoda kobieta stała tam, sama, przez długi czas.

Dziwne, że dziewczętom często mówi się, że utrata dziewictwa jest przejściem z bycia nastolatką do bycia kobietą, jakby to je w jakiś sposób zmieniało. To nie seks odmienił dziewczynę na zawsze. To nie krew, wyciekająca jej spomiędzy nóg, ją ukształtowała.

Ale krew, która płynęła po marmurowej podłodze...

To są plamy na niewinności, które nigdy nie znikną.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Uparłam się, żeby wrócić do mieszkania, mimo że z trudem się poruszałam. Byliśmy daleko w korytarzu, kiedy Angelika – czwarta i ostatnia finalistka – przedarła się przez drzwi do Księżycowego Pałacu. Musiała zawrócić w celu odnalezienia Ivana, ale wróciła sama. Jej cichy krzyk roznosił się po każdym zakątku.

Ten dźwięk był odzwierciedleniem czegoś we mnie, co nie wiedziałam, jak przyjąć.

Ścisnęłam podbrzusze. Krew wyciekała między moimi palcami. Ale jej nie czułam. Czułam jedynie żwirowe prochy *Salinae* albo raczej tego, co z niego pozostało.

Pomyślałam o tysiącach ludzi, którzy spłonęli w potęgze Asterisa.

Pomyślałam o ich płucach, więdnących od tego toksycznego dymu.

Pomyślałam o chłopcu i dziewczynce, których pamiętałam jak przez mgłę – o których śniłam, że gdzieś tam żyli – i o ich ciałach leżących głęboko, głęboko pod kośćmi wojny, w której nie chcieli uczestniczyć.

Raihn zamknął za nami drzwi. Zachwiałam się i prawie opadłam na kolana, co najwyraźniej przywróciło go do rzeczywistości. Otoczył mnie ramionami. Zesztywniałam.

– Musimy cię poskładać do kupy – powiedział, zanim zdołałam zaprotestować.

Nie miałam sił walczyć. Podniósł mnie i zabrał do mojej sypialni, po czym położył na łóżku. Następnie poszedł do naszych plecaków i zaczął w nich grzebać.

Wpatrywałam się tępo w sufit. Zamrugałam. Zobaczyłam obrazy ruin.

Przestało istnieć. Przestało istnieć. Przestało istnieć.

– Mamy na to wystarczająco lekarstw – powiedział Raihn. Wydawał się wdzięczny zarówno za dobre wieści, jak i odwrócenie uwagi. Wrócił do mnie, siadł na brzegu łóżka i polał moje podbrzusze eliksirem. Nawet nie drgnęłam, gdy moja otwarta rana zaczęła syczeć i wrzeć, gdy ciało stapało się z ciałem.

Wiedziałam, że Raihn czuł taki sam smutek jak ja. A może i przeżywał to bardziej. Chciałam przyłożyć dłoń do rany w jego sercu, mimo że moje własne groziło rozpadem.

Kiedy odstawił szklaną butelkę, położyłam swoją dłoń na jego. Teraz czułam pod nią tyle znajomego: guzowate stawy, blizny i wyraźny ślad włosków na powierzchni jego dłoni.

Na początku się nie poruszył. Potem powoli przekręcił dłoń i złączył się palcami z moją, jego kciuk krążył po mojej skórze.

Tak intymnie jak jego usta na mojej szyi.

Chciałam go przeprosić. Przeprosić za to, co zrobił mój ojciec obu naszym gatunkom.

To jest wojna – wyszeptał mi do ucha Vincent. *Potęga wymaga bezwzględności. Czego ode mnie oczekiwałaś? Nasze serca krwawią czernią.*

Najgorsze, że to rozumiałam. I wciąż tego nienawidziłam.

– Prawie wysłałam tam Mische – powiedział Raihn. – Dwa tygodnie później i by tam była.

Ta myśl przeraziła mnie jeszcze bardziej.

Poczułam, jak narzuta się przesuwająca, kiedy zacisnął w pięść drugą rękę.

– Twój ojciec – wyszczał – jest pieprzonym potworem.

Przez moment się z tym zgodziłam. Ale równie szybko fala wstydlivego zaprzeczenia wzrosła we mnie, by z tym walczyć.

Czegoś musiałam nie wiedzieć. Vincent nie zrobiłby tego, jeśli nie miałby innego wyboru. Nie kiedy Rishanie zrobili albo mieli zrobić coś gorszego.

Nie zrobiłby mi tego. Nie, jeśli wiedział, co planowałam. Nie, jeśli wiedział, dlaczego w ogóle byłam w tym durnym turnieju.

Nie zrobiłby tego.

– Musi być jakiś powód. Musiał nie mieć wyboru.

Nienawidziłam smaku tych słów. Nienawidziłam siebie, że je wypowiedziałam.

Głos Raihna był chłodny i stanowczy.

– Pięćset tysięcy ludzi. Pół miliona żyć. Gównu mnie obchodzi jego powód. Jaki miałby być akceptowalny?

Żaden. Nie było żadnego.

– Nie wiemy, co się stało.

– Wiem wystarczająco – zdenerwował się. – Widziałem ruiny. Czuję kości w tej ziemi. To jest wystarczające, Oraya. To jest wystarczające.

Wbijalam paznokcie w skórę Raihna, moje knykcie drżały. Szczeka bolała mnie od zaciskania mocno zębów.

Wtem w głowie rozbrzmiał głos: *Ma rację. Czy to nie jest wystarczające?*

To nie był głos Vincenta.

To był mój głos.

Granica pomiędzy złością a smutkiem jest taka cienka. Nauczyłam się, że strach może stać się wściekłością, ale wściekłość może łatwo rozpaść się do rozpacz. Na moim sercu pojawiła się pajęczynka.

– Musi być coś, o czym nie wiem. Nie mógł... Nie mógł przecież...

– Dlaczego nie? – rzucił się Raihn i wykrzywił usta w nienawistnym warknięciu. – Życia Rishan. Życia ludzi. Dlaczego miałyby mieć dla niego znaczenie? Dlaczego tak trudno ci w to uwierzyć?

– Ponieważ miałam tam wrócić. – Nie planowałam mówić tego na głos, ale słowa były już zbyt blisko powierzchni, gotowe się wylać. – Ponieważ *wiedział*. Kiedy zostałabym jego Coriatae, miałam tam wrócić i *wiedział*, że ja...

Raihn się spiął. Jego uścisk zacisnął się na mojej dłoni, po czym puścił ją gwałtownie, wstał.

– Coriatae? – powtórzył spokojnie.

Zacisnęłam zęby.

Nie – wyszeptał do mnie Vincent. *Nie mów mu tego.*

Ale pozwoliłam Raihnowi już tyle zobaczyć. Tak jak zawsze. I nie mógł odsłyszeć tego, co powiedziałam, co mu tym razem pokazałam.

– Coriatae? – Jego głos był tak niebezpieczny jak wyciągnięcie broni. – Miałaś zamiar poprosić Nyaxię o więź Coriatis?

Każda sylaba była zabarwiona ostrym ocenianiem, które było jak ostry pręt wbijający mi się w rany.

– Nie jestem teraz wystarczająco silna, by działać – odparowałam. – Wiedział o tym tak dobrze jak ja sama.

Raihn tylko się zaśmiał. Jego śmiech był mroczny i pozbawiony humoru.

– Pieprzona więź Coriatis. Zamierzałaś zostać Coriatae Vincenta i wmaszerować z nim do Salinae, by wyzwolić swój ludzki gatunek. Zamierzałaś *powiązać się z nim*, żebyś mogła zostać bohaterką.

Drwił ze mnie? A może to marzenie było na tyle nierealne, że jego słowa po prostu przybrały taki drwiący wydźwięk?

– Wszyscy robimy to, co musimy... – zaczęłam.

– Jesteś na to zbyt inteligentna, Oraya. Wiesz, ilu ludzi zostało w Salinae? Prawie nikt. Ponieważ twój ojciec zabierał ich, tak jak zabrał wszystkie zasoby Salinae, przez ostatnie *dwadzieścia lat*.

Zasoby. Jakby ludzie byli owocem lub ziarnem.

Nie. To nie była prawda.

– Terytorium Rishan było chronione. Nie mógł...

– Chronione – prychnął Raihn. – Tak jak ludzkie dzielnice są „chronione”?

Prawda ukryta w tych słowach przebiła się przez płyty mojej zbroi jak zbyt ostry miecz.

Kiedy zacisnęłam palce, mogłam między nimi poczuć ten żwirowy popiół, który kiedyś był Salinae.

Nigdy nie widziałam Raihna w takim stanie. Wściekłość napięła każdą linię jego ciała. To nie było to, co widziałam u niego, gdy był opętany żądzą krwi – tamto było bardzo niepokojące, ale to wręcz paraliżowało. Całkowicie zeszytywniał, każda strona jego ciała była sztywna. Nawet jego oddech był zbyt wyrównany. Tak jakby każdy jego mięsień musiał się zjednoczyć, by powstrzymać to coś, co w nim buzowało i co było widoczne jedynie w rosnącym ogniu w jego rdzawoczerwonych oczach.

– Wysłał cię do Kejari – powiedział – z obietnicą zostania bohaterką, żeby mógł cię *wykorzystać*? *Tym to wszystko jest dla ciebie?*

Zmusza cię do tego – powiedziała mi Ilana.

Byłam taka zła na Vincenta. Tak zła jak jeszcze nigdy. Mimo to szybko zaczęłam go bronić, jak każdy atak przeciwko jego osobowości.

Skoczyłam na nogi, nagrodzona ukłuciem bólu w świeżo zagojonym podbrzuszu.

– Wykorzystać mnie? – prychnęłam. – Daje mi swoją moc. Daje mi...

– To niemożliwe, żebyś była tak naiwna. Daje ci swoją moc i zabiera twoją. Zawiera układ z boginią, żebyś nigdy nie mogła go zranić. Przeciwstawić mu się. Nie wspominając o tym, że posłał cię w to piekło. Cóż za kochany tatuś...

Broń znalazła się w moich rękach, zanim zdołałam się powstrzymać.

– Wystarczy – syknęłam. – *Dość*.

Vincent dał mi wszystko.

Wziął mnie do siebie, kiedy nie musiał. Dbał o mnie, kiedy nikt inny tego nie zrobił. Zrobił ze mnie silniejszą wersję mnie samej, nawet kiedy nie chciałam nią być. Zmienił mnie w kogoś, kogo warto się bać.

I ponad wszystko: kochał mnie.

Wiedziałam to. Raihn niczym nie mógł mnie przekonać, że było inaczej. Miłość Vincenta była prawdą, tak jak księżyc był prawdą.

Raihn nawet nie spojrzał na moje miecze. Utrzymywał ze mną kontakt wzrokowy. Zbliżył się o krok.

– Zabił ich wszystkich – powiedział cicho i dosłownie na krótki moment złość w jego oczach została zastąpiona przez smutek. Smutek skierowany do Rishan, jego klanu. Smutek skierowany do ludzi, mojego gatunku. I smutek skierowany do mnie. – Zabił ich wszystkich. Nie były dla niego niczym więcej jak narzędziami czy przeszkodami. Nieważne, co ci obiecał. Co ci powiedział. *To jest prawdą.*

Widok smutku Raihna uderzył mnie mocno. Potrząsnęłam głową, a słowa ugrzęzły mi w gardle.

– Musisz zadać sobie poważne pytania. Dlaczego on się ciebie boi, Oraya? Jaką ma z tego korzyść?

Boi się mnie. Bzdura. Co Vincent miałby dzięki mnie osiągnąć? Czym innym miałby być ten plan poza wyrazem miłości do mnie, by uczynić mnie silniejszą i tak potężną jak on? Byłam człowiekiem. Nie miałam mu nic do zaoferowania.

Mimo wszystko troska Raihna o mnie, zbyt jawna, żeby była fałszywa, uderzyła w miejsca, których nie potrafiłam ochronić. Podniósł rękę, jakby chciał musnąć nią mój policzek. Część mnie pragnęła tego dotyku. Pragnęłam się rozpaść i sprawić, żeby to on mnie poskładał z powrotem w całość.

Zamiast tego wyszarpnęłam mu się.

– Nie mogę – wydusiłam, choć wiedziałam, że zasługiwał na więcej. – Po... Po prostu nie mogę.

Otworzyłam gwałtownie drzwi i wypuścił mnie.

Nie podążył za mną, gdy szybkim i pewnym krokiem szłam korytarzem. Szłam, dopóki nie opuściłam murów Księżycowego Pałacu. Zdażałam ku miejscu, w którym spotykałam się z Vincentem.

Miałam dość czekania, aż ojciec do mnie przyjdzie. Miałam dość działania na jego zasadach.

Tym razem to ja poszłam do niego.

Szłam, szłam i szłam, aż dotarłam do zamku Vincenta.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Czy to zamek się zmienił, czy ja?

Przedtem zawsze sprawiał, że czułam się mała, jakbym była za słaba i zbyt krucha, by mieszkać w tak wielkim, niezniszczalnym miejscu. Ale może pomyliłam brutalność z siłą i zastój z wiecznością.

Dlaczego właściwie do tej pory nie zauważyłam, że ten elegancki zapach róży był trochę zjełczały? Dlaczego nie zauważyłam, że maskował kwaśną woń gnijącej krwi, jakby cały budynek nią przesiąkł? Kwiaty, które zdobiły każdy stół, były zwiędłe na końcach, tapeta poplamiona delikatnymi brązowymi rozkwitami starej krwi, a gips naznaczony pęknięciami od naporu królestwa, które stało się zbyt ciężkie.

Znajdowało się tutaj mnóstwo wampirów, o wiele więcej niż zazwyczaj w jednym miejscu, do czego byłam przyzwyczajona. Wszyscy wojownicy Vincenta. Był przecież czas wojny. Zatrzymały się, by popatrzeć na mnie, jak przechodziłam. Nawet nie zauważyłam, czy ich nozdrza zadrżały. Gównu mnie to obchodziło, jeśli zadrżały.

Nigdy wcześniej nie przyszłam do gabinetu Vincenta nieproszona. Teraz nawet nie zapukałam, tylko pchnęłam drzwi.

W środku była Jasmine z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Zastanawiała się nad czymś, wpatrywała się w mapę wojskową przybitą do ściany, a w międzyczasie bawiła się czerwonymi paznokciami przy swoich czerwonych ustach. Jej ametystowe oczy przeniosły się na mnie i pojawiła się w nich ciekawość.

– Oraya, jak miło...

– Gdzie on jest.

Żądanie, nie pytanie.

Jej perfekcyjne usta się zamknęły. To była jedyna oznaka zaskoczenia.

– Spotkania. Ciężkie czasy jak wie...

– Gdzie?

– Skończy...

– Muszę z nim porozmawiać teraz, Jesmine. Powiedz mi, gdzie jest, albo idź przyprowadź go tu.

Jej iskierka zniecierpliwienia stała się płomieniem irytacji. Wyglądała, jakby przeprowadzała dwa rodzaje obliczeń w głowie, z czego pierwsze to: *Czy powinnam zabić Orayę dzisiaj?*, a drugie: *Czy jako córka Vincenta ma wyższą rangę ode mnie, jego generała?*

– Nie chcę z tobą walczyć – wycodziłam. – Jeśli tego chcesz, nie skończy się to dobrze dla nas obu, ale zrobię to. Co w takim razie zrobisz?

Najwyraźniej uznała, że odpowiedź na drugie pytanie była zbyt ryzykowna, więc postanowiła odpowiedzieć na pierwsze: *Nie dzisiaj.*

– Jestem naczelnym generałem króla, nie jego dziewczynką na posyłki, ale niech tak będzie. – I opuściła pokój.

Czekałam. Gabinet Vincenta był zazwyczaj skrupulatnie uporządkowany, ale dzisiejszej nocy panował w nim bałagan – otwarte książki, porozkładane wszędzie papiery i mapy, wszystko zakrapiane czernią i czerwienią. Ręce mi się trzęsły. Ze złości? Smutku? A może strachu. Nie strachu przed Vincentem, przed tym, co mógł mi powiedzieć.

Drzwi się otworzyły.

Vincent przyszedł sam. Jego ubranie było w większym nieładzie niż zazwyczaj. Kołnierz jego płaszcza był zagięty po jednej stronie, a rękawy miał podwinięte do łokci. Kilka kosmyków włosów spadało mu na twarz. Znamię dziedzica pulsowało w nieco szybszym tempie niż wcześniej, jakby jego powolne tętno przyspieszyło, od kiedy widziałam go po raz ostatni.

Zamknął za sobą drzwi, stał przed nimi dłuższy moment i patrzył na mnie.

Wiedziałam, jak czytać teraz zachowanie Vincenta, i wiedziałam, że w tym momencie jego irytacja walczyła z ulgą – jak gdyby król Vincent i ojciec Vincent toczyli ze sobą cichą walkę.

– Co tu robisz? – zapytał.

To był król Vincent.

– Przetrwiałaś Próbę Półksiężycy.

A to – to pełne wdzięczności westchnięcie – był ojciec Vincent. Zbliżył się, a z jego twarzy biła dziwna niepewność. Może również zobaczył zmianę na mojej twarzy.

– Salinae. – Mój głos był stanowczy i zbyt szorstki. – Zniszczyłeś Salinae.

Coś na wzór zakłopotania.

– Ja...

– Widziałam. To była lokalizacja czwartej próby.

Próbował ukryć swój grymas. Mogłam niemal usłyszeć, jak cedził przekleństwo: *Nyaxia i jej pieprzone poczucie humoru.*

Mimo to drgnięcie na jego twarzy, które prawie udało mu się ukryć, bolało najbardziej, ponieważ potwierdzało to, w co nie chciałam wierzyć.

Wypuściłam z siebie bolesny, brzydki śmiech.

– Nie zamierzałeś mi tego mówić.

Dlaczego miałyby tego nie ukrywać? Jeszcze kilka tygodni i będzie koniec Kejari, w ten czy inny sposób. Byłam odizolowana. Myślał, że nie spędzam czasu z innymi uczestnikami.

– Muszę podejmować trudne decyzje – powiedział Vincent. – To jest wojna. Rishanie byli zagrożeniem. Zaatakowali nasze wschodnie rejony. Potrzebowałem silnego...

– Chciałeś, żebym wierzyła, że oni nadal tam byli. Że cały czas mogłam do nich pójść.

Czy to dobrze, czy źle, że nawet temu nie zaprzeczył?

– Nie było potrzeby, żebyś знаła prawdę.

– Tak jak nie było potrzeby, by utrzymać ich przy życiu? Najlepiej wszystkich zabić?

Spoważniał.

Ojciec Vincent wycofał się i na jego miejsce przybliżył się król Vincent.

– Decyzje, które podejmuję dla mojego ludu i mojego królestwa, są poza twoją oceną.

– *Twojego ludu?*

Miałam szczęście, że byłam pijana własną złością i cierpieniem, inaczej nie byłabym w stanie tak do niego mówić. Nawet teraz szok, który odbił się na jego twarzy, niemal kazał mi się wycofać. Ale z drugiej strony lubiłam to tak samo, jak lubiłam, kiedy mój miecz sięgał celu.

– Kto należy do *twojego* ludu tak dokładnie? – zdenerwowałam się. – Ci, których prochy pozostały w mieście? To był *mój* lud, Vincent. I...

– Zrobiłem to, co uznałem za słuszne dla mojego królestwa.

– Salinae jest częścią twojego królestwa. Pół miliona mieszkańców. Mogłam być jednym z nich. To ja mogłam znajdować się w tych slumsach...

– To nigdy nie byłabyś ty.

Zawsze tak mówił. Ale dlaczego nie mógł tego zrozumieć? To był czysty przypadek, że przyniósł mnie do siebie tamtej nocy, lata temu. Włókna losu skręcają się w różne strony i nigdy nie udało mi się to tutaj.

– Jestem człowiekiem, Vincent. *Jestem człowiekiem.* – Powiedziałam to dwa razy, ponieważ nie lubił tego słyszeć, nie chciał tego zaakceptować. – Urodziłam się w Salinae, z ludzkich rodziców, w rodzinie, która...

Mury Vincenta rzadko kiedy drżały. Teraz, wyraźnie zniszczone, wypuściły falę jego temperamentu.

– Rodzina. Co to słowo znaczy? Że zostałam wyrzucona pomiędzy ludzkich nóg? Nawet ich nie pamiętasz. Gdyby żyli, nie pamiętaliby ciebie. Może byli wdzięczni, że zniknęłaś. Czym dla nich byłaś? Kolejnym niechcianym dzieckiem, które trzeba utrzymać? A może kolejnym zaginionym, za którym trzeba płakać, kiedy świat wyraźnie cię zniszczył.

Każde słowo wrzyło się w moje serce i odsłaniało kolejny ukryty strach.

Jego warga wykręciła się w obrzydzeniu.

– I mimo wszystko *to* jest twoim marzeniem? *To* jest życie, do którego tęsknisz? Czym to czyni mnie? Okrutną osobą, która zabrała ci to wspaniałe życie pełne miłości? Czy tak mnie widzisz? Jako porywacza?

Przełknęłam wijącą się kulę winy. Nawet poprzez złość moim odruchem było przeproszenie go: *Nie, przepraszam, nie to miałam na myśli. Kocham cię, jestem wdzięczna i dziękuję za ocalenie.*

Ale wtem ruszył i otworzył drzwi tak gwałtownie, że srebrne gałki uderzyły w ścianę.

– Spójrz – warknął.

Chwycił mój nadgarstek i pociągnął mnie na korytarz do barierki, z której był widok na salę przyjęć. Była zatłoczona mężczyznami i kobietami odzianymi w ciemnofioletowe mundury armii Hiajów Vincenta. Długie stoły były ustawione w dole, obłożone przepelnionymi talerzami. Większość talerzy jednak była nieruszona. Ponieważ zamiast nimi wojownicy napełniali sobie żołądki ludźmi.

Było ich dwunastu w jednym pokoju. Niektórzy leżeli na stole z ruszającymi się głowami, ledwie przytomni. Kilku porzuconych, wyraźnie wycieńczonych, opierało się o ścianę. Niektórzy byli przywiązani sznurami do stołów. Jeden mężczyzna, który musiał się bardzo szarpać, był przybity do stołu sztyletami.

Moja klatka piersiowa płonęła. Żołądek mi ścisnęło. Nie mogłam oddychać. Nawet przełykanie mnie mdliło. Jak długo? Jak długo to robił? Chciałam temu zaprzeczyć. Chciałam udawać, że tego nie widziałam. Ta brutalność była czymś znacznie gorszym od tego, czego byłam świadkiem w tym zamku do tej pory.

Ale to miało sens, prawda? Jak karmić jedną z najpotężniejszych armii na świecie? Jak utrzymywać morale, gdy prowadzi się niekończącą się wojnę? Czym zwabić wojowników, którzy nie cenią niczego poza krwią?

Przyjemna ciekawostka czasu wojny. Niekończąca się śmierć.

Być może nie było to jawne tak jak teraz. Ale może, jak wiele innych „ciekawostek”, gniło pod powierzchnią i po prostu postanowiłam tego nie widzieć.

– Spójrz, Orayo. – Paznokcie Vincenta posiniaczyły mi ramię. – Spójrz na nich. To nie są ludzie. To bydło. Nigdy byś nie pozwoliła na to, by być jedną z nich, ponieważ jesteś od nich lepsza. Uczyniłem cię lepszą. Podarowałem ci zęby i szpony. Twoje serce otoczyłem stalą. Nie współczuj im. Są niczym w porównaniu z tobą.

Nie mogłam odwrócić wzroku od ludzi poniżej. Ich krew płynęła szkarłatnymi strumieniami po stołach.

Miał rację. Nigdy nie będę jedną z nich. Tak jak nigdy nie będę jedną z ludzi, których spotkałam w slumsach, albo jedną z tych z baru, do którego poszłam z Raihnem.

Tak samo jak nigdy nie będę takim człowiekiem, jakim była Ilana.

Może i to było w pewnym sensie błogosławieństwem. Przekleństwem w innym sensie. Może Vincent odebrał mi coś cennego, moje człowieczeństwo.

A ja głupia mu na to pozwoliłam.

Nie tylko to. Tak pięknie go oszukałam, że pomyślał, że powinnam zobaczyć tę rzeź.

Oczy mnie piekły. Wyrwałam rękę z jego uścisku, odwróciłam się i wycofałam do korytarza.

– Okłamałeś mnie.

– Zaspokoilem twoje dziecięce fantazje, bo wiedziałem, że pewnego dnia z nich wyrośniesz.

Myślał, że stanę się taka jak on i nie będzie mnie to więcej obchodzić, tak jak jego. Ale się mylił. Pomyślałam o Raihnie, który był wampirem od ponad dwustu lat i wciąż wyraźnie *przy* każdej okazji tęsknił za swoim człowieczeństwem.

Nagle również zaczęłam tęsknić za swoim. Tak jak tęskniłam za Ilaną.

Zatrzymałam się w drzwiach gabinetu Vincenta. Odwróciłam się do niego i wypuściłam drżący oddech.

– Dlaczego chcesz, żebym była twoją Coriatae? – zapytałam.

Znałam odpowiedź. Vincent chciał mnie w Kejari, chciał, bym została jego Coriatae, ponieważ to był jedyny sposób, by zmienić mnie w coś godnego kochania.

Mój ojciec mnie kochał. Wiedziałam to. Ale kochał mnie pomimo tego, czym byłam. Kochał te części mnie, które mógł wyrobić na swój wzór.

Vincent zacisnął szczęki. Ponownie rozgrywała się cicha walka pomiędzy królem i ojcem. Zamknął za nami drzwi i oparł się o nie.

– Ponieważ chcę spełnić twój największy potencjał – powiedział w końcu. – Chcę, żebyś była silna. Potężna. I chcę... Chcę, żebyś była moją córką. W każdym znaczeniu. Ponieważ bardziej przypominasz mnie niż kiedykolwiek będziesz przypominać ich, zmijko.

Miał rację i nienawidziłam tego.

Mój głos był zduszony i bliski załamania.

– Dzisiaj się tego wstydzę.

Te słowa zadały cios w serce Vincentowi. Przez jego twarz przemknął ból, zaraz zastąpiony przez lodowatą złość.

Ojciec Vincent zniknął.

Król Vincent podszedł do mnie, a w jego srebrnych oczach wzrastała złość z każdym powolnym, drapieżnym krokiem.

– Wstydzisz się? – zapytał cicho. – *Wstydzisz?* Dałem ci wszystko. Stworzyłem cię taką, jaka jesteś teraz. Mogłem cię zabić. Wielu mi mówiło, że powinienem być. A ty... ty mówisz, że się mnie wstydzisz?

Byłam dobrym wojownikiem, ale nikt nie dorównywał Vincentowi. Kiedy złapał moje ramię, nie miałam czasu, by tego uniknąć. Poza tym byłam zbyt zszokowana, kiedy ścisnął je mocno i rzucił mnie na ścianę. Był tak blisko, że widziałam każdą linię jego pulsującego znamienia dziedzica, każdy błyszczący fragment magii wydobywający się z każdego pociągnięcia atramentem, tak ostry jak nienawistne rysy na jego twarzy.

– W takim razie kim wolałabyś być, skoro nie chcesz być moją córką? – Jego paznokcie wbijały się w moją skórę, coraz mocniej i mocniej, aż do krwi. – Chcesz zamiast tego być moim wrogiem? Wolisz tę opcję?

Nigdy, przenigdy nie bałam się Vincenta. Aż do teraz.

Ponieważ teraz nie patrzył na mnie jak na córkę. Nie patrzył na mnie nawet jak na człowieka. Nie, to było coś gorszego.

Patrzył na mnie jak na zagrożenie.

– Puść mnie, Vincencie. – Próbowałam powstrzymać drzenie w głosie, ale zawiodłam. – Puść mnie.

Ale być może to drzenie mnie uratowało, bo król Vincent w momencie zniknął i ojciec Vincent przestraszył się swojego zachowania.

Fala przerażenia wylała się na jego twarz. Spuścił wzrok na swoją rękę. Zacisnął ją mocno wokół mojego ramienia, a pod nią widniała czerwona krew i purpurowe siniaki.

Puścił mnie i cofnął się o kilka kroków. Przeczesał dłonią włosy.

Trząśł się.

– Oraya, ja... ja...

Nie przeprosi. Król Zrodzonych z Nocy nikogo nie przepraszał. A nawet jeśli zamierzał, nie chciałam tego słyszeć. Nie chciałam już nic od niego usłyszeć, nigdy więcej.

Cząstka mnie myślała, że mnie zatrzyma, kiedy otworzyłam z rozmachem drzwi.

Ale nie zatrzymał.



Było ich więcej niż zazwyczaj. Ani Raihn, ani ja od czasu Próby Kwadry nie mieliśmy możliwości pójść do ludzkich dzielnic i teraz miejsce to roiło się od wampirów. Były leniwe. Łatwe do wybicia.

Wcześniej czerpałam z tego satysfakcję. Przynajmniej mogłam uspokoić nieprzyjemne myśli i co rusz zanurzać w kimś ostrze. Teraz odnajdywałam w tym tylko złość. Uważali nas za śmieci do tego stopnia, że nie pomyśleli, że powinni być ostrożni. Radość, jaką czerpałam z momentu, w którym życie ulatywało im z oczu, przemijała. Była słabsza z każdym następnym celem.

Zabiłam swojego czwartego tej nocy w alejce blisko baru, do którego chodziłam z Raihmem. To była bardzo długa noc. Zbliżał się świt.

Nie byłam w stanie zmusić się, żeby się tym interesować. Niczym się nie interesowałam.

Z tym się nie bawiłam, ruszyłam od razu po jego serce. Był tak przerażony, że ostatecznie się posikał. Przeszłam nieco na lewo, by uniknąć kałuży obok jego stóp.

Zamierzał się na dziecko. Małą dziewczynkę. Szykował się do przebicia się do niej przez okno. To było niespotykane. Rzadko kiedy widziałam, żeby były gotowe wpełznąć do domu po ofiarę.

Ciało opadło na ziemię. Klęknęłam przy nim, gdy leżał w brudzie, gotowa wyciągnąć z niego broń.

Myślał, że miał prawo do tych ludzi. Ich domy nie były bezpiecznym gniazdkiem, jedynie norami do spenetrowania. Kurnikami, z których mógł wyciągnąć, co tylko chciał. Może otumanienie śmiercią przez ostatnie tygodnie sprawiło, że uwierzyły, że nie istniało coś takiego jak ochrona i konsekwencje.

Są *bydłem* – syknął na mnie Vincent.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że być może ludzie faktycznie tym byli. Ludzkich dzielnic nie dało się chronić. Były lęgowiskiem. Byłby to pieprzony *wstyd*, gdyby więcej ludzi nie mieszkało w Domu Nocy, prawda? Wystarczy pomyśleć o tej ilości krwi.

Moje knykcie zbieleły, gdy zacisnęłam je na rękojeści sztyletu, który wciąż wystawał z klatki piersiowej mojej ofiary.

Ten sukinsyn czuł to przez pięć sekund. Przez pięć sekund w swoim życiu składającym się z setek lat poczuł się bezbronny. Podczas gdy my zostaliśmy tym napiętnowani, nasze dusze tym wytatuowane na całe nasze krótkie, żalosne istnienie.

Przestałam nienawidzić siebie za wszystkie moje ludzkie słabości.

To *ja* ich nienawidziłam za to wszystko.

Wyciągnęłam sztylet, ale zamiast go schować, ponownie go opuściłam. Krew trysnęła mi na twarz. Wycofałam, po czym znowu, znowu i znowu. Każdy cios spotykał się z coraz mniejszym oporem, kości się łamały, a mięso rozdzielało.

Nienawidziłam ich, nienawidziłam ich, NIENAWIDZIŁAM ICH, NIENAWIDZIŁAM...

– Oraya! Stój!

W momencie kiedy ręce dotknęły moich ramion, obróciłam się i zaatakowałam, zanim zdołałam się powstrzymać.

Weszłam w ten świat walką, opuszczę go walką. I będę walczyć, by ukryć każdy miękki punkt albo słabość, a teraz czułam, jakby moje całe ciało – moja cała dusza – było świeżą raną, którą trzeba ochronić.

Chciałam walczyć.

Ale oczywiście Raihn o tym wiedział. I znał mnie na tyle dobrze, żeby zablokować każdy mój ruch, złapał mnie za rękę tak mocno, aż w końcu uderzyłam plecami w ścianę.

Pochylił się nade mną, jedną rękę oparł na ścianie nad moim ramieniem, a drugą je trzymał, stanowczo, choć delikatnie.

Ulga w jego spojrzeniu mnie zszokowała. Wskazał głową na ciało, które teraz było trochę więcej niż krwawą papką.

– Doceniam twoje wysiłki, ale myślę, że jest martwy.

Jego spojrzenie złagodniało, kiedy skierował je na mnie.

Naprawdę próbowałam nie widzieć, że tonęłam w jego oczach w ten sam sposób, jak on tonął w promieniach słońca.

– Już prawie świt – powiedział. – Wszędzie cię szukałem.

Nie zapytał: *W porządku?*

Ale i tak usłyszałam to w jego tonie.

Wcale nie było w porządku. Nie chciałam tej łagodności. Była zbyt blisko wszystkiego, co próbowałam ochronić.

Jego palce przeniosły się na znaki pozostawione na moim ramieniu przez paznokcie Vincenta. Rany bolały bardziej, niż powinny. Skrzywiłam się lekko, ale Raihn to zauważył. Jego spojrzenie padło na moje ramię. Spoważniał.

– Skąd to masz?

– Jakie to ma znaczenie?

– Duże. Czy to on?

Wahałam się dłuższy moment, po czym powiedziałam:

– Jakiś sukinsyn ze slumsów.

– Bzdury.

Uniósł wargę. Czysta nienawiść. Jakby te małe ranki były takim przestępstwem jak zniszczenie Salinae.

Nienawidziłam tego.

Nie zasługiwałam na taką ochronę. Mimo to – pomimo wszystko – nie znosiłam tego obrzydzenia na jego twarzy. Przyjęłam na siebie to oburzenie w imieniu Vincenta.

Wyszarpnęłam ramię z jego uścisku.

– Sam zrobiłeś mi dużo gorszych rzeczy. Nie jestem księżniczką, która potrzebuje ochrony. Niezależnie od tego, jak chcesz mnie traktować.

– Wiem.

Jedno słowo, ale wciąż tyle oceny na tej jego ekspresyjnej twarzy. Teraz wiedziałam, jak przejrzeć wszystkie maski, a pod nią wszystko było zawsze wyłożone nagie. Zbyt nagie.

– Przestań – syknęłam.

– Co mam przestać?

– Nie patrz tak na mnie.

– Niby jak?

Przepchnęłam się obok niego. Nie miałam na to odpowiedzi. Zbyt dużo opcji. Zobaczyłam ich bezmiar w oczach Raihna.

– Jakbyś mi współczuł.

Prychnął. Nie obejrzałam się, ale usłyszałam warknięcie.

– Myślisz, że ci współczuję? Nie współczuję ci, Oraya. Po prostu uważam, że zasługujesz na coś lepszego.

To zabrzmiało dla mnie jak jedno wielkie współczucie. A jeśli nim nie było, było czymś innym – czymś realniejszym – i tego nienawidziłam jeszcze bardziej.

Obróciłam się.

– Co tu robisz?

Mój ton był dobitnie jadowity. Nie zasługiwał na niego. Przecież był dla mnie miły. Ale ja tylko wiedziałam jak walczyć.

Ten ból na jego twarzy mnie rozbroił. Zacisnął zęby.

– Wiem, co to jest, i nie będę tego z tobą robił. Jeśli chcesz zostać wyrzucona z turnieju, ponieważ nie wrócisz do Księżycowego Pałacu przed świtem, w porządku. Pozwolę ci.

– Dobrze. Będzie ci tak prościej. Może zasługujesz na wygraną bardziej ode mnie. Dlaczego cię to w takim razie obchodzi?

Raihn zaczął już odchodzić. Mój głos był słabszy niż wcześniej. Widok jego zbolącej miny wyssał truciznę z mojego ugryzienia. Teraz znowu byłam tą małą dziewczynką ze słabymi ludzkimi zębami, rzucającą się na potwory.

Zatrzymał się, następnie powoli odwrócił.

– Dlaczego mnie to obchodzi? – powtórzył z oburzeniem.

Tak szczerze to wiedziałam, że to było głupie pytanie. A nie powinno być, ponieważ Raihn miał prawo mnie zostawić, żeby mnie zdyskwalifikowano albo zabito. Byłam jego wrogiem w każdym tego słowa znaczeniu – córką króla, którego nienawidził, dorastającą w klanie, który zniszczył jego, oraz rywalką o tytuł, który mogła wygrać tylko jedna osoba.

Zrobił krok bliżej, nawet nie mrugnął.

– Dlaczego mnie to obchodzi? – sapnął znowu. – Czy jesteś tak głupia, Oraya?

Nie spodziewałam się takiej desperacji w jego głosie. Jakby błagał o pomoc.

– A może to ja jestem głupi – prychnął.

Nie. Oboje byliśmy.

Ponieważ wiedziałam, dlaczego Raihna to obchodziło. I wiedziałam, dlaczego mnie to obchodziło, z tych samych powodów. Nie oddychałam. Pozwoliłam, by sztylet wleciał do pokrowca.

Nie. Żadna broń nie mogła mnie przed tym ochronić. Nie byłam pewna, czy nawet bym tego chciała, mimo że moje serce było otwarte i krwawiło tak żałośnie i po ludzku delikatnie.

Kiedy światło księżycy padło na jego twarz, upajałam się każdym jej fragmentem. Znałam ją już tak dobrze, a mimo to za każdym razem, kiedy na niego patrzyłam, odkrywałam coś nowego i przyciągającego. Teraz niemal cała zawierała w sobie ból i smutek.

Podzielałam to. Byłam tak bardzo zmęczona stratą.

Zbliżyłam się do niego, choć nie wiedziałam, co chcę zrobić czy powiedzieć.

Ale otoczyłam ramionami jego szyję i go pocałowałam.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Raihn oddawał moje pocałunki z taką zachłannością, że zaczęłam kwestionować, które z nas wykonało pierwszy ruch. Jego ramiona zacisnęły się i mnie przyciągnęły, przez co zachwialiśmy się i uderzyłam plecami w ścianę. Jego usta szukały moich, jakby chciał poznać każdą moją cząstkę – pożądając moich warg, górnej, potem dolnej. Jego ciepły i miękki język żądał i dawał.

Z głębi jego gardła wydobył się jęk, który przeszedł przez całe moje ciało. Byłam uwięziona pomiędzy nim a ścianą. Zjechał ręką po moim boku. Lgnęłam do tego dotyku. Niewystarczająco. Jeszcze za mało. Jakikolwiek płomień zapoczątkowaliśmy w grocie, nie został on zgaszony, jedynie trochę stłumiony. Powrócił do życia z rykiem, coraz gorętszy i bardziej śmiertelny niż dotychczas. A teraz nie chciałam niczego ponad spłonienie w nim żywcem.

Ręka, która była na moim boku, przesunęła się dalej, zatrzymała się na moim biodrze, następnie na plecach, po czym nagle moje nogi otoczyły jego biodra. Mocny nacisk jego ciała między moimi udami zaparł mi dech w piersiach.

Tym razem chciałam więcej. Usunąć przeszkody pomiędzy nami. Tak bardzo tego potrzebowałam, że nie obchodziło mnie, że oznaczało to odsłonięcie się przed nim.

Jego pocałunki zwolniły tempo, pogłębiły się, raz gorączkowe, a raz delikatne.

Wcisnęłam między nas dłoń, przy jego podbrzuszu, zeszałam niżej, do jego męskości napierającej na spodnie.

Kolejny jęk. Jego usta uniosły się tuż przy moich.

– Ostrożnie, księżniczko.

Pocałowałam go, ten uśmiech, ponieważ myśl o niezrobieniu tego wydawała się świętokradzka.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie chcę cię pieprzyć pierwszy raz w alejce metr od stosu wnętrzności.

Nie miałam na to kontrargumentu. Nawet jeśli, ze wstydem, część mnie chciała go tak bardzo, że chętnie zrobiłabym to tutaj, byleby tylko zakopać się w innej przyjemności. Najpierw krew, potem seks. Może byłam bardziej wampirza, niż myślałam.

Wtem jego wolna dłoń pogłaskała mój policzek. Jego kolejny pocałunek był inny, delikatniejszy. Przypomniwał mi sposób, w jaki całował moją szyję w grocie. Jakby mu na mnie zależało.

Ścisnęło mi płuca. Nie było w tym nic wampirzego. Nic cielesnego i zimnego.

– Oraya, spójrz na mnie.

Otworzyłam oczy. Nasze nosy się stykały. Światło księżyca oświetlało każdą najmniejszą bliznę na jego skórze. Jego źrenice były lekko zwężone, a pierścień wokół nich w zimnie tego światła był niemal fioletowy.

– Powiedz mi jedną szczerą rzecz – mruknął.

Jedna szczerą rzecz.

Jedną z przeraźliwie szczerych rzeczy było to, że z Raihnem zawsze byłam szczerą. Widział we mnie zbyt wiele. Rozumiał każdą złożoność i bezsensowną dwuznaczność. Byłam szczerą, nawet kiedy nie chciałam być. Nie bał się mojej ciemności ani mojego współczucia.

I prawdą było to, że myśl o umieraniu bez wiedzy o nim była torturą.

Jak mogłam cokolwiek z tego powiedzieć? Chciał tego rodzaju szczerości? Czy mogłam wyzuć to z mojej krwawiącej duszy i pokazać wszystkie swoje szwy?

– Pewnie jutro umrzemy – powiedziałam. – Pokaż mi coś, dla czego warto żyć.

Chwila przerwy, jakby coś w tej odpowiedzi zabolalo. Następnie na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech.

– Cóż za presja. – Ponownie mnie pocałował, tym razem nie było to żądanie, ale obietnica. – Ale myślę, że podołam zadaniu. Lecimy. Musimy wrócić przed świtem.



Raihn kradł mi pocałunki podczas lotu. Do Księżycowego Pałacu dotarliśmy w porę, kiedy słońce zaczęło kreślić horyzont. Były słodkie i delikatne, zaznaczone małymi muśnięciami jego zębów, które obiecały ostrzejszy początek naszego poranka. Kiedy wróciliśmy do mieszkania, serce biło mi szybko, oddech miałam urywany. Czułam dziwne zawroty głowy, każdy mój zmysł był stłumiony intensywnością mojego pożądanego i ostrością oczekiwania, jak to się może potoczyć, by je spełnić. Nawet nie potrafiłam przyznać przed sobą, ile razy w szczegółach wyobrażałam sobie, jak by to było posmakować Raihna, dotknąć go, poczuć go we mnie.

Ale rzeczywistość, oczywiście, była inna od fantazji. Bardziej zdradliwa i ekscytująca.

Drzwi się zamknęły. Oparłam się o ścianę i obserwowałam Raihna, który je barykadował. Nawet napięcie mięśni na jego przedramieniu było piękne. Każde ścięgno pracowało jak struna w orkiestrze – elegancko i z gracją.

Byłam niemal zawstydzona jego urokiem.

Odwrócił się do mnie. Przez dłuższy czas nic nie powiedział. Zastanawiałam się, czy myślał o wszystkim, czym byłam. Czy wyobrażał sobie, co moglibyśmy zrobić z naszą ostatnią nocą.

Ostatnią.

Matko, unikałam myślenia o tym słowie. Wszystko, co przytrafiło mi się w ciągu ostatnich kilku dni, wypędziło je z głowy. Ale prawda była nieunikniona.

Ostatnia próba rozpocznie się jutro w nocy. A my oboje byliśmy finalistami.

To było bardzo niespotykane, żeby więcej niż jeden uczestnik przeżył Kejari.

Raihn pierwszy przerwał napiętą ciszę. Zbliżył się do mnie i przejechał opuszkami palców po moim nosie, następnie po ustach i szczęce.

– Co to za mina, księżniczko?

Nie mogłam kłamać.

– Pocałuj mnie – powiedziałam zamiast tego.

I – Nyaxio, pobłogosław go za to – zrobił to.

Mogłam stopnieć pod tym pocałunkiem. Chciałam otoczyć go sobą w taki sam sposób, w jaki bluszcz oplata skałę. Otworzyłam usta dla niego, otoczyłam ramionami jego szyję. Jego palce zacisnęły się na moich włosach i pociągnęły je lekko.

Zatrzymał tam rękę, masował kciukiem moje włosy, powoli mnie całował i zastanawiałam się, czy też o tym myślał – o nocy, kiedy odbyła się uczta, i moich włosach oplatających jego palce.

Jeśli tak, to również nie chciałam, żeby mnie puszczał. Być może wtedy zrozumiałam, że nigdy tego nie zrobię, nawet jeśli byłam zbyt przerażona, by się wówczas do tego przyznać.

Może byłam też zbyt przerażona, by przyznać się do tego teraz.

Zamknęłam zęby na jego wardze, w zamian zyskałam satysfakcjonujący syk z jego gardła. Wędrował dłońmi przez moje ciało – w dole pleców, chwycił moje pośladki, zatrzymał się przy moich udach, jakby chciał zapamiętać mój kształt. Jego dłonie były tak duże, że koniuszki jego palców znalazły się boleśnie blisko sedna moich potrzeb. Wciąż jednak niewystarczająco blisko.

Jego usta, tak jak palce, powoli się uniosły, przesuwaly się coraz wyżej, głębiej.

– Twoja zbroja jest zbyt gruba.

Co takiego w sobie miał, że czynił mnie tak śmiałą? Pocałowałam go, po czym zjechałam dłonią niżej, na jego klatkę piersiową, następnie na brzuch, aż do jego męskości. Matko, był duży. Pomimo warstw ubrania odpowiedział na mój dotyk tak samo, jak ja odpowiedziałam na jego. Była to najbardziej niezemska, potężna rzecz – czucie go drżącego pod moimi dłońmi. Słuchałam tego delikatnego drżenia w jego głosie.

– Twoja też – wyszeptałam przy jego ustach.

Powinno mnie to przerażać, wiedza, że tak bardzo mnie pragnął.

Nie przerażało. Co więcej, spotęgowało moje własne pożądanie.

Przyciągnął mnie do siebie i zacisnął dłoń na włosach. Owładnął moje usta pocałunkiem tak nagłym i namiętym, że wszystko poza nim przestało istnieć. Obniżył się, puścił moje włosy, by móc chwycić pośladki obiema dłońmi, po czym ponownie mnie uniósł. Całowałam jego usta, szczękę, szyję, gdy niósł mnie po pokoju, aż oboje upadliśmy na łóżko. Jego wielka postać uniosła się nad moją. Uwolniłam ręce, by móc popracować nad jego ubraniem. Było skomplikowane, te wszystkie guziki i rzepy, a jeszcze trudniejsze było nawigowanie, kiedy macałam wokół na ślepo. Po kilku sekundach zaśmiał się przy moich ustach.

– Jakies problemy?

Odsunął się na tyle, by na mnie spojrzeć – o bogini, tęskniłam już za jego ustami – ale jego piękno szybko mnie uwiodło. Był już dzień i mimo zasłoniętych zasłon delikatny promień słońca wślizgnął się przez nie i oświetlił jego sylwetkę w bladym pocałunku złota. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, ile czerwieni było w jego włosach albo na jego skrzydłach, które wciąż były wysunięte. Dotknęłam ich bez namysłu, a on w odpowiedzi gwałtownie wciągnął powietrze. Były miększe, niż przypuszczałam.

Delikatnie odsunął moją rękę.

– Zostawimy to na inny czas.

– Czy to... łaskocze?

Zaśmiał się.

– W pewnym sensie.

Jeśli spodziewał się, że ta odpowiedź odwiedzie mnie od tego, zdecydowanie stało się odwrotnie. Ale niestety jego skrzydła z chmurką dymu zniknęły. Pochylił się nade mną, jakby chciał mnie ponownie pocałować, ale przerwał i upajał się mną tak, jak ja upajałam się nim.

Dotarł dłońmi do guzika mojej zbroi.

– Mogę?

Przełknęłam ślinę.

Chciałam tego – Matko, chciałam tego, lekki ból między moimi nogami mi to potwierdzał. Wciąż coś mnie dziwnie stresowało. Serce trzepotało w klatce jak schwytyany ptak. Nie chciałam tak się czuć. Ale wspomnienie tego jednego jedyne raz, kiedy to zrobiłam, wciąż mnie pętało, jak mapa wyryta na moim ciele, której nie mogłam zlikwidować.

– Ty pierwszy – szepnęłam.

Raihn usiadł. Jego zbroja powoli, guzik po guziku, się otworzyła. Płaty skóry zużytej walką odsłoniły najpiękniejsze ciało, jakie kiedykolwiek widziałam. Kiedy zdjął z ramion płaszcz, obserwowałam, jak światło odbija się na powierzchni jego skóry, i byłam tak cholernie o to zazdrosna – zazdrosna o sposób, w jaki łączyła się w szczelinach i zagłębieniach, sposób, w jaki eksponowała strukturę jego blizn, sposób, w jaki drżała nad ciemnymi włosami na jego klatce piersiowej i poniżej jego pępka, znikającymi poniżej nisko osadzonego paska spodni.

Przestałam oddychać. Zauważył to i uśmiechnął się w irytujący sposób, który mówił, że doskonale wiedział, o czym myślałam.

Pieprzyć go.

Zsunęłam się z łóżka i wstałam.

– A ty dokąd się wybierasz? – zapytał.

– Nigdzie.

Stałam odwrócona do niego plecami i pracowałam nad guzikami swojej kurtki. Następnie paskami spodni. Pozwoliłam, by kurtka opadła na ziemię, po czym zdjęłam również spodnie.

Raihn zamilkł.

Odwróciłam się.

Dosłownie go zamroziło. Taki brak ruchu był rzadkim widokiem. Był to wampirzy bezruch, który uciszał świat. Penetrował mnie wzrokiem, zaczął od mojej twarzy i schodził nim coraz niżej. Czułam to spojrzenie, jakby było jego dotykiem, który pieścił blizny na mojej szyi, krzywiznę mojego obojczyka. Poczułam, jak zatrzymało się na

piersiach, nabrzmiąłych od podniecenia i przykrytych końcówkami moich czarnych włosów. Przeszło na mój brzuch, na którym znalazło wściekle różowe cięcia po próbie. Następnie wylądowało na szczycie ud. Jego nozdrza poruszyły się, a oczy skupiły w tym miejscu i zastanawiałam się, czy wyczuwał, jak bardzo go pragnę.

Kiedy jego oczy wróciły do moich, wyglądał na niespełnionego.

– Chodź tu – szepnął. Prosił.

Wróciłam do łóżka. I nic nie mogłam na to poradzić, moje ręce znalazły się od razu na nim. Dotykałam go jak światła, śledziłam każdą linię jego mięśni, każdą bliznę, każdy włos. Jego usta natychmiast odnalazły moje, a ręce już były na moich biodrach, piersiach i wyduszały ze mnie westchnięcia z każdym nowym obszarem skóry.

– Piękna to za mało – wychrypiał, gdy odlepił się od moich ust. – Kurwa, Oraya, ty...
Ja...

Poddał się ze słowami. Położył mnie i jego usta przesunęły się na moją szyję, tak miękkie na moim ciele. Zatrzymał się przy bliźnie, z której pił, a następnie na tej pod nią.

Po tym powoli przeszedł niżej. Jego palce okręgały moje piersi, kciukiem masowały sutek. Kiedy zniżył głowę i musnął językiem ten wrażliwy szczyt, wywróciłam oczami.

Nie wiedziałam, że było możliwe *czuć* aż tyle. Chcieć aż tyle. Nie było tak ostatnim razem. Ale wtedy byliśmy zaledwie dziećmi. Tamto było w dodatku...

Inne.

Nie zamierzałam wędrować myślami do tamtej nocy. Tak jak nie zamierzałam dotykać opuszkami palców szyi i tej starszej blizny.

Raihn podniósł głowę i pomiędzy jego brwiami pojawiła się zmarszczka troski.

– Nie przestawaj – wysapałam.

Ale on patrzył na mnie z zaciśniętymi ustami, jakby nagle przysłała mu do głowy jakaś myśl.

– Nie mogę uwierzyć, że nie... Oraya, czy to... to twój pierwszy raz?

W jego głosie nie było oceny, jedynie troska. Położył dłoń na mojej i masował ją kciukiem.

– Nie – odparłam.

Prawda, choć w pewnym sensie zdawała się kłamstwem.

Spojrzenie Raihna przeniosło się na moją szyję – na bliznę, którą całował w grocie.

Wiedział. Rozumiał.

Jego ciepły oddech musnął ją.

– Czy to wtedy to otrzymałaś?

Zamknęłam oczy i dotarł do mnie wyraźny obraz innej nocy, z innym mężczyzną, z innym oddechem na szyi.

– Tak.

– W jaki sposób?

– Nic wielkiego. On... Po prostu nie mógł nad sobą zapanować.

Raihn nie uwierzył w moją wymuszoną obojętność. Objął wargami jedną srebrnobiałą poszarpaną linię, następnie drugą. Wycofał się i spojrzał twardo w moje oczy, jakby chciał widzieć, że zrozumie to, co zaraz chciał mi powiedzieć.

– Jesteś bezpieczna, Oraya. Musisz być tego świadoma.

Jesteś bezpieczna.

– Wiem. – I wierzyłam w to. Od kiedy po raz pierwszy mi powiedział te słowa, wierzyłam mu.

– Chcę, żebyś czerpała z tego przyjemność. – Uśmiechnął się lekko i potrząsnął głową. – Nie. Więcej – poprawił się szybko. – Chcę, żebyś... Szlag, nie wiem, jak to ubrać w słowa.

– Nie jestem jakąś naiwną dziewczyną.

Pewnie, moje ostatnie seksualne doświadczenie zakończyło się... źle, ale dziewczyna potrafi dokonać na sobie imponującej liczby eksperymentów. Mimo to, gdy obserwowałam ciało Raihna – sposób, w jaki jego spodnie się napięły – musiałam przyznać, że to mogło wyglądać inaczej.

– Och, wiem. Nie można cię nazwać nieśmiałą.

Ten pocałunek trwał długo.

– Chcę, żebyś wiedziała – mruknął do moich ust – że masz kontrolę. I możemy poświęcić na przygotowania tyle czasu, ile potrzebujesz.

Dotknął palcami zgięcia po wewnętrznej stronie mojego kolana. Rozsunęłam nogi i ten dotyk przenosił się coraz wyżej. Oddech miałam coraz krótszy.

– Czasu? – Ledwie byłam w stanie mówić. – Mamy jedną noc, Raihn. Po tym czeka nas śmierć. Więc lepiej wykonaj to pieprzone zadanie doskonale.

– Och, o to się nie martw. – Wędrował wyżej mojego uda, choć wciąż nie tak wysoko, jak chciałam. Tętno mi przyspieszyło, gdy jego wargi zaczęły się wolno poruszać na moich ustach. Kiedy opuszkami palców dotknął mojej wilgotnej kobiecości, również zadrżał w bardzo satysfakcjonujący sposób. – Dużo... Dużo o tym myślałem.

Czy mi się wydawało, że to było... nieśmiałe?

– Dużo o tobie myślałem. – Kolejny całus. – Co ci zrobić. – Następny. – Jak brzmiałabyś. – I kolejny. Dotknął palcami szczytu moich ud. – Mam do przeprowadzenia tyle eksperymentów.

Szybko odsunął się ode mnie i przesuwał usta coraz niżej mojego ciała. Całował piersi, brzuch, plecy, biodra. Następnie zgrabnie zszedł z łóżka tyłem, ukląkł przed nim i obrócił mnie tak, żeby nogi zwisały mi nad podłogą. Ustawił się między nimi.

Wsparałam się na łokciach i obserwowałam. Podniecenie i strach ścierały się ze sobą. Zorientowałam się, że się spinam, nagle bardzo świadoma tego, jak bardzo byłam odsłonięta. Byłam naga. Moja broń znajdowała się po drugiej stronie pokoju. A Raihn – drapieżnik z ugryzieniem znacznie ostrzejszym od mojego – miał mnie otwartą przed nim. Bezbronną.

Rozsunął moje nogi trochę szerzej, jakby chciał zobaczyć więcej mnie. Coś pierwotnego we mnie zatrzepotało z pożądaniem.

Wrócił wzrokiem do mojej twarzy, niechętnie, jakby się do tego zmusił.

– Pozwól mi cię posmakować.

Prawie się zaśmiałam.

– Już to zrobiłeś.

– Nawet wtedy myślałem o tym.

Jego ręka błędziła po moim brzuchu. Nasze palce się spotkały. Kciukiem potarł wierzch mojej dłoni, by mi przypomnieć, że chociaż jego zęby były tak blisko moich wrażliwych części, wciąż miałam nad tym kontrolę.

– Tak – szepnęłam.

Nie potrafiłam spuścić z niego wzroku, gdy te idealne usta się wykrzywiły, a potem skłonił się przede mną.

Na muśnięcie jego języka odrzuciłam głowę w tył.

Od pierwszego dotknięcia wymagał, dawał. Myślałam, że będzie ze mnie kpił tylko dlatego, że wiedział, jak bardzo go pożądałam. Zamiast tego nawet pierwsze muśnięcie było stanowcze i rozstrzygające. Pieścił długość mojej kobiecości, a skończył na łechtaczce, czym posłał moje biodra w ruch.

Wzmocnił uścisk na moich udach i przyciągnął mnie do swojej twarzy. Wydał jęk, który wibrował przez moje najwrażliwsze miejsca.

– Lepsze. Lepsze niż twoja krew.

Lepsze – zgodziłam się bez zastanowienia. Lepsze niż wszystko. Lepsze niż wszystko.

Nie miałam na to żadnej ciętej riposty. Żadnego dosadnego komentarza. Jedynie ślepe, histeryczne pożądanie, by nigdy nie skończył tego robić. Nigdy.

Otworzyłam szerzej uda, w tym samym momencie, gdy jego usta ponownie wyszły mi na spotkanie.

Jego język był dokładny, miał swój cel. Miękki tam, gdzie tego potrzebowałam. Twardy tam, gdzie tego potrzebowałam. Moje ciało zginało się, a z każdym muśnięciem

napięcie, które czułam w przeszłości, rozwiało się w ekstazie.

Wyobrażałam sobie, jak to mogło być tej nocy, gdy pił moją krew. Ale miał rację. To było lepsze. Ustami poruszał przy mnie z taką samą pilnością, z takim samym szacunkiem. Zaciśnęłam pięści na narzucie. Każdy mój mięsień czekał z utęsknieniem na kolejny pocałunek, kolejne muśnięcie. Jego ręce były tak zaciśnięte wokół bladej skóry moich ud, że z pewnością jego paznokcie pozostawiły mi znaki. Dobrze. Chciałam tego.

Oddech miałam szybki i urywany. Ostatnie ślady samokontroli powstrzymywały mnie od wyduszenia dźwięku poza kilkoma cichymi jękami. Ale wkrótce moje biodra poruszyły się wraz z ruchem jego języka.

Kiedy zatrzymał się przy moich najwrażliwszych miejscach i muskał mnie zębami, szok przyjemności był tak intensywny, że z gardła wyrwało mi się jego imię.

Och, bogini. Och, Matko. Znalazłam się nad urwiskiem, gotowa spaść w przepaść i wszystko rozbić poza...

Zaprzestał.

Wypuściłam z siebie sfrustrowane westchnienie. Uniosłam głowę i zauważyłam, że na mnie zerka. Moje nagie piersi unosiły się i opadały.

– Powtórz to – wychrypiał. – Kiedy dla mnie dojdiesz.

Tym razem, gdy obniżył ponownie usta, wsunął we mnie dwa palce i dał mi wszystko, wszystko, wszystko, razem z długim, mocnym pociągnięciem języka.

Ta nowa kombinacja uczuć to było dla mnie zbyt wiele.

Przyjemność mnie konsumowała. Plecy przeszył mi ból.

Dałam mu to, czego chciał. Jęczałam jego imię raz po razie.

Dyszałam, kiedy mogłam ponownie skupić wzrok. Pierwszym, co usłyszałam, był śmiech Raihna. Wargi trzymał przy wrażliwej skórze na moim wnętrzu uda.

– Niesamowite.

Niesamowite – zgodziłam się.

Nie było to jednak nawet bliskie niesamowitości, jakiej miałam doświadczyć, kiedy we mnie będzie i uczynię z niego jęczącego słabeusza, którego on zrobił ze mnie.

Usiadłam. Całe moje ciało było miękkie i rozluźnione. Spięcie zniknęło całkowicie. Zanim Raihn się poruszył, zrzuciłam nogi z łóżka i pchnęłam go na podłogę.

– Uch – stęknął, kiedy na niego weszłam. – A ja się tak natrudziłem, żeby wrzucić cię do łóżka.

Ale nie narzekał. Rękami ponownie zaczął mnie otaczać. Przesuwał je na moich udach, które rozchyliłam nad jego biodrami, następnie na talii, aż zatrzymał się na

piersiach. Zapraǳnęłam go bardziej i teraz, kiedy moje nerwy więcej tego nie powstrzymywały, poczułam to w rdzeniu intensywniej niż dotąd.

Zniżyłam się i wciągnęłam głęboko powietrze, choć nawet tego nie planowałam. Jego zapach uderzył mnie jak chmura dymu z cygara, a smak jego skóry – smak nieba – zawrócił mi w głowie.

Palce Raihna delikatnie zaplętały się w moich włosach, gdy badałam poszerzającą się ścieżkę miękkich ciemnych włosów aż do paska jego skórzanych spodni. Były grube i przylegające do ciała, ale jego męskość wciąż dzielnie się w nich trzymała. Wydawało się to nieco bolesne.

Przestał oddychać, kiedy zaczęłam pracować nad jego guzikami i paskami. Szlag, też nie oddychałam. Ale kiedy materiał puścił i jego penis został w końcu wyzwolony, wypuściłam go od razu.

To było dzieło sztuki. Był duży i potężny tak jak cała reszta. Tak naprawdę jego rozmiar mnie nieco stresował. Ale mimo to był również tak niezwykły, każdy odcień skóry znakomicie się na nim uzupełniał, a jego główka wyglądała imponująco na tle pełnej wdzięku opalanej skóry.

Kiedy otoczyłam go palcami, drgnął, a kropla wilgoci na jego końcu zaczęła pęcznieć. Matko, ta skóra była tak miękka w porównaniu do niewzruszonej twardości jego pożądanego.

Obserwowałam go, zafascynowana, po czym zniżyłam głowę i wylizałam wilgoć.

Raihn wypuścił drżący oddech, palce zacisnął na moich włosach.

Uniosłam wzrok. Podpierał się na łokciach i obserwował mnie z otwartymi ustami. Źrenice miał rozszerzone. Nie mrugał. Nie poruszał się.

Sposób, w jaki na mnie teraz patrzył, dał mi do zrozumienia, jak bardzo mnie pragnął. Złapałam go w swoje sidła.

Po chwili jego usta wykrzywił smutny uśmiech. Doskonale wiedział, co robiłam. Ponieważ wszystko między nami było grą o władzę i wrażliwość, o kompromis.

Kąciki moich ust również poszły ku górze.

– Mam sprawić, żebyś mnie błagał? – Ponownie otarłam o niego usta.

Wydał dźwięk pomiędzy syknięciem a chichotem.

– Byłem dla ciebie tak hojny. Już powaliłaś mnie na kolana. – Wtem jego uśmiech zbladł, a spojrzenie wyostrzyło się, kiedy musnęłam go jeszcze raz językiem. – Muszę być w tobie. Mam dość czekania.

Ja również.

Usiadłam i ustawiłam się nad nim tak, by jego męskość znalazła się przy centrum mojej kobiecości, dokładnie między moimi nogami. Pierwszy dotyk jego atlasowej skóry

w tym miejscu sprawił, że nam obojgu zaparło dech w piersiach.

Zacisnął ręce na moich biodrach i nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Błagałbym – mruknął. – Dla ciebie mógłbym to zrobić. Zniszczyłaś mnie, Oraya. Wiesz o tym?

Jego szept był zachrypnięty i cierpki. Zbyt cierpki, żeby nie był prawdą. A moja własna prawda spuchła w gardle i zablokowała słowa.

Też bym dla niego błagała. Złamałabym się dla niego. Otwarłabym się dla niego. Trzymał mnie tak otwartą nie tylko fizycznie, ale i duchowo.

Pozwoliłabym mu myśleć, że to była wyłącznie przyjemność. Nic poza zemstą buntowniczej córki przeciwko jej ojcu albo ostatnią przyjemnością cielesną przed pewną śmiercią. Pozwoliłabym mu myśleć, że po prostu się pieprzyliśmy.

A przynajmniej nie pozwoliłabym mu zaakceptować faktu, że z pewnością widział coś innego na mojej twarzy, dokładnie to, co ja widziałam na jego.

Sięgnęłam między nas i nakierowałam go na swoje wejście. Jego pierwszy nacisk wystarczył, by odebrać mi dech. Zacisnął palce na moich biodrach – pożądał mnie, ale i stabilnie utrzymywał kontrolę.

Chciałam go głębiej, ale moje ciało miało inne plany. Nie byłam przyzwyczajona do takiej wielkości. Musiałam opuszczać się powoli, centymetr po centymetrze, by kiedy mnie wypełniał, móc się na nowo przyzwyczaić.

Mimo to jakikolwiek ból się pojawił, zaraz zniknął pod zawrotną falą pożądania, kiedy w końcu zdobyłam go w całości. Byliśmy tak blisko siebie, tak mocno powiązani. Mogłabym przysiąc, że byłam w stanie poczuć każde uderzenie jego krwi, był zanurzony we mnie głęboko i z pewnością czuł to samo we mnie.

To było zbyt wiele. Zbyt wiele. To było... Nie mogłam...

– W porządku? – wyszeptał. Położył dłoń na moim udzie w uspokajającym geście, kiedy się zorientowałam, że się trzęsę, przytłoczona, gdy każdy mięsień kurczył się i odpowiadał na jego obecność we mnie.

Moją odpowiedzią było poruszenie biodrami. Urywane jęki uciekały z nas nawet przy najmniejszym ruchu.

Och, Matko. To mnie skończy. To mnie autentycznie unicestwi.

Przycisnęłam dłoń do jego brzucha. Poczulałam wytrenowane, drżące mięśnie jego podbrzusza. Nasze spojrzenia się spotkały.

– Powstrzymujesz się.

Jego milczenie było odpowiedzią. Powoli uniosłam się ponownie, tak żeby znalazł się we mnie tylko jego koniec, i nie spuszczałam z niego wzroku – z tego dzikiego pożądania w jego oczach, z jego zębów, które zamknęły się na jego wargach.

– Nie powstrzymuj się – szepnęłam i wzięłam w siebie jego całą długość w nagłym pchnięciu.

Napięcie i czułość rozpadły się na milion kawałków. Powolne pieprzenie go było udręką, a mocne było dewastujące. Warknął przekleństwo, złapał mnie za talię i tym samym pomagał mi przy każdym ruchu. Unosił biodra i opuszczał je w tym samym czasie co ja. Nie wiedziałam, jak to możliwe, że z każdym pchnięciem wchodził coraz głębiej i naznaczał we mnie każdą ściankę, każdy mięsień.

Poprosiłam go, by się nie powstrzymywał, i posłuchał.

Jego pchnięcia były głębokie i agresywne. Wbijał się we mnie i wysuwał z siłą, która pozbawiała mnie spójności. To jednak wciąż było niewystarczające – chciałam więcej. Tyle mojego ciała jeszcze się o niego dopominało. Jakby czytał mi w myślach, usiadł i uwięził moje usta w pocałunku, równie ostrym i dokładnym. Zmiana pozycji wymusiła na nim porzucenie szybkości dla głębokości i poruszał się wolniej, ale głębiej.

Krzyk, który ze mnie uciekł, nie brzmiał nawet na ludzki. Ponownie poruszył biodrami i moje spotkały się z tym ruchem jedynie instynktownie. Zorientowałam się, że ten dźwięk to była prośba, błaganie o nie wiadomo co.

– Tak, Oraya – warknął. – Tak. Cokolwiek.

Wbiłam paznokcie w jego plecy. Z pewnością zostawiłam mu ślady, a nasze pocałunki, w walce o dominację, stały się dziksze i coraz bardziej niechłujne. Każdy z nich sprawiał, że traciłam kontrolę w tej przyjemności – jego usta, język, skóra, klatka piersiowa naciskające na moje piersi, jego ręce chwytające za moje włosy, każde torturujące pchnięcie jego penisa.

Przyjemność wybuchła w moim kręgosłupie. Uciekłam od niego ustami, całowałam jego szczękę, ucho, szyję. Ścisnął moje biodra i posłał ku mnie wyjątkowo silne pchnięcie, a to z kolei z moich ust wypchnęło przekleństwo. Zamknęłam zęby na tej idealnej skórze jego szyi, językiem błądziłam po żelaznym cieple jego krwi.

Jęknął, jego uścisk na mnie się wzmocnił. Był blisko – ja byłam coraz bliżej. Dotknął moich pleców, pośladków, bioder, piersi, jakby pragnął mnie w całości i nie mógł się zdecydować, co miało być pierwsze.

Zmusiłam się, by odsunąć się nieco od jego ciała i spojrzeć mu w oczy.

– Powiedz moje imię – wysapałam, powtarzając jego słowa. – Powiedz, kiedy dojdziesz.

Pokrył moje słowa pocałunkiem, jego język domagał się moich ust. Czułam jego mięśnie kurczące i rozkurczające się razem z moimi. Wiedziałam, co nadchodziło. Kiedy ustami przeszedł na moją szyję, jakaś moja odległa część zanurzyła się we wspomnieniu innego momentu, dawno temu.

Ale zaszłam już za daleko.

Wszedł we mnie głęboko, ostro.

– Oraya. – Szeptał jak modlitwę tuż przy mojej skórze. – Oraya, Oraya, Oraya.

Wykrzyknęłam.

Poczułam, jak jego penis puchnie, drga, kiedy moje ścianki kurczyły się wokół niego. Poczułam wypełniające mnie ciepło. Nasze biodra wykręcały się w finalnych falach przyjemności po wzajemnym wstrząsie.

Nie sprowadziło mnie to na ziemię, bardziej zaniknęłam. Wszystko wracało do mnie w kawałkach. Najpierw powietrze wchodzące i wychodzące w formie ciężkich oddechów. Następnie ciepła, silna klatka piersiowa Raihna. Ręką masował mi plecy.

Z powrotem położył się na podłodze, a ja podążyłam jego śladem i teraz nieruchomo leżałam na jego piersi.

Byłam lekko zaskoczona, że mogę się po tym w ogóle poruszać, uniosłam rękę i dotknęłam szyi. Poczułam jedynie wypukłość mojej blizny i nikłe pozostałości po jego pocałunku. Nic więcej.

– Kurwa, Oraya – wysapał. – Po prostu... kurwa.

Jego wcześniejsze słowa zadzwoniły mi w uszach:

Zniszczyłaś mnie.

Też mnie zniszczył. Może to i dobrze, że zginiemy jutro, ponieważ nie wiedziałam, jak się po tym pozbierać.

Podniosłam się na tyle, żeby móc go zobaczyć. Jego włosy rozsypały się na ciemnej drewnianej podłodze. Pewne zadowolenie przykryło surowe rysy jego twarzy – ale w jego oczach wciąż widniały resztki pożądania. Było w nich coś jeszcze. Coś delikatniejszego niż pożądanie. Delikatniejszego, ale mimo wszystko bardziej niebezpiecznego.

Czerwonoczarna kropla popłynęła po jego szyi. Dotknął jej i zaśmiał się ochryple.

– Dlaczego nie jestem zaskoczony, że to ty spowodowałaś krwawienie?

Oblizawałam usta, smakując resztki kropli.

– Być może rozumiem, co ty w tym widzisz.

To miał być żart i Raihn się zaśmiał, ale o dziwo widziałam w tym jakiś urok. Smakował tak, jak pachniał. Jego krew, skóra, usta.

– No i? – Wpatrywałam się w niego. – Ile potrzebujesz czasu, żeby to powtórzyć?

– Hmm. – Nagle przekręcił się i zrzucił mnie z siebie. Uśmiechnął się, nasze nosy się stykały. Jego penis musnął wewnątrz mojego uda i z powrotem stwardniał.

– Jedna noc. Nie planuję nic z tego zmarnować. Mam listę, pamiętaj.

Listę – pomyślałam, kiedy zaczął mnie znowu całować, namiętnie. Ręce zarzuciłam mu na szyję i znowu się w nim zatraciłam.

Pieprzoną listę.

Najpiękniejsze słowo w tym popieprzonym świecie.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Ledwie przeszliśmy przez jej połowę.

To było niemożliwe zadanie. Za każdym razem, gdy go miałam, odkrywałam jego nową część, którą chciałam sobie przywłaszczyć. Było to przeciwieństwem satysfakcji. Z każdym punktem kulminacyjnym pragnęłam tylko więcej. Kiedy wspinaliśmy się na łóżko, dysząc ze zmęczenia, wymyśliłam o wiele więcej fantazji, których nie dało się spełnić w jedną noc.

Nie myślałam jednak o nich zbyt długo, szybko odpłynęłam w jego ramionach do krainy snów. A teraz, gdy leżałam z nim nos w nos i obserwowałam rzęsy, które ciężko opadły mu na policzek, i jego rytmiczny oddech, pomyślałam, że warto było zobaczyć go takiego.

Przejechałam palcami po wybrzuszonym mięśniu jego ramienia, by skończyć na jego plecach.

Matko. Miałam nadzieję, że nie miał pojęcia, jak byłam nim oczarowana.

Otworzył oczy. Gdy jego spojrzenie wylądowało na mnie, na usta od razu wstąpił mu uśmiech, jakby poczuł ulgę, że nic z tego nie było snem.

– Nie mów, że już czas iść.

– Mamy jeszcze kilka godzin.

Przeciągnął się.

– Cudownie. Nie jestem jeszcze gotowy na śmierć. Może jak jeszcze raz zobaczę, jak dochodzisz, to wtedy będę.

Śmierć.

Dziura w moim brzuchu, którą próbowałam z desperacją zignorować, powiększyła się.

Wcześniej mogłam utopić te nieprzyjemne myśli pod naszymi połączonymi umysłami, cielesną przyjemnością. Ale kiedy obserwowałam, jak śpi, sam, wszystkie te obawy wślizgnęły się do ciszy.

Żartowaliśmy na temat śmierci, ponieważ nie mieliśmy innego wyboru. Ale to nie był żart. To było prawdziwe i szło ku nam. A myśl o zbliżającej się śmierci Raihna napawała mnie strachem.

Przez tak długi czas zarówno on, jak i ja balansowaliśmy pomiędzy naszymi przeszłościami. Nie znaliśmy nawzajem swojej przyszłości. Im mniej wiedzieliśmy, łatwiej było nam pozbawić nas życia jednym uderzeniem ostrza, jak wycięcie raka.

W tym momencie jednak doszłam do przerażającego wniosku, że nigdy nie zdołam wyciąć Raihna ze swojego serca. Za bardzo się w nim zakorzenił.

I kiedy go tak obserwowałam, jak śpi, nie mogłam pozbyć się sprzed oczu obrazu Ilany. O tak wiele rzeczy jej nie zapytałam, a kiedy zginęła, musiałam się pogodzić z echem jej niekompletnego życia, ponieważ tylko to miałam.

Jego chciałam więcej. Chciałam więcej jego ciała, ale też jego duszy.

– Mówiłeś mi wcześniej, że miałeś wielu, którzy na tobie polegali – powiedziałam łagodnie.

– Zgadza się – odparł Raihn, a uśmiech mu zbladł.

– Kogo?

– Wolę więcej seksu z tobą niż taką rozmowę. Cieszę się, że twoja rozmowa do poduszki jest tak urocza jak twoje łóżkowe maniery, księżniczko.

Uśmiechnęłam się słabo, lekko zawstydzona. Jego palce musnęły mój policzek w sposób, który być może dowodził, że to rozumiał. A może czuł trochę tego co ja, tę masochistyczną chęć, by otworzyć trochę przed nami nasze serca.

– Chcesz krótką odpowiedź czy długą? – dodał.

– Długą.

Nie dodałam, że chciałam słuchać jego słów najdłużej, jak to tylko możliwe.

Raihn odwrócił wzrok i milczał dłuższą chwilę, jakby chciał się do tego przygotować.

– Ten, który mnie przemienił – powiedział – był bardzo potężną osobą. Kiedy byłem człowiekiem, byłem strażnikiem i przyjąłem pracę na statku handlowym płynącym

z Pachnai do Tharimy. Nasza łódź była zbyt mała na tak długą podróż. Złapał nas sztorm i posłał prosto na brzegi Domu Nocy, na Sierp Nyaxii.

Znałam to pojęcie. Odnosiło się do małej kamienistej zatoczki, która wychodziła z południowych brzegów Domu Nocy. Prądy tam były bardzo silne i mimo że nigdy tego nie doświadczyłam, słyszałam opowieści widoku wraków statków rozciągającym się aż po horyzont.

– Nie miałem pojęcia, gdzie byłem, kiedy to się stało. Zbiliśmy z kursu. Było ciemno. Większość zginęła. Sam byłem tego bliski. Dosłownie doczołgałem się do brzegu.

Spojrzał przed siebie, ale jego wzrok wydawał się zaglądać w przeszłość.

– Szczęście – powiedział. – Ocaliło mnie szczęście. Albo mnie przekląło. Byłem ledwie żywy, kiedy go znalazłem. Wiele widziałem śmierci, nawet wtedy, ale kiedy ją wdychasz, jest zupełnie inaczej. Kiedy mnie zapytał, czy chcę żyć... Co to w ogóle było za pytanie? Miałem trzydzieści dwa lata, oczywiście, że chciałem żyć. Miałem... *Miałem życie.*

Konsternacja w tym zdaniu. Poczułam to w moim sercu. Miałem życie.

– Rodzinę? – szepnęłam.

– Żonę. Dziecko w drodze. Wielką przyszłość. Byłem gotów oddać za nią wszystko.

Powiedział to z taką żalnością i oburzeniem, jakby nienawidził swojego poprzedniego ja za myślenie o tym.

Zastanawiałam się, czy myślał o tamtej wersji swojego życia tak często, jak ja myślałam o innej wersji mojego.

– Tak więc zaakceptowałem to. Sądziłem, że mnie ratował. Wymieniłem moje zepsute człowieczeństwo na nieśmiertelność. A przynajmniej tak mi się wydawało. Ale wtedy...

– Jego gardło się poruszyło. – Nie dał mi odejść.

– Nie dał ci...?

– Na początku dlatego, że byłem chory. Przemienianie jest... Na jakiegokolwiek boga, mam nadzieję, Oraya, że nigdy nie będziesz musiała się o tym przekonać. Mówię poważnie. Ostro walczyłem o życie, ale oddzielenie mojego nowego ja od starego zajęło tygodnie. Miesiące. A po tym zrozumiałem...

Urwał i przełknął ślinę. Wysunęłam dłoń na nagą skórę jego klatki piersiowej w wyrazie cichego pocieszenia, a jego dłoń opadła na moją i trzymała ją tak mocno, że czułam bicie jego serca – szybkie i ogarnięte wspomnieniem przeszłości, pomimo opanowania w jego głosie.

– Nie byłem jedyny, który został Przemieniony. Nie byłem jedynym wampirem, którego wziął. Wybrał... – Pochylił lekko głowę w stronę przeciwległej ściany, jakby chciał ukryć przede mną twarz. – Powiedzmy, że miał swoje gusta. Był bardzo, bardzo

stary, a kiedy ktoś żyje około tysiąclecia, niełatwo jest znaleźć na tym świecie dobrą rozrywkę. Zapełnianie ich różnych głodów staje się trudniejsze. Zabawianie tych, na których chcą wpłynąć, utrzymanie ich uwagi, staje się naprawdę trudne. Ludzie stali się... niczym więcej niż źródłem rozrywki. A kiedy wampiry są tak potężne, kiedy mają tyle kontroli nad każdym żywym stworzeniem, nie masz wyboru i musisz robić to, na co one mają ochotę.

Strach ścisnął mi żołądek.

Och, Matko.

Kiedy po raz pierwszy spotkałam Raihna, wyglądał jak filar nie do ruszenia, zarówno pod względem siły fizycznej, jak i emocjonalnej. Myśl, że ktoś mógł go kiedykolwiek wykorzystać w ten sposób... Myśl, że ktokolwiek sprawił, że poczuł poziom zawstydzienia, który teraz słyszałam w jego głosie, po tylu latach...

Teraz to rozumiałam. To, że Raihn wiedział podświadomie o tym, o czym nie mówiłam. Wiedział, jak to jest być tak bezsilnym, wykorzystywanym w czymś, co było poza jego kontrolą. Wiedział, jak rozpoznać blizny przeszłości, czy to na gardle, czy na sercu.

Powiedzenie mu, że mi przykro, wydawało mi się zbyt protekcyjne. Co dobrego mogło mu dać moje współczucie?

Zamiast tego powiedziałam:

– Jestem wściekła w twoim imieniu.

Nie, nie pokażę mu, że mu współczuję. Ale podaruję mu moją wściekłość.

Cień uśmiechu pojawił się w jego oczach.

– Oto i ona.

– Mam nadzieję, że nie żyje. Powiedz mi, że jest martwy.

Jeśli nie, znajdę go i sama go zabiję.

– Och, jest martwy. – Skrzywił się lekko. – Jestem... zawstydzony tym, w co pozwoliłem się zamienić, kiedy walka została we mnie stłumiona. Nie było krótszej drogi do otumanienia. Wygrał, więc się jej podjąłem. Nienawidziłem wampirów. A przez siedemdziesiąt lat nienawidziłem siebie, ponieważ stałem się jednym z nich.

Szlag. Nie mogłam. Również ich nienawidziłam.

– Ale... nie byłem w tym sam. Wielu było w tej samej sytuacji co ja. Niektórzy byli Przemienionymi, inni Zrodzonymi. Niektórzy z nich byli cieniami tych, którymi byli wcześniej, jak ja. Z niektórymi zawarłem... niespokojny rodzaj braterstwa. A z niektórymi...

Nie byłam pewna, skąd to wiedziałam. Może miało to związek z tą odległą mgłą, którą zaszły mu oczy, i faktem, że do tej pory widziałam to u niego tylko raz.

– Nessanyn – mruknęłam.

– Nessanyn. Jego żona. Była w każdym sensie jego więźniem, jak ja.

W moim gardle pojawiła się gula.

– I zakochałeś się w niej?

Przyznaję, że za moim pytaniem kryła się nutka zazdrości, ale poza tym miałam nadzieję, że się w niej zakochał. Ponieważ wiedziałam, z osobistych doświadczeń, że posiadanie kogoś ukochanego przy boku mogło pomóc przetrwać niemożliwe sytuacje.

Milczał dłuższy czas, jak gdyby naprawdę musiał się nad tym zastanowić.

– Tak – odparł w końcu. – I miłość do niej mnie ocaliła, bo wówczas nie sądziłem, by na tym pieprzonym świecie była jakakolwiek cholerna rzecz, która miała dla mnie jakieś znaczenie, aż do momentu pojawienia się Nessanyn. A różnica pomiędzy czymś bez znaczenia i czymś mającym znaczenie jest ogromna.

Byłam jej za to wdzięczna. Że pomogła mu przetrwać.

– Ale ona i ja byliśmy kompletnie innymi osobami. Jeśli spotkalibyśmy się w innym życiu... – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, czy zwrócilibyśmy na siebie jakąkolwiek uwagę. Jediną wspólną rzeczą, jaką mieliśmy, był on. Ale on był naszym całym życiem, więc to wystarczyło. Razem byliśmy w stanie wytworzyć coś, co było tylko nasze. Była pierwszą miłą wampirzycą, którą spotkałem. Była po prostu dobrą, skromną osobą. Dzięki niej poznałem też innych. To... zmieniło wszystko. – Odwrócił wzrok, jakby był zawstydzony. – Brzmi to głupio. I jak nic takiego. Ale...

– To nie jest nic takiego i nie jest głupie.

Powiedziałam to ostrzej, niż zamierzałam.

Byłam taka zła w jego imieniu. Zła, że to mu się przytrafiło. Zła, że ktokolwiek śmiał powiedzieć mu, że cokolwiek z jego historii, jakkolwiek jej skrawek, był głupi, wstydlivy albo niezasługujący na nic poza słuszną wściekłością.

– Jak się stamtąd wydostałeś? – zapytałam.

– Świat, który zbudował, zaczął się rozpadać od swojego własnego ciężaru. Cała jego brutalność zaczynała się na nim odbijać. Widziałem to i wiedziałem, że to była moja jedyna szansa ucieczki. Błagałem Nessanyn, żeby poszła ze mną. Błagałem, by się ratowała. Ale ona odmówiła.

Nie mogłam tego pojąć.

– Dlaczego?

– Zdziwisz się, co można zrobić w imię lojalności.

– Wolą umrzeć z wampirem, który ją torturował, zamiast żyć?

– Była marzycielką. Miłą, ale łagodną. Wolą uciec do świata, o którym marzyła, niż walczyć o ten. – Skrzywił się, jakby obruszony w jej imieniu ostrością własnych słów. –

To nie takie proste. Ale koniec końców pograżyła się razem z jego światem, razem z nim. Ja uciekłem, ona nie.

– Czy kiedykolwiek próbowałaś odnaleźć swoją żonę? Swoje... swoje dziecko?

Dotknął blizny na swojej kości policzkowej. Odwrócona litera V.

– Próbowałem. Nie poszło to dobrze. Siedemdziesiąt lat to dużo. Nie uważałem się za wampira, ale nie byłem już człowiekiem.

Nie podobało mi się, jak znajomo to brzmiało. Miałam ludzką krew i wampirze serce. On miał ludzkie serce i wampirzą krew. Na tym świecie nie było miejsca dla żadnego z nas.

– Spędziłem mnóstwo czasu na podróżach. Jako człowiek zostałem strażnikiem, żeby móc zwiedzić świat. To i... No tylko spójrz na mnie. – Pokazał po sobie z półuśmiechem. – Co innego mogłem ze sobą zrobić? Mogłem wybrać pomiędzy kowalstwem a wojskiem i tylko jedno spośród tych zajęć nie skazywało mnie na gapienie się w końskie zady przez całe dni.

– Mogłeś zostać kucharzem – odrzekłam, a dźwięk jego naturalnego śmiechu poluzował coś w mojej klatce piersiowej.

– Może i powinienem był. I spędziłbym całe życie na zapychaniu jedzeniem prostej, szczęśliwej żony. Miałbym prostą, szczęśliwą rodzinę i już od dawna odpoczywałbym pod ziemią.

Miło to zabrzmiało. Ale też... nie w jego stylu.

– Ale prawda jest taka, że jako człowiek nie miałem zbyt dużo okazji do podróżowania – kontynuował. – Dlatego też, kiedy miałem czas, zwiedzałem wszystko. Cały Dom Nocy. Wszystkie wyspy. Dom Cienia, Dom Krwi...

Dom Krwi? *Nikt* nie zwiedzał Domu Krwi.

– Był tak patologiczny, jak się tego spodziewasz – powiedział na widok moich uniesionych brwi. – Zawędrowałem też na ludzkie ziemie. Zorientowałem się, że mogę przez nie iść, jeśli będę ostrożny. Ale... po jakimś czasie myślę, że zrozumiałem, że biegłem. Byli ze mną wszędzie. On przypominał mi o wszystkim, co zostało spieprzone na tym świecie. Ona przypominała mi o wszystkim, co dobre i co opuściłem. Ale wtem, kiedy wróciłem do Obitraesu, znalazłem Mische.

Te słowa były teraz tak obciążone ciężarem, że zrozumiałam jego historię.

– Och.

– Mische przypominała mi ją, w pewnym sensie. Dobrym i złym. Obie widziały tyle piękna na świecie. Ale również miały w sobie tę... tę pieprzoną naiwność. Tę świadomą ignorancję tego, czego faktycznie trzeba użyć do zrealizowania ich wizji.

Przerwał na dłuższą chwilę i pograżył się w myślach.

– Tych siedemdziesiąt lat z nim było... złe. Ale spotkałem dużo dobrych osób, które również cierpiały. Osób, o które próbowała troszczyć się Nessanyn, nawet kiedy tonęła. Rishanie, którzy byli w większych tarapatkach niż kiedykolwiek. I powinienem był walczyć dla nich, kiedy wszystko upadło, ale tego nie zrobiłem. Nie wiedziałem jak. A może wiedziałem i żałowałem, że wiedziałem.

Przeraził mnie widok setek skrzydeł przybitych do ściany, który przywołałam przed oczy. Prochy Salinae.

– Po tym przyszedłeś tutaj.

– Nie widziałem w tym swojej odpowiedzialności przez długi czas. Mische się z tym nie zgadzała. Zmusiła mnie. Pierwsza weszła do Kejari. Wiedziała, że nie pozwolę jej zrobić tego samej.

Brew mi drgnęła. Weszła do Kejari tylko po to, żeby go do tego zmusić... Nazwanie tego skrajnością to za mało. Równie dobrze mogła po prostu poświęcić swoje życie.

Moja twarz musiała zdradzić moje myśli, ponieważ Raihn wydał z siebie mroczny, pozbawiony humoru śmiech.

– Sam byłem gotów ją za to zabić. Najgłupsza rzecz, jaką mogła zrobić w życiu. I wierz mi, że znalazłbym taki czy inny sposób, by ją stąd wydostać. – Jego twarz złagodniała. – Ale to była Mische. Impulsywna jak nikt. Jednak zawsze miała dobre intencje pomimo tego, co w życiu widziała. Czasem popełnia głupoty. Kocham jednak Mische jak siostrę, tylko... martwię się o nią. Świat nie składa się z kwiatów i słońca. Nie rozumie, że...

– ...trzeba walczyć zacięcie i w rezultacie zostawić coś po sobie – dokończyłam. – Że nie jest łatwo to zmyć.

Spojrzał na mnie. W jego oczach pojawiło się coś znajomego, co – jak odbicie w lustrze – mocno mnie uderzyło.

– Dokładnie.

Świat nie był łatwy czy prosty. Dobro nigdy nie było czyste czy proste.

Kiedy pierwszy raz spotkałam Raihna, myślałam, że nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Ale teraz, po raz pierwszy, poczułam, że ktoś naprawdę mnie rozumiał. Widział świat tak, jak ja go widziałam.

Odczułam ciepło jego skóry pod dłonią, rytmiczne bicie jego serca. Gdybym miała go zabić, musiałabym przyłożyć ostrze tutaj. Zastąpić tę pieśczętę ciosem.

Ale może... może nie mogłam tego zrobić. Może *nie chciałam* tego robić. Raihn miał swój lud do ocalenia. Mojego już nie było. Kto bardziej na to zasługiwał?

Nie mogłam zdecydować. Nigdy nie byłam w stanie ukryć przed nim swoich najmroczniejszych myśli, nawet kiedy najbardziej tego potrzebowałam. Od razu mnie

przejrzał.

– Ale pewnego dnia – powiedział łagodnie – spotkałem kogoś, kto wciąż był w stanie buntować się tam, gdzie myślałem, że to już niemożliwe do osiągnięcia.

Ścisnęło mi gardło. *Buntować*. Sprawiał, że zabrzmiało to tak szlachetnie.

– Głupie marzenie – wydusiłam. – Jakby wypatroszenie kilku śmieciowych wampirów w alejkach miało cokolwiek znaczyć. Jakby cokolwiek to zmieniało.

– Przestań – zganił mnie. – Znalazłaś sposób, by chronić swój świat, kiedy wszyscy powiedzieli ci, że nie powinnaś. Czy wiesz, jak cholernie trudne to jest? Jak rzadkie? *Żałuję*, że nie walczyłem tak jak ty. To jest siła.

Czy siłą było rzucanie się na stalową ścianę? Czy to robiło ze mnie kolejną naiwną marzycielkę?

– Już nie wiem, dlaczego to robię. – Powędrowałam ręką do moich ubrań na drugim końcu łóżka, koniuszkami palców stuknęłam w rękojeść miecza. Wyciągnęłam go i obserwowałam w świetle lampionu ciemną stal. Pomarańczowe światło kapalo wzdłuż znaków wyrytych na jego długości.

Doświadczylam takiego zaszczytu, że mogłam dzierżyć tę broń. Tylko ile takich zostało użytych do zamordowania ludzi z krwią taką jak moja?

Zastanawiało mnie, jak mocno musiałam się zranić, by Nyaxia zaakceptowała mój wniosek o wycofanie się z turnieju.

Raihn mógł pokonać Angelikę. Zdecydowanie mógł pozbyć się Ibrihima. Po tym mógł wykorzystać życzenie i użyć mocy bogini do pomocy tym, którzy tego potrzebowali.

Złapał mnie mocno za rękę, jakby usłyszał moje myśli.

– Spójrz na mnie, Oraya.

Nie chciałam, zobaczyłabym za dużo, on również. Ale i tak ostatecznie to zrobiłam.

– Jesteś czymś więcej niż tym, co z ciebie zrobił – powiedział. – Rozumiesz? To nie jest siła. To jest gówno, które próbował z ciebie wyrzeźbić. Masz prawo dalej podążać swoją ścieżką. Teraz bardziej niż kiedykolwiek. I mówię to, mimo iż wiem, jak głupie to jest, że ze wszystkich możliwych osób to ode mnie słyszysz te słowa.

Nie mówił o Kejari. Mówił o czymś większym. Oplótł drżącymi palcami moje, po czym wysyczał:

– Więc nie masz pieprzonego prawa przestać walczyć, księżniczko. To złamałoby moje przeklęte serce.

Oczy mnie zapiekły.

Nie przyznam mu tego. Ale gdyby on przestał, złamałoby to też i moje serce.

– W takim razie ty też nie masz prawa przestać – powiedziałam. – Obiecuj mi to. Jesteśmy w tym razem. Wiedzieliśmy, na co idziemy. Nic się nie zmieniło.

Wszystko się zmieniło.

Ale Raihn się zawahał, po czym skinął głową.

– Zgoda. Jeśli walczymy, to walczymy do końca. Jakikolwiek by ten koniec był. Czyjakolwiek krew miałyby zostać rozlana, by wygrać.

Pomyślałam, że czuję się lepiej, że odzyskaliśmy jakąś część naszej wcześniejszej relacji.

Ale tak się nie stało. I nie odzyskaliśmy.

Zerknęłam na okna zakryte zasłoną.

– Słońce zachodzi – powiedziałam. – Chcesz wyrzec po raz ostatni?

Raihn się nie wahał, nie odwrócił ode mnie wzroku ani na moment, kiedy odpowiedział:

– Nie. – I mnie pocałował.



Jeszcze nigdy tak się nie bałam nadchodzącej nocy.

Przyszła pustka. Spodziewałam się nitki cienia w naszym pokoju, zapraszającej ręki Nyaxii, ale jej widok i tak ścisnął mi płuca. Kiedy się pojawiła, wyszliśmy z Raihnem z łóżka i bez słowa nałożyliśmy swoje zbroje.

Przed tym, jak opuściliśmy pokój – po raz ostatni – zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy na siebie.

– To była przyjemność, księżniczko – powiedział.

Obserwowałam, jak unosi usta w uśmiechu. Matko, te perfekcyjne usta.

Pomyślałam, że ten ostatni raz go pocałuję. Że zarzucę mu ręce na szyję i go nie puszcę. Że zaciągnę go z powrotem do łóżka i odmówię odejścia. Przynajmniej zginęlibyśmy szczęśliwi, kiedy Nyaxia by nas wyeliminowała.

Nic z tych rzeczy nie zrobiłam.

Nie wiedziałam, jak Raihn mógł mnie nazwać odważną. Byłam pieprzonym tchórzem.

– Było... – Wzruszyłam ramionami. Uśmiech uruchomił zmarszczki wokół moich oczu. – Znośnie. Tak myślę.

Zaśmiał się.

– Oto i ona – powiedział i otworzył drzwi.



Angelika i Ibrihim czekali już z Ministrem. Ibrihim nie patrzył na nas. Typowa sroga twarz Angeliki była srogsza niż zwykle, a jej ostre jak sztylet oczy obserwowały nas, gdy się zbliżaliśmy. Były pokryte czerwienią.

Kłątwa? A może spędziła ostatni dzień na opłakiwaniu śmierci Ivana?

Drzwi pojawiły się jak zawsze i wywołały lekkie wiwatowanie. Minister życzył nam powodzenia i kazał nam przez nie przejść. Ibrihim wszedł pierwszy. Ledwie powłóczył nogami. Jego skrzydła zwisały za nim, ciągnięte własnym ciężarem.

Następna była Angelika.

A po tym pozostaliśmy my.

Wszystkie słowa, których nie byłam w stanie z siebie wydobyć, zaczęły mnie dusić. Słowa nie były wystarczające. A mimo to bez pozwolenia – zanim przekroczyliśmy próg – złapałam Raihna za rękę, ścisnęłam ją mocno i och, Matko, nie mogłam go puścić. Nie mogłam tego zrobić.

Zwolniliśmy kroku. Nikt tego nie zauważy, jedynie moment zawahania. Ale mnie przebiegło przez głowę milion możliwości.

Fantazje. Opowieści. Bezsensowne marzenia.

Rzuciłam je na marmurową podłogę, wycofałam rękę i przeszłam przez próg.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Krzyki tłumu były barbarzyńskie i żądne krwi, jak ryk wygłodniałych wilków rozszarpujących swoją zdobycz.

Widownia była przepełniona. Z tej odległości wyglądała jak fala osobników, którzy mieli uniesione pięści i nawoływali do brutalności. Nad nimi zakrwawione pióra skrzydeł Rishan, zredukowane do kropek śmierci.

Wpatrywałam się w to jedynie przez moment, ponieważ nagle musiałam odskoczyć przed językiem ognia.

Nie nocnego ognia. *Ognia.*

Uniknęłam go w ostatniej chwili. Żar dosięgnął końcówek moich włosów. Przez swój niezdarny unik poleciałam na ścianę – nie, nie ścianę, drzwi zamknięte na cztery spusty. Skoczyłam z powrotem na nogi i się odwróciłam.

Arena została podzielona. Znajdowałam się w mniejszej bańce, a drzwi za mną były zamknięte. Ani śladu po Raihnie, Ibrihimie czy Angelice.

Zamiast tego otoczyły mnie trzy postacie, dwóch mężczyzn i kobieta. Ich czarne twarze i oczy świeciły pustką. Na sobie miały zniszczone szaty, które wyglądały na oburzającą parodię stroju religijnego. Język ognia przeciął środek mojej areny, a ja zaczęłam się szamotać, byleby tylko uniknąć płonącej ścieżki.

Ogień pochodził od mężczyzny na prawo. Otaczały go płomienie, wspinały się po płynących wstążkach jego szaty. Przekrzywiona, zmatowiała korona z wyszczerbionym

białym okręgiem na jego głowie nie była dopasowana.

Kobieta obok niego miała na sobie różową suknię z czarnymi i czerwonymi dodatkami. Kwietny diadem spoczywał na jej potarganych rudych włosach. Dwie więdnące róże wystawały z jej oczu. W rękach trzymała przekrzywiony łuk ze świecą strzałą z zardzewiałych cierni.

I w końcu ostatni mężczyzna – wysoki i chudy, z nagim torsem, który odsłaniał wysypane bliznami ciało, na wpół zniszczone rozkładem. Podbródek miał opadnięty, usta otwarte i szerniałe.

O bogowie, właśnie zrozumiałam.

Ich fałszywy obraz.

To była finałowa próba. Prezentowała ostateczny wzrost do potęgi Nyaxii. Bogini przepełniona wściekłością i smutkiem po śmierci męża zwróciła się przeciwko swoim pierwotnym braciom i siostrom. Wywalczyła drogę z dwunastką bogów Białego Panteonu. I wygrała.

Kobieta uniosła łuk i wypuściła strzałę. Poruszała się szybciej niż powietrze, które powinno ją utrzymać. Z trudem jej uniknęłam.

Strzała z zardzewiałej stali, ukształtowana na wzór ciernistej lodygi róży, zanurzyła się w piachu pięć centymetrów od mojego nosa. Piach wokół niej szerniał i wypuścił dym.

Biegłam. Moim śladem podążał rytmiczny dźwięk uderzania strzał. Znalazły się jeszcze bliżej mnie, gdy wbiły się w górkę piachu.

Ten z ogniem musiał być Atroxusem, bogiem słońca i królem Białego Panteonu. A ze strzałami... to musiała być Ix, bogini seksu i płodności. Podobno jej strzały pozostawiały nasienie w macicach, choć byłam święcie przekonana, że nie to ze mną zrobią, jeśli mnie dosięgną.

To były mimo wszystko marionetki. Nie prawdziwi bogowie, tylko parodie mające na celu drwić z nich.

Trzeci natomiast... Wysiłałam mózg. Nie miał korony ani żadnej broni...

Powietrze zostało przecięte na pół. Przerażliwie wysoki dźwięk spętał mi mięśnie wbrew mojej woli. Potknęłam się o własne stopy i wylądowałam ciężko w piachu. Moje ramię wybuchnęło bólem, kiedy jedna ze strzał Ix musnęła skórę i otworzyła tłącą się szramę w zbroi.

Szlag, ten dźwięk. Paralizował mnie. Wywrócił mój mózg na drugą stronę. Zmusiłam się, by podnieść głowę i spojrzeć na nich – na trzecią postać, której szerniałe wargi były rozwarte jak u ryby.

Jakby śpiewała.

Kajmar. Bóg pokusy, sztuki, piękna i... muzyki.

Jego piosenka urwała się tak szybko, jak się zaczęła. Wykorzystałam ten moment, by uniknąć kolejnej fali ognia. Atroxus się nie poruszał, lewitował centymetry nad piachem. Dłonie miał otwarte jak do modlitwy, a płomienie krążyły wokół niego falami. W przeciwieństwie do niego Kajmar i Ix tańczyli i szarpali się po całej bańce, jakby prowadzeni na sznurkach przez niewidzialnego mistrza marionetek, z nogami ciągniętymi po ziemi.

Wezwałam swój nocny ogień i byłam wdzięczna, kiedy dzięki uderzeniu adrenaliny z łatwością rozkwitł w moich dłoniach. Miałam jednak trudność z trafieniem w cel – nie mogłam nim strzelić ani w Ix, ani w Kajmara, kiedy poruszali się z taką szybkością, a moja niezdarna próba zaatakowania Atroxusa sprawiła, że nocny ogień rozpląnął się w starciu z jego znacznie potężniejszą ognistą ścianą.

Kolejny pisk pieśni Kajmara niemal ze mną skończył, kiedy przeturlałam się w złym momencie. Ogień smagnął moje pięty. Z trudem się odczołgałam, by znaleźć się poza jego zasięgiem.

W momencie kiedy pieśń mnie uwolniła, już ponownie byłam w biegu, a ból zanikał pod łomotem mojego serca. Musiałam podjąć odpowiednie kroki, jeśli miałam to przeżyć.

Kto będzie pierwszym celem?

Do Atroxusa nie mogłam się zbliżyć, zaatakowałby mnie później. Strzały Ix były problemem, ale tylko wtedy, kiedy pieśń Kajmara mnie więziła.

To jego musiałam się pozbyć. Zbliżanie się do pozostałej dwójki było zbyt niebezpieczne, kiedy on wciąż mógł mnie zamrozić.

Nie miałam nic poza swoją bronią. Oznaczało to brak strategii. Musiałam po prostu biec.

Zatrzymałam wzrok na Kajmarze, który płaśał gwałtownie po drugiej stronie pomieszczenia. Przygotowałam broń, następnie siebie, po czym wystrzeliłam ku niemu jak z procy ze wszystkim, co miałam w zanadrzu.

Nie dotarł do mnie zapach, dopóki nie znalazłam się dwa kroki przed nim, ale gdy byłam już na miejscu, nie sposób było to zignorować. Był gnijący i sprawiał, że ściśnięty żołądek zaczął podchodzić mi do gardła. Kajmar w połowie się rozkładał. Gruba warstwa farby pokrywała mu twarz i pękała na rozluźnionych mięśniach.

Był trupem.

Nie zwykłym trupem, ale takim, którego rozpoznałam. To był Rishan, którego Raihn zabił w pierwszą noc Kejari. Nasi upadli rywale zostali zaciągnięci z powrotem do walki w finale.

Kajmar szykował się już do wycofania, zanim zbliżyłam się na wystarczającą odległość. Przyspieszyłam i rzuciłam się na niego w ostatnich sekundach.

Mój sztylet wszedł w jego klatkę piersiową z zaskakującą łatwością.

Ale Kajmar nie poległ.

Przewróciłam się na ziemię, kiedy mi się wyszarpnął, po czym uwięził mnie w kolejnej przeraźliwej pieśni, czym sparaliżował mój umysł. Z trudem uniknęłam strzały, po czym zmusiłam się do powstania.

Z rany Kajmara w centrum jego klatki piersiowej lały się strumienie krwi. Pomimo to wciąż się poruszał.

Byłam pewna, że trafiłam w jego serce.

Ale nie upadł. Nie żył. To serce i tak już do niczego nie było mu potrzebne.

Atroxus kontynuował wypełnianie areny ogniem. Gorąc stawał się nie do wytrzymania. Pusta przestrzeń, po której mogłam się poruszać, zmniejszała się.

Pozostało mi kilka minut. A może i mniej.

Znowu rzuciłam się na Kajmara i tym razem zamiast wbić w niego ostrze, wbiłam paznokcie w jego martwą skórę, a następnie przyciągnęłam go do siebie, powstrzymując mdłości przed tym odorem.

Nie byli prawdziwymi bogami. Jedynie marionetkami. Nie mogłam zabić tego, co już dawno nie żyło, więc musiałam go rozmontować.

Jego usta były otwarte tylko dlatego, że miał opadniętą dolną szczękę. Z bliska zauważyłam nienaturalną opuchliznę na jego szyi – na jego gardło na pewno rzucono jakiś urok albo zaklęcie. Nyaxia nie posiadała magii powiązanej z dźwiękiem. Jakikolwiek zaklęcie to zrobiło, musiało pochodzić od przedmiotu zabranego innemu bogowi.

Jakie to było ponuro zabawne. Coś, co niegdyś tknęła magia Kajmara, zostało teraz użyte przeciwko niemu.

Wbiłam się w jego szyję tak mocno, jak potrafiłam.

Jego ciałem wstrząsnęły spazmy i zaczęło rzucać się jak ryba złapana na linkę. Eksplozja dźwięku niemal uszkodziła mi bębni. Przedarła się przeze mnie jak wiązka żyłek.

Ale nie mogłam się zatrzymać. Nawet na sekundę.

Zaatakowałam go ponownie. Po tym znowu. I znowu. Stara krew trysnęła mi w twarz.

Wydałam z siebie ryk razem z ostatecznym ciosem.

Dźwięk nagle zanikł. Moja broń przecięła ładnie kręgosłup zwłok. Szkło pękło, a jego resztki błyszczały z rozoranego gardła.

Ciało Kajmara upadło przy moich stopach, cały czas wstrząsane drgawkami, podczas gdy jego głowa spoczywała w mojej ręce. Zacisnęłam palce na puklu jego włosów.

Za długo.

Kątem oka zobaczyłam Ix unoszącą swój łuk.

Po drugiej stronie ponownie pojawiły się płomienie.

Nie byłam w stanie uniknąć obu naraz.

Zmusiłam mięśnie do pracy w tej ostatniej chwili, uruchomiłam je wbrew wszelkim przeciwnościom, po czym rzuciłam głowę w Ix najmocniej, jak umiałam, jednocześnie zanurkowałam.

Przeturlałam się przez piach. Ponad rykiem tłumu usłyszałam stłumione uderzenie. Szybko mnie to ocuciło i już biegłam, zanim uderzyłam w ziemię.

Sekundy przed tym, jak ogień pochłonął dół.

Sięgnęłam celu. Ix miała problem z równowagą. Stała się kolekcją nieskoordynowanych kończyn, które zwisały przy ścianie. Jej palce zacisnęły się na połamanym łuku.

Nie zwolniłam, kiedy w nią uderzyłam z bronią trzymaną w gotowości. Zaatakowałam od razu jej ręce i odciąłam je przy nadgarstkach. Przyjemną zaletą miesięcznego mięsa było to, że łatwo je się cięło. Łuk upadł razem z jej rozkładającymi się dłońmi.

Złapałam go, zanim dotarł do ziemi.

Strzała była już przygotowana. Przycisnęłam plecy do ściany. Wycelowałam.

Po drugiej stronie areny Atroxus lewitował w swoim ognistym pierścieniu. Jakakolwiek sztuczka magiczna napędzała jego płomienie, znajdowała się ona na jego klatce piersiowej – jej błysk był widoczny pod papierową gnijącą skórą.

Mój cel.

Nie dochodziły do mnie wzmożone krzyki tłumu czy trzaskanie płomieni ani nawet bicie własnego serca.

Wołałam i wołałam, ale nie przyszedł.

Słyszałam jedynie szlochy Mische o opuszczeniu jej przez boga, dla którego poświęciła swoje życie.

Nocny płomień pokrył długość mojej strzały. Stał się spadającą gwiazdą furii, którą właśnie wypuściłam.

Utknęła w klatce piersiowej Atroxusa, gdzie spoczywało źródło jego mocy. Przez moment jego ogień i mój – ciepłe i zimne światło – starły się ze sobą.

Mój zwyciężył.

Oślepił mnie błysk. Zachwiałam się. Gdy otworzyłam z powrotem oczy, ogień zniknął. Trup, który leżał w centrum dołu, nawet nie przypominał Atroxusa. Tak naprawdę nikogo nie przypominał.

Drzwi otwarły się z jękiem. Wrzaski widowni sięgnęły crescendo.

Wytarłam zakrwawione ręce o swoje zakrwawione ubranie, podniosłam broń i przeszłam przez wrota bez oglądania się za siebie.



Przeszłam przez drzwi z bronią w gotowości, ale ta część areny była pusta. Miała kształt półokręgu przy barierce trybun z trzema parami drzwi wbudowanymi w ściany, które dzieliły muzeum. Dwoje z nich pozostało zamkniętych.

Spojrzałam w górę na widownię – na morze twarzy upitych krwią. Tu i tam słyszałam echa swojego imienia. Nie wiedziałam, czy mi kibicowali, czy życzyli śmierci. Może to i to. Kogo to obchodziło, najważniejsze, żeby było to dobre przedstawienie.

Mimo to moje oczy padły na Vincenta, jakby od razu wiedziały, gdzie go szukać. Był w pierwszym rzędzie, stał samotnie w swojej łoży. Krzesło zostało zaprojektowane dla niego, ale nie siedział w nim. Zamiast tego zaciskał dłonie na barierce.

Wyraz jego twarzy wszystko we mnie poprzestawiał, jakby jedna z zatrutych strzał Ix przeszła moje wnętrze.

Po naszej kłótni spodziewałam się zobaczyć tutaj króla Vincenta. Tamtej nocy patrzył na mnie jak na zagrożenie, nawet jeśli trwało to tylko kilka sekund. A jeśli Vincent raz zobaczył zagrożenie, nigdy nie zobaczy w nim nic więcej. Tak, ten mężczyzna miał w sobie wszystkie atrybuty władzy króla wojny – widoczne skrzydła, ukazane znamię dziedzica oraz koronę zsuwającą się na jego brew.

Te skrzydła jednak były sztywne, jakby nerwy spętały jego mięśnie w supły. Odślonięte znamię nie wyglądało na wystawione na pokaz siły, ale bardziej, jakby jego serce było otwarte i podatne na zranienie. Z kolei jego twarz... Patrzył na mnie, jakby czuł każdy cios, każde oparzenie, każdą ranę na moim ciele.

Byłam tak gotowa go nienawidzić. Chciałam go nienawidzić.

Mogłam nienawidzić króla Vincenta. To on wybił rodzinę, która mi pozostała, to on machnął ręką na tortury mojego ludu i go bezwzględnie zabił i niszczył.

Ale jak mogłam nienawidzić Vincenta, ojca, który patrzył na mnie w ten sposób?

Moja złość sprawiała, że wszystko było pewne i łatwe. Moja miłość sprawiała, że wszystko było trudne i skomplikowane.

Przez to wszystko straciłam koncentrację.

To błysk w oczach Vincenta mnie uratował. Trwał ledwie ułamek sekundy, zanim się odwróciłam.

Obróciłam się wokół własnej osi w porę, by uniknąć strzały. Moment później i skończyłaby w moich plecach. Zamiast tego pozwoliłam, by poszybowała mi nad lewym ramieniem, a za nią podążył język czarnego magicznego dymu. Tłum wybuchnął śmiechem i zaczął krzyczeć, kiedy strzała wylądowała na widowni i wywołała poruszenie.

Ibrihim przeszedł przez drugie otwarte drzwi. Utykał.

Szlag. Nie wiedziałam, że przeżył.

Trzymał swój łuk w żelaznym uścisku, ale już wypuścił strzałę i teraz miał trudność z nałożeniem kolejnej. Jego niegdyś zdrowa noga teraz była bezwładna, poskręcana i zniekształcona. Jego ręce pokrywała taka ilość krwi, że nie byłam w stanie określić, jak bardzo był ranny. Wątpliwości rozwiał fakt, że nie mógł sięgnąć nawet po swój kołczan.

Uniósł głowę, a jego usta wykrzywiły się w grymasie determinacji. Brakowało mu jednego oka i krew zalewała mu twarz.

Matko, to musiała być walka. Walczył tak zaciekle.

Zbliżyłam się do niego. Nie spuszczał ze mnie tego jednego oka, kiedy szarpał się ze swoją bronią.

Za mną odgłos na trybunach zmienił się w sposób, którego na początku nie mogłam pojąć. Dopiero kiedy znalazłam się dwa kroki od Ibrihima, zrozumiałam...

Śmiech.

Śmiali się z niego.

Ibrihim zdołał przygotować swój łuk. Jego ręce jednak tak się trzęsły, że palce ześlizgiwały się z cięciwy. Było jasne, że nigdy nie zdoła strzelić.

Poderwał brodę, jego usta wygięły się w warknięciu. Rozpoznał ten odgłos przede mną. Ale w sumie słyszał go zapewne całe swoje życie.

– Współczujesz mi? – wychrypiał.

Pokręciłam głową.

Nie. Nie współczułam mu. Walczył, i to dzielnie.

Być może byliśmy do siebie podobni. Oboje dorastaliśmy w świecie, który nas pętał. Oboje nauczyliśmy się walczyć ponad siły, by zadośćuczynić za to, czym nie byliśmy. Oboje mieliśmy wszystko, czego nienawidziliśmy.

Znalazłam się na tyle blisko, by zobaczyć, jak opuścił lekko ramiona, a jego twarz drgnęła.

Rozwazał poddanie się.

– Nie. Nie przestawaj. – Wyciągnęłam swój drugi miecz. – Pieprzyć ich. Nie daj im tobą pomiatać. Zagwarantuj mi sprawiedliwą walkę, a dam ci sprawiedliwą śmierć, Ibrihimie.

Zacisnął szczęki. Po chwili zmusił palce, by poluzować uchwyt na łuku, a ten spadł na ziemię. Kiedy wyciągnął miecz, ledwie mógł sobie poradzić z jego wagą. Mimo to w tym finalnym pojedynku dał z siebie wszystko.

Nie pouczałam go. Zajęło mi to moment.

Kiedy przyciągnęłam go do siebie, kiedy przygotowałam się na ostateczny cios, to jedno oko napotkało moje spojrzenie, jakby spojrzało w lustro.

– Cieszę się, że to ty – powiedział cicho.

Upewniłam się, że wymierzyłam poprawnie, i wbiłam ostrze prosto w jego serce.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Tłum zaryczał. *Oczy* Ibrihima wywróciły się i stały się niewidzące. Uleciało z niego życie. Wyciągnęłam ostrze z jego klatki piersiowej i pozwoliłam mu opaść na piach.

Kątem oka dostrzegłam ruch. Po drugiej stronie areny otworzyły się drzwi.

Odwróciłam się, gotowa zaatakować, ale zamiast tego wypuściłam powietrze z ulgą.

Przy nich stał Raihn, jego ramiona unosiły się i opadały. Zbroję miał rozszarpaną – Matko, nie wiedziałam, jaka istota mogła ją tak rozszarpać – i był przemoczony. Ociekające wodą włosy lepiły mu się do twarzy i szyi. Najpewniej startł się z Zaruxem, bogiem mórz.

Ale nie obchodziło mnie to. Żył. Dziękowałam jakiemukolwiek bogu powinienam. Zobaczyłam na jego ustach tę samą modlitwę, kiedy jego wzrok wylądował na mnie.

Otwarcie się czwartych drzwi wyrwało nas z transu.

Angelika sama wyglądała na boginię. Jej warkocz się rozplótł, a na jej bladym policzku widniało rozcięcie. Za nią dostrzegłam rozbryzganą obraz krwi. Zmasakrowała swoich przeciwników.

W momencie kiedy weszła na arenę, wszystkie cztery pary drzwi zamknęły się za nami i uwięziły nas tutaj.

Raihn, Angelika i ja spięliśmy się i zaczęliśmy się obserwować. Może czekaliśmy na kolejną sztuczkę, kolejne przedstawienie Nyaxii.

Nic. Jedynie zduszone okrzyki z widowni, które zaczynały osiągać punkt kulminacyjny.

Nie, nie było tu żadnej sztuczki. Jedynie trzy zwierzęta w jednej klatce. Kto potrzebował sztuczek, kiedy dostawał już coś takiego? Człowieka, wyrzutka, potwora. Kochanków zmuszonych się zwrócić przeciwko sobie. Żałobnika ze złamanym sercem żadnego zemsty.

To już było piekielne przedstawienie.

Rusz się, zmijko. Rusz się, zanim oni to zrobią.

To był wciąż głos Vincenta w mojej głowie. Pomimo wszystko posłuchałam go.

Zwróciłam się najpierw w stronę Angeliki.

Jej zwężone oczy odnalazły mnie i rzuciłyśmy się na siebie w tym samym momencie.



Angelika była bezlitosna.

Nawet nie zaszczyciła Raihna spojrzeniem. Równie dobrze mogło go tu nie być. Nawet kiedy oferował jej okazje do ataku – nawet kiedy wyraźnie próbował przyciągnąć jej uwagę – jej jedynym celem pozostałam ja.

Byłam od niej mniejsza, szybsza, zwinniejsza. Ale to były jedyne cechy, których mogłam przeciwko niej użyć. Angelika była urodzoną zabójczynią. Wzrostem dorównywała Raihnowi i siłą prawie też. Blokowanie ciosów jej miecza to jedna rzecz, utrzymanie mojego kruchego ludzkiego ciała, by się dosłownie nie rozsypało pod miazdzącą siłą jej uderzeń, było inną kwestią.

Jeden z jej wyjątkowo brutalnych ciosów zablokowałam moimi mieczami, w efekcie usłyszałam jednak odległe chrupnięcie w okolicach mojego kręgosłupa. Ból uderzył w niego jak piorun.

Z trudem utrzymałam blokadę. Z mojego gardła wyrwał się zachrypnięty okrzyk. Całą swoją siłę woli i magię wykorzystałam do nocnego ognia, który pokrył długość moich mieczy.

Ale Angelika ledwie zareagowała, kiedy białe płomienie zaczęły ją skubać. Nawet się nie skrzywiła, na jej skórze nie pojawiła się żadna rana, nawet wtedy, kiedy trucizna zaczęła ją zżerać.

Nie spuszczała ze mnie oczu – otoczonych czerwienią i zimnych z wściekłości. Ignorowała ataki Raihna i kontynuowała swoją nieskończoną szarżę.

Sekundy zamieniły się w minuty, a minuty w nieskończoność.

To było coś więcej niż strategia. Nie wybrała mnie dlatego, że byłam słabszym przeciwnikiem. Nie, to było osobiste. Byłam tego pewna, nawet jeśli nie do końca rozumiałam powód. Czy winiła mnie za śmierć Ivana, mimo że to Raihn zrzucił go w mgłę?

Czy to miało znaczenie?

Nie było czasu na myślenie. Nie było czasu na pytania. Nie było czasu przygotować się do ataku, mogłam jedynie unikać jej ciosów najlepiej, jak potrafiłam.

Kiedy zablokowałam jedno z jej niszczycielskich uderzeń, ponad jej ramieniem na ułamek sekundy napotkałam wzrok Raihna. Ten czysty terror na jego twarzy, kiedy próbował ją ode mnie odciągnąć – terror w moim imieniu – przestraszył mnie. Rozproszył.

Wahałam się o moment za długo.

Jej miecz otworzył rzekę krwi na moim ramieniu, co dało jej satysfakcję.

Próbowałam się wycofać, ale uniosła palce. Była utalentowaną użytkowniczką magii. Może nie była tak dobra jak Ivan, ale wystarczająco dobra. Drgnięcie jej ręki i moje własne ciało mnie zdradziły.

Opadłam na kolana. Moje tętno zadrżało, kiedy krew w żyłach zawrzała i zaczęła wykręcać się w dziwnych, nienaturalnych kierunkach. Wewnątrz mnie powoli zabulgotał ból. Najpierw na niskim poziomie, potem szybko wzrósł do agonii, która pożerała wszystko na swojej drodze. Nie mogłam się poruszyć.

Angelika uśmiechnęła się i podeszła do mnie.

– Dobrze się sprawiłaś, człowieku – powiedziała. – Lepiej, niż się spodziewałam.

Nie.

Za daleko zaszłam, by tutaj umierać. Zmusiłam się, by to przezwyciężyć, zmusiłam mięśnie do przeciwstawienia się magii.

Z ogromnym trudem uniosłam broń.

Raihn zanurkował ku Angelice, ale szybko odbiła jego atak i dała mi jedynie kilka sekund wytchnienia, co wystarczyło, bym nabrała kilka łyków powietrza i podniosła się chwiejnie na nogi. Ledwie mi się to udało, a już posłała mnie z powrotem na ziemię i przycisnęła butem moją nogę.

– To była przyjemność, Orayo.

Pewność śmierci docierała do mnie powoli, jak zimna mgła, z początku niewidzialna, aż nagle tonie się w jej głębinach.

Plecami byłam odwrócona do tłumu. Gdyby nie to, może spojrzałabym na Vincenta. A może byłam wdzięczna, że nie musiałam widzieć, jak patrzy na moją śmierć. Przeniosłam wzrok z Angeliki na Raihna.

Nie wiedziałam, czego szukam, ale poczułam silne ukłucie smutku, kiedy na mnie nie spojrzał. Wpatrywał się w coś nade mną, w tłumie. Na co? Nie mogłam nic sensownego wywnioskować z jego twarzy. Desperacja i złość. Jakby błagał kogoś i żałował każdej sekundy.

Jego broda się zniżyła. Lekkie skinięcie.

Angelika uniosła miecz. Rozetnie mnie na pół.

Przygotowałam broń. Przywołałam każdy skrawek magii, która pozostała mi w żyłach. Umrę, walcząc.

Nagle wydarzyło się coś dziwnego. Cios, którego się spodziewałam, nie nadszedł. Zamiast tego Angelika się zachwiała, a wzrok uniosła nieco na widownię. Obserwowała.

Chwilowo straciła kontrolę nad swoją magią.

A moje ciało już zostało uwolnione i mięśnie już pracowały, zanurzyłam miecz w klatce piersiowej Angeliki.

Nocny ogień przyszedł nieco później i otoczył nas obie.

Musisz pchnąć mocno, żeby przeszło przez mostek.

Ciało Angeliki było muskularne i szczupłe, miała też na sobie zbroję. Rzuciłam się na nią jednak z taką siłą, że mój miecz trafił w jej serce przy pierwszej próbie.

Upadła. Żadnego kontrataku, żadnej blokady. Może gdybym miała czas, by pomyśleć, uznałabym to za dziwną sytuację. Jej oczy spotkały moje.

Uśmiechnęła się.

– Powodzenia – wyszeptała, a jej palce zakończone szponami puściły moje ramiona. Jej ciało spadło w piach z łomotem, który symbolizował całą jej upadłą wspaniałość.

Wstałam powoli. Ból spowodowany magią Angeliki zanikał. Przeszłam nad jej ciałem, kiedy kałuża krwi przesiąkała przez podeszwy moich butów.

Raihn znajdował się na drugim końcu dołu. Jego ramiona falowały.

Wyglądał w całej swojej okazałości jak silny wojownik. Pot przylepił mu do twarzy kilka kosmyków ciemnoczerwonych włosów. Cokolwiek zniszczyło jego zbroję podczas jego próby, zrobiło solidną robotę. Więcej warstw skóry odpadło, kiedy się poruszył i odsłonił szerokie obszary umięśnionego ciała widocznego na jego klatce piersiowej i ramionach – siła jego ciała była niewątpliwa. Nawet magia jego miecza wydawała się agresywniejsza niż dotychczas. Chmurki dymu unosiły się z ostrza gwałtownymi językami.

Jego oczy jednak nie należały do tej osoby.

Jego oczy należały do osoby, która obudziła się dzisiaj ze mną. Która całowała blizny na mojej szyi, jakby moja przeszłość i wszystkie jej mroczne aspekty były czymś, co

warto chronić.

Zostaliśmy tylko my. Jedno z nas stąd odejdzie w całości, a drugie pozostawi tutaj duszę, w tych przesiąkniętych krwią piaskach.

Przez moment zastanawiałam się, czy nie opuścić broni.

Ale wtem Raihn uniósł głowę. Mięśnie jego szyi się poruszyły, kiedy przełknął ślinę. Usłyszałam wszystko w tym niewielkim, zachęcającym kiwnięciu, które mi przekazał.

Obiecaj mi, że nigdy nie przestaniesz walczyć.

Miał jedną jedyną szansę na zdobycie potęgi, której potrzebował, by pomóc tym, których zostawił w tyle. Ja miałam jedną jedyną szansę, by stać się czymś więcej niż pozostawiony na śmierć człowiek w świecie, który nim gardził. Żadne z nas nie mogło pozwolić na porzucenie tego – nieważne, jak bardzo tego chcieliśmy.

Nie, będziemy walczyć.

Raihn poruszył się jako pierwszy.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Zarówno Raihn, jak i ja zbyt dobrze wiedzieliśmy, jak ze sobą walczyć. Zналиśmy swoje silne strony, słabości i nawyki. Wiedziałam nie tylko to, kiedy wykona ruch, ale również jak zareaguje, kiedy przyjdzie moja kolej. Każdy atak był rezultatem pół tuzina kalkulacji, opartych na naturalnej wzajemnej wiedzy, którą zdobywaliśmy przez ostatnie miesiące.

Było to zepsute. Niemoralne, aby używać tej intymności do wzajemnego zabicia się.

Zastanawiałam się, czy myślał o tym samym. Nie było w tym nic z jego zwykłej dzikiej radości. Żadnych ciętych komentarzy czy półuśmieszków. Żadnej satysfakcji w jego uderzeniach. Kiedy skaleczyłam jego skórę po raz pierwszy, skrzywiłam się, jakbym zrobiła to samo sobie. I vice versa, kiedy po raz pierwszy zranił mnie, odskoczył, jakby próbował się powstrzymać.

Mimo to kontynuowaliśmy nasz taniec. Tłum ryczał z ekscytacją z każdym uderzeniem stali. Ich krzyki ledwo do mnie docierały. Krew buzowała mi w uszach.

To było przerażające. Przerażające. Potrzebowałam, żeby bolało gdziekolwiek indziej, by mniej cierpiało moje serce.

Gdy przybliżyłam się do niego, syknęłam:

– Powstrzymujesz się.

Powstrzymujesz się – powiedziałam, kiedy zaprosiłam go do swojego ciała. Wiedziałam, że myślał o tym samym.

– Ty też – odparł.

Czy to muszę zrobić? Zaatakować go najbrutalniej, jak potrafię, by zrobił to samo?

– Powiedziałeś, że to robimy – warknęłam i wycofałam broń. – Więc zrobmy to.

Spoważniał w sposób, który posłał ciarki na mój kark.

– Jak sobie życzysz – odparł.

Podczas następnego ataku użył Asterisa.

Był zmęczony i to osłabiło jego magię, ale wciąż była to śmiertelna technika. Sapnęłam i cofnęłam się chwiejnie. Zablokowałam jego miecz, ale wybuch czarno-białego światła rozorał mi skórę i zostawił ją krwawiącą i poparzoną. Naiwnie byłam zaskoczona, że z taką łatwością przystał na moją prośbę.

Poprosiłam go, by walczył porządnie, i tak zrobił.

Strach jest tylko zbiorem reakcji fizycznych – wmówiłam sobie.

Strach jest wzmożonym pompowaniem krwi w sercu, gwałtownymi oddechami i spoconymi dłońmi. Strach jest drzwiami do złości, a złość jest drzwiami do potęgi.

Kiedy spjrzałam Raihnowi w oczy i wyobraziłam sobie jego krew wsiąkającą w to przeklęte podłoże, strach, który opanował moje płuca, był przytłaczający. Ale to wszystko również zaliczało się do potęgi.

Gdy tym razem się na niego rzuciłam, otoczył mnie nocny ogień.

Coś złamało się między nami. Te wszystkie delikatne dźgnięcia, te ostrożne tańce bloków i uników rozsypały się. Rzuciliśmy się sobie do gardeł.

Asteris rozkwitał przy każdym ciosie Raihna, a nocny płomień płonął przy moich. Za każdym razem, gdy się do siebie zbliżaliśmy, obie magie wybuchały i rozpryskiwały się wokół, ciemność z jasnością rozrywała się na kawałeczki. Jego magia parzyła mi skórę, pozostawiała ją krwawiącą do żywego mięsa. Moja parzyła go i zostawiała koszarne oparzenia na jego odsłoniętej skórze.

Skończyły się długie spojrzenia, zawahania. Pozostała brutalna skuteczność.

Od zawsze podziwiałam umiejętności Raihna jako wojownika. Dzierzył miecz w taki sposób, w jaki artysta nosił pędzel, a każde pociągnięcie nim było pełne gracji i piękna. Teraz zszokowało mnie, jak elegancja jego instynktów i ruchów zamieniła się w brutalność mającą tylko jeden cel. Być może mogłam docenić każdy ruch pędzla śmierci tylko wtedy, kiedy byłabym płótnem.

Już ani nie widziałam, ani nie słyszałam tłumu. Nocny ogień rozprzestrzenił się po piachu w nieuniknionym spokoju jak powolny marsz śmierci. Raihn stracił panowanie nad swoim Asterisem i zlikwidował całą arenę.

Między płomieniami zobaczyłam jego oczy. Wydawały się tutaj takie czerwone, otoczone zimnym białoniebieskim światłem mojej magii i purpurowoczarным jego.

Ujrzałam w nich jedynie ponure postanowienie. Oczywiście. Miał o co walczyć. Miał kogoś, kto na nim polegał. Kogoś, kogo musiał ocalić. Cokolwiek zbudowaliśmy ze sobą po drodze, było jedynie przeszkodą na niej.

Jego kolejny cios zwiastował śmierć.

Raihn był znacznie większy ode mnie, znacznie silniejszy. Ja byłam szybsza, ale niewystarczająco, a on nawet nie miał wyciągniętych skrzydeł. Dopiero teraz je otworzył, by się na mnie rzucić. Nie miałam czasu, by zareagować odpowiednio szybko.

Ból wybuchł mi w ramieniu, kiedy jego miecz je rozciął.

Wycofałam się, dysząc, zdumiona, że nadal żyję.

Szczęka Raihna była zaciśnięta, oczy zimne.

Dlaczego zaskoczył mnie sposób, w jaki na mnie patrzył? Dlaczego to bolało? Nie powinno. Kazałam mu walczyć. Byłam ludzką dziewczyną, którą znał zaledwie kilka miesięcy. Przyjaciółką, tak. Ale przyjaciele nie mogli istnieć w takim miejscu.

Ponownie agresywnie zanurkował ku mnie.

Życie przeleciało mi przed oczami. Moje krótkie, żalosne życie. Każdy martwy człowiek, którego nie zdołałam ocalić. Ciało Ilany, które stało się jedynie płatem mięsa. Praktycznie niczym, co można spalić.

Nie musisz tym być, Oraya.

Powiedziała mi to kiedyś.

Zobaczyłam zbliżającą się ku mnie śmierć na ostrzu miecza Raihna, w jego skupionym i pełnym determinacji spojrzeniu.

Miała rację. Nie musiałam. Mogłam zrobić z siebie coś lepszego.

Cios Raihna powinien być moją klęską. Już balansowałam na granicy śmierci.

Coś jednak we mnie pozostało. Zebrałam się w sobie i wydałam wściekły okrzyk. Nie był on skierowany do Raihna, ale do świata, który nas tu umiejscowił.

Nie musiałam myśleć. Nie musiałam widzieć. W walce bazowałam na instynkcie, uderzenie po uderzeniu, napotykałam jego stanowczy opór, lekki opór, doświadczałam bólu Asterisa, poparzenia od nocnego ognia. Zbroja przeciwko zbroi.

W końcu napotkałam ciało. Ciało Raihna.

Zamarłam z końcem mojego miecza przy jego klatce piersiowej, kiedy któryś z moich instynktów zakrzyknął z oddali: STOP.

Tłum wrzeszczał w absolutnej rozkoszy.

Raihn był pode mną. Otaczał nas nocny ogień. Pęcherze otworzyły się na jego skórze jak gnijące róże. Uświadomiłam sobie potworny ból każdego oddechu, każdego ruchu.

Również się trząsł. Otworzyłam nakrapiane trucizną rany na całej jego piersi, ramionach, a nawet jedną na policzku. Krwawiłam z jednej, którą on mnie obdarzył,

i to mocno. Gdy pochyliłam się nad nim i przyciskałam go do ziemi, nasza krew się połączyła – ostatnie pociągnięcia na jego obrazie, czerwone i czarne.

Moje ostrze było przy jego klatce piersiowej. Zacisnął mocno dłoń na moim nadgarstku. Usta wykrzywił w uśmiechu.

– Oto i ona – wyszeptał.

W mgnieniu oka zrozumiałam, co robił.

Prowokował mnie, tak jak prowokował tego wampira na uczcie miesiące temu. Walczył ze mną tak zacięcie, bym odpłaciła mu tym samym.

Wmówiłam sobie, że mogłam to zrobić.

Miałam zadanie do wykonania. Ludzi, którym trzeba pomóc. Potęgę, którą trzeba zdobyć. Nic z tego bym nie osiągnęła, jeśli bym pozostała wiecznie próbującym przetrwać człowiekiem.

Spod mojego miecza wypłynęła strużka krwi. Ręka mi zadrżała.

– Zakończ to, księżniczko – mruknął Raihn.

Zakończ niebezpieczeństwo, strach i brutalność.

Zakończ to, zakończ to, zakończ to...

Nie. Nie potrafiłam. Nie mogłam.

Ale uścisk Raihna się wzmocnił.

Patrz im w oczy, kiedy wbijasz ostrze – szepnął głos Vincenta.

Nie. Zacisnęłam powieki. Pomyślałam, że się wycofuję.

Ale może Raihn szarpnął za mój nadgarstek. Może sam poprowadził ostrze w głąb swojego ciała.

A może moje wampirze serce wygrało tę bitwę.

Ponieważ poczułam, że ostrze stało się śliskie. Poczułam mostek. Poczułam rozrywające się mięśnie. Poczułam, że ostrze wchodzi w moje własne serce, kiedy weszło w Raihna.

Widownia wybuchła dzikim, radosnym zawodzeniem. Ciepło pokryło moje dłonie. Ciężar pode mną zelżał.

Otworzyłam oczy.

Zwyciężyłam.

Raihn był martwy.



ROZDZIAŁ
CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Nie.
Nocny ogień wyparował.
Głowa Raihna potoczyła się z powrotem w piasek. Wpółotwartymi oczami wpatrywał się w tłum. Ten głupi uśmiezek cały czas był przylepiony do jego ust.
Właśnie zdobyłam wszystko, o czym marzyłam. Moje największe sny się spełniły.
I jedyne, co mogłam teraz pomyśleć, to: *nie*.
Nie, nie był martwy. Nie mogłam tego zrobić. Wiedziałam, że nie mogłam – nie pchnęłam tego ostrza. Mój umysł desperacko chwycił się tych kilku ostatnich kluczowych sekund.
Nie mógł być martwy.
Nie mógł.
W oddali, jakby w zupełnie innym świecie, głos Ministra rozbrzmiał echem po arenie.
– Mamy zwycięzcę dwudziestego pierwszego Kejari!
Histeryczne okrzyki krwiożerczego ludu, podekscytowanego widokiem swojego zwycięzcy ociekającego krwią, wypełniły koloseum.
Nie poruszyłam się.
Musiałam zmusić palce, by puściły miecz. Przemykały nad pozbawioną życia twarzą Raihna. Jego ciało wciąż było ciepłe. Dotknęłam kciukiem jego uniesionych kącików ust.

– Raihn – wydusiłam, trochę w oczekiwaniu, że mi odpowie.

Nie odpowiedział.

Nie poruszył się.

Zabiłam go.

Zabiłam go.

Och, Matko, co ja zrobiłam.

Chwyciłam jego twarz w obie ręce. Mój oddech stał się cięższy i bolesny. Widok zamazał mi się przed oczami.

Nie płakałam, kiedy zginęła Ilana. Nie płakałam od momentu, kiedy zabiłam swojego kochanka. Przysięgłam sobie, i Vincentowi, tamtej nocy, że nigdy już tego nie zrobię.

Ale się myliłam. Myliłam się w tylu rzeczach. Świat właśnie stracił coś potężnego. Moja obecność tutaj nie wystarczyła, by temu zadośćuczynić.

W tej grze tylko jedno mogło wygrać. I nie powinnam to być ja. Nie powinnam to być ja.

Nie istniało nic poza nim i światłem, które właśnie zdmuchnęłam z tego świata.

Nawet odgłosy z tłumu. Nie istniał głos Ministra, kiedy grzmiał:

– Powstań, zwycięzco. Powstań i powitaj swoją boginię.

Nie. Nic z tego mnie nie interesowało.

Podniosłam głowę dopiero, kiedy wszystko ucichło. Ciarki przebiegły mi po plecach. Spojrzałam w górę, na niebo. Było czyste i jasne. Gwiazdy lśniły na aksamitnym nocnym niebie. Widok miałam tak rozmazany łzami, że zdawało się, że płonęły jak małe supernowe.

Albo...

Zmarszczyłam brwi.

Nie. To nie były moje łzy. Gwiazdy faktycznie pojaśniały, jakby zostały nakarmione świeżą podpałką. Srebrne kosmyki, niczym podarte skrawki pajęczyny, wirowały na niebie nad koloseum. Powietrze stanęło, jakby każdy powiew wiatru został ukradziony dla oddechu większego istnienia.

Większego istnienia jak Bogini Nocy, Krwi i Cienia we własnej osobie. Dziedziczki Korony Śmierci.

Matki wampirów.

Włoski stanęły mi na ramionach.

– Pokłoń się – szepnął Minister. – Pokłoń się naszej Matce Wygłodniałej Ciemności, Nyaxii.



ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Nie musiałam się kłaniać. Już klęczałam i nie mogłam się zmusić do powstania.

Poczułam ją, zanim ją ujrzałam.

Od zawsze byłam nieco sceptyczna, jeśli chodziło o bogów. Wszyscy w Obitraesie uwielbiali zachwycać się Nyaxią i jej nieporównywalną potęgą, a ja myślałam, że część z tego była przesadą albo mitem.

W tym momencie te wszystkie wątpliwości zniknęły.

Ponieważ cały cholerny świat pokłonił się Nyaxii. Nie tylko zgromadzeni w koloseum, ale też powietrze, niebo i ziemia. Piach przesunął się w moich dłoniach, jakby chciał się do niej zbliżyć. Noc wiła się, jakby pragnęła być w jej płucach.

Każda moja cząstka wołała do niej. *Odwróć się, odwróć się, odwróć się* – szeptał do mnie wiatr.

Wciąż jednak nie mogłam spuścić wzroku z Raihna.

– Spójrz na mnie, dziecko.

Jej głos miał milion odcieni miliona dźwięków, malowanych po sobie znakomitymi warstwami. Historia, potęga, czysty smutek.

Zmusiłam się, by puścić głowę Raihna i pozwolić mu opaść w piach. Był martwy.

Wstałam, otępiała. Odwróciłam się.

Nyaxia stała przede mną.

Nie była osobą. Była wydarzeniem.

Mój umysł został oczyszczony z myśli, a usta się rozwarły. Lewitowała tuż nad ziemią, a jej delikatne białe stopy wycelowane były w piach. Jej włosy były długie i czarne. Kosmyki nocy latały wokół niej jak niesione wiecznie obecnym powiewem. Gwiazdy lśniły w ich ciemności – nie, nie tylko gwiazdy, ale każdy nieskończony odcień nieba. Nakrapiane pasma odległych światów. Purpury i błękity wszechświatów. Sięgały jej niemal kolan i tworzyły wokół niej zasłonę nocy. Jej skóra była lodowato biała, a oczy czarne jak atrament. Jej nagie ciało wyglądało, jak gdyby zostało zanurzone w płynnym srebrze. Tysiąc odcieni platyny migotało w jej każdym wgłębieniu. Cienie pieściły jej krągłości tańczącymi fragmentami ciemności.

Jej usta były jasnoczerwone. Kiedy się uśmiechnęła, kropla krwi spłynęła po jej elegancko szpiczastym podbródku.

Pragnęłam dotknąć jej skóry. Pragnęłam wylizać tę kroplę krwi z jej ust. Nauczyłam się, że piękno wampirów było niebezpieczne, było zastawioną uzębioną pułapką. Ich ponętność była stworzona, by przyciągać zdobyc.

Ponętność Nyaxii mnie przyćmiła, co mnie przeraziło.

Rozpoznałam to, ale mimo tej wiedzy w tym momencie, kiedy z mocą uderzyła mnie jej obecność, mogłam dla niej umrzeć. Mogłam dla niej zabić. Mogłabym drzeć w ekstazie, jeżeli zaoferowałaby mi cierpienie tymi przepięknymi opuszkami palców pokrytymi krwią.

Z trudem się uspokoiłam. Świeżość mojego smutku mnie otworzyła. Szrama w mojej zbroi była zbyt szeroka, by ją załatać.

Nyaxia stanęła na piachu, każdy jej krok był cichy. Pochyliła się i wzięła moją twarz w ręce. Jej oczy, całe czarne, zawierały gasnący blask zachodzącego słońca, odsłaniały inny odcień nieba za każdym razem, kiedy obróciła głowę.

– Oraya.

Powiedziała moje imię tak, jak to było przeznaczone, by je wymówić.

Jej usta wykrzywił uśmiech. Zerknęła przez swoje ramię.

– Ma twoje oczy – zaśmiała się.

Vincent. Patrzyła na Vincenta. Oderwałam od niej wzrok. Przyciskał się do barierki, nie mrugał. Duma i oczekiwanie malowały się na jego twarzy. Jego oczy lśniły.

– Moja córko, Orayo z Domu Nocy – powiedziała Nyaxia. – Walczyłaś zacięcie i dzielnie. Powiedz mi, moja zwyciężczyni. Co mogę dla ciebie zrobić w ramach twojej nagrody?

Zwyciężczyni.

Walczyłaś.

Te słowa zniszczyły tymczasowe otumanienie obecnością Nyaxii. Rzeczywistość tego, gdzie się znajdowałam – co robiłam – spadła na mnie jak grom z jasnego nieba.

Smutek był nie do wytrzymania. Milion postrzępionych krawędzi miliona decyzji, które mogłam podjąć inaczej. Pałaca krew Raihna na moich rękach.

Na niszczycielskiej twarzy Nyaxii pojawiła się zaduma. Ten szyty nocą wzrok spadł na nieruchome ciało Raihna.

– Jesteś w żałobie, moje dziecko.

Nie byłam w stanie powiedzieć, czy to współczucie słyszałam w jej głosie.

Nie odpowiedziałam, ale i tak usłyszała moją odpowiedź.

– Znam smutek – powiedziała łagodnie. – Wiem, jak to jest stracić połowę swojej duszy.

Połowę swojej duszy. Dokładnie tak się czułam. Zabrał mi więcej, niż myślałam.

Chmury burzowe zgromadziły się w nocnym spojrzeniu Nyaxii.

– Gdy taka rzecz zostaje ci odebrana, jest to rzeczywiście ogromna strata. – Błyski w jej oczach ustały, kiedy zwróciła wzrok z powrotem na mnie. – Ale być może to również jest błogosławieństwem, moje dziecko. Tak czysta miłość, wydestylowana na zawsze w swojej niewinności. Kwiat zamarznięty w rozkwicie.

Jej palce dotknęły mojej szyi, następnie przeszły do klatki piersiowej i tam zatrzymały się, jakby sprawdzała mój ludzki puls.

– Martwy kochanek nigdy nie złamie twojego serca.

Czy tak się czuła, gdy myślała o swoim zmarłym mężu?

Jeśli tak, to jej zazdrościłam. Ponieważ się myliła. Moje serce już zostało złamane. Pękało przez tysiąc momentów przez ostatnie dwadzieścia lat. Pierwszy cios nadszedł w noc, kiedy zginęła moja rodzina. A teraz, moją własną ręką, rozkruszyłam je całkowicie.

Wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam, było w zasięgu mojej ręki.

Potęga. Siła. Nigdy nie będę się już bać. Mogłam uczynić z siebie drapieżnika w miejsce zdobywcy, łowcę w miejsce zwierzyny, władcę w miejsce poddanego. Mogłam uczynić z siebie potwora, którego wszyscy będą się bać. Mogłam uczynić z siebie coś godnego zapamiętania w miejsce kolejnego ubywającego śmiertelnego życia łatwego do zapomnienia.

Wszystko miałam tutaj.

Dwieście lat temu Vincent podjął tę decyzję. Poświęcił wszystko.

Tak samo jak Nyaxia. Jej smutek przerodził się w jej potęgę. Zrobiła z tego broń wystarczająco ostrą, by wyrzeźbić nią nowy świat.

Teraz to rozumiałam. Zawsze tak się działo. Miłość była poświęceniem w imię potęgi.

Odnalazłam wzrokiem Vincenta. Nie mrugał. Nie oddychał.

Mój ojciec, który nauczył mnie przetrwania, jak zabijać, jak nic nie czuć. Może i nie dzieliłam jego krwi, ale byłam jego dzieckiem w każdym innym sensie i kochał mnie w jedyny sposób, który znał. Na krawędzi ostrza.

Przełknęłam nagle, pełne desperacji pragnienie, by dowiedzieć się, co czuł, kiedy był na moim miejscu dwieście lat temu. Czy poprzysiągł, że będzie lepszy od tego, który zwyciężył przed nim?

Uśmiech Nyaxii musnął mój policzek jak zimne światło księżyca.

– Zawsze mają marzenia – mruknęła w odpowiedzi na pytanie, którego nie zadałam.
– A jego były najwspanialsze ze wszystkich. Powiedz mi, dziecko, jakie ty masz życzenie.

Objęłam swoje życzenie w moim słabym śmiertelnym sercu. Może byłam bardziej ludzka niż Vincentowi się wydawało.

Ojciec nauczył mnie, by patrzeć im w oczy, kiedy wsuwałam ostrze w ich serce. Dlatego też nie spuściłam z niego wzroku, kiedy odpowiedziałam Nyaxii.

– Chciałabym, żeby to Raihn wygrał.

Twarz Vincenta pobladła.

Śmiech Nyaxii był jak zmieniające się losy.



Nyaxia nie zapytała mnie, czy jestem tego pewna. Znała moją duszę. Wiedziała, że byłam pewna.
– Jak sobie życzysz – powiedziała takim tonem, jakbym właśnie zrobiła coś bardzo zabawnego.

Nie wiedziałam, czego się spodziewałam, może jakiegoś dramatycznego błysku światła albo ataku ciemności, albo może że całkowicie zniknę. Nic jednak z tych rzeczy się nie wydarzyło.

Nie, okazuje się, że zmiana losu jest subtelną bestią. Powietrze jedynie trochę się ochładza, kierunek wiatru zostaje nieco zaburzony. Patrzysz w dół i nagle twoje ręce się trzęsą, trzymając broń, która sekundy albo inną rzeczywistość temu była w piersi twojego kochanka.

Spojrzałam w górę i Raihn żył.

Wciągnął duży haust powietrza, rękami ścisnął swoją klatkę piersiową – na ranie, której już nie było.

Tłum był zszokowany i szeptał między sobą.

Nie patrzyłam na nich. Raihn również. Zamiast tego wzrok utkwiał we mnie. Tylko we mnie. Spojrzał na mnie, nawet zanim spojrzał na Nyaxię.

Łzy, tym razem ulgi, wypełniły mi oczy.

Było warto. Już to wiedziałam. Nawet jeśli już więcej miałam go nie zobaczyć, było warto.

Na jego twarzy odbiło się zagubienie, kiedy masował swoją klatkę piersiową.

– Witaj, Raihnie Ashraju, mój synu Zrodzony z Nocy – wymruczała Nyaxia. – Zwycięzco Kejari.

Zagubienie Raihna zamieniło się w zrozumienie. Następnie zmieniło się w...

W...

Zmarszczyłam brwi.

To nie była ulga. To było *udręczenie*.

– Oraya – wydusił. – Co ty...

– Powstań – rozkazała Nyaxia. – Powstań, mój synu, i powiedz mi, jak mogę wynagrodzić twoje zwycięstwo.

Raihn nie odzywał się przez dłuższy moment. Ta cisza wydawała się przeciągać do milionów lat. W końcu powstał i zbliżył się do Nyaxii. Jej palce dotknęły jego policzka, zostawiły na nim niewielkie ścieżki krwi.

– Tyle czasu minęło – zanuciła. – Nawet los nie był pewny, czy zobaczę jeszcze tę twarz.

– Ja również, moja pani – powiedział Raihn.

Szczęka Vincenta była tak zaciśnięta, że drżała. Był wyprostowany, a jego knykcie zbieleły, przyciśnięte do jego boków. Jego skrzydła zadrżały, jakby powstrzymywał się przed lotem.

Oczy Nyaxii wypełniało rozbawienie – przerażające rozbawienie.

Ścisnęło mi żołądek. Nie podobał mi się stopień tego zadowolenia. Zadowolenia, które gwarantowało rozlew krwi.

Nyaxia lubi, kiedy jej dzieci się przekomarzają.

Coś... coś było nie tak.

– Powiedz mi, mój synu, jakie jest twoje życzenie.

Świat wstrzymał oddech. Raihn pochylił głowę.

W tłumie wypatrzyłam Septimusa przedzierającego się przez widownię. Na jego ustach rozlał się wygłodniały uśmiech.

Dlaczego Septimus wyglądał na tak zadowolonego, skoro jego zwycięzca poległ?

– Dwieście lat temu – zaczął mówić Raihn – przybyłaś tutaj i spełniłaś życzenie zwycięzcy Kejari. Zapieczętowałaś potęgę rishańskiego króla Zrodzonego z Nocy.

Uśmiech na twarzy Nyaxii poszerzył się, a wraz z tym pętla na moim żołądku się zacieśniła.

– Życzę sobie tej potęgi, moja pani. Chciałbym, aby została przywrócona do linii dziedzicznej Rishan. Chciałbym, aby została ona przywrócona mnie.

Przywrócona?

Nyaxia się zaśmiała. Jej śmiech był niski i jedwabisty.

– Zastanawiałam się, kiedy to może nastąpić. Twoje życzenie zostaje spełnione, Raihnie Ashraju, Przemieniony następco rishańskiego króla.

Co?

Wytrzeszczyłam oczy. Cofnęłam się o kilka kroków w kierunku trybun. Niektórzy widzowie się roześmiali, zaabsorbowani tą dramą, ale inni – w większości Hiajowie – zaczęli się niepewnie wycofywać.

Nyaxia złożyła przed sobą dłonie.

– Gratuluję zwycięstwa.

Raihn patrzył tylko na mnie, przepaszająco, kiedy Nyaxia położyła dłonie na jego klatce piersiowej, a usta przycisnęła do jego czoła.

Wybuch potęgi zmienił świat.

Wszystko stało się białe, potem czarne. Jednak prawdziwa moc zmiany była głębsza niż to. W każdym momencie można było wyczuć potęgę Vincenta – potęgę pocałowaną przez boginię we własnej osobie. Natomiast teraz dwie skrajności biegunowe pognały w przeciwnych kierunkach.

Uniosłam rękę, by osłonić *oczy*. Gdy światło zelżało, Raihn stał przed lożą Vincenta. Jego skrzydła wystrzeliły w górę – milion kolorów czarnych jak noc z jednym zasadniczym wyjątkiem: czerwone końcówki piór.

Wyszedł ze mnie zduszony okrzyk.

Zbroja Raihna była tak zniszczona, że podczas objawienia skrzydeł większość skórzanej osłony została rozerwana i ukazała krajobraz blizn na jego plecach. Były to blizny z tortur Vincenta, tak, ale również te starsze, jak ta, która zaczynała się na górze jego pleców i ciągnęła się w dół kręgosłupa.

W tym momencie światło zaczęło przedzierać się przez naskórek blizny, smugi czerwieni przebijały cętkowaną skórę. Stworzyło symbol – pięć faz księżyca na szczycie jego ramion i smugę dymu spadającą na środek jego pleców.

Znamię.

Znamię dziedzica.

Rozkwitło z nowym życiem, jakby przebudzone nagłym wybuchem mocy. Nawet jeśli jego właściciel próbował to kiedyś, dawno temu, wypalić ze swojego ciała.

Kurwa... Co ja narobiłam? O bogini, co ja narobiłam?

W tym momencie widzowie z rodu Hiajów zrozumieli, co się dzieje. Zaczęli się o siebie przewracać, próbowali uciec, niezdarnie wlatując w niebo albo do jakiegokolwiek innego wyjścia.

Ogłuszający huk rozbrzmiał znad koloseum. Zatrząsł ziemią, a po nim nastąpiło głębokie chrobotanie – jak rozpadający się kamień. Jak rozpadające się miasto. Jak rozpadające się królestwo.

Żołnierze wypłynęli z bram koloseum. Żołnierze noszący czerwień i biel z Domu Krwi. Septimus obserwował to wszystko z uśmiechem.

Martwy kochanek nigdy nie złamie twojego serca – wyszeptał do mnie kuszący głos Nyaxii.

To wszystko, co byłam w stanie usłyszeć, kiedy Vincent rozłożył swoje skrzydła i wyjął miecz.

Nie poruszył się, kiedy Raihn zbliżył się do niego. Nie, Vincent nigdy nie ugiął się przed zagrożeniem. Zawsze stawiał mu czoła.

Nie.

Nie przypomniałam sobie, kiedy wyciągnęłam swoje miecze. Po prostu zaczęłam biec. Dotarłam do połowy schodów prowadzących do balkonu Vincenta, zanim ktoś mnie złapał. Nie wiedziałam kto. Nie obchodziło mnie to. Nie patrzyłam.

Musiałam się do niego dostać.

Musiałam się do niego dostać i to już, natychmiast. *Natychmiast...*

Raihn uśmiechnął się podstępnie.

– Nawet nie *wiesz*, kim jestem, prawda?

Vincent nie zaszczycił go odpowiedzią. Zamiast tego zaatakował.

Z gardła wyrwał mi się krzyk.

Vincent był jednym z najlepszych wojowników we wszystkich królestwach Nyaxii. A mimo to Raihn powalił go w połowie drogi, jakby był niczym. Magia Raihna urosła i zaiskrzyła na końcówkach jego palców – błyski światła i ciemności, jak gwiazdy, przyćmiły nawet siłę jego Asterisa na arenie.

Szarpałam się w uścisku tego kogoś, kto mnie trzymał. Szarpałam się tak mocno, że wkrótce kolejna para rąk dołączyła do poprzedniej...

– Spotkaliśmy się dwieście lat temu – mówił Raihn. – Tego dnia zdobyłeś potęgę i otworzyłeś rzekę krwi w tym mieście. Tego dnia sprowadziłeś rzeź na własną rodzinę i każdego rishańskiego mężczyznę, kobietę, dziecko. Tego dnia zabiłeś każdego, kto według ciebie miałby najmniejszą szansę zostać rishańskim dziedzicem i wyzwąć cię do walki o Dom Nocy. – Odrzucił miecz Vincenta wybuchem magii. Broń upadła na podłogę z głośnym brzdękiem. – No cóż. Pominąłeś jednego.

Raihn chwycił Vincenta za gardło. Czerwień na znamieniu dziedzica Vincenta rozpryskiwała się w zrywach, jakby odrzucana przez uścisk swojego naturalnego wroga. Dotarł do mnie okropny odgłos łamania, kiedy Raihn pchnął ciało Vincenta na gładką kamienną ścianę, malując biały marmur szkarłatem i czernią.

Dotarł do mnie przeraźliwy fakt.

Zaraz będę świadkiem śmierci mojego ojca.

Walczyłam coraz zacieklej. Dwie pary rąk stały się trzema. Ktoś krzyknął, kiedy dźgnęłam mieczem.

Raihn przyciągnął do siebie Vincenta. Głowy mieli opuszczone. Vincent powiedział coś do niego, zbyt cicho, bym mogła to usłyszeć.

Wtem obrócił głowę – powoli, jakby potrzebował do tego wszystkich swoich sił – by spojrzeć na mnie.

Raihn również na mnie spojrział i przez moment ta nienawiść na jego twarzy została zastąpiona głębokim, bolesnym żalem. Nie słyszałam nic poza moim przeraźliwym krzykiem, ale jego usta ukształtowały się w słowa: *Nie patrz*.

Krzyknęłam coś – być może przekleństwo, może błagalną prośbę. Nigdy sobie tego nie przypomnę.

I nie odwróciłam wzroku.

Nie, kiedy magia rozbłysła w dłoni Raihna.

Nie, kiedy ciało Vincenta uderzyło w ścianę z wystarczającą siłą, by zmielić kości.

Nie, nie odwróciłam wzroku i patrzyłam, jak Raihn zabija mojego ojca.



ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Ciało Vincenta uderzyło w poręcz i upadło w piach. To była duża wysokość z balkonu.

Nie wiedziałam, jakie wydawałam dźwięki, byłam jedynie świadoma, że były chropowate, zwierzęce i brutalne. To nocny ogień uwolnił mnie z ich uścisku. Otoczył mnie w nagłym wybuchu.

Nie zauważałam tego i nie obchodziło mnie to.

Zatoczyłam się na dół trybun. Przeszłam piach długimi krokami i opadłam obok Vincenta.

Jeszcze żył. Ledwie. Ale to był dowód jego potęgi, że był w stanie przeżyć te dodatkowe kilka sekund. Jego ciało zostało zniszczone – skórę zastąpiły poparzone płaty, kości przemieszczały się i rozkruszyły. Ta zawsze elegancka, zimna twarz była wykrzywiona i obsmarowana krwią. Jego srebrzyste oczy przypominające księżycy lśniły jak nigdy przez zakrzepłą krew.

Przez całe życie byłam pewna, że Vincent jest niezniszczalny. Że nie potrafi krwawić. Że nic go nie złamie. A przede wszystkim, że nie może umrzeć.

Ale mężczyzna przede mną był złamany w każdym tego słowa znaczeniu. Połączenie zniszczonych mięśni i tkanek i serce, koniec końców tak samo łagodne jak moje.

Jego oczy zamigotały. Jedna zmasakrowana ręka sięgnęła ku mnie. Złapałam ją.

– Tak bardzo cię przepraszam, moja zmiłko. – Walczył z każdym słowem. – Zamierzałem... Zamierzałem ci powiedzieć...

Potrząsałam tylko głową. Moje łyzy stworzyły małe kałuże na jego twarzy. Wydusiłam z siebie jedno słowo.

– Przestań.

Przestań mówić. Przestań umierać. Nie zostawiaj mnie.

Ale nie przestał.

– Kocham cię. Kochałem cię już od pierwszego naszego spotkania. – Bańki krwi wytworzyły się w kącikach jego ust. Jego wzrok przeniósł się ze mnie na nocne niebo, po czym wrócił do mnie powolnym ruchem, mozolnym, jakby pracował bardzo ciężko, by mieć pewność, że będę ostatnim, co zobaczy. – Tyle błędów na sam koniec – wydusił. – Ty do nich nie należysz.

Przez resztę życia będę żałować, że nic nie powiedziałam mojemu ojcu, kiedy umarł w moich ramionach. Był okrutną osobą z najróżniejszych powodów. Ale mimo wszystko kochałam go.

Kochałam go.

Powiedziałam mu to o trzy sekundy za późno, kiedy jego oczy stały się niewidzące.

Smutek zaczął rozrywać mnie w swoich zębiskach. Był gorszy, niż kiedykolwiek myślałam, że będzie.

Nie.

Preferowałam złość.

Białoniebieskie płomienie pochłonęły moje widzenie. Każdy miesiąc miałam napięty. Pilnowałam ciała Vincenta jak wilk swojego domu – jak zmiłka swojego gniazda.

Coś we mnie pękło i cokolwiek było w tym tak bardzo strzeżonym pudełku, było dla mnie za potężne, bym mogła to kontrolować. Ból, smutek i furia wylały się ze mnie. Wylewały się i wylewały...

Z oddali usłyszałam krzyki. Przybliżyły się.

Ktoś mnie złapał.

Zacząłam z nim walczyć, przeciwstawiłam się mu. Nie potrafiłam opanować własnej magii. Mój mur ochronny został zburzony, pozostawił ją szalejącą w pozbawionych kontroli falach. Płomienie ryczały na moich dłoniach, ramionach, wychodziły spod mojej skóry.

To Raihn mnie w końcu odciągnął.

Nienawidziłam tego, że od razu zorientowałam się, że to on. Rozpoznałam go po zapachu i samym dotyku, kiedy przyciągnął mnie do siebie i otoczył ramionami.

– Już go nie ma, Oraya – mruknął mi do ucha.

Nie żyją, człowieczku – powiedział do mnie przy naszym pierwszym spotkaniu.

Nie żyją. Wszyscy nie żyją.

Gdzieś zostawiłam swoją broń. Byłam bezbronna. Miałam jedynie płomienie, które były tak bardzo poza moją kontrolą, że mogłam spalić całe koloseum. Ale nawet jeśli parzyły Raihna, on tego nie okazywał. Obrócił mnie i chwycił mocno za ramiona.

– Oddychaj, Oraya. Wróć do mnie, proszę.

Powiedział to tak, jakby mu zależało.

Jakby mu akurat *zależało*.

Nienawidziłam go. Byłam gotowa dla niego umrzeć, a on zabił mojego ojca, okłamał mnie i... i...

A mimo to widok bólu Raihna, skóry powoli spalanej na jego policzkach, sprawił, że wzięłam głęboki haust powietrza.

Obdarzył mnie słabym uśmiechem.

– Jesteś bezpieczna.

Nie chciałam nigdy więcej usłyszeć od niego tych słów.

Otoczyły nas inne wampiry. Rishańscy wojownicy wbiegli na arenę. Jak przez mgłę rozpoznałam Cairisa, obserwującego nas nieopodal z mieczem w ręku, a za nim majaczyła postać Ketury. Kiedy te wszystkie wampiry tu przybyły?

Nie mogłam zorientować się w sytuacji. Coś, czego nie potrafiłam ubrać w słowa, było takie, takie *inne*. Płomienie powoli zaczęły opadać, choć wciąż czułam, że płoną wewnątrz. Ciężko mi się oddychało. Bolała mnie klatka piersiowa. Bolała mnie szyja.

Kiedy nocny ogień wyparował, spojrzenie Raihna padło na moją szyję.

Przerażenie oblało mu twarz.

– Oraya, co...

– Szlag. – Cairis zbliżył się, oczy miał rozszerzone. – Czy to... NIECH TO SZLAG.

Co?

Spojrzałam po sobie.

Czerwony atrament rozlewał się po mojej klatce piersiowej.

Cairis był w szoku.

– Ona jest pieprzoną *dziedziczką*.



CZEŚĆ SIÓDMA

Noc



ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Mój mózg przestał pracować.

Nie byłam córką Vincenta. Nie rodzoną. Nigdy mnie nie Przemienił.

Nie mogłam być dziedziczką.

Mimo to znamię tam było, nie można było temu zaprzeczyć. Widziałam tylko jego krawędź, ale czułam je – czułam, jak paliło mi skórę szyi, obojczyka i góry klatki piersiowej.

– To nie... – wydusiłam. – Nie mogę być...

Raihn wciąż trzymał mnie za ramiona. Usta miał otwarte, ale brakło mu słów.

– Zabij ją – powiedział Cairis. Nie spuszczał ze mnie wzroku, jakbym w każdej chwili miała zaatakować. – *Natychmiast.*

Wokół zapanował chaos. Tłum pchał się do przodu. Katura już wyciągnęła swój miecz, tak jak i inni – wszyscy rishańscy żołnierze w zbrojach gotowi do walki, do uśmiercenia mnie. Jeden nawet już się na mnie rzucił.

Ale nagle jednym nagłym ruchem Raihn pociągnął mnie w tył. Następnie obrócił mnie, trzymając tak blisko przy sobie, że nie mogłam się poruszyć.

– Nie. – Jego głos był obcy i zimny. Nie miał związku z mężczyzną, którego znałam. – Mam wobec niej lepsze plany.

Rishanie się zawahali, zmieszani. Nieopodal Septimus uśmiechnął się lekko i uniósł cygaretkę do ust.

– Odebrałem królestwo Vincentowi – warknął Raihn. – Odebrałem mu życie. Odebrałem mu tytuł. A teraz odbiorę mu córkę. Zostanie moją żoną. Będzie blisko mnie, bym mógł mieć na nią oko. I zagwarantuję, że będzie bolało, kiedy będę ją pieprzyć, tak jak on wtedy, kiedy zgwałcił naszą królową dwieście lat temu.

Nie mogłam przetworzyć nic z tego, co mówił.

Taki inny. Matko, Raihn był tak dobrym aktorem, ale nie wiedziałam już, który z nich jest prawdziwy. W którą jego wersję powinnam wierzyć.

Wpuściłam tego mężczyznę do mojego łóżka. Do mojego ciała. Mężczyznę, który teraz opowiadał stada zachwyconych żołnierzy, jak mnie będzie gwałcić.

Zawahali się. Wiedziałam, co myśleli – że było to głupie. Ale wampiry uwielbiały seks i rozlew krwi. Kochały ból i potęgę. Kiedy wszystko to zostało ze sobą połączone, trudno im było się oprzeć.

– Pomyślcie o tym. – Twarz Raihna była tuż przy mojej, gdy przycisnął mnie do swojego ciała. Kątem oka zobaczyłam jego wilczy, dziki uśmiech. – Jak dużo ciekawsze to będzie dla niej od śmierci. Dopóki ona żyje, nie będzie innego dziedzica z rodu Hiajów. Z radością zrobię z niej moją małą służkę na zawsze, tak jak Vincent zamierzał zrobić z Rishanami. – Spojrzał na ciało Vincenta. – Może nawet zawieszę go, by mógł uczestniczyć w ślubie córki.

To było to, co ich przekonało – ta ostatnia szczypta dzikości przygotowującej o mdłości. Żołnierze się zaśmiali. Cairis nie wydawał się przekonany, cofnął się jedynie o krok. Keturą nie schowała miecza, wciąż gotowa osobiście mnie wypatroszyć.

Ale Raihn nie dał nikomu czasu na klótnie. Wskazał na coś w oddali – na rzeź dziejącą się poza murami koloseum i jeszcze dalej.

– Idźcie. Odzyskajcie swoje królestwo. A ją zostawcie mnie.

Posłuchali go. A Raihn, tak jak obiecał, zajął się mną.

Walczyłam z nim, ale moc Raihna stała się czymś więcej, podczas gdy moja została osłabiona przez mój poprzedni wybuch. Pociągnął mnie przez piach, zignorował moje słabe kontrataki.

Wokół nas świat płonął. Księżyc i gwiazdy zostały przesłonięte przez dym koloru wyschniętej krwi. Dom Krwi i rishańscy wojownicy wylali się z koloseum, szybko pozbyli się Hiajów, którzy się opierali. Odgłosy śmierci odbiły się echem poprzez noc.

Kiedy Raihn mnie odciągnął, mój wzrok zatrzymał się na ciele Vincenta, będącym ledwie papką w piachu.

Nie wyglądał już jak król.

– Tak mi przykro, Oraya – szepnął Raihn w momencie, kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu. – Naprawdę tak bardzo cię przepraszam.

Przepraszam. To słowo przywiodło mi na myśl ostatnie przeprosiny Vincenta. Ostatnią deklarację miłości. Ile razy marzyłam o tym, żeby usłyszeć od niego te słowa?

I czy miały one koniec końców jakieś znaczenie?

– Nienawidzę cię – warknęłam do Raihna.

Dotknął palcami mojej twarzy. Małe kosmyki cienia podążyły za nimi. Ciemność. Sen. Zbyt potężne, bym mogła z tym walczyć.

Ostatnim, co usłyszałam, był szept Raihna.

– Oto i ona.



ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

O budziłam się gwałtownie. Pot lepił ubranie do mojego ciała. Znałam ten sufit. Srebrne gwiazdy na błękitnym szkle. Podniosłam się. Znajomość tego miejsca zabolęła tak samo jak oddychanie.

Mój pokój. Komnaty, w których spędziłam szesnaście lat mojego życia. Opuściłam to miejsce zaledwie kilka miesięcy temu, ale powróciłam jako inna osoba.

Dziewczyna, która tu mieszkała, była dzieckiem. Teraz byłam...

Nawet tego nie wiedziałam.

Wydarzenia z próby przychodziły do mnie fragmentami, każda scena wbijała kołek coraz głębiej mojego serca. Przycisnęłam rękę do piersi i zacisnęłam oczy.

Ujrzałam zakrwawioną twarz Vincenta.

Zobaczyłam, jak Raihn go zabija.

Wypuściłam drżący oddech, który zabrzmiał podejrzenie podobnie do szlochu.

Ale nie. Nie będę płakać. *Nie będę płakać.*

Wyskoczyłam z łóżka. Moja skórzana zbroja zniknęła. Tak jak i moja broń. Miałam na sobie jedynie luźne jedwabne spodnie i lekką koszulkę, obie części garderoby ciemnoniebieskie.

W porządku. Przynajmniej mogłam się w tym swobodnie poruszać. Mogłam znaleźć coś, czym będę mogła walczyć, rozbić okno. Mogłabym... mogłabym...

Zerknęłam na siebie w lustrze i zamarłam.

Ciemność zaciemniła mi oczy, zmieniała je na srebrne z księżycowym połyskiem, tak jak w przypadku Vincenta. Policzki miałam posiniaczone i wklęsłe. Ktoś mnie uleczył, ale pozostałości skaleczeń i oparzeń wciąż malowały moje nagie ramiona.

A znamię...

Znamię...

Musiałam wpatrywać się w nie przez długi moment, ponieważ nie mogło do mnie dotrzeć, co właściwie widziałam. Myślałam, że musiała zająć jakaś pomyłka.

Ale nie. To było niezaprzeczalnie znamię dziedzica, wyryte w mojej skórze. Zdobilo moje gardło, jak u Vincenta. Okrąg u podstawy szyi, ukołysany przez wewnętrzną krzywiznę obojczyka. Po dłuższym czasie zorientowałam się, że przedstawiało wszystkie cykle księżyca ułożone na sobie warstwami. Pod nimi linie dymu rozwijały się jak płatki tulące różę, rozciągając się w górze szyi i na szerokość ramion. Dym docierał do czterech punktów z każdej strony – jak szpony skrzydeł Hiajów.

Było tu ciemno. Połysk szkarłatnych linii zdawał się wyjątkowo intensywny. Zapulsowały wraz z przyspieszeniem mojego tętna. Z każdej linii atramentu unosiły się smugi słabego czerwonego dymu.

Złączyłam dłonie. Mocno, mocno, *mocno*, jakbym próbowała powstrzymać ich drzenie. Mogłam zmusić się do spokoju. Mogłam być jedynie spokojna.

A mimo to w mojej głowie pojawiło się jedno jedyne słowo:

Jak?

Jak to się stało? Byłam człowiekiem.

W tym momencie szcęknął zamek w drzwiach.

Odwróciłam się szybko.

Kiedy drzwi otwarły się i stanął w nich Raihn, byłam przygotowana. Rzuciłam się na niego.

Nie miałam żadnej broni, a moja magia, nawet w tym nowym, przebudzonym stanie, odmówiła posłuszeństwa mimo wzywania przez złość. Być może mnie odurzyli, stłumili ją jakoś.

Nie ma problemu. Wciąż miałam zęby i paznokcie. Zaatakowałam go jak zwierzę.

Może Raihn się tego spodziewał, ponieważ od razu mnie zablokował. Wysunęłam się z jego uścisku cztery razy, zanim w końcu mnie unieruchomił i rzucił na łóżko.

Przycisnął mnie całym swoim ciężarem. Jego twarz znalazła się centymetry od mojej. Nasze nosy niemal się stykały.

– Uspokój się, Oraya. Nie zamierzam...

Uspokój?

Uspokój?

Skrzywił się na własne słowa.

– Po prostu... Oraya, ja...

Przekreśliłam głowę i zatopiłam zęby w jego ramieniu tak mocno, jak tylko potrafiłam.

Wysyczał przekleństwo, kiedy wyplułam jego krew na łóżko. Wciąż nie mogłam się uwolnić. Ciężar jego ciała i zbiegły uchwyt na moim ramieniu jego drugiej ręki całkowicie mnie unieruchomiły.

– Mam ci tyle do wyjaśnienia – powiedział. – Jeśli mi na to pozwolisz. Oraya...
przestań ze mną walczyć.

– Dlaczego? – warknęłam. – Żeby łatwiej było ci mnie zgwałcić?

Ponownie się skrzywił.

– Powiedziałem to, co musiałem, aby uratować ci życie – syknął.

Aby uratować mi życie.

Tak jak ja uratowałam jego.

Wybrałam go ponad swoim własnym ojcem, ponad moją potęgą, i teraz Vincent był martwy, a Hiajowie obaleni z tronu. Co więcej, pieprzony Dom Krwi był w Sivrinnaju...

Spieprzyłam. Tak strasznie wszystko spieprzyłam. I chciałam wydrapać za to Raihnowi oczy. Matko, chciałam tego ponad wszystko.

Ale bardziej od tego pragnęłam odpowiedzi.

Zacisnęłam zęby i zniżyłam podbródek.

Raihn obserwował mnie z uwagą.

– Jeśli cię puszcze – powiedział – zaatakujesz mnie?

Naprawdę nie mogłam mu obiecać, że tego nie zrobię.

– Postaram się nie.

– Zapewniam, że każdy przedmiot, mogący uchodzić za broń w tym pokoju, został z niego usunięty.

– Jestem pewna, że o czymś zapomniałeś.

Uśmiech, który wykrzywił jego usta, wydawał się bardziej smutny niż rozbawiony.

– Cieszę się, że wciąż tam jesteś, księżniczko.

Puścił mnie.

Zerwałam się na nogi i cofnęłam o kilka kroków. Widziałam, jak obserwował powiększający się między nami dystans. Zastanawiałam się, czy myślał to samo co ja – jak cofałam się tak za każdym razem, kiedy znaleźliśmy się w jednym pomieszczeniu.

Zastanawiałam się, czy tylko sobie wyobraziłam, że ogarnął go lekki smutek.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że sama tego nie czułam. Ponieważ osoba, której zaufałam, to Raihn. Ten mężczyzna... Nie wiedziałam już, kim tak naprawdę był.

Zawiesił na mnie spojrzenie. Przeniósł je następnie na moją szyję.

– Jak? – zapytał łagodnie.

To było niemal wstydlive przyznać, że nie miałam pojęcia. Nie chciałam przyznawać na głos, jak mało wiedziałam o dwóch mężczyznach, którzy byli mi tak bliscy.

– Ty pierwszy – powiedziałam.

– Nigdy cię nie okłamałem.

Powiedział to tak szybko, jakby czekał całe dni, żeby mi to wyznać.

Co za pieprzony żart.

– Co to w ogóle znaczy? – warknęłam. – Że wybrałeś ostrożnie prawdę? Że słowa, które wybrałeś, maskowały to, czego mi nie powiedziałeś?

Uniósł ręce, jakby chciał powiedzieć: słuszna uwaga.

– Nie byłem przygotowany, by wziąć na siebie cokolwiek z tego, wierz mi.

– Powiedz coś, co faktycznie ma znaczenie – zdenerwowałam się.

– Wszystko, co ci powiedziałem, jest prawdą – odrzekł. – Po prostu... jest tego więcej.

– Co to zna...

– Osoba, która mnie przemieniła, to Neculai Vasarus. Król Neculai.

Zacisnęłam szczęki.

Rishański król. Król, którego zamordował Vincent i po którym przejął tron.

– Zdradziłem go – kontynuował Raihn. – W dniu, w którym Vincent wygrał Kejari. Zaaranżowałem Vincentowi zdobycie kluczy do twierdz. Dałem mu wszystko, czego potrzebował do zniszczenia całego pieprzonego królestwa, w zamian za bezpieczeństwo niewinnych. Nigdy nie spotkał mnie osobiście. Nigdy nie poznał mojego imienia. Nigdy mnie nie zobaczył. Ale wiedziałem, że wszystko zaczęło się rozpadać. Po prostu myślałem... może mógłbym dolać trochę oleju do ognia. Spalić to szybciej, ale tak, żeby nie zabrało to nas ze sobą. Tak bardzo tego nienawidziłem.

Brakło mi słów.

– Ale się przeliczyłem – mówił dalej. – Uciekłem, zanim Neculai zorientował się, co zrobiłem, i chciałem zadbać o bezpieczeństwo tych, którzy tego potrzebowali. Próbowałem zabrać ze sobą Nessanyn. Nie chciała, więc ją zostawiłem. Zostawiłem wszystkich, bo zaufałem słowom Vincenta. – Na jego twarz wstąpiła nienawiść. – Wszyscy wiemy, jak to się skończyło.

Będę ją pieprzyć, tak jak on wtedy, kiedy zgwałcił naszą królową – brzmiały słowa Raihna.

W gardle urosła mi gula. Vincent nie był święty. Ale z pewnością nie mógł... nie mógłby...

– Czy on...

Raihn najwyraźniej wiedział, o czym myślę.

– Nie wiem. Wiem tylko, że Nessanyn zginęła jako ostatnia.

Zaczęło mnie mdlić.

Cudem mi przeszło. Zachowałam neutralny wyraz twarzy.

– Znajdowałem się daleko, kiedy to zobaczyłem. – Dotknął pleców. Jego znamienia. – Nigdy przez myśl mi nie przeszło, że coś takiego mogłoby się wydarzyć. Nie byłem z rodziny Neculaia. Nie byłem Zrodzonym, tylko Przemienionym. Myślałem, że dziedzicami mogą być tylko Zrodzeni, ale byłem gotów, by cała linia tych sukinsynów wyginęła. Ale okazuje się, że podczas nieobecności Zrodzonego dziedzica może nim zostać Przemieniony. – Jego usta wykrzywiły się w wymuszonym, obrzydłym uśmiechu. – Jakie to poetyckie. Przemieniony nikt oddał władzę i całe królestwo wampira, który go zniewolił.

Ciarki przebiegły mi po plecach.

– Nie chciałem mieć w tym żadnego udziału. Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, było pozbycie się znamienia. Niemal się zabiłem, gdy próbowałem je wypalić. Nie chciałem rządzić tym miejscem. I zdecydowanie nie chciałem obrać tego tytułu. – Rozejrzał się. Na jego nosie pojawiła się zmarszczka. Zastanawiałam się, czy widział inną wersję tego pokoju przed dwustu lat. – Nie chciałem nawet wracać do tego zamku. Zbyt dużo wspomnień. Dlatego też Vincent zapieczętował potęgę linii rishańskiej i przejął władzę, a ja uciekłem. – Wrócił na mnie spojrzeniem. – Aż do czasu.

Do czasu, kiedy go to uderzyło. Poczucie winy tego, co Nessanyn chciała, żeby chronił. Mische i jej pragnienie, by wykorzystał swoją moc do zbudowania czegoś lepszego.

Cały ten rozlew krwi przez jakąś pieprzoną bajeczkę.

– Czyli Kejari było dla ciebie tym, czym było dla Vincenta – powiedziałam. Drogą prowadzącą do ukradzenia korony.

Raihn nie zaprzeczył.

– Tak.

– A ja? – wydusiłam. – Byłam dla ciebie tym samym?

Wyglądał, jakbym go uderzyła.

– Nie, Oraya. Nie.

– Nie wierzę ci.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć? Że nie wybrałem cię na sojusznika z powodu twojej relacji z Vincentem? Tak, dlatego cię wybrałem. I wszystko, co ci potem powiedziałem, było prawdą. Że uważałem, że łatwo będzie cię później zabić. Że mógłbym się od ciebie czegoś nauczyć i potem pozbyć się ciebie po Próbie Kwadry, co też miało być proste.

Skąd miałem wiedzieć, że od pierwszego naszego spotkania, kiedy przebiłaś mi nogę, *nic* nie będzie z tobą proste?

Wydał dźwięk przypominający śmiech.

– Może dlatego cię wybrałem. Ponieważ od razu cię *polubiłem*, księżniczko. Zainteresowałaś mnie. Przypominałaś mnie samego. Byłaś kimś innym. Po kilku setkach lat wszyscy stają się tacy sami. Ale nie ty. Nie od pierwszej nocy. Więc nie, nic z tego nie było kłamstwem, Oraya. Wierz mi, byłoby prościej, gdyby było.

Klatka piersiowa tak bardzo mnie bolała.

Chciałam, żeby kłamał. Byłoby prościej, gdyby kłamał. Prościej, by go znienawidzić, jeśli nasza przyjaźń, nasz... związek był niczym innym jak przedstawieniem.

Wiedziałam jednak, że nie był, nawet zanim o to zapytałam. To wszystko było prawdziwe.

– Dlaczego Dom Krwi jest tutaj? – zapytałam.

Raihn nie chciał odpowiedzieć na to pytanie. Wiedziałam już, jak wygląda, kiedy jest zbyt zawstydzony czymś, co ma zaraz powiedzieć.

– Potrzeba siły w ludzkiej, by wygrać wojnę – powiedział. – Czy jest się dziedzicem, czy nie. Hiajowie nigdy nie poddali się bez walki, nawet kiedy zabiłem Vincenta. I on to też wiedział. Skrzętnie eliminował lud rishański przez ostatnie kilka wieków. Jeśli miałem to zrobić, potrzebowałem wojowników. Wielu wojowników. Septimus był tego świadomy.

Dłonie ogarnął mi chłód i zaczęły się pocić.

– Opierałem się. Nie wiem nawet, jak odkrył moją tożsamość. Nie wiem, skąd wiedział, co planowałem. Przeszedłem przez cały swój wewnętrzny krąg, by znaleźć źródło tej informacji. A on upierał się, że Dom Krwi może pomóc. Jedną przysługą, powiedział mi, i cała siła Domu Krwi była moja. Kazałem mu spieprzać. Myślałem, że mieliśmy wystarczająco. Ale wtedy...

Wtedy nastąpił atak na Księżycowy Pałac. Rishanie zostali tak idealnie obarczeni winą, a to dało Vincentowi pozwolenie na ich bezkrytyczne wymordowanie.

– Ataki.

Raihn kiwnął głową.

– Kiedy Vincent rzucił się na Rishan, to był koniec. Wcześniej byłoby to trudne, ale może prawdopodobne. Ale po tym? Nie było takiej opcji.

– Czy Septimus...

– Wrobił Rishan? – Spoważniał. – Nie mogę tego udowodnić. Ale myślę, że ten sukinsyn stworzył problem, który jedynie on będzie w stanie rozwiązać. Próbowałem

różnych sposobów. Wszystkiego. Ale nawet kiedy każda inna opcja została odrzucona, dalej mu odmawiałem. Aż do momentu...

Wszystko nagle poskładało się w całość.

Finalna próba. Angelika, która obrała za cel mnie – *tylko* mnie. Moment, w którym Raihn spojrział za mnie, na trybuny.

To lekkie skinięcie głową.

– Ty idioto – wydusiłam.

Raihn się zbliżył. Pozwoliłam mu na to.

– Byłem gotów wszystko dla ciebie porzucić – mruknął. – Wiesz o tym, Oraya? Byłem gotów poświęcić dla ciebie swoje królestwo. Powinnaś była zostawić mnie martwego.

Jeśli go nie było, nikt nie musiałby zawierać ugody ze Zrodzonymi z Krwi.

Zawarł umowę ze światem zmarłych, by mnie ocalić, chociaż wiedział, że tego nie przeżyje. Nigdy bym o tym nie pomyślała. Pociągnął za mój nadgarstek. Pomógł mi wbić ostrze we własne serce.

Aż do momentu, kiedy przywróciłam go do życia.

– To jest – wychrypiałam – najgłupszy plan, o jakim kiedykolwiek słyszałam.

I znowu smutny uśmiech zagościł na jego ustach.

– Może – przyznał. – Zdesperowany działa z desperacją. A ja... wierzyłem w ciebie, Oraya. Wierzyłem, że jeśli wygrasz, zdobędziesz potęgę na swój własny sposób. Wierzyłem, że wykorzystasz ją, by osiągnąć wszystko to, co ja chciałem osiągnąć, i prawdopodobnie zrobiłabyś to sto razy lepiej. I nie musiałabyś sprzedawać swojego cholernego królestwa zwierzyńce, by tego dokonać. – Jego uśmiech wykrzywił się i stał się poniekąd grymasem. – Czy to był naprawdę tak głupi plan?

Tak. Pokładał we mnie zbyt dużą nadzieję. W zwykłego człowieka.

Człowieka.

To słowo zawirowało moim światem. Palce same powędrowały mi ku szyi.

Wzrok Raihna podążył za nimi.

– Wiedziałaś?

Znałam go zbyt dobrze. Było to niemal uspokajające, ten ton zdrady w tym pytaniu. Zdrady! To było ciekawe. Tak jakbym to *ja* oszukała jego.

– To musi być jakiś błąd. Nie wiem jak... Ja tylko... – Potrząsnęłam głową. – Jestem tylko... człowiekiem.

Gdy słowa opuściły moje usta, usłyszałam echo podobnych słów, którymi rzuciłam w Vincenta. Jestem człowiekiem!

Nie znalazłabyś się na ich miejscu – mówił mi tyle razy. *Nie jesteś jak oni.*

Mysłałam o tym zdaniu teraz w całkowicie innym świetle.

– Wyczuwasz mnie. Po... – Dławiłam się tymi słowami. – *Posmakowałaś* mnie. Wiedziałbyś, prawda? Jeśli nie byłabym?

– Wiedziałbym. – Zmarszczka pomiędzy jego brwiami się pogłębiła. – Ale może... może *w połowie* człowiekiem. Smakowałaś... inaczej. Pomyślałem, że to być może z powodu... no wiesz...

W każdej innej sytuacji może i bym się ucieszyła, że tak o mnie myślał.

– Z powodu moich uczuć do ciebie – dokończył.

Och, litości.

Zakręciło mi się w głowie. Nie zamierzałam siadać, ale zorientowałam się, że opieram się o parapet.

Półczłowiek.

To czyniłoby mnie prawdziwą córką Vincenta.

Nie. To niemożliwe. To... to nie miało żadnego sensu.

– Nie mogę być – wydusiłam z siebie. – Znalazł mnie. On... on mnie po prostu *znalazł*.

– Dlaczego był tam tamtej nocy? – zapytał cicho Raihn.

– Bo był bunt i on...

– Ale dlaczego przyszedł konkretnie do *tego* domu?

Bolała mnie głowa. Bolało mnie serce.

– Nie wiem. To było... było...

Szczęście.

Przeznaczenie.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak kurczowo trzymałam się tego, że to przeznaczenie nas połączyło. Było to zarówno moje szczęście, że tamtej nocy uratowała mnie wola Nyaxii, jak i moja klątwa, że ta krucha nić odseparowała mnie od tyłu tragicznych wersji przyszłości.

Nie miałam pojęcia, jak bardzo przeznaczenie ciążyło na mojej przeszłości, aż nagle przestało istnieć. Nagle zostało zastąpione sekretami, szeptami i pytaniami, na które wolałabym nigdy nie uzyskać odpowiedzi. Dlatego że Vincent, mój ojciec – mój ojciec w sensie duchowym i biologicznym – nie żył.

– Co ci powiedział? – zapytał Raihn. – Kiedy...

Umierał.

To był rodzaj pytania, który zadaje się, gdy już zna się na nie odpowiedź. Już zna się jej znaczenie.

Zamierzałem ci powiedzieć – powiedział Vincent.

Dlaczego on się ciebie boi? – rzucił się na mnie Raihn przed finalną próbą.

W świecie nieśmiertelnych nic nie było niebezpieczniejsze niż dziedzic.

Poczułam się źle.

Nie rozumiałam. Nic z tego nie rozumiałam. Skoro byłam córką Vincenta i wiedział, że nią byłam, dlaczego miałby mnie w ogóle zachować przy życiu?

Dlaczego mnie nie zabił?

Raihn zrobił ku mnie kolejny krok.

– Oddychaj, Oraya – szepnął.

Dopiero wtedy zorientowałam się, że trzęsę się tak gwałtownie, że omal nie wypadłam przez okno.

– Znajdziemy na wszystko odpowiedzi – powiedział. – Weźmiemy ślub i...

Ślub. Och, Matko.

– Nie wyjdę za ciebie – warknęłam.

– Tak, wyjdiesz.

– Pieprz się, nie ma mowy.

Na jego policzku uwypuklił się mięsień.

– To jedyny sposób, bym mógł utrzymać cię przy życiu. Jeśli nie zostaniesz moją żoną, zostaniesz moim wrogiem. A nie mam wytłumaczenia na puszczenie cię wolno.

– Ale z ciebie pieprzony hipokryta – syknęłam. – Ty, który byłeś tak cholernie przerażony więzią Vincenta.

Raihn się wzdrygnął. Wiedział, że mam rację.

Obróciłam głowę, by móc wyjrzeć przez okno. Znałam ten widok doskonale. Śledziłam stąd ewolucję starożytnego miasta każdej nocy, każdego poranka.

Teraz było to królestwo zawodzące w agonii. Nocne niebo pojaśniało przez czerwień i biel – nocny ogień. Niewielkie pasma światła prowadziły przez odległe ulice. Zrodzeni z Krwi żołnierze atakujący mój dom. Wiedziałam, że jeśli przycisnę ucho do szkła, będę w stanie usłyszeć krzyki.

– Bardzo dobrze, że uwolniłeś nas od tego tyrana – warknęłam. – Wszystko teraz wygląda o wiele lepiej i spokojniej, prawda?

Raihn zmniejszył między nami dystans dwoma krokami. Przycisnął rękę do szyby, nachylił się nade mną, a drugą dłonią chwycił moją twarz. Nie wiadomo, czy jego dotyk był uspokojeniem, czy groźbą.

– Pomyśl w ten sposób. Władza jest krwawym interesem. Wiesz o tym tak dobrze jak ja. Oboje mamy zęby. Teraz najwyższy czas, by ich użyć. Rozerwiemy na strzępy światy, które nas ujarzmiały, i z prochów zbudujemy coś nowego. I nie ma nikogo, z kim chciałbym to zrobić poza tobą, Oraya. Nikogo. – Jego głos zniżył się do błagania. Spuścił na moment wzrok na moje usta, po czym wrócił nim do moich oczu. – I kiedy opuszczę

ten pokój i wrócę z kapłanką, *poślubisz* mnie. Zrobisz to, ponieważ nie mogę cię zabić. Próbowałem. Nie potrafię. Świat bez ciebie byłby ciemnym, depresyjnym dołem. Zaznałem już wystarczająco dużo bólu bez popełniania tej niesprawiedliwości. Dlatego pozwól mi cię ocalić.

Teraz przyszła kolej na mnie, by zaakceptować jego rację – że każde jego słowo było prawdą. Nienawidziłam tego.

Złość wszystko ułatwiała.

Miłość wszystko komplikowała.

– Czy tak błagasz mnie o przeżycie? A co, jeśli odmówię, tak jak ona?

W tym momencie myślałam, że jestem gotowa odmówić. Może umrę, tak jak Nessanyn, tylko dlatego, że chciał, bym przeżyła. Zwykła złośliwość.

– Nie zrobisz tego. – Jego nos był tuż przy moim. Jego słowa ogrzały moje usta. Niskie i łagodne.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ jesteś od niej mądrzejsza. Masz coś więcej niż marzenie. Masz *wizję*.

Podziw w jego głosie bolał, ponieważ wiedziałam, że był prawdziwy.

Spojrzałam na niego. Chłonełam całą tę mieszankę kolorów. Te wszystkie jego fragmenty, które do siebie nie pasowały.

Przez jedną dłuższą chwilę myślałam, że mnie pocałuje. Co gorsza, myślałam, że odwdzięczyłabym się tym samym.

Zamiast tego jego wargi ledwie musnęły moje czoło. Ledwie go dotknęły.

Wyprostował się.

– Idę po kapłankę. Im dłużej to odkładamy, tym jesteś w coraz większym niebezpieczeństwie.

– Czekaj...

Ale zanim zdołałam zaprotestować, już go nie było.



S lub odbył się w mojej komnacie. Kapłanka była od Ministra, była jedną z tych idiotów, którzy spędzali całe dnie i noce na wpatrywaniu się w kamienne ściany w kościele. Wzrok miała spuszczonego i szeptała pisma w starożytnych językach.

Stałam przed nią i myślałam o ucieczce. Myślałam o tym, by ją zaatakować. By zaatakować Raihna. Wybić okno i wyskoczyć przez nie.

Ale nic z tego nie zrobiłam.

Podskoczyłam, kiedy kapłanka dotknęła mojej dłoni. Jej dotyk był zimny i nienaturalnie gładki. Wzięła dłoń Raihna w drugą rękę, po czym przekreśliła obie tak, że ich wnętrza były wycelowane w sufit.

Wyszeptała zaklęcie, po czym dotknęła koniuszkiem palca mojej skóry.

Syknęłam przekleństwo, zaskoczona nagłym ukłuciem bólu. Strumień szkarłatu otworzył się na mojej dłoni.

Raihn nie poruszył się, kiedy zrobiła to samo z jego ręką.

– Śluby – powiedziała krótko kapłanka, jakby to miało wyjaśnić nam wszystko, co teraz mieliśmy zrobić.

Nigdy nie widziałam ślubu. Nigdy nie miałam wstępu na tego typu zgromadzenia. Często zamieniały się w rozpustne i brutalne, a Vincent zawsze powtarzał...

Vincent.

Ta zwyczajna myśl o jego imieniu zabrała mi dech i spowodowała potworny ból.

Dotyk Raihna był ciepły i szorstki. Całkowite przeciwieństwo kapłanki – całkowite przeciwieństwo każdego wampira.

Może wiedział, że nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Uniósł moją dłoń. Spięłam się, kiedy przysunął ją do ust. Jego język poruszał się powoli po ranie. Nie spodziewałam się w tym łagodności. Delikatności. Przepraszam i obietnicy.

Opuścił moją dłoń. Przełknął moją krew.

Chciałam odwrócić wzrok. Nie mogłam.

– Orayo Zrodzona z Nocy – wymamrotał. – Ofiaruję ci moje ciało. Ofiaruję ci moją krew. Ofiaruję ci moją duszę. Ofiaruję ci moje serce. Od tej nocy do końca wszystkich nocy. Od świtu po koniec naszych dni. Twoja dusza jest moją duszą. Twoje serce jest moim sercem. Twój ból jest moim bólem. Łączę się z tobą.

Chciałam, żeby to wszystko było kłamstwem. Ale nie było.

W tym momencie zrozumiałam, że Raihn był we mnie zakochany.

Podał mi swoją dłoń. Czerwonoczarna ciecz rozlała się po wnętrzu jego dłoni, wniknęła w linie i blizny dobrze przeżytego życia. Gardło miałam suche, gdy uniosłam ją do swoich ust. Pomyślałam, że być może zwymiotuję, kiedy dotrze do mojego żołądka.

Zamiast tego jego smak był najwyborniejszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek doświadczyłam. Jego krew była ciepła i łagodna, słodka, metaliczna i głęboka jak sama noc.

Smakowała jak niebo. Smakowała jak spadanie.

Opuściłam jego rękę. Palce zadrżały mi przy jego skórze.

– Raihnie Ashraju.

Matko, mój głos brzmiał, jakby należał do kogoś innego.

– Ofiaruję ci moje ciało. Ofiaruję ci moją krew. Ofiaruję... Ofiaruję ci moją duszę. Ofiaruję ci...

Moje serce.

Nie mogłam się zdobyć na wypowiedzenie tych słów.

Moje serce.

Moje słabe, ludzkie serce. Pokryte bliznami, złamane i krwawiące. Jedyne rzecz, którą miałam tak bardzo chronić. A teraz, cokolwiek miało się za moimi żebrami, głęboko pod znamieniem, które zostawił mi ojciec, nie było tym, co miałam chronić. Zostało rozerwane na strzępy i otwarte.

Jak mogłam kiedykolwiek pomyśleć, że Vincent podarował mi wampirze serce? Było ludzkie.

– Moje...

Nie mogłam tego powiedzieć.

– Musisz dokończyć śluby, o pani – powiedziała kapłanka.

Zamrugałam, pohamowałam łzy i pokręciłam głową.

– Nie.

– Ale moja pani...

– Nie ma potrzeby – warknął Raihn.

– Ale...

– Powiedziałem, że nie ma potrzeby. Nie musi kończyć.

Spojrzałam na niego.

Nienawidziłam tego spojrzenia, jak gdyby mu na mnie zależało. Potarł kciukiem wierzch mojej dłoni. Mogłam usłyszeć jego głos w tym geście: *Jesteś bezpieczna*.

Ale nie byłam bezpieczna. Nawet jeśli tak się poczułam, przez moment. *Zwłaszcza że to poczułam*.

Kapłanka poprowadziła mnie przez resztę ślubów. Kiedy ceremonia dobiegła końca, stałam się żoną króla Zrodzonych z Nocy. Utraciłam swoją samodzielność, imię, krew. Straciłam cały kraj.

Ale przynajmniej zachowałam serce.

Raihn został jeszcze chwilę po tym, jak kapłanka odeszła. Zbliżyłam się do okna i obserwowałam rzeź w Sivrinaju. Nie mogłam na niego patrzeć. Czułam zbyt wiele, przede wszystkim czułam jego wzrok.

– Jeśli czekasz, aż zaproszę cię do naszego małżeńskiego łóżka – powiedziałam po kilku sekundach – to się nie doczekasz.

Mój głos nie był na tyle bezlitosny, jak chciałam, żeby był. Słowo „małżeńskiego” przypomniało mi moment jego ust przy mojej dłoni. Słowo „łóżka” zaś, jakie to uczucie, gdy był tak blisko mojej skóry. Oba były równie zagmatwane.

Nic nie powiedział. Zastanawiałam się w milczeniu, czy również odczuwał to samo.

Ostatecznie zerknęłam przez ramię. Stał pośrodku pokoju, rękami podpierał boki. Wyglądał, jakby miał zbyt dużo do powiedzenia, ale za mało słów.

Mój mąż.

Matko, co ja uczyniłam?

Otworzył usta. Nie chciałam nic od niego usłyszeć. Nie mogłam.

– Chcę zostać sama – odezwałam się, zanim cokolwiek powiedział.

Zamknął usta. Wpatrywał się we mnie przez dłuższy moment, który był dla mnie wiecznością. Walczyłam z sobą podczas każdej bolesnej sekundy i nie chciałam, żeby zobaczył, jak się rozpadam.

W końcu opuścił brodę. Odwróciłam się do niego plecami. Usiadłam na łóżku i nasłuchiwałam jego oddalających się kroków. Zamknął za sobą drzwi.



Stuknięcie w szybę nastąpiło blisko świtu. Leżałam na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit i bardzo starałam się nic nie czuć.

Kiedy wstałam i ujrzałam przy oknie jakąś postać, pomyślałam, że mam zwidy.

Podeszłam bliżej i twarz, która na mnie zerkiała – idealna, rzeźbiona, niebezpieczna – nie była lustrzanym odbiciem.

Jesmine ponownie zapukała, niecierpliwiej. Nigdy nie sądziłam, że tak ucieszy mnie jej widok.

Próbowałam otworzyć okno, ale oczywiście było zamknięte. Kiedy przekreśliłam klamkę, pękła w moich dłoniach i posłała iskry przez cały pokój. Byłam silniejsza niż wcześniej? Może to moja nowo zaakceptowana wampirza krew. A może była to tylko tłumiona wściekłość.

Otworzyłam okno. Jesmine przytuliła się do boku zamku. Jej popielate włosy były związane w warkocz, a kilka kosmyków opadało jej na twarz. Była pokryta krwią i siniakami, na policzku widniało rozcięcie. Wyglądała, jakby nie spała od kilku dni.

Ale oczywiście wciąż była olśniewająca.

– Wejdz – powiedziałam i dopiero gdy wypowiedziałam te słowa, zorientowałam się, że może wcale jej tutaj nie chciałam. Trudno mi było do końca stwierdzić, kto był moim wrogiem, a kto sojusznikiem.

Rzuciła wzrokiem na ramę okienną.

– Nałożono tu barierę – powiedziała. – Nie mam ochoty zostać dzisiaj poszatkowana.

Tak jak bariery w Księżycowym Pałacu. Miała rację – jeśli zmrużyłabym oczy, mogłabym zobaczyć ledwo widoczny białoniebieski połysk na całej szerokości okna. Inaczej byłoby to zbyt proste.

– Nie mogę zostać – kontynuowała. – Ale nie mogę też odejść bez uprzedniego ujrzenia cię. – Oceniała mnie od stóp do głów. – Wyglądasz jak śmieć.

Czułam się jak śmieć.

– Dzięki.

– Jak się czujesz? W porządku?

Zamrugłam. To było dziwne. Zadała te pytania, jakby naprawdę odpowiedzi miały dla niej znaczenie.

Nie. Nie, nic nie było w porządku.

– Tak – odparłam.

Jej spojrzenie złagodniało.

– Nie ma go.

Przełknęłam ślinę. Kiwnęłam głową.

Jesmine pokłoniła czoło. Szczery smutek pojawił się na tej perfekcyjnej twarzy.

– Niech Matka go zaprowadzi do domu.

To Matka nas postawiła w tej sytuacji. Nie byłam pewna, czy byłam gotowa zapytać ją o cokolwiek.

– Nie mam zbyt wiele czasu, więc wybacz moją bezceremonialność – ciągnęła Jesmine. – Czeka ją na mnie, za murami.

– Czeka ją? Oni?

– Wojsko. – Powiedziała to w taki sposób, jakby chciała dodać: *Któż inny?*

No tak... któż inny to miałby być? Była głównym dowódcą. Cholernie dobrym.

– Ktokolwiek pozostał przy życiu, ma się rozumieć. Sukinsyny Zrodzeni z Krwi są... – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Doskonałymi zabójcami. Nie spodziewaliśmy się ich.

– Jak dużo?

Popełniłam błąd. Myślałam jak rozpaczająca córka. Jak więzień. Nie myślałam jak przywódca.

Nie wiedziałam nawet, co się działo poza tymi murami.

– Jeszcze nie wiem – odparła wampirzyca. – Muszę ocenić. Ale... Ale nie jest dobrze, Wasza Wysokość.

Wasza Wysokość.

Wzdrygnęłam się na te słowa. Jesmine to zauważyła. Zmrużyła oczy.

– Posłuchaj uważnie. Szanowałam Vincenta jako mojego króla i przywódcę. Ale nie miał mojej lojalności. Klan Hiajów ją ma. Aż do mojej śmierci. – Pokazała na mnie palcem. Na moją klatkę piersiową. – Nie mam pojęcia, jak to zdobyłaś. Jestem tak samo zdumiona jak każdy inny, że to masz. Ale nie do mnie należy kwestionowanie tego. Jesteś dziedziczką Hiajów. To czyni z ciebie moją królową, co oznacza, że masz moją lojalność.

Może źle oceniłam Jesmine. Nigdy wcześniej jej nie ufałam. Nie wiem, co o mnie mówił fakt, że zaufałam jej teraz.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Dziękowanie jej nie byłoby na miejscu.

Byłam zatem wdzięczna, kiedy zbadła mnie ponownie wzrokiem i zmieniła temat.

– Zrobił to? Małżeństwo?

– Tak.

Syknęła.

– Nasza królowa związana przysięgą małżeńską z Przemienionym rishańskim niewolnikiem. Vincent by... – Potrząsnęła głową.

– Lepšie to niż śmierć – powiedziałam.

Wzruszyła ramionami, jakby to było marne pocieszenie.

– Mówiłam ci, że to chodzący problem. Piękny problem. Ale problem.

Słuszna uwaga – pomyślałam od niechcienia.

– Jaki masz plan? – zapytałam.

– Jakie są twoje rozkazy?

Nie byłam przygotowana na wydawanie jakichkolwiek rozkazów.

Próbowałam mówić jak Vincent.

– Chciałabym usłyszeć twoją propozycję.

– Tracimy swoich, i to w zatrważającym tempie. Mają nad nami przewagę liczebną. Musimy się przegrupować. – Zajrzała do pokoju. – Jeśli sobie tego zyczysz, Wasza Wysokość, mogę wysłać tutaj wojowników...

– Nie.

Ostatnie, czego potrzebowałam, to żeby Hiajowie zostali schwytani podczas ratowania mnie. Torturowani. Zabici. Kto wie, co jeszcze.

Musiałam myśleć jak przywódca.

– Nie chcę jeszcze większego rozlewu krwi – powiedziałam. – Nie, dopóki nie wiemy, z czym mamy do czynienia. Wycofać się.

Warga Jesmine się podwinęła.

– Czyli pozwolimy im to odebrać. Odebrać Dom Nocy.

Możemy zbudować coś lepszego – szepnął do mnie Raihn.

To jednak nie było wcale lepsze.

– I pozwolić Zrodzonym z Krwi...

– Wiem – przerwałam jej. – Wiem.

Oddanie królestwa Raihnowi to jedno.

Ale oddanie go Septimusowi to drugie.

Ten kraj mnie nienawidził. Sama go nienawidziłam w pewnym sensie. Ale to wciąż był mój dom.

– Potrzebuję czasu – powiedziałam. – By się douczyć. Zdobyć informacje. Do tego momentu bądźcie bezpieczni.

– A ty?

– Nie skrzywdzi mnie.

Jesmine rzuciła mi zimne spojrzenie.

– To małżeństwo jest dla jego ochrony, nie twojej. Twoje drzwi są zamknięte od zewnątrz. Na twoje okna narzucono klątwę.

– Nie skrzywdzi mnie – powtórzyłam, ponieważ nie wiedziałam, jak inaczej jej wytłumaczyć, dlaczego byłam tego taka pewna.

– To go przerasta – powiedziała. – Jeśli mogę mówić szczerze, Wasza Wysokość, nie jesteś więźniem. Jesteś królową. Już kiedyś zniszczyłam niezniszczalne.

Rozpięła swoją koszulę, by ukazać bliznę.

– Zostałam związana z mężczyzną, który również próbował mnie kontrolować. Niemal przypłaciłam to życiem, by zerwać tę więź, ale teraz jestem wolna. Ciebie również mogę uwolnić.

Tak. Zlekceważyłam Jesmine.

Być może dlatego byłam z nią bardziej szczerą, niż kiedykolwiek myślałam, że będę.

– Nie zamierzam prowadzić nikogo na wojnę, której mamy nie wygrać. Nie zamierzam walczyć dla samej idei walki. Może i mam znamię na swoim ciele, ale nie wiem, co ma ono oznaczać. Świat zna mnie jako człowieka. Hiajowie znają mnie jako człowieka.

Ja znałam siebie jako człowieka.

– Jeśli będziesz chciała walczyć o ten Dom, jesteśmy w gotowości – powiedziała. – Nie będę udawać, że będzie łatwo. Nie będę udawać, że niektórzy, a może i wielu, nie zaakceptują twojego panowania. – Uniosła wargę. – Ale lud Raihna Ashraja również nie chce jego panowania. Był niewolnikiem ich króla. Przemienionym. Porzucił swój klan na stulecia. Myślisz, że jego lud tego nie pamięta? Będą niechętni paść przed nim na kolana, kiedy poczują, że powinno być na odwrót.

Pomimo wszystko serce mnie zabolalo na wieść o takim traktowaniu Raihna.

– Również czekają, żeby obalić jego władzę – kontynuowała. – O ile Dom Krwi pierwszy nie wbije noża w jego plecy. Po tym wszyscy będziemy mieć przejebane, nawet jeśli jego lud zwróci się przeciwko niemu.

W oddali rozległ się huk, po którym od strony wschodnich murów pojawił się dym. Jesmine skrzywiła się na ten dźwięk.

– Idź – powiedziałam. – Na razie dam sobie radę.

– Znajdziesz mnie, kiedy będziesz mnie potrzebować – odparła szybko. – Nie polegaj na nim, żeby cię ochronił, Wasza Wysokość. Ma swoje własne zagrożenia i słabości. Ty też masz zęby. Twoje są ostrzejsze niż jego. Powiedz nam tylko, kiedy trzeba gryźć, i będziemy dla ciebie walczyć. Tylko dla ciebie.

Kolejny huk. Kolejny błysk światła w oddali.

Jesmine nie dała mi czasu na odpowiedź. Zniknęła w nocy. Wspięła się po zamkowych murach z taką łatwością, jakby miała doświadczenie we wkradaniu się przez zamknięte okna potężnych jednostek.



ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Następnego nocy zostałam zaprowadzona do sali tronowej. Słuchałam, jak drzwi klikają cztery razy, zanim zostały otwarte. Za nimi stał Raihn, przy jego boku Cairis.

– Cztery zamki? – zapytałam, kiedy szliśmy korytarzem. Cairis szedł za nami jak cień. Zastanawiałam się, czy od tej pory zawsze będzie się tak czaił. – Schlebiasz mi.

– Doskonale wiem, że nie można cię lekceważyć.

– Dokąd idziemy?

Posłał mi dziwne spojrzenie, jakby było to głupie pytanie.

– Do pracy, oczywiście.

– Dlaczego? Nie jestem przypadkiem twoim więźniem?

Kolejne dziwne spojrzenie, którego tym razem nie mogłam do końca rozszyfrować.

– Nie jesteś moim więźniem – powiedział. – Jesteś moją królową.

Dorastałam w tym zamku. Znałam każdy jego zakątek. Zakradałam się do każdego tajemnego korytarza w jasnych godzinach dnia, kiedy nikt mi nie przeszkadzał. Ale teraz wszystko wyglądało inaczej. Nowe twarze na korytarzach. Obrazy zdjęte ze ścian. Twarz mojego ojca, podrapana i zniekształcona. Taką miał w swoich ostatnich chwilach.

Raihn zaprowadził mnie do sali tronowej. Znajdowało się tam dużo wampirów. Sami Rishanie. Wszyscy spojrzeli na mnie z wyraźnym obrzydzeniem. Wiedziałam, jak to

jest wejść do pomieszczenia ze świadomością, że wszyscy w nim chcą cię zabić. Tak wyglądało życie zdobywcy w świecie pełnym drapieżników.

Tu jednak było inaczej.

Oni nie chcieli mnie zabić dlatego, że byłam słaba, tylko dlatego, że byłam potężna.

Raihn odszedł na bok, by porozmawiać z Keturą, która rzuciła mi ostrożne spojrzenie, gdy nie patrzył. Zaczęłam chodzić po tym znajomym i jednocześnie obcym pomieszczeniu. Przeszłam przez nie i dotarłam do podwójnych drzwi, które wychodziły na salę balową.

Wszystkie obrazy – obrazy związane z legendami i królewskością Hiajów – zostały zniszczone, posiekane na kawałeczki rozsypane po marmurowej podłodze.

Pozostał tylko jeden, ten mały malunek, który zawsze podziwiałam: spadający Rishan, sięgający po wybawiciela, który nie mógł odpowiedzieć tym samym.

– Cieszę się, że mamy okazję znowu pracować razem.

Włoski stanęły mi dęba na karku. Otoczył mnie zapach cygara. Odwróciłam się i ujrzałam Septimusa opierającego się o framugę przeciwnych drzwi.

Nie miałam dzisiaj nastroju na zabawy.

– Pracować razem – powiedziałam. – Cóż za uprzejme określenie wymordowywania królestwa.

– Wymordowywania? To okrutne określenie.

– Czy nie tego chcesz? Na to wygląda.

Wypuścił obłoczek dymu.

– W takim razie nie patrzysz na większy obraz. Może te same impulsy, które kierują moim ludem, popychają cię do mordowania w twoich ludzkich slumsach. Mimo wszystko nie tylko twój lud został wykorzystany w gierkach naszej bogini.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, ponieważ coś w tym ostrym spojrzeniu, pełnym złości, którą próbował ukryć, przypomniało mi o pierwszej próbie – o przerażeniu na twarzy uczestnika Domu Krwi, kiedy zrozumiał, że walczy przeciwko potworom, które niegdyś były jego braćmi i siostrami. Zarówno ludzie, jak i Zrodzeni z Krwi zostali wykorzystani i porzuceni.

– Ty też nie wahałeś się przed wykorzystaniem Angeliki.

– Angelika była moją dobrą przyjaciółką i jej poświęcenie dla królestwa będzie żyło wiecznie.

– Skąd wiedziałeś, że to zadziała? – zapytałam wprost.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Raihn przyjął twoją umowę – *uległ twojemu szantażowi* – by mnie ocalić. Ale aby mógł jej dopełnić, musiał wygrać Kejari. Skąd wiedziałeś, że zabiłby mnie po tym, jak

mnie ocali?

Septimus się uśmiechnął. Wypuścił dym.

– Nie wiedziałem. Jest zdecydowanym romantykiem.

Utrzymałam kamienny wyraz twarzy, ale nie zrozumiałam tej odpowiedzi.

Zaśmiał się i wyprostował.

– Powiedziałem ci, że nie zakładam się, jeśli wiem, że przegram. A każdy układ, który mam na swoim koncie, był wygrany, ptaszyno.

Zaoferował mi pudełko cygaretek. Pokręciłam głową.

– Mam nadzieję, że znajdziesz dla mnie miejsce w swoim sercu jako przyjaciela – powiedział, gdy wsunął pudełko do mojej kieszeni. – Zorientujesz się, że mamy ze sobą więcej wspólnego, niż przypuszczałaś. Oboje wiemy, jak to jest walczyć z czasem. Bardzo się to liczy na tym świecie, czyż nie?

Odszedł bez słowa akurat w momencie, kiedy Raihn powrócił do mojego boku. Obserwował uważnie oddalającego się Septimusa.

– O co chodziło?

– O nic.

Raihn nie wyglądał na przekonanego. Wziął mnie pod ramię. Spięłam się i odsunęłam od niego, ale zaraz za nim podążyłam.

– Co teraz? – zapytałam.

Zaprowadził mnie do sali balowej. Po naszej prawej, od podłogi do sufitu, okna wychodziły na Sivrinaj. Kopuły i iglice błyszczały pod niebem usianym gwiazdami. Noc była wciąż przesłonięta dymem i biała od ognia, jasna jak odwrócone słońce, rozlewające się po marmurowej podłodze sali balowej.

– Dobrze pytanie – powiedział Raihn. – Myślę, że trzeba zbudować królestwo.

Z pozoru jego głos miał nutę nonszalanckiego żartu. Nie zamaskował jednak kiepsko ukrytego strachu.

Ja też się bałam.

Bałam się wrogów za tymi murami i wewnątrz nich. Wrogów, którzy otaczali Raihna, i tych, którzy otaczali mnie. Sojuszników gotowych zdradzić nas oboje.

Bałam się ognia konsumującego królestwo, w którym się wychowałam, i o niezliczoną liczbę niewinnych ludzi, którzy mogli zostać przez niego pochłonięci.

Bałam się niebezpieczeństw przyszłości i sekretów przeszłości.

Raihn złapał mnie za rękę.

Tym razem mu na to pozwoliłam.

Na moment nasze spojrzenia spotkały się, połączone tym samym terrorem – połączone tym, co mieliśmy wspólnego, nawet jeśli nie byliśmy gotowi tego przyznać. Na

jedną chwilę wyszło to na powierzchnię.

Mój przyjaciel. Mój wróg. Mój kochanek. Mój porywacz.

Król i niewolnik. Człowiek i wampir.

I być może jedyna osoba, która kiedykolwiek była w stanie zrozumieć, jak można było posiadać serce krwawiące zarówno czerwienią, jak i czernią.

Nienawidziłam go. Ale jednocześnie go kochałam.

I nawet już nie próbowałam ignorować tego, jak był piękny, z tą jego twarzą naznaczoną życiem, oblaną mrugającym światłem naszego rozpadającego się świata.

– A ty co zrobisz? – mruknął. Dotknął kciukiem mojego policzka i zarysował kształt mojej szczęki. – Zabijesz mnie, Orayo?

Zapytał o to tak, jak pytał o to samo dawno temu. Świt zaczął wkraczać na zaułki ludzkich slumsów. Tak jak ta noc, nie wycofałam się z jego uścisku.

Zamiast tego przycisnęłam dłoń do jego klatki piersiowej. Za nim płonęło moje królestwo.

Może – pomyślałam.

– Nie tej nocy – powiedziałam.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

OD AUTORKI

Bardzo dziękuję za przeczytanie powieści *Żmija i skrzydła nocy!* Mam nadzieję, że czytaliście ją z taką samą przyjemnością, z jaką ja ją pisałam. Mamy jeszcze pięć książek w tym świecie i jestem naprawdę podekscytowana zwiedzeniem ich każdego mrocznego i krwawego zakątka razem z wami! Oraya to z moich ulubionych bohaterek, jakie kiedykolwiek stworzyłam, jest i silna, i bardzo wrażliwa. Mam nadzieję, że zakochaliście się w niej tak jak ja i że spodoba wam się następny etap historii jej oraz Raihna.

Jeśli podobała wam się ta książka, będę ogromnie wdzięczna za napisanie recenzji na Amazonie lub GoodReads. Nie muszę mówić, jak ważne dla pisarzy są recenzje!

Jeżeli chcecie być pierwszymi, do których dotrą informacje o nowych publikacjach, grafikach, gadżetach i innych równie zabawnych rzeczach, polecam zapisanie się do mojego newslettera na carissabroadbentbooks.com, dołączenie do mojej grupy na Facebooku (Carissa Broadbent's Lost Hearts) lub do mojego Discorda (zaproszenie na linktr.ee/carissanasyra!).

Chciałabym pozostać z wami w kontakcie!

INNE POWIEŚCI AUTORKI

Jeśli podobała wam się powieść *Żmija i skrzydła nocy*, koniecznie sprawdźcie *The War of Lost Hearts* – epicką trylogię romantasy pełną romansu, zemsty i wybawienia. Co więcej, jest kompletna i gotowa do ataku.

Dostępna na Amazonie i bezpłatna do przeczytania na Kindle Unlimited.

GLOSARIUSZ

ACAEJA – bogini zaklęć, tajemnicy i zagubionych rzeczy. Członek Białego Panteonu.

ALARUS – bóg śmierci i mąż Nyaxii. Wygnany przez Biały Panteon za zakazany związek z Nyaxią. Uznany za zmarłego.

ASTERIS – forma magicznej energii posiadanej przez Zrodzone z Nocy wampiry, pozyskiwana z gwiazd. Rzadka i trudna sztuka, wymagająca istotnych umiejętności i energii.

ATROXUS – bóg słońca i lider Białego Panteonu.

BIAŁY PANTEON – dwunastu rdzennych bogów, łącznie z Alarusem uznawanym za zmarłego. Biały Panteon jest czczony przez wszystkich ludzi, w niektórych regionach może występować zamiłowanie do konkretnych bogów z Panteonu. Nyaxia nie należy do Białego Panteonu i jest cały czas do niego wrogo nastawiona. Biały Panteon uwięził i następnie pozbawił życia Alarusa, boga śmierci, za jego nielegalne małżeństwo z Nyaxią, wówczas niższą boginią.

CELEBA – kontynent na ludzkich ziemiach na wschód od Obitraesu.

DHAIVINTH – tymczasowo paraliżująca trucizna.

DHERA – państwo na ludzkich ziemiach. Aktualnie zamieszkuje tam Vale.

DOM CIENIA – jedno z trzech wampirzych królestw w Obitraesie. Jego mieszkańcy są znani z zamiłowania do wiedzy. Posiadają magię umysłową, związaną z cieniami i nekromancją. Członkowie Domu Cienia nazywani są Zrodzonymi z Cienia.

DOM KRWI – jedno z trzech wampirzych królestw w Obitraesie. Dwa tysiące lat temu, kiedy Nyaxia stworzyła wampiry, Dom Krwi był jej ulubionym Domem. Długo myślała, co podarować jego mieszkańcom, podczas gdy Zrodzeni z Krwi obserwowali swoich braci na zachodzie i północy, popisujących się swoją potęgą. Ostatecznie Zrodzeni z Krwi zwrócili się przeciwko Nyaxii, pewni, że ich opuściła. Za karę Nyaxia ich przeklęła. Dom Krwi jest teraz poniżany przez pozostałe dwa domy. Członkowie Domu Krwi nazywani są Zrodzonymi z Krwi.

DOM NOCY – jedno z trzech wampirzych królestw w Obitraesie. Jego mieszkańcy są znani z umiejętności w walce i ze swojej podstępnej natury. Posiadają magię pochodzącą z nocnego nieba. Istnieją dwa klany Zrodzonych z Nocy: Hiajowie i Rishanie, które walczyły przez tysiąclecia o władzę. Członkowie Domu Nocy nazywani są Zrodzonymi z Nocy.

EXTRYN – więzienie bogów Białego Panteonu.

HIAJ – jeden z dwóch klanów Zrodzonych z Nocy wampirów. Charakteryzują się nieopierzonymi skrzydłami, przypominającymi nietoperze skrzydła.

IX – bogini seksu, płodności, narodzin i prokreacji. Członkini Białego Panteonu.

KAJMAR – bóg sztuki, pokusy, piękna i oszustwa. Członek Białego Panteonu.

KEJARI – legendarny, organizowany raz na sto lat turniej śmierci na cześć Nyaxii. Zwycięzca otrzymuje dar od samej Nyaxii. Kejari jest otwarte dla całego Obitraesu, ale jego organizatorem jest Dom Nocy, jako że Zrodzeni z Nocy dzierżą największą władzę nad sztuką walki z całych trzech królestw.

KSIEŻYCOWY PAŁAC – pałac w Sivrinaju, stolica Domu Nocy. Istnieje specjalnie dla ugoszczenia uczestników odbywającego się raz na sto lat Kejari na cześć Nyaxii. Mówi się, że jest zaklęty i zależny od woli Nyaxii.

RZEKA LITURO – rzeka płynąca przez centrum Sivrinaju.

NECULAI VASARUS – poprzedni rishański król Domu Nocy. Obalony i zamordowany przez Vincenta dwieście lat przed wydarzeniami w powieści.

NOCNY OGIEŃ – tak jak Asteris kolejna forma magii pochodzącej z gwiazd, stosowana przez wampiry z Domu Nocy. Podczas gdy Asteris jest mroczny i zimny, nocny ogień jest jasny i gorący. Nocny ogień jest często używany w Domu Nocy, ale bardzo trudno jest go opanować na poziomie mistrza.

NYAXIA – wygnana bogini, matka wampirów i wdowa po bogu śmierci. Nyaxia panuje w dziedzinie nocy, cienia i krwi, jak również w dziedzinie śmierci, którą odziedziczyła po zmarłym mężu. Niegdyś niższa bogini, zakochała się w Alarusie i poślubiła go pomimo ich zakazanego związku. Kiedy Alarus został zamordowany przez Biały Panteon za jego małżeństwo z Nyaxią, bogini uwolniła się z Białego Panteonu i w ramach zemsty zaoferowała swoim sojusznikom dar nieśmiertelności w formie wampiryzmu, tym samym dała początek Obitraesowi i wampirzemu królestwom (*Znana również jako: Matka; Bogini; Matka Wygłodniałej Ciemności; Matka Nocy, Cienia i Krwi*).

OBITRAES – ziemia Nyaxii składająca się z trzech królestw: Domu Nocy, Domu Cienia i Domu Krwi.

PACHNAI – ludzkie państwo na wschód od Obitraesu.

PRZEMIENIENIE – proces zmiany z człowieka w wampira. Charakteryzuje się wypiciem ludzkiej krwi przez wampira i zaoferowaniem mu w zamian własnej. Wampiry, które przeszły taki proces, nazywane są **PRZEMIENIONYMI**.

RISHANIE – jeden z dwóch klanów Zrodzonych z Nocy wampirów. Charakteryzują się opierzonymi skrzydłami. Dwieście lat temu klan Hiajów odebrał im władzę.

SALINAE – główne miasto Domu Nocy. Umiejscowione na terytorium Rishan. Kiedy Rishanie byli u władzy, Salinae było kwitnącym centrum, służącym jako druga stolica. Oraya spędziła tam pierwsze lata swojego życia, zanim znalazł ją Vincent.

SIVRINAJ – stolica Domu Nocy. Znajduje się tutaj zamek Zrodzonych z Nocy, Księżycowy Pałac, w którym organizuje się raz na sto lat turniej Kejari.

WIĘŹ CORIATIS – rzadka i potężna więź, która może być wytworzona jedynie przez boga i w której dwie osoby dzielą wszystkie aspekty swojej mocy, łączą swoje życia i dusze. Nyaxia jest jedynym znanym bogiem mogącym stworzyć więź Coriatis, choć każdy bóg jest do tego zdolny. Powiązani tą więzią są znani jako **CORIATAE**. Coriatae dzielą się swoją mocą i zazwyczaj czynią siebie nawzajem silniejszymi. Coriatae nie mogą zwracać się przeciwko sobie i nie mogą bez siebie żyć.

ZARUX – bóg mórza, deszczu, pogody, burzy i wody. Członek Białego Panteonu.

ZNAMIEŃ DZIEDZICA – stałe znamień pojawiające się na ciele dziedzica z klanu Hiajów i Rishan po śmierci aktualnego dziedzica, tym samym piętując ich pozycję i potęgę.

ZRODZENI – pojęcie stosowane do opisanego wampirów, które są zrodzone poprzez biologiczną prokreację. Najpowszechniejszy sposób powstawania wampirów.

ZRODZENII Z CIENIA – wampiry z Domu Cienia.

ZRODZENII Z KRWI – wampiry z Domu Krwi.

ZRODZENI Z NOCY – wampiry z Domu Nocy.

PODZIĘKOWANIA

Za każdym razem, kiedy mam to napisać, jestem zaskoczona, jak nierealne to się wydaje. Tylu ludziom chciałam podziękować za pomoc w spełnieniu mojego marzenia, by stworzyć ten nowy mroczny i krwawy świat. Pośród nich są:

Nathan (jak zawsze pierwszy), któremu chcę podziękować za bycie moim najlepszym przyjacielem, moją największą miłością, moim największym zwolennikiem, moim towarzyszem w burzy mózgów, moim dyrektorem artystycznym, moją encyklopedią i nie tylko. Nic bym nie była w stanie zrobić bez ciebie. Kocham cię!

Ariella, Deanna, Elizabeth i Rachel, którym chcę podziękować za bycie wspaniałymi pierwszymi czytelnikami, gwarantującymi bardzo pomocne recenzje. Jesteście najlepsze!

KD Ritchie z Storywrappers Design, któremu chcę podziękować za piękną okładkę. Kocham z tobą pracować!

Noah, któremu chcę podziękować za przeglądanie tego rękopisu wiele razy i za bezcenną przepustkę edycyjną.

Anthony, któremu chcę podziękować za wspaniałą korektę i za wieczne poprawianie moich przecinków. Przysięgam, że pewnego dnia w końcu uda mi się nimi odpowiednio trafić.

Rachel, której chcę podziękować za najdokładniejszą korektę na świecie! Dziękuję za zlikwidowanie wszystkich moich literówek i za poprawę wszystkich moich

powtarzających się błędów!

Clare, której chcę podziękować za słuchanie mojego całodziennego codziennego narzekania i wytrzymywanie z wierutnym procesem mózg–usta u Carissy Broadbent. Jesteś gwiazdą i uwielbiam cię.

Mój zespół Swords & Corsets, Jenn, Krystle i Angela, którzy są najlepsi. Kocham was wszystkich i nie istnieje lepszy, bardziej utalentowany i wspanialszy krąg przyjaciół, jaki mógłby mieć pisarz.

Na koniec dziękuję tobie – że wzięłaś udział w tej przygodzie razem ze mną!

Jeśli jesteś ze mną od trylogii *War of Lost Hearts*, dziękuję za przybycie do tego nowego świata. A jeżeli jesteś nowy w mojej twórczości, bardzo ci dziękuję za podjęcie się przeczytania tej książki.

Wasze wsparcie, czytelnictwo, fanarty, recenzje, wiadomości, maile... Wszystko to jest istotne w mojej karierze i naprawdę, naprawdę nie mogę się wam nadziękować. Nic z tego by się nie wydarzyło bez was i nigdy o tym nie zapomnę.

Jestem podekscytowana kontynuowaniem naszej wspólnej wyprawy!

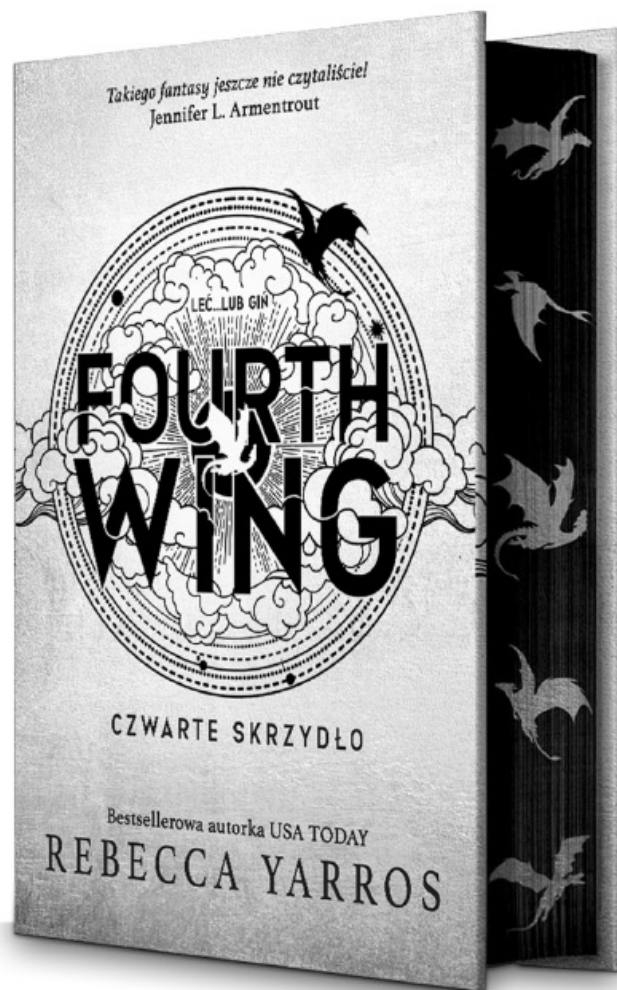
O AUTORCE

Carissa Broadbent niepokoiła swoich nauczycieli i rodziców bezlitośnie ponurymi opowieściami, od kiedy skończyła dziewięć lat. Od tamtego czasu jej opowieści stały się (trochę) mniej depresyjne i (być może o wiele?) bardziej zdatne do czytania. Dzisiaj pisze powieści fantasy z dużą dawką silnych bohaterek i sporą ilością romansu. Mieszka w Rhode Island z mężem, jednym bardzo grzecznym i jednym bardzo niegrzecznym królikiem oraz jednym wiecznie sceptycznym kotem.



Historia byłej złodziejki i młodego przywódcy wyjętej spod prawa dynastii. Bohaterowie zmierzą się w bitwie, która może kosztować ich życie – a także serca.

HYPE



Oto brutalny, elitarny świat wojskowej uczelni
dla jeźdźców smoków autorstwa
bestsellerowej autorki Rebekki Yarros!



SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Od autorki

Mapa

PROLOG

CZEŚĆ PIERWSZA: ZMIERZCH

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

CZEŚĆ DRUGA: PEŁNIA KSIĘŻYCA

INTERLUDIUM

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

CZEŚĆ TRZECIA: KSIĘŻYC UBYWAJĄCY

INTERLUDIUM

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

CZĘŚĆ CZWARTA: KWADRA KSIEŻYCA

INTERLUDIUM

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

CZĘŚĆ PIĄTA: PÓŁKSIEŻYC

INTERLUDIUM

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

CZĘŚĆ SZÓSTA: NÓW

INTERLUDIUM

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY
ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DRUGI

CZEŚĆ SIÓDMA: NOC

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY TRZECI
ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY
ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

OD AUTORKI

INNE POWIEŚCI AUTORKI

GŁOSARIUSZ

PODZIĘKOWANIA

O AUTORCE

Reklama 1

Reklama 2

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Serpent and the Wings of Night*

Copyright © 2022 by Carissa Broadbent
All rights reserved

Translation copyright © 2024 by Grupa Wydawnicza FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2024

Projekt okładki: KD Ritchie at Storywrappers Design
Projekt wnętrza: Carissa Broadbent

Redakcja: Sylwia Chojecka | Od Słowa do Słowa, Agnieszka Luberadzka
Korekta: Anna Walczak | Od Słowa do Słowa
Skład i łamanie: Tomasz Chojecki | Od Słowa do Słowa

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-323-6

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

SERIA: HYPE